



Charlotte LINK

Lisia dolina

*Wyobraź sobie, że twój porywacz
znika bez śladu i nikt nie wie, gdzie cię uwięził...*

CHARLOTTE LINK

LISIA DOLINA

(Im Tal des Fuchses)

Tłumaczenie Dariusz Guzik



Wydanie polskie: 2013

Wydanie oryginalne: 2012

Tytuł oryginału:

IM TAL DES FUCHSES

Copyright © 2012 by Blanvalet Verlag, München a division
of Verlagsgruppe Random House GmbH, München, Germany

Copyright © 2013 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2013 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk

Korekta: Iwona Wyrwisz, Barbara Meisner

ISBN: 978-83-7508-954-7

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadruga.pl

www.soniadruga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2013

Plik ePub przygotowała firma eLib.pl

al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: kontakt@elib.pl

www.eLib.pl

Październik 1987

Chłopiec nie miał pewności, czy rzeczywiście dostrzegł lisa, czy może jakieś inne zwierzę, ostatecznie uznał jednak, że pewnie to lis, ta bowiem myśl spodobała mu się najbardziej. Sunął przez niewielką dolinę niczym płaski mroczny cień, pełzył wśród traw, niskich krzewów, kamieni. Kiedy dotarł na drugi jej kraniec, do jedyne miejsce, w którym doliny nie ograniczały łagodnie się wznoszące, porośnięte łąkami zbocza, lecz stroma skalna ściana, zagłębił się w gruzowisko kamieni i zniknął. Wydawało się, że w jednej chwili ściana go pochłonęła.

Chłopiec patrzył jak urzeczony. Wyglądało na to, że w skalnej ścianie kryje się wejście, szczelina na tyle szeroka, iż niewielkie zwierzę, choćby lis, bez trudu może się przez nią przecisnąć. Postanowił rozwikłać tę zagadkę. Porzucił rower w trawie i pobiegł w dół zbocza. Dobrze znał okolicę, często odwiedzał tę cichą, niewielką dolinę, choć żeby do niej dotrzeć, musiał pokonać na rowerze ponad pięć mil. Dolinę trudno było znaleźć, nie prowadziły do niej żadne drogi. I właśnie dlatego panował tu niczym niezmacony spokój. Można się było wylegiwać w słońcu albo przesiadywać na kamieniu, spoglądać w niebo i oddawać się własnym myślom.

Chłopiec dotarł do miejsca, w którym lis zniknął mu z oczu. Kiedy

był młodszy, często wspinał się po tej skalnej ścianie, wyobrażając sobie, że zdobywa Mount Everest. Obecnie miał dziesięć lat i tego rodzaju zabawy wydawały mu się dziecinadą, dobrze jednak pamiętał dreszcz awanturniczej przygody, jaki przeszywał go na widok urwistego zbocza. Nigdy wszakże nie natknął się na żaden ślad pozwalający przypuszczać, że w ścianie znajduje się jakiś otwór.

Poczuł przyspieszone bicie serca, szukając wejścia wśród wysokich paproci rosnących tu w gęstych skupiskach i wciąż jeszcze mokrych od padającego minionej nocy deszczu. Nie miał wątpliwości, że lis zniknął w tym właśnie miejscu. Chłopiec kopnął nogą w skałę. Oderwało się kilka kamieni i potoczyło w zarośla.

Jego oczom ukazała się skalna szczelina. Nie mógł jej wcześniej zauważyć, gdyż zasłaniały ją liście paproci, był to jednak spory otwór w ścianie. W każdym razie wystarczająco duży dla lisa. Chłopiec aż sapnął z przejęcia. Wsunął ramię w szczelinę, z obawą, że zaraz natknie się na jakąś przeszkodę, wydawało się jednak, że skała rzeczywiście kryje w sobie pustą przestrzeń.

Cofnął ramię, po czym ponownie, tym razem ze znacznie większą siłą, kopnął w skałę. Znowu posypały się kamienie, wśród nich także grubsze odłamki. Otwór w ścianie nieco się powiększył. Chłopiec przyklęknął i dłońmi odgarnął na bok kamienie. Nigdy wcześniej nie zwrócił uwagi na to, że skalne fragmenty były w tym miejscu słabo z sobą związane. Czyżby ktoś ułożył je warstwami? Spojrzał w górę. Może dawno temu doszło tutaj do obsunięcia się ziemi, kawałki skały oderwały się i runęły w dół, zagradzając wejście do wnętrza góry.

Odgarnął dość kamieni, by odsłonić wejście do jaskini, przez które mógłby się przecisnąć. Odpoczywał przez chwilę, ciężko dysząc. Choć dzień był chłodny i wilgotny, bardzo się spocił. Przerzucanie dużych i ciężkich odłamków okazało się wyczerpujące. Do tego doszła jeszcze ekscytacja. Dygotał na całym ciele.

A potem wpełzł do środka.

Przecisnąwszy się przez otwór wejściowy, mógł się wyprostować. Dorosły człowiek musiałby pewnie pochylić głowę, lecz osoba w jego

wieku miała miejsca pod dostatkiem. Kilka kroków dalej przejście się poszerzało, tworząc coś w rodzaju grotu. Do wnętrza prawie nie docierało słoneczne światło, chłopiec ledwie mógł cokolwiek dostrzec. Ujrzał niewyraźny zarys ścian, po części skalnych, po części ziemnych, korzenie zwieszające się z niskiego sklepienia, strużki wody skapującej na podłoże i wsiąkającej w gliniasty grunt pomiędzy otoczakami. Z powodu wewnętrznego napięcia oraz zachwyty ledwie mógł złapać oddech. Odkrył jaskinię. Pieczarę w skale, dostępną przez ukryte wejście, którego najwyraźniej nikt wcześniej nie znalazł.

Odwrócił się i zaczął przeciskać pomiędzy ścianami z powrotem ku wyjściu. Nie znalazł żadnego śladu lisa, być może jednak po prostu nie zdołał go dojrzeć w panujących wewnątrz ciemnościach. Musi niezwłocznie wrócić do domu i zabrać latarkę, a wtedy wróci tu i dokładnie zbada całą pieczarę. Zabierze też z sobą kilka przedmiotów – kolorowe ołówki, znaczki pocztowe, plastikowy kubek – i zostawi je we wnętrzu jaskini. Przeprowadzi test. Będzie zaglądał tu codziennie i sprawdzał pozostawione przedmioty. Jeśli nic nie zostanie naruszone, zyska dowód, że tylko on wie o istnieniu tej kryjówki.

Wydostawszy się na zewnątrz, najchętniej od razu pobiegłby po rower, opanował jednak emocje i zajął się najpierw ułożeniem kamieni i starannym zamaskowaniem wejścia. Przyniósł nawet wilgotnej ziemi i wypełnił nią wszelkie szczeliny, by nikt nie zauważył, że kamienie w tym miejscu luźno do siebie przylegają. Starał się także wyprostować zdeptane uprzednio liście paproci. Następnym razem musi uważać, musi poruszać się ostrożnie i zwinnie, by nie wydeptać wyraźnie widocznej ścieżki prowadzącej prosto do wejścia. Ta jaskinia ma pozostać sekretem, nikt inny nie może jej odnaleźć. Nikogo nie wtajemniczy w swoje odkrycie, nie powie ani matce, ani ojczymowi, ani nawet szkolnym kolegom. Nigdy nikomu nie wspominał o tym miejscu, do którego tak chętnie przychodził, teraz zaś zyskało ono dlań o wiele większe znaczenie.

„Moja dolina – pomyślał – moja jaskinia”.

Lis wskazał mu drogę, stąd też bezwiednie przemknęła mu przez

myśl nazwa, jaką zamierzał nadać temu skrawkowi ziemi, należącemu wyłącznie do niego:

Fox Valley.

Lisia Dolina.

„Brzmi tajemniczo – pomyślał – wyjątkowo”.

Lisia Dolina.

Z zadowoleniem przyglądał się efektom swej pracy. Nikt nie zdoła rozpoznać, że skalna ściana kryje w tym miejscu szczelinę. Nikt nie zdoła odnaleźć jego kryjówki. On zaś będzie tu spędzał sporo czasu, może powiększy nieco przejście, umocni wewnątrz pieczary, stworzy sobie cudowne miejsce azylu, po wsze czasy.

Pobiegł po rower.

„Niedługo wrócę” – wyszeptał.

Część I. Sierpień 2009

1

Przez całą podróż z północy Walii na południe znów wiedli tę długą, wyczerpującą nerwowo i bezowocną dyskusję, w którą wciąż się wikłali w ciągu minionych tygodni. Gdy opuścili Pembrokeshire Coast National Park i dotarli do Fishguard, rozmowa zamieniła się w kłótnię. Może sprawy potoczyłyby się zupełnie inaczej, gdyby tylko spróbowali to sobie spokojnie wyjaśnić, gdyby jedno z nich zdecydowało się powiedzieć: „Nie psujmy tego uroczego dnia. Pomówmy o czymś innym. A wieczorem usiądziemy w spokoju, napijemy się wina i omówimy ten temat”.

Nie zdołali jednak przerwać tego zakłętego kręgu i wszystko zakończyło się tragedią. Nikt wszakże nie mógł tego przewidzieć. Kłótnia tliła się już od dawna, zdaniem Vanessy sprzeczała się w zasadzie o... *nic*. Matthew, jej mąż, pracował w firmie w Swansea, w której pisano programy komputerowe, cieszące się przez lata niezwykłą popularnością. W ostatnim czasie sytuacja uległa jednakże pogorszeniu, konkurencja urosła w siłę, walka na szybko zmieniającym się rynku zaostrzyła się. W firmie podjęto dyskusję o restrukturyzacji; pojawił się pomysł, żeby werbować młodszych pracowników innych firm i zastąpić nimi własnych ludzi, którzy w rzeczywistości okazali się nie dość konkurencyjni. Matthew był przekonany – Vanessa uznała to za jego *idée fixe* – że zostanie zwolniony. A przynajmniej przewidywał taką możliwość. Jako że tymczasem otrzymał propozycję pracy w pewnej firmie w Londynie, zastanawiał się, dlaczego by nie wyjść naprzeciw grożącemu niebezpieczeństwu, złożyć wymówienie i przenieść się do Londynu.

– Bo nie dostaniesz na przykład odprawy – odparowała Vanessa.

– Okay. Ale co mi po pieniądzach, jeśli posada w Londynie będzie

już zajęta, a ja zostanę bez pracy?

– Znajdziesz coś innego!

– A jeśli nie znajdę?

Problem krył się rzecz jasna gdzie indziej, problemem był Londyn. Vanessa pracowała jako wykładowca literatury na uniwersytecie w Swansea. Nie wyobrażała sobie, by mogła porzucić swoją pracę, zostawić studentów, całe dotychczasowe środowisko i ruszyć za mężem do Londynu tylko dlatego, że on chciał uniknąć wręczenia mu wypowiedzenia, które jak dotąd istniało wyłącznie w jego wyobraźni.

– Zachowujesz się jak jakiś pasza z poprzedniego stulecia – powiedziała ze złością. – Ty coś postanawiasz, a ja dzielnie podążam za tobą, dokądkolwiek tylko zechcesz. Lecz w dzisiejszych czasach nie można w ten sposób traktować partnerstwa. Nie przeniosę się do Londynu, Matthew. Choćbyś stawał na głowie!

Westchnął.

– Czy po piętnastu latach spędzonych w Swansea taka odmiana nie byłaby wskazana?

– Owszem. Ale nie akurat teraz. I nie dlatego, że tobie jest to na rękę!

Max, duży długowłose owczarek leżący na tylnej kanapie, uniósł łeb i zaczął skamlać. Matthew zerknął w lustro.

– Obawiam się, że trzeba wyprowadzić Maxa. Zanim dotrzemy do domu... Nie wytrzyma.

Vanessa nie odpowiedziała. Zaciśnęła wargi tak mocno, że zmieniły się w jedną białą kreskę. Po krótkim namyśle Matthew zjechał z głównej drogi i ruszył szosą prowadzącą z powrotem w kierunku Coast Park. Zapadał zmierzch, słońce wisiało nisko nad horyzontem. Ciepły, pogodny, cudowny wieczór sierpniowy. Żłocistoczerwone światło kładło się na polach. Dostrzegli samotnego wędrowca, który wspinał się właśnie na okalające pastwisko ogrodzenie, poza nim jednak wokół nie było żywego ducha. Park narodowy, ciągnący się przez wiele mil wzdłuż wybrzeża, wrzynający się miejscami także daleko w głąb lądu, stanowił istny magnes przyciągający turystów. Latem kręciło się tu mnóstwo ludzi, pieszo, na koniach, rowerach górskich, głównie jednak

po terenach przybrzeżnych. Z dala od morza natomiast można było wędrować całymi godzinami, nie napotykając po drodze nikogo.

Zjechali na niewielki parking, położony nieco poniżej poziomu drogi, z którego roztaczał się uroczy widok na okolicę. Stół z dwiema ławami oraz metalowy kosz na śmieci. Zupełnie pusty, najwyraźniej turyści rzadko tu zaglądali.

Matthew zatrzymał samochód.

– Chodź, przejdziemy się z Maxem. To nam dobrze zrobi.

Vanessa potrząsnęła głową.

– Idź sam. Potrzebuję trochę spokoju. Chciałabym przemyśleć parę spraw. Zaczekam tutaj.

– Jesteś pewna?

– Tak.

Wysiedli. Uderzył w nich powiew ciepłego powietrza. Klimatyzację w samochodzie ustawili na dwadzieścia stopni, na zewnątrz musiało być około dwudziestu czterech. Świetlistego błękitu nieba nie przesłaniała ani jedna chmura. Był to jeden z owych letnich dni, o jakich człowiek marzy przez całą zimę.

Pamiętasz jeszcze tę wspaniałą sierpniową niedzielę? Ten opustoszały parking na krańcu świata... Nic, tylko spokój i ciepło...

Nie, nigdy nie będą snuć takich wspomnień, pomyślała Vanessa. Tę niedzielę zawsze będą pewnie kojarzyć z kłótnią. Jakkolwiek sprawy się potoczą, zapamiętają tylko długą podróż z Holyhead do Swansea, w trakcie której przez większość czasu dyskutowali. I to, że w końcu Matthew na spacer z Maxem poszedł sam, podczas gdy ona, Vanessa, została w samochodzie. Była na niego tak bardzo rozgniewana, że nie miała ochoty iść razem z nim.

W pobliżu biegła wydeptana ścieżka, z początku prowadziła kawałek w dół ku dolinie, potem jednak skręcała ostrym łukiem w lewo wokół wzgórza, znikając z pola widzenia człowieka stojącego na parkingu. Vanessa obserwowała Matthew i Maxa, póki nie skryli się za zakrętem. Max, parę razy obejrzawszy się niespokojnie za swoją panią, pognął w końcu wielkimi susami naprzód, za nim powolnym krokiem

podążał Matthew. Widząc jego wyprostowane ramiona, odgadła, jak bardzo był poirytowany. To oczywiście, że czuł się niezrozumiany. Sam jednak nie wykazywał ani krzty zrozumienia wobec innych. Prawdopodobnie nieprędko wróci ze spaceru z psem. Matthew zawsze potrzebował ruchu, kiedy był zestresowany, zazwyczaj wracał potem rozluźniony i z poczuciem odzyskanej równowagi.

Powoli podeszła do stołu, usiadła na drewnianej ławce rozgrzanej promieniami słońca. Przedwieczne światło było już na tyle łagodne, że nie oślepiało. Spojrzała ponad płytka doliną, rozległą, pofalowaną i pełną zieleni. Wzdłuż jej północnego krańca ciągnął się kamienny mur, przylegała doń niewielka grupa drzew. Poza tym rosły tam jedynie niskie krzewy janowca, które przybrały obecnie barwę nieco zakurzonej zieleni. W kwietniu, w porze kwitnienia, cała okolica musi wręcz tonąć w powodzi żółtych plam.

Jakże tu ładnie! Vanessa pomyślała, że powinni tu częściej przyjeżdżać. Niektóre rejony parku narodowego rozciągały się w pobliżu Swansea, lecz na palcach jednej ręki mogła policzyć dni z ostatnich piętnastu lat, kiedy wybrali się razem z Matthew w te strony. I zawsze zatrzymywali się nad samym brzegiem morza, z myślą o kąpieli. Może na jesieni powinni zaplanować weekendową wędrowkę. Również Max się ucieszy, tak bardzo lubi spacerować. No cóż, może wówczas przygotowują już przeprowadzkę do Londynu.

Londyn.

„Nie chcę porzucić wszystkiego, co znajome – pomyślała – i nie chcę też weekendowego związku. Matthew w Londynie, a ja tutaj, w Swansea... Nie tak to sobie wyobrażałam...”.

Zastanawiała się jednocześnie, czy to kurczowe trzymanie się własnych przyzwyczajęń jest właściwą postawą dla trzydziestosiedmioletniej kobiety. Czy osoba w jej wieku nie powinna być bardziej energiczna? Elastyczna? Głodna nowych wrażeń?

Zaciekawiona?

Tak bardzo pogрузzyła się w rozmyślaniach, że prawie zupełnie zatraciła poczucie upływającego czasu. Dwa lub trzy razy usłyszała

odgłos przejeżdżającego szosą samochodu, poza tym wokół panowała cisza. Kiedy w końcu zerknęła na zegarek i uświadomiła sobie, że Matthew i Maxa nie było już od dwudziestu minut, znów usłyszała nadjeżdżający pojazd. Zwolnił, gdy znalazł się na wysokości parkingu, po czym przyspieszył, by po chwili znów przyhamować. Vanessa odwróciła się, niczego jednak nie zauważyła. Parking oddzielał od szosy porośnięty krzewami pagórek, przejeżdżający samochód można było dojrzeć dopiero wtedy, gdy pokonał następny zakręt drogi. W tej właśnie chwili wyłonił się zza wzniesienia. Biały stary grat z jakimś napisem z boku, którego jednak z tej odległości nie zdołała odczytać. Vanessa zauważyła, że poruszał się bardzo wolno. Nagle na środku drogi zawrócił. Zniknął jej z pola widzenia, wciąż jednak słyszała jego turkot. Przejeżdżał właśnie obok parkingu, znów przyspieszył. I ponownie przyhamował. Vanessa zmarszczyła czoło. Czyżby znowu zawracał? Czemu ten samochód jeździ szosą tam i z powrotem? I czy to wciąż ten sam pojazd, którego odgłos już wcześniej kilkakrotnie słyszała, nie zwróciła nań jednak uwagi? Znowu się zbliżał, zwalniał. Tym razem zjechał chyba na parking. Vanessa ponownie się obejrzała, niczego jednak nie dostrzegła. Usłyszała trzask zamykanych drzwi. Kierowca widocznie zaparkował na zjeździe, na sam parking nie wjechał. Pewnie chciał się szybko wysikać i zauważył, że na ławce siedzi jakaś kobieta.

Vanessa usiłowała zignorować ogarniający ją niepokój i spojrzała na dolinę.

„Matthew mógłby już powoli wracać” – pomyślała.

Chciałaby, żeby Max wyskoczył z zarośli, szczekając. Przydałby się jej teraz duży pies u boku. Jednocześnie pomyślała, że jest histeryczką. Tylko dlatego, że jakiś samochód przejechał kilka razy tam i z powrotem... Tylko dlatego, że w jednej chwili poczuła się tu sama jak palec...

Chociaż nie usłyszała żadnego dźwięku, pod wpływem nagłego przyływu irytacji odruchowo się odwróciła. Napętniło ją niewytłumaczalne poczucie zagrożenia, na całym ciele zjeżyły się jej

włosy, mimo panującego ciepła po jej ramionach przeszedł dreszcz.

Tuż za nią stał jakiś mężczyzna.

Nie więcej niż dwa kroki od niej. Podszedł bezgłośnie.

Zerwała się z miejsca. Nie była pewna, czy wydała przy tym z siebie jakiś krzyk, być może.

Ten człowiek przejął ją grozą.

Prawdopodobnie zależało mu na ukryciu twarzy, pomimo bowiem bardzo ciepłego wieczoru miał na sobie czarną bejsbolówkę, naciągniętą głęboko na czoło, zupełnie nieprzezroczyste czarne okulary przeciwsłoneczne, a na szyi czarną chustkę, postawioną tak wysoko, że niemal zakrywała usta. Vanessa ujrzała właściwie tylko jego nos. Mężczyzna ubrany był w czarne spodnie od dresu oraz czarny golf. Założył też rękawiczki.

Vanessa przełknęła sucho.

– Czego...? – zaczęła.

Sekundę później mężczyzna wykonał błyskawiczny ruch w jej kierunku. Tak niespodziewany, że nie miała szans na obronę czy choćby zrobienie uniku. Do twarzy przytknięto jej coś wilgotnego, uderzyła ją ostra, przenikliwa woń, która podrażniła oskrzela i wywołała gwałtowny kaszel. Woń ta przypawiła ją o ból i nudności, w jednej chwili pozbawiła zmysłów. Bezsilnie wywijając ramionami niczym zwiotczała gumowa lalka zawieszona na sznurkach. Potem straciła przytomność.

Zapadła w zupełną ciemność.

W niekończącą się noc.

2

Cały był zlany potem. Choć już dawno zdjął gruby sweter, czapkę, chustkę i rękawiczki i rzucił je gdzieś na tył samochodu. Wciąż miał na sobie spodnie od dresu, do tego biały podkoszulek na ramiączkach. I te swoje rozczłapane tenisówki.

Mimo to pocił się tak bardzo, że czuł strużkę wody spływającą po plecach.

Spostrzegł, że jedzie zbyt szybko, gwałtownie zdjął nogę z gazu. Tylko tego brakowało, żeby akurat teraz złapał go policyjny patrol. Co prawda nie był pod wpływem alkoholu, być może jednak zapytano by go, dlaczego tego wieczoru wyruszył w drogę z zachodniego wybrzeża do Swansea. Choć przecież podróż taka nie budzi podejrzeń. Ani nie jest zabroniona.

„Rozluźnij się, Ryan – powiedział sam do siebie. – Spędziłeś niedzielę nad morzem, a teraz wracasz do domu. Nic w tym dziwnego”.

Mimo to zwolnił. I mimo uspokajających myśli nie przestawał się pocić, nie zdołał też zapanować nad przyspieszonym, mocnym biciem serca.

Od wielu dni usiłował zignorować wewnętrzny głos, napominający, przestrzegający, głos, który szeptał mu nieustannie, że w swych zamierzeniach zupełnie przecenia własne siły. Że uprowadzenie i szantaż przekraczają jego możliwości, i to dziesięciokrotnie. Ryan Lee nie miał u Boga czystej kartoteki, był dobrze znany policji, dwukrotnie został skazany za włamanie i pobicie. Co prawda wciąż usiłował zarabiać na życie uczciwą pracą, za każdym jednak razem dziwnym trafem jego starania kończyły się niepowodzeniem. Zazwyczaj dlatego, że nie potrafił przywyknąć do porannego wstawania z łóżka i punktualnego pojawiania się w pracy. Dostawał wypowiedzenie i na

powrót schodził na złą drogę. Z tego też względu życie poza granicą prawa albo na jego granicy było mu aż nazbyt dobrze znane.

Nie wszystkie złe drogi są wszakże jednakowo złe.

Ukraść parę komputerów ze sklepu z elektroniką, włamać się do samochodu, porwać starszej kobiecie torebkę albo wszcząć gwałtowną bójkę – to jedno.

Co innego jednak napaść na kobietę, ogłuszyć ją, uprowadzić i przetrzymać w ukryciu po to, by zażądać od jej męża stu tysięcy funtów okupu.

Tyle rzeczy mogło się przy tym nie udać. Dostawał zawrotów głowy, kiedy tylko, choćby przez sekundę, poddawał się własnym lękom. Oczywiście, natychmiast przekaże mężowi ostrzeżenie: żadnej policji! Wiele jednak przemawiało za tym, że ten od razu skontaktuje się z glinami. A wtedy on, Ryan, będzie miał przeciwko sobie nie tylko jednego człowieka, zszokowanego i wzburzonego, lecz także policjantów z całego regionu. W tej sytuacji najbardziej niebezpieczny będzie moment przekazania pieniędzy, nie ulegało bowiem wątpliwości, że właśnie wtedy spróbują go złapać. Jego jedynym atutem jest zakładniczka. Nie będą jej chcieli narażać na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo.

Spostrzegł, że jedzie zbyt wolno, zauważalnie za wolno, i znów nieco przyspieszył. Dłonie miał tak mokre, że niemal ślizgały się po kierownicy. Pomyślał o kobiecie. Miała na imię Vanessa. Doktor Vanessa Willard. Wykładowca uniwersytetu w Swansea. Skwapliwie podała mu swoje nazwisko oraz zawód, imię męża, wspólny adres w Mumbles, na przedmieściach Swansea. Numer telefonu. Wszystko, co tylko chciał wiedzieć. Wciąż czuła mdłości po chloroformie, nasączył nim chustkę, którą przytknął jej do twarzy, dzięki czemu przespała całą godzinę. Bez większych problemów zawlókł ją do samochodu i wywiózł wiele mil dalej, w inne okolice. Bez *większych* problemów, choć trzy dni wcześniej, w czwartkowy wieczór, wdał się w ostrą knajpianą bójkę, po której nadal odczuwał piekielny ból w prawej ręce. Mimo to zdołał ją przenieść, pokonując ostatni odcinek drogi do jaskini.

Najtrudniejsze okazało się wciągnięcie jej przez wąskie przejście do wnętrza skały. Mógł poruszać się jedynie mocno pochylony, nadto zapadł już zmierzch, do wnętrza nie docierał prawie żaden promień światła. Co prawda miał przy sobie latarkę, obie ręce miał jednak zajęte. Pierwszy błąd. W ramach przygotowań konieczne należało się zaopatrzyć w lampę czołówkę, jakiej używają górnicy.

Szybko się przekonał, że kwestia braku oświetlenia nie była jego jedynym błędem. Kiedy bowiem kobieta w końcu się przebudziła (i zwymiotowała, to skutek działania chloroformu), zaczęła wołać za mężem. Zorientował się wówczas, że mąż przebywał wtedy w pobliżu parkingu. Wyprowadził jedynie psa, owczarka, lada chwila spodziewała się jego powrotu. Przeszedł go zimny dreszcz, zaraz potem z przerażenia oblała go fala gorąca. Kiedy krążąc bez celu po okolicy, zauważył na parkingu samotną kobietę, kilkakrotnie przejechał szosą tam i z powrotem, by się upewnić, że nikogo nie ma w pobliżu. Poza tym sprawdził, iż rzeczywiście jest ona odpowiednią osobą do realizacji jego planu. Przekonało go duże drogie bmw, nadto styl, w jakim się ubierała: co prawda swobodny – miała na sobie dżinsy i T-shirt – była to jednak owa zamierzona prostota, na którą trzeba wysupłać sporą sumę pieniędzy. Nie potrzebował milionerów, nie dla stu tysięcy funtów, nie mógł się jednak pomylić i przez przeoczenie trafić na klienta opieki społecznej.

„Ta jest doskonała, absolutnie doskonała” – zdecydował.

A potem zrozumiał, że omal nie został zaskoczony przez mężczyznę z owczarkiem. To właśnie od tamtej chwili, jeśli się dobrze zastanowić, zaczął się oblewać potem, i jak dotąd nie potrafił nad tym zapanować.

„Powinieneś być ostrożniejszy – powtarzał sobie w kółko – powinieneś bardziej uważać. Musisz być bardziej nieufny. O wiele staranniejszy”.

Vanessa wciąż siedziała w kucki w skalnej jaskini, zmagając się z mdłościami. Nadal była w stanie szoku, dlatego odważył się ją oswobodzić i zapalić latarkę. Naciągnął chustkę, zasłaniając sobie usta i nos. Vanessa rozejrzała się wokoło, zrozumiała, że znajduje się pod

ziemią, zauważyła też podłużną drewnianą skrzynię z otwartym wiekiem. Wybuchnęła złością. Na czworakach usiłowała dotrzeć do wyjścia, wrzeszcząc przy tym przeraźliwie i wierzgając niczym jakiś drapieżny kot, kiedy chwycił ją za prawą nogę. Wiedział, że w pobliżu nie ma żywego ducha, że nikt jej krzyku nie usłyszy. Wrzask zaczął go jednak denerwować. Był bardzo silnym mężczyzną, regularnie trenował muskulaturę. Kobieta nie miała większych szans, tym bardziej że środek odurzający nadal dawał się jej we znaki. Mimo to stawiała wyraźny opór. Broniła się jak oszalała, drapała, gryzła i tłukła pięściami. Ucieszył się, że ma na sobie całą tę maskaradę, dzięki niej nie będzie miał potem na ciele żadnych śladów krwi. Mógłby ją od razu pokonać jednym precyzyjnym ciosem pięści, wtedy jednak nie znał jeszcze jej nazwiska ani adresu. Potrzebował tych informacji, a trudno by je było wydobyć z nieprzytomnej. Nie chciał jej też krzywdzić, choć zadawała mu ból. Miał nadzieję, że cała ta historia szybko i gładko się zakończy.

Udało mu się ją chwycić za przeguby dłoni i w ten sposób nieco uspokoić. W jednej chwili zupełnie się załamała. W jej wybałuszonych, płonących oczach kryło się bezimienne przerażenie.

– Chcę pieniędzy – powiedział do niej. Jego głos, dobywający się spod grubej chusty, zabrzmiał w jego własnych uszach głucho i obco. – Tylko tego. Kiedy twoi bliscy zapłacą, natychmiast cię uwolnię. Czy samochód, którym przyjechaliście, należy do ciebie?

– Do mnie i mojego męża – odparła cichym, chrapliwym głosem.

Całe szczęście, że ma męża. W przeciwnym razie Ryan pewnie musiałby się zadawać z rodzicami albo rodzeństwem rozproszonym po całej Wielkiej Brytanii. Obecność męża wyjaśniała przynajmniej kwestię odpowiedzialności. W każdym razie nie spotkał go najgorszy z możliwych przypadków: gdyby kobieta była samotna i nikogo nie można by szantażować. Tego scenariusza Ryan najbardziej się obawiał.

– Jak się nazywa twój mąż? – zapytał.

Podjęła dwie daremne próby, nim zapanowała nad swym głosem. Krzyczała tak głośno, że zupełnie ochrypła.

– Matthew – wydobyła z siebie w końcu. – Matthew Willard.

– A ty jesteś?

– Vanessa. Doktor Vanessa Willard. Jestem wykładowcą na uniwersytecie Swansea. Nie zarabiam dużo.

– Gdzie mieszkacie?

Podawała mu adres oraz numer telefonu. Wszystkie te informacje notował w pamięci. Zapisywanie ich wydało mu się zbyt niebezpieczne.

– My... nie jesteśmy milionerami – powiedziała. – Musiał mnie pan... z kimś pomylić.

Potrząsnął głową.

– Chcę sto tysięcy funtów. Twój mąż się o nie postara.

Sprawiła wrażenie zmieszanej. Z pewnością liczyła się z tym, że zażąda milionowego okupu. Skąd jednak miałaby znać wszystkie szczegóły i okoliczności?

Najtrudniejszy moment nadszedł wówczas, gdy jej wyjaśnił, że musi położyć się w skrzyni, on zaś zamknie wieko. Tym razem nie usiłowała uciekać, ale zaczęła gwałtownie dyszeć, na tyle intensywnie, iż w pierwszej chwili pomyślał, że dostała ataku astmy.

– Proszę – wyrzuciła wreszcie z siebie. – Proszę, nie! Proszę, niech mi pan tego nie robi, proszę! Proszę!

Zapewnił ją, że będzie jej tam dobrze.

– Jest wystarczająco dużo otworów wentylacyjnych. Masz latarkę. Włożyłem też czasopisma. Dość wody i jedzenia. Może twój mąż zapłaci już jutro. A wtedy natychmiast stąd wyjdiesz.

– Przecież jestem w jaskini, pod ziemią. Czy to nie wystarczy? Dlaczego...?

Wyjaśnił, że wejście do jaskini obłożony kamieniami, cierpliwą pracą byłaby jednak w stanie je odsunąć, a na to nie może pozwolić.

– Będę do ciebie codziennie zaglądał – obiecał. A jednak skłamał. Miejsce to dzieliła od Swansea zbyt duża odległość, obawiał się też ryzyka, że zostanie zauważony. Równie dobrze mógłby od razu przyprowadzić do swej kryjówki policję. W tej jednak chwili rozsądnie było powiedzieć jej kilka słów pocieszenia.

Kładąc się w skrzyni, rozplakała się, drżała przy tym niczym osika.

Słyszał jej łkanie, kiedy zabezpieczał wieko śrubami w sześciu nawierconych uprzednio miejscach. Na szczęście nie mogła zobaczyć, że sam przy tym dygotał. Poczułaby jeszcze większy niepokój, widząc, że cała ta historia zupełnie go przerosła.

Dotarł do przedmieść Swansea i zredukował bieg. Samochód należał do sieci pralni, w której od pół roku pracował. Wreszcie znów jakaś stała praca, aczkolwiek wyczerpująca i słabo płatna. Zajmował się odbieraniem rzeczy do prania z rozmaitych hoteli i restauracji w Swansea i okolicy, a następnie rozwożeniem ich wypranych i wyprasowanych. Oddano mu do dyspozycji biały samochód z napisem *Clean!* To była jedyna zaleta tego zajęcia: miał samochód na własność. Co prawda nie wolno mu go było używać do celów prywatnych – a uprowadzenie i przewożenie porwanej kobiety bez wątpienia do tej kategorii się zaliczało – jak dotąd nikt go jednak nie kontrolował, zawsze też po swoich wypadach uzupełniał bak i miał nadzieję, że nie zostanie przyłapany.

W ten niedzielny wieczór, tuż przed pół do dziesiątej, w Swansea panował niewielki ruch. Ryan bez trudu wjechał do miasta. Jak to często bywało w jego życiu, nie posiadał własnego mieszkania, zatrzymywał się to tu, to tam. Obecnie u Debbie, dziewczyny, z którą był przez kilka lat związany, zanim z nim zerwała z powodu jego permanentnej kolizji z prawem. Mimo wszystko pozostali sobie bliscy, dlatego też przyjęła go pod swój dach, gdy nie miał się gdzie podziać. Debbie pracowała na zmiany w firmie sprzątającej budynki i rzadko przebywała w domu.

Ryan wiedział, że również o tej porze nie zastanie Debbie w mieszkaniu, ponieważ w ten weekend przydzielono ją do pracy w sporym kompleksie budynków mieszczącym głównie kina i fast foody. Weźmie szybki prysznic i wypije piwo, może alkohol zdoła nieco uśmierzyć jego wewnętrzne napięcie, czającą się w nim panikę. Następnie pójdzie do budki telefonicznej i zadzwoni do Matthew Willarda. Oczywiście musiał się liczyć z tym, że Willard powiadomił już policję, nie zastawszy Vanessy na parkingu, przypuszczał jednak, że w tak krótkim czasie funkcjonariusze nie nadali jeszcze sprawie biegu.

Czyż zgłoszeń o zaginięciu osób dorosłych nie rozpatruje się dopiero po upływie dwudziestu czterech godzin? Albo nawet czterdziestu ośmiu? A może to jedynie uporczywie podtrzymywana pogłoska?

Jego serce, które właśnie nieco się uspokoiło, znów zaczęło galopować w szaleńczym i nieregularnym rytmie. Nie pomyślał o tak wielu sprawach, do realizacji swego planu zabrał się jak kompletny dyletant. A jeśli policja jest już w domu Willarda? Jeśli zainstalowała już u niego urządzenie identyfikujące anonimowego abonenta?

Konieczni musi pamiętać o tym, by rozmawiać jak najkrócej. W żadnym razie nie mogą namierzyć budki telefonicznej, z której zadzwoni.

Poczuł mdłości, uświadomiwszy sobie, w jakie szaleństwo sam się wpakował.

Sądził jednak, że nie ma wyboru. Ścisłe mówiąc, istotnie nie miał – Damon dwukrotnie przesłał mu wiadomość, że chce natychmiastowego zwrotu dwudziestu tysięcy funtów, które Ryan był mu winien. Następnie nadszedł kilku osiłków, którzy mieli mu przypomnieć o zobowiązaniu w nieco inny sposób – po ich wizycie musiał wziąć dziesięć dni zwolnienia, gdyż prawie w ogóle nie mógł się ruszać. Znał Damona, wiedział, że nie popuści. A Ryan któregoś nieodległego już dnia wylądował głową w dół w portowym basenie w Swansea, to pewne jak amen w pacierzu. Był realistą, dobrze wiedział, że przed Damonem nie zdoła uciec. Dopadnie go w każdym zakątku świata. Damon był potężny, przebiegły i pozbawiony skrupułów. Nie wiedział, co to moralność, co to litość. I nie potrafił pogodzić się z porażką.

Damon był człowiekiem niezwykle niebezpiecznym. Ryan zrozumiał: musi zdobyć te dwadzieścia tysięcy funtów, to była jego jedyna szansa.

Równie dobrze mógłby się od niego domagać miliona. Zarówno jedna, jak i druga suma była dla Ryana całkowicie nieosiągalna.

Tak zrodził się plan uprowadzenia. Przypomniał sobie o jaskini w Lisiej Dolinie, którą odkrył w dzieciństwie, nie zaglądał do niej jednak prawie od dwudziestu lat. Kiedy znów się tam wybrał,

stwierdził, że najwyraźniej nikt poza nim nie wiedział o jej istnieniu. Nie znalazł najdrobniejszego choćby śladu innych ludzi. Z pomocą dodatkowych, mozolnie zebranych kamieni doskonale zamaskował wówczas wejście – nie zamierzał tam oczywiście urządzać kryjówek dla ofiary uprowadzenia. Zwyczajnie spodobała mu się myśl, że jest na świecie miejsce, którego nikt inny nie zna, które należy tylko do niego.

Wszystko to doprowadziło obecnie do sytuacji, która nie miała nic wspólnego z jego niegdysiejszą dziecięcą radością z posiadania kryjówek. Jeśli coś pójdzie nie tak, znajdzie się na wiele lat za kratkami, to pewne. Jak dotąd zawsze mu się udawało otrzymać karę w zawieszeniu. Śmiertelnie bał się więzienia. Nie miał jednak wątpliwości, że jego szczególny sposób na życie któregoś dnia właśnie tam go zaprowadzi. Dlatego postanowił zażądać nie dwudziestu, lecz stu tysięcy funtów okupu. Dwudziestu potrzebował po to, by raz na zawsze uwolnić się z morderczego uścisku tego kredytowego rekina Damona, z którym lekkomyślnie wdał się w interesy. A pozostałych osiemdziesięciu, żeby zniknąć i ułożyć gdzieś sobie nowe życie. Życie, w którym nie będzie już żadnych bijatyk, żadnych kradzieży, żadnych oszustw. Co konkretnie chciał robić, tego jeszcze nie wiedział. Jednak owa szalona wprost świadomość, że posiada na własność *osiemdziesiąt tysięcy funtów*, napełniała goniesamowitym poczuciem absolutnej nietykalności. Z taką sumą pieniędzy człowiek jest pewny siebie. Staje na nogach. Ale nad tym nie musi sobie zawczasu łamać głowy. W tej chwili istniały rzeczy istotniejsze, na których musiał się skupić.

Tuż przed mieszkaniem Debbie rzadko kiedy można było znaleźć miejsce do parkowania, toteż Ryan zostawił samochód przy Glanmorgan Street i ruszył w dół Paxton Street. Nie przepadał za okolicą, w której mieszkała Debbie; czasem wydawała mu się naprawdę ponura. Nie ulegało jednak wątpliwości, że nie będzie wечно mieszkał kątem u swej byłej dziewczyny. Nawet jeśli nadal ją lubił.

Od razu wyczuł, że coś jest nie tak, skoro jednak brakowało jakiegokolwiek konkretnego powodu, by mieć złe przeczucia, uznał, że to tylko przywidzenie. Miał nieco nadszarpnięte nerwy, nic dziwnego,

po wszystkim, co się tego dnia wydarzyło. Pewnie każdy, znalazłszy się w jego położeniu, byłby przewrażliwiony i wyczulony na najdrobniejszy nawet szmer.

A mimo to kryło się w tym coś dziwnego. Opustoszała ulica przed nim tonęła w mroku. W niektórych domach paliło się jeszcze światło. Nigdzie jednak nikt się nie pokazywał, wokół panował spokój, absolutna, martwa cisza. *Zbyt cicho* jak na tak ciepły wieczór. Uniósł głowę, jakby coś wietrzył w powietrzu, niczym zwierzę na polowaniu.

„Do cholery, Ryan, uspokój się – mówił sam do siebie. – Czeka cię kilka piekielnie męczących dni, jeśli nadal będziesz tak wariował, najlepiej od razu zapomnij o całej sprawie!”.

Zmusił się, by podejść bliżej do budynku, w którym mieszkała Debbie.

Przez wszystkie te lata, w trakcie których poruszał się na granicy prawa – a często nawet *poza* nim – wykształcił w sobie umiejętność wyczuwania obecności gliniarzy na odległość. Dosłownie wietrzył ich zapach, gdy znajdowali się w pobliżu. Rzadko kiedy się mylił. Teraz jednak wmawiał sobie, że tym razem to jedynie złudzenie. Zrobił coś złego, lecz to po prostu niemożliwe, by policja już była na jego tropie. Nawet jeśli Willard zgłosił zaginięcie swej żony i narobił przy tym sporo hałasu, mało prawdopodobne, by od razu przyjęto wersję o uprowadzeniu. Czyż nie założono by raczej, że Vanessa Willard opuściła męża? Że pewnie uciekła z kochankiem?

Nagle przystanął, przez głowę przemknęła mu przerażająca myśl: „A co, jeśli ktoś cię widział? Jeśli ktoś obserwował, jak przenosisz do samochodu nieprzytomną kobietę?”.

„To niemożliwe” – pomyślał. Cały czas się rozglądał, ani na sekundę nie spuszczał z oka drogi i okolicy. Wokół nie było żywego ducha. Z drugiej jednak strony mówił sobie, że przed uprowadzeniem wszystko dokładnie sprawdził, a przecież tak łatwo przeoczył fakt, że w pobliżu Matthew Willard spacerował z psem.

Nieważne. To chybiona myśl, że mogliby już deptać mu po piętach. Jego napięte nerwy po prostu pętały mu figla.

Szedł dalej. Nie zwrócił uwagi na samochód zaparkowany przed budynkiem, w którym mieścił się przytułek dla bezdomnych, choć w miejscu tym obowiązywał zakaz postoju. Nagle ogarnął go jednak dziwny niepokój. Raz jeszcze się odwrócił i zauważył, że ten samochód nie był pusty, jak inne pojazdy stojące wzdłuż całej ulicy na wyznaczonych miejscach parkingowych. Wewnątrz siedziało dwóch mężczyzn. W tej sekundzie Ryan zrozumiał, że jego przecucie czającego się niebezpieczeństwa wcale nie było złudzeniem.

Odwrócił się na pięcie i pognął w dół ulicy. Usłyszał trzask zamykanych drzwi samochodu, a po nim okrzyk: Stój! Stój! Policja!

Nie przejął się tym. Biegł dalej, słysząc za plecami odgłosy kroków. Ścigali go. Zobaczymy, kto lepiej zna okolicę.

Na końcu ulicy skręcił w lewo w Oystermouth Road, wiedział jednak, że nie znajdzie tam żadnej kryjówki. Nie będzie też mógł przebiec na drugą stronę, tam bowiem zaczynały się ogromne parkingi, do których przylegała marina. Zanim dotarłby do portu, musiałby pokonać spory dystans w otwartym terenie. Musiał spróbować oddalić się od nabrzeża i przedostać do centrum miasta, by tam poszukać jakiegoś schronienia. Biegał szybko, wiedział o tym, w końcu nie jeden raz zgubił najbardziej nawet zawziętych prześladowców. Był w świetnej kondycji, potrafił kluczyć, znał Swansea jak własną kieszeń. Ten cholerny policjant deptał mu jednak po piętach, choć przecież musiał najpierw wysiąść z samochodu, Ryan od początku miał nad nim znaczną przewagę. I przewaga ta w zatrważająco szybkim tempie topniała.

Ryan przyspieszył kroku. Trochę sapał, lecz jeszcze niezbyt gwałtownie. Potwornie bolało go ramię, które dostało za swoje podczas ostatniej bójkii, nie zwracał jednak na nie uwagi. Skupił się teraz całkowicie na drodze ucieczki, zbyt dobrze orientował się w sytuacji, by wiedzieć, że nie wolno mu tracić energii na rozważania o tym, co się właściwie stało. A jednak pytanie to świdrowało mu w głowie, pytanie uporczywe i niedające się stłumić: *Jakto się mogło stać? Jak to się mogło stać?*

Nie zdołał zachować bezpiecznego dystansu do swego prześladowcy, wręcz przeciwnie, wydawało się, że ścigający go policjant biegnie coraz szybciej. Skąd, do cholery, wytrzasnęli takiego sprintera? I gdzie się właściwie podział ten drugi gliniarz? W samochodzie siedziało dwóch ludzi. Prawdopodobnie już dawno został daleko w tyle.

Dziarskim zwodem, którego nie zasygnalizował wcześniej ruchem ciała, Ryan skręcił w lewo, szczupakiem przeskoczył siatkę ogrodzeniową i wydostał się na Recorder Street, która wraz z Oystermouth Road okalała czworobokiem domy i niewielkie ogródki za budynkiem, w którym mieszkała Debbie. Nie był to wariant optymalny, nigdy by go nie wybrał, gdyby pogoń nie była tak blisko. Po jego prawej stronie, za West Way, znajdował się ogromny parking przed Tesco, który o tej porze, w niedzielny wieczór, mocno opustoszał, nie dając możliwości ukrycia się. Musiał czym prędzej znaleźć jakieś podwórze na tyłach domów i skacząc po murach, dachach szop i ogrodowych altan, spróbować przechytrzyć gliniarza. Kiedy uda mu się go zgubić, trzeba będzie znaleźć jakąś kryjówkę. Wtedy przyjdzie czas na chwilę zastanowienia co dalej. Trzeba będzie zarzucić plan uprowadzenia, to oczywiste, musi jak najszybciej uwolnić Vanesę Willard, a potem...

Jakiś cień wynurzył się przed nim tak niespodziewanie, że Ryan nie zdołał ani się zatrzymać, ani go wyminąć. Zderzył się frontalnie z człowiekiem, który nagle wyłonił się z wąskiego przejścia pomiędzy domami. Kiedy obaj upadli na ziemię, usłyszał głos drugiej postaci, mówiący „Policja!”. Ryan zrozumiał wówczas, że tym razem zdecydowanie nie docenił swych przeciwników i był to jego najgłupszy błąd w ciągu ostatnich dwunastu godzin. Jeden z nich biegał szybciej niż mogło się wydawać, drugi zaś najwyraźniej doskonale się orientował w okolicy, wiedział nawet, że przez ogródki na tyłach domu Debbie można się było wydostać wprost na Recorder Street. Wspólnymi siłami zapędzili go w pułapkę, w którą właśnie wpadł. Wykręcono mu ramię na plecach i powoli postawiono na nogi. Kajdanki owinęły się

wokół jego nadgarstków.

– Ryanie Lee, jest pan tymczasowo aresztowany. Jest pan podejrzany o ciężkie uszkodzenie ciała.

Że co?

W jakim to idiotycznym filmie się znalazł?

Odpowiedź na to pytanie poznał w policyjnym komisariacie.

Bójka w knajpie w miniony czwartek. Bliżej nieznanemu mu gościowi, który palnął jakieś głupstwo, czym tak bardzo go rozzłościł. Przypominał sobie jak przez mgłę, że nieźle dołożył temu idiocie, lecz na pewno nie aż tak bardzo, by nazwać to *ciężkim uszkodzeniem ciała*. Cały tamten wieczór, ówczesne zdarzenia, obrazy i wrażenia ledwie przewijały się w jego wspomnieniach, gdyż sporo wypił, a po bójce zawlókł się do domu, gdzie pił dalej i o późnej porze zupełnie urwał mu się film. Mimo to nie mogło być przecież aż tak... strasznie, jak mu to teraz opisują.

– Czy... czy naprawdę jest aż tak kiepsko? – pytał z niedowierzaniem. – Kilka ciosów w podbródek...

Jeden z policjantów, którzy go aresztowali, skinął głową z naciskiem.

– O, tak. Nie licząc wybitych zębów i złamanego nosa, doznał ciężkiego wstrząśnienia mózgu i złamania podstawy czaszki. Powiedziałbym, że to niebagatelne obrażenia.

– Złamanie czaszki?

– Uderzył głową o kant stołu. Kiedy go pan powalił.

– Wcale tego nie chciałem – zapewniał Ryan. – To była zwyczajna bójka, mnie też się dostało... – Na dowód tego pokazał ramię mieniące się wszelkimi odcieniami fioletu, lecz oczywiście nie mogło się to równać ze złamaniem podstawy czaszki. – On mnie sprowokował – dodał słabym głosem.

Nikogo to jednak nie zainteresowało. Sprowokowany czy nie, pobił młodego człowieka, tak że ten znalazł się w szpitalu. Nie było jeszcze wiadomo, które z obrażeń pozostawią u ofiary trwałe ślady. Świadców

zdarzenia nie brakowało, gdyż knajpa pełna była ludzi. Dzięki cierpliwemu przepytywaniu gości lokalu funkcjonariusze szybko poznali nazwisko Ryana, a także miejsce jego pobytu – adres mieszkania Debbie. Jego sytuację dodatkowo pogarszała próba ucieczki przed policjantami.

Zdawał sobie sprawę, że tkwił w tym po same uszy.

Odczytano mu jego prawa. O swym aresztowaniu mógł między innymi poinformować członka rodziny lub kogoś ze znajomych, postanowił jednak z tego zrezygnować. W grę wchodziła jedynie jego matka, z którą już od dłuższego czasu nie utrzymywał kontaktu, oraz Debbie. Pierwsza zareagowałaby strachem i przerażeniem, druga nieskrywaną złością, a za tym wcale nie tęsknił. Uznał natomiast za wskazane skorzystać bezzwłocznie z przysługującego mu prawa do adwokata.

Aaron Craig istotnie pojawił się jeszcze tego samego późnego niedzielного wieczoru w komisariacie, wielce niezadowolony, że w tak nieprzyjemny sposób zepsuto mu kończący się weekend. Ten pięćdziesięciosześcioletni prawnik, pełen idealizmu i energii, zaangażował się trzy dekady wcześniej w osobisty projekt prawnej opieki i wspierania młodocianych przestępców, w szczególności tych mających problemy rodzinne. Chciał im nie tylko służyć pomocą przed sądem, lecz nadto stać się ich przyjacielem, mentorem, przewodnikiem. Z czasem jego idealizm nieco przygasł. Pomógł stanąć na nogi zbyt wielu podopiecznym, po czym spotkało go gorzkie rozczarowanie. Z płomiennego, zmotywowanego reformatora świata już dawno przemienił się w znużonego i szorstkiego cynika. Reprezentował Ryana Lee od dnia, kiedy ten w wieku lat siedemnastu został po raz pierwszy przyłapany na kradzieży w sklepie. Już dawno porzucił nadzieję, że z tego trzydziestoletniego obecnie mężczyzny kiedykolwiek wyrośnie porządny obywatel albo przynajmniej jako tako rozsądny człowiek. Mimo to czuł się za niego odpowiedzialny i poświęcił ten niedzielny wieczór, dowiedziawszy się, w jakie tarapaty popadł tym razem jego podopieczny.

Po krótkim przesłuchaniu – Ryan przyznał się do wszystkiego, upierał się jednak, że w żadnym razie nie zamierzał zadać swemu przeciwnikowi tak ciężkich obrażeń – Aaron rozmawiał z nim jeszcze w cztery oczy. I wcale nie starał się upiększać jego położenia.

– Bardzo kiepsko to wygląda – oznajmił. – Bardzo źle, musisz sobie zdawać z tego sprawę. Człowieku, ten chłopak jest cholernie ciężko ranny! Dotarło do ciebie, ile ma lat? Dziewiętnaście! Sprawieś dziewiętnastolatka tak mocno, że teraz całymi tygodniami będzie leżał w szpitalu, tylko dlatego, że był podpity i zachowywał się po chamsku!

– Obraził mnie – zaznaczył Ryan.

– Zaczepiał wielu ludzi przebywających wtedy w pubie. Jednoznacznie to stwierdzono, słyszałeś przecież. Był zalany w pestkę, zataczał się od stolika do stolika i plótł jakieś głupstwa. Nikt nie brał tego poważnie. Tylko ty jeden zareagowałeś i zupełnie cię poniosło!

Ryan milczał. I cóż miał powiedzieć?

Aaron westchnął.

– Tym razem się nie wykręcisz, wylądujesz w pudle. Nie zdołam temu zapobiec.

Ryan spojrział nań błagalnym wzrokiem.

– Aaron, proszę, musisz mi pomóc! To znaczy... ciężkie pobicie... Czy rzeczywiście tak się to skończyło?

– Obawiam się, że tak – odparł Aaron. – Twoja ofiara leżała w kącie, brocząc krwią, nieprzytomna, później stwierdzono jeszcze wstrząs mózgu i złamanie podstawy czaszki. Nikt nie wie, z jakimi następstwami tych obrażeń chłopak będzie się zmagał, może nawet przez resztę swego życia. Wszystko to z pewnością zostanie uznane za ciężkie uszkodzenie ciała. Jeśli dopisze nam szczęście, przeforsuję dla ciebie paragraf 20, który jest o tyle korzystniejszy, że uznają, iż nie działałeś rozmyślnie ani ze szczególnie złośliwym zamiarem. Sam byłeś pijany, poczułeś się sprowokowany i tak dalej. Nie mogłeś przewidzieć, że uderzy o kant tego stołu. Będę próbował, Ryan. Zrobię, co w mojej mocy.

– A jeśli się nie uda? – zapytał trwożliwie Ryan.

– Wtedy dostaniesz paragraf 18. Mówiąc w pewnym uproszczeniu: *umyślne* ciężkie uszkodzenie ciała. To może oznaczać do dwudziestu pięciu lat pozbawienia wolności.

– Dwadzieścia pięć lat? Aaron, nawet nie miałem przy sobie broni. Ja...

– To nieistotne – wyjaśnił Aaron.

Ryan poczuł, jak wokół szyi zaciska mu się pętla. Z coraz większym trudem przetykał ślinę.

– Jeśli oni... no więc jeśli oni mi uwierzą, że wcale tego nie chciałem... Ile wtedy będę musiał...?

– Do pięciu lat. I przypuszczam, że tyle właśnie dostaniesz. Nie potrafię sobie wyobrazić sędziego, który byłby gotów złagodzić ci karę. Masz na swoim koncie dwa wyroki w zawieszeniu. Twoje pozostałe drobne występki zapełniają już cały policyjny segregator. Jesteś notowany od lat młodzieńczych. Mam ci powiedzieć, kogo zobaczy w tobie sędzia? Przypadek beznadziejny. Który wreszcie należy skonfrontować z rzeczywistością.

Ryan był załamany. Zrozumiał, że Aaron ma rację. Posunął się za daleko. Zupełnie bez powodu. Nawet nie znał tego chłopaka. Uświadomił sobie, że nie da się też mówić o poważnej prowokacji, która mogłaby go skłonić do takiej reakcji. Prawdą było bowiem to, co świadkowie zeznali policji: chudy pijany chłopak zaczepiał w pubie niemal każdego. Nawet nie można go było dobrze zrozumieć. Lecz tylko jednego człowieka zdołał tym sprowokować do wybuchu niekontrolowanej agresji: Ryana Lee. Który nie potrafił się powstrzymać przed przekroczeniem swego cholernie nisko umiejscowionego progu przemocy.

– Radziłem ci, żebyś poszedł na trening tłumienia agresji – odezwał się Aaron – ale domyślam się, że skończyło się na twojej obietnicy, że to zrobisz?

Ryan wbił wzrok w podłogę. Rzeczywiście miał taki zamiar. Wiedział, że reaguje zbyt gwałtownie i czym prędzej musi coś z tym zrobić. A jednak nie potrafił się na to zdobyć.

– Cóż – rzekł Aaron – a zatem po tylu latach będziesz musiał wypić piwo, którego nawarzyłeś. Nic na to nie poradzimy, chłopcze. Może kiedy już wyjdiesz na wolność, wreszcie zrozumiesz, o co naprawdę w życiu chodzi!

– Myślisz, że będę musiał odsiedzieć cały wyrok?

– Jeśli naprawdę się postarasz, jeśli rzeczywiście będziesz greczny, dzielny i okażesz skruchę, wtedy z pewnością czeka cię przedterminowe zwolnienie za dobre sprawowanie. Po jakichś dwóch latach.

Dwa lata. Cała wieczność...

– Ale – upewniał się Ryan – do czasu rozprawy będę na wolności?

Tak właśnie było w poprzednich dwu przypadkach, kiedy wniesiono przeciw niemu oskarżenie: Aaron za każdym razem zdołał oszczędzić mu pobytu w areszcie śledczym.

Ku swemu przerażeniu zobaczył jednak, że także przy tym pytaniu, które uznał raczej za stwierdzenie, adwokat potrząsa głową.

– Nie wygląda to dobrze. Obawiam się, że już cię nie wypuszczą.

– Ale...

– Będę próbować, ale moim zdaniem istnieje niestety dość powodów do zasądzenia aresztu śledczego. Szczególną wagę ma przy tym fakt, że nie posiadasz obecnie stałego miejsca zamieszkania i że próbowałeś uniknąć aresztowania, rzucając się do ucieczki. Przykro mi, ale także w tej kwestii masz słabe karty.

– Ale ja *muszę* wyjść! – zaklinał się Ryan. Znów oblewał się potem, podobnie jak wczesnym wieczorem, kiedy wracał do Swansea. Do jasnej cholery, Vanessa Willard leży w jaskini, zamknięta w skrzyni. Jeśli będzie oszczędnie rozporządzać zapasami, żywności starczy jej ledwie na tydzień. I na tym koniec. Nie wspominając o mękach, jakie będzie musiała przez ten tydzień znosić – zamknięta w ciasnocie i ciemnościach, przejęta strachem. A potem czeka ją powolna, żałosna, przerażająca śmierć.

Musi ją uwolnić. Koniecznie musi ją uwolnić, zanim pójdzie na co najmniej dwa lata do pudła.

– Aaron, proszę. To bardzo ważne. Nie możesz... nie możesz za mnie poręczyć? Że nie ucieknę? Przysięgam, że pojawię się na rozprawie! Proszę!

– Spróbuję wszystkiego – zapewnił Aaron. – Możesz na mnie liczyć. Ale nic ci nie mogę obiecać.

– Kiedy decyzja o aresztowaniu?

– Niedługo. W przeciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin.

– Najważniejsze, bym wyszedł na wolność!

– Ryan! – Aaron pochylił się nad stołem i spojrzał Ryanowi prosto w oczy. – Ryan, o tym zdecydują inni. Nic na to nie poradzisz, nic tu nie wyprosisz! Niestety, nie pozostaje ci nic innego, jak tylko czekać na to, co się stanie, i dobrze ci radzę, zachowuj się spokojnie, niepozornie, a przede wszystkim uprzejmie, gdyż inaczej tylko pogorszysz swoją sytuację. Przez ostatnie czternaście lat brytyjski wymiar sprawiedliwości dał ci mnóstwo okazji do poprawy, a teraz po prostu musisz zaakceptować fakt, że nikt nie będzie wobec ciebie wspianiałomyślny. Zresztą co ja ci będę tłumaczył. Zaprzepaściłeś tę szansę. Z własnej winy!

– Aaron! Tylko jeden dzień! Muszę wyjść na jeden dzień!

– Po co?

– Bo... – Urwał. Pojawiło się pytanie, co będzie, jeśli teraz wtajemniczy Aarona Craiga. Jako adwokata obowiązywała go tajemnica zawodowa. Jeśliby mu się udało uchronić Ryana od aresztu śledczego – co wydawało się bardzo mało prawdopodobne – Ryan sam mógłby uwolnić Vanessę, przy założeniu, że Aaron nie zaprotestuje przeciwko przetrzymywaniu kobiety w takich warunkach przez kolejne dwadzieścia cztery godziny. W przeciwnym razie adwokat musiałby interweniować osobiście. Istniały dwie możliwości: Aaron pojedzie do Lisiej Doliny i uwolni Vanessę, mało prawdopodobne jednak, by nie został przy tym zauważony. Nie mógł ot tak, po prostu odkręcić śrub, po czym salwować się ucieczką, zostawiając Vanessę na pastwę losu. Przebywając w zamkniętej skrzyni, kobieta mogła się tymczasem zranić, zapewne nadal pozostawała w stanie ciężkiego szoku. Aaron nie miałby

wyboru, musiałby ją zawieźć do szpitala lub od razu wezwać pogotowie. Policja z pewnością nie uwierzyłaby w wersję, że to adwokat uprowadził i uwięził Vanessę Willard. Nawet jeśli by trzymał język za zębami, nietrudno byłoby się domyślić, że działał na rzecz swego klienta, który planował ohydny zbrodnię i przystąpił do jej realizacji. Ile czasu by upłynęło, zanim wpadliby na jego, Ryana, trop? Człowieka, który został tego wieczoru aresztowany i niezwłocznie zażądał kontaktu z Craigiem.

Prawdziwe niebezpieczeństwo stanowiła jednak sama Vanessa Willard, również w przypadku wyboru drugiej opcji, polegającej na tym, że Aaron, wykonując anonimowy telefon, od razu wskaże policji kryjówkę w Lisiej Dolinie. Ryan nie miał pojęcia, ile szczegółów Vanessa zapamiętała, co dokładnie zobaczyła. Bądź co bądź kilkakrotnie przejeżdżał tam i z powrotem drogą biegnącą obok parkingu. A jeśli Vanessa zauważyła biały samochód z napisem *Clean?! Jako że Clean!* było siecią pralni prowadzącą działalność na terenie całej Wielkiej Brytanii, policja będzie musiała sprawdzić mnóstwo pojazdów, nawet jeśli z początku ograniczy poszukiwania do obszaru Pembrokeshire i okolic Swansea. Ryan zdawał sobie sprawę z tego niebezpieczeństwa, które mogło się pojawić po uwolnieniu Vanessy, dlatego postanowił później dokładnie wyczyścić swój samochód, by nie dało się go powiązać ze sprawą porwania Vanessy Willard. W obecnej sytuacji nie miał takiej możliwości. W samochodzie zapewne aż się roilo od śladów – włosy, włókna, fragmenty naskórka i tym podobne. Na tylnym siedzeniu wciąż leżały jego sweter, rękawiczki i bejsbolówka. Postąpił idiotycznie, od razu się ich nie pozbywając, Vanessa będzie je w stanie zidentyfikować. Wina Ryana będzie oczywista, dowody przeciwko niemu są przytłaczające. Wiedział też doskonale – nawet nie musiał o to pytać – że cokolwiek Aaron Craig byłby gotów dla niego uczynić, usuwanie śladów na miejscu przestępstwa z pewnością nie wchodziło w rachubę.

– Mam jeszcze jedną, dwie ważne sprawy do załatwienia – powiedział. – Nie chciałbym o nich mówić.

– Mogę się tym zająć?

– Nie – odparł Ryan, zerkając w bok. Być może przystąpił właśnie do podpisania wyroku śmierci na Vanesę Willard.

Istniała jedynie znikoma szansa.

Spotkanie z sędzią śledczym, które zakończy się dla niego pomyślnie.

Niecałe dwadzieścia cztery godziny później, w poniedziałek po południu, Ryan stanął przed Magistrates' Court, który miał zdecydować o jego zwolnieniu bądź zatrzymaniu w areszcie do dnia rozprawy głównej. Tak jak przewidywał Aaron Craig, wypuszczenie na wolność kogoś takiego jak Ryan Lee uznano za nad wyraz nieuzasadnione, głównie ze względu na wagę zarzucanego mu czynu. Fakt, że słysząc wezwania policjantów do zatrzymania się, rzucił się do ucieczki, pogarszał jeszcze całą sprawę. Istotną rolę odegrała także okoliczność, że nie posiadał stałego miejsca zamieszkania, zamiast tego od miesięcy wciąż zmieniał miejsce pobytu, zatrzymując się u rozmaitych znajomych, a ostatnio u swej byłej partnerki. Aaron argumentował, że jego klient od prawie pół roku w sposób zadowolający wykonywał swoją pracę jako kierowca w firmie pralniczej, gotów był również poręczyć za swego klienta, iż ten pozostanie w Swansea oraz punktualnie pojawi się na rozprawie głównej. Wykorzystał ową garstkę argumentów, jakie mu pozostały, na niewiele się to jednak zdało. Sędzia znał Ryana Lee i miał już dość jego niekończących się wybryków. Poza tym zaistniałe okoliczności nie pozostawiały mu praktycznie żadnego wyboru.

Zasądził zatrzymanie w areszcie śledczym. Ryan trafi do zakładu karnego w Swansea, gdzie będzie oczekiwał na rychły proces.

Ryan zrozumiał, że nadszedł moment, kiedy będzie się musiał zwierzyć swemu adwokatowi. Aaron Craig był teraz jedyną szansą, jaka pozostała Vanessie Willard.

Nic jednak nie uśmierzyło jego lęków i zmartwień, wręcz przeciwnie, stały się jeszcze bardziej przytłaczające. Nawet jeśli za spowodowanie uszkodzenia ciała dostanie tylko pięć lat, to kiedy

wtajemniczy Aarona i wypłynie sprawa Vanessy Willard, czeka go jeszcze z dziesięć kolejnych lat odsiadki. Albo dwanaście. Albo więcej. Nie wiedział tego dokładnie, miał jednak przeczucie, że z tarapatów, w jakich się znalazł, nie wychodzi się ot tak, obronną ręką. Pierwszy tydzień minął mu okropnie. Więzienie okazało się dlań prawdziwym piekłem, tak jak to sobie wyobrażał, choć wiedział przecież, że to dopiero przedsmak tego, co go czeka – areszt śledczy był bardziej komfortowy, miał w nim znacznie więcej przywilejów niż we właściwym więzieniu, do którego miał później trafić. Najgorsze było jednak to, że nie potrafił myśleć o niczym i nikim innym, jak tylko o Vanessie. Był przestępcą, z charakteru chwiejnym i agresywnym, lecz nigdy jeszcze nie wyrządził nikomu umyślnie takiej krzywdy, jaką wyrządzi Vanessie Willard, jeśli jak najszybciej nie zdoła jej uwolnić. Nie znał tej kobiety, lecz przez cały tydzień przeżywał jej los z taką intensywnością, że miał już nieomal wrażenie, jakby powoli stapiał się z nią w jedno. Słyszał jej krzyki, czuł, jak jej głos staje się coraz bardziej ochryply i urywany. Widział, jak usiłuje się wydostać ze skrzyni, łamiał się jej paznokcie, jak drzazgi wbijają się jej pod skórę, gdy desperacko skrobie po wieku. Czuł, jak opanowuje ją panika i niemal wpędza w szaleństwo. Miał przed oczami chwile, w których ona próbuje odzyskać spokój, w których dodaje sobie odwagi, usiłuje zebrać w sobie siły, poprzez autogeniczny trening lub ćwiczenia jogi stara się odzyskać stan umysłu, który jakimś sposobem pozwoliłby jej zatriumfować nad własną rozpacą. Wyobrażał sobie, jak potem znów się załamuje, krzycząc, przewraca się w tym swoim więzieniu, uderza głową, ryczy jak jakieś zwierzę, udręczona, poddana torturom, obłąkana śmiertelnym strachem.

W ciągu tego tygodnia schudł prawie trzy kilogramy, nocami budził go własny krzyk.

W sobotę uświadomił sobie, że Vanessie, nawet jeśli oszczędzała zapasy żywności, nie zostało już nic do jedzenia.

W niedzielę musiał przyjąć, że nie piła od co najmniej dwudziestu czterech godzin. Wmawiał sobie, że nie może irytować Aarona,

wzywając go w weekend do aresztu, więc postanowił spotkać się z nim nazajutrz, wyznać mu wszystko i poprosić, by podjął konieczne kroki w celu uwolnienia Vanessy.

W poniedziałek rano odmówił spożycia śniadania. Po nieprzespanej nocy był u kresu sił. Gruntownie przeanalizował w myślach kwestię, w jaki sposób uratować Vanesę, i za każdym razem dochodził do wniosku, że nie wygląda to dla niego najlepiej – acz gorzej jeszcze dla samej Vanessy. Zagrożenie wynikające z faktu, że podejmie próbę jej uwolnienia, nie usunąwszy uprzednio wszelkich śladów świadczących przeciwko niemu, wydawało mu się przytłaczające. Jak w ogóle mógł się w to wplątać? Jak mógł kiedykolwiek pomyśleć, że to się uda?

„Dziesięć lat za kratkami albo i dłużej – pomyślał ze zgrozą. – Tyle nie przetrzymam. Nigdy w życiu. Nie mogę ryzykować. *Nie mogę*”.

Tego ranka był tak wzburzony, że dostał gorączki i musiał go zbadać lekarz.

– Co się z panem dzieje? – zapytał. – Tak gwałtowny skok temperatury to coś bardzo dziwnego.

– To cała ta sytuacja – odparł Ryan. – Stąd się to wzięło.

Lekarz podał mu lekarstwo i gorączka opadła. Udręka jednak pozostała. Według wszelkiego prawdopodobieństwa ona jeszcze żyje, podpowiadał mu wewnętrzny głos, jeszcze nie doszło do tragedii. Obejdą się z tobą nieco łagodniej niż gdyby...

Ale jeśli w ogóle nic nie powiem, wyjdę z tego obronną ręką.

Będiesz musiał z tym żyć.

Wszystko kiedyś zblaknie. Wszystko osłabnie. Nawet okropne wspomnienia.

Vanessa Willard na zawsze pozostanie twoim koszmarem.

Nie chcę reszty życia spędzić za tymi murami. Nie mogę. Ja tutaj zwariuję. Muszę stąd wyjść!

Jesteś potworem.

Nie! To tylko pech! To po prostu cholerny pech!

Leżał na pryczy i przycisnąwszy twarz do poduszki, płakał.

Płakał z powodu Vanessy, kobiety, której nawet nie znał.

Płakał, gdyż wiedział, że nie powie ani słowa.

Część II. Marzec 2012 roku

1

Matthew poznałam pewnego wiosennego wieczoru w marcu, wieczoru, kiedy po raz pierwszy po długiej, wilgotnej, brudnej zimie uświadomiłam sobie w całej pełni, że dni znacznie dłużej rozjaśnia światło, a wszystko niepowstrzymanie zmierza wielkimi krokami ku lepszemu. Nie tylko pogoda. Również ból, który przez tak długi czas ścisnął jak klamra moje serce. Powietrze było przesycone ciepłem, a niebo rozległe i jasne. Wyszłam z mieszkania i udałam się na proszoną kolację do mojej przyjaciółki Alexii Reece. Woń morskiej soli, zimą nierzadko tak ostra i przenikliwa, złagodniała. Miałam na sobie krótką sukienkę i cienkie rajstopy, do tego lekki płaszcz, w którym trochę marzłam. Było mi jednak wszystko jedno.

Nadchodziła wiosna. Na dworze – i w mojej duszy.

Alexia, jej mąż oraz czwórka ich dzieci mieszkali na osiedlu na północnym krańcu Swansea, w mniejszej części i tak niewielkiego bliźniaka. Za domem rozciągał się mały ogródek, bezpośrednio do domu przylegał też garaż, za którym stał następny bliźniak. Mieszkali w ciasnocie, lecz za dom zapłacili oczywiście stosunkowo niską cenę. Wiedziałam, że z trudem starczało im na opłaty za czynsz oraz amortyzację, dlatego poszukiwanie większego i bardziej komfortowego lokum w ogóle nie wchodziło w rachubę. Alexia była redaktorem naczelną „Healthcare”, czasopisma o zdrowiu i fitnessie, w którego redakcji pracowałam. Miała trzydzieści pięć lat, trzy więcej ode mnie, a jej sytuacja życiowa zupełnie się różniła od mojej. Obdarzona czwórką dzieci, w szczęśliwym związku, wciąż potwornie zestresowana, gdyż zajmując się dziećmi oraz pracą zawodową, każdego dnia stawiała przed coraz to nowymi wyzwaniami. Ja natomiast dopiero co uwolniłam się z więzów długotrwałego nieszczęśliwego związku, spieszenie

wyjechałam z Brighton, gdzie przez długie lata mieszkałam i miałam dobrą pracę, i wylądowałam w Swansea, w redakcji tego okropnego pisma. „Healthcare” zupełnie nie spełniało moich zawodowych ambicji, nic innego jednak naprędce nie znalazłam. Będąc kobietą z pełnym średnim wykształceniem, lecz bez ukończonych jakichkolwiek studiów, i tak nie miałam wyboru. Od osiemnastego roku życia miałam się tak przeróżnych zajęć, że praca w „Healthcare” wcale nie wydawała się najgorsza. Dzięki niej znów miałam kontakt z Alexią, moją przyjaciółką z najwcześniejszych lat młodości. Jej rodzina mieszkała naprzeciwko mojego domu w Coventry, dzięki temu praktycznie razem dorastałyśmy, a różnica wieku nigdy nie była dla nas żadną przeszkodą.

Alexia pomogła mi przetrwać tę pierwszą okropną zimą w Swansea, zimą, którą bez niej i jej pocieszających słów pewnie spędziłabym na długich samotnych spacerach po plaży, marznąc aż po najgłębsze zakamarki mej duszy. Gapiłabym się na ołowianoszare morze, rozpaczliwie rozmyślając o tym, dlaczego między mną a Garrettem się nie układało. Zastanawiałabym się, jakie tajemnice może jeszcze skrywać życie przed trzydziestodwuletnią kobietą, która niespodziewanie przemieniła się na powrót w singielkę. Nie zabrakło oczywiście spacerów nad brzegiem morza oraz łez płynących bez końca. Ale także przerw obiadowych spędzanych z Alexią w kawiarence, wieczorów u niej w domu, czasem również wspólnych wyjść do kina czy weekendowych wycieczek z całą jej rodziną. Robiła wszystko, by umilić mi czas aklimatyzacji w Swansea. Pokazała mi Walię; przywykłam do tego, że niektórzy ludzie mówią tutaj zupełnie niezrozumiałym dla mnie językiem. Przywykłam również do tablic miejscowości, na których widniały nazwy miast i wsi zarówno w angielskiej, jak i walijskiej wersji językowej – na tych ostatnich istotnie można sobie połamać język. Krajobraz ciągnący się wzdłuż zachodniego wybrzeża był surowy, pogoda często wietrzna i deszczowa, lecz wszystko, co odróżniało go od Brighton, odbierałam pozytywnie. W tamtym okresie niekoniecznie miałam powody, by czuć wdzięczność wobec własnego losu, byłam wszakże wdzięczna za to, że spotkałam

Alexię.

Nim dotarłam na przystanek autobusowy, kupiłam w przydrożnym sklepie dwa bukiety tulipanów, które następnie przemieszałam i złożyłam w jedną ogromną wiązanekę. W autobusie przywarłam twarzą do szyby. Patrzyłam na morze. Nie było już takie szare. Mieniło się błękitem. Podobnie jak ów cały rozświetlony słońcem marcowy dzień.

Gdy szłam ulicą, przy której mieszkała Alexia, powoli zapadał już zmierzch. Typowa okolica dla młodych rodzin. Niewielkie domy, małe ogródki. Przed drzwiami stały oparte rowery, rolki i deskorolki. W ogródkach zaś wisały huśtawki i drabinki do wspinania się. Okolice pełna dzieci. Widok ten napełniał mnie mieszaniną ciepła i smutku. Był to też powód naszego rozstania: Garrett nie chciał mieć dzieci. Nie chciał także ślubu. Chciał swobodnego, nieskrępowanego życia japiszona. Ja zaś w którymś momencie zrozumiałam, że to się nigdy nie zmieni. Garrett tymczasem skończył czterdziestkę. I nadal nie zamierzał brać odpowiedzialności za nikogo poza samym sobą. Dla niego liczyło się to, by jeździć świetnym samochodem, mieszkać w pompatycznie urządzonym mieszkaniu, chodzić na niezliczone przyjęcia. Był strasznie dumny z tego, że na Facebooku ma ponad ośmiuset znajomych. Mając lat dwadzieścia kilka mogłabym dzielić z nim tego rodzaju życie. Jednak już przed trzydziestymi urodzinami zaczęłam się zmieniać, zaczęły się zmieniać moje potrzeby, powoli, lecz nieubłagane. Dochodziło do dyskusji, kłótni, niezbyt przyjemnych debat.

I dlatego właśnie znalazłam się tutaj. W Swansea, przed domem mojej przyjaciółki Alexii. W ów wspaniały marcowy wieczór, z ogromnym bukietem tulipanów w ręku.

Odpychałam od siebie każdą myśl o Garrecie. Koniec. Minęło. Patrz w przyszłość, Jenno Robinson!

U Alexii jak zawsze panował chaos. Także w ten piątek pracowała do szóstej, niedawno wróciła do domu i próbowała właśnie położyć dzieci do łóżek. Zdołała tylko otworzyć mi drzwi i powiedzieć: „Wchodź, zdejmij płaszcz!”, a potem znów zniknęła, usiłując złapać

Evana, swego trzyletniego syna, który wyskoczył właśnie z wanny i nagi, ociekając wodą, biegł przez przedpokój, by w salonie wskoczyć na sofę i zacząć krzyżeć. Z pokojów na piętrze dobiegał dziki ryk; to dwie starsze siostry Evana, Kayla i Megan, zaciekle się kłóciły. Gdzieś popłakiwała mała Siana, która w styczniu skończyła roczek. Stałam w wąziutkim przedpokoju wśród gumowców, parasoli, między piłkami, łyżwami i kijami hokejowymi. Jakimś sposobem wyłuskałam się z płaszcza i ucieszyłam, gdy z kuchni wyłonił się Kendal Reece, mąż Alexii, i wziął ode mnie bukiet kwiatów.

– Całkiem zwyczajne szaleństwo – powiedział, całując mnie w oba policzki. – Rozumiesz, czemu Alexia koniecznie chciała mieć czwarte dziecko?

– Oł, i cała Alexia – odparłam. – Uwielbia iść na całość.

Alexia pojawiła się w drzwiach do salonu ze swym mokrym, wierzgającym synem pod pachą.

– Zaraz wracam – zapewniła – rozgość się tymczasem.

Weszłam za Kenem do kuchni. Panowały tam podobny bałagan i ciasnota jak w pozostałej części domu, Ken wyszukał jednak gdzieś wazon, wstawił donę tulipany, po czym wcisnął mi w dłoń kieliszek białego wina. W piekarniku znajdowała się pieczeń, na stole, pomiędzy warownym zamkiem z klocków lego a pudłami z farbami wodnymi, stał duży półmisek z sałatką. Pachniało pomidorami, cebulą, ogórkami i awokado. Ken prawie zawsze zajmował się kuchnią, gdy przychodziłam w odwiedziny. Z zawodu był inżynierem specjalizującym się w budowie okrętów, pochodził ze starej walijskiej rodziny, od stuleci osiadłej na zachodnim wybrzeżu. Razem z przyjacielem prowadził własną stocznię nad Cardigan Bay, gdzie budował żagłówki. Po narodzinach pierwszej dwójki dzieci rodzina przeprowadziła się do Swansea, gdyż Alexia, mieszkając na prowincji, nazbyt uwiązana w domu przez dwójkę maluchów, zaczęła od tego zasiedzenia dostawać szału. Obecnie to ona pracowała, podczas gdy Ken zajmował się dziećmi, jednocześnie pisząc książkę na temat budowy żagłowców. Już od dawna nosił się z tym zamiarem, dostrzegł

więc świetną okazję do zrealizowania swego planu. Ken i Alexia tworzyli parę idealną, świadomość tego napełniała mnie czasem zazdrością. Jeśli o mnie chodzi, w kontaktach z mężczyznami zawsze wyciągałam puste losy.

Uprzątnęłam z krzesła kilka dziecięcych butów, w których tkwiły niesamowicie brudne skarpety, usiadłam, łyknęłam wina i spojrzałam na Kena, który nałożył do misek sałatkę, wyciągnął z piekarnika pieczeń i zaczął ją kroić w plasterki. Czułam się odprężona, czułam narastającą ufność. „Ty także odnajdziesz swój dom – przemknęło mi przez myśl – może nawet szybciej niż się tego spodziewasz”.

W końcu w kuchni pojawiła się Alexia, wykończona, z potarganymi włosami.

– Wszyscy w łózkach – oznajmiła. – Ken, ja też muszę się napić wina!

Osunęła się na ławę i zaczęła wachlować dłonią rozpalone policzki.

– To wszystko przez tę niańkę. Za bardzo rozpieszcza dzieci. Dlatego wieczorami są tak rozbrykane!

Zatrudniali opiekunkę na godziny, by Ken miał czas pracować nad książką. Alexia jej nie znosiła, lecz podobnie jak w przypadku domu, kosztowała ich niewiele, więc musieli do niej przywyknąć.

Ken podał żonie kieliszek wina.

– Znów musiałem uprzątnąć z jadalni jedno nakrycie. Przez nieuwagę nakryłaś dla czterech osób.

Alexia upiła spory łyk wina.

– Nie, wszystko się zgadza.

– A któż ma jeszcze przyjść? – zapytałam zdumiona.

Wydawało się, że Alexia poczuła się niezręcznie.

– Zaprosiłam jeszcze naszego starego przyjaciela. Całkiem spontanicznie.

– Kogo? – dopytywał się Ken.

– Matthew.

– O nie!

– Zbyt długo się nie widzieliśmy – zaoponowała Alexia. – Za często

przebywa sam, już najwyższy czas, żeby...

Najwyraźniej był to samotny mężczyzna. O którego trzeba się było zatroszczyć! Miałam złe przeczucia.

– O nie, Alexia, proszę! Toż to kolacja dla swatów, zgadza się? Twoja biedna, samotna przyjaciółka Jenna. I wasz biedny, samotny przyjaciel Matthew. Niech zgadnę: jest rozwiedziony? Wdowiec? Nie ma się z kim związać?

Przez chwilę w kuchni zapanowało milczenie. Alexia i Ken spojrzeli po sobie.

– Powinnaś była uprzedzić Jennę – powiedział w końcu Ken. – Matthew to przypadek szczególny. Trudno to wyjaśnić. No więc, rozwiedziony czy owdowiały... Niezupełnie. To skomplikowane. Musisz wiedzieć, że...

Przerwał, w tej bowiem chwili rozległ się dzwonek do drzwi. Alexia poderwała się z miejsca.

– Po prostu bądź sobą – rzuciła. – Zachowuj się całkiem normalnie!

Pobiegła do drzwi. Spojrzałam na Kena.

– Ken...

– Jego żona zniknęła – szepnął Ken. – W tajemniczych okolicznościach. Dwa i pół roku temu. Nigdy więcej o niej nie usłyszał. Przymuszalnie padła ofiarą morderstwa, ale... nie zostało to do końca wyjaśnione. I dlatego to takie trudne, rozumiesz?

Wyszedł z kuchni powitać swego przyjaciela.

Powoli ruszyłam za nim.

2

Wyrośłam już z wieku, w którym wierzy się jeszcze w *miłość od pierwszego wejrzenia*. W to, że nagle uderza w nas grom. Że zupełnie obcemu człowiekowi zagląda się głęboko w oczy i odnajduje w nich pokrewną duszę. Wiele lat wcześniej doświadczyłam tego z Garrettem – a przynajmniej *sądziłam*, że tak się właśnie dzieje. Kiedy wszystko między nami zakończyło się fiaskiem, przyrzekłam sobie solennie, że już nigdy więcej nie pozwolę się zwodzić uczuciom, że nigdy więcej nie stracę głowy.

Kiedy ujrzałam Matthew Willarda, nie trafił we mnie żaden grom. Coś jednak zaiskrzyło, gdy podałam mu rękę i przywitałam się z nim. Alexia przedstawiła nas sobie. Nie zapłonęłam od razu uczuciem do niego, niemniej jednak wzbudził we mnie zaciekawienie, czułam, że coś mnie w nim pociąga. Po raz pierwszy od dnia, w którym rozstałam się z Garrettem, poczułam ochotę przebywania sam na sam z mężczyzną, pragnęłam usiąść z nim w jakimś cichym kąciku, sączyć wino i dowiedzieć się o nim wszystkiego. Oraz opowiedzieć mu o sobie.

O cichym kąciku mogliśmy oczywiście zapomnieć. Siedzieliśmy w zabałaganionej miniaturowej jadalni Reece'ów. Przed kaloryferem przy oknie na rozkładanym stojaku suszyły się dziecięce ubrania. Zajadaliśmy się smaczną potrawą przyrządzoną przez Kena. Alexia opowiadała zabawne historie ze swojego życia, przerywając, gdy w drzwiach pojawiała się któreś z dzieci i stojąc boso, w piżamie, skarżyło się, że nie może zasnąć. Evan chciał jeszcze kubek ciepłego mleka, siedmioletnią Kaylę rozboleł brzuch, a pięcioletnia Meg zobaczyła w swoim pokoju czarnego mężczyznę. Alexia i Ken na zmianę podejmowali się rozwiązanie tych problemów, zabierali dzieci na górę, podgrzewali mleko i nurkowali pod łóżko, by udowodnić, że

nikt się pod nim nie ukrył.

– Zajmowanie się czwórka małych dzieci to wyczerpujące zajęcie – wyznał Matthew – lecz z pewnością również cudowne.

Mówiąc to, posmutniał.

„Może to właśnie tak mnie w nim pociąga – pomyślałam – ta melancholia malująca się na jego twarzy”. Wyglądał na zmęczonego.

Oceñałam, że ma czterdzieści kilka lat, jednakże jego oczy sprawiały niekiedy wrażenie starszych, tak były znużone.

– Wspomniałam już, że Jenna dopiero od niedawna pracuje w mojej redakcji? – zapytała Alexia. – I jest jedną z najlepszych. To naprawdę szczęśliwy traf.

– A zatem jest pani dziennikarką? – dopytywał się Matthew.

Potrząsnęłam głową.

– Właściwie nie.

Nigdy wcześniej przyznanie się, że nie posiadam porządnego wykształcenia, nie sprawiło mi tyle przykrości. Zaraz po ukończeniu szkoły opuściłam dom rodzinny i próbowałam swych sił jako piosenkarka, a ponieważ brakowało mi niezbędnego talentu, przedsięwzięcie to zakończyło się, rzecz jasna, fiaskiem. Imiałam się rozmaitych zajęć, aż wreszcie wylądowałam w agencji muzycznej w Brighton, gdzie zajmowałam się kontaktami z prasą.

– Jenna pracowała w Brighton dla renomowanej agencji – wyręczyła mnie Alexia. – Po rozstaniu z partnerem wyjechała z miasta, by się otrząsnąć z tej historii, i na szczęście mogłam jej zaproponować pracę w „Healthcare”. Jest teraz moją asystentką.

– Rozumiem – odparł Matthew.

Od tej chwili atmosfera stała się nieco napięta, kiedy bowiem Alexia wspomniała o moim smutnym rozstaniu z Garrettem, także Matthew Willard zrozumiał, dlaczego oboje zostaliśmy zaproszeni. A to wprawilo go w zakłopotanie. Na szczęście Alexia zawsze miała tyle do powiedzenia, że nie dochodziło do kłopotliwych przerw w rozmowie. Ken podał pyszny deser, potem usiedliśmy przy kominku w salonie, wypiliśmy kawę i trochę gawędziliśmy. W końcu Matthew zerknął na

zegarek.

– Pół do dwunastej. Tak mi przykro... ale mam za sobą ciężki dzień.

– Ja także – przyznałam. Zauważyłam tymczasem, że Ken wyglądał na bardzo zmęczonego, nawet Alexia nieco przycichła. – I tak za kwadrans mam ostatni autobus.

– Przyjechała pani autobusem? – zdziwił się Matthew.

– Sprzedałam mój samochód – wyjaśniłam. – Miałam wrażenie, że mi się tu nie przyda, cóż, a poza tym... – Nie dokończyłam zdania. Nie był to najlepszy moment, by przyznać, że w „Healthcare” zarabiano się marnie, stąd też zwyczajnie nie stać mnie było na utrzymanie samochodu. Nawet wynagrodzenie Alexii, redaktor naczelnej, było tak mizerne, że mogła sobie pozwolić tylko na ten ciasny dom, w którym prawie się nawzajem zadeptywali. Wiedziałam, że Alexia rozglądała się za inną posadą, również dlatego, że wciąż dochodziło do spięć z właścicielem wydawnictwa prasowego, do którego „Healthcare” należało. Jako że nie zamierzała rezygnować z prestiżu swego stanowiska, a więc od razu chciała zająć fotel szefowej, jej szanse nie przedstawiały się różowo. Ja także nie zamierzałam tam wiecznie pracować, nie miałam co do tego wątpliwości, podchodziłam jednak do tej kwestii spokojniej, gdyż musiałam się troszczyć wyłącznie o siebie. Postanowiłam odzyskać najpierw wewnętrzny spokój, przeboleć moje rozstanie, a dopiero potem rozejrzeć się za nową pracą.

– Chętnie odwiozę panią do domu – zaproponował Matthew.

Oczy Alexii natychmiast pojaśniały. Wszystko szło zgodnie z planem.

– To naprawdę miło z twojej strony, Matthew – uprzedziła mnie. – Jenna się ucieszy, prawda?

– Tylko jeśli nie będzie pan musiał nadkładać drogi – zastrzegłam. – Mieszkam tuż przy Victoria Park. A pan?

– W Mumbles. Ale...

– To zupełnie nie po drodze.

– Dla mnie to bez znaczenia – zapewnił Willard. – To absolutnie żaden kłopot.

– To oczywiste, że Jenna zabierze się z tobą – oznajmiła Alexia. – Musiałaby czekać na autobus, a potem jeszcze iść sama w ciemnościach. A tak przynajmniej będę spokojniejsza!

To przesądziło sprawę.

Matthew jeździł dużym czarnym bmw, autem świadczącym o jego dochodach, podobnie zresztą jak adres. Mumbles. Niewielka miejscowość na zachód od Swansea, uroczo położona nad samym morzem. W szkole dowiedziałam się, że z początkiem dziewiętnastego wieku ruszyła z Mumbles do Swansea pierwsza na świecie kolej żelazna dowożąca pasażerów, wówczas jeszcze ciągnięta przez konie.

Niewiele rozmawialiśmy, mknąc przez pogrążone w ciemnościach miasto. W pewnym momencie odwróciłam się i zobaczyłam leżący na tylnym siedzeniu dość postrzępiony, wełniany kraciasty koc.

Matthew podążył za moim wzrokiem.

– Koc mojego psa Maxa.

– Ma pan psa?

– Owczarka staroniemieckiego. O bardzo długiej sierści.

– Może go pan zabierać do pracy?

– Na szczęście tak. Właściwie to zabieram go z sobą wszędzie. Z wyjątkiem dzisiejszego wieczoru... Cóż, mały dom, sporo ludzi... Max potrzebuje dużo przestrzeni, a tam zawsze miałem wrażenie, że muszę kulić ramiona i jakoś się kurczyć. Dlatego nie chciałem robić jeszcze większego zamieszania, zabierając z sobą ogromnego psa.

Rozumiałam, co ma na myśli.

– Ken i Alexia koniecznie muszą się przeprowadzić. Ale sprawa najwyraźniej rozbija się o pieniądze. Za pracę w „Healthcare” dostaje się głodowe pensje, nawet na stanowisku szefowej.

– Zanim Ken otrzyma jakiś grosz za tę swoją książkę, minie trochę czasu – dodał Matthew. – Mimo wszystko wydaje mi się, że podchodzą do tego ze spokojem.

Dotarliśmy przed dom, na którego poddaszu mieściło się moje mieszkanko. Matthew wjechał między zaparkowane samochody i zatrzymał się.

– Jesteśmy na miejscu.

Odwróciłam się twarzą do niego. W blasku ulicznej latarni ujrzałam jego blade oblicze. Ciemne oczy, ciemne włosy. Cera, która szybko i łatwo się opala. Teraz jednak była wręcz ziemista, już wcześniej, przy stole zauważyłam u niego cienie pod oczami. Nie wyglądał po prostu jak ktoś, kto przez długi czas nie przebywał na świeżym powietrzu – tym bardziej że ze względu na psa pewnie regularnie wychodził na spacer. Sprawiał wrażenie chorego. Wyglądał mizernie. Jak ktoś, kto nocami źle sypia, a w wolnym czasie za dnia zbyt wiele rozpamiętuje.

W jednej chwili powzięłam decyzję. Nie myślałam wcześniej, że się na to odważę, teraz jednak czułam, że go to nie rozzłości – to stadium miał już za sobą. Był nazbyt wyczerpany, złamany, by się tym irytować.

Zagadnęłam go o jego żonę.

– Ken wspomniał mi... co się stało z pańską żoną – wyrzuciłam z siebie gwałtownie, bez ogródek. – W każdym razie napomknął o tym. Bardzo... bardzo mi przykro.

Westchnął.

– Tak, to tragedia. Vanessy. Moja. Najgorsze, że nic nie wiemy. Nie mogę się z tym uporać, rozumie pani? Bo do dziś nie wiem, co się wydarzyło. Nie wiem, czy ona jeszcze żyje, nie wiem, czy umarła. Czy może potrzebuje pomocy. Czy odeszła dobrowolnie, czy ją napadnięto. Czy gdzieś tam na mnie czeka z nadzieją, że nie dam za wygraną. Tego nie wiem.

Jego udręka była w tym momencie tak wyczuwalna, nieomal namacalna, że najchętniej wyciągnęłabym rękę i pogładziła go po ramieniu, zrobiłabym cokolwiek, byle go tylko pocieszyć. Oczywiście nie odważyłam się na to. Odczekałam chwilę, sądząc, że może chciałby coś jeszcze dodać, on jednak umilkł, wydawał się pogrążony w sobie, oddany własnym myślom.

– Możemy kiedyś pójść razem napić się wina – zaproponowałam. Wyjęłam z torebki moją wizytówkę i położyłam na półce ponad airbagiem dla pasażera. – Jeśli będzie miał pan ochotę, proszę zadzwonić. – Otwarłam drzwi. – Dziękuję za podwiezienie!

Aż drgnął. Rzeczywiście odpłynął daleko.

– Chętnie – powiedział. Nie wiedziałam, czy odnosi się to do podziękowań za podwiezienie, czy oznacza, że do mnie zadzwoni. Wysiadłam, zamknęłam drzwi, raz jeszcze mu pomachałam.

Następnie ruszyłam do mojego mieszkania.

Wynajęcie tego lokum odbyło się wówczas w równie wielkim pośpiechu, co zatrudnienie w redakcji „Healthcare”. Wyjechałam z Brighton na łeb na szyję, nie miałam czasu na długotrwałe i staranne poszukiwania mieszkania. Na pierwszy rzut oka uznałam je za niebrzydkie. W pobliżu rozciągał się park, można było szybko dotrzeć nad brzeg morza. Spodobały mi się skośne ściany, okna dachowe, o które jesienią bębnił deszcz. Miałam niewielki kominek z wkładem elektrycznym, kuchnia była połączona z pokojem dziennym, doskonale wpasowana w skosy ścian, oddzielona od pokoju drewnianym kontuarem. Niewielki pokój obok służył mi za sypialnię, do tego miałam jeszcze ładną łazienkę z nowymi płytkami. Mieszkanie było zimą bardzo przytulne, ot, niewielkie gniazdko na poddaszu, zaczynałam jednak pojmować, że wiosną i latem spojrzę na nie zupełnie inaczej. Nie miało balkonu, najdrobniejszej możliwości, by zrobić choć krok na świeżym powietrzu, w niedzielny poranek zjeść śniadanie w promieniach słońca albo usiąść wieczorem w poświacie latarenki i rozkoszować się umykającym ciepłem dnia. Chcąc wyjrzeć przez okno, musiałam schylać kark i patrzeć w górę przez okno dachowe, za którym widziałam niebo – i nic więcej. Już teraz, w marcu, zaczynałam odbierać to mieszkanie nie jako przytulne, lecz zbyt ciasne, jako miejsce, które pozbawia mnie sposobności rozkwitu i wzrostu. A jeśli w lipcu bądź sierpniu nastaną upały, żywcem się tu usmażę.

Kiedy weszłam do mieszkania, zauważyłam migoczącą diodę automatycznej sekretarki. Odsłuchując wiadomość, poczułam zaskoczenie. Istnieje w życiu kilka dziwnych prawidłowości, których nie sposób logicznie wyjaśnić. Zalicza się do nich fakt, że mężczyzna nigdy nie telefonuje wtedy, gdy się na to z utęsknieniem czeka, dzwoni zaś w chwili, w której akurat tego nie pragniemy. Osiedliwszy się

w Swansea, podałam Garrettowi mój adres, numer telefonu oraz zmieniony adres e-mail, nigdy z nich jednak nie skorzystał. Nawet przed Bożym Narodzeniem, choć wysłałam mu paczuszkę i napisałam do niego długi list. Ledwie jednak poznałam innego mężczyznę, który mnie zainteresował, ledwie – i to po raz pierwszy, odkąd tu mieszkam – poczułam po powrocie do domu przyspieszone bicie serca, którego nie spowodowało wspinanie się po schodach – a tu masz, dzwoni Garrett. Dziesięć minut za wcześnie, jak wskazywała informacja na wyświetlaczu. Jakby wyczuł, że istotnie właśnie zaczynam się uniezależniać.

Jego znajomy głos, na który całymi miesiącami daremnie czekałam, z miejsca zgotował mi zimny prysznic.

– Cześć, Jenna. Tu Garrett. Już prawie północ, a ciebie nie ma w domu? Hm.

Umilkł na chwilę. Wyraźnie poczuł się zbity z pantałyku. Czego właściwie się spodziewał? Że dzień i noc będę ślęczeć przy telefonie, modląc się, żeby się odezwał?

– No więc, postanowiłem po prostu zadzwonić – ciągnął. – Chciałem się dowiedzieć, jak się miewasz, jak ci się podoba nowa praca. Znalazłaś sobie nowych znajomych? Zaaklimatyzowałaś się? Oddzwoń. – Znów zrobił przerwę. – Będzie mi miło – dodał. – To na razie, *honey!* – I odłożył słuchawkę.

Moje serce nie zabiło mocniej, ono wprost galopowało. Niestety, nie miało to związku ani ze wspinaczką po stromych schodach, ani też z Matthew Willardem. To Garrett zupełnie wytrącił mnie z równowagi. W żadnym jednak razie nie była to radosna ekscytacja. W trakcie pierwszych okropnych, samotnych miesięcy spędzonych w Swansea oddałabym wszystko, byleby tylko do mnie zatelefonował. Prawdopodobnie dość szybko zaczęłabym snuć myśli o powrocie. Teraz wszakże, pół roku po naszym rozstaniu, już nie tak łatwo dałabym się omamić. Jego słowa napełniły mnie raczej złością. Cóż on sobie myśli? Całymi miesiącami ignorował każdą moją próbę nawiązania kontaktu, a kiedy nagle mu się spodobało, puka do moich drzwi. Nazwał

mnie *honey* i był przekonany, że natychmiast do niego oddzwonię.

Zapomnij!

Mimo to, widząc gwałtowność mojej irytacji, zrozumiałam, że on wciąż wywołuje we mnie zbyt silne emocje. Zauważyłam również, że moja złość wciąż jeszcze naznaczona jest mnóstwem bólu, rozczarowania, żalu, pustki, jaką pozostawiło we mnie nasze rozstanie, po ośmiu wspólnie spędzonych latach. W żadnym razie człowiek ten nie był mi obojętny. Od września zdołałam uczynić mały krok naprzód – kiedy pomyślałam, jak bardzo mnie to dręczyło, rezultat wydał mi się frustrująco mizerny.

Rozebrałam się i położyłam do łóżka.

Bądź co bądź w zwyczajnej sytuacji rozmyślałabym wyłącznie o Garretcie. W moje myśli wciąż jednak wkradał się teraz Matthew Willard. Miałam nadzieję, że zadzwoni. Ciekawiła mnie jego historia.

Chciałam ją lepiej poznać.

Nastał poniedziałkowy poranek. Nora Franklin miała wrażenie, że musi wreszcie opowiedzieć swej przyjaciółce Vivian o czekającej ją dalekosiężnej zmianie w życiu, choć na samą myśl o tej chwili przejmował ją strach, toteż już od tygodni ją od siebie odsuwała. Vivian Cole mieszkała w pobliżu i często wstępowała rankiem do Nory, po czym razem wyruszały do South Pembrokeshire Hospital, miejsca ich pracy. Niekiedy też zjawiała się niespodziewanie pod wieczór, lecz tylko wówczas, gdy nie miała nic lepszego do roboty. W odróżnieniu od Nory Vivian nad wyraz rzadko narzekała na brak propozycji i zazwyczaj miała w planach bardziej ekscytujące zajęcia niż przesiadywanie w niewielkim, zadbanym, wysprzątanym mieszkaniu Nory, mieszczącym się na pierwszym piętrze dwurodzinnego domu, i prowadzenie rozmów o życiu. Albo o pracy zawodowej. Obie kobiety były zatrudnione w szpitalu jako fizjoterapeutki. Jako że prywatne życie Nory płynęło dość monotennie, często nie miała o czym rozmawiać, jak tylko o pacjentach. To zaś śmiertelnie nudziło Vivian.

– Ależ to beznadziejne – mówiła wówczas. – Sądzisz, że mam zamiar zatruwać sobie wieczory frustracją całego dnia? Chodź, pójdziemy gdzieś. Do Shipwrights Inn albo do Welshmana... Na pewno spotkamy tam ciekawych ludzi!

Dla Vivian możliwość spotkania *ciekawych ludzi* oznaczała tak naprawdę możliwość spotkania *ciekawych mężczyzn*. A Nora miała tego dość. Nie zamierzała kręcić się po pubie, pozwalać na to, by w mrocznym świetle jakiś podpity typ niezdarnie się do niej przystawiał, nie chciała wymienić z nim w samochodzie kilku nieprzyjemnych pocałunków, być może umówić się na następny dzień, i najpóźniej wtędy właśnie stwierdzić, że ma przed sobą absolutnie

odrażającego faceta. On zaś ze swej strony uzna ją za równie ekscytującą co rolka papieru toaletowego i wyraźnie da jej to do zrozumienia.

Nora pragnęła wreszcie związać się z kimś na stałe. Z człowiekiem, który rzeczywiście by do niej należał. Który byłby przy niej, gdy wracała do domu. Z którym mogłaby planować wspólne weekendy. Który by ją mocno objął, gdy czuła się samotna i smutna. To okropne, uważała Nora, by w wieku lat dwudziestu dziewięciu wciąż jeszcze być singielką z konieczności. Wypełniony samotnością i smutkiem stan, który nadto powodował, że koledzy z pracy oraz przyjaciele wciąż poddawali jej osobę analizie. *Gdzie w twoim przypadku tkwi przyczyna?* Jakby się było jednym wielkim problematycznym przypadkiem. Nora zresztą tak właśnie zaczynała się czuć. Nie wiedziała, do cholery, gdzie tkwiła przyczyna tego stanu rzeczy, a przemyślenia jej znajomych nie na wiele jej się zdały. Nie należała do kobiet, które przyciągają na ulicy wzrok wszystkich mężczyzn, w żadnym jednak razie nie była brzydula. Nie była superszczupła, nie była też zbyt gruba. Nie zaliczała się do bogatych, a jednak zarabiała na siebie i nikomu nie była ciężarem.

W sumie była osobą dość zwyczajną. Być może aż za bardzo.

Tego ranka Nora wstała bardzo wczesnie i raz jeszcze wszystko sprawdziła. Świeżo zasłane łóżko w niewielkim pokoju gościnnym. Uznała, że spory bukiet tulipanów na okiennym parapecie nada pomieszczeniu przytulny charakter. Flauszowe ręczniki w łazience. Kubek ze szczoteczką do zębów. Nowiutki granatowy szlafrok wiszący na haczyku tuż obok jej własnego, starego, z okropnego kwiecistego materiału. Miała go jeszcze z okresu dojrzewania, tkanina była już wytarta i przeświecająca, przez chwilę się nawet zawahała, czy również dla siebie nie powinna kupić nowego. Szkoda jej było jednak na to pieniędzy.

Spojrzała na zegarek. Dochodziło pół do ósmej. Cokolwiek by powiedzieć o Vivian: nigdy się jednak nie spóźniała.

W tej właśnie chwili rozległ się dzwonek do drzwi. W normalnej sytuacji Nora wzięłaby torebkę i zbiegła po schodach, dziś jednak

stała na podeście, przechyliła się przez poręcz i kiedy Vivian otworzyła drzwi, zawołała do niej:

– Możesz wejść na chwilę na górę?

Wkrótce potem Vivian pojawiła się w mieszkaniu. Wyglądała jak zawsze bardzo seksownie, w krótkiej spódniczce, czarnych rajstopach i wysokich aż do kolan butach. Na żakiet zarzuciła długi kolorowy szal. Marcowy dzień rozświetlało co prawda słońce, lecz z samego rana było jeszcze bardzo zimno. Świeże powietrze zaróżowiło jej policzki. Ciemne loki kładły się jej na ramionach. Nora znów pomyślała z zazdrością, że Vivian roztacza wokół siebie tę właśnie aurę, która przyciąga mężczyzn jak światło ćmy. Nie miała jakoś szczególnie urodziwej twarzy czy też zapierającej dech w piersiach figury. A jednak emanowała radością życia. Ciekawością. Gotowością do przeżywania przygód. Przy niej Nora samej sobie wydawała się niepozorną szarą myszką, zawsze nazbyt poważną.

– Co jest? – zapytała Vivian. – Nie jesteś jeszcze gotowa?

Nora wciągnęła ją do środka. To, co miała jej do powiedzenia, nie było przeznaczone dla uszu lokatora z mieszkania piętro niżej.

Zamknęła drzwi i głęboko zaczerpnęła tchu. Vivian spojrzała na nią w napięciu.

– Ryan – powiedziała wreszcie Nora. – Dzisiaj zostanie zwolniony.

Vivian zmarszczyła czoło.

– Jak to: dzisiaj? Myślałam, że posiedzi do października przyszłego roku.

– Wypuszczą go wcześniej. Za dobre sprawowanie.

– Aha. Pewnie wiesz o tym już od dawna.

– Tak.

Vivian przeszła do pokoju dziennego. Stała przy oknie, wyjrzała na zewnątrz. Widać stąd było port promowy, kontenery i żurawie, a za nimi w oddali kominy rafinerii. Przy kiepskiej pogodzie widok ten przytłaczał melancholią. Czasem jednak Nora obserwowała z okna jeden z tych wielkich śnieżnobiałych promów kursujących między Pembroke Dock a Rosslare Harbour w Irlandii, sunących majestatycznie

wzdłuż Daugleddau, rzeki łączącej port z Morzem Celtyckim. A wtedy to małe mieszkanko w dość podniszczonym domu znów wydawało jej się przytulne.

Vivian wszakże nie stała przy oknie, by obserwować statki. Usiłowała zebrać myśli.

– No cóż – rzekła, nie patrząc w stronę przyjaciółki. – Wiesz, co o tym sędzę. O tej... całej tej historii. Mam tylko nadzieję, że uda ci się teraz zachować odpowiedni dystans. To znaczy, do tej pory siedział za kratkami, tylko od ciebie zależało, jak bardzo się do niego zbliżysz. Teraz natomiast on może się swobodnie poruszać. Ufam, że nie przysporzy problemów.

– Na pewno nie – odparła Nora nieswojo.

– Musisz sobie wyznaczyć wyraźne granice – ostrzegła Vivian.

Nora po raz drugi głęboko zaczerpnęła powietrza. Dopiero teraz spodziewała się prawdziwej reprimendy.

– Przez jakiś czas zamieszka u mnie.

Vivian się odwróciła.

– Co takiego?

– A gdzie ma się podziąć? Niczego przecież nie posiada. Nie może wrócić do matki, bo nie akceptuje go ojczym. Nie ma prawie żadnych przyjaciół, żadnej pewnej pracy, jak dotąd jedynie mglistą propozycję, o jaką wystarał się dla niego kurator sądowy. I obawia się, że... On się naprawdę zmienił, chce zacząć nowe życie, do tego jednak potrzebuje pomocy. W przeciwnym razie znów się pograży, a tego się strasznie boi.

– Nie pojmuję – odezwała się Vivian. – Po prostu nie pojmuję! Człowiek skazany za ciężkie pobicie...

– On tego nie chciał.

– I co z tego? Tak stłukł tego chłopaka, że ten parę tygodni musiał przeleżeć w szpitalu. A i wcześniej, zanim trafił za to za kratki, wcale nie był takim niewiniątkiem, zgodnie z tym, co mi o nim opowiadałaś!

Nora milczała. Pożałowała, że w ogóle zwierzyła się ze wszystkiego przyjaciółce. Na dłuższą metę trudno byłoby utrzymać wszelkie występki Ryana w tajemnicy, niemniej jednak lepiej było nie wspominać

o jego licznych kolizjach z prawem.

– Skąd możesz mieć pewność, że on się zmienił? – ciągnęła Vivian. – Przecież mógł ci to wszystko wmówić! Byłby głupcem, gdyby nie zaprezentował się w śnieżnobiałej szacie. Oczywiście, że do tego właśnie zmierzał: żebyś go do siebie przyjęła i odtąd żywiła. Aby tylko po raz pierwszy w życiu nie poczuł się zakłopotany, że musi podjąć wreszcie jakąś pracę.

– To nieprawda, że nigdy nie pracował – zaproponowała Nora. – Na przykład kiedy został aresztowany, był zatrudniony w firmie pralniczej. Jako kierowca. Także wcześniej...

– ...dorywcze zajęcia. I nigdzie długo nie zagrzeł miejsca.

Nora przygryzła wargi. W tej chwili nie dysponowała bodaj jednym argumentem, który by obłaskawił Vivian.

– No cóż, nieważne – powiedziała. – Chciałam, żebyś o tym wiedziała. Wzięłam wolne popołudnie. Dziś w południe odbieram Ryana w Swansea. – Zerknęła na zegarek. – Musimy już iść!

– Dziwne – odparła Vivian. – Właściwie przeczuwałam to od samego początku. Ale nie chciałam w to wierzyć.

– W co takiego?

– Tobie chodziło wyłącznie o to, żeby znaleźć sobie faceta. I pomyślałaś, że skoro nie udaje się to w normalny sposób, postarasz się o kogoś w sposób niekonwencjonalny. Kogoś, kto będzie od ciebie całkowicie uzależniony i dlatego pewnie z tobą zostanie. Stąd to twoje nagłe zaangażowanie w sprawę więźnia.

– Kompletna bzdura – oburzyła się Nora, poczuła się tym jednak urażona. Jakiś rok wcześniej nawiązała kontakt z organizacją zajmującą się wyszukiwaniem opiekunów dla więźniów, którzy nie mieli krewnych bądź krewni się o nich nie troszczyli. Opiekunowie ci stawali się ich partnerami w rozmowie, pisali do nich listy, odwiedzali ich. Dawali im poczucie, że za więziennymi murami wciąż istnieje świat i że nie stracili z nim zupełnie kontaktu. Nora natrafiła w Internecie na stronę domową tej organizacji i od razu poczuła się poruszona jej celami oraz argumentacją. Może Vivian niezupełnie się myliła: nie chodziło

o to, by znaleźć jakiegoś faceta, jak jej to w szorstkich słowach zarzuciła, lecz o to, by znaleźć człowieka, który być może kiedyś będzie do niej należał.

Jej pomysł spotkał się, rzecz jasna, z zastrzeżeniami nie tylko ze strony najlepszej przyjaciółki. Już wcześniej wtajemniczyła dwie koleżanki ze szpitala, z którymi często spotykała się po pracy. Zareagowały z pewnym przerażeniem.

– Więzień odsiadujący wyrok? Zamierzasz przez całe lata spotykać się z nim raz w miesiącu w więzieniu? A cóż ty sobie po nim, na litość boską, obiecujesz? I naprawdę sądzisz, że będzie chciał cię jeszcze znać, kiedy wyjdzie na wolność?

Teraz jednak, gdy Ryan miał się do niej wprowadzić, zarzuty te okazały się niesłuszne. Już wcześniej Vivian czasem dość głośno ostrzegała, że Ryan okaże się niewdzięcznikiem, który po wyjściu z więzienia pewnie nawet na Norę nie spojrzy. Usłyszawszy najnowsze wieści, wprost nie posiadała się ze złości.

– Nie boisz się go? – zapytała.

Bać się Ryana? Tego smutnego mężczyzny o pięknych oczach, który tak okropnie cierpiał z powodu więziennej codzienności i dałby wszystko, by móc cofnąć swój postępek? Jeśli Nora kiedykolwiek odniosła wrażenie, że ma przed sobą prawdziwie skrzeszonego grzesznika, to stało się tak w przypadku Ryana Lee.

Przecież nie chciałem, żeby ten chłopak rozbił sobie głowę, na miłość boską! To był wypadek. Po prostu nieszczęśliwy wypadek!

Opowiedział jej o swej ponurej młodości. Z początku wszystko się układało, mieszkali w Camrose, gdzie jego rodzice prowadzili hotelik *bed&breakfast*. Później jednak – Ryan miał wówczas cztery lata – ojciec zmarł, matka ponownie wyszła za mąż, stosunki z nadużywającym alkoholu ojczymem pogarszały się, w końcu wszystko zmierzało ku katastrofie. Musieli sprzedać dom i przeprowadzili się do Swansea, zamieszkali w najgorszej pod względem socjalnym dzielnicy. Nowe mieszkanie Ryan coraz bardziej traktował jako miejsce grozy, nigdy bowiem nie dało się przewidzieć, w jakim akurat nastroju jest ciągle pijany, skłonny do przemocy ojczym.

Ryan zaczął wagarować, w końcu rzucił szkołę. Imał się rozmaitych prac, obracał w niewłaściwych kręgach. Wciąż podjudzany do drobnych przestępstw, nie potrafił się wyrwać z tej spirali. Coraz bardziej sfrustrowany, stał się agresywny, coraz częściej wdawał się w utarczki i poważne bójkę. Aż do owego fatalnego wieczoru 20 sierpnia 2009 roku. Kiedy to bił się z chłopakiem, który następnie nieszczęśliwie upadł i...

W więzieniu wziął udział w treningu tłumienia agresji, o czym opowiadał Norze podczas jednej z jej wizyt.

Teraz potrafię się zachować, gdy ktoś się przede mną zgrywa. Wiem, że przemoc nie jest żadnym rozwiązaniem. Nie muszę się bronić wszelkimi dostępnymi metodami. Mogę napastnika po prostu zignorować. Zejść mu z drogi.

Nora opowiedziała o wszystkim Vivian, nie potrafiła jednak skruszyć sceptycyzmu przyjaciółki.

– Niby skąd możesz wiedzieć, że to wszystko jest prawdą? Jego smutna młodość i tak dalej. Może ci wmówić, co tylko chce. Nie zauważyłaś, że w jego opisach całą winę zawsze ponoszą inni? Jego rodzice, znajomi, okoliczności... Jeśli chcesz znać moje zdanie: on niczego nie zrozumiał!

Również trening tłumienia agresji nie zrobił na niej wrażenia.

– I co z tego! Wiesz, czy on naprawdę się zmienił? Jasne, że za kratkami oni wszyscy biorą się w garść, chcą, żeby ich przedterminowo zwolnili. Czas prawdziwej próby czeka ich dopiero na zewnątrz. To doprawdy niepokojące, że właśnie ty będziesz osobą, która być może stanie się ofiarą ponownego wybuchu jego złości!

– Może najpierw go poznasz – zaproponowała Nora.

– Naprawdę nie wiem, czy mam na to ochotę! – odparła Vivian, unosząc wysoko brwi.

W tej kwestii Nora nie miała jednak powodu do zmartwień. Vivian była zbyt ciekawska. Nigdy nie przegapiłaby okazji, by poznać bliżej prawdziwego ekskwizytor.

– Musimy już iść – powtórzyła, przeszła do przedpokoju i otworzyła drzwi prowadzące na klatkę schodową.

Vivian podążyła za nią.

– Mogłabyś się o niego zatroszczyć, ale niech mieszka gdzie indziej.

– Wszystko już zaplanowane, Vivian. I przygotowane.

– Pewnie nie zdołam ci tego wyperswadować, prawda?

– Nie zdołasz – przyznała Nora.

W istocie Vivian nie miała żadnych szans. Nora tak bardzo się cieszyła na spotkanie z Ryanem.

Cieszyła się, że nie będzie dłużej sama.

Poczuł się jak ktoś, kto stawia pierwsze nieśmiałe kroki na obcej planecie.

Coś w tym było: jak na obcej planecie.

Po dwu i pół roku przebywania w więzieniu wszystko wydawało się niczym z dziwnego snu – łóżko zasłane białą, pachnącą pościelą oraz bukiet tulipanów w pokoju gościnnym, wyłożona ładnymi płytkami łazienka z miękkimi ręcznikami, przeznaczony dla niego szlafrok. Pokój dzienny z ustawionym przy oknie stołem, który Nora właśnie nakrywała do kolacji; również tu bukiet tulipanów, dwie czerwone świece, ładna zastawa. Kieliszki do wina. Kosz na chleb ze świeżo wypieczoną, ciepłą jeszcze bagietką. Półmisek pełen rozmaitych gatunków sera, przybrany plasterkami ogórka i pomidorami.

Jedzenie w więzieniu nie było wcale złe. Gotowano jednak rzecz jasna w wielkiej kuchni i podawano na tanich talerzach. Wszystko zresztą było tam przygotowane z myślą o użyteczności, bezbarwne, rzeczowe, bez zbędnych ozdób. Wszelkie przedmioty musiały być przede wszystkim stabilne, by przetrwały bez szwanku ewentualne ataki więźniów. To sprawiało, że wiele z nich wyglądało po prostu okropnie.

Ryan stał pośrodku pokoju i przyglądał się Norze, krzątającej się przy kolacji. Przez ostatnie miesiące znów wolno mu było nosić własne ubranie, a jednak tu, na zewnątrz, w dżinsach i swetrze czuł się zupełnie inaczej, nieswojo. W jego pokoju leżała ogromna torba z nowymi ubraniami. Nora zabrała go na zakupy, odebrawszy go sprzed bramy więzienia w Sandfields, dzielnicy Swansea. Opierał się, lecz ona koniecznie chciała mu coś podarować. I tak kupił sobie drugą parę dżinsów, skarpety na zmianę, dwa T-shirty oraz ciemnoszary sweter.

Podczas pobytu w więzieniu pracował i zarobił trochę grosza, jednakże Nora oświadczyła, że powinien to sobie odłożyć.

– Kto wie, kiedy będą ci jeszcze potrzebne.

No dobrze. W takim razie dołoży się do utrzymania. Nie miał zamiaru żyć na jej koszt.

Przyniosła z kuchni butelkę wina.

– Możemy zaczynać. Jeśli chcesz?

Skinął głową i zajął miejsce przy ładnym stole. Poczł grude w gardle i z trudem przełknął ślinę. Do cholery, Ryan, chyba nie będziesz teraz beczał! Przez ostatnie lata miałeś dość powodów, by się rozryczeć, nie będziesz teraz płakał tylko dlatego, że siedzisz przy starannie nakrytym stole, a miła kobieta usiłuje sprawić ci przyjemność.

A jednak to uczucie było przytłaczające. To dlatego łyzy parły tak gwałtownie: opanowało go przemożne uczucie całkowitego obezwładnienia.

Przez ten rok znajomości dużo z sobą rozmawiali, zwierzali się ze swych trosk, kłopotów, marzeń, lęków i uraz. Ryan stworzył się przed tą kobietą bardziej i szczerzej niż kiedykolwiek przedtem przed jakimkolwiek innym człowiekiem. A mimo to wydawała mu się dziwnie obca od chwili, gdy wsiadł do jej samochodu i odjechali, najpierw na zakupy, a potem do domu w Pembroke Dock. Wszystko zupełnie się zmieniło. On był wolnym człowiekiem, ona nie przyszła w odwiedziny, nie mówiła już przytłumionym głosem, żeby ludzie wokół nie mogli dosłyszeć jej słów. Jedynym miejscem ich spotkań była dotąd sala odwiedzin w więzieniu, mająca urok absolutnie rzeczowo urządzonej kantyny. W poświęcanej neonowej lampy każdy miał tam bladą, ziemistą cerę, wyglądał chorobliwie, strażnicy zaś nie pozwalali nikomu zapomnieć, gdzie się znajdują: w zakładzie karnym. Mimo ciepłych i zimnych napojów, które można było kupić, oraz drobnych przekąsek na plastikowych talerzach. Teoretycznie można by ją wziąć za szpitalną kafenię, tam jednak nie stało wokoło tylu typów, mających wszystkich na oku.

Za więziennymi murami Nora wydała mu się innym człowiekiem.

Zastanawiał się, czy ona również podziela to wrażenie.

Przez całe popołudnie udawało im się uniknąć nieodpartego uczucia niepokoju. Pojechali na zakupy, przed stoiskiem z zakąskami zjedli dla wzmocnienia kanapkę rybną i wypili colę, a potem ruszyli do Pembroke Dock. Nora pokazała mu dom, mieszkanie, widok rozpościerający się z okna pokoju dziennego. Jego pokój. Jego rzeczy w łazience.

A teraz siedzieli naprzeciw siebie przy stole. Nora odkorkowała wino, zapaliła świece, choć za oknem było jeszcze dość jasno. Ryan tymczasem odzyskał przynajmniej panowanie nad sobą, powstrzymał napływające do oczu łzy. Czuł się jednak tak spięty, tak skrępowany, że naraz zapragnął być sam. Gdziekolwiek, może w jakimś okropnym pokoiku mansardowym, bez świec i serwetek, za to z butelką piwa w jednej oraz zestawem z McDonalda w drugiej ręce. Tam mógłby być sobą. Zarazem jednak wiedział, że przebywanie teraz w samotności oznaczałoby dlań zagładę. Ów pierwszy krok na wolności zniósłby wtedy jeszcze gorzej.

Unieśli kieliszki.

– Za twoje nowe życie – Nora wzniosła uroczysty toast.

Wypił łyk wina. Nie znał się na winie, ale mu posmakowało. Alkohol, po tak długim czasie. Musiał uważać, żeby szybko się nie upić.

– Dlaczego to robisz? – zapytał.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Ale co?

– No, to wszystko, dla mnie. Kupujesz mi ciuchy. Przyjmujesz mnie tutaj. Ty... – Wskazał na stół. – Tak bardzo się starasz...

– Chętnie to robię – odparła Nora łagodnym głosem. – Jesteśmy przyjaciółmi, prawda? Czy myślałeś, że zostawię przyjaciela w potrzebie? Dokąd miałbyś pójść?

– Mam trochę pieniędzy...

– Na jak długo ci wystarczy?

– Nie na długo – musiał przyznać.

– Masz za sobą trudny okres. Musisz odnaleźć się na nowo w codzienności. I ja ci w tym chętnie pomogę. – Uśmiechnęła się

nieśmiało. – Ja także nie lubię być sama. To dobrze, że tu zamieszkaś.

Spojrzał na nią. W więzieniu, gdy przychodziła do niego w odwiedzin, była dlań raczej pewnego rodzaju instytucją, a nie kobietą. Dostrzegał w niej wszystko, co tylko mógł, mieszaninę psychoterapeuty, pielęgniarki, chyba nawet matki, choć była od niego młodsza. Stopioną w postać pomocnicy, zredukowaną do wsparcia, jakie mu ofiarowała. A przy tym pozostała w jego oczach zupełnie wyzuta z kobiecości.

Teraz zaś po raz pierwszy ujrzał w niej kobietę.

Nie była w jego typie, choć nie mógł jej odmówić urody. Drobną, lecz dość silną, co wiązało się z jej pracą, o której mu kiedyś opowiedziała. Przez cały dzień masowała ludzi i pomagała im przy skomplikowanych ćwiczeniach, których nie potrafili wykonać o własnych siłach. Stąd wzięły się jej mięśnie. Miała sięgające ramion blond włosy i duże niebieskie oczy. Naprawdę była atrakcyjna. Dziwne, że nie miała partnera. Opowiedziała mu o swych licznych nieudanych związkach, nie potrafiła jednak wyjaśnić, dlaczego żaden mężczyzna nie został z nią na dłużej.

„Może jesteś zbyt opiekuńcza – przemknęło mu teraz przez myśl. – Może w pewnej chwili pojawia się uczucie, że człowiek się przy tobie dusi. Przez ciebie”.

Potem jednak pomyślał, że dzieje się tak prawdopodobnie tylko w jego przypadku. Dla niego cała ta sytuacja to jedno wielkie *zbyt wiele*, zbyt wiele wszystkiego. Powodem tego była wszakże jego historia. Pierwszy wieczór za więziennymi murami. Wszędzie dopadłby go kryzys. W żadnym razie nie mógł o to winić Nory.

– Jutro spotkam się z moim kuratorem sądowym – powiedział Ryan. – Jesteśmy umówieni na dziesiątą. Mam nadzieję, że uda mi się znaleźć jakąś pracę.

– Jeśli chcesz, weź mój samochód – zaproponowała Nora. – Zwykle chodzę do szpitala piechotą, chyba że leje jak z cebra. Ale na to się nie zanosz.

– Twój samochód? Serio?

– Oczywiście. Posłuchaj, Ryan – nachyliła się nad stołem i spojrzała nań przenikliwym wzrokiem. – To jest twój dom, dopóki tylko zechcesz. Możesz korzystać tu ze wszystkiego, co posiadam. Nie musisz mnie pytać. Proszę, czuj się jak u siebie. Nie jak gość.

– Dziękuję – odparł.

Jak gdyby można było się tak poczuć na rozkaz. Lecz ona naprawdę miała dobre chęci. Naprawdę chciała, żeby czuł się dobrze.

– Musisz coś zjeść. Opróżniłeś swój kieliszek prawie do dna. Weź bagietkę. Trochę sera?

Odetchnął głęboko.

– Nie mogę. Po prostu nie mogę teraz nic jeść.

– Co się dzieje?

Wstał raptownie. Serwetka ześlizgnęła mu się z kolan i upadła pod stół.

– Po prostu muszę przez chwilę pobyć sam. Zrozum, proszę!

Nora również się podniosła.

– Chcesz pójść na spacer? Mam iść z tobą? Moglibyśmy pójść do portu...

– Nie. – Potrząsnął głową. – Chciałbym pójść do mojego pokoju. Jestem śmiertelnie zmęczony. Przykro mi.

– Nie przepraszaj. Rozumiem.

Wyglądała jednak na nieco zmieszana. Zadała sobie sporo trudu z całą tą inscenizacją, a teraz pewnie się zastanawiała, co zrobiła nie tak, jak powinna.

Nic. Ale ze mną nic nie może się udać.

Bez słowa zniknął w pokoju gościnnym, ostentacyjnie zamknął za sobą drzwi. Od razu poczuł się lepiej. Pokój był mniej więcej wielkości jego celi. Zamknięte okno, choć pozbawione krat, zamknięte drzwi. Dopiero w tej chwili zrozumiał, jaką ochronę dawało mu więzienie, które tak znienawidził, z którego wszelkimi siłami pragnął się wydostać.

Poczuł się bezbronny jak nowo narodzone dziecko. Bezradny. Jak fragment świata, do którego stracił odniesienie.

Nora nie mogła mu pomóc. Swymi staraniami i propozycjami, wymaganiami i oczekiwaniami, jakie się za nimi kryły, tylko pogarszała sprawę.

To za wiele. Zwyczajnie za wiele.

Opadł na łóżko. Wreszcie mógł się rozplakać.

– Zapomnij! – powiedziała Deborah do mężczyzny, który przez cały czas ją podrywał, a teraz się upierał, że ją odprowadzi do domu. – Pójdę sama, zrozumiano? Sama też sypiam! Nie chcę cię znać!

Spojrzał na nią urażony. Zagadnął ją pięć minut po tym, jak przekroczyła próg Pump House, i od tej pory nie odstępował jej ani na krok. Z początku to się Deborze spodobało. Chciał jej postawić drinka, lecz odmówiła, potem przyniósł jej nową paczkę papierosów i zaczął się w nią wpatrywać, jakby była jakimś zjawiskiem. Deborah doskonale wiedziała, że wygląda naprawdę dobrze, przynajmniej wówczas, gdy udało się jej nieco uładzić znieawidzoną burzę jasnych kędzierzawych włosów. Miała już trzydziestkę na karku, a w pubie kręciło się kilka znacznie młodszych kobiet. Schlebiało jej, że mimo to Glen – tym imieniem się przedstawił – najwyraźniej tylko nią się zainteresował.

Deborah, zwana przez przyjaciół „Debbie”, tego późnego poniedziałkowego wieczoru czuła się zmęczona. Była zatrudniona w firmie zajmującej się sprzątaniami budynków i pracowała od wczesnego popołudnia. Najpierw szkoła, potem firma, której pomieszczenia biurowe, rozmieszczone na czterech piętrach, porządkowano po wyjściu wszystkich pracowników. O dziewiątej Debbie ruszyła w drogę powrotną do domu, pod wpływem spontanicznego impulsu wstąpiła jednak na chwilę do pubu, usytuowanego w pobliżu mariny w Swansea. W domu nikt na nią nie czekał, ona zaś poczuła nieodpartą ochotę na mocnego drinka. Dawniej często tam bywała razem z Ryanem, nie pozwalała sobie jednak na jakikolwiek sentymentalizm. Czasy się zmieniły.

Glen całkiem miło ją zabawiał, nie mógł wszakże pojąć, że wieczór właśnie dobiegł końca.

– Chcę cię tylko odprowadzić – upierał się. – Już późno. O tej porze dziewczyna nie powinna się sama włóczyć po ulicach!

Debbie niemal parsknęła głośnym śmiechem. *Dziewczyna* to całkiem miłe określenie dla trzydziestoletniej kobiety. Widocznie Glen uznał ją za dużo młodszą niż była w rzeczywistości, dzięki czemu zyskał w jej oczach nieco sympatii. W sumie był jednak obłudnym pochlebcą, ona zaś nie miała na niego ochoty. A że nie powinna biegać sama po ulicach... Jakby kiedykolwiek potrzebowała opiekuna! Albo o takim marzyła!

Zsunęła się ze stołka przy barze i w jednej chwili przekonała, że trochę za dużo wypła. Nie czuła się pewnie na nogach. Ale co tam, do domu jakoś dotrze.

– Potrafię sama o siebie zadbać – odparła. – Ciesz się wieczorem i rozejrzyj się, może jeszcze poderwiesz jakąś inną dziewczynę. Przesiaduje tu kilka samotnych kobiet. Z całą pewnością masz u nich większe szanse niż u mnie!

– Ale ty mi się podobasz – zapewniał Glen. Miał zaczerwienione policzki, krzywo zawiązany krawat. Debbie nabrała niemal pewności, że jest żonaty, przypuszczalnie przebywał służbowo w Swansea i chciał wykorzystać okazję. Nie znosiła tego typu facetów. Debbie wierzyła w absolutną wierność, wszystko inne napawało ją obrzydzeniem. Przez cztery lata spędzone z Ryanem – to jedyny dłuższy związek, w jakim zdołała wytrwać – była mu w stu procentach wierna, podobnie zresztą jak Ryan, o ile się oczywiście nie myliła.

Glen powiódł za nią smutnym wzrokiem, gdy wychodziła z pubu. Na zewnątrz zadygotała z zimna i mocniej otuliła szyję kołnierzem kurtki. Dni nastaly już wiosenne, jednakże noce wciąż jeszcze były bardzo zimne. Świeże powietrze dobrze jej jednak robi. Bez wątpienia wypła o jeden kieliszek za duzo, być moze energiczny marsz przez mrok nocy sprawi, że nazajutrz nie obudzi się z bólem głowy.

Droga do mieszkania zajmie jej jakiś kwadrans. Ustaliła, że jest pół do jedenastej. Cała okolica wyglądała jak wymarła. W ciemności migotały jeszcze światła Annie's Marina Café. Musiała przejść rozległy

plac tuż obok Pump House, następnie koło Waterfront Museum oraz Yacht Brokers. O tej porze nie było tam żywego ducha. Słyszała monotony plusk fal o mur nabrzeża, widziała budynek obok. Wszystko wokół opustoszało. Przyspieszyła nieco kroku. Nie należała do kobiet, które łatwo można było przestraszyć, ale poczuje się pewniej, gdy dotrze do Oystermouth Road.

Gdy znalazła się na wysokości pirsu, przy którym zacumowano kilka większych statków, odniosła wrażenie, że słyszy czyjeś kroki. Przystanęła i odwróciła się, nikogo jednak nie dostrzegła. Latarnia rzucała wokół jedynie blade światło. W powietrzu czuć było zapach wody, wodorostów, takielunku, który gdzieś zaczynał gnić. I trochę oleju maszynowego.

Typowa woń portu.

W pobliżu nie było nikogo.

Przyspieszyła kroku, świadomie starała się jednak nie biec. Nienawidziła strachu. Strach jest dla słabeuszy.

Ponownie usłyszała wyraźny odgłos kroków i znów przystanęła. Pewnie Glen. Ten facet uczeplił się jej jak rzep psiego ogona, niestety zbyt późno to zrozumiała, w przeciwnym bowiem razie od razu by go spławiła. Upatrzył ją sobie i nie widział powodu, dla którego miałby z niej zrezygnować.

Idiota!

– Glen! – zawołała. – Przestań się za mną skradać. Odczep się! Nie jestem zainteresowana!

Cisza. Spojrzała w kierunku budynku. Glen prawdopodobnie zaszył się gdzieś między załomami murów. Pewnie ubzdurał sobie, że wskoczy jej do łóżka, a teraz nie potrafił zapanować nad hormonami. Dupek!

Nie bała się. Nie takiego biedaka. Zrobiła kilka kroków w kierunku, w którym sądziła, że się chowa, zamierzała go wypłoszyć i pokazać mu, że nie zdoła jej zastraszyć.

– Precz! – zawołała.

Odniosła wrażenie, że za jej plecami ktoś się poruszył, zanim jednak

zdażyła zareagować, odwrócić się albo uciec, choćby krzyknąć, poczuła na sobie ucisk silnych ramion. Ktoś zatkał jej dłonią usta. Debbie broniła się ze wszystkich sił, wiała niczym wąż i daremnie próbowała ugryźć rękę, której twarde palce wpijały się w jej policzek. Spostrzegła, że traci grunt pod stopami, że ktoś ją wlecze po bruku niby jakiegoś manekina z likwidowanej właśnie sklepowej witryny. Na Boga, czy to Glen? Nie spodziewała się po nim ani takiej siły, ani determinacji. Wierzgając nogami, trafiła napastnika w piszczel. Usłyszała, jak jęknął, a potem syknął:

– Cholerna zdzira!

To nie był głos Glena.

Chwilę później otrzymała cios pięścią w żołądek, i to od drugiej osoby, która nagle wynurzyła się z nicości. Jeszcze jeden mężczyzna. Było ich zatem dwóch. Dwóch facetów. Zszokowana i zdeterminowana, Debbie nadal próbowała się bronić, wiedziała jednak, że jest bez szans. Chciała krzyczeć, lecz wydała z siebie ledwie przytłumiony dźwięk. Wykluczone, by ktokolwiek mógł ją usłyszeć.

Posypały się dalsze ciosy w żołądek i w twarz, aż mężczyzna, który ją przytrzymał, powiedział:

– Wystarczy! Bo zaraz odleci, a powinna jeszcze coś z tego mieć!

Debbie wpadła w panikę.

Leżała na zimnych kamieniach, patrzyła w rozgwieżdżone niebo. Jeden z mężczyzn przyklęknął za nią, nogami przycisnął boleśnie jej ramiona do ziemi. Jego dłoń wciąż zakrywała jej usta, mogła zaczerpnąć powietrza wyłącznie przez nos, który jednak po jednym z ciosów spuchł i utrudniał oddychanie. Bolało ją całe ciało. Ciepła, kleista strużka krwi spływała jej po policzku. Zakwiliła, ujrawszy drugiego mężczyznę, który stał nad nią niczym potężny cień. Zauważyła teraz, że jego twarz zakrywa maska z pończochy. On również uklęknął, rozłożył jej nogi i przycisnął uda do ziemi. Poczowała taki ból, że wrzasnęłaby głośno, gdyby tylko mogła. Wciąż jeszcze usiłowała się bronić, było to jednak daremne. Leżała na plecach niczym chrabaszcz, mając wszystkie kończyny przytwierdzone żelaznymi obręczami do ziemi. Dostrzegła

błysk stali, usłyszała szmer rozpruwanych dzinsów i majtek. To był koszmar, niepojęty koszmar. To było coś, o czym czytamy, słyszymy w wiadomościach, o czym wiemy, że się zdarza, a jednak nie wierzymy, że może się przydarzyć właśnie nam.

W każdym razie Debbie nigdy by w to nie uwierzyła. Nie wierzyła w to nawet wtedy, gdy już się działo. To nie ona była osobą, która leżała owej zimnej marcowej nocy w porcie w Swansea obok budynku Yacht Brokers i była wielokrotnie, na zmianę, gwałcona przez dwóch mężczyzn. To był ktoś inny. Ktoś, od kogo się wewnętrznie odsunęła, tak daleko, jak tylko potrafiła. Debbie nigdy wcześniej w swym życiu nie padła ofiarą przemocy. Sytuacja ta wpędziła ją w zupełną konsternację. Później myślała sobie, że być może właśnie to uchroniło ją przed obłędem, w który niechybnie by popadła. Jej umysł opierał się przed zrozumieniem, co się z nią stało. Pograżyła się w całkowitym zobojętnieniu. Nie broniła się dłużej. Już jej tam nie było.

Kiedy mężczyźni mieli dość, nadepnęli jej na zębra i głowę, z niedbałą, obojętną siłą, jakby była workiem piasku porzuconym przez kogoś w zaułku. Zostawili ją leżącą na ziemi i zniknęli w mroku nocy.

Podczas późniejszej rekonstrukcji zdarzeń Debbie i policjanci stwierdzili, że cały napad trwał ledwie dwadzieścia minut. Dwadzieścia minut, które na zawsze zmieniły życie Debbie.

Składała się wyłącznie z bólu. Bolał każdy pojedynczy punkt jej ciała, niektóre miejsca mniej, niektóre bardziej. Szczególnie silnie bolał ją nos, prawdopodobnie złamany. Był napuchnięty, Debbie wciąż przelykała krew spływającą jej do gardła. Bolał ją żołądek, kłuły zębra. Ciężko łapała powietrze, każdy oddech wywoływał okropne bóle w bokach.

Jej podbrzusze było jednym wielkim oceanem bólu. Poranione, obolałe, zakrwawione. Spróbowała się poruszyć, jęknęła jednak i w końcu dała za wygraną. Nie potrafiła się przesunąć ani o milimetr. Dygotała z zimna, zarazem czuła na twarzy rozpaloną skórę. Czy to możliwe, żeby dostała gorączki i dreszczy? Zastanawiała się, czy umrze, jeśli przeleży tak całą noc.

Telefon. Musi wezwać policję.

Zdołała się nieco wyprostować, pod wpływem bólu jej oczy zalały się łzami. Gdzie się podziała jej torebka? Uznała, że musiała ją upuścić, kiedy pierwszy mężczyzna zaatakował ją od tyłu. Jako że powłókł ją za sobą spory kawałek drogi, torebka, a w niej i komórka, leżą w raczej nieosiągalnej dla niej odległości. W jej stanie przejście paru kroków było wprost niewyobrażalne. Zupełnie wyczerpana opadła z powrotem na ziemię. Koniecznie musi zebrać nieco sił. Musi w jakiś sposób pokonać ten nieznośny ból. Musi się doczołgać do torebki. Potrzebowała pomocy. Nie mogła czekać do rana, kiedy pojawią się tu pierwsi pracownicy portowi. Pomocy potrzebowała *natychmiast*. Powinna...

Krzyknęła z przerażenia, gdy tuż obok wyłonił się jakiś cień i przykucnął przy niej. Skuliła się i zakryła dłońmi twarz.

– Nie! Nie! Nie!

– Debbie! To ja! Nie bój się!

Odłoniła twarz. Ujrzała pochylającego się nad nią bladego jak płótno Glena.

Glen! Nie sądziła, że tak bardzo się ucieszy na jego widok.

– Glen! – Jej głos zabrzmiał jak szloch. – Glen, proszę, potrzebuje lekarza. Musisz wezwać policję. Nie mogę się ruszyć...

– Jasne. Ja... dzwonię na policję... O Boże, o Boże! – Glen był zszokowany. Sprawiał wrażenie niezdolnego do zrobienia czegokolwiek sensownego.

– Policja – jęknęła Debbie. – Pospiesz się!

Wreszcie sięgnął do kieszeni płaszczka po telefon. Był wyłączony, potrzebował trzech prób, zanim drżącymi dłońmi zdołał wpisać poprawny kod.

– Dla pewności go wyłączyłem – wyjaśnił – żeby nie zadzwonił w nieodpowiednim momencie.

– Jak to... w nieodpowiednim momencie? – zapytała z wysiłkiem Debbie. Mówienie przychodziło jej z równym niemal trudem co oddychanie. Przynajmniej jednak nie przełykała już tak wiele krwi.

– Stałem tam z tyłu. – Wskazał ręką miejsce gdzieś w ciemnościach,

poza kręgiem ulicznych latarni. – Między murami. Wszystko widziałem. Bałem się, że zadzwoni mój telefon. Gdyby mnie nakryli, zabiliby mnie!

– Wszystko widziałeś? – Nie mogła w to uwierzyć. – *Przyglądałeś się?*
I nic nie zrobiłeś?

– A co miałbym zrobić? Było ich dwóch! Jeden miał przy sobie nóż!

– Powinieneś... od razu wezwać policję... – Każde pojedyncze słowo przeszywało jej ciało ostrym ukłuciem. Pomyślała, że pewnie ma połamane żebra, które sterczą jak ostrza oszczepu, zagrażając organom wewnętrznym, i przy choćby minimalnym poruszeniu wywołują kaskadę bólu. Czuła zawroty głowy, miała fatalne przeczucie, że za chwilę straci przytomność. Zanim to się stanie, ten gamoń obok niej musi przynajmniej powiadomić policję. Był dokładnie takim tępakiem, jakiego w nim widziała, więcej nawet, był żalonym tchórzem. Poszedł za nią w nadziei, że przeżyje tej nocy erotyczną przygodę, a kiedy stał się świadkiem napadu, ukrył się zdjęty strachem. Był jednak na tyle przytomny, że wyłączył komórkę, by jej dźwięk go nie zdradził. Miała dlań tak wiele pogardy, że poczuła w ustach okropny, zgniły posmak, nie była jednak w stanie nadać swym myślom odpowiedniej formy, w przeciwnym bowiem razie wygarnęłaby mu, jakim jest tchórzliwym dupkiem. Zamiast tego była zmuszona odczuwać dla niego wdzięczność. Paradoksalnie to on mógł uratować jej życie.

Wreszcie dodzwonił się na policję.

– Tak – potwierdził – w porcie. Została napadnięta. To... naprawdę źle wygląda. Potrzebuje karetki. Proszę? Tak, nie wiem... – Rozejrzał się dokoła, jakby czegoś szukał. – Nie potrafię powiedzieć dokładnie. Ja... nie jestem stąd. Jesteśmy przy dużym budynku, niedaleko od Pump House...

– Yacht Brokers – szepnęła ochryple Debbie.

– Yacht Brokers – powtórzył Glen. – Tak. Dobrze. Proszę, pośpieszcie się!

Rozłączył się.

– Policja zaraz tu będzie. Lekarz także. Jak się czujesz? Strasznie

dygoczesz!

Było jej tak zimno, że chciało jej się wyć.

– Zi... zimno – wydusiła z siebie.

Najpierw usiłował naciągnąć jej całkiem pomiętą i przykrótką kurtkę, dopiero po chwili przyszło mu do głowy, by zdjąć własny płaszcz i ją nakryć.

– Lepiej? – zapytał.

Z trudem przytaknęła. Widziała go jak przez mleczną szybę, czuła, że coraz bardziej mąci jej się wzrok. Jej krążenie zwalniało. Dotknęła dłoni Glena, kurczowo zacisnęła na niej palce. Choć strasznie pogardzała tym zerem, potrzebowała teraz kogoś, kto by ją mocno przytrzymał, choćby to był największy nieudacznik w całym Zjednoczonym Królestwie. Przynajmniej do czasu przyjazdu policji. Przynajmniej do chwili pojawienia się lekarza. Przynajmniej do czasu aż... Była śmiertelnie znużona. Z trudem potrafiła składać myśli.

Nachylił się nad nią, niemal do niej przywarł. W jego oddechu wyczuła woń piwa, widziała każdy pojedynczy por na jego skórze.

– Posłuchaj... ech... Debbie, będę musiał zeznawać przed policją, spiszą moje dane, i... czy moglibyśmy zeznać, że się wcześniej nie znaliśmy? No wiesz, że wprawdzie widzieliśmy się w pubie, ale ja ciebie nie zagadnąłem albo... że nie pytałem, czy mogę pójść z tobą, okay? Bo widzisz... – Wolną dłonią dotknął krawata. – Musisz wiedzieć, zapomniałem wcześniej wspomnieć, że jestem żonaty, i... byłoby niezbyt przyjemnie, gdyby moja żona... Rozumiesz, prawda?

Wydała z siebie szmer, chcąc go uspokoić, przytaknęła, lecz nic więcej nie zdołała z siebie wykrzesać. Opadły jej powieki, wiedziała, że zaraz odpłynie. Po wszystkim, co się wydarzyło, nie miało to w istocie najmniejszego znaczenia, a jednak mdlejąc, pomyślała niemal triumfująco: „No proszę! Wiedziałam! Żonaty!”.

Po czym straciła przytomność.

Przez cały weekend Matthew Willard nie dawał znaku życia. Szczerze mówiąc, wcale nie liczyłam na to, że się niebawem odezwie, jeśli w ogóle to zrobi. W poniedziałek musiałam wrócić do pracy w redakcji. Alexia, która zawsze przychodziła pierwsza, a wychodziła ostatnia, już siedziała przy swoim biurku.

– I jak? Jak wasz wspólny powrót do domu? – zapytała.

Była moją przyjaciółką, jednak tym razem nie miałam wielkiej ochoty na rozmowę. Matthew Willard wydawał mi się niezbyt odpowiednim tematem babskich pogaduszek. Ten człowiek był tak wyraźnie naznaczony przez wydarzenia ostatnich lat, że nie chciałam w nim widzieć przedmiotu rozmowy, podczas której zostaną szczegółowo omówione jego wygląd, charakter i być może jeszcze stan konta bankowego. Alexia bez wątpienia traktowała go jako kandydata na mojego partnera, tym razem jednak to ja, choć dopiero go poznałam, zachowałam ostrzejsze spojrzenie: Matthew nie wydawał mi się zdolny do nawiązania nowej znajomości, i to z kimkolwiek. Nadal bowiem był częścią długotrwałego, wciąż istniejącego związku, mimo jego nierzeczywistości, skostnienia, przerażającej niepewności. A jednak nie mogę powiedzieć, że był mi obojętny, wręcz przeciwnie.

– A jak miało być? Podwiózł mnie pod sam dom, wysiadłam i wróciłam do mieszkania. Gdzie zresztą czekała na mnie nagrana wiadomość od Garretta!

– Tak? – Alexia chciała dokładnie o wszystkim wiedzieć. Spotkała Garretta przed laty, lecz z naszych wielogodzinnych rozmów знаła każdy szczegół niepowodzenia naszego związku, wiedziała o wszystkich naszych kłótniach, pojednaniach i ponownych sprzeczkach. Stąd ciekawiły ją najnowsze wieści.

Odwrócenie uwagi się powiodło. Zamiast o Matthew rozmawiałyśmy o Garretcie, potem zaczęło się pierwsze kolegium, rozdzwoniły się telefony, typowy dzień powszedni w redakcji pochłonął nas z całą mocą. Czas Alexii wypełniły spotkania, nie zdołała nawet wyrwać się na chwilę i spędzić ze mną przerwy obiadowej. Ja także byłam zajęta, przyniosłam sobie jedynie sandwicza z supermarketu i spałaszowałam go przy biurku. Głodna i wyczerpana wróciłam wieczorem do domu. Ledwie postawiłam na kuchence garnek wody, by ugotować makaron, kiedy zabręczał telefon.

Dzwonił Matthew Willard.

– Halo, tu Matthew. Nie przeszkadzam?

– Nie. Absolutnie nie. – Byłam trochę podekscytowana, miałam nadzieję, że mój głos mnie nie zdradzi. – Jak się pan miewa?

– Dziękuję. U mnie wszystko w porządku. A u pani?

– Podobnie. Mam za sobą męczący dzień. Dziś poniedziałek.

– No tak, ale z drugiej strony to miłe uczucie, mieć już za sobą weekend – wyznał.

Pomyślałam, że prawdopodobnie już od piątkowego popołudnia niecierpliwie wyczekiwał początku nowego tygodnia. Dla wielu samotnych ludzi sobota i niedziela to prawdziwe wyzwanie, są bardzo zadowoleni, kiedy zdołają w jakiś sposób przetrwać te dwa dni. Gdyby nie Alexia i Ken, i ta ich serdeczna troskliwość, pewnie przez całą zimę czułabym się podobnie. W przypadku Matthew dochodziło jeszcze i to: on nie był zwyczajnym singlem. Stracił żonę w sposób, który uniemożliwił mu zakończenie tego związku. Wciąż głowił się nad tym, co się z nią stało, rozmyślał, prawdopodobnie nadal snuł nowe plany, co jeszcze mógłby zrobić, by się czegoś dowiedzieć o miejscu jej pobytu, po czym je zarzucał, gdyż były zbyt ryzykowne, zbyt szalone albo po prostu nie rokowały zbyt dobrze. Przypuszczalnie w ciągu tych dwu i pół roku uczyniono wszystko, co tylko było możliwe. Domyślałam się, że od osób ze swego otoczenia Matthew słyszał to samo co od Alexii, która bardzo dobitnie wyraziła swoją opinię: jej zdaniem musi wreszcie znów spojrzeć w przyszłość. Wszyscy pogodzili się z tą historią.

Powrócili do codzienności, do normalnego życia – i tego samego oczekiwali od Matthew. To uczyniło go podwójnie samotnym. Był człowiekiem na tyle wrażliwym i delikatnym, by wyczuć, że nikt nie chce już wspominać jego zaginionej żony. Dlatego nie podejmował więcej tego tematu, oznaczało to jednak, że wciąż do niego powracał we własnej głowie, roztrząsał go we własnych myślach.

I przede wszystkim dlatego właśnie – nie miałam co do tego wielkich złudzeń – zadzwonił do mnie. Wykazałam zainteresowanie jego tragedią i w tej chwili byłam jedyną osobą z jego otoczenia, która nie słuchała go jedynie z czystej uprzejmości albo, co gorsza, od razu reagowała nerwową dezaprobatą.

– Chciałem zapytać – ciągnął – czy ma pani jakieś plany na jutrzejszy wieczór? Jeśli nie, moglibyśmy pójść razem na kolację. Jeśli ma pani ochotę.

Okoliczności nie wymagały, bym odpowiedziała na jego propozycję z kokieteryą albo udawanym niezdecydowaniem czy też przynajmniej dla pozorów zajrzała do mojego terminarza. Oczywiście, że nie miałam nic w planach, i od razu mu to powiedziałam. I że się cieszę. Wymienił nazwę jakiejś restauracji w West Cross, w której podobno serwowali bardzo smaczne potrawy, po czym pamiętając, że nie mam samochodu, zaproponował, że przyjedzie po mnie o siódmej.

I tak we wtorkowy wieczór zasiedliśmy razem do stołu w West Cross Inn, jedliśmy rybę, popijaliśmy wino, tak jak sobie tego życzyłam. Matthew zabrał z sobą Maxa, swego owczarka. Ogromny, śliczny pies o łagodnych oczach. Przez kilka pierwszych minut staliśmy na zewnątrz, spoglądając na rozległą plażę i morze, sycąc zmysły jasnym błękitem wieczornego nieba oraz unoszącą się w powietrzu intensywną wonią nadchodzącej wiosny. Od strony wody docierała do nas zimna wilgoć, powiewał chłodny, ożywczy wiatr. Nie ulegało wątpliwości, że w ciągu najbliższych dwu, trzech tygodni cała przyroda wprost eksploduje. Myśl ta napełniała mnie ogromną radością.

Matthew z początku wahał się podjąć temat Vanessy, dlatego ja o to zagadnęłam. Natychmiast zareagował. Opowiedział o wydarzeniach z 23 sierpnia 2009 roku, zauważyłam przy tym, że wspomnienie owego dnia żyło w nim tak intensywnie, jakby to wszystko działo się wczoraj. I że wciąż nie potrafił w to uwierzyć. Nagłe zniknięcie żony rozdarło jego życie niczym wybuch bomby, w sposób niespodziewany i druzgocący. I choć minęło już ponad dwa i pół roku, on wciąż stał wśród gruzów i nie potrafił się poruszyć.

– Odwiedziliśmy Lauren, matkę Vanessy. Przebywa w domu starców w Holyhead. Popadła w całkowitą demencję, co oczywiście okazało się niemal błogosławieństwem, gdyż nie ma pojęcia, że jej córka zaginęła. Ona w ogóle nie wie, że ma córkę.

Opowiedział, że mieli za sobą wyczerpujący weekend.

– Wyjechaliśmy w piątkowe popołudnie, Vanessa, Max i ja. Zamieszkaliśmy w uroczym pensjonacie, nawet pogoda dopisała. Na zmianę odwiedzaliśmy dom starców i wychodziliśmy na spacer z psem. Wizyty w tym domu były okropnie deprymujące, patrzeć na tych wszystkich ludzi pogrążonych w demencji albo po prostu wegetujących. Lauren nas nie rozpoznała i zachowywała się dość agresywnie. Oczywiście Vanessa zniosła to gorzej niż ja. W sobotni wieczór była w takim dołku, że z myślą o dodaniu jej otuchy zaproponowałam, byśmy nazajutrz wrócili do Swansea drogą wzdłuż wybrzeża, zwiedzili okolicę, zjedli gdzieś przyjemnie obiad, może nawet wykąпали się w zatoce. Tylko dlatego w ogóle znaleźliśmy się w tamtych stronach, gdzie potem... W okolicy, w której Vanessa zaginęła. Policja ciągle do tego wracała. Dlaczego zatrzymaliśmy się na tym odludnym parkingu? Dlaczego w ogóle jechaliśmy wzdłuż wybrzeża? Bądź co bądź nie jest to najkrótsza trasa.

Potrząsnęłam głową.

– Ależ to wyjaśnienie jest całkiem przekonujące. Że człowiek chce wykorzystać pogodny letni dzień, zamiast pędzić prosto do domu.

– Zazwyczaj tak – przyznał Matthew. – Ale widocznie w tym przypadku wszystko wydawało się podejrzane. Na parking zjechałem

tylko dlatego, że Max nie mógł dłużej wytrzymać w samochodzie. Skręciłem z głównej szosy w poszukiwaniu dogodnego miejsca, gdzie można by z nim trochę dłużej pobiegać.

Max, wylegający się pod stołem na naszych stopach, uniósł łeb, słysząc ponownie swoje imię. Wyciągnęłam rękę i pogłaskałam go. Poczułam na palcach jego ciepły oddech.

– Zaproponowałem Vanessie, żeby poszła z nami na spacer – ciągnął Matthew – lecz nie chciała. Uznała, że musi nabrać nieco dystansu. Ponieważ... w trakcie całej podróży żywo dyskutowaliśmy i w końcu się pokłóciliśmy.

Spojrzałam na niego zaskoczona.

Twarz wykrzywił mu grymas.

– Policji też się to nie spodobało. Zamiast zrealizować wszystkie owe przyjemne plany, z powodu których *rzekomo*, jak to określił prowadzący dochodzenie funkcjonariusz, wybrałem trasę wzdłuż wybrzeża, cały czas tylko się sprzeczaaliśmy. Ani nie poszliśmy popływać, ani nic nie zjedliśmy, wypiliśmy tylko gdzieś po drodze dwie kawy. Zapanowała między nami bardzo napięta atmosfera i... tak, właśnie dlatego Vanessa ostatecznie została w samochodzie, podczas gdy ja poszedłem z Maxem na spacer. A kiedy wróciłem, ona zniknęła. Bez śladu.

Usiłowałam uporządkować wszelkie informacje.

– Czy to znaczy, że policja podejrzewała pana?

– Owszem – przytaknął Matthew – przez jakiś czas byłem dla nich głównym podejrzanym. Jak mi oświadczone, w takich przypadkach zazwyczaj to właśnie mąż okazuje się ostatecznie winowajcą. Wszystko wydawało im się podejrzane: pokłóciliśmy się, po czym wywiozłem ją w odludne miejsce, w którym potem ponownie się pojawiłem, bez niej. W naszym samochodzie nadal leżała jej torebka wraz z wszystkimi dokumentami, kluczami, pieniędzmi, komórką. Mało prawdopodobne zatem, by sama, ot tak, zwyczajnie wyruszyła w drogę, nie mówiąc już o tym, że stamtąd byłoby to więcej niż trudne. Pojawiła się także teoria, że miała kochanka, który ją stamtąd zabrał, czy jednak uciekłyby z nim, niczego nie zabrawszy? Nawet dowodu osobistego? Karty kredytowej?

I skąd ów kochanek mógłby się tak szybko dowiedzieć, gdzie się znaleźliśmy? Nie planowaliśmy tej przerwy w podróży, to była spontaniczna decyzja, gdyż pies zaczął skamleć. Nie było mnie z Maxem w sumie jakieś trzydzieści minut. Czy w tak krótkim czasie Vanessa zdążyłaby wezwać kogoś telefonicznie? Pomijając fakt, że nie skorzystała ze swojej komórki. Poza tym – tu spojrział na mnie – poza tym w jej życiu nikogo nie było. Policja zwróciła mi wprawdzie uwagę na fakt, że zazwyczaj małżonek dowiaduje się o tym ostatni, jeśli w ogóle, lecz mimo to... Między nami wszystko się układało. Byliśmy szczęśliwi. Kochaliśmy się. Wyczułbym, gdyby coś się zmieniło. Tak jednak nie było.

– A... kłótnia? – zapytałam ostrożnie.

Wykonał znużony, niemal zrezygnowany ruch ręką.

– Ach, mój Boże, kłótnia! Policja tak bardzo to rozdmuchała, jakbyśmy byli śmiertelnie skłóconym małżeństwem, w którym stan permanentnej wojny zakończył się ostatecznie zbrodnią. Wcale tak nie było. Oczywiście, że nie zawsze mieliśmy identyczne zdanie, w sumie jednak bardzo rzadko się kłóciliśmy. Tym razem poszło o to, że otrzymałem świetną propozycję pracy w Londynie, którą koniecznie chciałem przyjąć, gdyż obawiałem się zwolnienia z dotychczasowej firmy. Vanessa bardzo lubiła swoją posadę wykładowcy na tutejszym uniwersytecie, za żadne skarby nie chciała się przenieść do Londynu. Uważała, że nie mogę tego od niej wymagać, ja zaś uznałem, że powinna zrozumieć moje obawy. Moim zdaniem cała ta sprawa nie potoczyłaby się tamtej niedzieli tak gwałtownie, gdybyśmy nie byli tak sfrustrowani i podenerwowani odwiedzinami u jej matki. Vanessa była w minorowym nastroju, mnie widok domu starców nie usposobił jakoś szczególnie radośnie. Ale przecież z tego powodu – Matthew gwałtownie potrząsnął głową – z tego powodu jej nie zabiłem! Przeciwnie, chciałem pójść z nią na spacer, chciałem zakończyć tę sprzeczkę. Dobrze rozumiałem jej argumenty. I wie pani, co jest najdziwniejsze?

– Nie.

Jego twarz wydała się nagle jeszcze bardziej znużona niż zwykle.

– Vanessa powiedziała wtedy, że zacznym wariować, bo martwię się na zapas. Wietrzę groźbę, że otrzymam wypowiedzenie, choć nikt jeszcze o nim nawet nie wspomniał. I miała rację. Nie zostałem zwolniony. Zamiast tego pół roku później awansowałem. Dziś jestem dyrektorem zarządzającym firmy. Niepotrzebnie wprowadziłem tylko zamęt, skutkiem czego Vanessie przytrafiło się coś straszego.

Spontanicznie sięgnęłam ponad stołem i dotknęłam jego dłoni.

– Matthew...

Sprawa miała wrażenie, jakby w ogóle nie poczuł mego dotyku ani też nie usłyszał mego głosu. Był zatopiony w myślach.

– W zwyczajnej sytuacji nigdy by nie została sama na parkingu. Lubiała biegać. Poszłaby ze mną i z Maxem. Nie byłaby sama, gdy...

Czekałam.

Uniósł wzrok, znów zauważył moją obecność.

– Tak, gdy... co się właściwie stało? Tego nie wiem. Nikt prócz sprawcy nie wie, co się na tym parkingu wydarzyło.

– Policja ma chyba jakąś teorię? Pomijając oczywiście tę, że w wyniku kłótni zamordował pan własną żonę.

– Owszem. Najpierw, jak wspominałem, brano pod uwagę istnienie podejrzanego kochanka. Założono, że Vanessa od dawna prowadziła podwójne życie i chciała z tym ostatecznie skończyć. Liczono się z możliwością szantażu. Wziąłem urlop i całymi dniami przesiadywałem w domu przy telefonie, na wypadek gdyby porywacz zażądał okupu. Wprawdzie nie jesteśmy jakoś szczególnie zamożni, ale dobrze się nam powodzi. Kilkuset tysięcy funtów można by się od nas domagać. Nikt jednak nie zadzwonił. Nikt.

– A na tamtym parkingu... nie znaleziono żadnych śladów czy wskazówek?

– Nie, nic. Policja prowadziła ze mną niekończące się rozmowy w nadziei, że przypomnę sobie coś, co mogłoby się okazać istotne dla sprawy. Wciąż się dopytywali, czy nie zauważyłem jakiegoś innego samochodu. Kogoś, kto przynajmniej przez jakiś czas za nami jechał.

Czy podczas spaceru z Maxem nie usłyszałem czegoś dziwnego. Łamałem sobie nad tym głowę, lecz niczego takiego nie pamiętałem. Spostrzegłem tylko jakiegoś wędrowca, znajdował się jednak w zbyt dużej odległości od parkingu. Nie mógłby do niego dotrzeć w tak krótkim czasie. Poza tym to był cichy, ciepły dzień, lato, zupełnie odludna okolica. Jedyne, co...

Matthew urwał.

– Tak? – zapytałam.

– Jedyne, co zwróciło moją uwagę i o czym od razu powiadomiłem policję, to dziwne zachowanie Maxa po powrocie na parking. Nim jeszcze się zorientowałem, że Vanessa zniknęła, pies stał się niespokojny i nerwowy. Strzygł uszami, jeżył sierść, warczał. Biegał po parkingu tam i z powrotem, czekał, przystawał na chwilę, jakby wietrzył jakiś trop. On od razu zrozumiał, że coś się wydarzyło. A to utwierdza mnie w przekonaniu, że ktoś tam był. Vanessa nie wyszła ot tak, na szosę, nie wsiadła do jakiegoś obcego samochodu i odjechała. To był napad. Po naszym odejściu na parking pojawił się ktoś obcy, i Max od razu o tym wiedział.

Oboje milczeliśmy. I cóż miałam powiedzieć? To była przerażająca historia, a najgorsze w niej to, że Matthew do dziś był zdany wyłącznie na domysły.

– Policja już chyba pana nie podejrzewa? – zapytałam po chwili.

A jednak, jak się dowiedziałam, nawet w tej kwestii nie został w pełni zrehabilitowany.

– Przynajmniej nie zdołano mi niczego udowodnić. Nie sądzę jednak, by ostatecznie skreślono mnie z listy podejrzanych. Sprawa zakończyła się niczym, odłożono ją tymczasem do akt. Vanessa jest jedną z wielu tysięcy osób, jakie rokrocznie w samej tylko Wielkiej Brytanii znikają bez śladu. Nawiązałem kontakt z wszelkimi organizacjami zajmującymi się tego typu sprawami, dzięki temu dane Vanessy oraz szczegółowy opis wydarzeń z 23 sierpnia 2009 roku są dostępne na różnych portalach internetowych. Jej zdjęcia, zdjęcia tamtego parkingu, naszego samochodu... Ale... i to właśnie najbardziej

deprymuje... one widnieją tam wśród setek innych zdjęć i historii, i nawet jeśli jej zaginięcie jest dla mnie osobistą tragedią, dla innych jest oczywiście jedną z wielu podobnych. Nie robię sobie wielkich nadziei: bo i kto miałby się nią zainteresować? Z początku było jeszcze kilka wskazówek, lecz wszystko spełzło na niczym i od dawna nikogo to już nie porusza.

– Sądzi pan, że ona jeszcze żyje? – odważyłam się zapytać.

Wzruszył ramionami.

– Nie mogę tak po prostu założyć, że nie żyje. To tak, jakbym zostawił ją własnemu losowi. Usiąść wygodnie, wmówić sobie, że ona i tak już nie żyje, i zacząć kształtować własną przyszłość. Sprzedać nasz duży dom, w którym czuję się zagubiony. Rozdać jej ubrania. Poszukać sobie mieszkania. Nawiązać nową znajomość. Wie pani, Jenno – spojrzał na mnie – czasem chciałbym... żeby do drzwi zapukała policja i oznajmiła, że odnaleziono jej zwłoki. To brzmi strasznie, prawda?

Wcale tak nie uważałam. Doskonale go rozumiałam.

– Wtedy mógłbym ją pogrzebać. Mógłbym ją opłakiwać. Mógłbym to zakończyć. Wreszcie znów mógłbym zacząć żyć.

Przy sąsiednim stoliku dał się słyszeć śmiech kobiety. Spojrzałam w tamtym kierunku. Siedziała przy nim para, trzymali się za ręce. Oboje byli w sobie zakochani, wprost zatopieni w uczuciach. Życie, miłość, przyszłość. W tej chwili wydali mi się odzwierciedleniem tego, o czym Matthew mógł jedynie pomarzyć.

Naraz Matthew uznał chyba, że za długo rozmawiamy o Vanessie.

– Dajmy już temu spokój. Obawiam się, że w dzisiejszy wieczór nie rozwikłamy tej sprawy. Proszę mi opowiedzieć o sobie. Jak się pani podoba w Swansea? Jak praca w „Healthcare”?

Przystąpiłam na zmianę tematu. Opowiedziałam o Brighton, o pracy, którą tam zostawiłam. O rozstaniu z Garrettem. Z sympatią wspomniałam o Alexii i Kenie, którzy pomogli mi przetrwać tę pierwszą samotną zimę w obcym mieście. Z całego serca przyznał mi rację.

– Vanessa przyjaźniła się z Alexią. Poznały się na którymś

z *workshopów*. Po zaginięciu Vanessy Alexia i Ken uznali za rzecz oczywistą, że powinni się o mnie zatroszczyć. Nigdy im tego nie zapomnę.

Zapytałam go o firmę programistyczną, którą kierował. Opisał mi nowy program komputerowy, nad którym właśnie pracowali. Nie zrozumiałam ani połowy z tego, co mówił, mimo to przysłuchiwałam się zafascynowana. Zafascynowana *nim*. Ujrzałam mężczyznę, jakim był poza ową obezwładniającą go tragedią. Odkryłam jego żywą naturę, jego radość życia, pasję, z jaką oddawał się swej pracy. Jego oczy teraz pobłyskiwały, kilka razy nawet się roześmiał, nie w sposób udręczony i gorzki, lecz radosny, swobodny. Zrozumiałam, jak bardzo pragnął powrócić do normalności, jak zupełnie dlań nienaturalny był sposób, w jaki żył od ponad dwu lat. Bardzo kochał Vanesę, wyraźnie to było widać, prawdopodobnie nadal darzył ją uczuciem. Lecz ona odeszła. Kochał jedynie jej wspomnienie. Jego zaś własne życie musiało się toczyć dalej.

Wyszliśmy z restauracji o dość późnej porze, oboje radośni i w dobrych nastrojach. Matthew był teraz zupełnie innym człowiekiem niż na początku wieczoru – różnił się również od tego, którego poznałam u przyjaciół w miniony piątek. Zanim wsiedliśmy do samochodu, pospacerowaliśmy jeszcze z Maxem wzdłuż wybrzeża. Kiedy dotarliśmy pod dom, w którym mieszkałam, Matthew zatrzymał samochód i wyłączył silnik. Spojrzał na mnie.

– Jenna, chciałbym się z panią znów zobaczyć. Czy to możliwe?

– Oczywiście.

– Zna pani sytuację, w jakiej się znalazłem, i pewnie pani wie... Cóż, po prostu nie mam pojęcia, dokąd nas to zaprowadzi, rozumie pani?

Ratowałam się ogólnikowym stwierdzeniem.

– Tego nie można wiedzieć. To znaczy, kiedy dwoje ludzi w jakiś sposób się z sobą wiąże, nigdy nie wiadomo, jak się to skończy.

– To prawda, ale... zazwyczaj okoliczności są bardziej sprzyjające niż w moim przypadku.

– Jest jak jest. I uważam, że... – Szukałam odpowiednich słów. –

Moim zdaniem nie powinno się od tego uciekać. Także w obliczu niekorzystnych okoliczności. Człowiek rozmyśla później o straconej szansie, a to uważam za gorsze od sytuacji, w której szansę się wykorzystało, by na końcu stwierdzić, że to niestety nie zadziało.

Dostrzegłam uśmiech na jego twarzy.

– Jest pani pierwszą kobietą, z którą się umawiam, od kiedy zaginęła Vanessa.

– Zawdzięczamy to Alexii – odparłam. – To ona chciała, byśmy oboje znaleźli się dokładnie tu, gdzie teraz jesteśmy.

– Alexia próbowała już tego z wieloma innymi kandydatkami – wyznał Matthew – nigdy jednak między nami nie zaiskrzyło.

– Nie był pan jeszcze gotów.

– Te kobiety nieszczególnie mi się podobały. Jenna, pani jest... cóż, pomijając oczywiście to, że jest pani osobą mądrą, pełną życia, wrażliwą... Jest pani także piękną kobietą. Ale o tym zapewne pani doskonale wie.

Byłam w siódmym niebie. Miło jest słuchać, że jest się mądrym, pełnym życia i wrażliwym, lecz jeśli mam być szczerą, szczególną radość sprawiła mi świadomość, iż Matthew uważa mnie za urodziwą. Kiedy byłam nastolatką, a także później, gdy skończyłam lat dwadzieścia, mężczyźni uganiaли się za mną jak szaleni, i mówiąc zupełnie otwarcie, konsumowałam ich w sporych ilościach, często bez zastanowienia. Całą moją późniejszą młodość oraz atrakcyjność ofiarowałam, niestety, wyłącznie Garrettowi, temu zakochanemu w sobie pozerowi. A teraz, mając trzydzieści dwa lata na karku, byłam już niemal przekonana, że okres rozkwitającej młodości mam za sobą i że przez mój nieszczęśliwy związek oraz rozstanie przeobraziłam się w osobę strapioną, ze ściągniętymi kącikami ust. Najwyraźniej tak się jednak nie stało. Wyczuwałam, jak bardzo w owej chwili pociągałam Matthew. Cokolwiek zdarzyło się wcześniej, cokolwiek miało jeszcze nadejść, w trakcie tych minut spędzonych w samochodzie postać Vanessy przyblakła niemal nie do poznania. Matthew był po prostu mężczyzną, a ja kobietą, i oboje mocno zatęskniliśmy za miłością,

przede wszystkim cielesną – on także, byłam tego pewna. Był zbyt dobrze wychowany, by podczas pierwszej randki choćby o tym napomknąć, wiedziałam jednak, że gdybym tylko, najdrobniejszym bodaj gestem, zasygnalizowała moją gotowość, poszedłby razem ze mną do mojego mieszkania. Jedyne, co mnie powstrzymywało, to strach. Strach przed porankiem. Wprawdzie nie sądziłam, że jego uczucia zostały rozbudzone jedynie przez ów wspólnie spędzony wieczór, blask księżycy oraz alkohol – choć ten ostatni element bez wątplenia dopomógł mu się rozluźnić – potrafiłam sobie wszakże wyobrazić, że nazajutrz, w trzeźwym świetle dnia, jego poczucie winy w stosunku do Vanessy dopadnie go niczym jakiś drapieźnik czający się w kącie pokoju. Tego chciałam sobie oszczędzić. Bądź co bądź długoletni toksyczny związek z Garrettem nauczył mnie jednego: nigdy więcej nie zrobię świadomie nic, co miałoby mnie unieszczęśliwić. Będę pilnować swego dobrego samopoczucia.

Nachyliłam się ku niemu i pocałowałam spieszenie w policzek.

– Dziękuję, Matthew. Za uroczy wieczór.

Wysiadł razem ze mną i odprowadził mnie do drzwi. Tam wzięliśmy się na chwilę w ramiona.

– Zobaczymy się jutro? – zapytał. – Czy może to za wiele?

– Z przyjemnością – odparłam. Pognałam po stromych schodach, musiałam coś zrobić z rozpierającą mnie energią i poczuciem szczęścia. W mieszkaniu migiała dioda automatycznej sekretarki. To znów Garrett, który wyraźnie urażonym głosem napominał, że nie można mnie już w ogóle zastać w domu, nawet o tak późnej porze.

Zrobiłam coś, co jeszcze do niedawna byłoby nie do pomyślenia: przerwałam to kazanie, rozłączając się w trakcie jego lamentacji.

Zwyczajnie przerwałam mu w pół słowa. Już mnie nie interesował.

Dzieliły nas całe lata świetlne.

Był piątek, dlatego mógł wyjść już o trzeciej. Znalazł pracę w punkcie ksero na Dimond Street. Ryan wiedział, że ma powód do zadowolenia, iż ktoś w ogóle dał mu pracę – mimo kary więzienia, mimo orzeczenia o *ciężkim uszkodzeniu ciała*, które przywarło do niego niby jakaś paskudna woń. Jego kurator sądowy Melvin Cox, dość przenikliwy wesolek o cechach niezłomnego idealisty, wystarał się dla niego o tę posadę i w miniony wtorek osobiście go tam zaprowadził. Stwierdził, że Ryan i Dan, właściciel niewielkiego punktu kserograficznego, w którym sprzedawano także prasę i papierosy, od razu „świetnie się dogadują”. Była to euforyczna opinia, której ani Dan, ani Ryan nie podzielali. Właściwie od samego początku nie mogli się znieść, jednakże Dan był chyba zdania, że niekoniecznie musi lubić swych pracowników, by korzystać z ich usług, Ryan zaś zdawał sobie sprawę, że tak czy owak nie ma wyboru. Do normalnego życia mógł powrócić jedynie poprzez pracę, wciąż mu to powtarzano w więzieniu, wciąż mu to powtarzał Aaron, jego adwokat. Melvin Cox dał zresztą w tę samą dudkę. Pominąwszy ich słowa, również sam Ryan pojmował, że to konieczność. Wiedział jedno: nigdy więcej nie chciał się znaleźć za kratkami. Wolałby umrzeć. Dlatego nigdy, przenigdy nie wolno mu było wdawać się w jakiegokolwiek kryminalne machinacje, a to oznaczało, że od tej pory musi zarabiać na życie wyłącznie w uczciwy sposób.

Szybko zrozumiał, że Dan nie zatrudnił go powodowany miłością bliźniego. W punkcie ksero nie było zbyt wielkiego ruchu, z taką ilością pracy w zasadzie poradziłby sobie bez problemu jeden człowiek. Dan po prostu poszukiwał kogoś, kogo mógłby szykanować, kim mógłby pomiatać. Posiadanie pracownika traktował wyraźnie jako sposób dowartościowania własnej osoby. Czuł się niemal jak wielki

przedsiębiorca. Nadto jedynie w niewielkiej części musiał finansować pensję Ryana, dwie trzecie kosztów ponosiło państwo w ramach programu resocjalizacji. Dzięki temu zatrudnienie Ryana stało się dla Dana lukratywnym posunięciem. Był to człowiek niskiego wzrostu, w ocenie Ryana miał nieco ponad metr sześćdziesiąt, i usiłował to sobie zrekompensować, zachowując się jak jakiś wódz. Ryan przerastał go o dwie głowy i mimo pobytu w więzieniu był muskularny i wysportowany. Wykorzystywał tam każdą sposobność do podtrzymania formy, był teraz nawet w lepszej kondycji niż uprzednio. Wyczuwał, że Dan nie znosi go ze względu na jego wzrost, wysportowaną sylwetkę i tężyznę fizyczną. Traktował go protekcyjnie, czasem nie zwracał się do niego po imieniu, lecz wołał na niego: *ty, odsiadkowicz*. Ryan musiał to przełknąć, zachowywał się tak, jakby to pejoratywne określenie w ogóle go nie obchodziło. Przekonał się przy tym, że trening tłumienia agresji rzeczywiście coś w nim zmienił. Wiedział, że dawniej najdalej przy trzecim czy czwartym razie nie wytrzymałby i posłałby swą pięść w kierunku głupekowatej twarzy Dana, tak iż ten potrzebowałby następnie pomocy chirurga plastycznego. Wtedy jednak przepadłaby jego praca, on zaś wyładowałby z powrotem za kratkami. Ignorowanie Dana przychodziło mu zadziwiająco łatwo. Zarówno jego obraźliwe określenia, jak i szykany; całymi godzinami musiał stać za kserokopiarką, musiał parzyć kawę i pędzić do fast foodu po obiad, musiał biegać jako posłaniec i w zasadzie zastępować Dana, który zazwyczaj wylegiwał się w kącie, pogrążony w lekturze czasopism o motocyklach. W normalnych okolicznościach nawet w piątek nie mógłby wyjść wcześniej, jednakże dziś w zakładzie pojawiła się dziewczyna Dana i stało się jasne, że chcą zostać sami.

– Miłego popołudnia, *odsiadkowicz* – rzekł Dan pogardliwie. – Możesz już spadać. Do jutra!

Sklep był oczywiście otwarty również w sobotę. To jednak Ryanowi nie przeszkadzało. Lepsze to niż wałęsanie się przez cały weekend po mieszkaniu Nory.

Nie spieszył się z powrotem do domu. Mimo propozycji Nory, by korzystał z jej samochodu, zdecydował się chodzić codziennie do pracy piechotą, choć musiał przez to wstawać kwadrans wcześniej. Nie chciał jednak jeszcze bardziej się od niej uzależnić. Zarabiał obecnie trochę grosza, ale nie wystarczało to na własne mieszkanie, mógłby co najwyżej wynająć gdzieś pokój. Poza tym Melvin Cox popierał pomysł wspólnego mieszkania z Norą.

– Koniecznie zostań u swojej dziewczyny – oświadczył już podczas pierwszej rozmowy. – Równowaga emocjonalna to teraz dla ciebie rzecz najwyższej wagi!

– Ona nie jest moją dziewczyną – zaproponował Ryan.

– Ale jest dla ciebie kotwicą. Człowiekiem, który cię wspiera, który się o ciebie zatroszczy. Ryan – słowa Melvina brzmiały poważnie. – Ryan, ważne, byś się teraz nie narażał na żadne ryzyko. Nie możesz wrócić do dawnych zachowań. A to oznacza przede wszystkim: żadnego kontaktu z dawnymi znajomymi. To ludzie, których musisz bezwzględnie unikać. Nie lekceważ niebezpieczeństwa, że naraz mógłbyś się poczuć bardzo samotny i zapukać do drzwi, za którymi nie czeka cię nic dobrego. W osobie Nory Franklin znalazłeś człowieka, który po prostu jest przy tobie. To sympatyczna, twardo stąpająca po ziemi kobieta, bardzo ci oddana. Wykorzystaj tę szansę!

Podczas owej rozmowy uzmysłowił sobie, że jego kurator i Nora najwyraźniej się znali. Wieczorem zagadnął ją o to. Nora przyznała, że kilka dni przed jego zwolnieniem Melvin złożył jej wizytę i chciał z nią porozmawiać.

– Dobrze się rozumieliśmy, Ryan. I zgodziliśmy się co do tego, że koniecznie musimy ci pomóc. To miły człowiek. Dobrze ci życzy!

„Jasne. Dobrze mi życzy. Nora dobrze mi życzy. Wszyscy dobrze mi życzą. No cóż, Dan pewnie nie”. Lecz w jego obecności czuł się chyba najlepiej. Dan traktował go jak śmiecia, ale przynajmniej nie dawał mu ciągle odczuć, że jest istotą zupełnie niesamodzielną, która musi się oddać pod opiekę innych, by w ogóle móc przeżyć. Język, jakim posługiwał się Dan, brutalny i obraźliwy, znał z więzienia. Natomiast

słowa Nory oraz jej zachowanie go przytłaczały. Ta kobieta zmieniała go w swoje stworzenie, nieomal w swoją własność. Gotowała mu, prała jego rzeczy, kupowała mu prezenty, drobiazgi, parę nowych skarpet, koszulę, książkę, o której jej opowiadał. Co wieczór starannie nakrywała do stołu, siadała naprzeciw niego z uśmiechem na twarzy, opowiadała o swojej pracy, o pacjentach, wypytywała, co u niego słyhać. Miał wrażenie, jakby już byli małżeństwem. Była przeschęśliwa, że u niej zamieszkał, celebrowała wspólne życie, którego on nie potrafił odbierać w podobny sposób. Podejrzewał, że wśród znajomych zapewne nazywa go już swoim przyjacielem, swego rodzaju życiowym partnerem. Nim się obejrzy, będzie chciała go im przedstawić.

„Poczekaj tylko – pomyślał ze złością – zobaczymy, co twoi znajomi powiedzą na mój życiorys. Wielokrotnie skazany, wyroki w zawieszeniu, potem dwa i pół roku za kratkami. A może chcesz mi ułożyć nową biografię, zanim mnie oficjalnie zaprezentujesz?”.

W ten piątek włókł się do domu nad wyraz powoli, choć wiedział, że Nora wróci dopiero pół do szóstej. Bał się, że znowu zacznie pleść o czekającym ich wspólnym weekendzie, ściśle mówiąc: o niedzieli.

– Powinniśmy razem zorganizować coś miłego – zaproponowała poprzedniego wieczoru, po czym dodała z jaśniejącym wzrokiem: – Może pojeździlibyśmy trochę po Coast Park? Pokazałabym ci miejsca, które szczególnie lubię.

Wzdrygnął się, jakby ktoś pchnął go nożem.

– No... nie wiem. – Desperacko próbował wymyślić jakąś przekonującą wymówkę. W końcu zdecydował się wyznać prawdę, w każdym razie półprawdę: – Jako dziecko miałem Coast Park tuż pod nosem. Przez jakiś czas mieszkaliśmy w Camrose...

Przypomniała sobie, że opowiadał jej o tym w więzieniu.

– Zgadza się. Mieszkałeś przecież w Camrose.

– Tak.

Zastanawiał się, czy było to po nim widać. Że całe jego ciało oblewał pot – dokładnie tak, jak tamtego wieczoru – i że w ciągu sekundy zaschło mu w ustach – dokładnie tak, jak tamtego wieczoru – a w

głowie huczała mu pulsująca krew – dokładnie tak, jak tamtego wieczoru. Pomyślał, że musiała zauważyć, iż był ogromnie zmieszany, ona jednak spoglądała na niego przyjaźnie i uśmiechała się wyczekująco.

– W takim razie ty również mógłbyś mi pokazać swoje ulubione miejsca. Może wówczas dowiedziałabym się czegoś więcej o tym, jakim byłeś dzieckiem.

O tak! Może zaczniemy od Lisiej Doliny! Mógłbym ci pokazać kryjówkę, w której tak chętnie chronił się mały chłopiec. Jaskinię, która należała tylko do mnie. I do dziś tylko do mnie należy. Na nieszczęście znaleźlibyśmy tam coś, co...

Nawet w myślach nie potrafił pójść dalej niż do tego miejsca. Wyobrazić sobie, co mogliby znaleźć w jaskini. Te obrazy zdołał jedynie wyrugować, zepchnąć tam, gdzie sam nie mógł już sięgnąć. Rozwinął w sobie tę strategię w trakcie pierwszych miesięcy spędzonych w więzieniu, w przeciwnym bowiem razie pewnie by oszalał. Sam nie wiedział, jak tego dokonał, niemniej udało mu się zupełnie odciąć od tego zdarzenia. To się naprawdę wydarzyło, lecz on nie miał z tym nic wspólnego. Jakiś inny Ryan z innego czasu i innego życia znalazł się wówczas w okropnej sytuacji, w której wszelkie możliwe okoliczności niefortunnie sprzysięgły się przeciwko niemu. O tamtym Ryanie nie rozmyślał. Zawsze kiedy się do niego zbliżał, miał zawroty głowy, robiło mu się niedobrze, czasem nawet dostawał gorączki. Dokładnie tak jak wówczas.

Przyspieszył kroku, by się otrząsnąć z tych myśli. Nie chcąc tracić pewności siebie, wyjaśnił Norze, iż akurat nie pragnie konfrontacji z własnym dzieciństwem. Nora zarzuciła swój pomysł wyprawy do parku, była jednak tak bardzo zawiedziona, że nie miał wątpliwości, iż ponowi próbę. Choćby dlatego, że bardzo ją ciekawiły szczegóły jego dzieciństwa. Chciała na wskroś przeniknąć jego osobę. Była typem kobiety, której trzeba pokazać mieszkanie, w którym spędziło się dzieciństwo, szkołę, do której się uczęszczało, ławkę w parku, na której się całowało z dziewczyną. I odwrotnie, należało oczywiście poznać

wszystkie istotne rozdziały jej życiorysu. Dla niej to właśnie stanowiło o przyjaźni – czy nawet o miłości.

Dla niego był to koszmar.

Nagle zrozumiał, że nie przetrzyma tego piątkowego wieczoru. Nie dlatego, iżby uważał Norę za okropną kobietę. Miał wrażenie, że ta jej normalność zaczyna go wprost przyduszać. Z jednej strony Nora i jej nakryty stół, świece, wino, jej uśmiech, jej plotki. Z drugiej zaś poczucie całkowitego osamotnienia. Owa bezpośrednia bliskość człowieka, który dobrze mu życzył. A mimo to jego samotność była bardziej bolesna i męcząca niż kiedykolwiek podczas pobytu w więzieniu.

Dotarł do domu, wbiegł na górę i wszedł do mieszkania. Porwał kluczyki do samochodu, wiszące na haczyku obok drzwi, chwycił je jak tonący chwyta się brzytwy. Sama mu zaproponowała, że może wziąć jej samochód, kiedy tylko będzie go potrzebował.

Ta chwila właśnie nadeszła.

Był zaskoczony, widząc, że wszystko wygląda zupełnie tak samo. Nic w tym jednak dziwnego: dwa i pół roku to nie tak długo, cóż miałyby się zmienić? Jako że jego życie zdawało mu się niby wykorzenione, pozbawione jakiegokolwiek zakotwiczenia, całkowicie pogmatwane i pod żadnym względem nieporównywalne z niczym, co istniało wcześniej, poczuł się zdumiony faktem, że świat wokół niego pozostał niezmieniony. Jak zawsze zaparkował swój samochód, a właściwie samochód Nory, w pewnej odległości od mieszkania Debbie i ruszył znajomymi ulicami, rozpoznając wszystko dookoła: parking na rogu Glenmorgan Street wciąż jeszcze istniał, podobnie jak schronisko dla bezdomnych. Dwa domy dalej przed drzwiami stała miska z mlekiem dla kota, zupełnie tak jak dawniej. W końcu Ryan dotarł pod dom, w którym mieszkała Debbie. W najwyższym rzędzie okien odbijało się wieczorne słońce.

Błyskawicznie pojawiły się obrazy. Mrok nocy. Czekający na niego policjanci. Jego rozpaczliwa, daremna próba ucieczki.

Przystanął na chwilę, największym wysiłkiem woli otrząsnął się z natłoku wspomnień.

To już skończone. Na zawsze.

Miał nadzieję, że zastanie Debbie w domu. Założył, że nadal jest zatrudniona w firmie zajmującej się sprzątaniami, co oznaczało, że pracuje w mało przejrzystym, i jego zdaniem chaotycznym, systemie zmianowym. Było już jednak po piątej, do tego piątek, istniała zatem realna szansa, że wróciła do domu. Oczywiście może nie być sama, a wtedy będzie się musiał czym prędzej pożegnać.

Debbie była jedyną osobą, którą jak mu się wydawało, był w stanie tego dnia ścierpieć. Dawno temu byli parą zakochanych, później doszło

do rozstania. Ściśle mówiąc: Debbie od niego odeszła, on chętnie by z nią został. Ani razu nie odwiedziła go w więzieniu, ani razu do niego nie napisała, a jednak nie miał jej tego za złe. Wiedział, że zawsze starała się trzymać z dala od środowiska przestępczego, nigdy nie pozwalała się wikłać w tę sferę życia. To dlatego doszło wówczas do rozstania, to dlatego wzbraniała się utrzymywać z nim kontakt po jego aresztowaniu. Kiedy jednak nie miał się gdzie podziać, bez chwili wahania przyjęła go pod swój dach. Oł, i cała Debbie. Jeśli jej potrzebował, była przy nim. Nie litowała się nad nim, nie niańczyła go, nie poddawała go terapii, nie pogardzała nim, nie bała się go. Dla Debbie było to zawsze coś oczywistego: Ryan, jej przyjaciel, który ciągle wpadał w tarapaty. Akceptowała go, nigdy jednak nie aprobowała jego świata.

Tego dnia wydała mu się jedynym prawdziwym, trwałym filarem jego życia.

Wystarczyło, jak dawniej, pchnąć drzwi. Na klatce schodowej unosił się niezmiennie zapach środków czyszczących oraz odświeżacza powietrza, który żona właściciela domu szcudrze rozpylała kilka razy dziennie. Z mieszkania na pierwszym piętrze dobiegały dźwięki muzyki. Zerknął w górę, lecz nie było tam nikogo, kto mógłby go zauważyć. Nigdy nie był tu mile widziany i nie chciał, by Debbie miała przez niego nieprzyjemności.

Przy wejściu do jej mieszkania na parterze nie było dzwonka, dlatego zapukał w drzwi z taniego drewna. Znak, który niegdyś wspólnie uzgodnili: trzy razy krótko, trzy razy długo. W ten sposób od razu wiedziała, kto stoi za drzwiami. I mogła zdecydować, czy mu otworzyć.

Był zszokowany, kiedy ją wreszcie zobaczył. Tak długo nie otwierała, że już miał odejść. Potem jednak dosłyszał ciche, powolne kroki. Drzwi otworzyła bardzo wolno, to było do niej zupełnie niepodobne. Debbie była osobą szczerą, bezpośrednią. Nie byłoby

w tym nic dziwnego, gdyby postanowiła nigdy więcej się z nim nie spotkać i kazałaby mu stać za drzwiami. Albo by je otworzyła. Ale z impetem. Nie zwlekając.

Wyglądała okropnie. Nos bezkształtny, napuchnięty. Rozcięte wargi. Połyskujący krwiak nad prawym okiem. Stała przed nim zgarbiona, jakby czuła ból w całym ciele i nie mogła się całkiem wyprostować. Zarzuciła na siebie szlafrok, stopy miała bose. Jej nieumyte włosy najwyraźniej od kilku dni nie miały kontaktu z grzebieniem. I z prostownicą, którą formowała swe loki przy każdej nadarzającej się okazji.

– Ryan – powiedziała. Słowo to zabrzmiało niemal jak szloch.

– Debbie! Boże, Debbie! – Wszedł do mieszkania i zamknął za sobą drzwi. Cokolwiek miało teraz nastąpić, nie mógł dłużej stać na klatce schodowej. – Debbie! Co się stało?

Ruszyła przodem. Weszli do jej niewielkiego, zawsze nieco ciemnego pokoju dziennego, w którym panował mało przytulny bałagan. Debbie zawsze pedantycznie pilnowała porządku. Teraz jej ubrania były rozrzucone po całym pokoju, na fotelu leżał zwinięty w kłębek ręcznik. We wnętrzu unosiła się nieprzyjemna woń psującego się jedzenia, Ryan dostrzegł na stole szklanę żółtawego, prawdopodobnie skwaśniałego mleka, obok niej do połowy opróżniony talerz zupy z makaronem. Debbie sprawiała wrażenie, jakby nie potrafiła już po sobie sprzątać. Wydawało się, że z niczym już nie potrafi się w życiu uporać.

Osunęła się na fotel, na którym leżał ręcznik. Ukłękął przed nią, spojrzał na nią, po czym uniósł dłoń i ostrożnie dotknął jej policzka.

– Co się stało? – powtórzył.

Debbie chciała odpowiedzieć, zamiast tego zalała się łzami. Nie wybuchnęła gwałtownym szlochem, po twarzy popłynęły tylko ciche łzy.

Wyczekiwał, ściskając jej dłonie. Debbie nigdy nie wyglądała na osobę potrzebującą opieki. Teraz jednak miała w sobie coś ze zrozpaczonego dziecka, które nie potrafi już uporać się ze światem.

Przydarzyło jej się coś strasznego, przekonywał go o tym wyraz jej twarzy, lecz również wygląd całego mieszkania. Zrozumiał, że potrzebuje czasu, dlatego umilkł i czekał. Po upływie połowy wieczności uniosła wreszcie głowę, uwolniła jedną dłoń i otarła nią łzy, pojękując przy tym cicho. Jej twarz musiała być jedną wielką gorejącą raną.

– Zostałam zgwałcona – szepnęła.

Aż poczuł, jak blednie.

– Nie, Debbie!

Skinęła głową.

– A jednak. W poniedziałek wieczorem.

– W poniedziałek? – Przemknęło mu przez myśl, że tego właśnie dnia wypuszczono go na wolność. Jego pierwszy wieczór u Nory Franklin. Zamknął się w pokoju gościnnym i szlochał. Podczas gdy ktoś... jego Debbie...

– Kto? Wiesz, kto to był? – zapytał.

– Nie. Było ich dwóch. W pobliżu mariny. Późnym wieczorem.

– Co ty robisz późnym wieczorem w marinie? – zapytał i zaraz potem ugryzł się w język. Nie chciał, by jego słowa zabrzmiały jak wyrzut, ale tak właśnie odebrała je Debbie, gdyż cofnęła się i rzekła:

– Ach, to tak. Jasne. Kobieta, która włóczy się sama po nocy, nie powinna się dziwić, prawda?

– Nie, oczywiście, że nie. Przepraszam, Debbie, nie to miałem na myśli. Chciałem się tylko dowiedzieć, jak do tego doszło... Ja... Debbie, nie mogę w to uwierzyć!

Monotonnym głosem opowiedziała o swej wizycie w pubie, o flirtującym z nią Glenie, tak zapalczywym, że w końcu zrobiło się dość późno. W drogę powrotną ruszyła sama, choć Glen zaproponował, że ją odprowadzi.

– Ale nie chciałam iść z nim do łóżka, rozumiesz? W ogóle nic od niego nie chciałam. To taki mizerny żonaty kołtun szukający przygody.

– Debbie, jasne, że nie chciałaś mieć z nim nic wspólnego. Oczywiście.

Opowiedziała o napadzie dwóch mężczyzn, których twarzy nie mogła zobaczyć, gdyż założyli na głowy pończochy.

– Z otworami na oczy. Przeróżające.

– W takim razie musieli się kręcić po okolicy w złych zamiarach – uznał Ryan – bo taką maskę nie zawsze ma się pod ręką.

– Policja jest podobnego zdania – potwierdziła Debbie. – Przesłuchiwali mnie bez końca, twierdzą, że te dwa typy mogły mnie sobie upatrzeć. To oznaczałoby, że być może pochodzą z mojego środowiska. Ale... – wzruszyła bezradnie ramionami – nie potrafię pomóc policji, rozumiesz? Nie znam nikogo, kto mógłby zrobić coś takiego. I nie mam zielonego pojęcia, dlaczego ktoś wybrał mnie na ofiarę. Poza tym nikt nie wiedział, że tamtego wieczoru będę akurat w tym pubie. To była całkiem spontaniczna decyzja.

– A ten gość, który cię podrywał...?

– Glen? Nigdy w życiu. Poza tym to on mnie potem uratował. Szedł za mną. Całe szczęście. Leżałam poraniona na ziemi, w ogóle nie mogłam się ruszyć, było zimno, krwawiłam... Nie mogłam dosięgnąć mojej komórki, myślałam, że umrę... – Przełknęła. Niemal się rozpląkała, zdołała jednak powstrzymać łzy. A potem jakby nagle do niej dotarło, że o dziwo, siedzi przed nią Ryan.

– Wypuścili cię? – zapytała zaskoczona.

– Tak. W poniedziałek. Przedterminowe zwolnienie. Za dobre sprawowanie.

– Gdzie mieszkasz?

Zawahał się, postanowił jednak wyznać prawdę.

– U pewnej kobiety. W Pembroke Dock. Pisywała do mnie do więzienia, zaprzyjaźniliśmy się, a potem zaproponowała, bym u niej zamieszkał.

– Rozumiem.

– Nie, nie rozumiesz. Nic mnie z nią nie łączy. Po prostu nie wiedziałem, dokąd miałbym pójść. A ona jest w porządku. Mam nawet pracę.

Po raz pierwszy odkąd go wpuściła do mieszkania, na jej twarzy

pojawił się uśmiech. Przytłumiony, nieśmiały, całe lata świetlne odległy od szerokiego, promiennego uśmiechu, jaki znał.

– Naprawdę? Ryan zaczyna mieszczański żywot? Tym razem ostatecznie?

– Czemu nie?

– Tak, czemu nie? – Powiedziała to bez cienia cynizmu. – Ty także dorastasz, Ryan. Dojrzewasz.

– Nie chcę nigdy więcej trafić za kratki, Debbie. Zrobię wszystko, by tak się nie stało. – Rozejrzył się po zabałaganionym pokoju, po czym wstał energicznie. – Posłuchaj, zrobię ci najpierw coś do jedzenia. Masz w kuchni jakieś zapasy?

– Chyba tak. Nie miałam tylko sił... – Wskazała na stół, na którym stał osamotniony, opróżniony do połowy talerz. – Zupę ugotowała mi policjantka, gdy się tu zjawiała. Wysłałam wczoraj ze szpitala na własne żądanie. To miła kobieta. Naprawdę chce mi pomóc. Ale nie sądzę, bym poczuła się lepiej, kiedy złapią tych drani. To w istocie niczego nie zmieni. Nie zmieni tego, co zaszło.

– Ale przyniesie ci choć odrobinę zadośćuczynienia. Oni muszą zapłacić za krzywdę, jaką ci wyrządzili.

– To było takie dziwne. – Jej głos znów zabrzmiał monotownie, jak przedtem, gdy opisywała mu przebieg wydarzeń. – Wciąż miałam wrażenie, że... No więc, choć wyda się to szalone, miałam wrażenie, że im nie chodziło o seks. To nie byli prawdziwi przestępcy seksualni. Oni... byli tacy obojętni. Nie zależało im na tym, by zaspokoić swój popęd albo jakieś sadystyczne fantazje. Odniosłam wrażenie, jakby wypełniali czyjeś zlecenie. W sposób profesjonalny i niezawodny. A przy tym... lodowaty aż do szpiku kości. Gdyby otrzymali polecenie załadunku na statek jakiegoś kontenera, wykonaliby je równie sumiennie, bez jakichkolwiek emocji, jak wówczas, gdy mnie zgwałcili i stłukli prawie na śmierć. To było... Ach – z trudem podniosła się z miejsca – może to wszystko tylko sobie wmawiam. Może w ogóle nie mam pojęcia, co naprawdę się wtedy wydarzyło.

– Czy opowiedziałaś o tym policji? O tym... wrażeniu, jakie miałaś?

– Tak. Zaciekawilo ich to.

„Z całą pewnością” – pomyślał Ryan. Przeszyło go niedobre uczucie, uznał jednak, że pewnie to tylko jego wyobraźnia.

Czy to wszystko może mieć z nim coś wspólnego? Czy to przypadek, że Debbie została ofiarą napadu w dniu, w którym on znalazł się na wolności?

Przeszedł do kuchni, która prezentowała się nie lepiej niż pokój dzienny. Przez chwilę stał niemal bezradnie wśród tych wszystkich opróżnionych do połowy szklanek z wodą i rozrzuconych ścierek, zauważył otwartą, cuchnącą już konserwę, którą Debbie, pewnie w przypływie głodu, zamierzała zjeść, lecz pozostawiła nietkniętą, przypuszczalnie wskutek napadu mdłości. Kuchnia wyglądała równie przerażająco jak twarz Debbie. Ryan zastanawiał się, ile pozostanie z owej dawnej Debbie, gdy upłynie nieco czasu.

Zabrał się do pracy. Uprzątnął nadpsute jedzenie, ułożył naczynia w zmywarce, wytarł szmatką blaty do czysta. Znalazł puszkę z zupą pomidorową, podgrzał ją, do tego pokroił biały chleb i zrobił tosty. „Dziwna zamiana ról” – pomyślał. Dawniej to on był owym bałaganiarzem, po którym Debbie sprzątała, wciąż wygadując. Dawniej to Debbie upierała się przy tym, by przygotowywać porządne posiłki, podczas gdy on całymi miesiącami mógłby się żywić wyłącznie w Burger Kingu. Teraz to on zatroszczył się o porządek, rozmyślając przy tym, co mógłby zrobić, żeby dodać Debbie nieco sił. Przez cały czas zadreślało go również pytanie, czy to Debbie miała się stać ofiarą napadu. Czy może jednak była to wiadomość dla niego, Ryana.

Zdawał sobie rzecz jasna sprawę, że Damon nie zostawi go w spokoju. W dniu zwolnienia uświadomił sobie, że jego dręczyciel znów nawiąże z nim kontakt. Damon dysponował gigantyczną siecią znajomości, więc z całą pewnością wiedział o wypuszczeniu go na wolność. Prawdopodobnie znał też miejsce jego pobytu, adres mieszkania Nory w Pembroke Dock. Damon chciał odzyskać swoje dwadzieścia tysięcy funtów. Ponieważ zaś bez krzty litości zwykł samowolnie doliczać do istniejących długów odsetki, należało

przypuszczać, że podczas pobytu Ryana w więzieniu suma ta dość znacznie wzrosła. Przez cały tydzień usiłował wyrugować Damona ze swych myśli, teraz jednak uświadomił sobie, że tak naprawdę przez cały ten czas wyczekiwał znaku od swego wroga. Tak bowiem określał go w myślach: jako swego *wroga*. To Damon i jego okrutne metody zastraszania były powodem, dla którego uwikłał się w tę straszną historię z sierpnia 2009 roku...

Zdrętwiał, gdy jego mózg miał przywołać imię jego ofiary. Tak więc Damon uwikłał go w tę *historię* i tym samym ponosił winę za jego koszmary i lęki. To byłoby w jego stylu, gdyby kazał swym ludziom zgwałcić byłą partnerkę Ryana, żeby mu uzmysłowić, że czekają go poważne kłopoty, jeśli czym prędzej nie zwróci mu pieniędzy.

„Być może to zwykły przypadek – przemknęło Ryanowi przez myśl. – Niekoniecznie ma to związek ze mną. Może to byli zwyczajni kryminaliści wałęsający się po porcie z zamiarem dokonania napadu, a Debbie miała po prostu pecha, że znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie”.

Postawił na tacy dwa talerze z zupą oraz dwie szklanki z wodą mineralną i zaniósł je do pokoju. Debbie stała przy oknie. Wyglądała tak mizernie, że aż ścisnęło go za serce. Do tego jeszcze te rany na twarzy...

„Cholera, Damon, jeśli to ty, już ja cię załatwię” – pomyślał z nienawiścią i wściekłością, wiedział jednak, że nigdy do tego nie dojdzie. Nikt nie *załatwi* Damona. Nawet policja. Niektórzy ludzie twierdzili, że Damon miał dobre kontakty nawet w kręgach polityków. Wydawał się nietykalny.

Ryan nakrył do stołu.

– Chodź, Debbie, musisz coś zjeść. Musisz nabrać sił!

Przykuśtykała do stołu, usiadła, na widok zupy potrząsnęła jednak głową.

– Nie mogę, Ryan. Od razu robi mi się niedobrze.

– Pewnie od wielu dni nie zjadłaś nic porządnego i dlatego jest ci niedobrze. Spróbuj, proszę!

Jej oczy napełniły się łzami.

– W szpitalu też niewiele we mnie wmusili. Nie mogę już jeść, Ryan. Nie mogę spać. Niczego już nie mogę. Jestem jak pozbawione życia zwłoki. I chyba nie chcę już dłużej żyć.

Wstał, obszedł stół i wziął ją w ramiona.

– Nie wolno ci tak mówić! Oczywiście, że chcesz żyć. Nawet jeśli teraz myślisz inaczej. Debbie... ach, Debbie...

Łkała cicho. Trzymał ją mocno, wstrząśnięty, desperacko starał się ją pocieszyć i dodać jej sił.

Po chwili uniosła głowę.

– Proszę, Ryan, zostań tu dziś na noc.

– Zostanę, Debbie, tak długo, jak zechcesz. Jak długo będziesz mnie potrzebować.

Czekają go olbrzymie kłopoty. Nora. Dan, który liczył na to, że zjawi się z samego rana. Prawdopodobnie także Melvin, jego kurator.

Do diabła z nimi wszystkimi.

Rzeczywiście, kiedy w sobotę późnym popołudniem wrócił do Pembroke Dock, czekał go prawdziwy dramat. Gotów był zostać w Swansea na cały weekend, lecz Debbie nie byłaby sobą, gdyby następnego ranka mimo wzburzenia nie uświadomiła sobie, że Ryan igra z ogniem. Kiedy się dowiedziała, że pracuje także w soboty, zrozumiała, że oto właśnie, ledwie niecały tydzień po opuszczeniu więzienia, nie pojawił się w pracy bez usprawiedliwienia. Że nadto jego kurator nie ma pojęcia, gdzie przebywa, kobieta zaś, u której mieszka, pewnie załamuje ręce ze zmartwienia. Fakt, że zabrał z sobą samochód, wcale nie poprawiał jego sytuacji. Nalegała, by wracał. Chcąc go nieco uspokoić, zjadła nawet trochę tosta z marmoladą i wypła dwie filiżanki kawy.

Ryan nie mógł się pozbyć wrażenia, że nie powinien jej teraz zostawić samej. Przeżywała traumę, była pogrążona w szoku, jak odrętwiała. Miał nadzieję, że nie popełni jakiegoś głupstwa. Uważał, że potrzebuje kogoś, kto potrzyzyma jej dłoń, kto jej wysłucha, kto ją przytuli, kiedy się rozplacze, przyrządzi coś do jedzenia i będzie ją tak długo namawiał, aż wreszcie zje choćby parę kęsów. Zrozumiał jednak, że ona ma rację. Mógł popaść w poważne tarapaty, jeśli nie wróci w niedzielę przed wieczorem. Dan już teraz mógł go zwolnić. Wiedział, że to oznaczałoby prawdziwą katastrofę, przynajmniej w oczach Melvina Coxa.

Nie przeczuwał wszakże, jak spore zdążył już wywołać zamieszanie. Zaparkował samochód Nory i pognął po schodach do jej mieszkania. Zanim jeszcze dotarł na miejsce, drzwi się otwały. Nora usłyszała jego kroki. Spojrzała nań zaczerwienionymi, nabrzmiętymi od łez oczami.

- Gdzieś ty był? – niemal wrzasnęła. – Gdzieś ty, do diabła, był?
 - Nie krzycz tak! – ofuknął ją. – Czy możemy omówić to w spokoju?
- Zza pleców Nory wyłonił się mężczyzna. Był to Melvin Cox.
- Ach! Jesteś wreszcie, Ryan! Gdzieś ty się podziewał?

Ryan spojrzał na Norę.

– Musiałaś od razu wezwać mojego kuratora? Bo raz nie stawiłem się punktualnie do apelu?

– To nie panna Franklin do mnie zadzwoniła – wyjaśnił Melvin Cox – lecz Dan, twój pracodawca. Nie pojawiłeś się dziś rano w pracy.

Ryan westchnął. No jasne, że to Dan, ten ważniak Dan, od razu sięgnął po telefon. Tylko czekał na taką okazję.

– Jest tu policja – ciągnął Melvin, wskazując ruchem głowy w kierunku wnętrza mieszkania.

– Policja? Powiadomiliście policję?

– Oczywiście, że nie – odparł zniecierpliwiony Melvin. – Sami się zjawili u Miss Franklin, jakieś pół godziny temu. Chcą pilnie z tobą rozmawiać. W tej sytuacji nie było to oczywiście korzystne, że żadne z nas nie wiedziało, gdzie się akurat podziewasz.

– Gdzie byłeś? – Nora powtórzyła pytanie łamiącym się głosem.

– Byłem u mojej starej przyjaciółki. Bardzo z nią źle.

– Aż tak źle, że musiałeś u niej nocować?

– Tak.

– I nie mogłeś do mnie zadzwonić? Albo przynajmniej zostawić wiadomości?

Wzruszył ramionami. I cóż miał powiedzieć? Oczywiście, że to nie było w porządku. Wiedział jednak, że nie zrozumiałyby jego wyjaśnień. Że nagle uznał, iż dłużej tego nie znieśie, że poczuł się przyparty do muru, że rozpaczliwie szukał jakiegoś punktu zaczepienia w swym dawnym życiu, w znajomym życiu z czasów *przed* uwięzieniem. A zatem dokładnie tego, czego w jej oczach, a także w oczach Melvina Coxa, w żadnym wypadku szukać nie powinien.

W drzwiach pojawiła się trzecia osoba, pięćdziesięcioletnia niemal kobieta, nosząca zbyt długie jak na swój wiek włosy, trochę zbyt otyła.

Podsunała mu pod nos legitymację.

– Detektyw inspektor Olivia Morgan, South Wales Police. Czy pan Ryan Lee?

– Tak – potwierdził Ryan. Poczuł dziwny ucisk w żołądku. Skoro ta policjantka nie przyjechała tu w związku z jego nocnym zniknięciem – istotnie wydawało się to niezwykle, by z tego powodu przysłano od razu funkcjonariusza policji kryminalnej tak wysokiej rangi – w takim razie dlaczego na niego czekała?

Przełknął sucho. Od czasu *tej historii* w Lisiej Dolinie wyczekiwał dnia, w którym zjawi się ktoś, kto przejrzał jego kruczki, choć już ze sto tysięcy razy powtarzał sobie, że z każdym upływającym dniem staje się to coraz mniej prawdopodobne. Gdyby tamtego odległego sierpniowego dnia on sam lub jego samochód zwrócił czyjąś uwagę, ów ktoś już dawno by się zgłosił. Jeśliby ktoś odkrył jaskinię oraz to, co się w niej znajdowało, nigdy nie zdołano by tego powiązać z jego osobą. Nie znaleziono by tam niczego, co mogłoby nań bezpośrednio wskazywać, niczego, co by się z nim łączyło. Wchodząc do jaskini, zawsze zakładał rękawiczki, nie potrafił też sobie wyobrazić, żeby po upływie dwudziestu niemal lat można było natrafić na odciski palców małego chłopca, jakim niegdyś był. Nie przy takiej wilgotności, jaka panowała we wnętrzu jaskini, po opadach deszczu i śniegu, które przez cały ten czas przenikały przez skały. A jednak... Może to pewien rodzaj przesądu... W głębi duszy był przekonany, że od tak okropnej zbrodni nie da się ot tak, po prostu uciec. Była zbyt przerażająca. Inni za kradzież batonika lądowali na komisariacie policji. Nie potrafił sobie wyobrazić, że będzie mógł do końca swoich dni żyć w spokoju, przez nikogo nienagabywany, że nigdy za... *tę historię* nie dosięgnie go kara, nieważne, przez kogo inspirowana.

– Tak – powtórzył raz jeszcze. Jego głos miał dziwne brzmienie. Odchrząknął.

– Czy możemy porozmawiać? – zapytała DI Morgan.

– Tak – powiedział po raz trzeci.

Ruszył za policjantką do pokoju dziennego Nory. Morgan dość

ostentacyjnie zamknęła drzwi przed Norą i Melvinem. Usiadła przy stole i wskazała Ryanowi miejsce po drugiej stronie.

– Zna pan niejaką Deborah Dobson? Ze Swansea?

To istne szaleństwo. Zrozumiał już, o co chodzi, wziął głęboki oddech. No jasne. Po brutalnym napadzie na Debbie przeczesali jej środowisko. Ktoś pewnie wspomniał jego nazwisko. Dawny chłopak Deborah. Wiedzieli, że siedział w więzieniu, znali też jego obecne miejsce pobytu. Choć jego biografia niekoniecznie czyniła zeń najmniej prawdopodobnego podejrzanego, mógł się odprężyć. W tym przypadku miał przynajmniej czyste sumienie.

– Tak. Znam ją. Właśnie od niej wracam.

Morgan uniosła brwi.

– Od Deborah Dobson?

– Tak. Chciałem ją odwiedzić. Nie wiedziałem, że... że została napadnięta. Wczoraj wieczorem naprawdę kiepsko się czuła. To dlatego u niej zostałem.

– Byliście parą przez prawie cztery lata. Od 2002 do 2006 roku. Zgadza się?

– Tak.

– Kto zakończył ten związek?

– Deborah.

– Dlaczego?

– Ponieważ... Złożyło się na to wiele powodów. Różniło nas podejście do życia, mieliśmy w życiu różne cele. Poza tym...

– Tak?

W rozmowie z policjantem, jak się tego nauczył, najrozsądniej było skrupulatnie trzymać się prawdy dopóty, dopóki ta prawda nie może zaszkodzić nam samym.

– Z pewnością zebrała pani o mnie dość informacji – powiedział. – Wciąż wchodziłem w konflikt z prawem. O to najczęściej się kłóciliśmy. Debbie nie miała w tym względzie ani krzty zrozumienia. Dlatego wyrzuciła mnie za drzwi.

– Co pana pewnie rozzłościło?

– Z początku owszem. Mimo to dobrze ją rozumiałem.

– I nie chowa pan do niej urazy?

– Ależ skąd! – Ryan gwałtownie potrząsnął głową. – Nie! Rozstaliśmy się sześć lat temu! Potem przez kilka miesięcy nawet u niej mieszkałem, gdyż nie mogłem znaleźć innego schronienia. Wczoraj wieczorem poprosiła mnie, żebym zostałem z nią, była taka zrozpaczona. Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi.

– Rozumiem – odparła Morgan. Zapisała coś w notatniku. – A jednak po zwolnieniu mieszka pan tutaj. U panny Franklin. A nie u *dobrej przyjaciółki*?

„To też jest pokręcone – pomyślał Ryan. – To właśnie jeden z moich problemów”.

– Wie pani, za co siedziałem w więzieniu? – zapytał.

– Tak. GBH. – To przyjęty w policji i sądownictwie skrót określający jego czyn. *Grievous bodily harm*.

– Debbie mnie nie odwiedziła, gdy siedziałem za kratkami, i...

Morgan znów uniosła brwi.

– Pańska *dobra przyjaciółka* nie odwiedziła pana w trakcie dwupółletniego pobytu w więzieniu? W mieście, w którym sama mieszka?

– Miała z tym kłopot...

– Z pańskim postępkiem?

– A pani by nie miała? – zapytał Ryan.

– Ale nawet to pana nie rozzłościło? – odpowiedziała Morgan pytaniem na pytanie. – Lodowate milczenie Deborah Dobson? Jej całkowita rejterada?

– Nie.

– Nie? Wedle moich informacji panowanie nad sobą nie należy do pańskich mocnych stron. Jest pan skłonny do dość gwałtownych wybuchów wściekłości. Niekontrolowanych wybuchów, chciałoby się powiedzieć.

– W więzieniu dobrowolnie przeszedłem kurs tłumienia agresji – odparł Ryan.

– A więc sam pan zdawał sobie sprawę z tego, że drzemią w panu siły, nad którymi musi pan w jakiś sposób zapanować?

Ryan miał wrażenie, że rozmowa zmierza w niewłaściwym kierunku. Kim był w oczach tej funkcjonariuszki? Nieopanowanym, porywczym nerwusem, który pobił drugiego mężczyznę tak, że ten znalazł się w szpitalu, tylko dlatego, że dokazywał po pijanemu. Tego nie dało się niestety zakwestionować. Ale żeby uznać go za człowieka, który nie potrafił się pogodzić z odrzuceniem przez kobietę i zaraz po wyjściu z więzienia napadł ją i razem ze swym kumplem zgwałcił?

– Ten chłopak mnie wówczas sprowokował, pani inspektor. Wcale nie chciałem go tak ciężko pobić. Oczywiście, że musiałem coś z tym zrobić. Coś takiego... nie może mi się już więcej przydarzyć.

– I uważa pan, że to się panu udało?

– Wydaje mi się, że tak.

– Wydaje się panu?

– Pani inspektor! – Wykonał bezradny gest, szukając słów, które jego rozmówczynie uznałyby za absolutnie przekonujące wyjaśnienie. Niestety, nie potrafił ich znaleźć. – Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił – powiedział w końcu, pomyślał jednak, że zabrzmiało to mało dobitnie. – Nie jestem gwałcicielem.

Morgan obrzuciła go sceptycznym spojrzeniem. Może mu wierzyła, może i nie. Raczej nie, jak mu się zdawało, co nie powinno dziwić, zważywszy na wszystkie grzechy, jakie miał na sumieniu.

– Knajpka, w której przebywała Deborah Dobson tuż przed napadem, Pump House w pobliżu mariny... Czy to prawda, że dawniej był to wasz ulubiony lokal?

„Odrobiłaś pracę domową” – pomyślał Ryan.

– Tak – potwierdził.

– Mógł więc pan założyć, że ją tam zastanie. Istniało co najmniej wysokie tego prawdopodobieństwo. Oczywiście znał pan również drogę powrotną Deborah Dobson do domu.

– Nie miałem zielonego pojęcia, że tego wieczoru Debbie tam będzie. Poza tym parę godzin wcześniej wyszedłem z więzienia. Czy

sądzi pani, że zaraz po zwolnieniu planuję następne przestępstwo?

Ujrzawszy na jej twarzy utrzymującą się wątpliwość, wyciągnął ostatni atut.

– Niezależnie od tego, mam przecież alibi. Cały wieczór i całą noc spędziłem tutaj. Może pani zapytać Norę Franklin!

– Już to zrobiłam – odparła Morgan.

– I ona to potwierdziła?

– Tak.

Targały nim sprzeczne domysły. Z jednej strony przypuszczał, że Nora nie wspomniała, o jak wczesnej porze zaszył się owego wieczoru w swoim pokoju – przez co, czysto teoretycznie, zyskałby możliwość wymknięcia się niezauważenie z pokoju i dotarcia na czas do Swansea. Teoretycznie o tyle, że byłoby to oczywiście nie do pomyślenia, mając w pamięci iście cerberowskie skłonności Nory. Z drugiej jednak strony miał wrażenie, że DI Morgan wątpiła w słowa Nory. Ta kobieta wyglądała na rozsądną i doświadczoną, a świetna znajomość ludzkich charakterów była częścią jej zawodowego przygotowania. Bez wątpienia miała własne zdanie na temat kobiet nawiązujących znajomość z odsiadującymi karę więźniami, a następnie usiłujących wprowadzić tych mężczyzn do swojego życia. Wielce prawdopodobne, że dość szybko przejrzała stosunki łączące Norę Franklin i Ryana Lee. Nora pogrążona w samotności. Obok niej mężczyzna, który na skutek szczególnych okoliczności życiowych był zdany wyłącznie na nią. DI Morgan założyła, że w razie potrzeby Nora gotowa jest kłamać dla dobra Ryana. Na szczęście nie mogła tego udowodnić.

Podniosła się z miejsca, wsunęła do torebki notes i długopis.

– To wszystko na dzisiaj, Mr Lee – oznajmiła. – Zostanie pan przez cały czas w Pembroke Dock, gdybyśmy chcieli się z panem skontaktować?

– Nie zamierzam stąd zwiewać – wyjaśnił ironicznie Ryan.

Nie nawiązała do tonu jego słów.

– Będziemy mieć pana na oku, Mr Lee. Został pan skazany za przemoc. W dzień pańskiego zwolnienia w pańskim bezpośrednim

otoczeniu ponownie dokonano ohydneho przestępstwa. W tej chwili może się pan poczuć nietykalny, ale będę pana obserwować. Jest pan na zwolnieniu warunkowym. Myślę, że zdaje pan sobie sprawę, jak szybko może pan znowu wylądować za kratkami.

– Zdaję sobie z tego sprawę – potwierdził Ryan.

Powiódł za nią wzrokiem, gdy wychodziła z pokoju. Za drzwiami powitały ją wzburzone pytania Nory i Melvina Coxa.

Nie słuchał ich. W tej chwili zrozumiał, jak trudno mu będzie zbudować sobie na nowo mieszczańską normalność, której odnalezienie poprzysiągł sobie podczas pobytu w więzieniu.

Od sześciu dni był na wolności. I ponownie znalazł się na celowniku policji.

Znów zaczął się zastanawiać, czy to nie czyjeś świadome działanie.

Część III. Kwiecień

1

Jak to dobrze, że w pierwszy wieczór nie poszłam z Matthew od razu do łóżka. Potwierdziły się moje obawy dotyczące jego poczucia winy, i to nawet w sytuacji, kiedy z sobą nie spaliśmy. Już sam fakt, że to sobie wyobrażał – i to prawdopodobnie całkiem konkretnie, takie odniosłam wrażenie – sprawił, iż nabrał dystansu. Nadal spotykał się ze mną. Chodziliśmy do restauracji. Wyruszaaliśmy na wspólne wycieczki po okolicy. Czasem wybieraliśmy się do kina albo teatru, zwiedzaliśmy wystawy. Chodziliśmy z Maxem na spacerzy. Było miło, sprawiało mi to przyjemność, wiosna zjawiała się z całą mocą, mogłabym poczuć się szczęśliwa.

Jednakże Matthew zachowywał dystans. Na powitanie całował mnie daleko mniej serdecznie niż czyniła to Alexia, gdy rankiem zjawiałam się w redakcji. Ani w kinie, ani na spacerze nie trzymał mnie za rękę, ba, niemal trwożliwie unikał jakiegokolwiek dotyku. Lubił mnie, wyczuwałam to, gotów był jednak zrobić wszystko, byleby tylko nie przerodziło się to w coś więcej.

Głównym tematem naszych rozmów była Vanessa.

Zrozumiałam, że Matthew, krążąc bez przerwy wokół pytania, co się z nią stało, przechodził rozmaite fazy, te jednak powtarzały się w regularnych odstępach czasu. Kiedy go poznałam, był przekonany, że padła ofiarą przestępstwa. Obecnie, w kwietniu, zaczął mówić o tym, że być może jednak spróbowała na własną rękę wyrwać się z ich wspólnego życia, co brzmiało szczególnie nielogicznie, zważywszy na niewytłumaczalne w tym przypadku niespokojne zachowanie się psa na parkingu. Matthew roztrząsał mnóstwo możliwości: inny mężczyzna (a zatem wariant, który z początku odrzucił), rozwijająca się u niej psychoza, która umknęła jego uwagi, przerażająca diagnoza lekarska,

która skłoniła ją do gwałtownego, nieprzemyślanego działania, nadmierna reakcja na kłótnię w połączeniu z depresyjnym nastrojem, w jaki popadła w trakcie weekendu pod wpływem odwiedzin u swej pogrążonej w demencji matki. I tak dalej, i tak dalej... Czasem odnosiłam wrażenie, iż żadna z możliwości nie wydała mu się nazbyt absurdalna, miałam wszakże świadomość, że ktoś, kto od niemal trzech lat krąży wokół najwyraźniej niedającej się rozwiązać kwestii, płacze się w gęstwinie myśli, jaka powstaje w jego głowie. Pewnego dnia Matthew znów będzie człowiekiem racjonalnym. Nie miałam jednakże złudzeń: w którymś momencie odrodzą się nawet najbardziej ekstrawaganckie teorie. On zaś nigdy nie da za wygraną. Nigdy sobie na to nie pozwoli.

Jeśli chciałam się z nim związać, jeśli pragnęłam związku szczęśliwego i zrównoważonego, który miałby przed sobą jakąś przyszłość, musieliśmy się wpierw dowiedzieć, co się przydarzyło Vanessie.

Zaniedbywałam moją pracę w redakcji i ukradkiem poszukiwałam w Internecie informacji na temat *przypadku Vanessy Willard*. Rezultaty przedstawiały się skromnie, wręcz deprymująco. Nigdy nie znaleziono choćby najdrobniejszego śladu, który należałoby potraktować poważnie. Pojawiające się wskazówki zawsze prowadziły donikąd. Przypadek ten został nawet pokazany w *Crime Watch* i wyemitowany na antenie ogólnokrajowej, lecz i to nie przyniosło żadnych konkretnych efektów.

W sieci znalazłam całą masę zdjęć Vanessy. Była ładną kobietą o inteligentnym, żywym wyrazie twarzy. Wpatrywałam się w nią intensywnie, lecz w jej rysach nie odkryłam niczego, co mogłoby wskazywać na depresję czy nawet psychozę. Nie wyglądała na osobę nieszczęśliwą. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, by sama odeszła, przygnieciona rozpaczliwą beznadziejnością swego życia bądź dlatego, że nie widziała przed sobą żadnych perspektyw.

Spędzałam z Matthew – i z Vanessą – tak dużo czasu, iż umknęły mi inne sprawy, jakie się wokół mnie rozgrywały. Pewnego ranka, kiedy siedziałam w redakcji i znów przeglądałam stronę domową *Missing*

People, za moimi plecami pojawiła się nagle Alexia. Nie zdążyłam na czas zamknąć strony, tym sposobem Alexia ujrzała fotografię Vanessy, której się właśnie wnikliwie przyglądałam. Ja także zobaczyłam coś niezwykłego, kiedy się odwróciłam: Alexia nie wyglądała najlepiej. Sprawiała wrażenie zmęczonej i zatroskanej.

– Alexia...

– Dzień dobry, Jenno – przywitała się, nieco roztargniona. – Widzę, że Matthew już całkiem wciągnął cię w projekt *Vanessa*.

W tej właśnie chwili uświadomiłam sobie, że od pewnego czasu nie wypytywała mnie o stan naszych kontaktów, a to było do niej zupełnie niepodobne. Zamknęłam zdjęcie Vanessy i stronę *Missing People*, po czym poświęciłam całą moją uwagę Alexii.

– Co się dzieje? – zapytałam. – Wyglądasz na wykończoną, nawet moje historie z mężczyznami już cię chyba nie ciekawią.

– Nasza niania złożyła wypowiedzenie – odparła Alexia. – Dziesięć dni temu.

– Dziesięć dni temu? Czemu nic o tym nie wspomniałaś?

– Niby czemu miałabym cię tym obciążać? Poza tym i tak nic na to nie poradzisz. Mamy teraz w domu lekkie zamieszanie.

– Wyobrażam sobie. Musicie prędko znaleźć kogoś na jej miejsce.

– To nie takie proste. Próbowałam, ale wszystkie, które wyszukałam, za drogo sobie liczą. Najlepsza byłaby dziewczyna opiekunka z zagranicy, musiałyby jednak u nas mieszkać, a gdzie, na litość boską, mielibyśmy ją umieścić?

Istotnie. Dom pękał w szwach. Kręciło się w głowie na samą myśl, że ktoś jeszcze mógłby się tam wprowadzić.

– Ken jest trochę przeciążony – ciągnęła przygnębiona Alexia. – Może oczywiście zapomnieć o napisaniu choćby linijki swojej książki. Zajmuje się nie tylko Sianą, ale także Evanem, który znów bojkotuje przedszkole. Obydwie starsze na szczęście chodzą już do szkoły, ale mimo wszystko... Kiedy tylko wracają do domu, powstaje totalny chaos. A nie mamy już żadnej babci, którą można by od czasu do czasu prosić o pomoc.

Miałam ten widok przed oczami. Ken w przepelnionej kuchni, z wrzeszczącą Sianą na ręku, wokół niego pozostała trójka kłócących się, zrzedzących, dopominających się dzieci. Jedno stłukło sobie kolano, drugie wpadło w kałużę błota, każde chce jeść i pić... Ken był na tyle oddanym ojcem, że z pewnością nie straciłby cierpliwości, nie groziło mu też załamanie nerwowe, niemniej nawet on był już najwyraźniej u kresu wytrzymałości, Alexia zaś, uwiązana od rana do wieczora w redakcji, wciąż pewnie wyobrażała sobie, co się akurat dzieje w domu. To dlatego sprawiała wrażenie tak bardzo zestresowanej i pełnej rozterek.

– A do tego jeszcze muszę w przyszłym tygodniu jechać do Londynu – wyjaśniła. – Piekielnie ważne spotkanie, wiesz przecież. Co najmniej trzy dni poza domem.

Wiedziałam. „Healthcare” należało do dużego wydawnictwa prasowego, które – co dziś jest już rzadkością – wciąż znajdowało się w rękach prywatnych; było własnością pewnej rodziny, a nie częścią wielkiego koncernu. Jego szef Ronald Argilan, którego znałam jedynie ze zdjęć i uważałam za nad wyraz niesympatycznego, uwielbiał regularnie ściągać redaktorów naczelnych swych gazet i czasopism do Londynu, by zebrać dokładne informacje o *stanie rzeczy*. Owe spotkania sprowadzały się do swego rodzaju egzaminowania, w trakcie którego on w obecności innych z upodobaniem beształ, kompromitował albo nawet ośmieszał swych współpracowników. Alexia wyznała mi kiedyś, że szef zagiął na nią parol. „Healthcare” ukazywało się w całym kraju w czterech różniących się od siebie wydaniach regionalnych, Alexia zaś została rok wcześniej naczelną wydania walijskiego tylko dlatego, że posada ta nagle się zwolniła i nie znalazł się nikt, kto byłby aż takim masochistą, żeby się o nią ubiegać.

– Stary uważa, że kobiety nie nadają się na kierownicze stanowiska – powiedziała. – On tak naprawdę tylko czeka aż powinie mi się noga. Jednakże tej przysługi mu oczywiście nie wyświadczę.

Zawzięła się; z drżącym sercem regularnie jeździła do Londynu, by pozwalać się nad sobą znęcać, poświęcała swoje na poły uregulowane,

normalne życie rodzinne... Zastanawiałam się, czy uczyniłabym podobnie. Powodowana ambicją? Tylko po to, żeby nie pozwolić zwyciężyć staremu uparciuchowi?

– Ale co u ciebie? – zapytała. – Jak tam stosunki z Matthew?

Westchnęłam.

– Sama widzisz. Zastanawiamy się, co się stało z Vanessą. Mało to romantyczne.

Alexia zmarszczyła czoło.

– Nie udaje ci się skierować jego uwagi na inne tematy?

– Owszem. Oglądamy razem filmy, irytujemy się z powodu nieudanych inscenizacji teatralnych, bawimy z Maxem i dyskutujemy o polityce. Ale w końcu... zawsze wracamy do tematu Vanessy.

– A kiedy jesteście w łóżku?

Nigdy nie lubiałam się do tego przyznawać.

– Jeszcze z sobą nie spaliśmy.

– Nie? – Alexia sprawiała wrażenie lekko zszokowanej, słusznie wychodząc z założenia, że to nie ja zmuszałam nas do wstrzeźliwości. – Ale... Uważam, że jesteś młodą, bardzo atrakcyjną kobietą. To niemożliwe, by on nigdy o tym nie pomyślał... Nie potrafię sobie wyobrazić mężczyzny, który w twojej obecności myśli o czymś innym niż o seksie!

To była oczywiście typowa dla Alexii bezmierna przesada. Przypomniałam sobie wszakże nasze pierwsze spotkanie. Pub nad morzem. Osamotniona plaża, ciemne fale, podskakujący przed nami Max. Siedzieliśmy w samochodzie Matthew, każde z nas świadome wzajemnej bliskości.

– Sądzę, że *on o tym pomyślał*, jak się raczyłaś wyrazić – odparłam. – I być może myśli o tym częściej niż mi się wydaje. Zarazem jednak te właśnie myśli stanowią problem. Wywołują w nim poczucie winy. On nie chce porzucić Vanessy. Przede wszystkim nie chce jej zostawić samej sobie. A tak się właśnie w jego mniemaniu dzieje, gdy nawiązuje nową znajomość.

– Ale Vanessa przecież nie wróci – powiedziała Alexia. –

I jakkolwiek zabrzmiałoby to okrutnie, zagadka jej zniknięcia nie zostanie rozwikłana. Albo padła ofiarą zbrodni, a wówczas sprawca działał tak zręcznie, że nie zdołano jej odnaleźć i pewnie nigdy się to nie uda. Albo też celowo zniknęła, a w tym przypadku ona sama za żadne skarby nie chce, by ją odnaleziono. Być może żyje teraz na drugim krańcu świata.

– Czemu miałyby uciec? Przyjaźniłaś się z nią. Dlaczego?

Alexia wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Wierz mi, łamałam sobie nad tym głowę. Nie znajduję żadnego wyjaśnienia, i dlatego właśnie w pewnym momencie zarzuciłam dalsze rozważania. To nie ma sensu. Trzeba iść naprzód.

– Z pewnością. Sądzę, że Matthew także o tym wie. Ale nie może sobie z tym poradzić.

– Nie pozwól mu całkiem się pogрузić – poprosiła Alexia. – Jesteś chyba jedyną osobą, która potrafi mu pomóc. Od tamtego pamiętnego dnia nikogo jeszcze nie dopuścił do siebie tak blisko jak ciebie. Może tobie uda się dokonać przełomu. Spotkacie się w najbliższy weekend?

Skinęłam głową, musiałam jednak zrobić przy tym tak przygnębioną minę, że Alexia nie spodziewała się niczego dobrego.

– Nie macie chyba w planach nic drażliwego, prawda?

– Niezupełnie. Poprosił mnie, bym razem z nim... Chciałby pojechać na tamten parking, z którego zniknęła Vanessa. Chce, żebyśmy zobaczyła okolicę.

– Na litość boską! Niby po co?

– Wydaje mi się, że po prostu go tam ciągnie. I nie chce być sam.

– Jenno! – Alexia obeszła moje biurko i spojrzała na mnie. – Jenno, wyjaśnij mu, że nie będziesz wiecznie w tym uczestniczyć. On nigdy nie wyjdzie z tego bagna, jeśli będziesz mu na to pozwalać!

– Myślę, że nie mogę go zawieść. Jeśli mu powiem, że nie chcę już z nim rozmawiać o Vanessie, to będzie koniec. Tak to wygląda, Alexia. Po prostu.

– To naprawdę ciężka sytuacja – przyznała. – Miejmy nadzieję, że ostatecznie się nie okaże, że przeze mnie poczujesz się nieszczęśliwa. Bądź co bądź ponoszę winę za to, że się poznaliście.

W istocie. Zastanawiałam się czasem, czy naprawdę nie żałuję, że poszłam tamtego dnia do Alexii i Kena na kolację. W rzeczywistości jednak nie czułam ani odrobiny żalu. Za bardzo polubiłam Matthew. I wciąż zbyt wielką pokładałam w nas nadzieję.

– Czy nasz ulubieniec Garrett nadal się odzywa? – zapytała Alexia, nim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć.

– Znowu zniknął z horyzontu – odparłam. – Od dawna nie mam od niego żadnych wiadomości.

Rzeczywiście, jakby ktoś czary rzucił. Garrett dzwonił w obydwie wieczory, kiedy zbliżyłam się do Matthew. Od kiedy nasz *związek*, o ile można tak nazwać to, co nas łączyło, utknął w martwym punkcie, Garrett nie dawał znaku życia. Jakby naprawdę to wyczuł. Wtrącał się, kiedy groziłam mu ostatecznym zerwaniem znajomości, a wycofał się, gdy w moim życiu na dobrą sprawę wszystko zamarło. Ech, te jego stare gierki.

– W każdym razie – oznajmiłam – pojedę w sobotę z Matthew i obejrzę okolicę, która stała się jego traumą. Pogoda ma być ładna, może będzie przyjemniej niż przypuszczamy.

Alexia wcale nie wyglądała na kogoś, kto podziela moje zdanie, a jednak nie chciała mnie chyba zasmucać, dlatego powstrzymała się od komentarza, który najwyraźniej miała już na końcu języka.

– Jeśli masz jeszcze do tego głowę – powiedziała zamiast tego – gromadź wrażenia. Planuję fotoreportaż na temat tej okolicy. *Jak latem przygotować formę na nadejście jesieni* czy coś w tym stylu. Chcę zaprezentować szlaki wędrówek, zachęcać do spacerów albo jazdy na rowerze i tak dalej. Coast Park idealnie się do tego nadaje.

– W porządku – przytaknęłam. To nie był zły pomysł. Może porozmawiam z Matthew o tym projekcie, jeśli będzie pogrążony w smutku i wyrzutach wobec samego siebie. To powinno rozproszyć nieco jego myśli.

Kiedy dotarliśmy na parking, z którego zniknęła Vanessa, zrozumiałam przynajmniej jedno: absolutną konsternację Matthew. Okolica była wprost idylliczna, a jednak wydarzyło się tu coś okropnego. W ten ciepły, słoneczny, kwietniowy dzień ujrzałam przed sobą raj w miniaturze: bujne zielone łąki, mieniące się soczystą żółcią krzewy janowca, łagodnie wznoszące się pagórki. Z trudem przychodziło tu sobie uświadomić istnienie *zła*, ba, wydawało się to wprost niemożliwe. Podziwiałam porośnięty mchem, kruszący się kamienny mur, biegnący skrajem płytkiej doliny ciągnącej się poniżej parkingu. Stanowił on zaledwie starą, rozpadającą się resztkę czegoś, co tu niegdyś istniało, ogrodzonej łąki, na której pasły się stada owiec. Minęło już tyle czasu... Z drugiej jednak strony czas zdawał się tutaj stać w miejscu. Ta dolina istniała od zawsze, i zawsze będzie istnieć.

A jednak miał tu swój początek pewien koszmar.

Obejrzałam się za Matthew. Stał w pewnej odległości, zatopiony w myślach. Obok niego przysiadł Max i wyczekująco zerkał w jego stronę. Miał ochotę na uroczy długi spacer, lecz jego pan tego nie zauważył. Przypuszczam, że w myślach powrócił do owego sierpniowego dnia. Słońce prażyło wówczas na bezchmurnym niebie jak dzisiaj, lecz działo się to nie w południe, ale pod wieczór, okolicę musiała już zasnuwać czerwona poświata. Oczywiście nie kwitły wówczas krzewy janowca. Wszelkie barwy przybrały odcień bardziej matowy, melancholijny. Jesienny.

Uroda i spokój. Tym właśnie wyróżniało się to miejsce. Z pewnością wyczuwał to również Matthew – bolesny kontrast z tym, co się tu rzeczywiście wydarzyło.

Podeszłam do niego.

– Przejdziemy się kawałek? – zapytałam. Słyszając słowa *przejdziemy się*, Max od razu zaczął merdać ogonem.

Matthew otrząsnął się z zamyślenia.

– Samochód stał w tym samym miejscu co dziś. Kiedy odchodziłem, Vanessa opierała się o osłonę chłodnicy. To jej ostatni obraz, jaki zapamiętałam. Jak się opiera o samochód. Oświetlona promieniami wieczornego słońca. Skrzyżowała ramiona. Była poirytowana. Cieszyła się, że na chwilę zniknę.

Znów powiodłam dokoła wzrokiem. Kilka kroków dalej znajdował się kącik do siedzenia, drewniany stół i dwie ławki. „Cudowne miejsce na piknik” – pomyślałam. Stał tam również metalowy kosz na śmieci, prawie pusty, jeśli dobrze dostrzegłam. Wydawało się, że ludzie rzadko tu zaglądali. Mimo to na asfalcie na skraju parkingu zauważyłam zużytą prezerwatywę, niebieską, zmiętą. O dziwo, jej widok przyjęłam niemal z ulgą. Przywrócił mnie do rzeczywistości. Jakkolwiek miejsce to wydawało się istnym rajem, wykorzystywano je do na wskroś ziemskich celów. I dobrze. Dzięki temu odczarowywano je nieco i oddawano na powrót światu.

Dotknęłam ramienia Matthew.

– Przejdźmy się – powtórzyłam.

Ruszyliśmy tą samą ścieżką, którą Matthew szedł tamtego wieczoru z Maxem. Pies wielkimi susami wysforował się przed nas. Przekonałam się, jak szybko traciło się z oczu parking. Wystarczyło ledwie parę kroków, by minawszy ostry zakręt, mieć wrażenie, że człowiek znalazł się na zupełnym odludziu. Ścieżkę okalały olbrzymie, pleniące się dziko krzewy jeżyny. Matthew mówił, że wówczas, w trakcie spaceru, zbierał jeżyny i zajadał się nimi.

– W drodze powrotnej zebrałem też trochę dla Vanessy. Ale... nie mogłem ich jej dać.

Zauważyłam też, jak szybko oddalaliśmy się od drogi. Jeśli podczas nieobecności Matthew ktoś przejeżdżał szosą i zjechał z niej na parking, tutaj, w dole, nie sposób się było o tym przekonać. Być może słychać było cichy pomruk silnika, któż jednak zwróciłby na to uwagę?

Prawdopodobnie nie dało się później stwierdzić, czy coś takiego w ogóle miało miejsce.

I odwrotnie: domniemany porywacz lub morderca z pewnością uznał, że obecna na parkingu Vanessa przebywa w tej okolicy zupełnie sama. Absolutnie nic nie wskazywało na to, że w pobliżu spaceruje z psem jej mąż. Wprost wystawiła się jako ofiara.

Ale dlaczego?

I czy rzeczywiście tak było? Czy może zupełnie inaczej?

Po jakimś kwadransie marszu dotarliśmy do kamiennego muru, dość wysokiego i zachowanego w dobrym stanie. Można się było nań wspiąć, można też było przejść wzdłuż niego spory kawałek aż do niewielkiego wyłomu. Matthew przystanął.

– Tutaj zawróciliśmy – oznajmił. – Na szczęście. Nareszcie. Nie patrzyłem na zegarek i pewnie poszedłbym dalej, gdybym nie napotkał tego muru. Wówczas uświadomiłem sobie, jak długo już nas nie było, i pomyślałem, że Vanessa jeszcze bardziej się rozżłości. Drogę powrotną przebyliśmy w szybszym tempie.

Odwrócił się.

– Możemy pójść jeszcze kawałek dalej – zaproponowałam. – To piękna okolica, pogoda dopisuje. Chodź...

– Nie – rzekł krótko i nie czekając na mój komentarz, zawrócił, wyraźnie przyspieszając kroku. Stało się jasne, że *powtarzał* ów dzień, przeżywał go na nowo, raz jeszcze odtwarzał cały jego przebieg. Właściwie nie był tu razem ze mną. Spełniałam jedynie pewną funkcję, byłam tylko partnerką w rozmowie, a tym samym rodzajem katalizatora dla jego myśli i doznań. Niczym więcej.

Milczeliśmy przez całą drogę, aż dotarliśmy na parking. Szliśmy szybciej, za to droga miejscami wiodła teraz dość stromo pod górę, kilkakrotnie musieliśmy czekać na Maxa, który ze względu na upał oraz swą grubą, długą sierść nie biegł tak chyżo jak poprzednio. Stąd też minęło w sumie prawie piętnaście minut, nim znaleźliśmy się z powrotem na parkingu. A zatem, jak sama się teraz przekonałam, tamtego fatalnego dnia upłynęło trzydzieści minut, zanim Matthew

wrócił do samochodu. Trzydzieści minut, w trakcie których nie mógł wiedzieć o tym, co się tam wydarzyło.

Podszedł do samochodu, wyjął miskę i butelkę wody, dał Maxowi pić. Pies chleptał łapczywie. Matthew ruszył w kierunku ławki, usiadł i spojrzał przed siebie.

– Policja przeczesała tu wszystko – powiedział – całą okolicę. Nic. Ani śladu.

Usiadłam obok niego. Naraz poczułam w nogach ociężałość, lecz nie było to zmęczenie spacerem. To smutek zaczął paraliżować całe moje ciało i przygniatać mnie swym ogromem. Dziwnym trafem zrozumiałam to ostatecznie dopiero tego dnia, w tym miejscu, w tym momencie: nie mieliśmy żadnych szans. Matthew i ja. Jego życie zatrzymało się tutaj, na tym osamotnionym parkingu, w niedzielę 23 sierpnia 2009 roku. Przestało biec naprzód, nie dopuszczało żadnej zmiany. Było naiwnością, może nawet głupotą z mojej strony wierzyć, że mogę związać moją przyszłość z mężczyzną, który w wieku czterdziestu czterech lat przestał kroczyć naprzód, choćby i o milimetr.

Nasza historia zakończyła się, zanim jeszcze w ogóle się zaczęła. Uchwyciłam się iluzji. Nadszedł czas, by się od niej uwolnić.

Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w słońcu pogrążeni w milczeniu. Max wyłożył się obok nas i drzemał. Nic i nikt nie zakłócał ciszy, prócz paru wczesnych pszczół, które nas kilkakrotnie okrążyły. W końcu odezwał się Matthew:

– Jutro idę na spotkanie grupy wsparcia. Widujemy się w niedzielę co sześć, osiem tygodni. Chciałabyś pójść ze mną?

Nietrudno było się domyślić, co to za grupa.

– Krewni osób zaginionych? – Zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie.

– Tak. Wymiana doświadczeń dobrze nam robi. Człowiek czuje się tam... zrozumiany. Nikomu nie gra się na nerwach, opowiadając wciąż tę samą historię i krążąc bez przerwy wokół tych samych pytań. Wszyscy tam tak robią.

Miejsce stagnacji. O ile doskonale rozumiałam powody, dla których

ci ludzie trzymali się swych nierozwikłanych pytań, o tyle zdawałam sobie również sprawę z tego, że ja się do nich nie zaliczam. Nie dzieliłam z nimi ich losu, nie byłam jedną z nich. I nie mogłam już dłużej być częścią losu Matthew. Znajomość z nim była chyba jeszcze gorsza niż związek z Garrettem. Przy Garrecie przynajmniej czułam, że żyję. Przy Matthew groziło mi odrętwienie.

– Nie chciałam tam iść – powiedziałam ostrożnie.

– Rozumiem – odparł Matthew. Był wrażliwy, wiedziałam o tym, był wyczulony na wszelkie drgnienia. Choć przez cały ten czas był zamknięty w sobie, rozumiał jednak moje odczucia. Nie umknął mu nastrój smutku, w jaki popadłam. Jego pytanie: *Chciałabyś pójść ze mną?*, kryło w sobie więcej znaczeń niż tylko to, czy pójdę nazajutrz na spotkanie z grupą. Chciał raczej wiedzieć, czy ja nadal chcę *to wszystko* z nim dzielić. I należycie zrozumiał moją odmowę: ja również nie miałam na myśli wyłącznie jutrzejszego dnia.

– Chciałabym... – zaczęłam, a kiedy bezradnie utknęłam, dokończył za mnie:

– ...żebyśmy się przez jakiś czas nie spotykali. Tak. Wiem.

Wyciągnęłam rękę, dotknęłam jego ramienia.

– Przykro mi, Matthew. Tak strasznie mi przykro.

Odwrócił się do mnie. Po raz pierwszy tego dnia naprawdę na mnie spojrzał, naprawdę był przy mnie.

– Niepotrzebnie. Doskonale cię rozumiem.

Przełknęłam. W żadnym wypadku nie chciałam zalać się łzami.

– Nie chcę ciągle tylko szukać z tobą twojej żony. Albo usiłować rozwiązać zagadkę, co się z nią stało. To jest... Stoimy w miejscu. A ja czuję coraz większe przygnębienie.

– Rozumiem cię – powtórzył po raz trzeci. – Żyję tak od lat. Ale to nie powód, byś ty żyła tak samo. Zastanawiałem się, ile zdołasz przetrzymać.

Pięć tygodni. Wytrwałam dokładnie pięć tygodni. To niedługo, niemniej jednak nie owe pięć tygodni było tu najistotniejsze: wytrwałabym i pięć miesięcy czy nawet pięć lat, gdyby istniała

jakakolwiek nadzieja na zmianę. Gdybym wiedziała, że nadejdzie chwila, kiedy on to odhaczy. Zamknie tę sprawę. I razem ruszymy ku przyszłości.

Miałam jednak świadomość, że on nigdy tego nie zakończy. Nigdy. Chyba że się dowie, co zaszło. Jak miałyby tego dokonać – po tak długim czasie, po tylu staraniach? Będzie żył niepewnością i – prawdopodobnie – pewnego dnia w niepewności tej umrze.

– Wracamy? – zapytał.

Skinęłam głową.

– Okay.

Odwiezie mnie teraz do domu. Do mojego małego, ciasnego mieszkania na poddaszu, które wyda mi się teraz jeszcze mniejsze i jeszcze ciasniejsze. Byłam przerażona na myśl o czekającej mnie samotności.

Osiem cennych lat zmarnowałam w beznadziejnym związku z Garrettem i przyrzekłam sobie, że nigdy więcej tego nie zrobię. Nie będę poświęcać godzin mojego życia, nie mając przed sobą żadnych perspektyw. Żadnej nadziei.

To wszystko.

Zakończyłam mój związek z Matthew Willardem. A przynajmniej zakończyłam to, co mogłoby się w taki związek przerodzić.

Dopiero kiedy ruszyliśmy w drogę powrotną, uświadomiłam sobie, że zupełnie zapomniałam o poszukiwaniu motywów do artykułu Alexii.

3

Kwiecień był suchy, a niektóre dni naprawdę ciepłe, teraz jednak, pod koniec miesiąca, pogoda się odmieniła. Rozpadało się na dobre, jakby deszcz nigdy już nie chciał nas opuścić. Rozkwitający świat spowił szary, gruby welon, wszystkie kwiaty i gałęzie, dopiero co prężące się ku słońcu, zwisały teraz mokre i przygięte ku ziemi. Nastaly chłody. Marzło się szczególnie rankiem, gdy trzeba było wyjść z domu. *Ogrzewany* dom. Znów należało uruchomić piec. I na powrót wyciągnąć grube kurtki i płaszcze, które się radośnie cisnęło w najmroczniejszy kąt szafy. Ludzie zaczęli posępnie przepowiadać, że czeka nas mokry i nieprzyjemny maj.

Corinne Beecroft była znużona i nieco markotna, kiedy wychodziła z domu. Przeszywająca ją ponura wilgoć wcale nie poprawiła jej nastroju. Musiała rozłożyć parasol, by przebyć krótki odcinek od drzwi domu do zaparkowanego przy wjeździe samochodu i nie zmoknąć do suchej nitki. Deszcz tego ranka lał jak z cebra.

„Bradley to ma dobrze – przemknęło jej przez myśl, gdy wsiadała do samochodu. Parasol złożyła przy tym tak niezdarnie, że struga wody zmoczyła jej buty. – Wyleguje się jeszcze w łóżku, potem w spokoju zje śniadanie i jeśli nie będzie miał ochoty, nie ruszy się z domu przez cały dzień”.

Spojrzała w okna na pierwszym piętrze. Błękitne zasłony wciąż były zaciągnięte.

Westchnęła, uruchomiła silnik i od razu włączyła wycieraczki w trybie najszybszej pracy. Właściwie lubiła swoją pracę w recepcji praktyki lekarskiej w Whitby. Mając pięćdziesiąt osiem lat, czuła się jeszcze zbyt młoda i aktywna, by zostać emerytką. Ale w niektóre dni...

Ruszyła wąską szosą prowadzącą poza granice Sawdon, wioski,

w której mieszkała razem z Bradleyem. Słowo *wioska* wydawało się tu chyba przesadą, zważywszy ową garść domów, jakby przypadkiem rozrzuconych przez kogoś po samotnym pustkowiu na skraju wrzosowisk Yorkshire. Mikroskopijny punkt na mapie. Bądź co bądź mieli tam nawet pub. A także *bed&breakfast*. Corinne rozkoszowała się poczuciem wolności i spokoju, jakim napełniała ją ta niewielka miejscowość. Lubiła chodzić na spacer, w weekendy razem z Bradleyem pracowali w ogrodzie, ciesząc się wszystkim, co w nim rośło. Bradley, dziesięć lat od niej starszy, był już na emeryturze. Życie z nim może i nie obfitowało w szczególnie ekscytujące chwile, niemniej jednak dawało poczucie bezpieczeństwa i pewności. To zaś było dla Corinne ważniejsze niż urozmaicenie i zamęt. Poza tym w gabinecie panował często tak gorączkowy rozgardiasz, że wieczorami nie pragnęła niczego więcej niż usiąść w domu przy kominku i pozwolić Bradleyowi masować swe napuchnięte stopy.

Z powodu deszczu jechała wolniej niż zazwyczaj. Dotarła do A169, prowadzącej przez wyludnioną krainę wrzosowisk prosto do położonego nad samym morzem Whitby. O tak wczesnej porze droga była opustoszała. Corinne chciała jak najwcześniej znaleźć się na miejscu. Mogła wtedy zaparzyć sobie kawę i w spokoju zająć się pilnymi sprawami, przede wszystkim rozliczeniami. Później trudno było do tego wrócić. W praktyce pracowało trzech lekarzy, od godziny dziewiątej nieprzerwanie panował tam ożywiony ruch.

Mniej więcej dwadzieścia minut po siódmej Corinne dotarła do miejsca postoju, znajdującego się w samym sercu wrzosowisk. Nie było to w żadnym razie miejsce parkingowe z prawdziwego zdarzenia, a raczej zatoka na skraju szosy, od której wyboista polna droga prowadziła w stronę wiklinowego ogrodzenia i przy nim się kończyła. Corinne zjechała na bok, zatrzymała samochód i wyłączyła silnik. Spojrzała na zegarek. Umówiły się kwadrans po siódmej, lecz znów, jak okiem sięgnąć, nigdzie nie było widać Celiny. Codziennie to samo, a przy złej pogodzie bywało jeszcze gorzej. Celina nie lubiła wstawać z łóżka, a jej matka, mająca na utrzymaniu dość leniwego męża

i pozostałą piątkę dzieci, nie potrafiła zmusić córki do punktualności. Celina miała lat siedemnaście i przyuczała się w pewnym hotelu w Whitby do zawodu pokojówki. Jako że rodzina mieszkała na jednej z owych położonych na uboczu farm pośrodku wrzosowisk, codzienny dojazd do miasta stanowił dla niej nie lada problem. Jej matka, zmuszona podwozić pozostałe dzieci do różnych szkół lub przynajmniej na przystanek autobusowy, nie była w stanie odwieźć jeszcze i jej do miasta. Kiedy któregoś dnia trafiła jako pacjentka do gabinetu, w którym pracowała Corinne, opowiedziała jej o swych zmartwieniach. Corinne spontanicznie zaoferowała pomoc.

– Codziennie jeżdżę do Whitby. Mogłabym zabierać Celinę.

Uzgodniły miejsce spotkania. Polna droga, którą matka miała odprowadzać Celinę. Uzgodniły też godzinę. Ani razu nie została jak dotąd dotrzymana.

Corinne była poirytowana. Wątpliwa to przyjemność spędzać codziennie co najmniej połowę drogi do pracy w towarzystwie markotnej i małomównej nastolatki. Lecz czekać na nią dzień w dzień, nie słysząc nigdy choćby słowa przeprosin, to już zbyt wiele. Do dziś przymykała na to oko, gdyż żal jej było przepracowanej matki Celiny, tego ranka uznała jednak, że jej cierpliwość się wyczerpała. Albo Celina będzie się zjawiać punktualnie, albo niech sobie poszuka innego frajera.

Dygocąc z zimna, mocniej naciągnęła na siebie płaszcz i przywarła do fotela. Czy kiedykolwiek pod koniec kwietnia było aż tak zimno? I tak ciemno, znacznie bardziej niż zazwyczaj. To przez te nisko zwieszone chmury i nieustannie siąpiący deszcz. Popatrzyła przez boczną szybę. Monotonny płaskowyż. Mokre wrzosy, trawy i paprocie. Ogrodzenia pastwisk. Kilka pagórków w oddali. Deszcz zdawał się wzmacniać.

Corinne włączyła wycieraczki. Natychmiast odgarnęły na bok gwałtowną, chlupiącą falę wody. Ledwie je wyłączyła, szyba znów stała się nieprzenikniona od deszczu. Wszystko na nic, dziś po prostu wszystko to na nic.

W lusterku wstecznym spostrzegła światła nadjeżdżającego

samochodu. Wyprostowała się. Nareszcie! Dziesięć minut spóźnienia. Powie dziś Celinie, co sądzi o niej i jej podejściu do życia, nawet jeśli potem dziewczyna będzie jeszcze bardziej niemila niż zwykle. Było jej wszystko jedno. I tak to już ostatni raz.

Samochód zwolnił, zjechał na pobocze i zatrzymał się. Corinne włączyła wycieraczkę tylnej szyby i zmarszczyła czoło. Spodziewała się starego, rozklekotanego jeepa, którym jeździła matka Celiny, zobaczyła jednak zupełnie inny samochód. Duży ford, jeśli dobrze rozpoznała. Za przednią szybą spostrzegła niewyraźny zarys dwóch postaci.

Celina i jej matka?

Czy może dziś podwiózł ją ojciec, jeżdżący innym samochodem? To jednak nigdy jeszcze się nie przydarzyło, poza tym samochód wydał jej się zbyt duży i drogi, zważywszy na sytuację tej rodziny. Wiedziała, że farma nie przynosiła prawie żadnego dochodu i że brak pieniędzy stanowił ustawiczny problem.

Skąd taka gabłota?

Corinne przeszło nieprzyjemne uczucie. Nie chciała być dziecinna, lecz błyskawicznie zdała sobie sprawę, jak bardzo odludne było to miejsce. Przez cały czas nikt tędy nie przejeżdżał. Była sama jak palec.

Ponownie włączyła tylną wycieraczkę. Zobaczyła dwoje otwartych drzwi, pasażerowie wysiedli. Ogarnięta niekłamanym strachem zaczęła nerwowo szukać blokady, którą mogłaby zaryglować własne drzwi. Zanim ją jednak znalazła, drzwi od strony kierowcy nagle się otworzyły. Obok niej stanął mężczyzna. Czarne dżinsy, kurtka przeciwdeszczowa, naciągnięta na twarz czapka, odsłaniająca jedynie oczy. Pochwyciły ją ogromne łapska.

– Z wozu! – rozkazał.

Corinne zaczęła tak gwałtownie dygotać, że straciła kontrolę nad własnymi mięśniami i nie potrafiła się ruszyć.

– Ja... proszę... ja... – jąkała się.

– Z wozu – powtórzył mężczyzna. Jako że nie wykonała rozkazu, wyciągnął ją z samochodu i powlókł skrajem łąki w stronę forda. Corinne była bezsilna wobec uścisku mocnych ramion. Drugi

mężczyzna, również ubrany na czarno i zamaskowany, usiadł na tylnej kanapie dużego samochodu. Corinne została wepchnięta na miejsce obok niego. Przez ten krótki odcinek drogi zdołała przemoknąć do suchej nitki. Z włosów spływały jej po twarzy strużki wody, płaszcz kleił się do ciała niczym mokra szmata. Wciąż dygotała ze strachu i z zimna. Zupełnie zmieszana zastanawiała się, co się właściwie dzieje. Była zwyczajną kobietą zdążającą do pracy. Nie była zamożna, nie była sławna, nie była młoda. Czego ci faceci od niej chcieli? I gdzie się podziały Celina i jej matka? Spóźniały się już cały kwadrans, to nietypowe zachowanie nawet w przypadku Celiny.

Czemu nie nadchodzicie? Czemu nikt nie nadchodzi?

Mężczyzna, który wyciągnął ją z samochodu, usiadł za kierownicą i uruchomił silnik. Kiedy wycieraczki przetarły przednią szybę, Corinne ujrzała swój samochód. Drzwi kierowcy były otwarte. Nikt nie zauważył napadu. Będą się zastanawiać, co się stało z Corinne Beecroft, lecz prawdopodobnie nie uda się rozwikłać tej zagadki. Chyba że porywacze skontaktują się z Bradleyem. Ale po co, na litość boską? Bradley nie posiadał niczego poza swoją skromną emeryturą oraz starym, niewielkim domem na krańcu świata, odziedziczonym po rodzicach. Ona otrzymywała pensję asystentki lekarza. Nie potrzebowali więcej, lecz nie sposób ich było uznać za zamożnych.

Jechali szosą. Dopiero po pięciu minutach wyminął ich z naprzeciwka jakiś samochód. Corinne zastanawiała się, czy kierowca zwróci uwagę na zaparkowany na poboczu pojazd z otwartymi drzwiami i zacznie dociekać, co się stało. Nie robiła sobie wielkich nadziei, a padający deszcz tylko pogarszał sprawę. Nikt nie będzie miał ochoty wysiąść i sprawdzić, dlaczego ów samochód porzucono. Tylko Celina i jej matka będą zaskoczone, tylko one mogą zatelefonować do Bradleya. To jedyna szansa, że nie upłyną niekończące się godziny, nim ktokolwiek zacznie się martwić jej losem. Nawet w praktyce lekarskiej nie od razu poruszają niebo i ziemię z powodu jej nieobecności. Uważano ją za nad wyraz sumienną pracownicę, uznają, że miała naprawdę uzasadniony powód dla swego spóźnienia, że w końcu się pojawi

i wszystko należycie wyjaśni.

Drżącymi wargami zdołała wreszcie wydusić z siebie całe zdanie. Jej głos dziwnie zabrzmiał w jej własnych uszach.

– Proszę, dlaczego to robicie? – zapytała. – Nie jestem bogata. To znaczy, damy wam wszystko, co mamy, ale niewiele tego jest.

– Zamknij gębę – odparł siedzący obok niej mężczyzna. Sprawiał wrażenie znudzonego.

– Dokąd mnie zabieracie? – pytała Corinne.

– Powiedziałem: zamknij gębę – powtórzył mężczyzna. Spojrzał na nią. W czarnych otworach maski mogła dostrzec jedynie jego oczy. Były ciemne, nie wyrażały najdrobniejszego wzruszenia, najbliższego współczucia. – Jeszcze słowo, a dostaniesz po pysku, okay?

Z trudem przełknęła ślinę, skinęła głową przestraszona. Nie odezwie się już słowem, gdyż ani przez chwilę nie wątpiła, że poważnie traktował swą groźbę i rzeczywiście uderzy ją pięścią w twarz. Wyrzwała przez okno. Nadal jechali A169 w kierunku Whitby.

Tylko dokąd? I dlaczego, dlaczego, dlaczego?

Zaczęła płakać.

W pewien zwyczajny poranek dopadł ją jakiś koszmar i nie miała bladego pojęcia, co się z nią stanie.

Ryan żałował, że dał się namówić Norze, by iść razem z nią na tę imprezę. Jedna z jej koleżanek miała urodziny i urządzała przyjęcie w swoim domu w Pembroke. Ów dom był w istocie dawną niewielką stodołą, którą koleżanka i jej mąż przebudowali, poświęcając temu najwyraźniej długie lata. Byli z tego niezmiernie dumni, lecz Ryan uznał nierówne podłogi, krzywe ściany i małe okna za niezbyt udane. Zaproszono bez mała pięćdziesięcioro gości, zbyt wielu jak na tak wąskie, niskie pomieszczenia. Przez cały dzień padało, późnym południem się przejaśniło i w końcu wyjrzało nawet słońce. W jadalni otwarto na oścież drzwi prowadzące do ogrodu, lecz jakoś nikogo tam nie ciągnęło, trawa bowiem i krzewy nadal ociekały wodą, amatorsko zaś wyłożony płytkami taras upstrzony był głębokimi kałużami. Ludzie tłoczyli się w pokojach, ściśnięci jak sardynki. Ryan wciąż jednak słyszał zapewnienia, jak tu jest świetnie, przytulnie, intymnie, wygodnie i takie tam. I każdy znał tu każdego. Ryan oczywiście nie znał nikogo.

Nora tak długo go błagała, by z nią poszedł, że w końcu dał się namówić, lecz w którymś momencie uległ jej tylko po to, by wreszcie zakończyć ów temat. Nie miał najmniejszej ochoty na towarzyskie spotkanie, a już na pewno nie w kręgu przyjaciół Nory. W ten piątkowy wieczór wolałby pojechać do Swansea i odwiedzić Debbie. Bardzo się o nią martwił, gdyż nie udało jej się odzyskać wewnętrznej równowagi. Wciąż była na zwolnieniu lekarskim, całymi dniami przesiadywała w swoim mieszkaniu, raz tylko wyszła na zakupy do pobliskiego Tesco. Lecz i wówczas pędziła z powrotem do domu, chcąc jak najprędzej zamknąć i zaryglować za sobą drzwi. Wydawało się, że cały zewnętrzny świat odbiera jako niebezpieczny i wrogi, czemu wcale nie należało się dziwić. Ryan chętnie by coś dla niej ugotował, a potem namówił ją na

krótki spacer. Zamiast tego stał teraz wśród tych wszystkich ludzi, których uważał za niesympatycznych i zbyt głośnych, trzymając w dłoni szklanę ciepłego już, niestety, piwa. Nora gdzieś zniknęła. Obiecała mu, że nie odstąpi go ani na krok, lecz w końcu rozdzielono ich w tym tłumie i jak dotąd nie zdołali się odszukać. Nora była rozpromieniona, kiedy weszli do domu jej koleżanki, ba, niemal płonęła dumą i szczęściem. Ryan zrozumiał wówczas, jak ogromne znaczenie miała dla niej jego osoba. Widziała w nim nie tylko swój emocjonalny punkt odniesienia w codziennym życiu, człowieka, który czekał na nią, gdy wracała do domu, o którego mogła się troszczyć, wręcz mu matkować. Był dla niej również symbolem statusu. Żywot singielki przysparzał Norze coraz większych cierpień, głównie z powodu opinii, jaka się z tym w jej mniemaniu wiązała. Kobieta, która nie zdołała jeszcze nikogo poderwać... Prawdopodobnie miała już dość zatroskanych pytań oraz dobrych rad, którymi ją zasypywano. Była w wieku, w którym jej koleżanki zaręczały się, wychodziły za mąż albo nawet rodziły pierwsze dzieci. Ryan sam zauważył tego wieczoru co najmniej trzy ciężarne kobiety, które zadziwiająco niefrasobliwie przeciskały swoje ogromne brzuchy przez nachalną ciżbę. Wiedział, że Nora marzy o małżeństwie i dzieciach. Wyszło to na jaw podczas długich rozmów, jakie prowadzili, kiedy go jeszcze regularnie odwiedzała w więzieniu. O dziwo, nigdy mu przez myśl nie przeszło, iż to akurat jemu uczyni wyraźną aluzję, że wybrała go jako tego, który pomoże jej spełnić to marzenie. Kiedy po zwolnieniu z więzienia przyjęła go pod swój dach, wciąż był przekonany, że uczyniła to powodowana uczuciem przyjaźni, przede wszystkim jednak ze względu na swoje społeczne zaangażowanie. Dopiero z czasem, w trakcie minionych tygodni, zrozumiał, że wszystko to robiła z myślą o jednym: celowo do niego pisała, celowo go odwiedzała, celowo go zakwaterowała w swoim mieszkaniu. Dziś wieczór jego wątpliwości się rozwiały: zupełnie oficjalnie uznany został za jej partnera. Towarzysza jej życia. To dlatego właśnie koniecznie musiał z nią przyjść. Był trofeum, którym chciała się przed wszystkimi pochwalić.

„Powinienem być wściekły” – przemknęło mu przez myśl. Lecz złości wcale nie czuł. Powodem była rozpromieniona Nora. Nie potrafił się gniewać na kobietę, która emanowała takim poczuciem swobody i szczęścia tylko dlatego, że miała go u swego boku.

Zastanawiał się właśnie, czy jakimś sposobem uda mu się przedostać do kuchni i nalać sobie zimnego piwa, gdy nagle, po raz pierwszy, odkąd tu przyszedł, ktoś go zagadnął. Człowiek ten był mniej więcej w jego wieku, miał na sobie džinsy oraz koszulkę polo i sprawiał wrażenie nieco strapionego.

– Cześć! Jestem Harry Vince.

– Ryan Lee.

– Witaj, Ryan. Ty jesteś tym nowym chłopakiem Nory, zgadza się?

– Ech, ja... – ociągał się Ryan, lecz Harry na szczęście nie czekał na odpowiedź.

– Wcześniej pracowałem razem z Norą. W South Pembrokeshire Hospital. Rok temu się usamodzielniłem. Mam własną praktykę fizjoterapeutyczną. W Swansea.

– Gratuluję – odparł Ryan, gdyż nic innego nie przyszło mu do głowy.

– Straszne urwanie głowy – wyznał Harry – zanim taka praktyka zacznie przynosić dochód. Ciągłe tylko wydatki i wydatki... no cóż, żyć także kiedyś trzeba...

Ryan zauważył, że dłonie Harry’ego, zaciśnięte na szklance z piwem, lekko drżały. Sprawiał też wrażenie, jakby był niewyspany, za mało jadał i w ogóle nie wychodził na świeże powietrze.

„Pewnie walczy o przetrwanie – pomyślał Ryan. – Założył samodzielną praktykę i interes niezbyt dobrze się kręci”.

Harry wyjął z kieszeni spodni wizytówkę i wręczył ją Ryanowi.

– Proszę. Gdybyś miał kiedyś jakikolwiek problem... To znaczy, wprawdzie masz pod ręką Norę, ale ona ma totalnie wypełniony grafik i gdyby zależało ci na czasie... – Spojrzał na niego z wielką nadzieją w oczach, jakby oczekiwał, że Ryan z miejsca oświadczy, iż od dawna czekał na kogoś takiego jak on. Cóż, wszystko mogło się potoczyć

szybciej niż się tego spodziewał. Ryan wiedział, że w jego życiu nastąpi cisza przed burzą, być może Debbie była zapowiedzią prawdziwego huraganu. Damon z pewnością uderzy. Nie wiadomo tylko kiedy, gdzie i jak, lecz jego cios będzie wściekły, perfidny i sadystyczny. Damon został na dwa lata skazany na bezczynność, gdyż jego ofiara siedziała za kratkami. Uderzy ze szczególnym okrucieństwem. Kiedy z nim skończy, Ryan może już nikogo nie potrzebować. Albo właśnie fizjoterapeuty. Prawdopodobnie ani jedna kość w jego ciele nie będzie na swoim miejscu.

– Dziękuję – odparł, po czym wsunął wizytówkę do kieszeni spodni.

– Jasne, zgłoszę się w razie potrzeby.

Dostrzegł, że Nora weszła właśnie do pokoju i rozgląda się wokoło. U jej boku pojawiła się atrakcyjna ciemnowłosa kobieta, która również sprawiała wrażenie, jakby kogoś wypatrywała.

„Pewnie mnie szuka – pomyślał Ryan. – Ta czarnowłosa to zapewne przyjaciółka Nory, której chce mnie teraz przedstawić”.

Czuł się coraz mizerniej. Najchętniej wybiegłby do mokrego od deszczu ogrodu i pognałby dalej, najszybciej jak potrafił. Pomijając jednak wymianę zdań z Norą, do jakiej znów pewnie by doszło, było to niemożliwe także z czysto praktycznych powodów: ludzie zgromadzeni wokół niego tworzyli istny mur, szczególnie grupy w pobliżu drzwi prowadzących na taras, tam bowiem docierało najwięcej świeżego powietrza. O *szybkim* przedarciu się do ogrodu można było zapomnieć.

Nora w końcu go spostrzegła i zdecydowanym krokiem ruszyła w jego kierunku, torując sobie drogę przez tłum. Za nią podążała druga kobieta. Podeszły do niego, kiedy Harry właśnie pytał:

– A ty? Także pracujesz w szpitalu?

– Nie – odparł Ryan. Postanowił trzymać się prawdy, nawet jeśli nie jest ona szczególnym powodem do dumy. – Pracuję w punkcie ksero.

– Gdzie? – dopytywał się Harry.

– Ryan, chciałabym cię przedstawić mojej przyjaciółce Vivian – odezwała się Nora. – Vivian, to jest Ryan Lee. Ryan, to Vivian Cole.

– W punkcie ksero – powtórzył Ryan. Skinął głową w stronę Vivian.

– Cześć!

– Cześć! – przywitała się Vivian. Przyglądała mu się z nieskrywanym zaciekawieniem. Była najlepszą przyjaciółką Nory, która mu często o niej opowiadała. Każdego ranka towarzyszyła jej w drodze do pracy. Jak dotąd Ryanowi udawało się uniknąć z nią spotkania, zawsze wychodził z domu wcześniej. Był pewien, że Nora wtajemniczyła ją w każdy szczegół ich związku, poczynając od pierwszego listu, poprzez pierwsze spotkanie, aż do momentu, kiedy wprowadził się do jej mieszkania. Pragnienie ucieczki coraz bardziej się w nim wzmagало.

– W punkcie ksero? – dopytywał się Harry, marszcząc czoło. Ryan dotąd mu współczuł, teraz jednak uznał go za mało sympatycznego. Harry nie dawał sobie rady z własnym życiem i szukał ludzi, którym wiodło się jeszcze gorzej. – Czy to porządny zawód?

– Daje mi dużą frajdę – skłamał Ryan.

Harry potrząsnął głową.

– No tak, ale przecież to nie jest coś, co można by robić przez całe życie...

– To pytanie nie na miejscu, Harry – przerwała mu Vivian. Uśmiechnęła się. Ryan odniósł wrażenie, że nigdy dotąd nie widział tak nieszczerzego uśmiechu. – Przypuszczam, że Ryan bardzo się ucieszył, że w ogóle znalazł jakąkolwiek pracę.

– Vivian... – Nora poczuła się nieswojo.

– Dlaczego? – zapytał Harry.

– Nie wiedziałeś? – odparła pytaniem Vivian. Jej zdziwienie było udawane, i to marnie, uznał Ryan. Żadna z niej aktorka.

– Nie. Niby o czym? – Teraz także Harry czekał na wyjaśnienia.

– No więc, to żadna tajemnica, prawda, Noro? Nora w pełni to akceptuje. Ryan był w więzieniu. To tam się poznali.

– Byłaś w więzieniu, Noro? – zapytał osłupiały Harry zbyt donośnym głosem. Nagle gwar wokół nich ucichł. Słowo *więzienie*, wymówione podniesionym tonem, wystarczyło, by z miejsca uciszyć hałas, który zdawał się jak dotąd nieprzenikniony.

Vivian się roześmiała.

– Ależ oczywiście, że nie. Ryana poznała poprzez organizację... która pośredniczy w kontaktach z więźniami. Z takimi, którzy nie mają rodziny, nie dostają żadnych listów, nikt ich nie odwiedza i tak dalej.

– Serio? – Harry wyglądał na wstrząśniętego. Najwyraźniej zupełnie inaczej postrzegał dotąd Norę. Ryan zauważył, że zwilgotniały mu dłonie. Jeszcze chwila, a szklanka z piwem wyslizgnie mu się z mokrych palców i rozbije o podłogę.

– Za co siedziałeś w więzieniu? – chciała wiedzieć jakaś kobieta.

– Ciężkie uszkodzenie ciała – wyjaśniła Vivian.

Milczenie. Nikt nie mógł cofnąć się ani o krok, tłum był zbyt gęsty, a mimo to Ryan odniósł wrażenie, jakby wszyscy się odeń odsunęli. Przynajmniej wewnętrznie. Nagle stał się jeszcze bardziej samotny niż dotąd.

– Nie działałem z premedytacją – wyjaśnił. – Właściwie to był przykry wypadek.

– Ale z powodu nieszczęśliwego wypadku nie trafia się przecież do więzienia – powiedział Harry.

Jak miałby wyjaśnić, co tak naprawdę się wówczas wydarzyło? Patrzył w te wszystkie twarze i naraz odniósł wrażenie, że tak czy owak zapłacze się w swoich wyjaśnieniach. Ujrzał... ciekawość. Radość z cudzego nieszczęścia. Odrazę. Żądę sensacji. A nade wszystko okrutną obojętność. Apatię. Wyłupiaste oczy pozbawione uczuć.

– Ja... no więc, to było... – zaczął, lecz w tej chwili usłyszał głos Nory. Nie zauważył, kiedy się przesunęła w jego stronę. Widoczna dla każdego z jej przyjaciół i kolegów, stała teraz u jego boku.

– Prawo wyraźnie rozróżnia, czy ktoś działa rozmyślnie i w złych zamiarach, czy nie – wyjaśniła. – Ryan został skazany na cztery lata więzienia, a po dwu i pół roku warunkowo zwolniony. Gdyby sąd orzekł działanie z premedytacją, dostałby dwadzieścia pięć lat.

Wszyscy wpatrywali się w Norę.

– Cóż, w każdym razie ktoś został bardzo ciężko ranny – zauważyła uszczypliwie Vivian. Przestała się uśmiechać. – Premedytacja czy nie!

– Jeśli cię uderzę – odezwała się Nora – nie kieruje mną zamiar wysłania cię do szpitala. A jednak możesz się potknąć, poślizgnąć, uderzyć głową w kant stołu i poważnie się przy tym zranić. Nikt jednak nie będzie mógł powiedzieć, że ja tego chciałam.

– No więc... z twoich słów wynika, że w przypadku Ryana nie chodziło, na Boga, o niewinny policzek. O ile mi wiadomo, to była karczemna bijatyka. Ten drugi był tak pijany, że ledwie mógł się bronić. Ryan stłukł go tylko dlatego, że tamten wygadywał po pijanemu. Chłopak nawet nie odpowiada za to, co tam bełkotał, lecz ostatecznie trafił do szpitala z ciężkim wstrząśnieniem mózgu i złamaniem podstawy czaszki.

– Ryan wcale tego nie chciał – odparła Nora. Jej głos drżał. Ryan spojrzał na nią z ukosa. Jej oczy płonęły wściekłością. Z początku myślał, że drzenie jej głosu świadczy o tym, iż zaraz wybuchnie płaczem, teraz jednak zrozumiał, że daleko jej było do łez. Wprost kipiała złością.

– Jak mogło aż do tego dojść? – zapytał Harry.

– Było tak, jak to przedstawiłam w moim przykładzie – odpowiedziała Nora. – Upadł nieszczęśliwie i tyłem głowy uderzył o kant stołu. To był okropny pech.

– Sąd przyznał, że nie mogłem tego przewidzieć – rzekł Ryan. Tak naprawdę wcale nie miał zamiaru się usprawiedliwiać. Mimo to dodał: – W więzieniu przeszedłem trening tłumienia agresji. Dziś coś takiego już by mi się nie przydarzyło. Znam... mechanizmy, dzięki którym mogę nad sobą panować.

– Cóż, bardzo nas to cieszy! – odezwała się Vivian. – W takim razie nie musimy się już martwić o Norę!

– Jakbyś kiedykolwiek musiała się o mnie martwić – odparła Nora. – Albo też kiedykolwiek się martwiła. Przez te wszystkie lata, kiedy każdy wieczór spędzałam sama w mieszkaniu, podczas gdy ty wyruszałaś na te swoje podboje, czułam się samotna i potrzebowałam przyjaciółki, ty zaś wciąż byłaś zajęta sobą oraz swoimi licznymi wspaniałymi, ekscytującymi, zwalającymi z nóg facetami. Zupełnie cię

nie obchodziłam!

– Nic nie mogłam poradzić na twoje problemy z mężczyznami. Nie wiedziałam też, dlaczego żaden nigdy u ciebie nie zadokował. Teraz jednak...

– Tak? – zapytała Nora.

– No cóż, powoli zacznym rozumieć – odparła Vivian. – Potrzebujesz całkiem specjalnego typu mężczyzny. Takiego, którego wcale nie tak łatwo znaleźć. Ty musisz czuć, że masz nad nim absolutną przewagę. Jesteś tak zakompleksiona, że nie byłabyś w stanie znieść mężczyzny równego sobie albo od siebie silniejszego. Stąd ten absurdalny pomysł, by nawiązać znajomość z więźniem. Trudno gdzie indziej znaleźć bardziej uległego faceta. Zamknięty. Skazany. A nawet jeśli wyjdzie na wolność, pozostaje w towarzyskiej izolacji. Już na zawsze naznaczony skazą. Zbrodniarz. Nic innego. A przez to na zawsze zdany wyłącznie na ciebie. Jesteś jego jedyną nadzieją, że przynajmniej *jedną* nogą będzie mógł stanąć na gruncie społecznego życia. I to właśnie cię w nim pociąga. U jego boku możesz się poczuć naprawdę silna i pewna siebie. I możesz żywić nadzieję, że on z tobą zostanie. W przeciwieństwie do wszystkich pozostałych!

– Jak ja mogłam uważać cię za przyjaciółkę, Vivian – powiedziała Nora.

Pobladła jak ściana, Ryan to zauważył. Wiedziała – wiedział także Ryan i pewnie wiedzieli też wszyscy obecni w pokoju – że Vivian może i była podła i złośliwa, ale trafiła w sedno. Doprowadziła do tego, że związek Ryana i Nory znalazł się w punkcie kulminacyjnym.

– Boję się o ciebie, Noro – oświadczyła Vivian.

– Uważam, że nawet przestępca zasługuje na drugą szansę. – Harry poczuł się w obowiązku dorzucić swoje trzy grosze. – Nawet morderca...

– Nie jestem żadnym... – zaczął Ryan, lecz miał już dość. Wszystkiego. Obłudy Vivian. Nagłej, pełnej namaszczenia wyrozumiałości Harry'ego. Wszystkich tych twarzy zgromadzonych wokół niego. Miał już dość tego okropnego przyjęcia. I poczuł też coś,

czego dotąd ani przez chwilę nie zaznał: że tego wieczoru to on musi chronić Norę. Stała u jego boku, wzięła jego stronę, i za to spotkało ją głębokie upokorzenie w obecności zebranego w pokoju towarzystwa. Do niego należało teraz zakończenie tej nieznośnej sytuacji.

Wcisnął w dłoń zaskoczonego Harry'ego swoją szklanę z piwem i wziął Norę za rękę.

– Chodź, wracamy do domu!

Było pół do jedenastej, kiedy dotarli do domu. Na przyjęciu nie zdołali już niczego zjeść, w samochodzie Nora nagle oświadczyła:

– Nie pozwolę sobie zepsuć całego wieczoru! Zgłodniałam. Wstąpmy do Navy Inn.

To był ich pierwszy wspólny wieczór w restauracji. Dziwne uczucie, uznał Ryan. Wyjątkowo intymne, choć to najzupełniej w świecie normalne, że dwoje ludzi idzie razem coś zjeść. W żadnym razie nie oznacza to, że coś ich łączy. Wypili po butelce piwa i zjadali się krążkami cebuli, frytkami oraz pieczoną fasolką w sosie pomidorowym.

– Potrzebuję mnóstwa kalorii – wyznała Nora. – Zawsze tak się dzieje, kiedy jestem wściekła.

Ryan coraz lepiej rozumiał, że powodem tego była sytuacja, w jakiej się znaleźli na tym okropnym przyjęciu. Na kilka minut doszło do konfrontacji: oni przeciwko reszcie świata. Poznał zupełnie mu nieznaną oblicze Nory. Nie wiedział, że potrafi być tak rozgniewana. I tak... wobec niego uczciwa. Stała u jego boku niczym *bodyguard*, blada, rozdygotana, niewzruszona. Po raz pierwszy poczuł wobec niej autentyczny respekt. I uczucie to trwało nadal. Coś się w ich stosunkach zmieniło. Dokąd ich to ostatecznie zaprowadzi, tego nie umiał przewidzieć. Zauważył jedynie, że coś się jednak poruszyło.

Rozmawiali o Vivian.

– Za dużo wypła – wyjaśniła Nora. – A kiedy pije, staje się agresywna i nieobliczalna. Jutro będzie przerażona własnym zachowaniem.

– Sądziś, że wasza przyjaźń przetrwa ten incydent? – zapytał Ryan. Nora wzruszyła ramionami.

– Tego nie wiem. Niejedno już razem przeżyliśmy, ale ten występ

był nawet jak na nią nad wyraz ekstremalny. Prawdopodobnie będzie mnie przepraszać na kolanach, w tej chwili jednak nie potrafię jeszcze powiedzieć, jak zareaguję. Na razie czuję się wyczerpana i pusta. – Uśmiechnęła się znużona. – To chyba normalne, kiedy człowiek tak się rozżłości.

– Nie powinniśmy chodzić razem na takie imprezy – oznajmił Ryan. – Coś podobnego zawsze może się powtórzyć. Tym bardziej że tylu ludzi poznało moją przeszłość. W ciągu weekendu ta wieść rozejdzie się w kręgu twoich znajomych i wśród twoich kolegów. Pojawią się komentarze, ostrzeżenia, brak zrozumienia. Żądza sensacji.

– Nic mnie to nie obchodzi – zapewniła Nora. – Dla *mnie* twoja przeszłość nie jest problemem, i tylko to się liczy. Chodzi o nas, Ryan. Nie o tych wszystkich ludzi wokół nas.

Wierzył, że jej słowa wyrażają prawdziwe myśli. Nie wiedział tylko, czy sobie uświadamiała, jakie konsekwencje może mieć owo odcięcie się od *tych wszystkich ludzi wokół nas*. A także w jakim znajdzie się położeniu, jeśli on będzie jedynym człowiekiem, który jej pozostanie? O tym wolał nie myśleć.

Kiedy po powrocie do domu weszli do pokoju dziennego, zamigła dioda automatycznej sekretarki. Nagrano trzy wiadomości. Dwie pierwsze pozostawiła Vivian.

Dzwoniąc po raz pierwszy, zalewała się łzami, była też wyraźnie podpiła. W tle dało się słyszeć płataninę głosów oraz dźwięki muzyki.

– Tak strasznie mi przykro, Noro, naprawdę, musisz mi uwierzyć! – Miała ciężki język, wciąż jej się plątał przy każdym kolejnym słowie. – Proszę, proszę, zadzwoń do mnie na komórkę. Jestem jeszcze na przyjęciu. Telefon trzymam w rękę, usłyszę, kiedy zadzwonisz. Proszę, odezwij się. Wszystko ci wyjaśnię.

Za drugim razem już nie płakała, mówiła za to isticie grobowym głosem, tak cichym, że ledwie można ją było zrozumieć. Wokół niej zrobiło się spokojniej.

– Już wyszłam. Nie mogłam dłużej wytrzymać. Nie oddzwoniłaś. Noro, proszę, daj mi jeszcze jedną szansę. Proszę! Jesteś moją najlepszą

przyjaciółką. Nie chciałam cię zranić. Sama nie wiem, czemu byłam wobec ciebie taka podła. Proszę, zadzwoń do mnie! – Umilkła na chwilę. – Możesz dzwonić przez całą noc – dodała. – Obojętnie kiedy. Ale proszę, odezwij się!

– Wiedziałam, że się opamięta – odezwała się Nora – i że przerazi ją własne zachowanie. Zdzierżymy jeszcze trzecią wiadomość od niej?

Ryan stał pośrodku pokoju.

– Jak chcesz.

Nora ponownie nacisnęła klawisz odtwarzania.

Milczenie. Potem ktoś odchrząknął.

– To nie Vivian – stwierdziła zaskoczona. – To chyba jakiś mężczyzna!

Rozmówca ponownie odchrząknął. Wydawało się, że nie wie, od czego zacząć.

– Ryan? Mam nadzieję, że to właściwy numer. Że mieszka tu Ryan. Ryan Lee.

Ryan zrobił krok do przodu. Głos wydał mu się znajomy, nie potrafił go jednak z kimkolwiek skojarzyć. Pierwsza myśl: Damon! „No to mnie dopadł! Powie mi teraz, do kiedy mam zwrócić pieniądze i co się stanie, jeśli nie zapłacę”.

Już chwilę później wiedział jednak, że to niemożliwe. Ktokolwiek właśnie do niego dzwonił, był niepewnym siebie, pełnym rozterek człowiekiem, który nieszczególnie lubi zostawiać wiadomości na automatycznej sekretarce. Wydawało się też, że nawet nie wie, czy dzwoni pod właściwy numer. To nie było w stylu Damona. Damon wyrzuciłby z siebie wiadomość głośno i bezczelnie, bez odchrząkiwań, bez wahania i niezdecydowania. Nie wątpiłby, czy ma właściwy numer, po prostu dlatego, że Damon w zasadzie ani przez moment nie wątpił w słuszność tego, co robił.

– No więc, mówi Bradley. Bradley Beecroft. Ryan, coś się stało... Nawet nie potrafię ci dokładnie powiedzieć, co się wydarzyło, ale... powinienes się ze mną skontaktować. Wydaje się, że... twoja matka zniknęła. Wszystko wygląda bardzo tajemniczo. Proszę, zadzwoń do

mnie!

Sekretarka się wyłączyła. Ryan stał jak wryty.

– Kto to był? – zapytała Nora. – I o czym, na litość boską, mówił?

Ryan chwycił słuchawkę i zaczął naciskać jednocześnie różne klawisze urządzenia.

– Nie znam jego numeru. Cholera, czy ten telefon zapisał gdzieś jego numer?

– Kto to był? – powtórzyła pytanie Nora.

– Bradley – odparł Ryan. Udało mu się wyświetlić numer Bradleya Beecrofta, wystukał go w telefonie. – Mąż mojej matki.

– Twój ojczym?

– Nie. Choć w pewnym sensie tak. Bradley to trzeci mąż mojej matki. Byłem już dorosły, kiedy za niego wyszła.

Czekał na połączenie. Uświadomił sobie, że ledwie mógł przetykać, w ciągu paru sekund zupełnie zaschło mu w gardle.

– Cześć Bradley, tu Ryan. Co się stało?

Pędzili przez mrok nocy. Ryan siedział za kierownicą, wiedział, że jedzie o wiele za szybko, niebezpiecznie szybko, lecz niepokój gnał go z taką siłą, że nie potrafił zwolnić. Na szczęście w ten późny piątkowy wieczór ruch na drogach był niewielki. Znow zaczęło padać. Mokra, wietrzna noc kwietniowa. Kto tylko mógł, pozostał w domu.

– Potrzebuję samochodu – powiedział do Nory, kiedy wysłuchał wzburzonej opowieści Bradleya i zakończył z nim rozmowę. – Muszę tam pojechać. Do Bradleya. Muszę sprawdzić, czy mogę jakoś pomóc.

– Oczywiście – odparła Nora bez wahania. – Pojadę z tobą.

– Noro, nie musisz...

– Ale chcę.

Wcale nie był pewien, czy chce, by mu towarzyszyła, lecz samochód należał do niej, więc nie mógł jej tego zabronić. Poza tym mogła się przydać. Okazała się wobec niego lojalna i pełna zaangażowania, bez wątplenia uczyni, co w jej mocy, by również teraz go wspomóc.

– Gdzie mieszka twoja matka? – zapytała Nora, kiedy wsiedli do samochodu.

Wrzucili do torby bieliznę na zmianę oraz szczoteczki do zębów, położyli ją na tylnym siedzeniu. Mimo że w głowie kotłowały mu się tysiące spraw, Ryan pomyślał i o tym: „jak stare dobre małżeństwo. Już podróżujemy z jedną wspólną torbą”.

– W Sawdon. Na wrzosowiskach Yorkshire.

– Musimy aż do Yorkshire?

– Ja muszę. Ty nie.

– Mówiłam już, że jadę z tobą, i nie zmienię zdania.

Ucieszyło go, że ani słowem nie skomentowała jego stylu jazdy, choć z pewnością odczuwała strach. Widział to po jej kurczowo zaciśniętych wargach, kiedy od czasu do czasu zerkał na nią z ukosa. A jednak powstrzymała się od jakichkolwiek uwag.

Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał od Bradleya. Porzucony samochód jego matki znaleziono na skraju szosy prowadzącej przez wrzosowiska do Whitby. Drzwi kierowcy były otwarte, jej torebka leżała na siedzeniu pasażera. Po Corinne wszelki ślad zagaął.

– A ci ludzie, z którymi miała się spotkać – opowiadał Bradley – nie mogli dojechać na miejsce. Nie zdołali uruchomić samochodu. Najwyraźniej ktoś przy nim majstrował.

– Jacy ludzie? – Od niemal sześciu lat Ryan nie utrzymywał kontaktu z własną matką, nie miał pojęcia o jej zwyczajach. Dowiedział się, że obecnie pracowała w praktyce lekarskiej w Whitby i każdego ranka jeździła przez wrzosowiska. Przy polnej drodze odchodzącej od głównej szosy czekała zawsze na młodą dziewczynę, którą podwoziła do Whitby, gdzie tamta przyuczała się do zawodu. Na umówione miejsce spotkania odprowadzała ją matka. Wszystko wskazywało na to, że i w ten piątek Corinne Becroft czekała o uzgodnionej porze na dziewczynę, ta jednak się nie pojawiła. Jeśli to prawda, że celowo uniemożliwiono jej dotarcie na miejsce, majstrując przy samochodzie, był to poważny powód do niepokoju. Kto wziął sobie na cel kobietę, która o tak wczesnej porze samotnie czekała w samochodzie w tej

opustoszałej okolicy?

– Nigdy – powiedział Bradley drżącym, zachrypłym głosem – nigdy dobrowolnie stamtąd nie odeszła. Przydarzyło jej się coś złego, Ryan, ja to wiem. Policja jest tego samego zdania!

Myśli kołatały się w jego głowie, kiedy pędził przez noc. To już nie mógł być przypadek. Deborah, mizerna i obolała, prawie nie wychodziła z mieszkania, od kiedy napadło na nią dwóch nieznanych mężczyzn. A teraz Corinne. Zniknęła bez śladu, najwyraźniej wskutek celowych i roztropnie przygotowanych działań. Dwie kobiety odgrywające istotną rolę w życiu Ryana: jego matka oraz jego długoletnia partnerka. Dwie kobiety, o których każdy wiedział, iż raniąc je, raniło się również samego Ryana.

Kto chce mi coś powiedzieć?

W przypadku Corinne, w odróżnieniu od napadu na Debbie, pojawiał się dodatkowy element, na myśl o którym z miejsca występował mu na czoło zimny pot: szczególne okoliczności jej zniknięcia. Niczym *mane, tekel, fares* wypisane na ścianie: odludna okolica. Samochód. Ani śladu kobiety kierującej pojazdem.

Jeśli zamienić wrzosowiska Yorkshire na Pembrokeshire Coast National Park, otrzymywało się praktycznie identyczny opis tego, co się zdarzyło *wówczas*.

Za tym kryje się misterny plan.

Myśl ta prowadziła do pytania: Kto mógł go powiązać ze zniknięciem Vanessy Willard sprzed prawie trzech lat? Damon? Niemożliwe. Po prostu niemożliwe.

Właściwie istniała tylko jedna taka osoba – była nią sama Vanessa Willard.

Czy ona żyje?

Ile czasu upłynęło od chwili, gdy po raz ostatni wypowiedział w myślach jej nazwisko? *Vanessa Willard*.

Przez ponad dwa i pół roku nie potrafił sięgnąć myślami aż tak daleko. Kiedy tylko owa nieszczęsna niedziela usiłowała się wdrzeć w jego wspomnienia, pojawiał się wielki czerwony znak Stop, który

stworzyła sobie jego podświadomość, i ku jego uldze niezawodnie przywoływała w rozstrzygających chwilach. *Stój! Nie! Ani kroku dalej!*

I to się udawało, chroniąc go przed ciężarem jego winy oraz męką dręczących myśli. Pierwsza rysa na tym obronnym pancerzu pojawiła się, gdy siedział przy zrozpaczonej Debbie. Teraz zaś wydawało się, jakby doszczętnie popękał. Dawne obrazy przepływały przez niego w sposób niepowstrzymany. I wzmagало się w nim przecucie, przybierając pozór pewności: „Teraz za to zapłacisz. Cała ta sprawa wróci do ciebie. Nic się nie zakończyło. To jeszcze nie koniec”.

– Dziwi mnie to, że musiałeś szukać numeru swojej matki i jej męża – powiedziała Nora bez ogródek. – Nie pamiętasz numeru telefonu własnej matki?

– Nie. Od dawna nie mamy z sobą kontaktu.

– Czy powodem tego jest... twoje dzieciństwo? Nie potrafisz jej wybaczyć?

W skupieniu patrzył przed siebie, nie zerknął w jej stronę.

– Nie. Powodem jest zmiana w moim życiu. Matka tego nie zaakceptowała. Tym bardziej facet, którego poślubiła.

– Bradley?

– Niesamowity kołtun. Chyba już emeryt, z niewielkim domem i pedantycznie wypielęgnowanym ogródkiem. On i moja matka powinni chyba umrzeć z nudów, ale najwyraźniej z sobą wytrzymują.

– Czy oni wiedzą, że... byłeś w więzieniu?

Wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Nie sędzę. Nie mówiłem im o tym.

– Skąd Bradley wiedział, że mieszkasz u mnie?

Istotnie, to było ciekawe pytanie. Jak dotąd nie zastanawiał się nad tym.

– Nie wiem. Ale z pewnością można to jakoś wyjaśnić.

Więcej nie rozmawiali. Kiedy Ryan zerknął chwilę później w bok, spostrzegł, że Nora zasnęła. To dobrze. Wolał być teraz sam na sam ze swoimi myślami.

Gdy dotarli do Sawdon, dochodziła czwarta nad ranem. Niewielka

miejscowość wciąż pogrążona była w głębokim, sennym mroku. Tylko w jednym domu paliły się wszystkie światła: w domu Beecroftów. W ich spokojną egzystencję wtargnęło nagle niepojęte nieszczęście. Widocznie Bradley przez całą noc ani na chwilę nie kładł się spać.

Kiedy zatrzymali się i wysiedli z samochodu, zaraz wyszedł im naprzeciw ogrodową dróżką. Mżyło. Nawet w słabym świetle wiszącej nad wejściem latarni Ryan bez trudu zauważył, że starszy człowiek był u kresu sił. Drżały mu wargi, w jego oczach płonęła panika. Jasne cienkie włosy zwisały w nieładzie, przez co przypominał oskubanego ptaka.

– Ryan! Ryan, dzięki Bogu, że jesteś!

Wziął w ramiona swojego pasierba, co jeszcze nigdy się nie zdarzyło. Dwanaście lat wcześniej Ryan był na ich ślubie, potem kilka razy odwiedził matkę w Sawdon, lecz za każdym razem czuł coraz silniej, że Bradley go nie akceptuje. W jego opinii był nicponiem, ladaco, wiecznym drobnym kryminalistą i nieudacznikiem, który przysparzał swej matce samych tylko zmartwień. Ryan był przekonany, że to pod wpływem Bradleya Corinne w pewnym momencie zerwała kontakt z synem. Tak naprawdę nie miał zamiaru kiedykolwiek spotkać się ze starym, nie mówiąc już o tym, by paść mu w ramiona. Bradley z pewnością podzielał to nastawienie. Obecne okoliczności wiele jednak zmieniły: Bradley był bliski załamania. Czuł, że to wszystko go przerosło i w głębi duszy miał nadzieję, że ów stojący przed nim młody człowiek przynajmniej raz w życiu zrobi coś sensownego i znajdzie wyjście z tej zagmatwanej, niepokojącej sytuacji. Ryan obawiał się jednak, że będzie zmuszony go rozczarować. Miał wprawdzie przerażające przeczucie, co mogło się za tym wszystkim kryć, lecz było ono mgliste i niejasne nawet dla niego samego. Jeśli Corinne wkrótce się nie zjawi, Ryan po raz drugi stanie wobec konieczności wyłożenia przed policją kart na stół i ujawnienia historii Willardów. Za pierwszym razem powinien był to czym prędzej uczynić, by ratować Vanessę Willard. Milczał powodowany tchórzostwem. Teraz natomiast, wobec przypuszczenia, że zniknięcie Corinne ma coś wspólnego z losem

Vanessy Willard, będzie to musiał zrobić, by ratować własną matkę.

Choć rozmyślał już o tym w trakcie jazdy samochodem, dopiero w tej chwili, w objęciach znienawidzonego ojczyrna zrozumiał, że ów koszmar dopadł go z bezwzględnością największą z możliwych: uświadamiając mu, że może się powtórzyć.

Bradley uwolnił się z objęć i cofnął o krok.

– Jakże ty zmężniałeś, chłopcze. Wyrobiłeś sobie niesamowite muskuły!

„Owszem, nawet w więzieniu można trenować” – chciał odpowiedzieć, lecz zagryzł tylko wargi. Bradley odwrócił się w stronę Nory i uściśnął jej dłoń.

– A zatem to pani jest towarzyszką życia Ryana.

Nora się uśmiechnęła.

– Nora Franklin.

Bradley, wyraźnie mile zaskoczony widokiem zgrabnej Nory, ponownie zerknął na Ryana.

– Dzwoniłem do Deborah. Pamiętam, że twoja matka miała o niej jak najlepsze zdanie.

Ryan o tym wiedział. Debbie wielokrotnie towarzyszyła mu do Yorkshire, Corinne była nią oczarowana. Miała nadzieję, że z tą kobietą u swego boku jej syn zacznie wreszcie mieszczańskie, a przede wszystkim porządne życie. Tuż po ich rozstaniu wciąż wydzwaniała do Debbie, prosząc ją, by dała Ryanowi jeszcze jedną szansę.

– Znalazłem jej numer na biurku Corinne. Deborah powiedziała mi, że mieszkasz teraz w Pembroke Dock, i podała mi wasz numer.

– Może wejdziemy do środka? – zaproponował Ryan. – Zaraz zupełnie przemoknę.

– Oczywiście. Oczywiście. – Bradley pokuśtykał przodem. Wprowadził ich do porządnie wysprzątanego pokoju dziennego. – Siadajcie. Czego się napijecie? Herbaty? Kawy?

– Najchętniej kawy – poprosił Ryan. – A potem w spokoju wszystko nam opowiesz. Zakładam, że nie masz żadnych nowych wiadomości?

– Nie. Jakby... – Głos mu się załamał, potrzebował paru sekund, by

nad sobą zapanować. – Żadnego znaku życia. Nic. Nikt też nie zadzwonił i nie przedstawił jakichkolwiek żądań. Uważam zresztą, że to byłoby dość absurdalne, nie jesteśmy przecież bogaci, choć oczywiście poruszyłbym niebo i ziemię, by zdobyć pieniądze, gdyby to miało uratować jej życie. Ale... nic! Ani na sekundę nie odchodzę od telefonu.

Zniknął w kuchni. Nora powiodła za nim wzrokiem.

– Mój Boże, on się zaraz załamie. Jest zrozpaczony.

Ryan wstał i przeszedł się po pokoju. Na jednym z regałów znalazł swoje zdjęcie. Miał na nim około dwudziestu lat, dość markotnie patrzył w obiektyw. A więc jednak postawiła je tutaj. A Bradley najwyraźniej to tolerował.

Bradley wrócił z tacą. Postawił na stole filiżanki, nalał kawę. Ręce tak bardzo mu przy tym drżały, że więcej napoju znalazło się na podstawkach niż w filiżankach. Ryan ponownie usiadł.

Bradley opowiedział o telefonie, jaki odebrał poprzedniego dnia około pół do dziewiątej.

– Dzwoniła Mrs Barker. Matka dziewczyny, która zawsze jeździła z Corinne. Była wzburzona, gdyż wciąż usiłowała się dodzwonić do Corinne na komórkę, by jej powiedzieć, że Celina nie dotrze na miejsce spotkania, ponieważ zepsuł się im samochód. W końcu zadzwoniła do praktyki lekarskiej, gdzie pracuje Corinne, tam jednak też się nie pojawiła. Sądono, że pewnie się rozchorowała. – Bradley umilkł na chwilę i wypił łyk kawy. Poplamił sobie przy tym koszulę, lecz zdawał się tego nie zauważać. – Od razu ogarnęło mnie złe przeczucie – ciągnął – gdyż to do Corinne zupełnie niepodobne, by spóźniła się do pracy. Wsiadłem w samochód i pojechałem tą samą trasą. Lało jak z cebra. Kiedy dotarłem do polnej drogi, zobaczyłem jej samochód. Drzwi kierowcy były otwarte. Od razu wiedziałem, że coś się stało.

Opowiedział, że znalazł torebkę, kluczyki tkwiły w stacyjce. Zaraz też zaczął przeszukiwać okolicę, gdyż przypuszczał, że źle się poczuła i dlatego w pośpiechu opuściła samochód.

– Przeszedłem przez ogrodzenie pastwiska dla owiec, sprawdziłem teren. Ale nigdzie nie było po niej śladu. Sądzę, że jeśliby zrobiło się jej

niedobrze albo dostała mdłości, nie odeszłaby stamtąd nie wiadomo ile mil, prawda?

– A potem powiadomiłeś policję? – upewnił się Ryan.

– Tak. Wszystko ponownie przeszukali, ale nie znaleźli żadnej wskazówki świadczącej o tym, że Corinne przebywa gdzieś w okolicy. Ślady opon wskazują na to, że jakiś pojazd zatrzymał się tuż za samochodem Corinne, prawdopodobnie w tym samym czasie o poranku. Nie wiadomo jednak, czy ma to jakiś związek. Był u mnie funkcjonariusz. Spisał dane Corinne i chciał dokładnie poznać okoliczności porannych wydarzeń. Gdzie Corinne pracuje, dlaczego w tamtym miejscu czekała. Czy się pokłóciliśmy, czy z jakiegoś innego powodu była wzburzona albo podenerwowana. – W oczach Bradleya połyskiwały łzy. Ponownie przeżywał zdarzenia minionego ranka, który zaczął się tak spokojnie i zwyczajnie. – Lecz nic takiego się nie stało. Leżałem jeszcze w łóżku, gdy wyszła. Zachowywała się całkiem normalnie. Lubiła swoją pracę w Whitby. Tam również nie dochodziło do żadnych spięć, powiedziałyby mi o tym. Cieszyła się ze zbliżającego się weekendu, mimo padającego deszczu. Chcieliśmy pójść na spacer, a wieczorem rozpalić ogień w kominku.

Zalał się łzami. Nora wstała, podeszła do niego, usiadła na podłokietniku fotela i objęła go ramieniem.

– Znajdziemy ją – zapewniła kojącym głosem. – Proszę nie myśleć o najgorszym, panie Beecroft. Może istnieje tu jakieś całkiem niewinne wyjaśnienie.

„Z pewnością nie” – pomyślał Ryan. Przypomniał sobie przypadek Debbie. Bądź co bądź Debbie żyła. Ale wolał sobie nie wyobrażać, że to samo spotkało jego matkę, nawet gdyby w końcu miała wrócić do Bradleya.

– A samochód tej rodziny... – zaczął.

Bradley otarł łzy.

– Tak. Kiedy był tu jeszcze ten funkcjonariusz, znów zadzwoniła Mrs Barker. Wezwali tymczasem mechanika, który stwierdził, że ktoś chyba celowo unieruchomił pojazd. Przeciął jakiś przewód czy coś

takiego... W każdym razie wykluczył zużycie materiału, nie była to również sprawka kuny. Wiadomość ta trochę zafrapowała policjanta. To bowiem mogłoby oznaczać...

– Że ktoś zadbał o to, by w umówionym miejscu Corinne czekała sama – dokończył zdanie Ryan. Ogarniało go coraz bardziej nieprzyjemne uczucie. Dobrze zaplanowana akcja. Miał już niemal stuprocentową pewność, że wiązała się ona z jego osobą.

– Co na to policja? – zapytał.

Bradley uniósł obie ręce.

– Wydają się dość bezradni. Funkcjonariusz pojechał potem na farmę Barkerów, nie dowiedział się tam jednak niczego nowego. Powiedziano mi, bym bez względu na wszystko czuwał przy telefonie. Zapytali, czy nie potrzebuję pomocy psychologa, ale ja nikogo takiego nie chcę. Chcę odzyskać Corinne. Chcę, by po prostu wróciła! – Spojrzał błagalnym wzrokiem na Ryana. – Proszę, Ryan! Musisz mi pomóc! Musisz pomóc jej! To twoja matka! Znasz ją lepiej niż my wszyscy. Nie domyślasz się, co się z nią mogło stać?

Ryan ponownie wstał. Poczul lekkie mdłości, nagle zaczął dygotać z zimna, choć przedtem pocił się ze wzburzenia.

– W tej chwili nic mi nie przychodzi do głowy – odparł. Zdziwiło go, że potrafił skłamać tak niewzruszonym, pewnym głosem.

„Jesteś takim samym tchórzem jak wówczas – pomyślał. – Doskonałym przykładem na to, że więzienie wcale nie zmienia ludzi w lepszych. Wypluwa ich tak samo złych, ograniczonych i marnych, jakich przyjęło”.

Nora położyła dłoń na ramieniu Bradleya.

– Na pewno pomożemy – zapewniła. – Ryan, moglibyśmy pojechać na miejsce, gdzie wczoraj zniknęła twoja matka. Powinniśmy sami je obejrzeć.

Ryan był świadom, że to li tylko chęć działania. Bradley już tam był. A przede wszystkim była policja. Gdyby można tam było coś jeszcze odkryć oprócz podejrzanych śladów opon, na pewno by to znaleziono. Nora z pewnością także o tym wiedziała. Może chciała przybitemu,

zrozpaczonemu Bradleyowi dać poczucie, że coś się dzieje, że nie siedzi się beczynnie. Może chciała też znaleźć się z Ryanem sam na sam, omówić z nim wszystko w cztery oczy. Miał nadzieję, że niczego nie zaczęła podejrzewać: wiedziała, że jego była dziewczyna została zgwałcona. A teraz zniknęła jego matka. Może dostrzegła jakiś związek i chciała z nim pomówić. Nora nie była głupia. Ani naiwna. Od poprzedniego wieczoru Ryan coraz mocniej sobie uświadamiał, że dotąd jej nie doceniał.

Skinął głową.

– Okay. Ruszemy, kiedy się przejaśni.

6

Wynurzyła się z bezładnego, zatrważającego snu, w którym leżała naga pośrodku lasu, bezradna niczym przewrócony na wznak chrząszcz, zziębnięta, wygłodniała, a przede wszystkim spragniona. Przez dłuższą chwilę zmagala się z sobą, by się z owego snu otrząsnąć i powrócić do rzeczywistości, zrozumiała jednak, że już od dawna w rzeczywistości tej przebywa. I że jest ona bardziej przerażająca niż jakikolwiek sen.

Czuła kłujący ból w głowie, usta miała tak wyschnięte, jakby całymi godzinami trzymała w nich watę albo wełnę, choć wydawało jej się, że nic takiego nie miało miejsca. Dostała jednak coś do picia, pamiętała, że mimo pragnienia wzbraniała się, gdyż woda się pienila, jakby coś w niej rozpuszczono, lekarstwo, narkotyk, w każdym razie coś nieznanego.

– Nie wypiję tego – odmówiła, na co jeden z mężczyzn – tak, było ich dwóch, również ten fakt wynurzył się teraz z głębin jej strasznie powolnej, ociężałej pamięci – odparł:

– To aspiryna. Wypij!

Nie uwierzyła mu, dlaczegóż bowiem dwóch mężczyzn, porwawszy ją, miałyby jej teraz troskliwie podać aspirynę? Z pewnością chodziło o jedną z owych niebezpiecznych substancji, z pomocą których można uczynić człowieka bezwolnym. Wzbraniała się, lecz mężczyzna przytrzymał ją i wlał jej wodę do ust. Choć zdołała od razu wypluć pewną jej ilość, połknęła wystarczająco dużo, by od tej pory poruszać się jakby w dziwnej, ciemnej mgłę, postrzegać wokół siebie jedynie rozmyte kształty przedmiotów i odbierać je jako osobliwie nierzeczywiste. Czasami nic do niej nie docierało, była zupełnie odurzona albo traciła przytomność. Stąd też niektórych fragmentów całej historii w ogóle nie pamiętała.

Wyprostowała się. Nie była naga, czego tak bardzo się obawiała, wciąż miała na sobie ubranie, lecz zupełnie przemoknięte od deszczu, tak iż kleiło się jej do skóry niczym mokra trawa. Stwierdziła, że obecnie to nie głód i pragnienie męczyły ją najbardziej, lecz przeszywający ziąb. Nie wiedziała dotąd, że chłód może sprawiać aż taki ból. Była zmarznięta aż do szpiku kości, aż po najgłębsze zakamarki swego ciała. Z zimna chciało jej się wyć. I przeczynała, że miała dość innych powodów, by wybuchnąć płaczem.

Uniosła głowę i rozejrzała się wokół.

Jej umysł nadal funkcjonował powolnie i ociężale, wciąż nie miała pewności, czy to, co widzi, jest rzeczywiste. Las. Drzewa. Zarośla. Paprocie. Mchy. Mokre, stare, jesienne listowie na ziemi.

Jedno wspomnienie powoli, z trudem zyskiwało na wyrazistości: jadący leśną drogą samochód. Drzewa, zupełnie odcinające resztkę światła owego deszczowego dnia, tak że wszystko wokół tonęło w mroku, posępne i wilgotne. Przywarła do siedzenia, ledwie widziała otoczenie, gdyż jej głowa wciąż bezwiednie opadała na bok. Nie potrafiła nawet dokończyć pojedynczej myśli. Wciąż zaczynała od nowa zadawać sobie pytania, analizować to, co się z nią działo, lecz zanim zdołała złożyć zebrane fragmenty w rozsądną całość, na powrót traciła co najmniej połowę z nich. Ponownie zaczynała i ponownie doznawała niepowodzenia. Pamiętała, że przez chwilę sądziła, iż umrze z wyczerpania, jakie powodowały owe wysiłki.

Potem samochód zatrzymał się pośrodku lasu i mimo obezwładniającego odurzenia poczuła przeszywający ją raptownie strach. Czemu się zatrzymują? Czemu zatrzymują się *tutaj*?

Otworzyły się drzwi samochodu. Kierowca wysiadł. Otworzył drzwi obok siedzenia Corinne. Pamiętała, że przez moment poczuła się przytomniej, gdy chłodne, świeże, przesycone wilgocią powietrze wniknęło do wnętrza pojazdu. Pochwyciły ją czyjeś ręce, wyciągnęły z samochodu. Próbowała stanąć o własnych siłach, lecz nogi się pod nią ugięły. Osunęła się na ziemię. Była miękka. Miękka i mokra, pachniała listowiem, ziemią i wilgocią.

Nie pamięta nic więcej.

Prawdopodobnie straciła przytomność.

Jak długo już tutaj leży?

Odwróciła głowę i spojrzała w górę. Korony drzew ponad nią nosiły już wiosenne szaty jasnej, świeżej zieleni. Nad nimi sunęły powoli szare obłoki. Nie było widać ani skrawka błękitnego nieba. Przynajmniej przestało padać. Czasami wydawało się, że mży, lecz to lekki wiatr strząsał z liści krople wody. Las ociekał wilgocią.

Wpadła na myśl, by zerknąć na zegarek. Pół do dziesiątej. Zaczęła się zastanawiać. Pół do dziesiątej wieczorem? Lecz wówczas zapadłby już mrok. A więc pół do dziesiątej przed południem. Ale jaki dziś dzień?

Miała nieokreślone wrażenie, że raz czy dwa zdołała tymczasem otworzyć oczy. Ujrzała wówczas, iż spowija ją głęboki mrok, co mogłoby oznaczać, że od momentu uprowadzenia do chwili obecnej minęła już jedna noc. Nie mogła jednak przysiąc, że tak było w istocie. Podany jej środek, czymkolwiek był, zbyt mocno ograniczył jej percepcję.

Praktycznie z każdą minutą jego działanie wyraźnie jednak słabło. Pozostały jedynie nieprzyjemne skutki uboczne: kłujący ból głowy. Nieznośna suchość w ustach i gardle, prawie nie do wytrzymania. Umysł Corinne funkcjonował coraz przytomniej, choć nie była pewna, czy to powód do radości. Dotąd działała niby w gorączce, która przytępiała postrzeganie rzeczywistości i tłumiała jej ostrość. Ostrość nacechowaną nieznośną wyrazistością, odznaczającą się nieludzkim okrucieństwem. Oto została napadnięta. Uprowadzona. Podano jej narkotyk. Porzucono ją w lesie niby worek śmieci.

A teraz? Pozostawiono ją własnemu losowi? Czy może porywacze powrócą?

Czy czają się gdzieś w pobliżu?

Myśl ta wzbudziła w niej panikę, wpędziła niemal w histerię. Gwałtownie odwracała głowę we wszystkie strony, oczekując, że dostrzeże stojący w pewnej odległości samochód, a w nim dwóch przejmujących grozą, obserwujących ją typów. Stwierdziła jednak, że

o ile potrafiła właściwie ocenić, była sama. Żadnego samochodu. Żadnych mężczyzn. Tylko głęboki, gęsty las.

Do oczu napłynęły jej łzy, desperacko je powstrzymywała. Musiało istnieć jakieś wyjaśnienie, nic się nie dzieje zupełnie bez powodu. Nie zabito jej, nie zgwałcono. Porzucono ją. Jak domowe zwierzę, którego chcą się pozbyć.

– Bradley – jęknęła cicho. – Pomóż mi! Pomóż!

Bradley był jednak daleko stąd i nie miał pojęcia, co się z nią stało. Czy powiadomił już policję? Na pewno to zrobił. Celina i jej matka musiały kiedyś w końcu dotrzeć na miejsce spotkania, gdzie znalazły porzucony samochód. Kluczyki tkwiły w stacyjce, torebka leżała na siedzeniu pasażera. Z pewnością wydało im się to wielce podejrzane. Zadzwończyły do Bradleya, a on na pewno udał się bezzwłocznie na policję. Poczowała lekką ulgę na myśl, że rozgłoszono już wiadomość o jej zaginięciu i wszczęto poszukiwania. Nie miała wszakże pojęcia, dokąd ją wywieziono, nie wiedziała też o tym policja. Dość długo jechali samochodem, żaden pies nie będzie w stanie podjąć tropu. Najpierw udali się w kierunku Whitby, to pamiętała, potem jednak podano jej ten przeklęty środek i od tej pory jej wspomnienia rozmywały się, zacierając obrazy i poczucie upływającego czasu.

Usiłowała się podnieść. Potrzebowała kilku prób, gdyż jej nogi były jak z waty i wciąż się pod nią uginały. Przytrzymała się drzewa, podciągnęła w górę, oparła plecami o nagi pień. Udało się. Drzewo stanowiło dla niej podporę, powoli wracało czucie w nogach.

Odzyskiwała również ostrość widzenia, na stojąco sięgała wzrokiem dalej, lecz poprawa jej stanu wcale nie przyniosła pociechy. Teraz bowiem zauważyła, że znajdowała się w samym środku głębokiego lasu. Nic, tylko drzewa i gęste zarośla. Gąszcz i drzewa. Nawet gdyby zdołała się spieszenie przedrzeć przez las, nie oznaczało to wcale, że dotarłaby w zamieszkane okolice. Wiedziała, że tu, na północy Anglii, ciągnęły się rozległe, bezkresne wrzosowiska. Na niektórych terenach można było wędrować bez końca i nie spotkać żywego ducha. Nic dokoła nie wskazywało na to, by znajdowała się w pobliżu cywilizacji:

nie słyszała ani pomruku samochodów, ani też jakichkolwiek odgłosów piły motorowej czy siekiery. Ani huku wystrzałów, który świadczyłby o tym, że w pobliżu poluje jakiś myśliwy. Ani śladu robotników czy leśników. Nikogo, po prostu nikogo. Tylko szum wiatru w listowiu oraz ciche uderzenia kropli, zwiewanych jego podmuchami. Świergot ptaków. Wciąż gdzieś coś szeleściło albo chrzęściło. Las wypełniało życie, lecz nie ludzie. Nie było nikogo, kto mógłby jej pomóc.

Marzła, dokuczał jej głód i pragnienie.

A potem przemknęła jej myśl, która wywołała w niej dreszcz odrętwienia: A jeśli zaszła pomyłka, jeśli to nie ją chciano uprowadzić? Co się stanie, jeśli ci mężczyźni to odkryją? Być może nic. A może wrócą. Może realizując swe zamiary, nie będą mogli zanadto ryzykować.

Wyczuwała zło. To nie były nieszkodliwe opryszki. To zatwardziali przestępcy pozbawieni współczucia, pozbawieni w ogóle jakichkolwiek uczuć. W żadnym razie nie mogła popełnić błędu, nie mogła ich nie docenić. To zaś oznaczało, że musi jak najszybciej uciekać.

Musi być daleko stąd, gdy tu powrócą.

W sobotę już nie padało, a jednak niebo wciąż pozostawało szare. Byłam trochę przeziębiona, przez cały dzień nawet się porządnie nie ubrałam i późnym popołudniem nadal chodziłam po mieszkaniu w moim starym dresie. Ani nie wzięłam prysznicu, ani nie umyłam zębów, ani nie rozczesałam włosów. Ciekło mi z nosa, a w gardle drapało. W południe rozpuściłam zupę z torebki w gorącej wodzie. Próbowalam nie poczuć się nazbyt zdeprymowana z powodu zmarnowanego, samotnego weekendu. Przeziębiona, a do tego przy tak ponurej pogodzie – cóż mogłabym sobie zorganizować? Nie da się jednak zaprzeczyć, iż po rozstaniu z Matthew moje życie zionęło pustką, na domiar złego moje przyjacielskie stosunki z Alexią uległy pogorszeniu. Z owego spotkania w Londynie wróciła nieco przygnębiona. Przez kilka dni nie miała ochoty o tym rozmawiać, potem jednak, podczas przerwy obiadowej w kawiarni, kiedy popijałyśmy mleczne *shakes* i zajadałyśmy tosty z serem, zwierzyła mi się: Ronald Argilan był wielce niezadowolony z danych o wielkości sprzedaży „Healthcare”, utracie abonentów oraz odejściu kilku ważnych reklamodawców. Musiał, jak to było w jego zwyczaju, nieźle Alexii dopiec przed całym zgromadzonym zespołem, najgorsze zaś, że nie potrafiła odeprzeć jego zarzutów ani przytoczyć kontrargumentów. Miał słuszość, niemal wszystko w „Healthcare” było już od pewnego czasu w odwrocie.

– On twierdzi, że to moja wina – wyznała Alexia. – Ja zaś nie wiem, jak można by jeszcze bardziej poświęcić się pracy. Nadal mamy ciężkie czasy, ludzie zważają na swoje wydatki. „Healthcare” to nie dziennik, bulwarówka czy ładny, kolorowy magazyn ilustrowany, mamiący człowieka wizją lepszego świata. Na miłość boską, jesteśmy magazynem

o zdrowiu! Prezentujemy nowe leki, udzielamy wskazówek, jak zachować formę, i denerwujemy ciągłymi napomnieniami o regularnej profilaktyce antynowotworowej. To pierwsze czasopismo, jakie ludzie przestają abonować, szukając oszczędności w osobistych wydatkach!

Ze złością pociągnęła spory łyk przez słomkę.

– Inne regionalne wydania „Healthcare” zmagają się z podobnymi problemami – kontynuowała – ale tylko mnie zaatakował. To niesprawiedliwe!

– Naczelnymi innych wydań są mężczyźni – odparłam. – On nie ma ambicji, by im udowodnić, że znaleźli się w niewłaściwym miejscu.

Alexia obrzuciła mnie tak gniewnym spojrzeniem, jakbym to właśnie ja reprezentowała pogląd, że miejsce kobiety jest przy garach, a nie na kierowniczych stanowiskach.

– Żyjemy w roku 2012 – prychnęła. – Powoli nawet ci starzy, zgrzybiali faceci powinni zacząć rozumieć, że nie będą już w stanie zlikwidować prawnie zagwarantowanego równouprawnienia mężczyzn i kobiet!

– Prawo nie zmieni tego, co się wykluwa w ludzkich głowach – odparłam. – Nie przejmuj się. Ten facet się nie zmieni. Pociesz się myślą, że umrze dużo wcześniej niż ty!

Tamtego dnia udało mi się tchnąć w nią nieco ufności, w sumie jednak również ona sama się zmieniła: zaczęła jeszcze więcej pracować, sprawiała wrażenie jeszcze bardziej zabieganej i wyczerpanej, rzadziej wybuchała śmiechem. I zaczęła się afiszować swoją pozycją szefowej, czego nigdy wcześniej nie robiła. Beształa nas, gdy nie nadążaliśmy albo gdy ktoś nie pojmował w mig, co miała na myśli. Mimo to nie przestałam jej lubić, wiedziałam bowiem, że znalazła się pod nadmierną presją i czasem nie potrafiła sobie poradzić inaczej, jak tylko wymyślając komuś, kto akurat miał pecha i w nieodpowiednim momencie wszedł jej w drogę.

W każdym razie Alexia nie była w owym czasie wymarzoną partnerką weekendowych wypadów, choćby dlatego, że także w soboty i niedziele zamykała się w redakcji i usiłowała uporać z coraz większym

nawałem pracy. Miałam nadzieję, że to się kiedyś zmieni. Nie tylko ze względu na mnie. Także i przede wszystkim ze względu na Alexię.

Dochodziła piąta, znów zaczęło lekko mżyć. Mimo to zastanawiałam się, czy się nie ubrać i nie wyjść na spacer po plaży. Przesiadywanie cały dzień w mieszkaniu wyraźnie mi nie służyło. Być może lekki, świeży powiew wiatru pomoże mi się pozbyć kataru. Poczułam jednak, że nie będę w stanie się zebrać. Apatycznie gapiłam się w telewizor, który włączyłam przed południem, lecz traktowałam jedynie jako szum w tle. Właśnie nadawano audycję, w której prezentowano wiadomości z różnych rejonów Anglii. Gdzieś w Kent doszło wczoraj do gigantycznego karambolu na drodze z powodu rześistego deszczu i słabej widoczności. W Londynie wieczorny spektakl teatralny zakończył się skandalem, nie słuchałam jednak uważnie i nie poznałam jego przyczyn. W Yorkshire zaginęła bez śladu kobieta, policja nie zdołała jeszcze ustalić, co się z nią stało.

Ta wiadomość mnie zaciekawiła. Słowa *zaginęła bez śladu* stały się dla mnie bodźcem, na który prawdopodobnie zareagowałabym nawet wyrwana w środku nocy ze snu. Pogłodziłam i wysłuchałam relacji.

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa kobieta została porwana ze swojego samochodu, niemniej jednak nie zażądano od jej męża okupu, nikt się też w tej sprawie nie zgłosił. Jej uprowadzenie, jeśli rzeczywiście do niego doszło, wydawało się nie mieć żadnego sensu. Pokazano zdjęcie kobiety: *Corinne B.* Zobaczyłam sympatyczną twarz o szerokim uśmiechu. *Corinne B.* nie wyglądała na kogoś, kto potrafi mnożyć sobie wrogów. Sprawiała wrażenie osoby zwyczajnej, miłej, nierzucającej się w oczy.

Cała ta historia tak bardzo przypominała niewyjaśniony los *Vanessy*, że jak osłupiała wpatrywałam się w ekran telewizora.

– Czy to się w Anglii robi modne? – zapytałam na głos. W tej samej chwili ktoś zadzwonił do drzwi.

Uruchomiłam zamek i wyszłam na klatkę schodową, by tam poczekać na mojego gościa. Zastanawiałam się, kto mógłby się do mnie wybrać w to deszczowe sobotnie popołudnie. Spojrzałam na mój

poplamiony dres, przypomniałam sobie o nieuczesanych włosach oraz czerwonym nosie i pomyślałam: „A niech to! Mam nadzieję, że to nikt ważny!”.

Na schodach pojawił się Matthew Willard. Przystanął na chwilę, jakby chciał się upewnić, że nikt nie każe mu natychmiast zawrócić, po czym kilkoma szybkimi susami wszedł na górę.

– Witaj, Jenno – powiedział, gdy stanął przede mną.

Wolałabym się zapaść pod ziemię.

– Witaj, Matthew – odparłam, po czym dodałam, by przynajmniej wytłumaczyć mój niestosowny strój: – Niestety, jestem trochę przeziębiona.

– Och, przykro mi. Czy mimo wszystko mogę wejść?

Co mi pozostało? Przepuściłam go.

– Proszę.

Na stole w pokoju dziennym stała filiżanka, z której jadłam zupę, obok niej leżała pusta torebka, której zawartość wysypałam do gorącej wody. Na fotelu znalazłam kilka zużytych chusteczek. Telewizor brzęczał, na dywanie leżał najnowszy numer „Hello!” – nigdy bym się nikomu nie przyznała, że od czasu do czasu byłam żadna plotkarskich doniesień rodem z Yellow Press. A teraz mężczyzna, którego naprawdę lubiłam i chciałam, by zachował o mnie jak najlepsze zdanie, zaraz dosłownie się potknie o ciemne strony mojej natury. Nie wspominając już o tym, że zobaczył mnie w dresie, na widok którego człowiek chciałby się salwować ucieczką. Wyłączyłam telewizor, zgarnęłam spiesznie chusteczki, czasopismo wrzuciłam do kosza, a filiżankę odstawiłam na kuchenny blat.

– Przepraszam. Nie spodziewałam się odwiedzin. Jak już mówiłam, nie jestem w formie i dlatego...

– Ależ nie musisz za nic przeproszać – odparł Matthew. – Wręcz przeciwnie. Trochę nieuprzejmie z mojej strony, że zjawiłem się bez uprzedzenia, ale obawiałem się... no cóż, pomyślałem, że jeśli wcześniej zadzwonię, być może powiesz *nie*, a tego nie chciałem ryzykować. – Uśmiechnął się. – I proszę, przestań już sprzątać pokój, chciałem tylko...

– Przepraszam cię na chwilkę. Zaraz do ciebie wracam!

Najszybciej jak mogłam zniknęłam w sypialni. Zdjęłam dres, wskoczyłam w dzinsy i sweter, przed lustrem zaczesalam moje sterczące we wszystkie strony włosy i przypudrowalam zaczerwieniony nos, dzięki czemu nie wyglądał już tak przeraźliwie. Zamyśliłam się. Matthew sprawiał wrażenie odmienionego. Sposób, w jaki wbiegł po schodach, wszedł do mieszkania... Zawsze był taki powściągliwy, zawsze nieco roztargniony, ot, człowiek medytujący, niezupełnie związany z rzeczywistością. Matthew, jakiego znałam, na pewno nie zjawiłby się bez zapowiedzi. Nie wszedłby na górę, pokonując po dwa stopnie naraz. Uwaga o moim przeziębieniu z miejsca skłoniłaby go do taktownego odwrotu albo przynajmniej propozycji, że wpadnie w bardziej odpowiednim czasie. Natomiast Matthew, którego właśnie spotkałam, był bardziej niekonwencjonalny, bardziej zdecydowany oraz o wiele młodszy od tego, którego do tej pory znałam. Podczas naszego pierwszego spotkania nieco się przede mną otworzył, lecz nigdy się to nie powtórzyło. Pomyślałam nagle: „to Matthew z dawnych czasów. Zanim doszło do katastrofy. Ujrzałam mężczyznę, jakim był naprawdę. Jakim naprawdę jest”.

Nieco bardziej pewna siebie wróciłam do salonu. Matthew wciąż stał pośrodku pokoju.

– Usiądź, proszę – odezwałam się. – Napijesz się czegoś?

– Na razie nie, dziękuję. – Podszedł do mnie, chwycił obie moje dłonie. – Jenno, bez ciebie to po prostu nie ma sensu – wyznał. Naraz jego głos zabrzmiał nieomal bezdźwięcznie. – Te ostatnie dwa tygodnie... Myślałem tylko o tobie. Praktycznie w każdej chwili. Strasznie mi ciebie brakowało. Wciąż rozmyślałem o tym, co akurat porabiasz, jak wyglądasz. Jak to miło by było z tobą porozmawiać. Dzielić się z tobą nastrojem. Patrzeć ci w oczy. Po prostu chciałem cię mieć przy sobie. *Chcę* cię mieć przy sobie. Nie chcę cię stracić!

– Matthew... – odparłam oszołomiona.

Przerwał mi.

– Wiem, co chcesz powiedzieć. Że nie może być tak, jak było do tej

pory. I masz absolutną rację. Żadna kobieta nie mogłaby żyć w ten sposób. Jak miałabyś zaufać mężczyźnie, który kurczowo uczeplił się przeszłości? Którego życie skończyło się pewnego sierpniowego wieczoru przed prawie trzema laty? Miałaś rację, zostawiając mnie. Ale proszę cię, daj mi jeszcze jedną szansę!

Znów próbowałam coś powiedzieć, znów wszedł mi w słowo.

– Rozmyślałem. I zrozumiałem, że tak dłużej być nie może. Ani dla ciebie, ani też, zupełnie niezależnie, dla mnie. Ja już nie żyję. I przez cały ten czas nawet tego nie zauważyłem. Dopiero dzięki tobie zrozumiałem, że chcę powrócić do życia. Z całą mocą. Nie chcę stracić już ani jednego dnia.

W jego słowach wyczuwałam szczerłość. Nie powiedział czegokolwiek, byleby tylko mi się przypodobać. Naprawdę surowo osądzał samego siebie, otworzył się przede mną bez skrupułów, nie chował się za wymówkami. Spojrzał na siebie i swoje życie – i się przeraził.

– Czy sądzisz, że potrafisz to zrobić? – zapytałam. – Zamknąć za sobą przeszłość? Nie zastanawiać się każdego dnia, co się stało z Vanessą? Nie szukać jej dłużej? Nie czuć wyrzutów sumienia, kiedy zwracasz się do innej kobiety?

Widziałam, że niełatwo mu przyszło odpowiedzieć na te pytania. Nie chciał mi wyznać niczego wbrew swym prawdziwym uczuciom i myślom.

– Z pewnością nie potrafię przemienić się z dnia na dzień w zupełnie innego człowieka – odparł w końcu. – Pojawiają się chwile, kiedy będą mnie zajmować wszystkie te nierozwikłane kwestie. Będę rozmyślał, przetwarzał w głowie najgorsze obrazy, być może znów będę się obwiniał o to, że prowadzę dobre życie i próbuję być szczęśliwy, gdy tymczasem Vanessę spotkał straszliwy los. A jednak dotąd nigdy się przed tym wszystkim nie broniłem. Wręcz przeciwnie. Świadomie krążyłem bez przerwy wokół jej postaci, a kiedy przez pewien czas znów naprawdę cieszyłem się życiem, słońcem, wiatrem i twoim towarzystwem, natychmiast tym głębiej zanurzałem się w owym 23

sierpnia, choćby po to, by samego siebie ukarać za te chwile szczęścia. Tego już nie chcę. Jenno, dużo, naprawdę dużo rozmyślałem w trakcie tych dwóch tygodni. I chcę zacząć nowe życie. Być może głównie dlatego, że mam teraz coś do stracenia.

Spojrzeliliśmy na siebie.

– Teraz mogę stracić ciebie – wyznał cicho Matthew. Po chwili wahania dodał: – A przynajmniej mam nadzieję, że jeszcze cię nie utraciłem.

Zakręciło mi się w głowie. Tak łatwo by było po prostu paść mu w ramiona. To nieprawda, że nie uwierzyłam w żadne wypowiedziane przez niego słowo. Bałam się tylko, że on nie da rady. Że zbyt wiele od siebie wymaga, że dozna niepowodzenia i wszystko powróci do punktu wyjścia.

– Daj mi szansę – prosił. – Zrobiłem już parę rzeczy, które dotąd uważałem za wykluczone. Spakowałem wszystkie ubrania Vanessy i oddałem do Czerwonego Krzyża. Większość jej osobistych przedmiotów złożyłem w kartonach i wyniosłem na strych. Chciałbym cię zaprosić do mnie do domu, nie powinnaś się tam na każdym kroku potykać o rzeczy Vanessy. Ja również już tego nie chcę.

– Wyniosłeś jej rzeczy? – zapytałam z niedowierzaniem. Wydało mi się to rzeczywiście wielkim krokiem naprzód.

– Tak. Dlaczego miałbym je przechowywać dla kobiety, która już nie wróci?

Matthew, którego poznałam, zdanie to nigdy nie przeszłoby przez gardło. I nikt też nie odważyłby się w jego obecności choćby napomknąć o takiej potworności.

– Wiesz – ciągnął – to nieprawda, że wyrzucam Vanesę z mojego serca. Zawsze będzie tam dla niej miejsce. Bardzo ją kochałem, w przerażający sposób nas rozdzielono. Ale tak właśnie jest: *rozdzielono* nas. Niemal trzy lata temu. Muszę spojrzeć prawdzie w oczy. – Wziął głęboki oddech, sprawiał wrażenie, jakby sam zbroił się wewnętrznie na to, co miał właśnie zamiar powiedzieć. – Albo Vanessa padła ofiarą przestępstwa, a wówczas istnieje duże, bardzo duże

prawdopodobieństwo, że już nie żyje. Tak zresztą od dawna uważa policja. Albo też odeszła z własnej woli. W tym przypadku najwyraźniej nie chce mieć ze mną do czynienia i nie chciałaby też, bym kiedykolwiek nawiązał z nią kontakt. Pozostaje dla mnie zagadką, dlaczego miałyby to zrobić, lecz jeśli przez trzy lata nie znalazłem odpowiedzi na to pytanie, pewnie już jej nie znajdę, nawet gdybym deliberował nad nim kolejne dziesięć. Takie są fakty: zniknęła. Muszę z tym żyć. Żyć, nie cierpieć.

– Wykonałeś wielki krok naprzód, odkąd widziałam cię po raz ostatni – przyznałam ostrożnie. – Od dnia...

Nie dokończyłam zdania, lecz Matthew wiedział, co chciałam powiedzieć.

– Od dnia, w którym tam razem byliśmy, owszem. W miejscu, w którym zaginęła. Wydaje mi się, że tamtego dnia zaczęło się moje pożegnanie.

Kryło się w tym ryzyko. A jednak ogarnęło mnie nagle uczucie pewności, że chcę je podjąć.

– Max czeka na dole w samochodzie – oznajmił Matthew. – Nie przesłabyś się z nami na krótki spacer? Pada, jesteś przeziębiona, ale...

O katarze niemal już zapomniałam. Kurtka przeciwdeszczowa wisiała w garderobie obok drzwi do mieszkania. Czyż sama nie zastanawiałam się nad wyjściem na spacer, by przynajmniej choć raz tego dnia wytknąć czubek nosa z tych czterech ścian? Nawet w snach nie przypuszczałam, że ostatecznie będzie to spacer z Matthew i Maxem.

– Oczywiście, że pójde – odparłam bez wahania. – Nic tak nie pomaga na przeziębienie jak marsz w deszczu!

Matthew się uśmiechnął.

– A mogę cię zaprosić do mnie? Na jutro, około południa? Moglibyśmy coś razem ugotować, no i wreszcie zobaczyłabyś, jak i gdzie mieszkam.

Mogłabym wejść do domu, w którym mieszkał razem z Vanessą. Domu, który próbował uwolnić od jej stałej obecności. Poczułam

nerwowość na samą myśl, że tak bardzo zbliżyłabym się do niej, jej zjawy. A jednak Matthew zadał sobie tak wiele trudu, by utorować drogę naszemu rodzącemu się związkowi, że również ja musiałam teraz przeskoczyć swój własny cień.

– Bardzo by mnie to ucieszyło – odparłam.

Kiedy wyszliśmy z mieszkania i schodziliśmy po schodach, już miałam opowiedzieć o dziwnym wypadku, jaki się zdarzył w Yorkshire i tego dnia został nagłośniony w wiadomościach: o kobiecie, która zaginęła bez śladu na wrzosowiskach.

Poniechałam jednak tego zamiaru. Zważywszy na tak jeszcze subtelny i wrażliwy początek naszego związku, byłby to akurat temat na wskroś niestosowny.

Ryan był w fatalnym stanie psychicznym, w tak złym nastroju Nora go jeszcze nie widziała. W więzieniu czuł się czasem zdeprymowany i zniechęcony, podczas zaś pierwszych dni na wolności widać po nim było opanowujący go strach, wielką wewnętrzną niepewność. Cierpiał, powróciwszy z odwiedzin u Debbie, wyrządzona jej krzywda zadreślała go i zajmowała jego myśli.

Nigdy jednak nie sprawiał wrażenia tak przybitego jak obecnie.

Był późny sobotni wieczór. Udali się na spoczynek do pokoju gościnnego, który Bradley oddał im do dyspozycji. Po raz pierwszy od chwili, gdy się poznali, siedzieli obok siebie na łóżku, oboje w bieliźnie, gdyż zapomnieli zabrać piżamy. Sytuacja, która mogłaby emanować intymnością, gdyby Ryan nie był tak bardzo przygnębiony. Norę opanowało wyłącznie jedno uczucie: pragnęła mu pomóc, w jakikolwiek sposób.

Pragnęła go pocieszyć.

Dzień się dłużył, choć wiele się wydarzyło, godziny okropnie się wlokły. Odwiedzili miejsce, gdzie zagięła Corinne, pas łąki na skraju szosy. Wokół porośnięte trawą wyżynne tereny wrzosowisk, kilka owiec w oddali, przesycona wilgocią pustka. Szary dzień pod osłoną szarych obłoków. Ani śladu Corinne. Policja odholowała już samochód, by go dokładnie sprawdzić. Trudno było poznać, że w tym miejscu doszło do przestępstwa. Niczego się nawet nie wyczuwało. Miejsce podobne do tysiąca innych.

Pojechali dalej aż do Whitby. Po drodze zatelefonowali do Dana i usprawiedliwili nieobecność Ryana *ważkimi sprawami rodzinnymi*, a następnie wstąpili do praktyki lekarskiej, w której pracowała Corinne. Bradley podał im adres, po chwili błędzenia znaleźli stojący pośrodku

miasta budynek. Skromny dom z czerwonej cegły, mieszczący na parterze warzywniak, a na piętrze wspólną praktykę trzech lekarzy. Sklep był otwarty, gabinety w soboty zamknięte. Spojrzeli na fasadę.

– A więc to tu codziennie przyjeżdża – rzekł Ryan. – A w tym sklepie czasem kupuje owoce dla Bradleya.

– Z pewnością – przytaknęła Nora. Rozejrzeli się trochę po okolicy, nigdzie jednak nie znaleźli żadnej wskazówki na temat losu Corinne.

Kiedy około południa wrócili do Sawdon, u Bradleya zjawiała się policja. Sam Bradley sprawiał wrażenie bardzo zmieszanego. W pierwszej chwili Ryan i Nora pomyśleli z przerażeniem, że usłyszał złe nowiny, okazało się jednak, że w sprawie Corinne nadal błędzono po omacku. Bradley dowiedział się właśnie od sierżanta śledczego Fullera, że jego pasierb przesiedział dwa i pół roku w więzieniu w Swansea i dopiero od kilku tygodni przebywa na wolności. Poprzedniego dnia w trakcie pierwszej rozmowy z policją przedstawił dokładnie swe rodzinne relacje, policja zaś rutynowo prześwietliła osobę mieszkającego w Walii pasierba, który od prawie sześciu lat nie utrzymywał kontaktu z rodziną. Ujawniono przy tym rzeczy zaskakujące, wszczęto alarm. Fuller odwiedził zatem Bradleya, by porozmawiać o Ryaniu. Dowiedział się wówczas, że Ryan jeszcze przed świtem wyruszył do Yorkshire, i postanowił poczekać, aż wróci do domu ojczyma. Kiedy Bradley wciąż próbował otrząsnąć się z szoku, Fuller zadał Ryanowi nieodzowne pytanie:

– Gdzie pan był wczoraj około siódmej rano?

Ryan cierpliwie odpowiedział na wszystkie pytania. Śniadanie zjadł razem z Norą. Pół godziny później pojawił się w punkcie ksero, w którym pracował. Tak, Dan, jego szef, może to potwierdzić. Z pracy wyszedł w piątkowe popołudnie około godziny piątej, poszedł prosto do domu, by się przebrać. Razem z Norą zostali bowiem zaproszeni na przyjęcie urodzinowe. Może to poświadczyć jakichś pięćdziesięciu zgromadzonych na przyjęciu gości. Wyszli przedwcześnie. Dlaczego? Jedna z kobiet dość mocno go zaatakowała z powodu jego przeszłości. Razem z Norą wstąpili jeszcze do pubu, po powrocie do domu

odstuchali wiadomość pozostawioną przez Bradleya na automatycznej sekretarce. Dowiedziawszy się, co się stało, bezzwłocznie wyruszyli w drogę. Nie, od sześciu lat nie miał jakiegokolwiek kontaktu z matką. Nie wiedział, jak sobie radzi. Nie miał pojęcia, że pracowała w praktyce lekarskiej w Whitby ani też nie znał rozkładu jej codziennych zajęć. Nie wiedział, że każdego ranka jedzie przez wrzosowiska, nie wiedział, że zabiera z sobą tę dziewczynę. Nie, nie ma nic wspólnego ze zniknięciem własnej matki. Nie *mógł* mieć z tym czegokolwiek wspólnego, Fuller łatwo to może stwierdzić po sprawdzeniu wszelkich informacji. Poza tym: nie miał też żadnego powodu, by cokolwiek jej zrobić.

Detektyw sierżant Fuller przymknął na chwilę powieki.

– Dlaczego zerwał pan wszelkie kontakty z własną matką? – zapytał.

– Czy doszło do jakichś poważniejszych niesnasek?

– Matka czyniła mi wyrzuty z powodu mojego trybu życia – odparł Ryan. – Aż w którymś momencie nie chciała już o nim więcej słyszeć, gdyż stał się dla niej zbyt wielkim ciężarem.

– Pański tryb życia? Ma pan na myśli fakt, że odkąd rzucił pan szkołę, rzadko podejmował się pan porządnej pracy? Zamiast tego wciąż wchodził pan w konflikt z prawem z powodu większych czy mniejszych wybryków? – Fuller był najwyraźniej dobrze poinformowany.

– Tak – przyznał Ryan.

Fuller zwrócił się nagle do Bradleya.

– Jaki jest pański stosunek do syna pańskiej żony?

Bradley wyglądał na nieszczęśliwego i zmieszanego.

– W tamtym czasie naciskałem na Corinne. To znaczy... by zerwała z nim kontakt. Nie mogłem się już dłużej przyglądać, jak wciąż się o niego zamartwiała. Cierpiała. W końcu zrozumiałem, że on się nie zmieni. Corinne poczuła się lepiej, nie słysząc już więcej o jego wybrykach. Choć zerwanie oczywiście bardzo ją zasmuciło.

– A mimo to zwrócił się pan teraz najpierw do Ryana Lee. Dlaczego? Bradley wykonał bezradny ruch ręką.

– To jej syn. Jedyny żyjący krewny. Pomyślałem, że powinien

wiedzieć, co się stało. Miałem nadzieję... Sam nie wiem. Nie miałem pojęcia, że on... że siedział w więzieniu.

Fuller ponownie zwrócił się do Ryana.

– Czy pan nienawidzi męża swej matki? Bądź co bądź to on ją nakłonił, by się od pana odwróciła. O czym z pewnością pan wiedział.

Ryan siedział w fotelu, ramiona pochylił do przodu. Z każdą upływającą minutą, z każdym pytaniem sierżanta coraz bardziej, jak zauważyła Nora, zamykał się w sobie.

– Nie – odpowiedział w końcu cichym głosem. – Nie czuję do niego nienawiści. W tamtym czasie... niemal mi ulżyło, że matka zerwała ze mną kontakt. Przestała wreszcie czynić mi wyrzuty. Nie musiałem już dłużej czuć przed nią wstydu, gdy znów coś poszło nie tak, gdy znów dostałem wymówienie albo wylądowałem na policyjnym komisariacie. Poczuję się wolny. A za to nie można nienawidzić.

Fuller w końcu sobie poszedł, przez resztę popołudnia Bradley, Ryan i Nora siedzieli w pokoju dziennym. Bradley przez cały czas lamentował albo z powodu zaginięcia Corinne, albo pobytu Ryana w więzieniu. Odebrali kilka telefonów od przyjaciółek Corinne, które wypytywały o nowiny. Nora wciąż parzyła świeżą kawę, ze znalezionych w kuchni zapasów przyrządziła kolację. Ryan i Bradley ledwie jej tknęli. Około godziny dziesiątej Nora powiedziała do Bradleya:

– Koniecznie powinien się pan położyć. Wygląda pan na wykończonego. W tej chwili nie może pan nic poradzić, dlatego powinien się pan zatroszczyć o swoje siły. To były dwa ciężkie dni.

Bradley skinął głową i podniósł się ze swego fotela na biegunach.

– Nie sądzę, żebym mógł zasnąć, ale się położę. Dziękuję za pani troskliwość, Noro. Czy może mi pani coś zdradzić? Jest pani piękną, roztropną i dzielną młodą kobietą. Co, na miłość boską, widzi pani w tym nieudaczniku, który poza swą kryminalną karierą niczego jeszcze w życiu nie dokonał?

Jego słowa zagrzmiały złowieszczo w cichym pokoju.

Ryan nawet nie uniósł głowy.

– Lubię go, panie Beecroft – odparła w końcu Nora. – W odróżnieniu od pana dostrzegam w nim dobro.

– Zasluguje pani na kogoś lepszego – odparł Bradley. Westchnął głęboko. Oczy miał zaczerwienione z wyczerpania i niepokojem. – Mam nadzieję, że go pani nie idealizuje. A siebie nie uważa za anioła, wezwanego, by go ratować. Ryana bowiem uratować nie można. Zawsze pozostanie tym, kim jest.

Nora nic na to nie odpowiedziała. Sytuacja mogła się zaognić, a tego chciała za wszelką cenę uniknąć. Bradley by tego nie przetrzymał. Ryan pewnie też.

– Możecie tu dziś spać – powiedział w końcu Bradley. – Ale proszę was, byście jutro wyjechali. Nie możecie pomóc, a ja nie chcę już dłużej widzieć Ryana pod moim dachem.

I tak wszyscy zniknęli w swoich pokojach. Nora siedziała na łóżku obok Ryana i zastanawiała się, jak mogłaby do niego przemówić. Nie wyobrażała sobie, by miała po prostu zgasić światło i powiedzieć *Dobranoc*. Ryan co prawda po nieprzespanej poprzedniej nocy, długiej podróży samochodem oraz przygnębiającym dniem był u kresu sił, zarazem jednak drżał na całym ciele i dygotał z wewnętrznego wzburzenia. Na pewno nie zdoła zasnąć.

Nora oparła się pokusie, by wyciągnąć rękę i ująć dłoń Ryana. Obawiała się, że wyda się to niestosowne, chciała mu jednak pokazać, że jest przy nim również w myślach.

– Jaka jest twoja matka? – zapytała w końcu.

Minęła chwila, zanim odpowiedział.

– Jest bardzo troskliwa – rzekł cichym głosem. – Życzliwa. Pomaga każdemu, kto potrzebuje pomocy. Ma dużo przyjaciół. Wszyscy ją lubią, bo jest po prostu miła. I wesoła. Człowiek dobrze się czuje w jej towarzystwie.

Nora się zawahała, odważyła się jednak podjąć temat nurtujący ją od popołudnia. Kręciła się po domu i na regale w przedpokoju na piętrze znalazła inne zdjęcie Ryana – a przynajmniej wydawało jej się, że o niego tu chodzi. Siedmioletni bodaj chłopiec siedzący w brodziku,

z promiennym uśmiechem na twarzy. W tle widać było porośniętą bluszczem fasadę domu. Wokoło rozkwitał letni ogród we wszystkich kolorach tęczy.

Długo przyglądała się tej fotografii.

– To nieprawda, co mi mówiłeś w więzieniu – powiedziała ostrożnie. – O swojej okropnej młodości. Twój wiecznie zapijaczony ojczym, twoja bezradna matka. Zmyśliłeś to, prawda?

Ryan czuł się zbyt kiepsko, by choć próbować zachować twarz. Skinął milcząco głową.

– Miałeś radosne dzieciństwo. Kochającą matkę. I twój ojczym też był w porządku, zgadza się?

Westchnął i ponownie skinął głową.

– Co się tyczy mojego prawdziwego ojca, powiedziałem ci prawdę. Zmarł, gdy miałem cztery lata. Mężczyzna, którego potem poślubiła moja matka i z którym prowadził *bed&breakfast* w Camrose, był naprawdę miły. Ani nie pił, ani też nie był brutalny. Jednakże miał kłopot z dochowaniem wierności, stąd między nim i Corinne wciąż dochodziło do kłótni. Kiedy miałem czternaście lat, powiedziała: dość i wystąpiła o rozwód. Zamieszkaliśmy sami w Swansea. Później spotkała Bradleya. Pod tym względem... moja młodość nie była całkiem wolna od kłopotów, ale czyja młodość taka nie jest? Myślałem tylko... – Nie dokończył.

– Pomyślałeś, że musisz mi podać wyjaśnienie swojej historii – dopowiedziała Nora. – Tego, że rzuciłeś szkołę, nie potrafiłeś w żadnej wytrwać, wciąż wchodziłeś w konflikt z prawem. Sądziłeś, że inaczej cię nie zrozumie?

– Nie ma tu czego rozumieć. W moim dzieciństwie nie znajdziesz powodu, dla którego stałem się nieudacznikiem i kryminalistą – wyjaśnił Ryan. Przetarł dłońmi płonące od zmęczenia oczy. – Przykro mi, że cię okłamałem. Jeśli nie chcesz już mieć ze mną do czynienia...

– Tak?

– Nie będę się gniewał. Trudno nabrać zaufania do kogoś takiego jak ja.

– To wcale nie jest łatwe – przyznała Nora – ale nie jest też niemożliwe. Czy... jest coś jeszcze, o czym mi nie opowiedziałeś? To znaczy coś, o czym powinnam wiedzieć?

Przez cały czas nie patrzył na nią, utkwiał wzrok w kącie pokoju, w którym nic się nie kryło. Teraz odwrócił głowę i spojrzał na nią. Przeraziła się, wyglądał bowiem na udręczonego, zmizerowanego.

– Czy opowiadałem ci kiedyś o Damonie? – zapytał.

Ryan poznał Damona, gdy miał dwadzieścia cztery lata i właśnie ponownie stracił pracę z powodu nieustannej niepunktualności i permanentnej nieusprawiedliwionej nieobecności. Znalazł się w niewygodnym położeniu, gdyż z firmowej kasy ukradł do tego pieniądze, prawie osiemset funtów. Szef tego nie zauważył, wiedział jednak o tym kierownik działu, wiedział też, że to Ryan jest winowajcą.

– Uważaj, nie chcę ci jeszcze bardziej spaskudzić przyszłości, którą i tak sam sobie próbujesz zrujnować wszelkimi środkami – powiedział do Ryana. – Doprowadzisz to do porządku, to znaczy, zwrócisz pieniądze tak szybko, jak to tylko możliwe, a ja nie pisnę słowem o całym zajściu. Okay? A potem nie chcę cię widzieć na oczy.

Problem w tym, że za te pieniądze Ryan zakupił porządny sprzęt stereofoniczny, którego nie mógł już zwrócić. Próbował pożyczyć osiemset funtów od kumpli, znał jednak wyłącznie ludzi cierpiących na chroniczny brak gotówki, wkrótce więc zrozumiał, że nie zdoła zebrać wymaganej sumy, w każdym razie nie w tak krótkim czasie. Sytuacja stawała się drażliwa, usłużny kierownik nie mógł dłużej ukrywać braku pieniędzy. Ryan zamierzał już nawet pójść do matki i poprosić ją o pomoc – w późniejszych latach często żałował, że tego nie zrobił. Kiedy jednak wciąż zmagał się z samym sobą – Corinne zareagowałyby przerażeniem, rozczarowaniem, smutkiem i wyrzutami, a Ryan nie wiedział, jak zdołałby to znieść – spotkał kogoś, kto znał kogoś, kto znów znał kogoś, kto pożyczał pieniądze.

Tak właśnie Ryan poznał Damona.

Przez te wszystkie lata Ryan spotkał się z Damonem osobiście ledwie dwa razy, i to przelotnie. Poza tym miał do czynienia z ludźmi

pracującymi dla Damona – typkami, z którymi wolałby nie spotkać się sam na sam w ciemnej uliczce. Nie wiedział, gdzie Damon mieszka, nie wiedział nawet, jak się naprawdę nazywa, gdyż *Damon* było prawdopodobnie jedną z jego ksywek. Miał też jedynie mgliste wyobrażenie o tym, skąd właściwie Damon brał pieniądze. Jedną z gałęzi jego działalności było pożyczanie pieniędzy na lichwiarski procent. Posiadał własną grupę inkaso, o której chodziły słuchy, że nie cofnie się absolutnie przed niczym, by nakłonić dłużnika do spłaty należności. Nie wykluczając morderstwa, jeśli pieniądze rzeczywiście były nie do odzyskania i ostatecznie chodziło jedynie o to, by przekazać innym wiadomość, że Damon nie pozwoli się nikomu oszukać. Damon oraz jego ludzie cieszyli się sławą brutalnych, sadystycznych i zupełnie pozbawionych skrupułów. Nadto przebąkiwano, iż Damon jest znaczącą postacią w świecie zorganizowanej przestępczości i maczał palce praktycznie w każdym brudnym interesie związanym czy to z narkotykami, handlem bronią, dziecięcą pornografią, czy też praniem brudnych pieniędzy. Policja była wobec niego najwyraźniej bezradna. Albo działał nazbyt zręcznie, albo też dysponował siecią kontaktów we wpływowych kręgach, w których zapewniano mu ochronę, gdyż współpraca z nim przynosiła profity. Prawdopodobnie obie wersje były prawdziwe.

Ryan od pierwszej chwili wiedział, że zadaje się z diabłem, jego instynkt był nawet na tyle wyostrzony, by mu podpowiedzieć, że wszystko to źle się skończy. Pokusa otrzymania ośmiuset funtów i doprowadzenia spraw do porządku była jednak zbyt wielka. Myśl, że przy okazji może dojść do znacznie większej katastrofy, zupełnie zbagatelizował.

Damon z początku zachował się wielkodusznie, wyznaczając Ryanowi dogodny termin zwrotu pieniędzy, nawet odsetki pozostawały w rozsądnych granicach. Tym samym uspił jego czujność. Ryan znalazł pracę i spłacał dług w ratach, doszedł też do wniosku, że Damon nie jest chyba wcale żadnym diabłem, krążące zaś o nim historie są mocno przesadzone. Dlatego kiedy ponownie popadł w finansowe tarapaty,

znów zwrócił się do Damona, a potem jeszcze raz i drugi. Tym razem jednak odsetki wzrosły, terminy stały się krótsze, a po ich upływie odsetki wzrastały jeszcze bardziej. Ryan znalazł się w pułapce. Latem 2009 roku jego długi urosły do kwoty dwudziestu tysięcy funtów. Otrzymał kilka jednoznacznych ostrzeżeń: okres ochronny się skończył. Albo zapłaci, albo czekają go odwiedziny, których może nie przeżyć.

Ryan wiedział już wystarczająco dużo, by tych ostrzeżeń nie bagatelizować.

– Choć zabrzmiało to idiotycznie, z początku uratowało mnie aresztowanie i skazanie – zakończył opowieść Ryan. O Vanessie Willard Norze oczywiście nie wspominał. – W więzieniu byłem bezpieczny. Ale teraz... Znow przebywam na wolności, i jestem przekonany, że Damon o tym wie. Przez cały ten czas odsetki oczywiście narastały. Jestem mu winien prawdopodobnie dużo więcej niż owe dwadzieścia tysięcy funtów.

Nora pobladła.

– Czy myślisz, że on wie, gdzie mieszkasz?

– Tak. Nie pytaj, skąd to może wiedzieć. Ale o takich sprawach on zawsze wie.

– Ani on, ani jego ludzie jednak się nie pokazali. Chyba że nawiązali z tobą kontakt w inny sposób.

Potrząsnął głową.

– Nie. I to daje do myślenia, rozumiesz? Damon na pewno nie daruje mi tych pieniędzy. Nigdy w życiu.

– A zatem wyczekujesz teraz dnia, w którym Damon albo jego drużyna pojawią się zniemacka i przystawią ci do piersi lufę pistoletu?

Ponownie odwrócił wzrok.

– Może już to zrobili – mruknął.

Nora poczuła zmieszanie.

– Przecież dopiero co mówiłeś...

– Nie nawiązali kontaktu w sposób bezpośredni. Nikt się u mnie nie pojawił. Ale zastanawiam się...

– Tak?

– Napad na Debbie. A teraz zniknięcie mojej matki. Możliwe, że została uprowadzona. Przypadek?

– Myślisz, że...

– Sam nie wiem. Lecz czy to zwykle nagromadzenie przypadków? Kobiety, które miały lub mają ścisły związek ze mną, stają się nagle ofiarami przestępstw. Już w przypadku Debbie ogarnęły mnie niedobre przeczucia, ale wmawiałem sobie, że może po prostu miała pecha. A teraz moja matka! Kobieta prawie sześćdziesięcioletnia, niezamożna, bez wrogów, nieobracająca się w niebezpiecznym towarzystwie... Dlaczego?

– I sądzisz, że to wszystko dotyczy ciebie? Ktoś ci grozi?

– Może to sprawka Damona. On lubi stosować tego rodzaju groźby.

– Ale cóż on sobie po tym obiecuje? Chce odzyskać pieniądze. Czy sądzi, że zdołasz je szybciej zgromadzić, jeśli w ten sposób wywrze na ciebie presję?

Ryan ukrył twarz w dłoniach. Nora nie знаła ludzi pokroju Damona. To nie był jej świat.

– Pieniądze, te dwadzieścia czy może już czterdzieści tysięcy funtów, z pewnością nie spędzają Damonowi snu z powiek. Dla mnie to suma niewyobrażalna, dla niego pestka. Nie takimi kwotami codziennie obraca. Ja takich pieniędzy w życiu nie będę w stanie oddać, Damon też o tym wie, obojętne, co ze mną zrobi. Chodzi mu o dwie rzeczy: po pierwsze, nie może pozwolić, by ludzie wychodzili z tego cało, nie spłaciwszy mu swoich długów. Ucierpiałoby na tym jego ego, poza tym byłby to zły sygnał dla tych, którzy są mu winni spore sumy. W końcu chodzi tu o jego reputację. Jego władza, wpływy i sukcesy opierają się na strachu i przerażeniu, jakie wokół siebie szerzy. Damon odebrałby to jako niepowetowaną stratę, gdyby nagle zaczęto o nim mówić: *Wyobraź sobie, Ryanowi Lee, temu biednemu dupkowi, darował cały dług, z czystej litości. Nie, on chce usłyszeć: Lee nie spłacił swoich zobowiązań i za to jego ludzie najpierw zgwałcili jego byłą dziewczynę, a następnie uprowadzili i maltretowali jego matkę, w końcu zaś połamali Lee wszystkie kości! Oto Damon, jakiego wszyscy znają.*

– Boże – szepnęła Nora.

„Najgorsze, że wcale nie przesadzam – pomyślał Ryan – choć ona

pewnie ma nadzieję, że tak właśnie jest. To dlatego wówczas...”.

Tym razem udało mu się na czas powstrzymać natłok myśli, nim pojawiło się w nich nazwisko *Vanessy Willard*. Myśl, że ona wciąż żyje i ma coś wspólnego z tymi okropnymi zdarzeniami, była zbyt przerażająca. Przede wszystkim zaś nie do wymówienia.

– Dwie rzeczy – odezwała się Nora. – Powiedziałeś, że Damonowi chodzi o dwie rzeczy.

– Tak. Druga to po prostu jego sadyzm. On lubi dręczyć ludzi. Lubi się z nimi bawić. Wyobraża sobie, że zastanawiam się właśnie z przerażeniem w oczach, czy on ma z tym wszystkim coś wspólnego i co mu teraz przyjdzie do głowy. To sprawia mu cholerną frajdę. Może napędzić mi stracha, pozbawić mnie snu, psychicznie mnie zgnębić. To mu sprawia przyjemność.

Nora milczała przez chwilę, potem odezwała się zdecydowanym głosem:

– Ryan, po tym wszystkim, co mi opowiedziałeś, musisz czym prędzej zgłosić się na policję!

– Wtedy będzie już po mnie – odparł Ryan.

– Jeśli Damon trafi za kratki, jak będzie ci mógł cokolwiek zrobić?

– A jeśli nie trafi? Bo nie ma z tą sprawą nic wspólnego?

– Coś na niego znajdą, będą go mogli aresztować. Zdaje się, że nic w życiu tego człowieka nie jest legalne!

– Noro, jeśli można by mu było coś udowodnić, już ze sto razy dostałby dożywocie. Jest zbyt cwany, by dać się na czymś przyłapać. Wiesz, co byłoby prawdziwym koszmarem? Nasyłam na niego gliny, ale ci odchodzą z kwitkiem, bo Damon w przypadku Debbie i mojej matki jest akurat niewinny albo nie można mu niczego udowodnić. Sądzisz, że taki człowiek jak Damon puściłby to płazem?

– Tu chodzi o twoją matkę!

– Wiem. – Obrzucił Norę przenikliwym spojrzeniem. – I chodzi także o ciebie. Cokolwiek zrobię, jakkolwiek się to dalej potoczy, powinnaś trzymać się ode mnie z daleka. Nie mogę cię w to wciągać.

– Już w tym tkwię po uszy.

– Jeszcze niezupełnie. Jeśli teraz poszukam sobie innego lokum i nie będziemy się widywać, może wyjdiesz z tego bez szwanku. Pomyśl: jeśli Damon prowadzi tę swoją perfidną grę, atakując ludzi ze mną związanych – jak sądzisz, ile jeszcze czasu upłynie, zanim znajdziesz się na jego celowniku? Albo jeśli teraz podam policji jego nazwisko, on zaś przygotuje się potem do wielkiego uderzenia, będziesz zbyt blisko mnie, by cię oszczędził. Proszę, Noro. Nie pozwól sobie zmarnować życia!

Nie odpowiedziała, lecz zamiast tego zapytała:

– Pójdiesz na policję?

– Tego nie wiem.

Poczuła zawroty głowy. Domyślała się, że nie powiedział jej wszystkiego, że rozważa także inne możliwości.

– Twoje słowa brzmią bardzo logicznie. Chyba że masz jeszcze inny scenariusz w zanadru?

– Nie. Chyba że to czysty przypadek, który akurat dosięgnął dwie kobiety z mojego otoczenia.

Dreńcząca myśl, jaka właśnie rodziła się w jego głowie, wzbudziła w nim przerażenie. Była przygnębiająca i natarczywa. Nadszedł czas, by sprawdzić, czy Vanessa Willard jakimś sposobem przeżyła. A to oznaczało: sprawdzić, czy zdołała się uwolnić lub została uwolniona.

Na tę myśl aż jęknął.

Nora położyła dłoń na jego ramieniu.

– Chodźmy spać. Jesteśmy wykończeni. Jutro pomyślimy, co dalej.

Jej słowa tchnęły spokojem i rozsądkiem. Pod dotykiem jej chłodnej, silnej dłoni poczuł lekkie odprężenie.

„Być może widzę upiory – pomyślał, kuląc się pod kołdrą. – Być może w moim życiu zetknąłem się ze zbyt wieloma okropnościami, wzięłem na siebie nazbyt wielką winę. To dlatego wszystko, co złe i przerażające, traktuję jako coś, co musi mieć związek ze mną”.

Nie zdołał poczuć się lepiej. Nieustannie miał przed oczami obraz Debbie, potem Corinne, to znów postacie obu kobiet stapiały się w jedno.

A potem pojawiła się twarz Vanessy Willard.
Co się z nią stało?

– Zostaw mnie – prychnęła Janine, odpychając od siebie śpiącego mężczyznę, który mruczając coś niezrozumiale pod nosem przysunął się do jej boku i niezdarnie położył dłoń na jej prawej piersi. Lubiła uprawiać z nim seks, lecz nie wtedy, gdy był tak naćpany jak obecnie.

Nick mruknął i ponownie sięgnął do piersi Janine. Znowu przecenił swoje możliwości i nic nie wskórał. Patrzyła na jego nagie ciało, częściowo zakryte prześcieradłem służącym im za koldrę. Prześcieradło wyglądało niechlujnie, było upstrzone dziwnymi plamami i licznymi dziurami. Zbyt często palili razem w łóżku. Janine niekiedy się zastanawiała, ile jeszcze czasu upłynie, aż któregoś dnia puszczą z dymem tę starą farmę. I sami przy tym zginą. Spożywali alkohol i narkotyki w wielkich ilościach, było mało prawdopodobne, by w przypadku katastrofy byli na tyle przytomni, żeby w porę ująć z życiem.

Wstała, jęknęła, czując potężny ból głowy, jakby jej mózg miał zaraz eksplodować. Sięgnęła po koszulę Nicka, zwiniętą w kłębek na podłodze, i włożyła ją przez głowę. Do diabła, ależ ziąb w tym pokoju! Na farmie, którą Nick odziedziczył po swoim stryjecznym dziadku, a która już od dawna nadawała się do rozbiórki, przy dobrej pogodzie było miło i romantycznie, lecz jesienią i zimą albo podczas deszczowej wiosny trudno było tu wytrzymać. Okna się nie domykały, dach przeciekał, do ogrzewania służyły jedynie wielkie kominki o słabym ciągu, przez co pokoje wypełniały się dymem, a mimo to panował w nich chłód. Nickowi to nie przeszkadzało. I tak przez większość czasu nie ruszał się z łóżka. Albo był tak zamroczony, że tego zwyczajnie nie odczuwał.

Janine wyjrzała przez okno. Farma była oddalona od najbliższej

miejsowości o dobre dwadzieścia mil, wokół niej ciągnęły się jedynie wrzosowiska z brunatnawymi wrzosami i niskimi, targanymi przez wiatr krzewami. Stryjeczny dziadek Nicka hodował tu owce. Owiec dawno już na farmie nie było, lecz czasem przychodziły zbłąkane zwierzęta innych rolników. Janine zmrużyła oczy. Do posiadłości należał stary sad owocowy, zupełnie już zdziczały, oraz przylegający doń niewielki zagajnik, przez który przepływał strumień. Można je było dojrzeć z okien sypialni. Janine odniosła wrażenie, że na skraju lasu widzi jasną, wyróżniającą się z tła plamę, na poły skrytą pod drzewami. Nie potrafiła jednak ocenić, co to właściwie jest. Może rzeczywiście jakaś owca? Była wiosna, pojawiło się mnóstwo małych jagniąt. Może jedno z nich odłączyło się od stada i zabłądziło?

Janine była krótkowidzem, bez okularów nie potrafiła tego stwierdzić. Niestety, znów nie wiedziała, gdzie je położyła. Poprzedniego wieczoru tak bardzo się upili, że nie miała bladego pojęcia, jakim sposobem dotarła do łóżka, nie wspominając już o tym, co zrobiła z okularami. Rozejrzała się po pokoju, każdy ruch głową sprawiał piekielny ból. Jeśli dopisze jej szczęście, znajdzie w kuchni aspirynę.

– Nie wiesz, gdzie się podziały moje okulary? – rzuciła pytanie w stronę Nicka, nie spodziewała się jednak żadnej odpowiedzi, gdyż Nick tymczasem znów zapadł w głęboki, mocny sen. Przed wieczorem nie będzie z nim można porozmawiać.

Janine nie mogła też znaleźć pantofli, dlatego w końcu poczłapała boso po schodach, choć ziąb potwornie dawał się we znaki i czuła, jak drętwieją jej nogi. Dotarwszy na dół, rozejrzała się po salonie. Zauważyła kilka śpiących postaci, pomiędzy nimi puste butelki po piwie, przepelnione popielniczki, talerze z resztkami jedzenia. Nigdy nie było do końca jasne, ilu właściwie ludzi mieszka na farmie, kto przyszedł jedynie w odwiedziny, kto należał do kręgu przyjaciół Nicka, a kto się po prostu pojawił, choć nikogo tu nie znał. Farma słygnęła w okolicy, i to pomimo sporych odległości dzielących poszczególne wioski. Janine wiedziała, że uważano ich wszystkich za szumowiny, za stroniący od

pracy motłoch, aspołeczną hołotę, kryminalistów. Krążyły pogłoski o dzikich orgiach, seksie grupowym, pozbawionym wszelkich zahamowań alkoholizmie. No cóż, sporo w tym było prawdy, Janine musiała to przyznać. Gdy pewnego razu w okolicy zaginęło dwoje dzieci, mieszkańcy sąsiedniej wioski naślali na farmę policję, bo byli święcie przekonani, że *mieszkający tam przestępcy* musieli maczać w tym palce. Nie było to wcale prawdą, jednakże wśród licznych odurzonych typków przebywających owego dnia w salonie gliniarze rzeczywiście znaleźli jednego kryminalistę, poszukiwanego za napad na stację benzynową. Ani Nick, ani Janine go nie znali. Pojawił się pewnego dnia i zwyczajnie został na farmie. Nikt nawet nie przeczuwał, że jest poszukiwany.

Janine weszła do kuchni, usiłując zignorować piętrzący się stos nieumytych naczyń, klejących się garnków oraz straszliwie zabrudzoną podłogę. Była jedyną osobą, która cierpiała z tego powodu: z powodu brudu, chaosu, bezsensownego nieróbstwa, chłodu, nieporządku, życia pozbawionego jakichkolwiek perspektyw, alkoholu. Tak, najbardziej z powodu alkoholu, on bowiem był winny temu, że nie potrafiła od tego wszystkiego uciec – od Nicka, jego znajomych, jego środowiska. Często rozmyślała nad tym, co by było, gdyby zdecydowała się na ucieczkę, lecz zawsze ogarniał ją wówczas strach. Zbyt wiele razy widziała, jak podobne próby podejmowane przez jej matkę kończyły się niepowodzeniem. Wiedziała, czym to grozi.

I rozumiała ich daremność.

W kuchni znalazła zegarek i stwierdziła, że dochodzi trzecia. Trzecia po południu w niedzielę. Następnie odkryła fiolkę z aspiryną, w której – cóż za cud! – znajdowały się jeszcze dwie tabletki. Napełniła wodą szklanekę i wrzuciła do niej tabletki. Odwróciła wzrok od stojącej obok zlewu butelki wina, w połowie jeszcze pełnej.

Nie. Nie tak od razu.

Lepiej pozbyć się najpierw bólu głowy. Odzyskać przytomność. Posprzątałaby wtedy tę okropną kuchnię.

Do tego jednak nie dojdzie, wiedziała o tym. Ból głowy nie ustąpi,

spróbuje go zagłuszyć alkoholem. I nikt nigdy tej kuchni nie wysprząta.

Popijała wodę, zerkając przez okno i przestępując z nogi na nogę, by nie czuć zimna kamiennej podłogi. Kuchnia mieściła się bezpośrednio pod jej sypialnią, również stąd mogła obserwować sad i skraj lasu. Znowu zwróciła uwagę na ową jasną plamkę. Do licha, gdzie się podziały jej okulary! Czy to rzeczywiście było zbłąkane zwierzątko?

Janine lubiła zwierzęta. W wieku dziesięciu, jedenastu lat chciała zostać weterynarzem. Nic oczywiście z tego nie wyszło, lecz miłość do zwierząt przetrwała.

„Muszę tam pójść i sprawdzić” – pomyślała.

Nie było to jednak takie proste. Miała na sobie tylko koszulę Nicka, sięgającą jej ledwie do kolan, nic więcej. Nie miała pojęcia, gdzie się podziały jej ciuchy i buty. Czuła mdłości i marzła tak bardzo, że chciało jej się wyć.

Wypiła ostatni łyk, odstawiła szklankę. Przynajmniej nie padało. Mimo to wszystko za oknem było oczywiście mokre. Zerwał się wiatr, domyśliła się tego, widząc poruszające się gałęzie drzew oraz szybko mknące po niebie obłoki. Co chwila wynurzały się zza nich połyskujące strzępy błękitu.

„Może jeszcze zaświeci dziś słońce, pójdę wtedy to sprawdzić” – pomyślała Janine.

Przeczuwała jednak, że prawdziwie słoneczny dzień dziś już nie nastanie. I że przez cały czas będzie się zastanawiać, co to za biała plama. Chyba że...

Jej wzrok ponownie padł na butelkę wina. Z taką łatwością mogła się wszystkiego pozbyć. Wszystkich problemów, wszystkiego, co nieprzyjemne. Bólu, chłodu, odpowiedzialności. Wszystko szybko przeminie, najpierw się rozmyje, potem straci na wyrazistości, a w końcu zupełnie zniknie.

Kiedy pomyślała o jagniątku, do oczu nagle napłynęły jej łzy. Bez matki. Samotne. Zrozpaczone. Zalęknione.

Odsunęła butelkę, podeszła do kuchennych drzwi, otworzyła je. Zimny wiatr przeszył ją dreszczem. Stawiając pierwszy krok na

zewnątrz, poczuła na nogach uderzenia wysokich mokrych traw. Najchętniej z miejsca by zawróciła, najchętniej poprosiłaby kogoś o pomoc. Ale który z tych anarchistów przebywających w domu był wystarczająco przytomny?

Przemierzyła podwórko, dawniej pokryte ubitą gliną, po którym dreptały kury i gdzie odstawiano narzędzia. Obecnie aż po sam próg pleniły się trawa, osty i pokrzywy. Przez kuchenne drzwi wychodziło się bezpośrednio do starego sadu. Jesienią wciąż można w nim było zbierać jabłka, nikt jednak nie troszczył się o drzewa, nie przycinał gałęzi ani nie pilnował, by się nadmiernie nie rozrastały. Padający przez ostatni tydzień deszcz strącił na ziemię bladoróżowe kwiaty, trawa sięgała niemal do pasa. Wiatr wiejący od dwóch dni nie zdołał jeszcze usunąć kropli wilgoci pozostawionych przez nieustanne kilkudniowe opady. Janine miała teraz nie tylko mokre nogi, także koszula nasiąknęła wilgocią. Zimna i ciężka, uderzała o jej uda. Skuliła ramiona i parła naprzód. Z utęsknieniem pomyślała o gorącej kąpieli, lecz w domu nie było ciepłej wody. Któregoś dnia razem z Nickiem podgrzali na piecu wodę w kociołkach, po czym napełnili nią starą cynową wannę. Kiedy w niej usiedli, poczuli się cudownie, Janine obawiała się jednak, że dziś zabraknie jej do tego energii. Może przygotuje sobie przynajmniej termofor.

Dotarła na skraj ogrodu. Stał tam drewniany płot, zachowany, o dziwo, w stanie niemal nienaruszonym. Niewiele rzeczy na farmie, jak ów płot, potrafiło się przeciwstawić postępującemu rozpadowi. Drewno oczywiście butwiało, któregoś dnia płot pewnie się przewróci, wciąż jednak trzymał się prosto. Janine dotknęła go ręką, jakby chciała się upewnić, że nadal istnieje na świecie coś takiego jak trwałość i niezmienność.

Brama wisiała krzywo na zawiasach, z trudem zdołała ją pchnąć, gdyż blokowała ją trawa. Przepchnęła się przez wąską szparę i z ulgą stwierdziła, że to nie jagnię leży pod drzewami. Dzięki Bogu, pomyliła się, dobrze jednak, że to sprawdziła. Ze spokojnym sumieniem może teraz wrócić do domu. Ktoś porzucił w tym miejscu stos ubrań, białe

płaszcz...

Dziwne. Nikt przecież tędy nie chodzi.

Już miała się odwrócić, gdy wtem zauważyła, że płaszcz się poruszył.

Aż *tak* pijana przecież nie jest! Jej matka wciąż widziała poruszające się przedmioty, stoły i krzesła, twierdząc, że niebezpiecznie się do niej zbliżają. Janine czegoś takiego jednak nie doświadczyła. Jeszcze nie.

Przemogła się i podeszła do stosu ubrań. Rzeczywiście była aż takim krótkowidzem, że dopiero teraz rozpoznała twarz. *Ludzką twarz*. Nie były to porzucone ubrania. W trawie leżał skulony człowiek.

– O Boże – jęknęła przerażona.

Spojrzały na nią rozgorączkowane oczy. Człowiek u kresu sił. Starsza kobieta. O popękanych, pogryzionych do krwi wargach.

Janine przełknęła ślinę.

– Proszę – szepnęła kobieta cichym, chrapliwym głosem. – Proszę mi pomóc. Proszę.

W ciągu dnia było coraz cieplej i słoneczniej, a pod wieczór wiatr ostatecznie przegnał wszystkie chmury, obdarowując nas promiennym błękitem nieba.

W zasadzie miałam zamiar pojechać taksówką prosto do domu, nagle jednak owładnęło mną uczucie, że koniecznie muszę z kimś porozmawiać. Dlatego poleciłam kierowcy, by podjechał pod dom Alexii. Potrzebowałam kontaktu z przyjaciółką.

Nikogo tam jednak nie zastałam. Przez chwilę czekałam bezradna i zawiedziona przed drzwiami. Czyżby wszyscy wyjechali? Wyruszyli na wspólną wycieczkę i wrócą późno? Przecież dzieci muszą nazajutrz iść do szkoły. Może warto jednak chwilę poczekać?

Kiedy stałam przed domem, wciąż niezdecydowana, zauważyłam samochód skręcający na rogu ulicy. W pierwszej chwili pomyślałam z ulgą, że oto nadjeżdża moja przyjaciółka. Ree ce'owie jeździli prastarym vauxhallem bedfordem, białym minibusem, egzemplarzem niemal już muzealnym, który okazywał się jednak niezwykle praktyczny do przewozu sześciuosobowej rodziny oraz mnóstwa znajomych dzieci. Od razu zrozumiałam jednak swoją pomyłkę: był to co prawda także biały minibus, lecz vauxhall movano. Oba modele można było pomylić jedynie przy pobieżnym spojrzeniu. Minął mnie i przejechawszy kawałek w dół ulicy, skręcił w bramę innego domu.

Nie chciałam dać za wygraną i postanowiłam sprawdzić, co się dzieje w ogrodzie. Być może wszyscy są na dworze i nie słyszeli dźwięku dzwonka. Pomiędzy częścią domu należącą do Alexii i do jej sąsiada znajdowało się zadaszone przejście do ogrodu, do którego można się było dostać również z kuchni. Ree ce'owie trzymali tam pralkę i zamrażarkę. Alexia i Ken byli tak przeciążeni pracą, że rzadko

pamiętali o tym, by zamykać drzwi do tego przejścia. Także tym razem miałam szczęście. Udało mi się wejść.

Kiedy znalazłam się w ogrodzie, zobaczyłam Kena. Siedział na stopniach prowadzących do jadalni, palił papierosa, w dłoni trzymał butelkę piwa. Sprawiał wrażenie odprężonego, widocznie udało mu się wyekspediować wszystkie dzieci do łóżek, gdyż wokół nie było słychać żadnych wrzasków czy krzyków, żadnych kłótni czy płaczu. Panowała tam błoga, wręcz podejrzana przedwieczorna cisza. Słońce już skryło się za horyzontem, ogród pogrążył się w cieniach zmierzchu. Pośrodku trawnika stał płaski czerwony dziecięcy brodzik, z którego wyraźnie uchodziło powietrze.

Dostrzegłszy mnie, Ken uśmiechnął się radośnie.

– Jenna! Jak miło cię widzieć! Chodź, usiądź obok mnie.

Przesunął się nieco w bok, usiadłam na stopniu.

– Witaj, Ken. Musicie zamykać drzwi od frontu. Każdy może bez przeszkód wejść do domu!

– U nas nie ma czego ukraść – odparł beztrósco Ken. – Napijesz się piwa? Zapalisz?

– Chętnie napiję się piwa.

Sięgnął po drugą butelkę stojącą obok niego, otworzył ją i podał mi. Wyczułam w jego oddechu woń alkoholu i tytoniu. Dopiero co opróżniliśmy razem z Matthew butelkę wina. Teraz jeszcze piwo i nazajutrz dostanę okropnego bólu głowy. Nie chciałam jednak w tej chwili o tym myśleć. Moje przeziębienie ustępowało, czułam się coraz lepiej. Z kacem jakoś sobie poradzę.

– A cóżście zrobili z brodzikiem? – zapytałam.

Ken się roześmiał.

– Evan obrzucił go rzutkami. Nadaje się do kosza.

– Boże drogi! – Ich dzieciom wciąż coś strzelało do głowy. Zapytałam o moją przyjaciółkę: – Alexia położyła się już do łóżka?

Ken potrząsnął głową.

– Broń Boże! Do łóżka prawie się już nie kładzie. Jeszcze nawet nie wróciła do domu.

– Tylko nie mów, że znowu przesiaduje w redakcji?!

– Wczoraj cały dzień. Dzisiaj podobnie. Skupia się tylko na tym przeklętym piśmie. Zupełnie się wykańcza, gdyż znowu ubyło jej reklamodawców. Boże, domyślam się, że ta kwestia dotyczy całej branży, ona jednak uważa to za swoją osobistą porażkę, której koniecznie musi się przeciwstawić.

– To Ronald Argilan wciąż daje jej to odczuć – wyjaśniłam. – Traktuje ją jak nieudacznika – wbrew własnej wiedzy, jak sądzę. Uwziął się na nią i chce być świadkiem jej porażki. Wydaje mi się, że ona nie ma żadnych szans – i to jest najgorsze. Będzie jej stale podnosił poprzeczkę, tak długo, aż Alexia wreszcie da za wygraną. Jego to wiele nie kosztuje, ona natomiast zupełnie się przy tym wypali.

– Co ma jej do zarzucenia? – zapytał zmieszany Ken.

Wzruszyłam ramionami.

– Jest przeciwny kobietom na kierowniczych stanowiskach. Miejsce kobiety jest w domu, przy dzieciach, w kuchni, we własnych czterech ścianach. Wieczorami ma czekać z pysznym jedzeniem na wracającego do domu męża i pytać: *Skarbie, jak ci minął dzień?*

– No tak, brzmi całkiem nieźle, jeśli mam być szczery – uśmiechnął się Ken.

Trąciliśmy się butelkami i oboje wypiliśmy po sporym łyku piwa.

Spojrzałam na Kena.

– To nie jest dla ciebie łatwy okres, prawda?

Przytaknął.

– Oczywiście, że nie. Niełatwo się przyglądać, jak własna żona powoli staje się kłębkim nerwów. Nie uwierzysz, ile już razy zaklinałem ją, żeby dała sobie z tym spokój. Poszukała czegoś innego, nawet, jeśli to konieczne, na gorszym stanowisku, ale za to z lepszymi warunkami pracy i porządną pensją. Przecież to śmieszne! – Jego głos zabrzmiał teraz gniewnie. – Za to, że pracuje teraz we wszystkie weekendy i praktycznie nie widuje się z rodziną, nie dostaje nawet odpowiedniego wynagrodzenia. Ledwie wiążemy koniec z końcem. Czwórka dzieci! Na to trzeba mieć przede wszystkim fundusze. Od

kiedy nasza niańka złożyła wymówienie, porzuciłem wszelką nadzieję, że w dającej się przewidzieć przyszłości znów będę mógł popracować nad książką i co nieco dorobić. Cieszę się, jeśli w ogóle jakimś sposobem przetrwam dzień.

– Wspierasz Alexię bezwarunkowo – przyznałam.

– Owszem, lecz zacznę się zastanawiać, czy to aby na pewno dobrze jej służy – odparł Ken.

Oboje umilkliśmy. Wiedzieliśmy, że Alexia się zagalopowała, a jednak rozumieliśmy także, dlaczego nie potrafiła przestać.

W końcu Ken zapytał:

– A ty? Co u ciebie słychać?

– No cóż... – Łyknęłam jeszcze piwa, zanim dokończyłam. – Właśnie wracam od Matthew. Spędziliśmy razem dzień.

– Tak? Czyżby plan Alexii wypalił?

– Sama nie wiem... Właściwie to już się rozstaliśmy. Dzisiejszy dzień to nowy początek. Próba pobycia razem bez Vanessy.

Ken zmarszczył czoło.

– Bez Vanessy?

– Zawsze była obecna – wyjaśniłam. – On nie potrafił mówić o niczym innym. O niczym innym myśleć. Szukał jej praktycznie każdego dnia, o każdej porze. Szukał odpowiedzi na pytanie, co się z nią stało. Nie mogłam już tego znieść.

– Nic dziwnego. Kto zdołałby to wytrzymać?

– Podjął teraz poważną próbę uporania się z problemem Vanessy, z problemem jej zaginięcia. Byłam u niego w domu. Zniknęły wszystkie jej zdjęcia i, jak mi powiedział, spakował do kartonów jej osobiste rzeczy i wyniósł na strych. Rzeczywiście zadał sobie niemało trudu, a mimo to... – Westchnęłam z rezygnacją. – Mimo to ona tam była. Jakby wciąż obecna. Jej dom. Jej ogród. Jej meble. Jej... duch wypełniający wnętrze. Matthew i ja byliśmy strasznie spięci. Gotowaliśmy razem i całymi godzinami debatowaliśmy nad dressingiem do sałaty, tylko po to, żeby nie zacząć rozmowy, która mogłaby nas wywieść na manowce. Po wypiciu całej butelki wina poczuliśmy się na tyle rozluźnieni, by

przyznać, że w ogóle nas nie ciekawi kwestia dressingu do sałaty...

Ponownie westchnęłam. Nie wiedziałam, jak to wyjaśnić Kenowi, jak opisać ten ołowiany dzień. Poczułam się jak intruz. Kobieta, która wtargnęła w życie Vanessy, do jej domu, do jej kuchni. Która pragnęła jej męża. On zaś na to nie zasługiwał.

Matthew był strasznie zdenerwowany, absolutnie zdeterminowany, by nie popełnić żadnego błędu. Aż się wzruszyłam, patrząc, jak stara się być serdecznym, radosnym, zupełnie normalnym człowiekiem. Popijaliśmy wino na tarasie, zagadnęłam go o wspaniałe rododendrony, które właśnie zaczynały kwitnąć w ogrodzie. A on odpowiedział:

– Tak, zasadziła je... – I spiesznie przełknął resztę zdania i popił winem. Wiedziałam, że był o włos od wymówienia *jej* imienia. *Zasadziła je Vanessa, Vanessa je lubiła.* Coś w tym rodzaju.

Poszliśmy z Maxem na spacer, to była najlepsza chwila całego dnia. Na neutralnym gruncie wszystko między nami lepiej funkcjonowało, choć oczywiście nie można powiedzieć, by z miejsca opuściło nas całe to wewnętrzne napięcie. Około pół do szóstej wróciliśmy do domu, zaczęłam się zastanawiać, jak się ten dzień zakończy. Ściśle mówiąc: zaczęłam myśleć o seksie. Nie miałam jednak wrażenia, by Matthew podzielał moje pragnienia. Wyglądał na zestresowanego i przemęczonego. Bądź co bądź w seksie chodzi też o banalne pytanie: *gdzie?* Sypialnia Matthew, którą przez całe lata dzielił z Vanessą, definitywnie nie wchodziła w rachubę. Czy miał pokój gościnny? Ale jak Matthew by się poczuł, mówiąc: „Chodźmy do gościnnego”? Również to było samo w sobie krępujące i nieautentyczne.

Wlepiłam wzrok w dywan w pokoju dziennym, a następnie przeniosłam go na ogrodowy stół. W ostateczności... Matthew wydawał mi się jednak zbyt konserwatywny. Żeby robić to na podłodze albo na stole, trzeba być owładniętym namiętnością, na dotarcie do bardziej wygodnego miejsca nie starcza już czasu. Matthew nie sprawiał wrażenia człowieka powodowanego namiętnością, nie mówiąc już o tym, by był nią owładnięty. Naraz zdałam sobie sprawę, że byłoby niezręcznie, gdybym to ja zrobiła pierwszy krok.

– W końcu obejrzelismy w telewizji wiadomości – oznajmiłam Kenowi. – Romantycznie, prawda? Po prostu nie mieliśmy już sobie nic do powiedzenia i wylądowaliśmy przed pudłem!

– Czemu nie? – odparł Ken, gasząc papierosa o kamienną posadzkę.
– Czasem trzeba chwycić się brzytwy. Wasza sytuacja jest trudna. Nie możesz do niej przykładać normalnej miary.

– W każdym razie to była najgorsza brzytwa, jakiej mogliśmy się uchwycić.

Miałam tę scenę wyraźnie przed oczami. Siedzimy obok siebie na sofie. Max u naszych stóp. Dzieli nas bardzo przyzwoity odstęp. Gapimy się w telewizor, jakbyśmy naprawdę byli zafascynowani tym, co tam pokazują.

– Słyszałeś o tym zdarzeniu z ostatnich dni? – zapytałam Kena. – O tej kobiecie porwanej na skraju drogi?

Ken zastanawiał się przez chwilę.

– Zgadza się. Tak, pamiętam. Co z nią?

– Znaleźli ją. Dzisiaj. Chyba została porwana przez bandę młodocianych kryminalistów, przetrzymywali ją na jakiejś odosobnionej farmie. Nie mam pojęcia, co tam z nią wyprawiali. Przynajmniej żyje i wróci do swego męża.

– A niech to szlag – rzucił Ken. Jego słowa z pewnością nie odnosiły się do szczęśliwego zakończenia historii tej kobiety. Domyślił się pewnie, jak owo doniesienie podziałało na jego przyjaciela Matthew.

Przytaknęłam.

– Matthew nie potrafił ukryć, jak bardzo go ta sprawa poruszyła. Ta historia w groteskowy sposób przypomina jego własną! Szosa gdzieś pośrodku wrzosowisk Yorkshire. Kobieta samotnie czekająca w samochodzie. Znika bez śladu, pozostawiając torebkę i kluczyki. Policja błądzi jak we mgle. Porywacz nie telefonuje. Nic. Sprawa pozostaje niewyjaśniona. A jednak, ledwie dwa dni później...

– Zbawienna pewność – dokończył Ken. – Jeśli można to tak określić. Któż bowiem wie, co zrobiono tej kobiecie? Będzie potrzebować pomocy i wsparcia, by powrócić do normalności.

– Naturalnie. Ale tak czy owak *będzie można* jej pomóc. Zniknęła ta przerażająca bezradność. Desperackie poszukiwania, rozmyślania, strach... wszystko to, co przeżywa Matthew od niemal trzech lat, będzie tej rodzinie oszczędzone.

Doskonale wyczuwałam, co przeżywa Matthew, słuchając w telewizji owej relacji. W ciągu kilku minut raz jeszcze doświadczył całej skali uczuć, które tak mocno go zadreęczały od sierpnia 2009 roku. Miał przed oczami Vanessę. Znalazła się w rękach zbrodniarza, jakiegoś perwersyjnego typu, który ją poniżał, ranił i być może powoli zamęczał na śmierć. Vanessa nie miała tyle szczęścia, by zostać odnalezioną.

Zrozumiałam, że Matthew chce zostać sam, nawet jeśli był na tyle uprzejmy, by się do tego nie przyznać. Zatopiony w myślach głaskał Maxa, ukrył dłonie w grubej, miękkiej sierści wielkiego psa, wzrok utkwiał w oddali, w jakimś punkcie, który jedynie on dostrzegał. Ostrożnie dotknęłam jego ramienia.

– Wrócę do domu – powiedziałam cicho. – Myślę, że tak będzie lepiej.

Drgnął.

– Odwiozę cię.

– Nie, nie trzeba. – Miałam wrażenie, że nie jest w stanie prowadzić samochodu. – Wezmę taksówkę.

Nie oponował. Kiedy znalazłam się w samochodzie, pomyślałam nagle, że nie potrafię być teraz sama i dlatego wybrałam się do Alexii. Ona zaś tkwiła po uszy we własnych problemach i nie mogła mi służyć pomocą.

– I tak minęła ta romantyczna niedziela – rzekł Ken. – Przykro mi, Jenno. To rzeczywiście pokręcona sytuacja. Być może Matthew nadal nie jest gotów, by zacząć nowy związek.

– To jakieś przekleństwo mojego życia – odparłam. – Osiem lat spędziłam z mężczyzną, który nie potrafił się ze mną zżyć. A teraz znów mi się to przydarza. Jestem chyba kobietą, która szczególnie silnie przyciąga mężczyzn niezdolnych do trwałych związków. Nie mogę powiedzieć, by ta myśl mnie uszczęśliwiała.

Ken spojrział na mnie.

– Myślę, że jesteś kobietą, która w szczególny sposób przyciąga *wszystkich* mężczyzn – stwierdził. – Jesteś bardzo ładna. Rzadko widuję tak piękne kobiety.

Siedzieliśmy tak blisko siebie, że nasze twarzeomal się nie dotykały. Oboje wypiliśmy sporo alkoholu, ja w każdym razie za dużo.

– To niemożliwe! – powiedziałam.

Nie zważając na własne słowa, pocałowałam go. Jego usta były miękkie, jego policzek z dwu-, trzydniowym zarostem drapał. Odstawił swoją butelkę i wyciągnął ku mnie obie ręce w geście, który mógł oznaczać zarówno chęć objęcia mnie, jak i zamiar obrony. Sam prawdopodobnie nie wiedział tego dokładnie.

– Nie możemy... – powiedział, zanim odwzajemnił mój pocałunek, nieśmiało, a mimo to wyczułam: on także jest samotny. On także szuka pocieszenia. Co mówił przed paroma minutami? *Czasem trzeba chwycić się brzytwy.*

W tej chwili to on był moją brzytwą, a ja jego. W domu na piętrze spała czwórka dzieci, a jego żona, moja najlepsza przyjaciółka, w każdej chwili mogła wrócić z redakcji. Było mi to zupełnie obojętne. Chciałam natychmiast się z nim kochać. W trawie. Na twardych płytkach tarasu. Na stojąco, oparta o ścianę. Gdziekolwiek, jakkolwiek.

Na szczęście Ken się opamiętał. Puścił mnie i wstał. Widziałam, jak dygoce.

– Przepraszam – powiedział. – Przepraszam, Jenno. To było... w żadnym razie nie powinienem był tego robić.

Ja także wstałam. Nogi miałam jak z waty.

– Nie musisz przepraszać. To ja zaczęłam. To po prostu niemożliwe.

Z wolna zapadał zmierzch. Dochodzący z ogrodu zapach wiosny, ziemi i trawy wydawał się coraz bardziej intensywny. Co się, do diabła, ze mną działo? Przed dwiema godzinami myślałam o seksie z Matthew. Przed chwilą bez najmniejszych zahamowań byłam gotowa położyć się z Kenem w trawie. Sądziłam, że ten okres mam już ostatecznie za sobą. Jako młoda dziewczyna, żyjąc w ciągłym konflikcie z matką, a po

śmierci ukochanej babci czując się jeszcze bardziej niezrozumiana i samotna, byłam gotowa iść do łóżka z każdym mężczyzną, którego spotkałam na mojej drodze, byleby tylko nie był całkiem odpychający i okazał zainteresowanie moją osobą. Po ukończeniu szkoły, kiedy uciekłam z domu i usiłowałam się przebić jako dość mierna piosenkarka, ten stan trwał. Poznał go jeszcze Garrett, zanim się z nim ostatecznie związałam i poczułam nieszczęśliwa.

Musiałam powrócić myślą do sytuacji, w jakiej się przed laty znalazłam, tak trudnej, że postanowiłam się rozstać z Garrettem. Na nieszczęście dałam mu się przekonać, by raz jeszcze zacząć wszystko od początku, co było moim przeogromnym błędem. Na wspomnienie owego zdarzenia nawet teraz napływały mi do oczu łzy.

Ken je zauważył i z miejsca odniósł do siebie. Bezradnym gestem pogłaskał mnie po policzku.

– Nic się nie stało! – powiedział. – Boże, Jenno, proszę, nie płacz!

– Nie płaczę z tego powodu. – Choć wiązało się to z jego osobą oraz tym, co właśnie się stało. – To tylko... Czasem zwyczajnie sama siebie nie rozumiem!

Poszłam z Garrettem na przyjęcie, wokół nas sami świetni, rozrywkowi, młodzi ludzie, z których nikogo nie znałam. Garrett popijał drinki mieszane z wódką, które w owym czasie uwielbiał. Kiedy pił, stawał się niebezpieczny – skory do zaczepki, urazy, obrazy. Nikt inny nie potrafił tak precyzyjnie trafić przeciwnika poniżej pasa jak Garrett, gdy wlał w siebie zbyt dużą ilość wódki. Szczególnie drażnili go wówczas skromni, niepewni siebie ludzie. Jeśli w pobliżu nie pojawił się nikt odpowiedni, chętnie brał sobie mnie na cel, tak jak tamtego wieczoru. Nagle zaczął się zajmować, jak to określał, *ciemną stroną mojej natury*.

– Kiedy Jenna przeżywa te swoje depresje, nie można jej zostawić samej między ludźmi – oświadczył przysłuchującemu się z rozbawieniem towarzystwu. – Wówczas żaden facet nie może się czuć bezpieczny. Kto, licząc do trzech, nie zwieje na drzewo, wyląduje między jej nogami. Czy nie tak właśnie jest, Jenno?

– Przestań! – ofuknęłam go.

– Hej, to przecież nie hańba. Już nieraz o tym rozmawialiśmy. Jenna ma okresy depresji – wyjaśnił pozostałym – a wtedy takie zachowanie nie jest niczym niezwykłym. Ona także nic nie może na to poradzić. Nie panuje wtedy nad sobą, chyba że robi to właśnie z jakimś facetem. – Spojrzał na mnie. – Sama tak mi to kiedyś objaśniłaś, Jenno!

Takich słów z pewnością nie użyłam, lecz ich sens był prawdziwy. Powiedziałam mu, co się ze mną dzieje, kiedy się *dziwnie zachowuję*. Garrett przeszukał wówczas Internet w poszukiwaniu wyjaśnienia. Natknął się na informację, że ludzie o depresyjnej naturze mogą się skłaniać ku promiskuityzmowi, nawet jeśli jest to całkowicie sprzeczne z ich własnym systemem wartości. Od tego czasu uznawał mnie za *charakter depresyjny*, choć żaden lekarz nie postawił takiej diagnozy, nigdy też nie konsultowałam się z nikim w tej sprawie. Pogodziłam się z tym, gdyż owe symptomy stanowiły dla mnie poniekąd pewien rodzaj usprawiedliwienia. W rzeczywistości jednak niezupełnie rozumiałam, co się ze mną dzieje, miałam czasem uczucie, że wiąże się to z oziębłością mojej matki. Później zaś ze sposobem, w jaki się rozstałyśmy – bez słowa. Niekiedy czułam się wewnątrznie opuszczona, niczym małe dziecko, które zmyliło drogę. Choć byłam już za stara na tego rodzaju odczucia.

– Oboje mamy za sobą ciężki dzień – powiedział cicho Ken. – Wiąże się to po prostu z tym, że... – Szukał właściwych słów, lecz ich nie znalazł.

– Ciężki dzień – powtórzył w końcu. – Trudny okres.

– Wracam do domu – oznajmiłam. – Dzięki za piwo.

– Chętnie bym cię odwiózł – odparł Ken – ale Alexia zabrała samochód, mam tylko motocykl, a poza tym... dzieci...

– Nie, w żadnym wypadku. Bądź tylko tak miły i zadzwoń po taksówkę, dobrze?

Kiedy wszedł do domu, by zatelefonować, wyszłam przez zadaszone przejście i czekałam na ulicy. Ken został w domu, ucieszyło mnie to. Na szczęście zaraz zjawiała się taksówka.

„Koniecznie muszę sobie ponownie sprawić samochód – pomyślałam, kiedy wsiadłam i podałam kierowcy adres. – Jestem uzależniona od podwożących mnie mężczyzn, a taksówki mnie zrujniają”.

To już raz wpędziło mnie w finansowe tarapaty, co ostatecznie doprowadziło do sprzedaży mojego samochodu.

Muszę zmienić swoje życie. Zasadniczo. Pracę, mieszkanie. Potrzebuję więcej pieniędzy. Potrzebuję wykształcenia.

Głupotą było rezygnować z porządnego zawodu, byleby tylko czym prędzej uwolnić się od zrzędlivej matki. Teraz wiecznie narzekałam na marne zajęcia, gdyż nie mogłam się niczym solidnym pochwalić. Studia. Może powinnam studiować. Mając trzydzieści dwa lata, nie byłam na to za stara, bez wątpienia lepszy to pomysł niż kisnąć w nudnej redakcji za mizerną pensję, zadawać się z miłym, lecz niezdolnym do jakiegokolwiek związku mężczyzną pokroju Matthew albo dobierać się do mężów moich przyjaciółek.

Uniwersytet. Studia. Ta myśl dodała mi animuszu. Kiedy wróciłam do domu, nie czułam się już tak podle. Za to bardziej niezależna i zdeterminowana. Mimo to mocniej zabiło mi serce, gdy zobaczyłam sygnał automatycznej sekretarki.

Był to Matthew.

– Przykro mi – powiedział. Nic więcej.

Mnie także było przykro. Nawet bardzo. Ale od tej pory będę podążać własną drogą. Matthew może się do mnie przyłączyć, lecz nie będę czekać, aż się na to zdecyduje.

A jednak pewnie nie przestanę żywić w głębi serca nadziei na wspólną z nim przyszłość. Byłoby pięknie, gdyby uczucia można było zwyczajnie wyłączyć.

Dan ubzdurał sobie, by w niewielkim pomieszczeniu obok punktu ksero urządzić studio fotograficzne. W poniedziałek Ryan otrzymał zadanie pomalowania ścian. Praca ta nie wydawała mu się wcale taka zła, gdyż pozwalała oddawać się rozmyślaniom, nie musiał z nikim rozmawiać, a przede wszystkim patrzeć na tę wykrzywioną gębę Dana. Nie sądził, by owo *studio fotograficzne* odniosło sukces. O ile mu było wiadomo, poza amatorskimi zdjęciami, jakie każdy potrafi robić, Dan nie miał się czym pochwalić. Była to jego *idée fixe*, jedna z wielu, jakie kołatały mu się po głowie. Nie miało to jednak żadnego znaczenia. Ryan żywił nadzieję, że tak czy owak pewnego dnia znajdzie sobie inną pracę, odwróci się na pięcie i pokaże swemu szefowi co najwyżej środkowy palec – co zresztą czynił w myślach ze dwadzieścia razy na dzień.

Od poprzedniego wieczoru sytuacja się zmieniła. Około osiemnastej zadzwonił Bradley.

– Odnalazła się. Corinne się odnalazła.

Ryan, zmęczony drogą powrotną, a przede wszystkim psychicznie wyczerpany i podupadły na duchu po ostatnich wydarzeniach, leżał na łóżku, gdy zadzwonił telefon. Wiadomość ta od razu go zelektryzowała.

– Mama? Mama wróciła?

– Kilku zapijaczonych hipisów przetrzymywało ją w położonym na uboczu domu. Na szczęście jedna z dziewczyn w końcu powiadomiła policję. Corinne jest teraz w szpitalu.

– Czy... czy została ranna?

– Nie, ale jest w strasznym stanie. Absolutnie u kresu wytrzymałości. Jak dotąd nie można jej nawet przesłuchać. Mnie także pozwolono tylko na krótką wizytę.

– I powiedziała ci coś?

– Nie. Miała zamknięte oczy i w ogóle nie reagowała. Nie mam pojęcia, co z nią robili...

Obaj umilkli strwożeni. Ryan wyczuł, że podeszła doń Nora. Odwrócił się do niej.

– Odnaleźli Corinne!

– Dzięki Bogu! – krzyknęła Nora.

– Czy coś wiadomo na temat tych ludzi? – zapytał Ryan przez telefon.

Bradley wydał z siebie dźwięk odrazy.

– Wiadomo o nich wystarczająco dużo, by zwyczajny obywatel tego kraju mógł zapytać, dlaczego właściwie coś takiego może się swobodnie poruszać. Stroniący od pracy motłoch, mieszkający w asocjalnych warunkach na podupadłej farmie i trwoniący pieniądze z pomocy społecznej. Narkotyki, alkohol, tego typu rzeczy. Ale my oczywiście płacimy podatki, żeby państwo mogło utrzymywać takich darmozjadów!

– Jak natrafili akurat na mamę? – dopytywał się Ryan.

– Nie mam pojęcia. Wszelkie okoliczności są zupełnie niejasne. Corinne nie może się jeszcze wypowiedzieć, a ci ludzie żyjący na farmie muszą najpierw wytrzeźwieć. Policja rozmawia teraz z dziewczyną, która ich powiadomiła, ale nie znam żadnych szczegółów.

– Mogę wziąć wolne i do was przyjechać – zaproponował Ryan.

Dopiero co przebył daleką drogę powrotną z Yorkshire do Walii, lecz bez wahania znów usiadłby za kierownicą. Po tylu latach spędzonych bez jakiegokolwiek kontaktu z własną matką ogarnęło go niemal bolesne pragnienie wzięcia jej w ramiona. Chciał ją uściskać, pocieszyć, zapewnić, że wszystko będzie dobrze.

Bradley jednak odmówił.

– W tej chwili nikt nie ma do niej dostępu. Potem pomówi z nią policja... Ona potrzebuje teraz spokoju; po tylu latach... twój widok pewnie by ją wzburzył. Poza tym... – Urwał.

– Tak?

– Nie wiem, co jej powie policja. Być może dowie się, że siedziałeś

w więzieniu. Myślę, że powinniśmy dać jej trochę czasu, by mogła do tej myśli przywyknąć, zanim się spotkacie.

Ryan wykazał zrozumienie. Bradley nawet w ekstremalnych sytuacjach pozostawał uprzejmy, lecz właściwie chciał powiedzieć: „Nie waż się tu pokazywać! Już dość przykrości sprawiłeś matce w swym życiu. Ostatnim człowiekiem, jakiego teraz potrzebuje, jest syn nieudacznik wiodący życie nie lepsze niż te typki, które na nią napadły i ją uprowadziły”.

– Chciałbym przynajmniej porozmawiać z nią przez telefon – rzekł Ryan.

– Tego pewnie nie mogę ci zabronić – odparł chłodno Bradley, po czym się pożegnał i odłożył słuchawkę, zanim Ryan zdołał cokolwiek powiedzieć.

Przez całą noc nie mógł zasnąć, i nawet teraz, kiedy malował na białe ściany *studia fotograficznego* Dana, w jego głowie kłębiło się od myśli. Poprzedniego wieczoru z początku poczuł oczywiście ulgę: Corinne wróciła, żywa. Potem jednak zrozumiał: jej porwania nie mógł zainicjować Damon. Grupa wciąż pijanych, naćpanych włóczęgów, mieszkająca gdzieś w głuszy Yorkshire, z całą pewnością nie należała do drużyny Damona. To nie byli ludzie, którymi się otaczał. Ryan słyszał pogłoski, że nikt, kto pracował dla Damona, nie mógł pić alkoholu. Narkotyki były oczywiście zabronione. Nawet jeśli Damon nimi handlował. To zupełnie inna para kaloszy.

Także związek ze sprawą Vanessy Willard wydawał się Ryanowi obecnie wykluczony. Jeśliby Vanessa rzeczywiście przeżyła i prowadziła swoją krucjatę zemsty, nasłababy na Corinne tych samych ludzi, którzy napadli na Debbie: bezdusznych przestępców, którzy dla pieniędzy podjęliby się każdego zlecenia. Nie zaś bandę półgłówków, którzy przez większość dnia pozostawali niepoczytalni. Wiele przemawiało za teorią Bradleya: Corinne znalazła się o niewłaściwej porze w niewłaściwym miejscu i stała się łatwą ofiarą. To okropne, lecz nie miało nic wspólnego z Ryanem. Czysty przypadek, że niedługo po napadzie na jego była dziewczynę zaatakowano jego matkę.

Przypadki się zdarzają. Pomimo często cytowanego stwierdzenia: *Nic się nie dzieje przypadkiem.*

Oczywiście, że przypadki istnieją.

Teraz jednak, dzień później, Ryan nie potrafił już dłużej nie dostrzegać niedorzeczności, jakie kryły się w tej historii. Co na przykład z dziewczyną, na którą czekała w umówionym miejscu jego matka? Wiele przemawiało za tym, że samochód rodziny celowo został unieruchomiony. To zaś świadczyło o dokładnym rozeznaniu okoliczności oraz perfekcyjnym planowaniu.

Kiedy nadeszła przerwa obiadowa, Ryan zszedł z drabiny i przez pomieszczenie punktu kserograficznego wyszedł na zewnątrz, by usiąść na chwilę w słońcu. Dzień był pogodny i ciepły. Cudowna odmiana po ciągłych opadach deszczu.

Dan powiódł za nim gniewnym wzrokiem. Nie znosił, gdy Ryan miał przerwę.

„A sam nic innego nie robi” – pomyślał Ryan.

Przeszedł kawałek ulicą, przysiadł na murku, rozpakował kanapkę przygotowaną mu, jak co dzień, przez Norę. Indyk, świeże liście sałaty, majonez... Robiła wysmienite kanapki. Ryan z ochotą uciekłby czasem od tej jej troskliwości, a jednak miło było pomyśleć, że nie musi się martwić o pewne sprawy. I to poczucie... że ktoś się o niego troszczy. Ostatnim razem czuł się tak w dzieciństwie, gdy Corinne przygotowywała dla niego kanapki do szkoły i napełniała butelkę sokiem malinowym.

Corinne! Spróbuj porozmawiać z nią przez telefon. Do diabła z Bradleyem, który najchętniej zabroniłby mu wszelkiego z nią kontaktu. Niedoczekanie!

Rankiem pożyczył od Nory komórkę, żeby być na bieżąco, gdyby pojawiły się wieści od Corinne. Nora swoim zwyczajem bez wahania oddała mu własny telefon.

– Oczywiście, że możesz wziąć. I spróbuj zadzwonić do matki. Myślę, że się ucieszy!

Wystukał najpierw numer komórki Corinne, nikt jednak nie odebrał.

Jej torebkę zarekwirowała policja, wraz z nią także telefon, pewnie go jeszcze nie zwrócili. Choć nie miał ochoty na rozmowę z Bradleyem, wybrał następnie numer Beecroftów. Bradley odebrał po drugim sygnale.

– Tak? – W jego głosie słycać było wyczerpanie, nie był jednak tak strasznie załęczniony, jak jeszcze w piątek.

– To ja, Ryan. Czy jest mama?

– Jest tutaj, ale nie sądzę, żeby to był najlepszy moment...

Ryan usłyszał w tle głos Corinne:

– Kto to?

– To Ryan – westchnął Bradley.

Corinne natychmiast pojawiła się przy aparacie.

– Ryan! Jak miło, że dzwonicz!

Ku jego własnemu przerażeniu do oczu napłynęły mu łzy. Tak dawno z nią nie rozmawiał. Nieomal ją utracił, nie mogąc jej przedtem nic powiedzieć. Cholera! Dorosły człowiek nie może siedzieć na ulicy w Pembroke Dock, z kanapką w jednej ręce, z komórką w drugiej, i beczeć jak jakiś smarkacz.

Pociągnął nosem.

– Cześć, mam. Wszystko w porządku?

„Co za głupie pytanie” – przemknęło mu chwilę później przez myśl.

Matka jednak odparła normalnym tonem:

– Tak. Na razie... wszystko okay. Tak się cieszę, że rozmawiamy! Bradley opowiadał mi, że natychmiast przyjechałeś do Sawdon, kiedy ja... kiedy się to zdarzyło. Tak mnie to wzruszyło, Ryan, naprawdę!

Również Corinne bliska była płaczu. Ryan odniósł wrażenie, jakby znalazł się w jednym z owych telewizyjnych show, w których ludzie spotykają się po latach rozłąki i padają sobie w ramiona wśród niethumionego płaczu – ku zadowoleniu wścibskiej publiczności. No cóż, tak źle chyba jeszcze nie jest. Ryan upewnił się tymczasem, że nikt go nie obserwuje.

– No więc, to było oczywiste – rzekł ochryłym głosem. – Naturalnie, że od razu przyjechałem!

– Bradley mówi, że masz bardzo miłą dziewczynę. Czarującą młodą kobietę. Pracuje jako rehabilitantka?

– Tak. – Ryan domyślił się, że Bradleyowi z trudem przyszło powiedzieć cokolwiek miłego o nim czy choćby o jego dziewczynie, a jednak się przemógł, gdyż Corinne wymagała teraz psychicznego wsparcia. On sam nie zaprzeczył jego słowom na temat Nory. Matka sprawiała wrażenie szczerze uradowanej – dlaczego miałby ją frustrować, wyjawiając, że Nora tak naprawdę nie jest jego dziewczyną?

– I masz nawet pracę! – ciągnęła Corinne. – W punkcie ksero, zgadza się?

Powiedziała to tak, jakby w jej oczach był to szczyt kariery, na jaki może się wspiąć mężczyzna. Taka jednak zawsze była. Pozytywnie do wszystkiego nastawiona, pragnąca uszczęśliwiać innych ludzi, pokazać im, że ich lubi. Szczególnie kiedy chodziło o jej jedyne go syna.

– Tak. To nie jest jakaś rewelacyjna posada, mamó, ale zawsze coś. Może uda mi się znaleźć coś lepszego.

Zastanawiał się, czy Bradley wspomniał o jego pobycie w więzieniu, lecz uznał to za raczej mało prawdopodobne. Dobro Corinne leżało mu na sercu, taka zaś wiadomość pewnie by ją wzburzyła.

– Mamó, mógłbym znowu przyjechać do ciebie w odwiedziny – powiedział. Jego słowa wszakże natychmiast wzbudziły w Corinne obawy, że naraziłby się przez to swemu pracodawcy.

– Nie, nie, Bradley dba o mnie. Musisz pracować i pokazać, że można na tobie polegać.

– Jasne. Mamó... – Musiał ją o to zapytać. Musiał mieć pewność. – Mamó, ci ludzie, którzy cię uprowadzili... Czy to prawda, co policja powiedziała Bradleyowi? Że to jacyś narkomani, którzy przypadkiem na ciebie natrafili i...

Tak, i co? Jaki w ogóle cel miało to porwanie?

Wszelkie nadzieje ostatnich godzin rozwiały się wobec wyjaśnień Corinne.

– Nie – odparła. – Nie, opowiedziałam dzisiaj o tym policji. Ci ludzie nie mają nic wspólnego z moim porwaniem. Oni mnie znaleźli, to

znaczy, znalazła mnie młoda kobieta należąca do tej grupy. Uratowała mi życie. Ci ludzie żyją jednak bardzo... samowolnie i pewnie już nieraz popadli w konflikt z prawem, stąd policja od razu założyła... A ja z początku nie mogłam zeznawać. Byłam zupełnie u kresu sił.

– No tak, ale... – Ryan był osłupiały. A jednak to przeczuwał. Że w całej tej układance istnieje jeszcze jeden nieznan kamik.

– Porwało mnie dwóch mężczyzn i porzuciło w lesie, w zupełnej głuszy – powiedziała Corinne. – Do dziś nie wiem, kim byli i czego chcieli. Więcej się nie pokazali.

– To znaczy...

– To znaczy, że brakuje jakiegokolwiek wyjaśnienia tego, co mnie spotkało – odparła Corinne. Potem zaczęła płakać. Ryan usłyszał, jak Bradley wyrwał jej z ręki słuchawkę i się rozłączył.

Siedział w słońcu na murku i wlepił wzrok w okno wystawowe pobliskiego sklepu, nie zwracając nawet uwagi na to, co w nim sprzedawano. Serce wściekle mu biło. Znalazł się dokładnie tam, gdzie tkwił przez ostatnie dni: musiał uznać, że obydwie przestępstwa, napad na Debbie oraz uprowadzenie jego matki, mają coś wspólnego z jego osobą. Co z kolei zwróciło jego myśli w stronę Damona i jego ludzi. Albo Vanessy Willard.

Znalazł się w o tyle lepszym położeniu, że Corinne została odnaleziona i była bezpieczna. To uwolniło go od konieczności szybkiego działania, udania się na policję, zadenuncjowania Damona albo też przyznania się w sprawie Vanessy.

Nie miał wszakże złudzeń: ktokolwiek za tym wszystkim stał, z pewnością znowu uderzy. I to wkrótce.

Ryan zyskał nieco czasu. Nic więcej.

Część IV. Maj

1

Był cudowny, ciepły, promienny majowy wieczór. Postanowiłam właśnie wracać do domu i usiąść na chwilę w niewielkim parku u stóp mojego mieszkania, gdy Alexia wetknęła głowę do mojego biura. *Biuro* to chyba nazbyt górnolotne określenie dla małego pokoiku, w którym pracowałam. Był niewiele większy od przedziału w pociągu, zastawiony przez biurko i regały, ledwie można się w nim było obrócić. Urządziłam go jednak całkiem przytulnie, na okiennym parapecie postawiłam nawet kwiaty, które z upodobaniem pielęgnowałam, dzięki czemu rozkwitały w żywych kolorach.

– Dobrze, że jeszcze jesteś, Jenno – powiedziała Alexia. Jej twarz przybrała ów zabiegany wyraz, który powoli stawał się jej wizytówką. Zauważyłam też, że schudła. Zawsze była szczupła, lecz chudła coraz bardziej.

– Chciałabym cię o coś prosić. Mogłabyś popracować w sobotę?

Uniosłam ramiona.

– Jasne. Wiesz przecież, że w weekendy nie mam innych zobowiązań. O co chodzi?

– Planuję tę wielką sesję fotograficzną – wyjaśniła Alexia. – Jak w ciągu lata zachować formę, by wzmocnić odporność z myślą o jesieni. Coś w tym stylu. Potrzebujemy naprawdę świetnych, wyrazistych zdjęć. Czytelnicy nie mogą pomyśleć: „O Boże, coś strasznego, przez całe lato mam się męczyć i zalewać potem, by w październiku nie dostać kataru”. Muszą być tak poruszeni, żeby z miejsca nabrać ochoty na wyprawę w jakąś cudowną idylliczną okolicę, by pojeździć na rowerze, uprawiać jogging albo po prostu pospacerować.

– Okay – odparłam.

– Żaden tam uniesiony palec wskazujący – doprecyzowała Alexia –

lecz czysta radość życia.

– Mam pojechać do Pembroke Coast National Park i poszukać plenerów – wywnioskowałam. Już kiedyś przydzieliła mi takie zlecenie, lecz plan spełził na niczym wobec wyprawy Matthew na parking, na którym zaginęła Vanessa.

– Może lepiej od razu zabrać fotografa? – zapytałam, lecz Alexia potrząsnęła głową.

– Nie. I tak już drogo wychodzi. Argilan chce co prawda, bym wreszcie zwiększyła sprzedaż, lecz za każdy dodatkowy wydatek, jaki kosztują mnie te starania, chce mi zaraz urwać głowę. Jeśli fotograf będzie najpierw długo szukał motywów, a modele, których potrzebujemy, będą w tym czasie stać bezczynnie, całość przeciągnie się na co najmniej dwa dni, za które będę musiała wszystkim zapłacić. Dlatego trzeba wszystko wcześniej ustalić, by potem możliwie sprawnie to przeprowadzić.

Uśmiechnęłam się krzywo.

– Co innymi słowy oznacza, że *moje* dodatkowe zajęcie w weekend nie będzie opłacone.

– Jenno, ja...

Wstałam, podeszłam do niej i położyłam jej dłoń na ramieniu.

– Nie mówiłam tego poważnie.

Dawniej wiedziałyby, że żartuję. Dawniej również by się uśmiechnęła i odpowiedziała dowcipną ripostą. Jednakże przez ostatnie miesiące zapomniała, co to uśmiech i zagubiła gdzieś tę swoją swobodę.

– Alexio, chętnie tam pojadę. Ale czy nie uważasz, że dobrze by ci zrobiło, gdybyś sama podjęła się tego zadania? Wybierz się z rodziną na wspaniałą wycieczkę. Wyjedźcie razem, urządźcie sobie piknik, zagrajcie w coś i poszukajcie przy okazji fotograficznych motywów. Przestałaś już wychodzić na świeże powietrze. Musisz mieć na uwadze także własne zdrowie.

Obrzuciła mnie niemal gniewnym spojrzeniem.

– Traktuję tę sprawę poważnie, Jenno. I nie pozwolę tej sesji spartaczyć przez to, że zabiorę czwórkę dzieci i ani przez sekundę nie

będę się mogła skupić na pracy. Myślisz, że dadzą mi choć chwilę spokoju?

– Będzie jeszcze Ken.

– Ale on tylko częściowo potrafi je utrzymać na wodzy. Nie, to nie ma sensu. No więc, Jenno, jeśli nie chcesz się tego podjąć, powiedz otwarcie, a wtedy...

Znów ta ostrość w jej głosie.

– Zrobię to – przerwałam jej. – Chodziło mi tylko o ciebie.

– Argilan wezwał mnie już na przyszły tydzień do Londynu – oznajmiła Alexia. Starła się powiedzieć to mimochodem, a jednak stres dawał o sobie znać. – Dlatego mam w redakcji sporo pracy na weekend i nie mogę przez całą sobotę włączyć się po okolicy. Nawet sama, bez rodziny.

– Przecież dopiero co byłaś w kwietniu w Londynie. Czego on znów od ciebie chce?

Wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Może zamierza mnie wyrzucić.

– Nie sądzę. O tym poinformowałby cię listownie albo mai lem. Takiej klasy, by poświęcić na to swój cenny czas, to on nie ma.

Chciałam ją uspokoić, lecz zaczęłam się martwić. Może i jej nie wyrzuci, ale znów podda ją presji. Zagrozi jej wymówieniem. Jeszcze mocniej weźmie ją w kluby.

– Alexio... – zaczęłam, lecz przerwała mi szorstko:

– Mam sporo pracy. Czyli sprawa załatwiona?

– Oczywiście. Obiecuję.

Była już prawie za progiem, gdy ponownie się odwróciła.

– Możesz wziąć nasz samochód. Okay?

– Okay. Dzięki.

Westchnąwszy, spakowałam moje rzeczy i ruszyłam do domu. Wieczór był jak z bajki, ciepły niby w samym środku lata. Na ulicach i placach panował ożywiony ruch. Nikt w taki wieczór nie miał ochoty siedzieć w domu. Kobiety nosiły lekkie sukienki i sandały na bosych stopach. Mężczyźni, tłumnie wychodzący z biur, podwijali rękawy

koszul, a marynarki zarzucali na ramiona. W powietrzu wyczuwało się radosną, beztroską atmosferę. Choć akurat po rozmowie z Alexią nie byłam odprężona, ujęła mnie roztaczająca się wokół wesołość. Snułam plany i byłam pewna, że są dobre i daleko mnie zaprowadzą.

W minionych tygodniach coraz częściej rozmyślałam nad podjęciem studiów. Doszłam do przekonania, że to właśnie chciałabym zrobić. Wybór padł na literaturę angielską i historię, miałam nadzieję, że potem będę mogła podjąć pracę w jakimś wydawnictwie. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, rozpocznę studia już na jesieni. Oznaczało to rzecz jasna ogromne zmiany w moim życiu: porzucę pracę w „Healthcare” i poszukam sobie innego zajęcia, które nie będzie mnie aż tak bardzo absorbować, zarazem jednak pozwoli mi się utrzymać. Może w weekendy albo wieczorami będę pracować jako kelnerka, dorywczo opiekować się dziećmi, wyprowadzać psy albo coś w tym rodzaju. Byłam przyzwyczajona do utrzymywania się z dorywczych zajęć. Z pewnością będę też musiała opuścić moje mieszkanie, gdyż nawet ta niewielka dziura na poddaszu w tej sytuacji okaże się dla mnie za droga. Muszę zapytać o miejsce w akademiku, nie wiedziałam jednak, czy przyjmują tam osoby w moim wieku. Możliwe, że trzeba się będzie rozejrzeć za jakimś mieszkaniem studenckim. Myśl o zakupie samochodu chwilowo porzuciłam. Na takie sprawy przyjdzie jeszcze czas. Gdy w końcu zdam egzamin i zdobędę porządny zawód.

Cieszyłam się na tę myśl. I byłam pełna ufności.

W Sainsbury's kupiłam opakowanie naleśników, które można w dwie minuty podgrzać w mikrofalówce, oraz dużą butelkę syropu. Już słyszałam zrzędzenie mojej matki: *Gotowe naleśniki zapakowane w plastikową torebkę! Jakby nie można było przygotować samemu ciasta i usmażyć na patelni! Poza tym co to za kolacja!*

Na szczęście już od dawna nie musiałam się liczyć z jej zdaniem.

Kiedy skręciłam w ulicę, przy której mieszkałam, moją uwagę przykuł samochód zaparkowany naprzeciwko mojego domu. Niebieska toyota corolla. W normalnych warunkach pewnie nawet bym go nie zauważyła, gdyż stało tu wiele samochodów i w ogóle nie zwracałam

na nie uwagi. Tym jednak razem przypomniałam sobie, że przed kilkoma dniami, o dziwo, widziałam ten sam pojazd stojący w tym samym miejscu. Także wówczas za kierownicą siedział mężczyzna i obserwował ulicę. Nie mogłam mu się dokładnie przyjrzeć, dzieliła nas odbijająca światło przednia szyba, odniosłam jednak wrażenie, że ani nie czytał, ani też nie gapił się zwyczajnie przed siebie, lecz miał wyraźnie baczenie na to, co się dzieje wokół. Przez chwilę poczułam irytację, lecz potem powiedziałam sobie, że ten facet przypuszczalnie czeka na kogoś, z kim jest umówiony. Albo obserwuje swoją dziewczynę, gdyż podejrzewa ją o niewierność. To pewnie jakiś dramat romantyczny w samym środku Swansea.

À propos romantyki: moja historia z Matthew (nie mogłam jej niestety określić mianem *romansu*, *związku* czy podobnym) ciągnęła się, jak dotychczas, dość uporczywie. Od owej raczej nieudanej niedzieli pod koniec kwietnia spotkaliśmy się dwukrotnie. Za pierwszym razem umówiliśmy się w przerwie obiadowej w barze z przekąskami, zjedliśmy tam, rozmawiając po przyjacielsku. W drugi weekend maja zaprosił mnie w sobotę do swojego ogrodu, pogoda bowiem dopisała, a ja kiedyś mu opowiedziałam, że przy letniej aurze ledwie wytrzymuję w moim mieszkaniu. Opalaliśmy się, czytaliśmy, znów podziwiałam ten cudowny ogród, kwiaty, połyskujący zielenią trawnik oraz niewielką kamienną misę z wodą dla ptaków, umieszczoną wśród mchów i paproci pod rozłożystymi konarami czereśni. Liście drzewa tańczyły niczym cienie ponad przejrzystą powierzchnią wody, lekko tylko pomarszczoną podmuchem wiatru. Wciąż nadlatywały tu ptaki, piły wodę albo brały kąpiel. Ta misa mnie zafascynowała. Uznałam ją za uroczą. Była taka piękna, emanowała spokojem. Niezwykle kojąco działał na mnie widok połyskująco czarnych kosów albo drobnych brzuchatych rudzików brodzących w wodzie. Nie chciałam o to pytać, byłam wszakże niemal pewna, że to Vanessa ją tutaj umieściła. To do niej podobne. Dom i ogród, i ta mała kamienna misa więcej o niej mówiły niż wszystkie owe fotografie, które oglądałam – opowiadały o tym, jaką była kobieta: wysmakowaną, mądrą, mocno powściągliwą,

lecz w bardzo świadomy sposób. Prowadziła zajęcia ze studentami. Z pewnością nie była osobą nieśmiałą. Lecz taką, która w sobie odnajdywała spokój. Która nie chępiła się czymkolwiek, co posiadała, było to bowiem dla niej czymś oczywistym. Przytulny, pełen ciepła dom. Ogród cicho zakwitający w promieniach słońca. Śliczny pies. A także atrakcyjny, odnoszący sukcesy mąż.

Świat Vanessy. Z pewnością nie spadł jej z nieba. Był owocem tego, kim była, co sobą reprezentowała, do czego doszła, co osiągnęła.

Tamtej soboty po raz pierwszy uświadomiłam sobie z całą wyrazistością, iż mój związek z Matthew pograżył się w stagnacji nie tylko dlatego, że on nie potrafił zapanować nad swoimi wspomnieniami i poczuciem winy. Ja także w równym stopniu byłam temu winna: z powodu moich kompleksów wobec Vanessy. Musiałam przyznać, jak bardzo czułam się gorsza. Bezustannie porównywałam się do kobiety, której nie znałam, którą jednak – być może niesłusznie – w moim własnym mniemaniu przewyższałam. Tymczasem, o jakkolwiek dziedzinę chodziło, porównanie wciąż wypadało na moją niekorzyść.

W głębi serca się wahałam, zwlekałam z pójściem śladem Vanessy. Nie czułam się bowiem wystarczająco dobra, by zająć jej miejsce u boku Matthew. Jak dotąd nie znałam się od tej strony. Przeżywałam okresy depresji, niejednym raz wyrzucałam sobie, że zbyt wiele rzeczy źle w moim życiu zaczęłam i przez to je zaprzepaściłam. A jednak nigdy jeszcze nie ośwładnęło mną prawdziwe, trwałe poczucie niższości wobec innej, konkretnej osoby. Mogło to mieć jednak związek z faktem, że jeszcze nigdy nie zetknęłam się z kimś, kto zaginął, lecz zarazem pozostawał wszechobecny. Problem tkwił w tym, że Vanessa nie była dla mnie człowiekiem, lecz raczej kimś w rodzaju ducha. Wszystko można było interpretować przez jej pryzmat. Jeśli sobie wmówiłam, że była kobietą fantastyczną, mądrą, piękną, niezależną, to ów obraz utrwał się we mnie i nie wykazywał żadnych pęknięć ani zarysowań. Człowiek z krwi i kości objawia również swe błędy i słabości, przydając w ten sposób właściwej poniekąd miary każdemu entuzjastycznemu kultowi skupiającemu się wokół jego postaci. Świetlista korona, jaką

uwiałam wokół głowy Vanessy Willard, wydawała się natomiast niewzruszona.

Blokowała i mnie, i Matthew.

Wchodząc po stromych schodach prowadzących do mojego mieszkania, zastanawiałam się, co o tej dziwnej sytuacji, w jakiej się znalazłam, powiedziałyby Garrett. O moim czysto platonicznym związku z mężczyzną, którego uważałam za nad wyraz pociągającego, a którego zaginiona bez śladu małżonka trzymała mnie w szachu, tak iż nie miałam odwagi się do niego zbliżyć. Garrett uznałby to za fascynujące i poddałby szczegółowej analizie zarówno mnie, jak i wszystkich pozostałych protagonistów tej sztuki. Uświadomiłam sobie nagle, że chętnie bym z nim o tym pomówiła, że tak naprawdę brakuje mi naszych wspólnych rozmów. Garrett potrafił być okropnie cyniczny, owszem, dość często odbywało się to moim kosztem, lecz poza tym był bardzo zainteresowany wszystkim, co się wokół niego działo, intensywnie w tym uczestniczył. Potrafilismy rozmawiać całymi nocami, nie mając nigdy wrażenia, że się nudzimy. Po naszym rozstaniu z przerażeniem zastanawiałam się czasem, jaką to zaburzoną, być może chorobliwą osobowość muszę posiadać, skoro przez osiem długich lat nie potrafiłam rzucić tego napuszonego waśniaka. Teraz zrozumiałam, że wcale nie musiałam być wobec siebie aż taka sroga. Garrett miał po prostu swoje dobre strony, one zaś przez długi czas równoważyły albo przynajmniej relatywizowały te złe. Kiedy to przestało działać, odeszłam.

Gdy znalazłam się w mieszkaniu, zadzwonił telefon. Zostawiłam siatkę z zakupami i w ostatniej chwili zdążyłam odebrać, zanim włączyła się automatyczna sekretarka.

– Tak? – W moim głosie słychać było zadyszkę. To przez te schody.

– Jenna? To ja, Matthew. Przeszkadzam?

– Nie. Absolutnie. Właśnie weszłam do mieszkania.

Staralam się nie sapać jak stara lokomotywa. Matthew opowiadał mi kiedyś, że Vanessa każdego ranka przebiegała dystans pięciu kilometrów. Schody prowadzące do mojego mieszkania z pewnością

pokonałaby w sprężystych podskokach, a oddech w ogóle by się jej nie zmienił. Ja zaś ledwie zapałam.

Kolejny wielki minus.

– Jak ci minął dzień? – zapytał. Jego głos brzmiał tak, jakby był rozkojarzony. Coś mu leżało na sercu, nie chciał jednak od tego zacząć, ot tak, bez ogródek.

– Zwyczajnie. W porządku. Nic szczególnego. A tobie?

– Niedobrze. Zadzwonili do mnie z domu opieki, w którym przebywa matka Vanessy. *Przebywała*. Zmarła wczoraj wieczorem.

– Matthew, bardzo mi przykro!

W jego głosie dało się wyczuć, że ta strata bardzo go dotknęła. Nie dlatego, że będzie mu brakować tej starej, pogrążonej w demencji kobiety, której nie widział od owej pamiętnej niedzieli w sierpniu 2009 roku. Była jednak matką Vanessy. Jej fragmentem, który także zniknął.

– Umarła we śnie – powiedział Matthew. – W każdym razie tak twierdzi kierowniczka i mam nadzieję, że to prawda.

– Z pewnością. Czemu mieliby cię okłamywać?

– Zajmą się wszelkimi formalnościami. Ma być pochowana w najbliższy piątek.

– Pojedziesz?

Westchnął głęboko.

– Muszę. To moja teściowa. I tak za mało się o nią troszczyłem, od kiedy... *W ogóle* się o nią nie troszczyłem, prawdę mówiąc. Muszę przynajmniej wziąć udział w jej pogrzebie.

– To nie będzie dla ciebie łatwe.

Oczywiście, że nie chodziło tu wyłącznie o pożegnanie. Podróż do Holyhead wzbudzi w Matthew mnóstwo wspomnień. To stamtąd wtedy wracali. Matka Vanessy była ostatnim człowiekiem, z którym spędzili razem czas, zanim nastąpiła katastrofa. Znowu przepętnią go obrazy i uczucia.

– Owszem – przyznał mi rację – to naprawdę nie będzie łatwe. – Zawahał się, po czym zapytał: – Czy nie pojechałabyś ze mną?

Tego się nie spodziewałam. Wciąż jeszcze nie byłam jego „oficjalną”

partnerką. Byłam jednak dobrą przyjaciółką. A przyjaciele wspierają się w trudnych sytuacjach. Z drugiej jednak strony...

– To może być kłopotliwe – poddałam pod rozwagę. – Z pewnością zjedzie się mnóstwo krewnych i będą... cóż, być może nie będą w stanie zrozumieć, że w twoim życiu pojawiła się inna kobieta, zanim los Vanessy został bezspornie wyjaśniony. Być może będą imputować...

– Niby co? Że mamy romans? Myślę, że nikogo to nie powinno obchodzić... – odparł Matthew. – Zresztą nie wierzę, żeby przybyło dużo osób. Vanessa nie ma rodzeństwa, z wujami i ciotkami, kuzynami i kuzynkami prawie w ogóle nie utrzymywała kontaktu. A jej matką nie interesował się nawet pies z kulawą nogą. Przypuszczam raczej, że będziemy stać przy grobie zupełnie sami.

Jeśli z nim nie pojedę, stanie przy nim całkiem sam. A na to w żadnym razie nie chciałam pozwolić. Zgodziłam się więc. Będę mu towarzyszyć.

Uzgodniliśmy, że wyjedziemy w czwartkowy wieczór po pracy. Pogrzeb miał się odbyć w piątek przed południem. A wieczorem wrócimy do Swansea. Musiałam wziąć wolny dzień, dotrzymam jednak danej Alexii obietnicy i w sobotę wyruszę na poszukiwanie plenerów do sesji zdjęciowej.

Zakończyliśmy rozmowę. Właśnie miałam zamiar rozpakować naleśniki, gdy ponownie zadzwonił telefon.

Pomyślałam, że Matthew o czymś zapomniał. Nie był to jednak Matthew.

Dzwonił Garrett.

Powiedział, że za mną tęskni i chce mnie zobaczyć. Przyjedzie do Swansea. Kiedy tylko będzie mi to na rękę.

2

Widział, jak kobieta wchodzi do domu. Kiedy przez dwie godziny nie ruszyła się stamtąd ani na krok, uznał, że tego wieczoru już tego nie zrobi. W oknach na poddaszu zapaliło się światło. Nie wiedział dokładnie, na którym piętrze mieszka, przyjął jednak, że może to być na poddaszu. Sprawiała wrażenie osoby młodej i niekonwencjonalnej. To byłoby w jej stylu.

Musiał wracać do domu. Miał przed sobą kawałek drogi do Pembroke Dock, w którymś momencie Nora zacznie się zastanawiać, gdzie on się podziewa. Powiedział jej, że chce odwiedzić Debbie, co wcale się Norze nie spodobało, nie próbowała go jednak powstrzymać. Ryan wyczuwał, iż Nora się obawia, że może go stracić dla innej kobiety, stara się jednak nie pogarszać jeszcze sytuacji swym zrządzeniem i gderaniem. Sam zdawał sobie sprawę, że z rozmaitych powodów nigdy nie będą już z Debbie parą, nie chciał jednak o tym z Norą rozmawiać.

Nie rozmawiał z nią o tak wielu sprawach. Przede wszystkim o kwestiach zasadniczych.

Nie zaznał spokoju, od kiedy dowiedział się od matki, że okoliczności jej uprowadzenia nadal pozostają niejasne i nikt nie wie, kto mógł być sprawcą. Wszystko było kwestią otwartą, przede wszystkim przygnębiająca możliwość, iż to Damon i jego ludzie nadal uprawiają swój nieczny proceder. A także jeszcze bardziej przytłaczający wariant, że wszystko to ma coś wspólnego z Vanessą Willard. Od tej myśli Ryan nie mógł się uwolnić. Znow zaczął śnić o Vanessie, jak każdej nocy przez pierwsze pół roku pobytu w więzieniu. Z odrazą rozmyślał o tamtym okresie, o dręczących go, prześladowujących wówczas obrazach. A także o powoli ogarniającym go uczuciu ulgi, gdy wrażenia

te słaby. Gdy traciły kontury i z wolna pozwalały się wyrugować.

A teraz znów to wszystko powracało. Miał przed oczami wyraźny, klarowny i ostro zarysowany obraz wydarzeń owego odległego w czasie weekendu, jakby doszło do nich ledwie wczoraj. Nocami budził się z przerażających snów, za dnia przyłapywał się na tym, że pogrąża się w dręczących, mrocznych spiralach myśli. Owe zmiany zauważył nawet Dan, jego szef, człowiek nieobdarzony jakąkolwiek wrażliwością.

– Hej, powiedz no, czy ty tu w ogóle jesteś? – zapytał któregoś dnia, obrzucając go przenikliwym spojrzeniem. – Co ci krąży po głowie? Jesteś totalnie nieobecny i masz dziwny wyraz twarzy!

– Porządnie wykonuję swoją pracę, prawda? Cała reszta nie powinna cię chyba obchodzić.

– Hej, nie bądź od razu taki arogant! Można chyba zapytać, nie? Ciesz się, że ktoś się tobą interesuje. Wyglądasz jak jakiś upiór, nie wiedziałeś? Błady, z zapadłymi oczami. Coś z tobą jest nie tak!

Jako że Dan był ostatnim człowiekiem, któremu Ryan byłby gotów się zwierzyć, po prostu milczał, aż w końcu Dan mruknął coś o *niewdzięczności* i zostawił go w spokoju. Problemy Ryana wprawdzie nie zniknęły, lecz zdjęto zeń presję, by o nich mówić.

Aż w końcu któregoś wieczoru to zrobił. Powiedział Norze, że wybiera się w odwiedziny do Debbie. Zamiast tego pojechał do Mumbles. Adres od tamtej niedzieli wyrył się w jego pamięci i pewnie w niej pozostanie aż do śmierci: adres podany mu przez przerażoną Vanessę Willard, by mógł się skontaktować z jej mężem i możliwie szybko doprowadzić do jej uwolnienia.

Mumbles. Znał nawet ulicę i numer domu. Nie wiedział tylko, czy Matthew Willard nadal tam mieszka.

Tuż przed skruceniem we właściwą ulicę poczuł mdłości. Zatrzymał samochód i wychylił się przez okno, wypluł jednak w trawę tylko trochę żółci, gdyż przez cały dzień niewiele zjadł. Przez chwilę posiedział w samochodzie, zastanawiając się, czy nie porzucić swego zamiaru. I co przez to osiągnie? Dowie się, czy Vanessa Willard żyje? Zakładając, że

rzeczywiście ujrzy ją spacerującą po ogrodzie – co potem? Nadal nie będzie wiedział, czy miała coś wspólnego z napadem na Debbie i Corinne. Jeśli jej nie zobaczy, wcale nie będzie to oznaczało, że ona nie żyje. A gdyby została wówczas uwolniona albo oswobodziła się własnymi siłami: czy wiadomość o tym już dawno by do niego nie dotarła? Cała historia bez wątpienia pojawiłaby się na pierwszych stronach gazet w całym kraju, nawet więźniowie nie byli aż tak odcięci od świata, by o tym nie usłyszeć. Chyba że Vanessa celowo tego nie rozgłosiła. Powróciła niepostrzeżenie do swego dawnego życia albo ukryła się gdzie indziej. Na stronach internetowych rozmaitych organizacji zajmujących się losem osób zaginionych nadal widniała jako poszukiwana, Ryan już to sprawdził. Mogła się ujawnić. Ale nie musiała.

W końcu ruszył dalej, był już tak blisko. Bez przeszkód znalazł dom, od razu zauważył na podjeździe czarne bmw. Bmw, które tak dobrze pamiętał. A zatem Willardowie nadal tu mieszkają. Przynajmniej Matthew, jej mąż.

Zatrzymał się naprzeciwko domu, usiłując zapanować nad fizycznymi symptomami reakcji na ekstremalny stres. Być może był to nawet początek ataku paniki. W ciągu kilku sekund jego ciało oblał pot. Nudności znów się nasiliły. W lusterku wstecznym zobaczył swoją twarz. Nabrała niezdrowej szarej barwy, skóra połyskiwała wilgocią.

Drżały mu ręce.

Było gorzej niż wówczas. Gorzej nawet niż w pierwszych godzinach po napadzie, a wtedy naprawdę źle się poczuł. Próbował głęboko oddychać.

Jeśli to Vanessa cię prześladowe, jakim sposobem zdołała się dowiedzieć, że ty za tym stoisz? I dlaczego po prostu cię nie zadenuncjuje? Bo kara więzienia wyda jej się niewystarczająca? Bo pragnie innej zemsty, straszniejszej, okrutniejszej niż więzienie? I jak ona to robi? Skąd zna przestępców, których zaangażowała? Jak ich opłaca? Czy to rozumowanie nie idzie za daleko?

Być może. Ale to nie jest wykluczone. Miała czas. Ponad dwa lata. By wszystko zaplanować i przystąpić do działania.

Na chwilę przymknął powieki, by skupić się na ćwiczeniach oddechowych – nauczył się ich podczas kursu tłumienia agresji, lecz wydały mu się przydatne także w tej sytuacji. Kiedy ponownie spojrzął w stronę domu, zobaczył go: Matthew Willarda. Człowieka, którego prawdopodobnie wtrącił w otchłań rozpacz. Nie miał wątpliwości, że to on. Choćby z powodu wielkiego, długowłosego owczarka kroczącego u jego boku. Vanessa wspomniała o psie. I znów Ryan uświadomił sobie, że miał wówczas więcej szczęścia niż rozumu: to zwierzę by go rozszarpało, gdyby przyłapało go na tym, jak ogłusza jego panią i wlecze do samochodu.

Obok Willarda szła też jakaś kobieta.

To nie była Vanessa.

Wcisnął się głębiej w fotel i wyteżył wzrok. Kobieta była niższa od Vanessy i wyraźnie młodsza. Poza tym zupełnie inny typ urody: długie, ciemnobrązowe włosy, ciemne, o ile mógł dojrzeć, oczy, do tego bardzo jasna cera. Kobieta miała około trzydziestki, wyglądała bardzo dobrze, ubierała się jednak zwyczajnie, na pewno nie nosiła równie drogich strojów co Vanessa. Zarówno bawełniane spodnie w kolorze khaki, jak i biały T-shirt najwyraźniej pochodziły z taniego sklepu. Na nogach miała białe tenisówki. Na prawym nadgarstku widniały liczne bransoletki z kolorowych szklanych paciorków. Emanowała nieposkromioną energią. W opinii Ryana nieszczególnie pasowała do dawnego Matthew Willarda. To skryty, zamknięty w sobie człowiek, tak mu się przynajmniej zdawało. W jego wyrazie twarzy widać było pewne skostnienie. Jakby przez cały czas był skupiony na tym, by żadne uczucia, myśli czy wrażenia nie przeniknęły na zewnątrz.

Czyżby pocieszał się towarzystwem nowej znajomej?

Nie sprawiali wrażenia pary zakochanych. Przeszli kawałek ulicą, po czym skręcili do niewielkiego parku przylegającego bezpośrednio do osiedla. Nie trzymali się za ręce.

Może to całkiem nowa znajomość? Albo po prostu dawna przyjaciółka? Należało wziąć pod uwagę również inne powiązania: być może to siostra Willarda. Jej obecność nie wykluczała faktu, że Vanessa

wróciła. Choć Ryan w to nie wierzył. W spojrzeniu Matthew wciąż wyraźnie czaił się cień koszmaru.

Zaczekał. Zaskakująco szybko wrócili ze spaceru. Wieczór był bardzo ciepły, Ryan zauważył, że długowłose pies biegł znacznie bardziej ociężale niż na początku. Widocznie spacer skrócono ze względu na psa. Cała trójka wsiadła do samochodu Willarda i odjechała. Ryan błyskawicznie zareagował, zawrócił i ruszył za nimi. W ten sposób dowiedział się, gdzie mieszka ciemnowłosa kobieta. Jeszcze kilka razy czatował przed jej domem, podobnie jak przed domem Willarda w Mumbles. Ustalił, że oboje wracają wieczorami z pracy, zaszywają się w swoich domach, ani później nie wychodzą, ani też nie przyjmują gości. Cokolwiek łączyło Willarda z młodą kobietą, nie tworzyli klasycznej pary. Zbyt rzadko się spotykali.

„Tak naprawdę nie posunąłem się naprzód ani o krok” – pomyślał Ryan.

Tego wieczoru zastanawiał się, czy nie powinien przestać obserwować Willarda i obcą kobietę. Łamać sobie głowę. Krążyć wokół Vanessy albo Damona, albo wokół obojga. Może powinien po prostu odczekać i zobaczyć, co się wydarzy. Choć to akurat będzie go kosztować sporo nerwów. Świadomość, że w ukryciu czai się wróg. Że w każdej chwili może uderzyć. Że brak najdrobniejszej choćby wskazówki, kiedy i gdzie to nastąpi.

Opuścił swoje miejsce obserwacyjne i ruszył z powrotem do Pembroke Dock. Rozmyślał o tym, jak by to było, gdyby jego życie toczyło się zupełnie normalnie. Gdyby był obywatelem o nieposzlakowanej opinii, który wraca z pracy do domu i zastanawia się wyłącznie nad tym, co zje na kolację i czy potem obejrzy telewizję. Zadawał sobie przede wszystkim pytanie, czy on kiedyś tego doświadczy: normalnego życia.

Nie, doszedł do wniosku, pewnie nigdy.

Najbardziej przerażająca była świadomość, że istotnie można tak bardzo pogрузić się w bagno, iż w którymś momencie nie sposób się już z niego wydostać. Od życia otrzymuje się mnóstwo możliwości, by

zacząć wszystko od nowa, lecz kiedyś się to kończy. Człowiek myśli sobie, że już zawsze tak będzie, lecz w pewnej chwili pojmuję, że przegapił swoją ostatnią szansę. Że od tej pory czeka go tylko jedno nieszczęście za drugim, i że nie sposób tego uniknąć.

W jego przypadku oznaczało to: któregoś dnia odezwie się Damon i zażąda zwrotu pieniędzy. On nie będzie w stanie ich oddać. Damon wyciągnie z tego konsekwencje, których Ryan pewnie nie przeżyje.

Albo to Vanessa będzie go nadal terroryzować – lub też *każe* terroryzować jego najbliższych wynajętym zbirom. Aż któregoś dnia zamierzy się do ostatecznego ciosu. Albo w bezpośrednich porachunkach z nim samym, albo poprzez wydanie go w ręce policji. Co oznaczałoby ponowne więzienie. Jak na ironię znów uchroniłoby go to przed Damonem, lecz to była jedyna zaleta tego scenariusza.

Sytuacja życiowa Ryana, przede wszystkim jego widoki na przyszłość, to istny koszmar. Pomyślał, że najlepiej byłoby uderzyć w najbliższy mur, wiedział jednak, że jest na to zbyt wielkim tchórzem. Bo istotnie był tchórzem. Jego tchórzostwo stanowiło jeden z głównych powodów, dla których znalazł się w ogóle w tej beznadziejnej sytuacji.

Dochodziło pół do jedenastej, gdy wrócił do Pembroke Dock. Paliły się uliczne latarnie, jedynie na zachodnim, kruczoczarnym nieboskłonie kładła się jeszcze jaśniejsza, szarawa poświata. O tej porze roku nocy nie skrywał nieprzenikniony mrok. Niedługo nadejdzie lato. Lecz Ryan nie potrafił się z tego cieszyć.

Zaparkował, wysiadł, zamknął samochód. W głębi ducha się zbroił. Zrobiło się już dość późno, Nora z pewnością się zamartwia. Spróbuje z nim porozmawiać. Zapytać, dlaczego jej unika, nie chce z nią spędzić wspólnego wieczoru. Dowiedzieć się, co się dzieje. Nie lubił tego. Chciał być sam. Nie miał ochoty z nikim rozmawiać.

Nagle, jak spod ziemi, wyrosli przy nim mężczyźni. Jeden z prawej, drugi z lewej strony. Nie usłyszał ich kroków, nie potrafiłby powiedzieć, skąd się wzięli.

– Ryan Lee? – zapytał jeden z nich.

Ryan zastanawiał się przez chwilę, czy to gliniarze. Wyglądali

jednak raczej na sutenerów. Co prawda nie byli jaskrawo ubrani ani obwieszani biżuterią, sprawiali jednak wrażenie brutalnych i zupełnie pozbawionych uczuć. Prawdziwe maszyny do zabijania. A takich policjantów Ryan jeszcze nie widział.

– Tak? – odparł pytaniem.

Jakaś ręka mocno się zacisnęła na jego ramieniu. Chwył nie był bolesny, a mimo to groźny. Był ostrzeżeniem, dawał wyraźnie do zrozumienia, by Ryan nawet nie myślał o ucieczce.

– Damon chce z tobą pogadać. Zabierzemy cię do niego.

A więc stało się.

Mieli go.

Ludzi pokroju Ryana Damon nie przyjmował w *swoim* biurze czy w *swoim* domu, nawet nie w budynku, który można by potem w jakikolwiek sposób powiązać z jego osobą. Ich pierwsze spotkanie przed wielu laty odbyło się na zapleczu pubu, drugie w hotelowym apartamencie. Ryan wiedział, że w takich przypadkach podejmowano wszelkie środki ostrożności, by nigdy nie dało się udowodnić obecności Damona w tych miejscach. Oficjalnie do żadnego z tych spotkań nie doszło. Gdyby składający mu wizytę gość nie przeżył, nikt by nie wiedział, że uprzednio przebywał on w danym miejscu. Jakimś sposobem, mimo śladów krwi, jakie za sobą zostawiał, Damon wciąż pozostawał nieuchwytny. Ryan głowił się nad zagadką, jak funkcjonuje ów system, wiedział jednak, że taka płotka jak on nigdy nie zdoła jej rozwikłać.

Siedział na tylnej kanapie limuzyny, jeden z mężczyzn usiadł obok niego, drugi za kierownicą. Przeszukali go, czy nie ma przy sobie broni, ale oczywiście nic nie znaleźli. Spodziewał się, że zawiążą mu przepaskę na oczach, tak się jednak nie stało. Widocznie uznano, że nie warto ukrywać przed nim drogi, którą podążali. Ryan nie znał okolic, przez które przejeżdżali po opuszczeniu Pembroke Dock. Oceniał, że to kierunek południowo-zachodni, nie był tego jednak absolutnie pewien. Minęli dwie zaspane wioski, później wydawało się, że zostawili za sobą wszelkie ludzkie sadyby. Po lewej i prawej stronie wąskiej szosy Ryan widział rozległe tereny, pola i łąki. Gdzieś tam tylko jakąś chłopską zagrodę.

Prawdopodobnie znajdowali się blisko morza.

Czekał, aż pojawią się u niego typowe objawy paniki. Daremnie. O dziwo, zachował spokój, choć miał świadomość, że mogą go pobić

albo nawet zastrzelić. Panował nad sobą. Oczywiście, że się bał. Jednakże strach pozostawał w nim gdzieś głęboko ukryty. Zbity w twardą grudę, która go powstrzymywała. Nie zdołał zawładnąć całym jego ciałem. To był ów rodzaj strachu, który Ryan dobrze znał. W swym życiu sprzed porwania Vanessy.

Skręcili z szosy i wjechali na podjazd prowadzący pomiędzy kilkoma rozkwitającymi drzewami. Podjazd kończył się na wysypanym żwirem placu przed okazałym domem. Proste mury, sprawiające jednak przytłaczające wrażenie za sprawą ich wielkości i masywności. Typowa rezydencja jakiegoś pomniejszego ziemianina. Z pewnością nie był to dom Damona. Prawdopodobnie łączyły go z właścicielem jakieś koneksje i od czasu do czasu z niego korzystał. Możliwe, że chodziło nawet o któregoś z polityków. Ryan tego nie wykluczał.

Wysiedli. Żwir zachrząścił pod stopami. Powietrze było przesycone morską wilgocią. Ryan domyślał się, że tuż za domem ciągną się klify. Może z nich właśnie go zrzucą. Roztrzaska się i osunie do wody, a kiedyś morze wyrzuci jego zwłoki na brzeg. Po ich odnalezieniu prawdopodobnie zostanie uznany za nieostrożnego wędrowca, który ześlizgnął się z brzegu. Tragiczna historia, lecz takie przypadki się zdarzają. Jego śmierć nie zainteresuje redakcji żadnej z gazet na tyle, by wspomnieć o niej w notatce prasowej.

Mężczyźni eskortowali go kilka stopni po schodach do drzwi wejściowych, które otwarli lekkim pchnięciem. Uderzyło ich chłodne, zastane powietrze. Kamienna klatka schodowa, posadzka w czarno-biały wzór. Na ścianach kilka dość kiczowatych pejzaży. Poroże jelenia. Skóra krokodyla, rozwieszona na boazerii przy schodach. Czerwone dywany na stopniach.

Oto kilka przelotnych obrazków, jakie Ryan zanotował w pamięci, nie zdając sobie tak naprawdę sprawy z tego, co właściwie ma przed oczami. Otwarto drzwi, strażnicy pchnęli go do środka. Rodzaj salonu, nieco przesadnie umeblowany, równie zatęchły i zakurzony.

Pośrodku pomieszczenia Damon, niemal zatopiony w masywnym skórzanym fotelu. Wstał i uśmiechnął się, jakby miał przed sobą starego

przyjaciela.

– Witaj, Ryanie, jak miło, że przyjechałeś!

Jakby Ryan dobrowolnie skorzystał z zaproszenia. Jakby nie został do tego zmuszony przez dwóch muskularnych typków.

– Witaj, Damonie – odparł Ryan przytłumionym głosem.

– Napijesz się czegoś? – zapytał Damon, wskazując na stojący obok sofy stolik, zastawiony mnóstwem butelek: rozmaite gatunki whisky, jeśli Ryan dobrze rozpoznał, liczne likiery i wódki.

– Nie, dziękuję.

Damon nadal się uśmiechał. Ryan znów był zaskoczony, jak niewinne wrażenie zrobił na nim ten człowiek, choć przecież sporo wiedział o wszelkich okropnościach, jakich dopuszczał się Damon i jego drużyny zabijaków. Jego zdziwienie było jednak autentyczne. Damon był raczej niskiego wzrostu, co najmniej o głowę niższy od Ryana, a przy tym tak szczupły, że wydawało się, jakby cierpiał na jakąś podstępna, powoli go wyniszczającą chorobę. Miał jasnorożową cerę, jasnoblękitne oczy i szarobrązowe włosy, ubrany był w szary lniany garnitur, pod nim nosił niebieską koszulę. Sprawiał zupełnie niepozorne wrażenie, ot, człowiek, którego naprawdę trudno zapamiętać. Gdyby Ryan nie wiedział, kogo ma przed sobą, obstawiałby księgowego, no może kierownika filii jakiegoś supermarketu.

Nigdy wszakże jednego z najbardziej niebezpiecznych bossów świata przestępczego Anglii, maczającego palce w tak wielu nielegalnych interesach, że można było dostać od tego zawrotów głowy.

– Usiądź, Ryanie – zaproponował Damon, wskazując na fotel.

Ryan usiadł z wahaniem. Zastanawiał się, gdzie się podzieli ci dwaj mężczyźni, którzy go tu przywieźli. Prawdopodobnie stali za drzwiami i czekali na nowe zadanie – jakiegokolwiek się ono okaże.

Damon także usiadł.

– Cóż, Ryanie, jak ci się wiedzie? Słyszałem, że siedziałeś w więzieniu.

– Tak.

– Głupia sprawa. Domyślałem się, że wcale nie chciałeś tak bardzo

pobić tego chłopaka, prawda?

– Oczywiście, że nie.

– No tak. Czasem sprawy po prostu wymykają się spod kontroli. A pobyt za kratkami to okropne przeżycie!

– Zgadza się – przytaknął Ryan. Chciał, żeby Damon wreszcie przeszedł do rzeczy. Z pewnością nie kazał go tu sprowadzić na pogaduszki.

– A od marca jesteś na wolności – ciągnął Damon – czyli już od dwóch miesięcy. Szczerze mówiąc, jestem nieco zawiedziony, że się do mnie nie zgłosiłeś. Myślałem, że jesteście jak dwójka starych przyjaciół.

Ryan nic nie odpowiedział. I cóż miałby odrzec na tak cyniczną uwagę?

– Bądź co bądź mamy sobie parę spraw do wyjaśnienia, prawda?

– Damon, ja... – wtrącił Ryan, lecz Damon ruchem ręki nakazał mu milczenie.

– Dwadzieścia tysięcy funtów. To musimy sobie wyjaśnić.

Ryan westchnął.

Damon wyciągnął z kieszeni marynarki kartkę papieru, rozłożył ją i udawał, że ją uważnie studiuje. Ryan był jednak przekonany, że doskonale wiedział, co na niej zanotowano.

– Hm. Widzę, że kiedyś *było* to dwadzieścia tysięcy. Tymczasem narosło mnóstwo odsetek. A ty nawet nie *zacząłeś* ich spłacać.

– Siedziałem w więzieniu. Jak miałbym...

– Tak, no pewnie, rozumiem. Tam akurat nie zgromadzisz fortuny. Z drugiej strony to oczywiście nie moja wina, że się tam znalazłeś. Nie możesz obwiniać innych o własne błędy, Ryanie!

– Nie.

Damon znów spojrzał w kartkę.

– No więc, jeśli się temu przyjrzeć... Sporo się przez ten czas uzbierało. Wcale niemało. Jest już... czekaj... tak, czterdzieści osiem tysięcy funtów. Dokładnie tyle mi jesteś winien. Czterdzieści osiem tysięcy!

Gdyby się nie znalazł w tak niebezpiecznym, w tak beznadziejnym

położeniu, Ryan pewnie uśmiechnąłby się ze znużeniem. Bardziej absurdalnej sytuacji próżno by szukać. Czterdzieści osiem tysięcy funtów. Których prawdopodobnie z każdym dniem, z każdą godziną, z każdą minutą przybywa.

Nigdy nie będzie w stanie ich spłacić. Damon oczywiście o tym wiedział.

– To... bardzo duża suma – odezwał się, by cokolwiek powiedzieć.

Damon skinął poważnie głową.

– Zgadza się. To dużo pieniędzy. Rozumiesz, że nie mogę ich tobie darować.

– Damon – odparł zdesperowany Ryan – ja tyle nie mam. Mam prawie puste konto. Pracowałem w więzieniu i trochę zarobiłem, ale większość z tego znów się rozeszła. Pracuję w punkcie ksero i *prawie nic* tam nie zarabiam. I nie mam co szukać innego zajęcia, wręcz przeciwnie, muszę się cieszyć, że w ogóle coś znalazłem. Kto zatrudni kogoś takiego jak ja?

– Hm – mruknął Damon. Przybrał zatroskaną minę. Ryan wiedział, że w żadnym razie nie jest szczerą. Damon był człowiekiem oziębłym, pozbawionym wszelkich uczuć. A przynajmniej wszelkiego współczucia. W sadystycznym traktowaniu innych z pewnością znajdował uciechę.

– Czy mogę ci zadać pytanie, Ryanie? – ciągnął Damon. – Mam nadzieję, że zrozumiesz, że muszę o to zapytać: Co mnie to u licha obchodzi? Jaką masz pracę, ile masz na koncie, jaka przyszłość cię czeka? To *twoje* życie. Sam je sobie dziergasz. Czy robisz to zręcznie, czy nie, czy byłeś zawsze sprytny, czy popełniłeś jakieś głupstwo – nie moja to rzecz cię osądzać. Nie ośmieliłbym się.

– Tak – odparł Ryan i przełknął sucho.

– Jak się umówimy co do zwrotu pieniędzy? – zapytał Damon. – Jak sądzisz, kiedy zdołasz je oddać?

Ryan ponownie przełknął. Poczul skurcz w gardle.

– Damon, nie mam tych pieniędzy – powiedział cicho. – Naprawdę. Na dobrą sprawę nie mam żadnych.

Damon pokręcił głową i przesadnym gestem przyłożył dłoń do ucha.

– Co proszę? Nie zrozumiałem cię.

– Nie mam pieniędzy – powtórzył Ryan głośniejszym głosem.

– Ale masz plan, jak je zdobyć, prawda? Nie wyobrażam sobie, żebyś pożyczył od kogoś czterdzieści osiem tysięcy funtów i nie zastanawiał się, jak je zwrócić!

Nie pożyczył aż tyle. Suma wzrosła wskutek doliczenia odsetek z lichwiarskiego procentu. Lecz Ryan nie odważył się tego powiedzieć.

– Mogę spłacać w ratach – zaproponował. – W niewielkich ratach. Bo niewiele zarabiam.

– Ile możesz mi oddawać co miesiąc?

– Ech... może po sto funtów?

– Sto funtów? Mówisz poważnie? Obaj będziemy sędziwymi pradziadkami, nim wreszcie odzyskam całą sumę wraz z narosłymi odsetkami. Jeśli w ogóle do tego dojdzie!

– Dwieście funtów – rzucił rozpaczliwie Ryan. – Ale wtedy będzie ze mną cholernie krucho.

– Dwieście funtów? To niczego nie zmieni. A co z narzeczoną, u której mieszkasz? Może cię wspomóc? Finansowo?

Ryan aż się wzdrygnął. W zasadzie się tego domyślał, lecz przeszedł go dreszcz, niczym elektryczny wstrząs, gdy Damon powiedział to tak spokojnie. *Narzeczoną, u której mieszkasz.* Wiedzieli o wszystkim. Znali Norę, wiedzieli, że u niej mieszka. Nora jako następna może się znaleźć na ich celowniku.

– To twoi ludzie napadli na Debbie? – wyrzucił z siebie. – I na moją matkę?

Damon spojrzał na niego.

– Ktoś napadł na twoją matkę? To straszne. Co się stało? I kim jest Debbie?

Ten człowiek rzeczywiście był pozbawiony jakichkolwiek skrupułów. Nie zdradził go ani jeden mięsień twarzy. Ryan nie potrafiłby powiedzieć, czy gra przed nim, czy nie. Wszystko było

możliwe. I to, że o niczym nie wiedział. I to, że pociągał za wszystkie sznurki.

– Debbie to moja przyjaciółka. Mieszkaliśmy razem przez kilka lat, potem się rozstaliśmy, ale pozostaliśmy przyjaciółmi. Mieszka w Swansea.

– Rozumiem. Dlaczego napadnięto na twoją matkę oraz twoją eks?

– Sam sobie zadaję to pytanie.

– Świat to złe miejsce – stwierdził Damon.

„Czego się spodziewałeś? – zastanawiał się Ryan. – Że zaśmieje ci się w twarz i mimochodem wyzna kilka przestępstw? Gwałt, uprowadzenie, pozbawienie wolności? W końcu nie jest idiotą. Albo nie ma z tym nic wspólnego, a wtedy jest mu zupełnie obojętne, co się przydarzyło osobom z twojego otoczenia. Albo też za tym stoi, a wówczas wystarczy mu, że to ty musisz się zadrećać własnymi lękami. Na niczym więcej mu nie zależy”.

– Chcę ci zwrócić twoje pieniądze – oznajmił Ryan – ale potrzebuję czasu. Nie zdołam ot tak, natychmiast, wytrzasnąć tak dużej sumy. Nikt, kogo znam, nie zdoła.

– Wiesz, Rynie, istnieje w życiu kilka reguł, których należy się trzymać, bo w przeciwnym razie robi się nieprzyjemnie – powiedział Damon, rozsiadając się wygodnie w fotelu. – Jedna z reguł mówi na przykład, że najlepiej nie robić długów, jeśli nie jest się w stanie ich spłacić w umówionym czasie. Żeby tak ciągle tylko brać i brać, i nie zastanawiać się nad tym, jak to potem doprowadzić do porządku – to po prostu nie działa. Sprawia, że wierzyciel staje się nieszczęśliwy, rozumiesz? Aż któregoś dnia nie jest już nieszczęśliwy, lecz porządnie poirytowany. A potem wściekły. I pojawia się prawdziwy problem.

– Tak – rzekł cicho Ryan.

Damon ponownie spojrzał na kartkę papieru.

– No więc, przemyślałem sprawę i odroczę ci termin spłaty – oświadczył. – Mamy dzisiaj poniedziałek 21 maja. Jestem wielkoduszny. Powiedzmy, w sobotę 30 czerwca oddasz mi pieniądze. Masz sześć tygodni. Uczciwa propozycja, musisz przyznać!

– Koniec czerwca? – zapytał przerażony Ryan. Damon równie dobrze mógłby powiedzieć: *pojutrze*.

– Koniec czerwca – potwierdził Damon. – Razem z należnymi do tego dnia odsetkami wyniesie to pięćdziesiąt tysięcy funtów. Ładna, okrągła sumka. Pięćdziesiąt tysięcy funtów 30 czerwca! To mi się podoba. Mówiłem ci już, że 30 czerwca mam urodziny?

– Nie – szepnął Ryan.

– A widzisz, to będzie dla mnie radosny dzień. Kiedy ty masz urodziny?

– Siód... siódmego września – zaskrzeczał Ryan. Nagle stracił panowanie nad barwą swego głosu.

– Siódmego września. I oczywiście chciałbyś dożyć najbliższych urodzin, zgadza się?

– Tak.

– Proszę? Nie dosłyszałem.

– Tak – powtórzył głośniej Ryan.

– Tak właśnie myślałem. Chciałbyś je radośnie uczcić razem ze swoją miłą nową przyjaciółką. Ładna zresztą z niej dziewczyna. I taka... jak by to powiedzieć? Solidna. Schludna, solidna dziewczyna. Taka, jakiej każda matka pragnie dla swego syna, nieprawdaż?

– To nie jest moja dziewczyna. Ani narzeczona – odparł Ryan. – Pisała do mnie do więzienia, a teraz się o mnie troszczy.

Może zdoła obronić Norę przed Damonem i jego ludźmi, wypierając się łączącego ich związku.

– Mniejsza o to – stwierdził Damon. – Byłoby szkoda, gdyby któremuś z was coś się przydarzyło. Ona jest jeszcze taka młoda. Ty wreszcie wyszedłeś z więzienia. Masz pracę. Próbujesz uczciwie zarabiać na życie, to dobrze. Hej, chłopcze, to chwila, w której możesz skierować swoje życie na właściwą ścieżkę. Możesz się jeszcze zmienić w porządnego faceta i zacząć prowadzić miłe, stateczne życie. I nie mów mi, że o tym nie marzysz! Tacy jak ty zawsze o tym marzą!

– Nie wiem, jak zdołam zgromadzić tak dużą sumę w tak krótkim czasie – odparł Ryan. – Naprawdę nie wiem, Damonie. Zrobię

wszystko, ale nie wiem, czy mi się to uda.

Damon obrzucił go wzrokiem. Ryan spojrział w jego absolutnie zimne oczy. Obojętność rozmówcy wywołała w nim dreszcz. Ponownie zrozumiał, co go przed trzema niemal laty skłoniło do powzięcia absurdałnego planu, by uprowadzić kobietę i spróbować szczęścia, szantażując jej męża. Później, w więzieniu, nie potrafił pojąć własnego postępowania, wciąż zadawał sobie pytanie, jak mógł być tak szalony, tak obłąkany, opuszczony przez wszelkie dobre duchy. Co się właściwie z nim stało?

Teraz jednak rozumiał. Znalazł się wówczas w identycznym położeniu jak obecnie. Pod ścianą, zupełnie bezradny. Przed sobą miał przeciwnika, który ani przez sekundę nie dawał mu nadziei, że być może zdoła wyjść z tego bez szwanku, co najwyżej najadłszy się strachu. Wręcz przeciwnie: jego przeciwnik był nad wyraz niebezpieczny i bezlitosny. Kto się z nim zadawał, mógł tylko przegrać. Ryan ani przez moment nie uległ złudzeniu, iż prowadzona w przyjacielskim tonie rozmowa z Damonem mogłaby mieć na celu cokolwiek innego niż groźbę, że zginie on, a może także Nora, jeśli do końca czerwca nie zwróci pieniędzy. Nawet nie było pewne, że nastąpi to szybko i bezboleśnie. Damon był znany ze swego upodobania do naznaczonej sadyzmem zemsty. Po 30 czerwca Ryan musi się liczyć z tym, że w każdej chwili, w biały dzień może zostać porwany i w jakimś odosobnionym miejscu poddany powolnym, śmiertelnym torturom. Nigdzie na świecie nie znajdzie miejsca, w którym mógłby się ukryć, przynajmniej nie na dłuższy czas.

Jeśli nie spłaci długu, będzie żył jak poszukiwany. Zawsze. Póki go nie złapią. A to będzie jedynie kwestią czasu.

– Każdy może zgromadzić pieniądze – powiedział Damon. – Zawsze istnieją sposoby. W przeciwnym razie jak miałyby się to co dzień udawać tylu ludziom? Wymyśl coś, Ryane. Nie jesteś głupcem, wiem o tym. A stawka jest wysoka!

Nie musiał tego podkreślać. Ryan wiedział, co leżało na szali: jego życie. Ni mniej, ni więcej.

Damon podniósł się z miejsca, dając do zrozumienia, że rozmowa skończona. Podał Ryanowi rękę.

– Powodzenia, Ryane. Miło było znów z tobą pogadać. Przyjaciele nie powinni na zbyt długi czas tracić się z oczu.

Ryan zdobył się na uśmiech. Poczuł, że nie jest w stanie zapanować nad drżeniem kącików własnych ust.

– Do widzenia, Damonie. Będziemy...

– ...zobaczymy się najpóźniej 30 czerwca – dokończył Damon. – Cieszę się.

– Jak mam się skontaktować?

Damon szeroko się uśmiechnął.

– Nie martw się. I nie kłopot. Zgłosimy się do ciebie. Obiecuję!

– W... w porządku.

Bądź co bądź nie zginie dziś wieczorem. Nie zostanie zrzucony z klifu. Nie zaleją mu nóg cementem, by potem wrzucić do najbliższego basenu portowego. Nie wykopią w ogrodzie dołu, w którym go żywcem, w pełni przytomnego zasypią ziemią. Krążyły pogłoski, że Damon postąpił tak z pewnym człowiekiem, który był mu winien pieniądze. Tego rodzaju śmierci Ryan wolał sobie nawet nie wyobrażać.

Obaj mężczyźni, którzy zabrali go sprzed domu Nory, weszli do pokoju. Być może podsłuchiwali na zewnątrz, być może istniało jakieś tajne połączenie między nimi a Damonem. Bez słowa zabrali Ryana i wyprowadzili go na zewnątrz.

Ryan spojrzał przelotnie za siebie.

Damon stał pośrodku pokoju i uśmiechał się. Uniósł nawet rękę i pomachał.

Pożegnanie przyjaciół.

Już po raz drugi tego wieczoru Ryan miał ochotę wymiotować.

Pogrzeb Lauren French, matki Vanessy, odbył się w piątek 25 maja. Nasz pierwotny plan wyjazdu do Holyhead już w czwartek wieczorem, by w piątek zanadto się nie śpieszyć, musieliśmy zarzucić w czwartkowe popołudnie. Matthew zatelefonował do mnie do redakcji z wyjaśnieniem, że wypadła mu kolacja biznesowa z ważnym klientem i nie może jej, niestety, odwołać.

– Zdążymy, nawet jeśli wyjedziemy w piątek – zapewnił. – Czy nie sprawi ci kłopotu, jeśli przyjadę po ciebie już o siódmej rano i od razu wyruszymy w drogę?

Co miałam powiedzieć? Zgodziłam się, choć odniosłam wrażenie, że Matthew robi właśnie unik. Wierzyłam mu, że ma spotkanie z klientem, i to przy kolacji, lecz z jakiegoś powodu byłam przekonana, że bez problemu mógłby powierzyć tę sprawę któremuś ze współpracowników i że z początku taki właśnie miał zamiar. Jego głos świadczył o kiepskim nastroju, uświadomiłam sobie, iż ta podróż stanowiła dlań spore obciążenie, tym większe, im bliższy stawał się termin wyjazdu. Najchętniej w ogóle by nie pojechał, nie mógł jednak tego pogodzić z własnym sumieniem. Zbroiłam się wewnętrznie. Niełatwo będzie przetrwać ten dzień.

Po telefonie od Matthew postanowiłam wykorzystać przerwę obiadową, by kupić sobie w mieście sukienkę. Z początku miałam włożyć mój czarny żakiet ze spodniami, który od lat wiernie mi służył przy wszelkich szczególnych okazjach. Jednakże po niezwykle ciepłych tygodniach w czwartek zrobiło się gorąco, a prognoza pogody wieściła „wymarzony weekend” z temperaturą do trzydziestu stopni. W żakiecie mogłabym się rozpląnąć. Znalazłam dość szykowną czarną lnianą sukienkę etui bez rękawów, która wydała mi się odpowiednia, choć za

droga, przez co boleśnie naruszyła moje oszczędności. Kiedy wieczorem w domu przymierzyłam ją ponownie, uświadomiłam sobie, że jest zbyt krótka jak na pogrzeb i do tego łatwo się mnie. Nie wypadało też chyba pokazać się z odkrytymi ramionami.

Nieważne, za późno. Prócz księdza i tak nikogo pewnie nie spotkamy.

Przy pożegnaniu Alexia zaklinała mnie, żebym nie zapomniała o moim sobotnim planie. Uzgodniłyśmy, że nazajutrz przyjadę do niej autobusem i wezmę jej samochód. Dzień jak zwykle spędzi w redakcji, pojedzie albo na rowerze, albo małym motocyklem Kena.

– Oczywiście, że nie zapomnę – zapewniłam. – W sobotę będę na miejscu. Wracamy z Matthew w piątek wieczorem. Nie martw się!

– Tym się najmniej martwię – mruknęła Alexia. Miałam nadzieję, że nie uznała mojej uwagi za cyniczną: bądź co bądź żyła praktycznie wyłącznie troskami.

W każdym razie byłam zdecydowana nie pogarszać dodatkowo jej położenia. Wyszukam dla niej cudowne plenery do planowanego reportażu i zrobię wszystko, by zadowolić tego wstrętnego drania z Londynu – choć od dawna miałam świadomość, że na nic się to zda. Za wszelką cenę chciał Alexię odstrzelić. Trzymał ją tylko w niepewności.

Uroczystości pogrzebowe oraz poprzedzające je godziny jeszcze przez długi czas tkwiły w mojej pamięci jako nad wyraz dziwaczne wydarzenia. Osobliwe, wprowadzające w konfuzję, niemal groteskowe. Matthew przyjechał po mnie rankiem o umówionej porze. Maxa oddał pod opiekę swojej sprzątaczkii, informacja ta jednak to były jedyne słowa, jakie raczył do mnie skierować, nim dotarliśmy do Holyhead. Poza tym milczał zawzięcie. Przynajmniej nie skomentował mojej przykrótkiej sukienki, prawdopodobnie w ogóle nie zwrócił na nią uwagi. Kilkakrotnie spjrzałam na niego z ukosa i dostrzegłam, jak bardzo był spięty, przez cały czas miał zaciśnięte wargi.

Odważyłam się go zagadnąć.

– Jak tam wczorajszy wieczór z klientem? – zapytałam. – Jesteś zadowolony?

– Tak – uciął krótko. To wszystko.

Miałam mnóstwo czasu na rozmyślanie. Wróciłam do rozmowy telefonicznej z Garrettem z początku tygodnia. Poczułam zakłopotanie, mogąc z nim znów po tak długim czasie porozmawiać. To zupełnie coś innego niż słuchanie jego głosu nagranego na automatyczną sekretarkę. Garrett był szarmancki, zaciekawiony i współczujący – taki, jaki potrafił być, gdy chciał pozyskać sobie sympatię innego człowieka. Z biegiem lat zbyt często, niestety, doświadczyłam sytuacji, w których szybko tracił te cechy, skoro tylko osiągnął swój cel. Wylałam całe hektolitry łez z powodu jego obojętności, cynizmu, odrzucenia, przysięgałam sobie, że nigdy więcej nie dam się nabrać na te jego dobre maniery. Mimo to podczas telefonicznej rozmowy zauważyłam, jak bardzo wciąż potrafił mnie urzekać. Chciał się dowiedzieć, jak się *toczy moje życie*. Opowiedziałam co nieco o pracy w „Healthcare”, a w końcu napomknęłam o Matthew.

– Aha. To twój nowy przyjaciel?

Garrett zawsze twierdził, że uczucia w rodzaju zazdrości są mu zupełnie obce, gdyż wydają się dlań „o kilka numerów za małe”. Odniosłam jednak wrażenie, że w jego głosie pobrzmiewała jej cicha nuta.

Dobrze mu tak.

Mimo wszystko przyznałam uczciwie, że pojawiły się pewne problemy. Opowiedziałam o Vanessie, o tym, jak bardzo jej postać nadal kładzie się cieniem na Matthew i tym samym na naszym rodzącym się związku. Garrett był zaintrygowany. Zасыpywał mnie pytaniami, gdyż chciał się wszystkiego o niej dowiedzieć. Byłam przekonana, że po naszej rozmowie przeszukał także Internet. I znów odżyły we mnie dawne uczucia. Z takim Garrettem wspañiale się przebywało.

W końcu nawiązał do moich urodzin. Obchodziłam je 12 czerwca, w tym roku przypadają we wtorek, a nie był to wymarzony dzień na

odwiedziny. To jednak Garretta wcale nie zmartwiło.

– Wezmę wolne. Mogłbym do ciebie przyjechać. Masz już jakieś plany? – zapytał.

Było to istotnie dobre pytanie. Oczywiście mogłabym się umówić z Matthew, to jednak nie było żadne rozwiązanie. Tak bardzo poddawał się wahaniom nastroju, że nie można było na nim polegać. A Alexia? Pewnie będzie pracować do późna, po czym być może wypije ze mną drinka i spróbuje przy tym zwalczyć ciężące jej widmo załamania nerwowego. Słowem, nie były to budujące perspektywy; z dużą dozą prawdopodobieństwa dało się przewidzieć, że wieczór urodzinowy spędzę samiuteńka w moim mieszkaniu na poddaszu, gapiąc się smutnym wzrokiem przez skośne okna w niebo. W tej sytuacji będący w doskonałym nastroju Garrett, który najwyraźniej wychodził z siebie, by znów zaskarbić sobie moje względy, nie był wcale taką złą alternatywą.

– Zastanowię się – powiedziałam w końcu. – To nie takie proste, wiesz przecież.

– Jasne – odparł łagodnym głosem, na dźwięk którego po plecach przeszedł mi dreszcz – doskonale to rozumiem.

Gawędziliśmy jeszcze przez chwilę. Opowiedziałam o planowanym fotoreportażu, w związku z którym w weekend miałam się udać na poszukiwanie plenerów starym autem rodziny Reece'ów, gdyż własne sprzedawałam ze względu na koszty utrzymania. Garrett pokpiwał z kiepskiego wynagrodzenia, jakie widocznie otrzymywałam w „Healthcare”, po czym zakończyliśmy rozmowę, życząc sobie nawzajem dobrej nocy. Nie czułam się po niej dobrze. Miałam wrażenie, że podałam Garrettowi mały palec. Znałam go: zrobi teraz wszystko, by dostać całą rękę. Co najmniej.

Do Holyhead przybyliśmy punktualnie, zabłądziliśmy jednak, szukając cmentarza, parokrotnie zawędrowaliśmy aż do portu, gdzie właśnie odprawiano jeden z licznych promów kursujących codziennie do Dublina. W końcu dotarliśmy na miejsce ze zszarganymi nerwami, ledwie dwie minuty przed oficjalnym początkiem uroczystości

żałobnych.

Widok licznych zaparkowanych samochodów z początku mnie zaskoczył, by po chwili wpędzić w przerażenie. Zobaczyłam, że przed kaplicą zebrało się około trzydziestu osób.

Spojrzałam na Matthew.

– A mówiłeś, że nikt się nie zjawi! Kim są ci ludzie?

Matthew sprawiał wrażenie jeszcze bardziej spiętego niż do tej pory.

– To rzeczywiście dziwne – odparł.

Wysiadł, zabrał z tylnego siedzenia czarną marynarkę i ją włożył. Ja również wysiadłam i stwierdziłam, że podróż samochodem nie przysłużyła się mojej sukience. Zamieniła się ostatecznie w setkę zmiętych fałdów, nieprzyzwoicie krótka – stała się jeszcze krótsza. Uznałam, że jestem niestosownie ubrana, a wyglądało na to, że muszę stawić czoła całemu zastępowi krewnych zmarłej Lauren French, a tym samym zaginionej Vanessy Willard. Jako nowa kobieta u boku Matthew, takie bowiem jednoznacznie sprawialiśmy wrażenie.

Skąd on ją wytrzasnął? – będą szeptać między sobą. – Co za upadek! Pamiętacie, jaka elegancka była zawsze Vanessa? Jakie miała wyczucie stylu? A teraz pokazuje się z tą młodką, która nawet nie wie, jak się należy ubierać. Gdzie on ma oczy?

Najchętniej salwowałabym się ucieczką, to jednak nie wchodziło w grę. Ruszyłam zatem u boku Matthew w kierunku grupy żałobników, krokiem tak dostojnym, na jaki tylko potrafiłam się zdobyć. Miałam cichą nadzieję, że może ci ludzie przybyli na jakiś inny pogrzeb, może właśnie kogoś pochowano, a rodzina jeszcze się nie rozeszła. Albo może pomyliliśmy czas i miejsce. Kiedy jednak podeszliśmy bliżej, wszystkie rozmowy ucichły, wszystkie głowy zwróciły się w naszą stronę. Ciekawość i chłód, jakie nas przywitały, natychmiast mi uświadomiły, że nie mam co liczyć na żaden cud: oczywiście, że to nasza grupa. A my należymy do niej.

Od zgromadzonych odłączyła się pięćdziesięcioletnia niemal kobieta i podeszła do nas. Miała na sobie perfekcyjnie dopasowany do okazji czarny kostium, dobrze ułożoną fryzurę, użyła ładnej szminki. Jej ust

nie wykrzywił nawet cię uśmiechu.

– Ach, Matthew – powiedziała – a już myśleliśmy, że nie przyjedziesz.

– Witaj, Susan – odparł Matthew. – Przykro mi, ledwie zdążyliśmy. Ale wcale nie tak blisko stąd do Swansea.

Susan skinęła głową w taki sposób, jakby chciała powiedzieć: *To trzeba było wcześniej wyjechać!* Zwróciła się ku mnie, przez krótką chwilę taksowała moją niestosowną garderobę, unosząc przy tym lekko brwi.

– Susan, to Jenna Robinson – przedstawił nas Matthew. – Jenna, to Susan Collins. Siostrzenica Lauren.

– I kuzynka Vanessy – dodała niepotrzebnie Susan. Było oczywiste, że chciała jedynie przywołać to imię i przypomnieć mi, że istniała niejaka Mrs Willard – nawet jeśli tymczasem zaginęła.

– Miło mi – przywitałam się, odnosząc przy tym wrażenie, że powiedziałam coś niewłaściwego. Prawdopodobnie tego dnia, w tym otoczeniu mogłam robić wyłącznie rzeczy niewłaściwe. Niewłaściwe było choćby to, że przyjechałam tu razem z Matthew.

Przywitaliśmy się z pozostałymi gośćmi. Okazało się, że również Matthew niewielu spośród nich znał albo co najwyżej mgliście ich sobie przypominał z krótkich, odległych już w czasie spotkań przy jakichś rodzinnych okazjach. Susan wypełniała jednak swe obowiązki z wielkim taktem, wyjaśniając przy każdej z osób łączące ją ze zmarłą koneksje. Stało się jasne, że pojawili się nawet najdalsi kuzyni, przyjechały nawet przyszywane ciotki, by towarzyszyć dobrej Lauren French w jej ostatniej drodze, co dziwiło tym bardziej, zważywszy, że wedle słów Matthew nikt z nich nie odwiedził starej kobiety podczas jej pobytu w domu opieki.

– Nie miałem pojęcia – szepnął do mnie Matthew, gdy wchodziliśmy do kaplicy, w której przed ołtarzem ustawiono na katafalku przystrojoną kwiatami ciemnobrązową trumnę. – Naprawdę! Ich wszystkich mało co obchodziła Lauren! Nie rozumiem, czemu akurat teraz się zjawili!

Ja jednak rozumiałam. I czułam złość, że sobie tego wcześniej nie

uświadomiłam. Przybyli oczywiście ze względu na Matthew. Jak u większości ludzi w naszym społeczeństwie, ich dzień powszedni składał się głównie z przewidywalnych zdarzeń i wciąż tych samych czynności. Nuda i przesyt to śmiertelni wrogowie numer jeden. Zniknięcie Vanessy oraz wszelkie domysły i plotki, jakie wokół tej sprawy narosły, tchnęły cudowny powiew świeżości w monotonię ich codzienności. Vanessa była jedną z nich, lecz nie aż tak silnie z nimi związana, by ją opłakiwać albo załamywać ręce z powodu niepewności jej losu. Można było za to spekulować, zgadywać, wysuwać odważne teorie, bawić się w domoroślých detektywów, snuć przerażające scenariusze, odczuwać autentyczny strach... i co tam jeszcze. Nie trzeba było dużej wyobraźni, by się domyślić, że sam Matthew Willard odgrywał w ich rozważaniach niebagatelną rolę. Mąż, który jako ostatni widział Vanesę. Który pojechał z nią na odludne pustkowie Pembrokeshire Coast National Park i wrócił sam, bez niej. Owszem, policja z pewnością go sprawdziła i widocznie niczego nie znalazła, no cóż, przynajmniej niczego *nie zdołała mu udowodnić*, lecz w dziewięciu takich przypadkach na dziesięć to właśnie mąż ma coś na sumieniu, wie o tym każdy, kto choć czasem zagląda do gazet. Nawet jeśli był niewinny, pozostawał ciekawą postacią. Jak sobie poradził z katastrofą, która tak niespodziewanie wtargnęła w jego życie? Jak radzi sobie z tym dzisiaj? Kto stanie naprzeciwko nas? Człowiek załamany? Postać tragiczna? Czy zmienił się w pomyleńca albo w alkoholika? Stracił pracę? Czy wybuchał płaczem, gdy zagadywano go o Vanesę? Mnóstwo pytań. I nikt nie chciał, by go ominęły odpowiedzi. To dlatego zjechali się tutaj i udawali smutnych z powodu śmierci Lauren. W rzeczywistości wykręcali sobie głowy, byleby tylko nie przegapić najdrobniejszego gestu, najmniejszego poruszenia czy choćby pojedynczego słowa wypowiedzianego przez Matthew.

A my, trzeba to przyznać, nie zawiedliśmy ich. Czy tego się spodziewali? Oto prawy, uczciwy Matthew w dobrze skrojonym czarnym garniturze, nadal odnoszący sukcesy w pracy, z pewnością bardziej poważny i powściągliwy niż dawniej, lecz najwyraźniej w pełni

zdolny do funkcjonowania w życiu, z *nową kobietą u swego boku!* Kobieta dziesięć lat młodszą, noszącą zbyt krótką sukienkę. Kobieta, która nie dorasta Vanessie do pięt, choć jest dość ładna. Kobieta tuż po trzydziestce, prawdopodobnie świetną w łóżku. Czułam, że tak właśnie sobie myśleli. Byli oburzeni. Pogardzali mną. Trochę także Matthew, ale mną znacznie bardziej. Byłam zdziwiona. On zaś facetem, który nie zdołał mi się oprzeć.

Pragnęłam znaleźć się na drugim krańcu świata.

Po ceremonii pogrzebowej, która przynajmniej przebiegła wedle przyjętych rytuałów, co dało nam chwilę wytchnienia, był jeszcze poczęstunek w niewielkim zajeździe w pobliżu cmentarza. Mimo godzin południowych oraz narastającego z każdą minutą upału serwowano spore ilości alkoholu, co rozluźniło, w złym tego słowa znaczeniu, całe towarzystwo. Zauważyłam, że Matthew niezłomnie pozostał przy wodzie mineralnej. Dla ukojenia nerwów pozwoliłam sobie na kieliszek szampana, popijałam jednak niewielkimi łykami i byłam zdecydowana na tym poprzestać.

Bądź ostrożna, Jenno. Nagromadziło się tu mnóstwo potencjału na solidny skandal, i to nie ty będziesz osobą, która go wywoła. Nie dasz się sprowokować.

Podeszła do mnie Susan. Widać było, że mocno się poci w swoim kostiumie. Myśl ta napełniła mnie złośliwą satysfakcją. W mojej niestosownej sukience było mi przynajmniej przyjemnie chłodno.

– A więc to pani jest nową przyjaciółką Matthew? – zapytała. Nadal się nie uśmiechała. Może w ogóle nie wiedziała, jak się to robi.

– Jestem tylko jego *znajomą* – podkreśliłam.

– Bądź co bądź jest mu pani na tyle bliska, że zabrał panią na tak intymną rodzinną uroczystość – oznajmiła Susan. – Musi pani wiedzieć, że on i Lauren bardzo się lubili. Zanim Lauren popadła w demencję i nikogo już nie poznawała, była Matthew zachwycona. Wymarzony zięć. Ich małżeństwo było jak z bajki. Matthew i Vanessy. Taka ładna para. I taka szczęśliwa.

Jej słowa były niczym pchnięcia nożem, takimi też miały być w zamyśle. Panowałam jednak nad sobą.

– Tak. Często o tym słyszałam.

– Nie znała pani Vanessy?

– Nie. Matthew znam dopiero od marca tego roku.

Brwi Susan znów poszybowały w górę.

– W takim razie nie marnowaliście czasu!

Nagle zupełnie straciłam ochotę, by wciąż zaprzeczać, że coś nas łączy. Niby czemu? *Coś* nas łączyło. Mimo wszelkich trudności, z jakimi musieliśmy się borykać, podczas uroczystości żałobnych nie staliśmy dziś obok siebie *bez powodu*. Matthew poprosił mnie, bym mu towarzyszyła, ponieważ odgrywałam w jego życiu pewną rolę, byłam dla niego ważną postacią, a nie tylko jakąś przygodą albo, przez krótki czas, łóżkowym kociakiem. Nie, Bóg mi świadkiem, że tak nie można było powiedzieć!

– Istotnie – przytaknęłam – wszystko odbyło się dość szybko.

– Czy on właściwie szuka jeszcze Vanessy? – dopytywała się Susan.

– Pamiętam, że z początku był owładnięty myślą o wyjaśnieniu tej sprawy. Dość często występował nawet w programach telewizyjnych, podejmujących temat osób zaginionych. Był w stowarzyszeniu założonym przez krewnych ludzi, którzy zniknęli bez śladu. Ale od pewnego czasu wokół niego zrobiło się cicho. A tym samym wokół Vanessy.

Zabrzmiało to jak wyrzut.

Nie miałam ochoty dłużej rozmawiać z Susan, lecz jakimś sposobem musiałam to przetrzymać, a odmowne milczenie nie było chyba po temu właściwą metodą.

– Nie może jej szukać w nieskończoność – odparłam. – On musi w końcu zacząć także żyć.

Teraz rzeczywiście ściągnęła nieznacznie kąciki ust, lecz efektem tego wcale nie był uśmiech. Raczej emocja sytuująca się gdzieś pomiędzy drwiną a pogardą.

– No cóż, widać wyraźnie, że znów zwrócił się w stronę życia – zauważyła uszczypliwie. Jej wzrok ponownie ześlizgnął się ku obrębowi mojej pomiętej sukienki, biegnącemu o wiele za wysoko

powyżej kolan. Musiałam nad sobą zapanować, by odruchowo nie wygładzić jej dłonią i tym samym nie wydłużyć o jeden czy dwa centymetry. Nagle zrozumiałam, że wszystko potoczyłoby się lepiej, gdybym tylko włożyła mój prosty kostium.

– Ja... – chciałam odpowiedzieć, lecz w tej właśnie chwili ktoś odwrócił moją uwagę. Jakiś mężczyzna, mniej więcej w moim wieku, podszedł do Matthew i dość donośnym głosem zapytał:

– I jak, Matthew? Życie toczy się dalej?

Rozmowy wokół nich ucichły. Samo pytanie nie było z rodzaju gorszących, lecz ton, w jakim je zadano, krył w sobie nutę jednoznacznej prowokacji. Podobnie jak jego głośność. Ten człowiek szukał zaczepki – i potrzebował publiczności.

Jak przez mgłę przypomniałam sobie, że miał na imię Bill i został mi wcześniej przed kościołem przedstawiony jako pasierb siostrzeńca wuja chrzestnego Vanessy. Ktoś, kto Lauren ledwie znał i nie miał tu dziś czego szukać.

Każda rodzina ma we własnym gronie albo w kręgu przyjaciół prawdziwego nieudacznika, istnego durnia. Rola ta bezsprzecznie przypadła Billowi. Nieciekawie wyglądający mężczyzna z lekką nadwagą, silnie się pocący, gdyż pomimo upału nie przestawał wlewać w siebie alkoholu. Ktoś, wobec kogo od razu żywiłam podejrzenie, że na co dzień niewiele ma do powiedzenia i rzadko przyciąga uwagę, a to budzi w nim głęboką frustrację. Teraz jednak alkohol dodał mu odwagi. Był w nastroju do kłótni. By jakimś sposobem znaleźć się w centrum zainteresowania.

– Istotnie – odparł spokojnie Matthew – życie toczy się dalej.

Cóż innego miałby odpowiedzieć na taki banał?

Bill wykonał ruch głową w moim kierunku.

– To ona? Epoka po Vanessie?

– Nie wiem, co właściwie masz na myśli – rzekł Matthew.

Bill się roześmiał. Zbyt głośno i zbyt przewlekłe. Wyraźnie było widać, że alkohol zaczął już tłumić w nim samokontrolę.

– No cóż, zdziwiłbym się, gdyby ktoś taki jak ty pozostał samotny.

Przystojny facet, mnóstwo kasy, świetny samochód, świetna chata, świetna praca... Możesz przebierać w propozycjach, prawda?

Gdyby Bill nie był już podpity, pewnie pękłby z zazdrości. Nienawidził Matthew jak zarazy.

– Propozycje utrzymują się w rozsądnych granicach – odparł Matthew.

Bill ponownie się zaśmiał.

– Ale nadal nie wiesz na sto procent, że Vanessa nie żyje?

Przerażone westchnienie przeszło całą salę. Słów *nie żyje* w odniesieniu do Vanessy nikt nie odważyłby się otwarcie wymówić.

– Nikt tego nie wie – przyznał Matthew. – Nic się niestety w tej mierze nie zmieniło, i to po trzech latach od jej zaginięcia.

Bill znów spojrzał w moją stronę.

– Cóż, tymczasem byłoby głupio, gdyby coś się w tej kwestii zmieniło. To znaczy, w kwestii niepewności. Tak miło sobie od nowa ułożyłeś życie!

– Życie w niepewności nie kryje w sobie niczego dobrego – rzekł Matthew, starając się nie dopuścić do wybuchu awantury.

Bill nie spuszczał mnie z oka.

– To jednak przysporzyłoby mnóstwo problemów. Gdyby Vanessa żyła i nagle pojawiła się w drzwiach waszego domu, nieprawdaż? To znaczy, miałbyś wtedy dwie kobiety, a wszyscy wiemy... że to się na dłuższą metę nie udaje. Rodzi niekończące się kłótnie. – Obliznął językiem wargi. – Milutka ta mała. Nie taka... chłodna jak Vanessa. Tak mi się wydaje.

Matthew odstawił szklanę.

– Już wystarczy, Bill. Nie powinieneś więcej pić. Ale to tylko dobra rada. Czy jej posłuchasz, czy nie, ja nie będę już na to patrzył.

Podszedł do mnie.

– Lepiej już chodźmy – szepnął.

Ja również miałam dość. Z uczuciem ulgi odstawiłam kieliszek i poniekąd z myślą o wszystkich pozostałych podałam rękę Susan.

– Do widzenia, Susan. Strasznie mi miło, że mogłam was wszystkich poznać.

– Ech... nam również – odparła osłupiała Susan.

Matthew wziął mnie za rękę.

– Wychodzimy – mruknął – w przeciwnym razie jeszcze się zapomnę i dam mu po gębie!

Odchodząc, dosłyszeliśmy ponownie głos Billa. Zwyczajnie nie mógł zdzierżyć, by nie powiedzieć ostatniego słowa.

– Na pani miejscu, Jenno, poczułbym się zdenerwowany! – huknął. – Naprawdę zdenerwowany! Co pani robi, jeśli Vanessa powróci? Ma pani jakiś plan? *Co pani wtedy zrobi?*

Nie odezwałam się słowem, wyszłam na zewnątrz, na słońce. Matthew podążył za mną. Z wdzięcznością uświadomiłam sobie, że wytrzymałam, że wszyscy oni zostali za moimi plecami: krewni i znajomi Vanessy, a wraz z nimi jadowita mieszanina żądzы sensacji, obłudy, pogardy i zazdrości, która mnie przez ostatnie godziny otaczała.

Pozostało tylko jedno: zdanie wypowiedziane na końcu przez Billa. Stwierdzenie pijanego idioty. A mimo to nie potrafiłam się z niego otrząsnąć, choć bardzo się starałam o tym nie myśleć.

Dudniło mi w uszach.

Co pani robi, jeśli Vanessa powróci?

Co pani wtedy zrobi?

– Masz ochotę nas odwiedzić? – zapytała Vivian. – Jutro wieczorem? Pogoda jest wspaniała. Moglibyśmy rozpaść u nas grilla w ogrodzie.

U nas. Vivian znów żyła w stałym związku, ten nowy nawet się do niej wprowadził. Mężczyzna jej marzeń nazywał się Adrian, było oczywiste, że Vivian bardzo chciała mi go przedstawić. Z pewnością był przystojny, poważny, odnosił sukcesy. I z pewnością mógł się pochwalić solidniejszą biografią niż Ryan.

Nora, która właśnie pakowała swoją torebkę w przebieralni, cicho westchnęła. Od dnia tamtego nieszczęsnego przyjęcia Vivian dokładała wszelkich starań, a mimo to między nimi się nie układało. Nie dlatego, że Nora nie potrafiła jej wybaczyć. Vivian przeproszała ją ze sto razy, przyznając, że kiedy pije alkohol, zachowuje się w sposób nieprzewidywalny i nieznośny. To właściwie powinno wystarczyć. Nora nigdy nie była mściwa czy pamiętliwa. Tym razem jednak nie potrafiła się zachowywać tak, jakby nic się nie stało, być może wcale tego nie chciała. Bo Vivian nazbyt celnie trafiła w sedno? A może sprawy wyglądały znacznie prościej albo bardziej skomplikowanie, jeśli tak na to spojrzeć: pogodzenie się z Vivian oznaczałoby powrót do normalności przed owego zdarzenia, a Nora nie była pewna, czy *normalność* jest tym, co obecnie przeżywa. Z takim mężczyzną u swego boku jak Ryan. Czy to wszystko nie skończy się jedynie nieustannym, wciąż narastającym zmęczeniem? Postępować tak, jakby wszystko było w najlepszym porządku, gdy tak naprawdę nic nie było w porządku. Zupełnie nic.

– Przyjdiesz rzecz jasna z Ryanem – dodała Vivian. – To oczywiste.

A właśnie że nie. To wcale nie było takie oczywiste. Nora nie знаła weekendowych planów Ryana, nikomu jednak by się do tego nie

przyznała. Tym samym bowiem musiałaby potwierdzić przykry fakt, że nie snuli razem żadnych wspólnych planów, jak to bywa u innych par. Przed znajomymi kreśliła obraz prawdziwego wspólnego życia. Ryan był jej chłopakiem, a nawet partnerem życiowym. Prawda wyglądała jednak zupełnie inaczej. Ryan traktował ją jak dobrą znajomą, jak człowieka, który w trudnym okresie po wyjściu z więzienia służył mu pomocą w ponownym przystosowaniu się do codzienności. W istocie Nora o tym wiedziała, lecz miała nadzieję, że sprawy się jakoś ułożą. Nie przewidziała jednak, że wszystko potoczy się zupełnie nie po jej myśli. W ostatnich tygodniach wydawało się, że Ryan raczej się od niej odsuwa. Często wyjeżdżał, zazwyczaj ciągnęło go do Swansea, gdzie odwiedzał dawną przyjaciółkę Debbie. Nora wiedziała, że Debbie źle się czuje, rozumiała, że Ryan postanowił się o nią zatroszczyć, cierpiała jednak katusze, gdy u niej przebywał, i ze wszystkich sił starała się nie witać go po powrocie do domu łzami i wyrzutami. Setki razy powtarzała sobie, że oboje byli wprawdzie przed laty parą, ostatecznie jednak się rozstali, a to świadczyło przecież o tym, że ich miłość gdzieś się zatraciła. Dlaczegoż miałyby się to nagle zmienić? Byli dobrymi przyjaciółmi, nic więcej. Ryan opowiedział jej, że wówczas, na krótko przed pójściem do więzienia, zamieszkał u Debbie, ponieważ brakowało mu pieniędzy na wynajęcie własnego, choćby skromnego mieszkania. Debbie zatroszczyła się o niego. Teraz to on się nią opiekował. To zupełnie normalne. Bądź co bądź ani razu nie odwiedziła go w więzieniu. A to nie przemawiało za istnieniem silnych uczuć, które w każdej chwili można by na nowo rozniecić.

Nora tłumiała swoje lęki, nie zdołała ich jednak przewyciężyć. Chętnie by o nich z kimś porozmawiała, lecz przyjaciele i koledzy, przede wszystkim Vivian, nie wchodzili w rachubę, gdyż pewnie by jej powiedzieli mniej lub bardziej dobitnie: *A widzisz? Czy nie przepowiedzieliśmy tego? Czego się właściwie spodziewałaś, wybierając sobie skazanego? Że znajdziesz kogoś, kto będzie z tobą dzielił marzenia o idealnym świecie?*

Nigdy by nie przyznała, że pojawiły się poważne problemy.

Problemy, które od początku tygodnia znacząco narastały. W miniony poniedziałek Ryan wrócił do domu dość późno, nawet jak na jego standardy. Tym razem Nora nie zdołała się powstrzymać.

– Znowu byłeś u niej? – zapytała. – Czemu nie zostaniesz od razu na całą noc? Z pewnością nie miałaby nic przeciwko temu, gdybyś aż do świtu trzymał ją za rączkę i czuwał nad jej snem.

W normalnych warunkach taka uwaga wzbudziłaby w nim wściekłość, nie zdzierżyłby tego, że miesza się w jego sprawy. Jednakże tamtego wieczoru, tamtej nocy nic nie odpowiedział, osunął się tylko na krzesło i zamarł. Nie potrafił zapanować nad drżeniem dłoni. Nora zrozumiała, że coś się wydarzyło, coś bardzo poważnego, co być może w ogóle nie wiązało się z osobą Debbie. Przycupnęła przed nim, spojrzała na niego, poprosiła, by na litość boską, wyjawił, co się stało.

I wtedy o wszystkim opowiedział.

O dwóch typkach, którzy zaprowadzili go do Damona. O pięćdziesięciu tysiącach funtów. O terminie. O 30 czerwca.

– Od tego dnia – wyznał – moje życie nie będzie warte złamanego szeląga.

Po wszystkim, czego się dowiedziała o Damonie w trakcie podróży do Yorkshire, od razu zrozumiała, że nie przesadza.

Wzdrygnęła się, gdy Vivian powtórzyła głośno:

– I jak? Przyjdziecie jutro? Ty i Ryan?

Nora wzięła swoją torebkę.

– Nie. Prawdopodobnie pojedziemy w weekend odwiedzić matkę Ryana. Do Yorkshire.

– Jaka szkoda – odparła Vivian.

Nora wzruszyła ramionami. Vivian jeszcze się nie przebrała. Nie radziła sobie, odkąd tydzień wcześniej przewróciła się podczas treningu na bieżni. Lekarz stwierdził nadwężenie stopy. Opuchlizna kostki nie chciała zniknąć, powodowała ból i uniemożliwiała Vivian chodzenie w zwykłych butach. W dawnych czasach Nora pomogłaby jej przy wkładaniu rajstop i cierpliwie czekała aż będzie gotowa, teraz jednak wyszła z przebieralni, mruknąwszy słowo na pożegnanie, i spiesznym

krokiem opuściła szpital. Po długim przebywaniu w klimatyzowanych pomieszczeniach upał na dworze odczuła, jakby uderzył w nią grom. Było pewnie ze trzydzieści stopni. Zerknęła na zegarek. Tuż po czwartej. W piątki zazwyczaj wychodziła wcześniej. Jej ostatni pacjent miał złamanie kości piętowych prawej stopy. Męczący człowiek. Nieudana próba samobójcza, to wcale nie rzadkość przy tego typu urazach. Ludzie próbują się powiesić, lecz stryczek się rozwiązuje albo nie wytrzyma materiału, do którego jest przymocowany. Upadają pionowo, zazwyczaj jedną nogą uderzają o podłogę, stopa zostaje zmiażdżona. Operacja, a następnie długotrwała, żmudna rehabilitacja. Nikt nie chce się zajmować niedoszłym samobójcą, zwykle zostaje przydzielony Norze. Cieszy się ona opinią osoby, która potrafi się obchodzić z takimi ludźmi i oprócz fizjoterapii aplikuje im także masaż duszy.

– Nora cierpi na syndrom pomocnika – mawiali często jej koledzy.

To chyba była prawda. Przypuszczalnie ta właśnie cecha skłoniła ją, by nawiązać listowną znajomość z więźniem. Pozostawało tylko pytanie: jakie własne potrzeby zaspokajała przez to kobieta z syndromem pomocnika? Dawniej Nora energicznie broniłaby się przed związaną z tym pytaniem insynuacją. Od dłuższego czasu sama jednak przyznawała, że kryje się w tym sporo prawdy. Wyszukała sobie mężczyznę, który jej potrzebował. I dlatego mogła mieć nadzieję, że jej nie opuści.

Bała się samotności. W tym cała rzecz.

Chciała ruszyć w drogę powrotną do domu, a jednak przystanęła. Dlaczego nie miałyby w taki piękny, słoneczny dzień powłóczyć się trochę po mieście, a przy okazji zajrzeć do punktu ksero? Może Ryan skończy już pracę. Poszliby razem czegoś się napić, podzieliłaby się z nim swoimi przemyśleniami. Potrzebował pomocy, a ona dostrzegła sposób, jak zaradzić kłopotom.

Siedzieli w kawiarni, ukryli się w kącie sali. Ryan się uparł. Nora chciała porozmawiać o Damonie, on zaś bał się, że ktoś mógłby ich podsłuchać. Oboje zamówili kawę, do tego butelkę wody. Ryan wyglądał na zmęczonego i spiętego.

– Jedno nie ulega wątpliwości – oznajmiła Nora. – Musisz zwrócić pieniądze. A potem już nigdy więcej nie kontaktować się z tym Damonem czy innym podobnym mu typem. Nie wolno ci się zbliżyć nawet na krok do tego przestępczego świata, Ryanie. W przeciwnym razie to się nigdy nie skończy!

Gapił się nieruchomo w swoją kawę.

– Co się nigdy nie skończy?

– Jedno prowadzi do drugiego – wyjaśniła Nora. – To miałam na myśli.

Skinął głową. Nawet nie miała pojęcia, ile w tym było racji.

– Okay, zwrócić pieniądze. Bagatela, pięćdziesiąt tysięcy funtów. Ech... nie masz przypadkiem pomysłu, skąd miałbym je wytrzasnąć?

– Praktycznie przez cały dzień o niczym innym nie myślałam. – To prawda. Nawet pacjenci zwrócili uwagę na to, że Nora wykonywała dziś codzienną pracę zupełnie roztargniona. – I zdałam sobie sprawę, że jest tylko jeden sposób. – Przerwała na chwilę. Wiedziała, że jej propozycja wywoła sprzeciw Ryana, i dlatego od razu chciała przydać swoim słowom możliwie dużej wagi. – Nasza jedyna szansa to twoja matka i Bradley.

– Co proszę? Jak oni mieliby nam pomóc?

– Mają dom, na własność.

Ryan potrząsnął głową.

– To dom Bradleya. Nie należy do mojej matki. Naprawdę sądzisz, że obciąży hipotekę tylko po to, by zupełnie zdeprawowanemu synowi swej żony wyłożyć ot tak, na stół, *pięćdziesiąt tysięcy funtów*?

– To nie będzie łatwe. Ale to nasza jedyna nadzieja.

– Zapomnij o tym, Noro – powiedział Ryan. – On tego nie zrobi. A ja nie będę go prosił, po to tylko, by usłyszeć odmowę!

– Przykro mi, Ryanie, ale w tej chwili musisz powściągnąć swoją

dumę – wyjaśniła Nora. – Nie możesz sobie na to pozwolić. Żadne z nas nie posiada pięćdziesięciu tysięcy funtów i wiesz dobrze, że nie mamy najmniejszych szans zebrać takiej sumy w ciągu najbliższych tygodni. Chyba że obrabujemy jakiś bank, to jednak, szczerze mówiąc, uważam za jeszcze gorszy pomysł.

– Bradley mi nie pomoże. On mnie nie znosi. W jego oczach jestem przypadkiem beznadziejnym, z którym najlepiej nie mieć nic wspólnego. Musiałaś to zauważyć, kiedy byliśmy u nich w odwiedzinach!

– A jednak zauważyłam też, że bardzo kocha twoją matkę, że jest dla niego ważna. On dla ciebie tego nie zrobi, Ryanie. Ale być może zrobi to dla twojej matki.

– Moja matka dopiero co przeżyła okropną historię. Sądzisz, że poczuje się lepiej, jeśli teraz zjawię się u niej i wyjaśnię, że zadawałem się z gangsterskim bossem i znajdę się na jego liście ludzi do odstrzału, jeżeli natychmiast nie oddam mu pięćdziesięciu tysięcy funtów? Ona myśli, że w moim życiu wreszcie wszystko jest w najlepszym porządku, gdyż żyję z miłą kobietą i mam pracę. Nie chcę jej pozbawiać tego przekonania.

– Ten Damon jest jednak częścią twojej przeszłości. A że nie jest ona bez skazy, tak czy owak ona o tym wie – powiedziała Nora.

Chcąc zająć się czymkolwiek, Ryan wsypał do swojej filiżanki dwie łyżeczki cukru, choć wcale nie lubił słodkiej kawy. Czuł, jak wzbiera w nim złość na Norę, a zarazem na samego siebie, gdyż doskonale wiedział, że ta złość jest nieuzasadniona. Nora w każdym wypowiedzianym słowie miała rację, i jakkolwiek nieprzyjemne, ba, wręcz nieznośne było rozwiązanie, które mu wskazywała, to jednak rozumiał dobrze, że nie miał innego wyboru. Nie mógł przecież ponownie porwać jakiejś kobiety, ukryć jej i próbować wymusić za nią okupu. Jediną znaną mu osobą, która mogła wysupłać taką kwotę, był rzeczywiście Bradley.

– Muszę to przemyśleć – odparł.

– Pojadę z tobą do Yorkshire, żeby porozmawiać z Bradleyem

i Corinne – zaproponowała Nora.

– Musimy tam jechać?

– Przecież nie możesz tego załatwić przez telefon. Wtedy to się na pewno nie uda!

Przypuszczalnie znów miała rację.

– Muszę to przemyśleć – powtórzył.

– Dobrze, byle nie za długo. Ryane, musisz wyjść z tego kręgu. Środowiska, które uosabiają ludzie pokroju Damona. Mówisz, że on cię zabije, jeśli nie zapłacisz. Być może. Ale może też być tak, że odtąd ciągle będzie cię wykorzystywał. Trzyma cię w garści. Możesz stać się chłopcem na posyłki w służbie groźnego przestępcy. Ryane – spojrzała na niego przenikliwym wzrokiem, w którym czaiła się prośba. – Ryane, masz teraz szansę zacząć nowe życie. Uczciwe i porządne życie. Wiem, że takie właśnie życie do ciebie pasuje. To prawdziwy Ryan. Nie jakiś opryszek. Ale mężczyzna, który wykonuje swoją pracę i może wysoko unieść głowę, gdyż nie ma sobie nic do zarzucenia. Nie pozwól tego zepsuć!

Wypił łyk kawy. Smakowała odrażająco słodko.

– Skąd możesz wiedzieć, co do mnie pasuje? – zapytał agresywnie. – Przecież ty w ogóle mnie nie znasz!

Lekko się wzdrygnęła.

– Myślę, że trochę cię już znam – odparła dzielnie.

Odsunął filiżankę. Nie wypije tej lury. Wyjrzał na zewnątrz, na letni dzień. Właśnie przechodziła obok grupa roześmianych nastolatków, niefrasobliwych i beztroskich. Oboje siedzieli tutaj jakby od tego wszystkiego odcięci: od wesołych ludzi. Od słońca, światła. Od życia.

Dlaczego, do diabła, Nora się do tego przymusza? Nie potrafił tego zrozumieć i to napełniało go uczuciem niepewności. I stawiało pod presją. Sprawiało, że był niezadowolony i opryskliwy. I znużony. Świadomy swej winy. I Bóg raczy wiedzieć, jaki jeszcze.

Najchętniej by teraz wstał i pojechał do Swansea, do Debbie. Do tego jednak znów potrzebowałby samochodu Nory. Chętnie opowiedziałby Debbie o swoich zmartwieniach, poprosiłby ją o radę i pomoc. Nie miał

wszakże złudzeń: choć Debbie naprawdę źle się teraz czuła i była jak nigdy dotąd zdana na pomoc przyjaciół, to jednak nie ulegało wątpliwości, że na pytanie, czy nie dałaby się wciągnąć w jakiś nielegalny interes, zareagowałaby jak dawna Debbie, niewzruszona, twarda jak stal. Nawet nie rozmyślała o takich pokusach. Odprawiłaby go z kwitkiem. *Zawsze cię ostrzegałam przed zadawaniem się z takimi typkami jak Damon. Przykro mi, nie mogę ci pomóc. Sam rozwiąż ten problem!*

Dziwnym trafem taka postawa bardziej mu odpowiadała niż ta, którą prezentowała Nora. Być może dlatego, że ją rozumiał. Zaangażowania Nory po prostu *nie potrafił* pojąć. Spodziewał się, że będzie musiał za nie zapłacić swoją cenę.

A tego nie chciał. *Tego zwyczajnie nie chciał.*

Podobnie jak nie chciał giąć karku przed Bradleyem, tym zarozumiałym kołtunem. Podobnie jak nie chciał wyjaśniać swojej matce, że znów popadł w tarapaty.

Podobnie jak nie chciał zostać zamordowany przez ludzi Damona.

„Nadal, bez końca kręcę się w kółko” – pomyślał.

Poczuł rękę Nory na swoim ramieniu.

– Chodźmy do domu, Ryanie – powiedziała. – Tam dokończymy rozmowę. Może nie dziś wieczorem. Może jutro, pojutrze. Choć nie mamy za wiele czasu!

Miała rację.

Drgnął, odsunął ramię, jej ręka opadła na blat stołu. Nie spojrział na nią, wiedział jednak, że na jej twarzy maluje się teraz grymas zranionej sarny. Nie chciał na to patrzeć.

Może dlatego czasem tak bardzo go irytowała: po prostu zawsze miała rację.

Matthew chciał jak najszybciej uciec z Holy Island. Miał dość, był wściekły. Ja z chęcią bym jeszcze została, teraz, gdy ów nieprzyjemny incydent mieliśmy już za sobą i znów mogłam spokojnie odetchnąć. Holy Island – a przynajmniej to, co zobaczyłam podczas naszego spieszego przejazdu – zafascynowała mnie: bezkresne płaskowyzę, klify z jasnoszarego kamienia, pleniąca się nisko brązowawa trawa, liczne pasące się konie, kościoły i celtyckie krzyże. Niedaleko stąd było do Dublina i Dún Laoghaire, miało się wrażenie, że to już skrawek Irlandii. Matthew wyznał, że widział już oczywiście Holy Island przy pięknej pogodzie, nigdy jednak podczas takiego upału. Zazwyczaj jest tam chłodno, wietrznie, często deszczowo. Powróciłam myślą do Vanessy, która tutaj dorastała. Spacerowała razem z matką po klifach, ubrana w niebieską plisowaną spódniczkę czekała na szkolny autobus, później, już jako nastolatka, bawiąc się w sobotnie deszczowe wieczory w miejscowej dyskotecie, marzyła o bardziej ekscytujących krainach. Przypuszczam, że nastolatki chciały się stąd wyrwać, najchętniej do biur w Londynie, w wakacje zaś dokądkolwiek, gdzie jest bardziej sucho, a noce są żywsze i bardziej obiecujące. Bądź co bądź Vanessa wyjechała stąd do Swansea. I była tam poważanym, szanowanym i lubianym wykładowcą na uniwersytecie.

Nieźle jak na dziewczynę z Anglesey.

Przez Four-Mile-Bridge opuściliśmy Holy Island. Od tej pory miałam wrażenie, że również Matthew zdołał się nieco odprężyć. Nadal niewiele mówił, lecz jego twarz się rozluźniła i wygładziła.

Kiedy ponownie skierowaliśmy się na południe, nagle się odezwał:

– Bardzo mi przykro. To musiało być dla ciebie okropne.

Wcale nie uważałam, że powinien mnie za cokolwiek przeproszać.

– Nie, wręcz przeciwnie – odparłam – to *mnie* jest przykro.

– A to dlaczego?

– No cóż – spojrzałam po sobie – na przykład ta niemożliwa sukienka. Nadaje się na cocktail party, a nie na pogrzeb. Myślę, że twoi krewni uznali ją za... niestosowną.

– To nie są moi krewni – poprawił mnie od razu – tylko Vanessy. A co w twojej sukience niestosownego?

– Jest o wiele za krótka!

Spojrzał w moją stronę. Teraz, na siedząco, ledwie zakrywała początek moich ud. Wydaje mi się, że po raz pierwszy tego dnia Matthew spojrzał na mnie świadomie.

Naraz się uśmiechnął.

– Och, rzeczywiście... – szukał właściwego słowa.

– Frywolna? – zaproponowałam. – Nieprzyzwoita? Prowokująca?

– Wszystko razem – odparł wesoło. – Ale masz fantastyczne nogi. Założę się, że ta jędza Susan pękała z zazdrości!

Odwzajemniłam jego uśmiech. W tej właśnie chwili ów dzień niespodziewanie się odmienił. Przez cały czas było gorąco, niemal nieznośnie gorąco. Lecz teraz dało się też wyczuć pomiędzy nami ciepło niemające nic wspólnego z temperaturą na zewnątrz.

– Nie wiem, jak się czujesz – rzekł Matthew – ale ja nie mam najmniejszej ochoty wracać do domu już dziś. Uważam, że zasłużyliśmy na coś specjalnego. Jakiś malowniczy zakątek, urocza restauracja, przytulny hotel. Co ty na to?

Byłam zaskoczona. Ze swej strony nigdy bym się nie odważyła na taką propozycję. Wiedziałam jednak, że nierozsądnie byłoby ją teraz odrzucić. Matthew być może już nigdy tak daleko się nie posunie.

Mój plan, by nazajutrz wczesnym rankiem pojawić się u Alexii i wyruszyć jej samochodem na poszukiwanie plenerów fotograficznych, w tej sytuacji spełzłby oczywiście na niczym. Mogłam jednak wysłać jej SMS, wyjaśnić okoliczności i zapewnić, że wykonam zlecenie dzień później. Czy poszukam motywów w sobotę, czy w niedzielę, nie miało najmniejszego znaczenia. Przed poniedziałkiem Alexia i tak nie

skontaktuje się telefonicznie z fotografem i modelkami ani nie nada sprawie biegu. Miałam więc czas.

– Myślę, że to świetny pomysł – odparłam. – Wcale nie tęsknię za moim mieszkaniem.

To prawda. Siedzieć tam samej, w tym małym piekarniku, i nie wiedzieć, co począć z wszystkimi wrażeniami, uczuciami, myślami, jakie obudził we mnie ten dzień – to była perspektywa niemal traumatyczna.

I tak późnym popołudniem znaleźliśmy się w Cardigan Bay na zachodnim wybrzeżu Walii. Jako że nie byliśmy odpowiednio ubrani na wędrówkę, pojeździliśmy trochę po okolicy samochodem, a potem dotarliśmy do Cardigan. Powłóczyliśmy się po sklepach, w kawiarni wypiliśmy mrożoną herbatę. Matthew zasięgnął języka w poszukiwaniu jakiegoś dobrego hotelu, polecono nam Llys Meddyg w Newport.

– Cały czas prosto starą Fishguard Road. Pojawi się Newport, hotel znajduje się zaraz za wjazdem do miasta.

Był to czarujący niewielki dom ze ślicznymi, wygodnymi pokojami, urządzone w stylu podmiejskim, z kwiecistymi zasłonami w oknach i kolorowymi patchworkowymi narzutami na łóżkach. Na szczęście mieli jeszcze wolne miejsca. Z pewnością sprawialiśmy dość niezwykle wrażenie – Matthew w swoim czarnym garniturze, ja w czarnej sukience i czarnych rajstopach, oboje bez żadnego bagażu. Nie miałam z sobą nic prócz torebki. Mężczyzna w recepcji nie zadawał jednak żadnych pytań. Widocznie mimo wszystko sprawialiśmy wrażenie ludzi poważnych.

Znalazłszy się w pokoju na górze, Matthew oznajmił, że najpierw zadzwoni do swojej sprzątaczkii, by zapytać, czy zatrzyma u siebie Maxa dzień dłużej. Kiedy telefonował, wychyliłam się przez okno. Spojrzałam na niewielkie wybrukowane podwórze. Upał nie był już tak nieznośny, na twarzy poczułam pierwsze podmuchy wieczornego chłodu. Kołatało mi serce. Wciąż byłam szczęśliwa.

– Wszystko w porządku – oświadczył Matthew. – Max może zostać tak długo, jak chcemy. Załatwione.

Zniknął w łazience, gdyż chciał niezwłocznie wziąć prysznic. Słyszając szum wody, napisałam wiadomość do Alexii:

*Cześć, Alexia, jestem w Newport. Z M. w hotelu :-) !! Nie mogę przyjechać jutro rano, ale wszystko załatwię w niedzielę. Przyrzekam!!
Jenna xx*

Dawna Alexia jakieś pół minuty później zareagowałaby pewnie ekscytacją. *Z M. w hotelu??? No wreszcie!!! Wszystko mi opowiesz, zrozumiano? OMG, ależ robi się ciekawie!!!*

Coś w tym stylu. Dzisiejsza Alexia, która przez swoje zmartwienia nie postrzegała już świata od jego przygodowej i uroczej strony, odpisała po jakichś trzech minutach.

*Okay, ale mogę liczyć na to, że w niedzielę będziesz na miejscu?
Alexia.*

Westchnęłam i odpisałam:

Na sto procent! Nie martw się! Wszystko będzie dobrze. Jenna xx

Nie otrzymałam odpowiedzi, lecz uznałam, że sprawa została tym samym załatwiona. Razem z Matthew zrobiliśmy wszystko, co należało. Pies w dobrych rękach, moje zlecenie odłożone do niedzieli. Nic nie stało nam już na przeszkodzie. Co najwyżej my sami, nie chciałam jednak rozmyślać o tych wszystkich problemach, z którymi borykaliśmy się od tygodni. Tym bardziej że miałam wrażenie, iż tym razem coś się rzeczywiście zmieniło. Być może wiązało się to po prostu z faktem, że my, ludzie, dość często postępujemy wedle prostych psychologicznych

prawideł: Matthew przez cały czas był otoczony przez znajomych i przyjaciół, którzy mu radzili, żeby patrzył w przyszłość, by zostawił w spokoju przeszłość, jakkolwiek może to być dlań bolesne, i by nie odsuwał się już dłużej od życia. Często można było odnieść wrażenie, jakby właśnie ta pretensja w sposób niemal nieunikniony kazała mu skostnieć w wierności wobec Vanessy. Wszyscy ją opuścili – czyż przynajmniej on nie powinien przy niej pozostać?

Dziś natomiast sytuacja się odwróciła. Nagle Matthew został skonfrontowany z ludźmi, którzy oczekiwali od niego jakże odmiennego zachowania, a jego rzekome odwrócenie się od Vanessy i oddanie dla innej kobiety przyjęli z niezadowoleniem. Wyczuł ich podskórną krytykę, arogancję, z jaką o nim wyrokowali. To wzbudziło w nim opór. Czego właściwie chcieli? Swego rodzaju męskiej wersji palenia na stosie wdów? Czyżby miał wegetować w cieniu, dopóki los Vanessy nie zostanie ostatecznie wyjaśniony? A jeśli nigdy nie zostanie wyjaśniony, czy jego życie także należy spisać na straty? Rozmiar ich pretensji do głębi nim wstrząsnął – i go rozzłościł. Zarazem jednak zmienił też coś w jego sposobie postrzegania. Czy chciał postępować tak, jak tego oczekiwali? Czy nie chciał już nigdy powrócić do życia?

Wreszcie wyszedł z łazienki, odświeżony pod prysznicem, lecz niestety, znów ubrany w czarny garnitur, który nosił przez cały dzień. Ja również wzięłam prysznic, po czym ponownie włożyłam niemilosierne pomiętą sukienkę, tym razem bez rajstop. Miałam w torebce grzebień, przynajmniej fryzurę mogłam doprowadzić do jako takiego porządku. Pociągnęłam usta szminką, przyjrzałam się sobie w lustrze. Byłam podekscytowana, pełna nadziei. Jakimś sposobem wyglądałam *promiennie*. Miałam duże i błyszczące oczy, moja cera połyskiwała różem. Dzień, tak z początku wyczerpujący i nieprzyjemny, zdawał się przemieniać w cudowny wieczór, który, po prostu to czułam, przyniesie przełom. Tym razem prawdziwy nowy początek, który nie utknie od razu w przedbiegach, jak owa nieudana próba podjęta przez Matthew przed kilkoma tygodniami. Dotarliśmy do rozstrzygającego punktu, przekroczymy go i zostawimy za sobą okres

niepewności i nieszczęścia. Wiedziałam o tym. Nie potrafiłabym jednak wyjaśnić, skąd czerpałam tę pewność.

Nieoczekiwanie przypomniałam sobie głos Billa.

Co pani zrobi, jeśli Vanessa powróci?

Naraz jakby jakiś cień zasnuł łazienkę. Być może rzeczywiście tak się stało, może faktycznie jakaś chmura przemknęła po nieskazitelnym letnim niebie i na chwilę przesłoniła słońce. Byłam już na tyle dorosła, by wiedzieć, że życie potrafi być czasem podłe, i to w dość cyniczny sposób. Jeśliby los przewidział, że Vanessa pewnego dnia powróci, wówczas każda chwila od tej pory byłaby szczególnie perfidna. Matthew i ja zaczęliśmy się do siebie przywiązywać. Przez niemal trzy lata Matthew żywił nadzieję, że znów zobaczy swoją żonę, lecz gdyby jego pragnienie miało się teraz spełnić, pociągnęłoby to za sobą dramatyczne konsekwencje.

Nie chciałam nawet myśleć, jak boleśnie sprawy mogły się dla mnie potoczyć.

– W takim razie nie myśl o tym – powiedziałam na głos do mojego odbicia w lustrze. Zerknęłam przez okno: cień był jedynie moim wyobrażeniem. Nieba nie zasnuwała ani jedna chmurka.

Wyszłam z łazienki, zesłaliśmy na dół na kolację do hotelowej restauracji, słynącej z kulinarnych specjałów. Poprowadzono nas najpierw do baru w podziemiach, by tam poczęstować drinkiem. Znaleźliśmy się w przytulnym pomieszczeniu, ściany były po części bielone, po części pokryte drewnianą boazerią. Stały tam dwie duże skórzane sofy, lecz także pojedyncze niewielkie stoliki z krzesłami. Wszędzie paliły się małe świece. Zebrało się już sporo gości, siedzieli lub stali swobodnie z kieliszkami w dłoniach. Niektórzy najwyraźniej się znali, gdyż żywo i wesoło z sobą rozmawiali. Razem z Matthew popijaliśmy nasze sherry. Wyczułam na sobie kilka ukradkowych spojrzeń, widocznie rzucaliśmy się w oczy w naszych czarnych strojach. Jakaś kobieta, również osamotniona, w końcu nas zagadnęła.

– Przyjechali państwo dzisiaj? – zapytała.

Przytaknęłam.

- Tak. Przed godziną.
- I zostaną państwo na dłużej?
- Tylko do jutra – odparł Matthew.

– Musicie koniecznie przejść się ścieżką wzdłuż klifów. A poza tym powinniście obejrzeć rezerwat ptaków. Rozciąga się tuż za domem. Gniazdują tu rzadkie gatunki ptaków morskich. Niezwykle spokojna, piękna okolica.

Spojrzałam na moje czarne buty na wysokim obcasie i pomyślałam, jak uroczo będzie wyglądać nasza wędrownica ścieżką wzdłuż klifów.

Kobieta zniżyła głos.

- Wracacie z pogrzebu? – zapytała ze współczuciem.
- Mojej teściowej – wyjaśnił Matthew z lekkim zniecierpliwieniem w głosie. Ta kobieta zaczynała go irytować.

Wykrzywiła twarz, po czym zwróciła się do mnie:

- Serdeczne wyrazy współczucia.

Potrzebowałam sekundy, by zrozumieć, że wzięła zmarłą za moją matkę. A mnie tym samym za żonę Matthew. Choć było to nieporozumienie, właściwie nieistotne, napełniło mnie dumną, dziecięcą radością. Pasowaliśmy do siebie. Uważano nas nawet za małżeństwo. Naraz wydawało się, że owego niezwykłego wieczoru wszystko jest we wspólnym sposobie *w jak najlepszym porządku*.

Jakimś sposobem udało się nam uwolnić od towarzystwa tej samotnej kobiety, która chętnie by się do nas przysiadła, i zająć stół w restauracji na górze. Popijaliśmy wino i zajadaliśmy się rzeczywiście wybornie przyrządzonymi potrawami. Niewiele rozmawialiśmy. W oczekiwaniu na następne dania trzymaliśmy się za ręce. Połączyło nas jakoweś porozumienie, które sprawiło, że słowa stały się zbędne i zapanowało między nami zgodne milczenie, które nie przemieniło się w nieprzyjemną ciszę. Byliśmy po prostu razem i tylko to się liczyło.

Po kolacji wróciliśmy do naszego pokoju, do tego niewielkiego, romantycznego pokoju, mieszczącego się bezpośrednio pod dachem, ze skośnymi ścianami i małymi lukarnami, tak przytulnego, ciepłego i pełnego spokoju. Czulałam wewnętrzne drżenie. Po mych szaleńczych

latach, kiedy to przespałam się z większą liczbą mężczyzn niżbym kiedykolwiek gotowa była przyznać, poczułam zaskoczenie, jak bardzo potrafię się tym jeszcze ekscytować. Byłam wręcz zdenerwowana. Stanęliśmy naprzeciwko siebie, Matthew spojrział na mnie i powiedział:

– Jesteś niesamowicie piękna. Nigdy jeszcze żadna kobieta tak mnie nie zafascynowała.

Była to chwila, w której ostatecznie pogodziłam się z moją krótką czarną sukienką. Choć przez cały dzień mogła się wydawać niestosowna, na *taką* okazję była absolutnie odpowiednia. Wiedziałam, że wyglądam w niej jeszcze młodziej i bardzo seksownie. Mogłam to wyczytać z twarzy Matthew. Podszedł do mnie i pocałował, potem zaczęliśmy się nawzajem rozbierać. On był ostrożny, ja natomiast porywczo i bardzo namiętnie nakręcałam tempo. Kiedy leżeliśmy już na łóżku, stwierdziłam, podobnie jak wielokrotnie wcześniej, że lubię jego zapach. Lubiłam wyczuwać jego skórę pod palcami, czułam też z przyjemnością, jak dużym podnieceniem reagowałam na jego dotyk. Jego palce gładziły ramiączko mojego stanika, głaszcząc mnie przy tym tak miękko, że miałam wrażenie, jakbym w tym miejscu, a z wolna także na całym ciele, zaczynała płonąć. Gdy dotarł do ozdobionego niewielkimi kryształkami strasu zapięcia, zatrzymał się.

– Czy wszystko okay? – zapytał cicho. – Czy może to dla ciebie za szybko?

Musiałam się powstrzymać. Za szybko! Byłam tą Jenną Robinson, która dawniej miała opinię, że albo w ogóle nie prześpi się z mężczyzną, albo od razu w pierwszą noc. Trzecia możliwość nie istniała. Obecny przypadek, te ciągnące się całymi tygodniami podchody, zanim w końcu wylądowaliśmy w łóżku, stanowił absolutną premierę, choć Matthew raczej nie powinien tego wiedzieć. Bądź co bądź był człowiekiem dość konserwatywnym. Z całą pewnością nie uważał mnie za wcielenie niewinności, lecz nawet w swych najdzikszych snach nie mógł sobie wyobrazić mojego dawnego życia. I niech tak zostanie. Mimo to odparłam szeptem:

– Cholera, Matthew, czekam prawie od trzech miesięcy. Proszę, nie

stwarzaj teraz problemów!

Usłyszałam jego śmiech.

– Wszystko jasne – powiedział.

Nowy dzień zaczął się dokładnie tak, jak zakończył poprzedni. Zaraz po przebudzeniu znów się kochaliśmy, potem leżeliśmy przez chwilę przytuleni do siebie, cicho rozmawiając i szepcząc sobie do ucha romantyczne, kiczowate чуłostki. Tak bardzo różniło się to od zachowania Garretta: kiedy spędziłam z nim spokojny wieczór, a potem wspaniałą, upojną noc miłosną, następnego ranka wręcz obowiązkowo wszczywał kłótnię z jakiegoś błahego, nieistotnego powodu. Jadowitymi, złośliwymi uwagami atakował albo mnie, albo którąś z bliskich mi osób, i nie spoczął, póki doszczętnie nie zniszczył nastroju, a wspomnienie uroczego wieczoru nie zyskało mdłego posmaku. Nie potrafiłam pojąć głębszego powodu jego postępowania, widocznie Garrett był człowiekiem, który nie może przez dłuższy czas znieść poczucia spokoju, szczęścia i miłości. Wciąż musiał drażnić i prowokować. Jakże często doprowadzało mnie to do łez.

Z Matthew nie było takich problemów. Był równie szczęśliwy jak ja, nie żywił najmniejszej ambicji, by zepsuć tę wspaniałą atmosferę. Zeszliśmy na śniadanie, rozkoszowaliśmy się smakiem kawy, soku pomarańczowego, skosztowaliśmy sadzonych jajek i tostów, a potem wróciliśmy na górę i znów znaleźliśmy się w łóżku. Następnie pojechaliśmy kupić jakieś ubrania, które dałyby nam większą swobodę ruchów. Wszystko znaleźliśmy w Cardigan. Każde z nas zakupiło dla siebie parę džinsów, T-shirt, sportowe skarpety i parę sportowych butów, poza tym szczoteczki i pastę do zębów oraz coś do ochrony przed słońcem. Wróciliśmy do hotelu, przebraliśmy się, uregulowaliśmy rachunek, wymeldowaliśmy się, po czym wyruszyliśmy w drogę, by odkrywać rezerwat ptactwa i przejść przynajmniej fragment ścieżki wzdłuż klifów. Na terenie rezerwatu

morze wrzynało się głęboko w ląd, podczas trwającego właśnie odpływu był on poprzecinany piaszczystymi mieliznami i zamulonymi kałużami, w których rosły trzciny. Szczerze mówiąc, nie zwracaliśmy zbyt uwagi na ptaki, za bardzo byliśmy zajęci sobą. Cudownie było jednak biegać po szerokiej plaży, wdychać morskie powietrze i czuć na twarzy powiew lekkiej bryzy. Przeszedłszy przez niemal parkowy teren, dotarliśmy do krańca zatoki i ruszyliśmy ścieżką wzdłuż klifów, stromą i zdającą się nie mieć końca, która jednak oferowała wspaniałe widoki na morze. Widywano tu już wieloryby, choć tego akurat dnia żadnego niestety nie dostrzegliśmy. W końcu zrobiło się nam zbyt gorąco. Wokół nie było żadnych drzew czy krzewów, które mogłyby ofiarować nam nieco cienia. Zawróciliśmy, lecz zostaliśmy jeszcze chwilę na plaży. W końcu powłóczyliśmy się po Newport, zjedliśmy *fish and chips* w niewielkim pubie, po czym zdecydowaliśmy wracać do domu. Było już po południu, kiedy wreszcie ruszyliśmy w drogę. Postanowiłam przyjechać tu ponownie. Do tego urokliwego hotelu, do tej bajecznej okolicy. Będę tu wspominać jeden z najbardziej udanych weekendów mojego życia. Wydarzeń, które miały niedługo nastąpić i położyć się głębokim cieniem na tych dniach, wówczas jeszcze nawet nie przeczuwaliśmy.

Drogę powrotną pokonywaliśmy niespiesznie, do Swansea przybyliśmy wczesnym wieczorem. Najpierw odebraliśmy Maxa od jego opiekunki. Wprost szalał z radości, czekał, wyskakiwał na nas, okręzał, merdał ogonem. Zabraliśmy go jeszcze na długi spacer, po czym zjedliśmy kolację w pubie, w którym spotkaliśmy się na naszej pierwszej randce. Następnie Matthew odwiózł mnie do domu. Mogliśmy spędzić tę noc razem, chciałam się jednak porządnie przygotować na następny dzień, opracować trasę, którą zamierzałam pokonać, oraz położyć się wcześniej do łóżka, by nazajutrz stanąć przed Alexią wyspana i w dobrej formie. Powinna odnieść kojące wrażenie, że zdołam pewnie i w skupieniu wypełnić moje zadanie. Również Matthew miał zamiar pracować w niedzielę, by nadrobić stracony piątek.

Pożegnaliśmy się więc przy drzwiach do mojego mieszkania. O dziwo, nie bałam się go puścić. Byłam taka pewna jego uczuć. Umówiliśmy się na następny wieczór, wszystko było w najlepszym porządku.

Gdy zostałam sama, napisałam kolejny SMS do Alexii.

Cześć, Alexia, wróciłam do Swansea! Będę u ciebie jutro o siódmej rano, dobrze? Cieszę się! Jenna.

Wzięłam prysznic i włożyłam duży biały T-shirt, w którym zwykłam sypiać. Następnie wygrzebałam rozmaite mapy i przewodniki po Pembrokeshire Coast National Park, które zakupiłam od razu, gdy tylko Alexia powierzyła mi to zlecenie. Jakąś godzinę później miałam już bardzo dokładny plan, dokąd mam się najpierw udać i które okolice odwiedzić. Cieszyłam się z czekającego mnie zadania, cieszyłam się też, że zaraz po nim znów spotkam się z Matthew. Byłam taka szczęśliwa, że aż cicho sobie nuciłam. W mieszkaniu panował upał, było mi jednak wszystko jedno. Nic nie mogło mi zepsuć dobrego humoru.

Tuż po jedenastej rozmawiałam przez telefon z Matthew. Alexia jeszcze nie zareagowała na moją wiadomość, lecz było możliwe, że komórka gdzieś się jej zawieruszyła i po prostu nie zwróciła uwagi na otrzymany SMS. Dla pewności wysłałam kolejną wiadomość:

Alexia, czy pasuje ci siódma rano? Czy może to za wcześnie? Daj znać. Jenna.

Położyłam się do łóżka, lecz oczywiście nie mogłam zasnąć. Z powodu upału oraz wszystkich tych obrazów i myśli, które kołatały mi się po głowie.

Dochodziła za kwadrans dwunasta, gdy zadzwoniła moja komórka. Wciąż jeszcze nie zmrużyłam oka, toteż natychmiast odebrałam.

– Halo?

– Jenna? Mówi Ken.

– Och... Ken! – Usiadłam na łóżku. W ciągu sekundy mój puls gwałtownie przyspieszył. Skoro Ken dzwonił do mnie o tej porze, nie mogło to oznaczać nic dobrego.

– Przykro mi, Jenno, że przeszkadzam, wiem, że już strasznie późno, ale...

– Co się stało?

– Czy przypadkiem nie ma u ciebie Alexii? – zapytał Ken.

To idiotyczne, lecz w jakimś bezsensownym odruchu przez moment rzeczywiście wędrowałam wzrokiem po pokoju.

– Nie. Nie ma jej w domu?

– Nie. I powoli zaczynam się martwić.

– W redakcji także jej nie ma?

– Nie. Dziś w ogóle jej tam nie było. Wczesnym rankiem wyruszyła w kierunku zachodniego wybrzeża, w poszukiwaniu plenerów do tego planowanego dużego reportażu.

– Co takiego? – omal nie krzyknęłam. Przycisnąwszy telefon do ucha, wyskoczyłam z łóżka. Nie mogłam w nim dłużej wytrzymać. – Jak to? *Ja* miałam to jutro zrobić! Tak się umówiliśmy!

W głosie Kena prawdopodobnie zupełnie niezamierzenie zabrzmiał lekki wyrzut.

– Uzgodniłyście, że zajmiesz się tym *dzisiaj!*

O Boże, powinnam się była domyślić.

– Ken – zaczęłam, starając się zachować spokój – Matthew i ja pojechaliśmy wczoraj na pogrzeb matki Vanessy. Było naprawdę niemilo. Nie chcieliśmy od razu wracać do domu. Spędziliśmy noc i cały dzień w Newport. Powiadomiłam o tym Alexię SMS-em i zapewniłam ją, że moje zlecenie przekładam tylko o jeden dzień. Zgodziła się.

Nie mogłam tego zobaczyć, ale niemal poczułam, jak Ken przeciera dłonią zmęczone i zaczerwienione oczy.

– Wiem – odparł. – Siedziała obok mnie, gdy wczoraj wieczorem przyszedł twój SMS. Trochę się... zdenerwowała.

– Ale dlaczego?

– Odpisała ci, że wszystko w porządku, ale tak naprawdę... to nie było jej zdaniem korzystne rozwiązanie. Zaczęła się martwić, choć próbowałem ją uspokoić. Powiedziałem jej, że te dwadzieścia cztery godziny nie mają tu absolutnie żadnego znaczenia, ona jednak wątpiła w to, że naprawdę pojedziesz tam w niedzielę. Była przekonana, że odurzona uczuciem, cały weekend... – Urwał w pół słowa, przełknął to, co chciał powiedzieć. I co *powiedziała* Alexia.

Mogłam to sobie dopowiedzieć.

– Że cały weekend spędzę z Matthew w łóżku. Tak powiedziała.

– Coś w tym rodzaju – potwierdził Ken.

Znałam Alexię ogarniętą gniewem. Prawdopodobnie wyraziła się dość wulgarnie.

Nerwowo chodziłam tam i z powrotem po pokoju.

– I jeszcze nie wróciła do domu?

– Zgadza się. I myślę... To niemożliwe! Zrobiło się już ciemno. Jest w drodze od siódmej rano. Nie można aż tak długo szukać plenerów, prawda? I dlaczego nie odbiera telefonu?

Usiłowałam działać racjonalnie.

– Kiedy po raz ostatni z nią rozmawiałeś? Na pewno dzwoniła do ciebie po wyjeździe!

Oddychał głęboko i ciężko. Był już chyba u kresu wytrzymałości.

– Właśnie, że nie. Nie zadzwoniła. Ja również. Pokłóciliśmy się dziś rano. Nie krzyczeliśmy na siebie... ale powiedziałem jej, że to szalony pomysł i że od jakiegoś czasu postępuje niezupełnie normalnie. Prychnęła tylko, że jej nie rozumiem. I wyjechała. Nie dzwoniłem do niej przez cały dzień, bo wiedziałem, że chce mieć święty spokój, nie zdziwiłem się też, że do mnie nie zatelefonowała. To do niej podobne, nie zaniepokoiło mnie to. Tymczasem jednak...

Zamyśliłam się.

– Czy powiedziała, dokąd dokładnie się wybiera?

– Nie.

– Wypadek...

– Dziś wieczorem obdzwoniłem szpitale w całej okolicy – wyjaśnił Ken. – Nie trafił tam nikt, kto choćby częściowo odpowiadał opisowi Alexii.

– Jesteś pewien, że nie ma jej w redakcji? – zapytałam, choć było to raczej oczywiste. Skoro Ken wydzwaniał do szpitali, z pewnością sprawdził najpierw także pozostałe możliwości.

– Zanim podzwoniłem po szpitalach, zszedłem do dozorca – relacjonował Ken. – Nie mogłem sam tego sprawdzić, mam wprawdzie motocykl, ale nie mogę nim zabrać dzieci. Dozorca pojechał tam, ale nikogo nie zastał.

Poczułam, jak nogi się pode mną uginają i zaczynają dygotać. To wszystko nie brzmiało zbyt dobrze. Absolutnie nie.

– Uważasz, że to możliwe, by zatrzymała się w jakimś pensjonacie? – zapytałam. – By rano kontynuować poszukiwania? A nie powiadomiła cię o tym i nie podchodzi do telefonu, bo jest na ciebie wściekła?

– To oczywiście możliwe – przyznał z wahaniem Ken.

Im dłużej nad tym rozmyślałam, tym bardziej byłam przekonana, że tak właśnie się stało. Znałam Alexię może nawet lepiej niż Ken, a przynajmniej znacznie dłużej. Wiedziałam, jaka była wrażliwa, jaka wybuchowa, jaka porywcza we wszelkich swych uczuciach. Nikt nie potrafił być tak głęboko i tak długotrwale urażony jak ona, czasem wręcz pałała żądzą zemsty, dość często cierpiałam z tego powodu w okresie naszego dzieciństwa i młodości. W istocie to było do niej zupełnie podobne: Ken wyraził dezaprobatę dla jej zachowania, była nań wściekła i teraz trzymała go w niepewności. Wynajęła gdzieś pokój, dąsała się, zaszyła się w tym swoim nieszczęściu i z rozkoszną satysfakcją ignorowała dzwoniącą komórkę. A niech się zamartwia, zagryza, zastanawia, gdzie się podziała. Dobrze mu tak.

– Ken, naprawdę uważam, że nie powinieneś się tak bardzo martwić – zapewniłam. – Właśnie dlatego, że rozstaliście się w gniewie, Alexia musi teraz... – Zawahałam się przez chwilę, ale dlaczego nie miałabym powiedzieć, jak było w istocie? – Przecież ją znasz. Czasem musi odstawić taki show. Inaczej nie odzyska spokoju. Czuje się

niezrozumiana, a to zawsze dla niej najgorsze. Odreagowuje. Założę się, że jutro wróci i będzie się normalnie zachowywać!

– Prawdopodobnie masz rację – odparł Ken. Jego głos zabrzmiał nieco swobodniej, nie był już tak stroskany i nieszczęśliwy. Widocznie przekonałam go, przynajmniej częściowo. – Ale jeśli się do ciebie odezwie...

– ...natychmiast dam ci znać – przyrzekłam. – To oczywiste. Ciebie proszę o to samo. Obojętne, o jakiej porze.

Zakończyliśmy rozmowę, wróciłam do łóżka. Dopiero teraz nie potrafiłam zasnąć. Co prawda nie zamartwiałam się aż tak bardzo, bo byłam prawie pewna, że moja teoria jest słuszna, wciąż jednak wracałam myślą do Alexii, która znalazła się pod tak przytłaczającą presją. Tak dalej być nie mogło. Alexię nie bez racji można już było uznać za ofiarę mobbingu, i jako taka potrzebowała pomocy. Przede wszystkim ludzi, którzy by jej wytłumaczyli, że wcale nie musi dłużej znosić zachowania szefa. Musi odejść z „Healthcare”. Musi koniecznie poszukać sobie innej posady.

Ale czy rzeczywiście będzie to takie łatwe? Stanowiska nie leżały ot tak, na ulicy. Alexia musiałaby przekonać nowego pracodawcę, że ze starym Argilanem istotnie nie sposób było wytrzymać, opowiadając tego rodzaju historie, samemu jednak nieuchronnie budziłoby się podejrzenie, że jest się osobą nieskłoną do jakichkolwiek kompromisów, która nie potrafi się dostosować, która nie okazała się zdolna do współpracy z zespołem, i co tam jeszcze. Możliwe, że złożenie wypowiedzenia zrodzi mnóstwo nowych problemów, rodzinę Reece’ów czeka okres wyrzeczeń, który szybko może się przemienić w prawdziwą katastrofę. Czwórka dzieci na utrzymaniu, do tego spłata hipoteki. Ken mógłby poszukać sobie pracy jako inżynier budowy statków, któż jednak wiedział, czy szybko znajdzie jakąś posadę? Wkrótce rodzina mogła się znaleźć w prawdziwych tarapatach.

Tamtej nocy po raz pierwszy zrozumiałam, pod jak ogromną presją znalazła się Alexia, z jakimi troskami się borykała. Naraz zrobiło mi się przykro, że zostawiłam ją na lodzie. Nie sądziłam, że przesunięcie

terminu wyjazdu o jeden dzień przysporzy tylu kłopotów. W istocie nie był to żaden problem, lecz gdybym podeszła do tego z większym wyczuciem, zrozumiałabym, że nie w tym rzecz. Kwestią rozstrzygającą było to, w jakim napięciu nerwowym żyła obecnie Alexia. Zbliżała się do kresu wytrzymałości. Powinnam była to wiedzieć. Powinnam była przynajmniej zadzwonić, zamiast wysłać jej SMS. Mogłabym wówczas z nią porozmawiać, nieco ją uspokoić i pocieszyć.

Nagle poczułam się jak ogromna fajtłapa. Mogłam tylko mieć nadzieję, że nie wywołałam żadnej katastrofy.

Wstałam i podeszłam do jednego z otwartych na oścież okien dachowych. Wpatrywałam się w bezchmurne, zasnutę głęboką czernią, rozgwieżdżone nocne niebo. Z chęcią rozmyślałabym o Matthew.

Zamiast tego myślałam o Alexii.

I naraz przeniknęło mnie naprawdę złe przeczucie.

– Skąd wracasz? Gdzie, do cholery, *tak długo* byłeś? – Głos Nory drżał, cała dygotała z wściekłości i z trudem powstrzymanego naporu łez, z którym walczyła od wielu godzin. Było już po północy. Ryan w sobotnie przedpołudnie pracował, a potem od razu zniknął. Oczywiście samochodem Nory. Bez słowa. Wyszła, żeby zrobić zakupy na weekend, kiedy wróciła, nie zastała już Ryana w mieszkaniu, brakowało też kluczyków do samochodu. Zatelefonowała do punktu ksero i dowiedziała się, że Ryan wyszedł o dwunastej.

Cisnęła siatki z zakupami na kuchenny stół, usiadła w salonie i najchętniej zaczęłaby wyc. Zawzięła się. Nie chciała go przepędzić, wiedziała, że ze łzami w oczach i wyrzutami przyszłoby to jej z łatwością.

Mijał właśnie długi, upalny dzień. Nora nie miała ochoty skosztować tych wszystkich przysmaków, które kupiła, z niechęcią przeżuła tylko kilka sucharków. Jakie szczęście, że nie przyjęła zaproszenia Vivian na grilla! Nawet mając na uwadze umówione spotkanie – albo właśnie dlatego – Ryan pewnie zniknąłby bez słowa wyjaśnienia, Nora zaś mogłaby strzepić sobie język, by usprawiedliwić przed Vivian jego nieobecność. Wiedząc, że Vivian i tak by jej nie uwierzyła. W takich przypadkach instynkt jej nie zawodził.

W końcu zapadła noc, a Nora wciąż siedziała w salonie przy otwartym na oścież oknie. Nawet po zapadnięciu zmroku na zewnątrz panował upał, co najmniej dwadzieścia trzy stopnie. Właściwie była to urocza noc. Można by odkorkować butelkę czerwonego wina, można by razem obserwować gwiazdy i rozmawiać. Miast tego siedziała samiuteńka jak palec. Zazwyczaj było jej przykro, że Ryan nie uznawał za konieczne choćby uprzedzić jej o swej nieobecności. Powiedzieć, że

wychodzi, powiedziec, dokąd w ogóle zamierza pójść. Choć mogła się tego domyślić. Prawdopodobnie znów był u Debbie w Swansea. Nora powoli zaczynała tej kobiety nienawidzić. I zaczynała nienawidzić także Ryana, lecz w ów głęboko nieszczęśliwy sposób, w jaki się nienawidzi człowieka, od którego oczekuje się ciepła, wsparcia i bliskości – oczekuje daremnie. Była nim rozczarowana, czuła się upokorzona, lecz nie potrafiła porzucić nadziei, że pewnego dnia przyjmie on rolę, w jakiej tak desperacko pragnęłyby go ujrzeć: stojącego u jej boku mężczyzny. Przyjaciela, życiowego partnera.

Słowa *mąż* nie odważyła się wypowiedzieć nawet w myślach.

Popadł w okropne tarapaty, to nie ulegało wątpliwości. Kiedy wraz z upływem nocy zmartwienia Nory coraz bardziej przeobrażały się w agresję, zaczęła się zastanawiać, skąd brał tę czelność, by znalazłszy się w takim położeniu, odrzucać jedyną wyciągniętą ku niemu pomocną dłoń. Potrzebował pięćdziesięciu tysięcy funtów, istniał tylko jeden sposób, by pozyskać tę sumę – zwrócić się do jego ojczyma. Bradley Beecroft nie zrobi tego, żeby wyciągnąć Ryana z opałów. Nora wiedziała jednak, że zaskarbiła sobie jego sympatię, przypuszczała, że również Ryan był tego świadomy. Mógł żywić nadzieję, że ona wstawi się za nim u Bradleya. Być może zdoła wyczarować od niego te pieniądze. Ryan sprawiał wrażenie, jakby się tym w ogóle nie przejął – ona tak bardzo się dla niego stara, on zaś traktuje ją jak wycieraczkę.

Norę ogarnęła w końcu taka wściekłość, że gdy około pół do pierwszej w nocy otworzyły się wreszcie drzwi do mieszkania i pojawił się w nich Ryan, zapomniała o wszelkich swych dobrych zamiarach. Nie chciała czynić mu wyrzutów, lecz chybaby pękła, gdyby jego podłe zachowanie nagrodziła teraz łagodnym uśmiechem.

Skoczyła ku niemu i chętnie wymierzyłaby mu policzek, zdołała jednak nad sobą zapanować. Zamiast tego wyrzuciła z siebie te słowa, których koniecznie chciała uniknąć.

– Skąd wracasz? Gdzie, do cholery, *tak długo* byłeś?

Powiesił na haczyku kluczyki do samochodu.

– Byłem u Debbie – odparł. Spojrzał na nią. – Coś jeszcze?

– Owszem. U Debbie? Tak długo? Nie mówiąc mi ani słowa?

– Nie muszę ci o wszystkim meldować. Już o tym rozmawialiśmy. Mam udawać, że nadal siedzę w więzieniu i tylko od czasu do czasu dostaję przepustkę?

– To nie jest więzienie – powiedziała Nora.

– Ale ty zachowujesz się jak więzienny strażnik!

Pałała taką wściekłością, że powietrze zaczęło jej drgać przed oczami.

– Jak więzienny strażnik? I ty mi to mówisz? Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam? Co wciąż dla ciebie robię?

– A cóż takiego robisz? – W jego głosie także pobrzmiwała z trudem powstrzymana złość. – Przyjąłeś mnie do swojego mieszkania, ale partycypuję we wszystkich kosztach. Pozwalasz mi korzystać z samochodu, ale nie zużyłem ani kropli benzyny, za którą bym nie zapłacił. Jasne, bez ciebie żyłoby mi się gorzej. Ale podobnie i tobie beze mnie. Bo nie znosisz samotności i rozkoszujesz się chwilą, gdy możesz się chełpić przed znajomymi, że masz wreszcie u swego boku mężczyznę. Nawet jeśli to były więźni. Zawsze lepsze to niż nic, przynajmniej w twoich oczach. Więc nie opowiadaj mi o swojej ofiarnej bezinteresowności, jaką się kierujesz!

– Jak możesz... – zaczęła, lecz urwała w pół słowa, zamilkła bezradna, gdyż nie wiedziała, co powiedzieć. I dlatego, że miał rację. Nie do zniesienia była dla niej myśl, że mógłby ją porzucić i tym samym zniszczyć obraz, jaki stworzyła, przynajmniej dla publiczności: Nora i Ryan. Ryan i Nora. *Ja też mam kogoś, kto do mnie należy.*

Złość uszła z niej niczym powietrze z balonu, poczuła się bezsilna, mała, znużona.

– Proszę – szepnęła – nie traktuj mnie w ten sposób.

Spojrzał na nią zdumiony. Kiedy wchodził do mieszkania, czekała nań kobieta przepełniona agresją, gniewna niczym szerszeń. W ciągu sekundy agresja zniknęła. Nigdy jeszcze nie widział tak urażonej Nory.

– U Debbie byłem krótko – powiedział. Kiedy Nora była wzburzona, zazwyczaj chodziło o Debbie, tak bardzo zrobiło mu się przykro, że

postanowił wyciągnąć przynajmniej *ten jeden* cierń. – Dziś wieczorem. Zajrzałem tylko, ale czuła się dobrze, siedziała przed telewizorem i właściwie nie chciała, by jej przeszkadzano. Znów pracuje.

– A gdzie byłeś przez resztę czasu?

– Ach – wykonał nieokreślony ruch ręką. – To tu, to tam. Jeździłem po okolicy, odwiedzałem miejsca, które znam z dawnych czasów, rozmyślałem. Tyle mam problemów na głowie. Tęsknię za samotnością, kiedy dopadają mnie kłopoty.

Łagodnie dotknęła jego ramienia. Dotyk jego skóry był tak miły, często o tym myślała.

– Tak naprawdę masz tylko jeden problem, Rynie. Damona i jego żądania. Jeśli się z tym uporamy, świat będzie wyglądał zupełnie inaczej.

– Tak, ale z tym nie sposób się uporać. Przemyślałem twoją propozycję, Noro. Daję głowę, że Bradley nigdy w życiu nie wyłoży dla mnie tych pieniędzy. Nawet przez wzgląd na ciebie czy moją matkę. Bo doskonale wie, że nigdy ich nie odzyska. Musiałby wziąć zastaw pod hipotekę, musiałby płacić za to odsetki i nigdy w tym życiu nie otrzymałby z powrotem całej sumy, gdyż musiałby żyć co najmniej sto trzydzieści lat, by tego doczekać. Ileż zarabiam w tym nędznym ksero? Nawet gdybym ograniczył wydatki do minimum, potrwa to dziesiątki lat, zanim uzbieram pięćdziesiąt tysięcy. Jeśli także Bradley naliczałby sobie odsetki, do czego miałby święte prawo, potrwałoby to jeszcze dłużej.

– Nie będziesz wiecznie pracował w tym ksero. Jestem pewna, że znajdziesz lepiej płatne zajęcie, a wtedy...

– Jesteś naiwna – przerwał jej. Przeszedł obok niej do pokoju dziennego, opadł na fotel. W blasku lampy podłogowej Nora zauważyła, jak bardzo jest znużony i udęczoney. Nagle pożałowała złości, z jaką go powitała. Ten człowiek z całą pewnością miał za sobą ciężki dzień. Był ścigany, zaszczuty. Stał pod ścianą, dręczoney śmiertelnym strachem, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa był w pełni uzasadniony.

– Jesteś trochę naiwna, Noro – powtórzył. – Inne zajęcie? Sądzisz, że łatwo znaleźć pracę człowiekowi, który dwa i pół roku siedział za kratkami? A i wcześniej był już karany? Nawet jeśli pewnego dnia rzucę pracę w tym cholernym ksero, następna posada z pewnością nie przyniesie mi wyższych zarobków. Zapomniałaś już, że praktycznie nic nie potrafię? Nie ukończyłem szkoły. Nie wyuczyłem się żadnego zawodu. Nie mam żadnych świadectw, gdyż miałem się prac dorywczym, o ile akurat nie zdobywałem pieniędzy przez włamania i kradzieże. Mój kurator sądowy omal nie zemdleł ze szczęścia, gdy Dan, to ścierwo, zaoferował mi pracę w swoim zakładzie. Wie bowiem, że jestem praktycznie niezatrudnialny. A wracając do Bradleya – on także o tym wie. Stary nie jest taki głupi. I on miałby dla mnie wyłożyć na stół pięćdziesiąt tysięcy funtów? Zapomnij!

– Musimy przynajmniej spróbować – powiedziała Nora. – Bo nie mamy innej szansy. Jestem jeszcze ja. Mam stałą pensję. Zaręcę Bradleyowi, że dostanie z powrotem swoje pieniądze.

Spojrzał na nią. Zauważyła migotliwe błyski w jego oczach.

„Świadomość, że jest ode mnie uzależniony, doprowadza go do wściekłości” – pomyślała.

– Proszę, Ryan. Pozwól sobie pomóc. Ja... niczego za to nie chcę.

– Chcesz przynajmniej, żebym z tobą został.

– Tak. Ale nic więcej. Ja... – *Jestem od dawna w tobie zakochana* – pomyślała – *i chciałabym się dowiedzieć, czy twoja skóra wszędzie jest taka cudowna w dotyku jak na dłoniach i ramionach.*

– Nie chcę od ciebie nic oprócz przyjaźni – dokończyła, dziwiąc się, że się tym kłamstwem nie udławiła.

Po raz pierwszy od powrotu tej nocy do domu uśmiechnął się, nie sprawiał jednak wrażenia szczęśliwego, lecz absolutnie zrezygnowanego.

– Nie możesz mi pomóc, Noro. Nikt nie może. Ale dziękuję ci, że się starasz.

Zasnęłam dopiero nad ranem, gdy przez okna dachowe napłynęło do mojego mieszkania nieco chłodniejsze i świeższe powietrze. Kiedy się obudziłam, było już po ósmej. Najpierw spojrzałam na telefon, lecz nie dostałam żadnego SMS-a, nikt też nie próbował się do mnie dodzwonić. Również na automatycznej sekretarce nie pozostawiono żadnej wiadomości. Zadzwoiłam do Kena, odebrał po pierwszym sygnale. Widocznie czuwał przy telefonie, a to nie był dobry znak.

– Nie masz żadnych wieści od Alexii? – zapytałam od razu, choć było to raczej stwierdzenie.

– Nie – odezwał się Ken okropnie znużonym głosem. – Przez całą noc wydzwaniałem do niej na komórkę. Pomyślałem, że w końcu ją to zdenerwuje, ale... niestety.

– Może ją wyłączyła. Mój Boże, Ken, ani na chwilę nie zmrużyłeś oka, prawda?

– Próbowałem. Ale nie mogłem spokojnie uleżeć. Więc znowu wstałem, parzyłem jedną kawę za drugą i próbowałem się dodzwonić do mojej żony. Jenno, to wszystko jest... Coś tu nie gra!

– Czekał, zaraz u ciebie będę – zaproponowałam.

– Nie dam rady po ciebie wyjechać – odparł Ken – Alexia zabrała samochód.

– Żaden problem, przyjadę autobusem. To na razie!

Odłożyłam słuchawkę, pognałam do łazienki, wzięłam prysznic, ubrałam się, zaparzyłam sobie szybkie espresso i już byłam gotowa do wyjścia. Włosy miałam jeszcze wilgotne, gdy opuszczałam mieszkanie.

Gdy byłam w drodze na przystanek autobusowy, zadzwoniła moja komórka. Matthew chciał mi życzyć udanego dnia. Sądził, że jestem w drodze do Pembrokeshire Coast National Park; przeraził się, słysząc,

co się stało.

– Gdzie teraz jesteś? – zapytał.

– Na przystanku – wyjaśniłam. – Jadę do Kena. Jest u kresu sił.

– Przyjadę tam – odparł Matthew. – Na razie!

W niedzielę wszystkie autobusy kursują znacznie rzadziej niż zwykle, czekałam więc w nieskończoność, nim nadjechał właściwy numer. Kiedy dotarłam do domu Kena, Matthew już tam był. Obaj siedzieli przy kuchennym stole, pili kawę i z powagą na twarzach omawiali sytuację. Max leżał pośrodku pokoju dziennego, Evan drapał go po brzuchu.

Matthew sprawiał wrażenie, jakby czuł na sobie ciężar winy. To on wpadł na pomysł, żeby pojechać do Cardigan Bay, a potem przenocować w Newport, postrzegał siebie jako tego, który poruszył ów fatalny kamień. Od razu zaoponowałam.

– Nie. Tego nie mogłeś przewidzieć. Nie widziałeś Alexii od tygodni, nie wiedziałeś, jak z nią źle. Powinnam się była domyślić, że błędem było przesuwac uzgodniony termin. Alexia ma zszargane nerwy, już dawno to zauważyłam. A mimo to niewłaściwie oceniłam sytuację. Strasznie mi przykro.

Ken spojrzał znad swojej filiżanki kawy. Widać po nim było, że przez całą ostatnią noc nie zmrużył oka.

– Jenno, proszę, nie rób sobie wyrzutów. I ty także, Matthew. Zachowaliście się całkiem normalnie. Alexia zareagowała zbyt gwałtownie, ale to nie wasza wina. Nikt nie mógł przewidzieć, że dostanie takiego kręcka. Jeśli ktokolwiek ponosi za to odpowiedzialność, to tylko ja. To ja byłem z nią w piątek wieczorem. W żadnym razie nie powinienem był jej pozwolić na wyjazd.

Matthew potrząsnął głową.

– Dlaczegoż miałbyś ją powstrzymywać, Ken? Chciała jechać, nie miałeś prawa jej tego zabronić. Ani sposobności.

Ken westchnął. Wyglądał tak, jakby głowa miała mu lada chwila opaść na blat stołu. Zasnąłby natychmiast mimo wszelkich trosk i zmartwień. Ledwie zdołał unieść powieki.

– Ken, połów się na godzinę – zaproponowałam. – Matthew i ja zajmujemy się wszystkim. Proszę. Nikomu to nie pomoże, jeśli w pewnej chwili padniesz ze zmęczenia.

Ken był tak znużony, że bez słowa sprzeciwu posłuchał mojej prośby. Kiedy zniknął w sypialni na górze, Matthew i ja spojrzeliśmy na siebie.

– To może być zupełnie niewinny przypadek – powiedziałam. – Znam Alexię. To absolutnie możliwe, że ona to wszystko zainscenizowała, bo jest zwyczajnie wściekła i wzburzona. Przed wyjazdem pokłóciła się z Kenem. Dał jej wyraźnie do zrozumienia, że jego zdaniem zupełnie zblizowała. Czegoś takiego Alexia nie da sobie powiedzieć, musiała odpowiednio zareagować.

– Miejmy nadzieję – mruknął Matthew. Po wszystkim, co przeżył, był mniejszym optymistą w kwestii szczęśliwych zakończeń fatalnych historii. Widziałam po nim, że bardzo się martwi.

Kiedy Ken spał, Matthew wyszedł z Maxem na spacer, zabrał też z sobą Kaylę i Meg, najstarsze dzieci Reece'ów. Ja zajęłam się maluchami, poza tym wysprzątałam kuchnię i załadowałam pralkę, przed którą piętrzyły się stosy brudnych ubrań. Kiedy po trzech godzinach pojawił się Ken, kuchnia wyglądała czysto i schludnie, pachniało świeżo zaparzoną kawą, stojak z rozwieszonym praniem stał w słońcu na tarasie, dzieci dostały kakao i naleśniki, ja zaś znalazłam jeszcze dość sił, by odkurzyć pokój dzienny. Potem jednak padałam ze zmęczenia. Nigdy nie sądziłam, że utrzymanie porządku w domu z czwórką dzieci może być tak wyczerpujące. Przez cały dzień spędzony w redakcji człowiek nie był narażony na taki hałas i stres, jak w ciągu jednej tylko godziny w domu Reece'ów.

– Gdzie Matthew? – zapytał Ken. Wyglądał nieco lepiej, lecz strach i zmartwienie aż biły z jego oczu.

Wskazałam za okno, gdzie Matthew zajął się naprawą zepsutego auta zabawki Evana.

– Panujemy nad wszystkim – odparłam. – Możesz się jeszcze zdrzemnąć.

Potrząsnął głową.

– Przemyślałem to. Nie będę dłużej czekać. Idę na policję.

– Wiesz, że Alexia może za parę godzin stanąć w progu cała i zdrowa – poddałam mu pod rozwagę.

– Mimo wszystko pójdę. Wtedy po prostu odwołam alarm. Muszę coś zrobić, Jenno. Inaczej zwariuję.

Rozumiałam go. Matthew zaproponował, że będzie mu towarzyszył, Ken był mu za to wdzięczny. Obaj pojechali samochodem Matthew na najbliższy komisariat policji, by tam zakłócić dyżurującemu funkcjonariuszowi niedzielną ciszę. Tak to sobie przynajmniej wyobrażałam. Słoneczny dzień wydawał się taki błogi. Trudno było podejrzewać, że gdzieś indziej może panować bardziej gorączkowa atmosfera niż na tym drzemającym w ciszy osiedlu. Abstrahując od hałasu, jaki robiły dzieci Alexii. Ten jednak zdawał się nieodłącznym elementem owego dnia, niczym świergot ptaków i brzęczenie pszczoł.

Jak można było przewidzieć, Matthew i Ken wrócili raczej sfrustrowani niż pokrzepieni. Na komisariacie panował znacznie bardziej ożywiony ruch niż się spodziewali. Zarówno niedziela, jak i niezwykle ciepła aura najwyraźniej powodowały, że w wielu rodzinach dochodziło do eskalacji konfliktów, wskutek czego wzywano na pomoc policję. Uplłynęło sporo czasu, zanim znaleźli funkcjonariusza, który spisał zgłoszenie zaginięcia. Nie wyglądało jednak na to, by – jak relacjonował zdeprymowany Ken – zdecydowano się wszcząć poszukiwania Alexii. Policjant wszystko zanotował, zwrócił wszakże uwagę na to, że jest jeszcze za wcześnie, by zakładać jakieś nieszczęście, tym bardziej że Ken, obdzwoniwszy okoliczne szpitale, sam potwierdził, iż nie trafił tam nikt, kto by odpowiadał opisowi Alexii.

– W ten weekend nie wydarzył się w okolicy żaden większy wypadek – stwierdził policjant. – Choćby dlatego możemy z wszelkim prawdopodobieństwem wykluczyć tego rodzaju zdarzenie.

– A potem oczywiście zapytał, czy się pokłóciliśmy – dodał Ken.

– Również w moim przypadku to było jedno z pierwszych pytań – przyznał Matthew. – Denerwujące jest to, że od momentu, gdy tylko

wspomni się o kłótni, oni wszyscy rozsiadają się wygodnie w fotelach. Bo wychodzą z założenia, że zaginione osoby świadomie szukają wówczas dystansu, a kiedy fale złości opadną, same wracają do domu. Jeśli zaś upłynie zbyt dużo czasu, a zaginiony się nie pojawia, z miejsca wskazują na oczywistego podejrzanego: partnera, który podczas sprzeczki stracił nad sobą panowanie. Wydaje mi się, że to wciąż ten sam scenariusz.

Ken spoglądał z jeszcze większą rozpaczą w oczach.

– Może w ogóle nie powinienem był wspominać o kłótni.

– Skądże – zaproponował Matthew. – W każdym przypadku najlepiej mówić prawdę. Postąpiłeś słusznie, Ken.

– I jakie działania teraz podejmą? – zapytałam.

Matthew wzruszył ramionami.

– Będą czekać. Funkcjonariusz dał nam wyraźnie do zrozumienia, że w żadnym wypadku nie wyśle od razu całej sotni na poszukiwanie Alexii. Od zaginięcia nie upłynęło jeszcze dość czasu, poza tym uważa za wielce prawdopodobną możliwość, że jej wyprawa w poszukiwaniu plenerów się przedłużyła, do męża zaś nie dzwoni, gdyż wciąż żywi do niego urazę. Nie wziął tego wszystkiego na zbyt poważnie, również dla nas to dobry znak. Z pewnością ma doświadczenie w takich sprawach.

Chciał pocieszyć Kena, wiedziałam jednak, że nie był w swych słowach zupełnie szczery. Akurat Matthew miał niewielkie zaufanie do działań policji. Kiedy zgłosił zaginięcie Vanessy, także grali na zwłokę, z początku bagatelizując całe zdarzenie. Później to na niego skierowali podejrzenia o popełnienie przestępstwa, a w końcu odłożyli sprawę do akt, nie posunąwszy się w śledztwie ani o krok. Kto się na gorącym sparzy... Mimo to Matthew ze wszystkich sił starał się nie dać tego po sobie poznać.

– Bądź co bądź – przyznał Ken – ten policjant uznał, że postąpiliśmy słusznie, zgłaszając zaginięcie. Jeśli teraz zdarzy się cokolwiek, co mogłoby mieć jakiś związek z naszą sprawą, od razu będzie wiedział, kogo powiadomić. Oznacza to jednak, że pozostało nam jedynie czekać.

Dzień mijał ślamazarnie i męcząco. Zrobiło się nieznośnie duszno.

Dzieci kłóciły się i narzekały. Chciały koniecznie rozłożyć brodzik, lecz po przeprowadzonym przez Evana ataku rzutkami Ken musiał go wyrzucić, a nowy nieprędko miał się pojawić, o czym im srogim głosem przypominał. Meg i Evan odpowiedziały krzykiem. Wpadłam w końcu na pomysł, by rozwinąć wąż ogrodowy i pozwolić dzieciom skakać pod strumieniem wody, co przejściowo poprawiło nastroje. Ken i Matthew zastanawiali się, czy nie wyruszyć samochodem na poszukiwanie Alexii, zarzucili jednak ten pomysł, gdyż obszar, jaki wchodził w rachubę, był zbyt rozległy, a szanse na sukces poszukiwań zbyt mizerne. Nastawiłam kolejne pranie, próbując tymczasem dodzwonić się do Alexii. Jednakże cały czas zgłaszała się jedynie poczta głosowa.

Pod wieczór niebo spochmurniało, w oddali huknął grzmot. Uprzątnęliśmy zabawki, buty, kostiumy kąpielowe, szklanki po soku oraz wszystkie pozostałe przedmioty, jakie w ciągu dnia wyniesiono z domu do ogrodu. Kiedy się z tym uporaliśmy, nad naszymi głowami zbierały się już groźnie czarne chmury. Czekala nas gwałtowna burza. A Alexia wciąż nie wracała.

Na kolację była mrożona pizza, lecz nikt prócz dzieci nie miał apetytu. Ken trzymał Sianę na kolanach i wkładał jej do ust drobne kawałki posmarowanych masłem tostów. Matthew głaskał Maxa, który bał się burzy i dygotał na całym ciele. Pokroiłam dzieciom pizzę. Za oknami szumiał deszcz. Niebo wciąż rozświetlały błyskawice, po których rozlegał się huczący grzmot. Siedząc razem w kuchni, bezpieczni i niezmoknięci, moglibyśmy się cieszyć przytulną atmosferą. Nikt z nas jednak jej nie czuł. Wręcz przeciwnie: inferno na zewnątrz wzmagalo w nas strach.

Dokładnie o ósmej rozległ się dzwonek do drzwi. Drgnęliśmy wszyscy i spojrzeliśmy po sobie.

– Alexia! – krzyknęłam, zrywając się z miejsca.

– Przecież ma klucz – odparł Ken.

Wszyscy rzuciliśmy się ku drzwiom. Dobiegłam pierwsza i otworzyłam je. Przede mną stała kobieta z mokrymi włosami i plamami wilgoci na ubraniu. To nie była Alexia.

Bez słowa zrobiła krok naprzód, chcąc się schronić przed niesłabnącymi strugami deszczu. Wyciągnęła przy tym legitymację.

– Detektyw inspektor Olivia Morgan. South Wales Police, Swansea CID.

CID. Criminal Investigation Department. Przełknęłam sucho i nagle zaszumiało mi w uszach. Nie za sprawą deszczu. Lecz strachu.

– Który z panów to Mr Kendal Reece? – zapytała inspektor Morgan.

Odwróciłam się. Ken stał za mną, tuż obok Matthew. Wciąż trzymał na ręku Sianę. Wokół jej ust przykleiły się okruchy tostów, promiennym wzrokiem spojrzała na policjantkę. Ken poszarzał na twarzy.

– To ja – odparł. – Jestem Kendal Reece.

Inspektor Morgan wsunęła legitymację z powrotem do kieszeni i odgarnęła z czoła mokre włosy.

– Zgłosił pan dzisiaj zaginięcie żony.

– Zgadza się – potaknął Ken.

Morgan westchnęła.

– Chyba zaszło tu coś dziwnego – wyjaśniła.

Policja znalazła samochód Alexii. Ściśle mówiąc, zgłoszono im to. Zameldowała o tym pewna rodzina, której wydało się dziwne, że na parkingu stoi samochód z otwartymi drzwiami. Kluczyki tkwiły w stacyjce. Na siedzeniu pasażera leżała torebka oraz torba fotograficzna z aparatem, poza tym gruby kołonośnik i kilka długopisów. Na podłodze przed siedzeniem leżały okulary przeciwsłoneczne. Jak okiem sięgnąć, samej Alexii ani śladu.

Nie miałam odwagi spojrzeć na Matthew, gdy policjantka opisywała sytuację. Jej słowa musiał odebrać jak jakiś kiepski żart.

Siedzieliśmy w pokoju dziennym. Ken zdołał zająć dzieci na górze, włączając im w sypialni telewizor i film na DVD. Sianę ułożył w łóżeczku, na szczęście była tak zmęczona, że natychmiast zasnęła.

– Gdzie znaleziono samochód? – zapytał Ken.

Morgan ponownie odgarnęła z czoła mokre włosy. „Nie radzi sobie z nimi, prawdopodobnie nawet wtedy, gdy są suche” – pomyślałam. Zarazem dziwiłam się samej sobie. Czy to teraz istotne? Być może jednak człowiek ucieka w banalne myśli, gdy zdarzenia wprawiają go w osłupienie.

– Na parkingu w Pembrokeshire Coast National Park – wyjaśniła Morgan – dość odosobnionym. Najbliższa większa miejscowość to Fishguard, ale nawet ją dzieli od tego miejsca spory kawałek drogi. Właściwie ta sprawa powinna podlegać Dyfed Powys Police, ale... przed trzema laty odnotowano niemal identyczny przypadek. Na tym samym parkingu. Pewna kobieta zniknęła stamtąd bez śladu, znaleziono jedynie samochód, a w środku wszystkie jej rzeczy. Pochodziła z Mumbles, prześwietlono jej sytuację życiową. Dochodzenie poprowadziła ostatecznie South Wales Police. A teraz sprawa znów

dotyczy kobiety z tego regionu, do tego jeszcze te zaskakujące podobieństwa. To dlatego nas o tym powiadomiono.

Nikt się nawet nie poruszył. W pokoju zapanowała grobowa cisza. Spojrzałam na Matthew. Sprawiał wrażenie bardziej opanowanego niż można by się spodziewać.

– Znam tę sprawę – powiedział. – Jestem mężem kobiety, która wówczas zaginęła. Matthew Willard.

Inspektor Morgan wpadła w osłupienie.

– To pan jest... To niemożliwe! – rzekła skonsternowana.

– Pani nie zajmowała się wówczas dochodzeniem – odparł Matthew.

– Zapamiętałbym. Przez niemal pół roku praktycznie codziennie rozmawiałem z policją.

– Nie, jestem w tej jednostce dopiero od początku roku – wyjaśniła Morgan. – Ale znam tę historię. – Obrzuciła nas wszystkich spojrzeniem. Jej wzrok zatrzymał się na mnie. – Pani jest...?

– Jenna Robinson – odparłam. – Jestem...

– Jenna Robinson jest ze mną – wyjaśnił Matthew.

– Rozumiem.

Było jednak oczywiste, że w tej chwili Morgan niewiele rozumiała. Można się było o tym przekonać, patrząc na jej czoło.

– Jesteście państwo zaprzyjaźnieni? – zapytała w końcu. – To znaczy, Mr Willard, jest pan zaprzyjaźniony z rodziną Reece'ów?

– Tak – przytaknął Matthew.

– Ja również – dodałam. – Poza tym pracuję razem z Alexią Reece. Alexia jest redaktorką naczelną „Healthcare”, a ja jestem tam zatrudniona.

– Rozumiem – powtórzyła Morgan. Zapisała coś nerwowo w niewielkim notatniku, który wyciągnęła z torebki.

– A zatem to nie może być przypadek – powiedziała. – Mr Willard, dlaczego pan tu jest? Jak dobrze zna pan Mrs Reece? Co się dokładnie stało?

Matthew naszkicował krótko sytuację. Opowiedział, że zna Reece'ów od dawna, Vanessa zaś i Alexia blisko się przyjaźniły. Że po zniknięciu Vanessy znalazł u Alexii i Kena pocieszenie i wsparcie. Że

w marcu Alexia poznała go ze mną na kolacji. A teraz jesteśmy tutaj, by wesprzeć Kena, który od sobotniego ranka nie miał żadnych wieści o swojej żonie i zaczął się bardzo niepokoić.

Następnie to ja zabrałam głos. Opowiedziałam o zadaniu, które powierzyła mi Alexia, a które miałam wykonać w sobotę. Jako że nie było to możliwe z powodu piątkowego pogrzebu teściowej Matthew, wysłałam jej SMS-a z wiadomością, że na poszukiwanie plenerów udam się dzień później.

– Chciałam się u niej zjawić dziś z samego rana – wyjaśniłam – i pożyczyć od niej samochód. Nie mam niestety własnego. Ale... wczoraj późnym wieczorem zadzwonił do mnie Ken i powiedział, że Alexia już tam pojechała. W sobotę. W dniu, w którym sama pierwotnie planowałam wyruszyć.

Morgan zmarszczyła czoło.

– Czy dobrze rozumiem? Tak naprawdę to Miss Robinson miała tam wczoraj pojechać? Samochodem Reece'ów?

– Tak – potwierdził Ken.

– Kiedy dokładnie ta rodzina znalazła samochód Alexii? – zapytał Matthew. Szybciej niż pozostali zrozumiał, jakie myśli krążą po głowie inspektor Morgan.

– Wczoraj późnym popołudniem – poinformowała Morgan. – Sami zostawili tam swój samochód i udali się do parku. Zamierzali wędrować do późnego wieczora, następnie przenocować w pensjonacie i wrócić dopiero następnego dnia. Zwrócili uwagę na samochód Mrs Reece, ponieważ drzwi od strony kierowcy były otwarte, pomyśleli jednak, że kierowca przebywa gdzieś w pobliżu. Dopiero dziś po południu, gdy wrócili z wycieczki i zastali samochód w takim samym stanie, zaczęli się zastanawiać. Odkryli również torebkę i zauważyli, że kluczyki tkwią w stacyjce. Wtedy powiadomili policję. Funkcjonariusze sprawdzili dane Alexii Reece i szybko stało się jasne, że chodzi o kobietę ze Swansea, której zaginięcie zgłosił kilka godzin wcześniej jej mąż. Tak, i do tego jeszcze to dziwne podobieństwo do przypadku sprzed trzech lat... Wszczęto alarm.

– To znaczy – odezwał się Matthew – że cokolwiek przydarzyło się Alexii, stało się to wczoraj. W porze między rankiem, kiedy wyjechała, a późnym popołudniem, kiedy tamta rodzina zauważyła na parkingu samochód.

– Tak, prawdopodobnie tak – przyznała Morgan.

– Stało się to w dniu, w którym to właściwie Jenna miała wyruszyć w drogę. Tym samym samochodem.

Matthew i policjantka spojrzeli po sobie.

– Znowu – rzekł Matthew – znowu miało się to przytrafić kobiecie blisko ze mną związanej.

Ken również się domyślił.

– Sądziś, że cokolwiek się stało, w rzeczywistości chodziło o Jennę?

– O mnie? – zapytałam osłupiała.

– Albo ostatecznie o Matthew Willarda – powiedziała Morgan. – Być może to on jest osiłą tej historii, muszę jednak przyznać... że to zupełnie zagadkowe. Całkowicie niezrozumiałe. Nie możemy tracić z oczu faktu, że gdyby wszystko potoczyło się zgodnie z planem, to Jenna Robinson pojechałaby wczoraj do Coast Park, a jednak nie wolno nam również pozwolić, by ta okoliczność zaciemniła nam obraz sytuacji.

Wszyscy przytaknęliśmy, jakbyśmy byli jej uczniami, ona zaś właśnie odkryła przed nami tajniki policyjnego rzemiosła. Prawdopodobnie usiłowała jedynie uporządkować w pewnym stopniu własne myśli. Sprawa bez wątplenia okazała się bardziej zagmatwana niż to sobie wyobrażała.

– Faktem jest – ciągnęła – że Alexia Reece zniknęła. Musimy się dowiedzieć, co jej się przytrafiło. – Potem, zwracając się do Kena, następane pytanie zadała nieoczekiwanie ostro: – Koledze w komisariacie powiedział pan, że pańska żona wyszła wczoraj z domu wczesnym rankiem, o godzinie siódmej. I że się przedtem pokłóciliście, czy tak?

Pomyślałam o tym, co przepowiedział Matthew: kłótnia między Kenem i Alexią stała się dla policji pretekstem.

– Z mojego punktu widzenia nie była to właściwie żadna kłótnia – odparł Ken. – Uznałem jedynie za całkowitą przesadę, że zdecydowała

się sama jechać, zamiast zaufać słowom Jenny, że wróci następnego dnia i załatwi tę sprawę. Zarzuciła mi wówczas, że nie mam krzty zrozumienia dla jej sytuacji. A potem trzasnęła drzwiami i gwałtownie uruchomiła samochód, silnik aż zawył. Wtedy przekonałem się, jak bardzo była poirytowana. Ja sam poczułem jedynie... przygnębienie.

– Co miała na myśli pańska żona, mówiąc, że nie ma pan zrozumienia dla jej sytuacji? – zapytała inspektor Morgan.

Ken spojrział na mnie bezradnie. Pospieszyłam mu na ratunek.

– Alexia była ofiarą mobbingu – wyjaśniłam – i to ze strony właściciela czasopisma, którego jest naczelną. Było oczywiste, że zamierza ją zwolnić. Nie ceni kobiet na kierowniczych stanowiskach, toteż Alexia nie ma praktycznie żadnych szans na zachowanie posady. On *nie chce* uznać jej zasług. „Health care” straciło kilku reklamodawców, odeszło trochę abonentów, lecz podobnie dzieje się w przypadku innych gazet. To nie wina Alexii. On jednak straszy się na nią zawzięty, i z tego powodu Alexia jest zrozpaczona.

– Pracuje dzień i noc – dodał Ken – we wszystkie weekendy. Nocami źle sypia i ciągle się zamartwia. Dokłada wszelkich starań, by zadowolić swego szefa, i nie zauważa, że tu wcale nie o to chodzi. Znalazła się na liście osób do odstrzału. Tak czy siak.

– Jak się nazywa ten szef? – zapytała Morgan.

Podaliśmy jego nazwisko, powiedziałam, że mieszka w Londynie.

– Niemniej jednak nie sądzę, by był zamieszany w jej zniknięcie – dodałam. – W każdym razie nie potrafię sobie tego wyobrazić.

– Skoro Alexia Reece znalazła się pod tak ogromną presją – stwierdziła Morgan – możliwe, że... – Zawahała się.

Ken domyślił się, do czego zmierza.

– Sugeruje pani, że może zrobić coś... nieprzemyślanego?

– Tak. O tym właśnie myślę. Mówicie państwo o mobbingu. Jeśli rzeczywiście chodzi tu o mobbing, wówczas to poważna sprawa. Wiele samobójstw popełnianych jest z tego powodu.

Słowo *samobójstwo* zawisło w pokoju niczym okropna woń, szokująca i budząca niepokój.

– Ona ma... mamy czwórkę dzieci – rzekł w końcu cicho Ken. – Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby... mogła zrobić coś takiego.

– I pojechałaby akurat na parking, z którego trzy lata wcześniej zniknęła jej przyjaciółka? – zapytałam.

Morgan wzruszyła ramionami. Znowu zanotowała sobie kilka informacji.

– Z czystej formalności muszę pana zapytać, Mr Reece, co pan robił wczoraj przez cały dzień? Był pan w domu?

– Tak. Jak już wspomniałem, mamy czwórkę dzieci. Nie mogę ot tak, po prostu wyjść z domu. Dość wcześnie, przed południem, poszliśmy na zakupy, ale tylko do warzywniaka, ulicę dalej. Z pewnością nas tam pamiętają. Było to około dziewiętej, może kilka minut później. Poza tym... – uniósł bezradnie ręce – siedzieliśmy w domu. Głównie w ogrodzie, bo pogoda dopisała. Myślę, że widzieli nas sąsiedzi. Mam oczywiście za świadków dzieci, ale one się pewnie nie liczą.

– Jeśli pańskie dzieci potwierdzą, że był pan przez cały czas z nimi, ma to oczywiście znaczenie – stwierdziła Morgan. Rozejrzała się po pełnym zabawek pokoju. Wielokrotnie tego dnia sprzątałam, lecz mimo to znowu panował wokół nas ogromny bałagan.

– Pańska żona jest redaktorem naczelnym czasopisma, Mr Reece. Czy to głównie pan zajmuje się dziećmi?

– Tak. Obecnie nigdzie nie pracuję.

– Znaczy to, że jeśli pańska żona straci posadę, mógłby pan utrzymać rodzinę finansowo?

– Może nie od razu. Planuję napisać książkę o żaglowcach, ale jeszcze się do tego nie zabrałem. Wydawcy też jeszcze nie znalazłem. O tyle... To byłaby z początku pewna katastrofa. Mimo to poradziłem żonie, żeby złożyła wypowiedzenie. Nie może pozwolić, by tak ją traktowano.

– Najwyraźniej jej pracodawca na to liczy. To znaczy... że złoży wypowiedzenie – stwierdziła Morgan.

– Oczywiście. Wówczas nie musiałby jej wypłacić odprawy. To jedyny powód, dla którego sam jej jeszcze nie zwolnił! – dodałam

rozgniewana.

Morgan obrzuciła mnie srogim spojrzeniem.

– Choć wiedziała pani o desperacji przyjaciółki, nie dołożyła pani wszelkich starań, by wrócić na czas z tego pogrzebu? Czy to nie było możliwe?

Postanowiłam mówić całą prawdę. W przeciwnym razie popadłabym tylko w tarapaty.

– Owszem, to było możliwe. Lecz my... Była piękna pogoda, czuliśmy się sfrustrowani pogrzebem, pomyśleliśmy...

– Nie chcieliśmy od razu wracać do domu – wmieszał się Matthew – i pojechaliśmy do Cardigan Bay. Przenocowaliśmy w Newport, sobotę spędziliśmy głównie nad morzem. Wiedziałem, że Jenna powinna była wyruszyć w drogę w związku z tym reportażem, lecz podobnie jak ona uznałem, że przesunięcie wyjazdu o jeden dzień będzie zupełnie nieistotne. Widocznie oboje źle oceniliśmy stan psychiczny Alexii.

– Newport – zauważyła inspektor Morgan – leży niedaleko od miejsca, w którym znaleziono porzucony samochód Mrs Reece.

– Zgadza się – przyznał Matthew.

Morgan znów coś sobie zanotowała. Zastanawiałam się, czy my także trafiliśmy właśnie na jej listę podejrzanych. W dniu zaginięcia Alexii przebywaliśmy względnie blisko miejsca przestępstwa – jeśli takim mianem można określić ów parking – i nie mieliśmy żadnego przekonującego powodu, by się tam znaleźć, prócz tego, że nastąpiła piękna pogoda i nie chcieliśmy wracać do domu. Co sobie pomyślała o Matthew? Po raz drugi przebywał w pobliżu miejsca zagadkowego zdarzenia. Dobrze znał obie zaginione kobiety, z jedną był żonaty, z drugą od wielu lat zaprzyjaźniony. Ale jaki miałyby mieć motyw? Jaki motyw miałabym mieć *ja*?

Prawdopodobnie jednak inspektor Morgan nie dostrzegła jeszcze głównego wątku. Gromadziła informacje i miała ogromną nadzieję, że dozna oświecenia, że pojawi się jakaś genialna myśl, coś, co ją nagle wybawi z całego tego zamętu.

– Mr Willard – odezwała się – czy pan i Miss Robinson jesteście

parą?

Zawahał się jedynie przez ułamek sekundy.

– Tak.

– Czy ktokolwiek mógłby mieć coś przeciwko temu? Bądź co bądź los pańskiej zaginionej żony nie został do dziś wyjaśniony. Czy to możliwe, by pański związek z Miss Robinson budził czyjeś zgorznienie?

– Oczywiście – przyznał Matthew – to oczywiście możliwe. I chcę pani otwarcie powiedzieć, że krewni mojej żony, których spotkaliśmy na pogrzebie teściowej, bez ogródek okazywali brak zrozumienia. A jednak nie potrafię sobie wyobrazić, *absolutnie nie potrafię* sobie wyobrazić, żeby z tego powodu byli gotowi zastosować wobec Jenny przemoc. I przez przypadek zrobić coś Alexii. Abstrahując od tego, nikt z nich nie wiedział o planowanym reportażu, o zleceniu Jenny ani też o tym, że miała zabrać samochód Alexii. Nie, jestem pewien, że ta myśl prowadzi donikąd.

„Vanessa – przemknęło mi niespodziewanie przez myśl. – Jeśli ona wciąż żyje, byłaby przeciwko Matthew i mnie. Ale dlaczego nie miałyby się już dawno temu ujawnić? I czy mogłaby mnie pomylić z Alexią?”.

Być może jednak kwestia pomyłki nie powinna wykluczać określonych osób. Ktoś mógł wziąć za mnie kobietę siedzącą za kierownicą – gdyż on lub ona była pewna, że to *muszę* być ja. W trakcie napadu sprawca szybko spostrzegł swój błąd, nie mógł się jednak wycofać i musiał Alexię uciszyć.

– Kto wiedział o tym, że otrzymała pani to zlecenie, Miss Robinson?
– zapytała Morgan. – I że miała pani wziąć samochód Mrs Reece?

Zastanawiałam się przez chwilę.

– Sądzę, że tylko nieliczni w redakcji o tym wiedzieli – odparłam. – I prawdopodobnie nikt nie miał pojęcia, że mam wziąć samochód Alexii. Uzgodniłyśmy to między sobą. Oczywiście nie wiem, czy komuś o tym przypadkiem nie powiedziała.

– Pomówimy z każdym z pracowników „Healthcare” – oznajmiła inspektor Morgan. – Kto spoza redakcji o tym wiedział?

– Matthew i Ken. Nikt inny nie przychodzi mi do głowy.

A jednak coś nie dawało mi spokoju. Miałam nieokreślone przeczucie, że o kimś zapominam, w tej chwili jednak byłam bezradna, o kogo mogłoby tu chodzić.

– Cała ta historia jest bezsprzecznie zagadkowa – zauważyła Morgan. – Muszę wszystkich państwa prosić o pozostanie przez cały czas do mojej dyspozycji. Pojawi się pewnie jeszcze mnóstwo pytań.

– Jak pani przypuszcza, co się stało z moją żoną? – zapytał Ken. Przybycie inspektora Morgan oraz jej relacja wtrąciły go w pewien rodzaj ogłuszającej konsternacji, z której powoli się otrząsał. Jego pytanie zabrzmiało natarczywie i desperacko. Prawdopodobnie zaczynał pojmować, że być może czeka go los podobny do tego, jaki stał się udziałem Matthew: nigdy się nie dowie, co naprawdę się wydarzyło.

– Chcąc być zupełnie szczerą, Mr Reece, nie potrafię panu w tej chwili udzielić żadnej odpowiedzi – oznajmiła inspektor Morgan. – Rozumiem, jak bolesna jest dla pana zaistniała sytuacja, i chciałabym mieć większą jasność, lecz na razie wszystko wydaje mi się nad wyraz zagadkowe i zagmatwane. Mogę pana zapewnić, że zrobimy wszystko, by odnaleźć pańską żonę.

– Co pani teraz zamierza? – zapytał Ken.

– Teren wokół miejsca odnalezienia samochodu zostanie oczywiście dokładnie przeczesany – wyjaśniła Morgan – sam zaś samochód gruntownie przebadany przez techników kryminalistycznych. Porozmawiam ze współpracownikami pańskiej żony i najprawdopodobniej postaram się o rozmowę z właścicielem pisma. Nawiążemy też kontakt z prasą. Możliwe, że zgłoszą się świadkowie, którzy wczoraj przebywali w okolicy i zauważyli coś istotnego. Takie właśnie informacje często dostarczają rozstrzygających wskazówek, dzięki którym dochodzi w śledztwie do przełomu.

– A jeśli to wszystko nic nie da? Jak w przypadku Vanessy? Jeśli, tak jak Matthew, po trzech latach nadal nie będę wiedział, co się stało z moją żoną? – Głos Kena przytłumił cień paniki. Był u kresu sił, zrobiło mi się go okropnie żal. – Co wtedy powiem moim dzieciom?

– Mr Reece, wyobrażam sobie, jak się pan martwi – rzekła kojącem

tonem Morgan – ale nie powinien pan myśleć o najgorszym. Pańska żona zaginęła wczoraj, dochodzenie dopiero się zaczyna. Nie ma powodu, by zakładać, że policja długo będzie błądzić po omacku. Wszystko może się wkrótce wyjaśnić.

Po Kenie widać było, że jakoś nie może w to uwierzyć. I któż miałby mu to wziąć za złe, po tym wszystkim, co spotkało jego przyjaciela Matthew?

Inspektor Morgan zamknęła notatnik i podniosła się z miejsca. Starła się sprawiać wrażenie kompetentnej i samodzielnej, lecz nie do końca jej się to udawało. Rozmowa z nami nie rzuciła nowego światła na niewyjaśnione kwestie, wręcz przeciwnie, uświadomiła, jak stroma ścieżka czeka prowadzącą dochodzenie funkcjonariuszkę.

– Jutro przed południem przyjdę do redakcji „Healthcare” – powiedziała do mnie – i byłabym pani wdzięczna, gdyby się pani postarała, żeby wszyscy współpracownicy byli wtedy obecni.

– Zajmę się tym – obiecałam. W tej samej chwili przypomniałam sobie, kto jeszcze wiedział o mojej wyprawie do Coast Park. I kto znał Matthew oraz szczegóły zaginięcia Vanessy.

– Garrett. Garrett Wilder. Mój były partner!

Wszyscy spojrzeli na mnie zdumieni.

– Jemu także o tym opowiedziałam. O planowanej wycieczce do Coast Park i o tym, że pożyczę od Reece’ów samochód.

Wróciłam pamięcią do naszej długiej rozmowy. Garrett pokazał się od swej lukrowanej strony: zaintrygowany mną, moim życiem, moimi zamierzeniami. Zaangażowany i gotowy słuchać mnie bez końca.

Ale dlaczego powiedziałam o tym właśnie teraz? W tym samym momencie, w którym dokończyłam zdanie, najchętniej bym je cofnęła. Prawdopodobnie przysporzę tym Garrettowi kłopotów – i to zupełnie niepotrzebnie. Całkiem absurdalna była bowiem myśl, że miał coś wspólnego ze zniknięciem Alexii.

– Gdzie mieszka pani były partner? – zapytała Morgan.

– W Brighton. Ale... pani inspektor, wspomniałam o tym jedynie po to, żeby uzupełnić moją wypowiedź. To niemożliwe, by Garrett miał coś

do czynienia z tą sprawą.

– Kiedy się rozstałście?

– We wrześniu zeszłego roku.

– A kto tego chciał?

– Ja. – Zrobiło mi się nieprzyjemnie. Ta Morgan zadaje za dużo pytań. Nie chciałam, by się uczepliła Garretta.

– Dlaczego?

– Proszę posłuchać, pani inspektor, to naprawdę...

Przerwała mi.

– Czy pani eks wie o tym, że żyje pani w nowym związku?

Musiałam się przez chwilę nad tym zastanowić. Aż do piątku sama właściwie nie wiedziałam, czy mam nowego partnera czy też nie. Owszem, opowiedziałam Garrettowi o Matthew. A Garrett zareagował z lekką zazdrością. Chciał przyjechać na moje urodziny. Przez pół roku byłam mu zupełnie obojętna, a tu nagle zrobił się strasznie zatroskany. Może nie chciał mnie zupełnie stracić, i do tego *dla innego mężczyzny*.

– Wie – odparłam zgodnie z prawdą. Garrett definitywnie wiedział o tym *wcześniej* niż ja sama.

– Czy na tę wiadomość zareagował agresywnie? – dopytywała się Morgan.

– Nie.

Tego jednak nikt właściwie nie wiedział. Nikt nigdy nie wiedział, co się działo w jego głowie. Zawsze był taki *cool*. Czy fakt, że mimo to wyczułam u niego zazdrość, oznaczał, że tak naprawdę kipiały w nim wściekłość i nienawiść? Nie zdołał pozostać absolutnie niewzruszony. Czy to znaczyło, że ten kocioł miał wkrótce eksplodować?

Widocznie nie udało mi się ukryć przed policjantką mojej niepewności. Inspektor Morgan raz jeszcze otworzyła swój notatnik.

– Poproszę o adres i numer telefonu Mr Wildera.

Wtorek dwudziestego dziewiątego maja. Ryan miał wrażenie, jakby słyszał tykanie zegara. A może raczej bomby zegarowej. Minuty, godziny, dni. Rzadko odczuwał czas jako coś, co mu umyka. W więzieniu włókł mu się niemiłosiernie, poza tym nigdy nie odbierał go naprawdę świadomie. Czas mija i jak wiadomo, robi to z dokładnie taką samą szybkością.

Teraz jednak galopował naprzód. Maj dobiegał już końca. Potem zostanie tylko czerwiec. Nora nalegała, by w nadchodzący weekend pojechali do Yorkshire porozmawiać z Bradleyem i Corinne. Kiedy tylko o tym wspominała, Ryan czuł mdłości. Nie wiedział dokładnie, czy miało to związek z obawą przed upokorzeniem, jakie musiałby przełknąć, prosząc znieawidzonego Bradleya o pieniądze. Czy też to wszystko było jeszcze bardziej skomplikowane. Być może żywił głęboki, okropny strach przed chwilą, w której ojczym niewzruszenie i bez ogródek odrzuci jego prośbę o pomoc. Póki co istniała jeszcze isierka nadziei, potem i jej zabraknie. Nie zapytać byłoby zatem zupełnie nielogiczne. Życiem Ryana w tej chwili kierowała jednak głównie panika, nie zaś logika.

Siedział przy stole przy śniadaniu, popijał kawę, ale chleb zostawił nietknięty w tosterze. Gdy budził się rano, od razu myślał o Damonie, a to odbierało mu apetyt. Jeszcze tylko parę minut, zaraz przysiadzie się do niego Nora i zapyta, czy podjął już decyzję o wyjeździe do Yorkshire. Odpowie: *nie*, a wtedy ona zacznie go przekonywać.

Jak przez ostatnie dni.

Przeglądał gazetę. Nie żeby go cokolwiek zainteresowało, sam miał tak poważne problemy, że nie w głowie mu było to, co się działo w kraju czy na świecie. Być może jednak zdjęcia i cała ta bezsensowna

paplanina, której pełno było w środku, odwróca na chwilę jego uwagę. W Londynie odbyło się wielkie przyjęcie, na którym pojawiła się śmietanka *high society*. Zamieszczono kilka zdjęć pań w wytwornych sukniach wieczorowych oraz panów w ciemnych garniturach. Patrzył na biżuterię noszoną przez damy na szyi, w uszach i na rękach. Prawdopodobnie jedna taka bransoletka, pierścionek czy łańcuszek pomogłyby mu pozbyć się kłopotu. Kobiety pokazywały biżuterię z taką swobodą, jakby ani przez sekundę nie przyszło im do głowy, że ten widok może wzbudzić w innych szczerą nienawiść. Skąd miałyby wiedzieć, że życie pewnego człowieka zależało od pięćdziesięciu tysięcy funtów?

„To inny świat – pomyślał. – Właściwie nie żyjemy na tej samej planecie”.

Przewrócił ostatnią stronę.

I zamarł.

Patrzyła na niego Vanessa Willard.

Rozlał nieco kawy, odstawiając drżącą ręką filiżankę. Musiała zająć jakąś pomyłka. Nie, to nie była Vanessa, nigdy w życiu. Przypuszczalnie tylko kobieta w przerażający sposób do niej podobna.

Nie miał prawie odwagi przeczytać podpisu pod zdjęciem: *Od sierpnia 2009 roku zaginiona bez śladu: dr Vanessa Willard, wykładowca uniwersytetu w Swansea.*

To ona. Nie pomylił się. Tak naprawdę od razu to wiedział. Jeśli bowiem cokolwiek wryło mu się na zawsze w pamięć, to twarz kobiety, którą on...

Przycisnął obie dłonie do oczu. *Nie kończ tej myśli!*

Minęła dłuższa chwila, zanim odsunął dłonie. Nic to nie pomogło, musiał się dowiedzieć, o co chodziło w tym artykule. Czemu, do cholery, po niemal trzech latach od zniknięcia Vanessy znowu zamieszczają jej zdjęcie w gazecie?

Przeczytał nagłówek: *Czyżby jednak zbrodnia? Tajemniczy przypadek zdaje się powtarzać.*

Zobaczył teraz drugie zdjęcie na stronie. Także kobieta, także

blondynka, mniej więcej w wieku Vanessy. Pod zdjęciem zaś podpis: *Zaginiona od minionej soboty: Alexia Reece, 35 lat, dziennikarka ze Swansea.*

Z rosnącą desperacją przeczytał pobieżnie tekst opisujący zagadkowe zniknięcie Alexii Reece. Raz jeszcze przypomniano w nim historię Vanessy Willard, tajemnicze zaginięcie kobiety, po której do dziś nie natrafiono na żaden ślad. By całą sprawę uczynić jeszcze bardziej tajemniczą i zagmatwaną, podano, że Vanessa Willard i Alexia Reece dobrze się znały i były z sobą zaprzyjaźnione. Najwyraźniej obie kobiety spotkał ten sam los, brakowało wszakże najdrobniejszej choćby wskazówki, jak ten los mógłby wyglądać. Policja błądzi jak we mgle i usilnie prosi mieszkańców o pomoc. Czy ktoś widział Alexię Reece w sobotę 26 maja w okolicach Fishguard? Czy ktoś zwrócił uwagę na porzucony samochód na terenie Pembrokeshire Coast National Park? Czy ktoś zauważył coś podejrzanego w pobliżu tamtejszego parkingu? Podano numer telefonu, pod który można dzwonić, gdyby ktoś posiadał jakieś informacje w tej sprawie.

Czwórka dzieci z utęsknieniem czeka na swoją mamę. Tym patetycznym zdaniem kończył się artykuł.

Ryan wpatrywał się w gazetę. Okropnie go mdliło.

To nie przypadek. Najwyraźniej była to również opinia policji. Ktoś zupełnie świadomie odtworzył scenerię. Policja uważała, iż człowiek odpowiedzialny za zniknięcie Vanessy Willard miał także coś wspólnego z losem Alexii Reece. Nie mogła oczywiście wykluczyć, że sprawcą jest ktoś inny. Wszelkie szczegóły tamtej sprawy całymi tygodniami zapełniały łamy rozmaitych gazet, nadal można je było znaleźć w Internecie. Przypadek Willard był zatem łatwy do odtworzenia.

Ryan wiedział jedno: ówczesny i obecny sprawca to nie ta sama osoba. Był jednak przekonany, że w istocie chodziło tu o sprawcę ówczesnego, czyli o niego. Po wszystkim, co się wydarzyło w jego otoczeniu, co spotkało Debbie i jego matkę, nie mógł przyjąć założenia, że to *nie jego* dotyczą obecne zdarzenia. Znaczyło to jednak, iż ktoś wie,

że to on przyczynił się do zniknięcia Vanessy Willard.

To nie Damon. Niemożliwe. Nie miał pojęcia, w jaki sposób Damon mógłby poznać tę historię. Wiedzę taką już dawno wykorzystałby w znacznie bardziej bezpośredni sposób. Mając w ręku taką bombę, nie potrzebowaliby Debbie ani Corinne.

Tak naprawdę istniał na świecie tylko jeden człowiek, który mógł go powiązać ze sprawą zaginięcia Vanessy Willard – była to sama Vanessa. Co prawda doskonale się zamaskowała, pozostała *incognito*, to zupełnie zrozumiałe. Lecz jakże zwariowany obrót przybierają czasem sprawy. Vanessa w ciągu niemal trzech lat w końcu się dowiedziała, kto ją wówczas uprowadził. Pozostała w ukryciu i rozpoczęła perfidną krucjatę zemsty. Wynajęła mężczyzn, by się zajęli Debbie. Wynajęła mężczyzn, by się zajęli Corinne. I coraz mocniej zaciskała pętlę. Alexia Reece, jej przyjaciółka. Cokolwiek zamierzała z nią zrobić, złośliwie pokazała mu palec.

Chciała z nim skończyć. Jaki będzie jej następny krok?

Usiłował sięgnąć po filiżankę z kawą, dał jednak za wygraną, tak bardzo drżały mu ręce. Drgnął, gdy nagle przy stole zjawiała się Nora.

– Dzień dobry, Ryanie. Ja... – Urwała. – O Boże! Co się stało? Jak ty wyglądasz?

Przetarł twarz dłonią. Widocznie wyglądał tak, jak się czuł.

– Nie... nie czuję się dobrze – mruknął.

– Wyglądasz na chorego – stwierdziła Nora. Przyłożyła na chwilę dłoń do jego czoła.

– Nie wydaje mi się, byś miał gorączkę. Ale zupełnie pobladłeś na twarzy. Drżą ci dłonie!

Przewrócił stronę, którą właśnie przeczytał. Nora nie powinna wyciągnąć wniosków, które nazbyt niebezpiecznie zbliżyłyby ją do prawdy.

– Zadzwonimy do Dana – oznajmiła – i powiemy, że dziś nie przyjdiesz do pracy.

– Nie... dam radę – szepnął. Pozostanie w domu wydało mu się znacznie gorsze.

Usiadła naprzeciw niego, naląła sobie kawy, ani na moment jednak nie spuszczała go z oka.

– Czy... Damon znów się odezwał? – zapytała chyba mimowolnie zniżonym głosem.

– Nie. Nie odezwał się.

Wypiła łyk kawy, po czym zdecydowanym ruchem odstawiła filiżankę.

– Ale chodzi o Damona? Czy o Bradleya? Nie możesz tego przełknąć, że jesteś zmuszony prosić go o pomoc. Rwanie, zastanów się...

Tłumaczyła mu, lecz nie słuchał jej uważnie. Jej głos szemrał jakby gdzieś w oddali. Przejęła go nowa fala mdłości, gdy pomyślał, co musi zrobić, by zyskać jasność: będzie musiał wrócić do Lisiej Doliny. Musi wejść do jaskini. Odsunąć kamienie przy wejściu, jeśli nadal leżą tam ułożone warstwami, jak się tego spodziewał. Jeśli Vanessa uciekła i realizowała swój plan zemsty, z pewnością zatroszczyła się o to, by nikt nie odkrył jej więzienia. Jeśli wejście zasłaniały kamienie, odnalezienie jaskini było praktycznie niemożliwe.

Zobaczył siebie, jak przygarbiony przeciska się przez niski, wąski korytarz, przez który jako mały chłopiec tak sprawnie się prześlizgiwał, a który dorosłemu mężczyźnie utrudniał wdarcie się do wnętrza jaskini. Tym bardziej, kiedy... tak, gdy ciągnął za sobą... ogłuszoną, z trudem budzącą się z narkozy kobietę...

Przełknął. Boże, jak mu było niedobrze. Zaraz chyba zwymiotuje na stół.

Czy wieko skrzyni będzie otwarte? Nawet jeśli pozostało zabezpieczone śrubami, będzie musiał zajrzeć do środka, w przeciwnym razie nie zyska absolutnej pewności.

Ujrzał przed oczami dziwne migotanie. Nora miała jednak rację. Dziś nie będzie w stanie pójść do pracy. Czuł się tak bardzo chory, jak jeszcze nigdy w życiu. Chory, zdruzgotany i zrozpaczony. Jak miałby sobie z tym poradzić? Przez całe lata nie był w stanie nawet myślać powrócić do owego sierpniowego wieczoru roku 2009. Pójść tam

oznaczałoby przeżyć to wszystko na nowo. Cały ten koszmar, całe szaleństwo.

Znów dosłyszał słowa Nory.

– I dlatego powinniśmy w weekend pojechać do Yorkshire.

– Musimy pojechać do Lisiej Doliny – rzekł głosem, który zabrzmiał tak, jakby nie należał do niego.

Nora spojrzała na niego zmieszana.

– Lisiej Doliny? A co to? Gdzie ona jest?

Nie mógł już dłużej. Dłużej mówić, dłużej myśleć. Nie mógł nawet trzymać się prosto. Był u kresu.

Padł przed siebie, uderzył głową w blat stołu. Gorąca kawa prysnęła na niego, usłyszał brzęk rozbijającej się o podłogę filiżanki. Pragnął stracić przytomność, zdołałby wówczas przynajmniej na chwilę uciec od tego wszystkiego. Panika, czysta panika trzymała go w kleszczach.

Pod jego głowę wsunęła się dłoń.

– Rynie, co się dzieje? Proszę, powiedz mi, co się stało?

Odwrócił głowę. Spojrzał w oczy Nory. Pochyliła się nad nim, jej twarz była tuż przy jego twarzy. Wydawała się bardzo zmartwiona, lecz mimo to emanowała łagodnością i spokojem. Każdego dnia zajmowała się pacjentami, dość często ludźmi zupełnie zdesperowanymi, którzy cierpieli z powodu bólu albo nie mogli się normalnie poruszać. Nie traciła nad sobą panowania, gdy ktoś w jej obecności psychicznie się załamywał.

– Opowiedz mi – powiedziała. – Po prostu opowiedz mi, co się stało.

Jego głowa wciąż leżała na stole, pośrodku kałuży kawy. Po twarzy spływały mu łzy, zauważył to jednak dopiero później, gdyż skórę i tak miał mokrą od kawy.

Zaczął mówić.

– Garrett Wilder zniknął. Nawet jego koledzy z pracy nie wiedzą, gdzie się podziewa! – Inspektor Morgan stała przed moim biurkiem w redakcji „Healthcare” i patrzyła na mnie niemal oskarżycielsko, a przynajmniej z niejakim wyrzutem. Jakbym była odpowiedzialna za tego mężczyznę, z którym rozstałam się dziewięć miesięcy wcześniej. – Czy wie pani, gdzie może przebywać?

Inspektor Morgan oraz jeden z jej kolegów, detektyw sierżant Jenkins, odwiedzili redakcję już poprzedniego dnia i rozmawiali ze współpracownikami „Healthcare”. Przypuszczam, że nie dowiedzieli się przy tym wiele nowego. Między sobą nie rozmawialiśmy o niczym innym, a jednak okazało się, że tak naprawdę nikt nic nie wiedział na temat Alexii. Każdy mógł potwierdzić, że przez ostatnie tygodnie pracowała w ogromnym stresie, była nerwowa, rozdrażniona i dość rozkojarzona, lecz właściwie nie było to nic nadzwyczajnego. O planowanym reportażu wiedzieli wszyscy, większość jednak nie miała pojęcia, że to ja miałam jechać na poszukiwanie plenerów ani też o tym, że wyjazd był przewidziany na miniony weekend. Wszyscy byli wzburzeni i zmieszani, nikt wszakże nie wniósł nic nowego do wyjaśnienia zagadkowego zdarzenia. Zastępczyni redaktor naczelnej, która wiedziała, że znajdzie się teraz na czas nieokreślony na celowniku Ronalda Argilana, fruwała po korytarzach redakcji niby bezgłowy kurczak. W rzeczywistości przerosła ją rola, która tak niespodziewanie przypadła jej w udziale.

A dziś, w ten wtorkowy poranek, znów zjawiała się policjantka i chciała wiedzieć, gdzie przebywa Garrett.

– Nie, nie mam pojęcia – odparłam na pytanie Morgan. – Może wziął urlop?

– Czy w takim razie nie zgłosiłby tego w swoim miejscu pracy? – odparowała pytaniem Morgan.

Obecnie, ściśle mówiąc: od jakichś dwu lat, Garrett pracował w agencji eventowej. Podobnie jak ja nie wyuczył się żadnego porządnego zawodu, zwykł jednak o sobie mawiać, że jest człowiekiem wysoce kreatywnym, który czuje w sobie przymus, by swe liczne myśli, obrazy i pomysły wykorzystać w praktyce. Zarabiał już jako copywriter reklamowy, fotograf, designer. Ponieważ emanował pewnością siebie, cechą, która przyciągała innych ludzi, zazwyczaj upływała dłuższa chwila, zanim otoczenie zdołało wreszcie zauważyć, że w istocie robił tylko wokół siebie dużo szumu. Doskonale potrafił wyczuwać nastroje, dzięki czemu zmieniał pracę zawsze wtedy, gdy zwietrzył pismo nosem, że zostanie do odejścia zmuszony. Oczywiście potrafił to pięknie uzasadnić.

– Monotonia zabija kreatywność. Zmiana, przeobrażenie, wciąż nowe wyzwania, oto czego potrzebuje artysta. Zapamiętaj to sobie, Jenno, nigdy nie zostawaj zbyt długo w jednym miejscu. Nie zostawaj zbyt długo w tym samym miejscu pracy!

Z początku tego rodzaju stwierdzeniami potrafił wywrzeć na mnie głębokie wrażenie. Na szczęście nawet tacy ludzie jak ja stają się w końcu dojrzałsi i przebieglejsi. Dziś tylko się uśmiecham ze znużeniem, kiedy pomyślę o tych jego mądrościach i teoriach, a przede wszystkim o jego wprost bezwzględnej pewności siebie.

– Być może wcale nie ma zamiaru wracać do pracy – odparłam na pytanie Morgan. – Pracuje w tej agencji już dwa lata. Kawał czasu jak dla niego. Być może właśnie zwinął manatki.

– W takim razie złożyłby wypowiedzenie.

– Niekoniecznie. Czasem lubuje się w działaniach naprawdę niekonwencjonalnych. Uważa się za artystę, dla którego tak banalne formalności, jak na przykład wypowiedzenie, nie mają żadnego znaczenia.

– Koledzy z Brighton wielokrotnie próbowali go wczoraj złapać w domu, lecz go nie zastali. Lokatorzy w budynku nie widzieli go od

zeszłego czwartku.

– Naprawdę nie wiem, gdzie mógłby się podziewać, pani inspektor.

Morgan przysunęła sobie krzesło i usiadła. Zupełnie zapomniałam jej to zaproponować. Wyglądała na zdenerwowaną, włosy nieustannie opadały jej na oczy. W szufladzie biurka miałam kilka spinek do włosów, w pewnej chwili pomyślałam nawet, by jedną z nich jej podsunąć. Oczywiście tego nie zrobiłam.

– Jakim człowiekiem jest Garrett Wilder? Jak długo pani z nim była?

Westchnęłam, celowo głośno i dobitnie. Powinna zauważyć, że trop, jakim zamierzała podążyć, uważam za mylący. Gdybym w ogóle nie wspomniała o Garretdzie! Inspektor Morgan marnuje teraz na niego mnóstwo czasu i nie posunie się ani o krok w swych staraniach, by odnaleźć Alexię.

– Byłam z nim osiem lat. Poznałam go, gdy miałam dwadzieścia cztery lata. Mając trzydzieści dwa, odeszłam od niego.

– Powiedziała pani, że go porzuciła. Nie było to zatem zgodne, pokojowe rozstanie?

– Nie, lecz wcale się nie pokłóciliśmy. Już od dawna nie potrafiliśmy się porozumieć. Kiedy mu powiedziałam, że odchodzę, przyjął to z pewną obojętnością.

Z wprost bolesną obojętnością, musiałam to uczciwie przyznać. To jednak inspektor Morgan nie powinno obchodzić.

– Jego współpracownicy, pytani przez policję, opowiedzieli, że był człowiekiem na wskroś nieprzeniknionym. Niełatwo dającym się poznać. Kimś, o kim nigdy nie było wiadomo, co się kryje za fasadą. Ponadto potrafił być bardzo agresywny i zachowywać się obraźliwie bez jakiegokolwiek powodu, gdy nikt go nie atakował. Czy podziela pani tę opinię?

– Tak. Te słowa dość dobrze go opisują. – A jeszcze lepiej zdanie: Potrafił być czasem nadętym, niezdolnym idiotą!

– Czy to możliwe, żeby obojętność, z jaką zareagował na wasze rozstanie, była jedynie pozorna? Po ośmiu latach związku obojętność jest w takiej sytuacji raczej czymś nietypowym, nie uważa pani?

– Nie w przypadku Garretta. Jest głęboko przekonany o własnej wartości. Z pewnością wyszedł z założenia, że do niego wróce. Nie sędę, by naprawdę potrafił sobie wyobrazić, że rzuca go kobieta. W końcu jest drugi po Bogu. Albo nawet przed nim.

Zbyt późno zrozumiałam, że popełniłam błąd, potwierdzając teorię Morgan dotyczącą Garretta.

– Skoro przez cały czas sądził, że pani do niego wróci, musiał przeżyć wstrząs, dowiedziawszy się o pani związku z Matthew Willardem. Kiedy dokładnie mu pani o tym powiedziała?

Nie musiałam się długo zastanawiać. To było kilka dni przed pogrzebem Lauren.

– W poniedziałek, tydzień temu – odparłam. – Zadzwoił do mnie. To była nasza ostatnia rozmowa telefoniczna.

– Czy często do pani dzwonił?

– Dwa, może trzy razy.

– Czy w trakcie tej właśnie rozmowy wspomniała mu pani o doktor Willard i jej zaginięciu?

– Tak.

– A o zaplanowanej wyprawie w okolice Pembrokeshire Coast National Park?

– Tak.

– O tym, że pożyczycy pani samochód Alexii Reece?

– Tak, ale...

Zamilkłam. Nie brzmiało to dobrze. Jakby Garrett nadal był kimś, komu opowiadam ze szczegółami o wszelkich, nawet tak drobnych zdarzeniach z mojego życia. Co nie było prawdą. Tamtego wieczoru poczułam się tylko nieco samotna. I dlatego byłam taka gadatliwa. Garrett zaś był miły, szarmancki, potrafił słuchać, jeśli tylko chciał.

– Dwudziestego pierwszego maja dzwoni do pani były partner – podsumowała Morgan – i dowiaduje się, że w pani życiu pojawił się inny mężczyzna. A więc że pewnie nie wróci pani do niego speszona i zakłopotana. Zarazem poznaje wszelkie potrzebne mu szczegóły na temat pani najbliższego weekendu. W czwartek przed zniknięciem

Alexii Reece widziano go po raz ostatni w pracy oraz w domu. Od tej pory rozpląnął się w powietrzu i nikt nie wie, gdzie mógł się ukryć.

– Pani inspektor, dlaczego zamiast mnie miałby wyrządzić krzywdę Alexii? Przecież *on* od razu by zauważył, że ma przed sobą niewłaściwą kobietę!

– Być może było już wtedy za późno. Może zrobił coś, czego nie mógł niefrasobliwie wyjawić Mrs Reece. Musiał więc ją uciszyć.

– Pani się zagalopowała. Naprawdę. Garrett taki nie jest. To znaczy, potrafi być prawdziwym obrzydliwcem, ale to nie żaden przestępca. Nie jest brutalny. To zwyczajnie nie w jego stylu!

– Potrafi być agresywny?

– Jedynie w słowach. Wyłącznie w słowach.

Morgan po raz setny w trakcie naszej rozmowy odgarnęła z czoła włosy.

– Po prostu dobrze by było, gdybym mogła z nim porozmawiać – powiedziała. – Jego nagłe zniknięcie komplikuje tylko całą sprawę.

Zastanawiałam się przez chwilę, czy powinnam jej powiedzieć, że zamierzał przyjechać w następnym tygodniu na moje urodziny, postanowiłam jednak o tym nie wspominać. Nie wnosilo to nic do sprawy, a wzmogłoby jedynie wrażenie, że *on* wciąż mnie prześladowuje. Tak czy inaczej miałam nadzieję, że najpierw skontaktuje się ze mną. Musiałam mu powiedzieć, że nie może przyjechać. Urodziny i tak świętowałam tylko pod warunkiem, że do tego czasu odnajdzie się Alexia, a miałam podskórne przeczucie, że to jednak nie nastąpi. Przytrafiło jej się coś strasznego i nie wyglądało na to, by policja szybko odkryła, co się stało. W każdym razie nie jeśli inspektor Morgan będzie się tak zaciekle uganiać za nieszkodliwym Garrettem Wilderem.

– Czy pojawiło się jeszcze coś nowego? – zapytałam.

Morgan potrząsnęła głową.

– Nic, co by nas rzeczywiście posunęło do przodu. Sprawdzone samochód, lecz znaleziono w nim głównie odciski palców członków rodziny. Często jeździli nim również przyjaciele ich dzieci, od nich mogą pochodzić pozostałe ślady. Próbkę DNA wciąż są analizowane,

przypuszczam jednak, że będzie podobnie: ślady Reece'ów oraz przyjaciół i znajomych rodziny. Nic też nie wskazuje na to, by wewnątrz samochodu doszło do szamotaniny. Abstrahując od tego, że to jeżdżąca kupa śmieci, lecz to chyba normalne w przypadku licznej rodziny.

Wiedziałam, co miała na myśli. Trzeba było zobaczyć samochód Reece'ów, rodzaj minibusa, by w to uwierzyć. W środku panował taki sam bałagan jak w ich domu, tyle tylko, że skoncentrowany na znacznie mniejszej przestrzeni. Papierki z cukierków, spinki do włosów, pojedyncze skarpety, krem przeciwsłoneczny, papierowe kubki, puste torebki z McDonalda, pieluchy, ubranka dla lalek, pisaki bez skuwek, nagie lalki Barbie z odkręconymi głowami – wszystko to walało się w wesołym nieładzie głównie w tylnej części samochodu. Co najmniej raz w tygodniu Alexia zapowiadała, że posprząta auto i zastrzeli każdego, kto będzie potem w nim śmiecił, nigdy jednak do tego nie doszło. Ani do sprzątanania, ani do strzelania.

– Wygląda na to, że Mrs Reece dobrowolnie wysiadła na parkingu z samochodu. Co się potem stało... – Morgan wzruszyła ramionami.

– W komórce miała mnóstwo nieodebranych połączeń – wyjaśniała dalej Morgan. – Od pani oraz Mr Reece'a. Poza tym nikt nie próbował się do niej dodzwonić. Znalazłam też różne SMS-y od pani.

Poczułam, że czerwienią mi się policzki, gdyż powróciłam myślą do wiadomości z piątkowego wieczoru. *Jestem z M. w hotelu :-)*. Kobieta pokroju Morgan z pewnością uznała umieszczenie na końcu smileya za zachowanie godne nastolatki. I pewnie tak istotnie było.

– Zachowały się także inne, starsze wiadomości – poinformowała Morgan – lecz wydają się mieć wyłącznie zawodowy charakter. Nic, co rzuciłoby nieco światła na tę sprawę.

– Czy rozmawiała pani z Ronaldem Argilanem? – zapytałam.

– Tak. Przez telefon. Nie potrafił mi nic powiedzieć na temat tego zdarzenia i denerwował się głównie z powodu pracy, która pewnie utknie teraz w miejscu. Los Alexii Reece zdawał się go mniej interesować. Był wobec mnie dość nieprzyjemny, lecz sprawiał wrażenie absolutnie wiarygodnego.

Owszem. Nie znosiłam Argilana, lecz rzeczywiście trudno było sobie wyobrazić, by przyjechał z Londynu na zachodnie wybrzeże Walii, żeby tam na odludnym parkingu pozbyć się swej nielubianej redaktor naczelnej. To zupełnie chybiony pomysł.

Morgan zawahała się, lecz po chwili wyznała:

– Musimy też przyjrzeć się dokładnie Kendalowi Reece. Z pewnością to pani rozumie?

Zdawałam sobie z tego sprawę. Wiedziałam od Matthew, że w tego typu przypadkach małżonek niejako automatycznie zostaje uznany za głównego podejrzanego.

– Jego dzieci, z których najstarsze, siedmioletnie, możemy potraktować poważnie, potwierdzają, że przebywał z nimi przez cały weekend. Pojechali razem na zakupy, zgodnie z tym, co sam nam powiedział; właściciel sklepu pamięta tę hałaśliwą drużynę. W istocie nie widzę sposobu, w jaki miałyby to zrobić: pojechać razem z żoną w okolice Fishguard, wyrzucić jej tam krzywdę, porzucić samochód, po czym wrócić jakoś do Swansea. Byłby zbyt długo w drodze. Tymczasem dzieci przewróciłyby dom do góry nogami i z całą pewnością doskonale by pamiętały, że nikogo przy nich nie było, kiedy się przebudziły. Poza tym nie zdążyłyby pojawić się przed południem w tym warzywniaku. – Wyciągnęła z torebki notatnik, przerzuciła parę kartek. – Tak, już mam. Sąsiadka zeznała, że widziała Alexię Reece wyjeżdżającą z domu w sobotę z samego rana. Samochód przejechał tuż przed jej oknem w pokoju dziennym. Przez przypadek akurat w tej właśnie chwili zaczęto nadawać w radio wiadomości o siódmej, stąd może dokładnie określić godzinę. To się pokrywa z zeznaniem Reece’a, że jego żona wyruszyła *około siódmej rano*. Przy założeniu, że siedział wtedy razem z nią w samochodzie, w najlepszym nawet razie nie zdążyłyby wrócić przed godziną dziesiątą. Tymczasem przygotował dzieciom śniadanie, po czym wyszedł z nimi do warzywniaka, gdzie dotarli krótko po dziewiątej. Trudno tu cokolwiek sensownego wymyślić.

– Jestem pewna, że on nie ma z tym nic wspólnego – zapewniłam. –

To znaczy, że zniknięciem Alexii. To wszystko wiąże się w jakiś sposób z Vanessą Willard. Dwie kobiety, zaprzyjaźnione z sobą, znikają bez śladu w ciągu niespełna trzech lat w dokładnie ten sam sposób... Musi się za tym kryć coś, czego nikt z nas nie dostrzega.

Skinęła głową, lecz wydawało się, że nie jest o tym do końca przekonana. Prawdopodobnie wspomniana przez mnie możliwość uchodziła w jej oczach za wariant najgorszy. Zdarzenie sprzed trzech lat, jak dotąd niewyjaśnione, pozostające w bezpośrednim związku z innym, zupełnie zagadkowym przypadkiem. Jedna porażka prowadzi do kolejnej. Dla inspektora Morgan była to z pewnością perspektywa niemal nie do zniesienia. Sprawca naśladowca chcący jedynie wywołać wrażenie, że cała ta historia ma coś wspólnego z Vanessą Willard, znacznie bardziej by jej odpowiadał. Widocznie w tym przypadku dostrzegała większe szanse na wyjaśnienie sprawy. Jako podejrzanych – wyraźnie było to po niej widać – upatrzyła sobie Kena i Garretta. Kena, gdyż jako mąż Alexii był, statystycznie rzecz biorąc, pierwszym kandydatem do roli sprawcy, nadto w małżeństwie z tak długim stażem nagromadziło się wystarczająco dużo nieprzyjemności, by spowodować gwałtowne, nieobliczalne reakcje. Jeszcze bardziej skłaniała się jednak ku Garrettowi: miał wyraźny motyw, mianowicie zazdrość o mnie, poza tym zupełnie niespodziewanie zniknął z powierzchni ziemi, co samo w sobie wydawało się mocno podejrzane. Być może uda się jeszcze coś na niego znaleźć, coś, co jak sama właśnie przyznała, w przypadku Kena mogło być trudne, gdyż potrafił on udowodnić, że w rozstrzygającym czasie przebywał w domu i zajmował się dziećmi. Oczywiście Morgan będzie prowadzić dochodzenie także w innych kierunkach, była wszakże uprzedzona – i to mnie bardzo martwiło.

– To czysty przypadek, że pani i Matthew Willard znaleźliście się w sobotę w pobliżu tego nieszczęsnego parkingu? – zapytała niespodziewanie.

Z ręką na sercu mogłam to potwierdzić.

– Tak. Pierwotnie planowaliśmy wracać do Swansea w piątkowy wieczór, w przeciwnym razie nie mogłabym obiecać Alexii, że wyruszę

w sobotę. To była absolutnie spontaniczna decyzja.

– Dziwne jest to – odparła Morgan – że Matthew Willard dwukrotnie znalazł się w pobliżu tego odosobnionego parkingu, miejsca, skąd zniknęły kobiety. Po raz pierwszy w małej odległości, gdy wyprowadził na spacer psa. Tym razem dzielił go co prawda dystans dwóch mil, lecz w gruncie rzeczy to także niewiele.

Przeszyłam ją wzrokiem. Czyżbym się myliła, czy rzeczywiście upatrzyła sobie właśnie trzeciego podejrzanego? A zatem teraz także Matthew. Jego postać jednoznacznie wesprze teorię, że oba przypadki wyraźnie się z sobą wiążą. Czy Morgan była jednak otwarta na wszelkie argumenty i do niczego nieuprzedzona – nieważne, jak zwariowane i daleko idące mogłyby się wydawać poszczególne warianty? Zaczęłam rozumieć, że nie wolno mi nie doceniać tej policjantki, kobiety z lekką nadwagą i nieszczęsną fryzurą.

– Za Matthew mogę ręczyć głową – oświadczyłam. – Cały dzień spędził razem ze mną. Każdą minutę. I dlaczego miałyby zrobić coś złego Alexii? Skąd w ogóle miałyby wiedzieć, że ona się wybiera na poszukiwanie plenerów? Nawet ja o tym nie wiedziałam!

Morgan nie odpowiedziała, nagryzmoliła tylko kilka słów w notatniku. Niby czemu miałyby mi wierzyć? W końcu mogłam działać wspólnie z Matthew. Począwszy od przypadku Vanessy. Dlaczego? Być może nabyła już doświadczenia, że pytanie *Dlaczego* często nie jest takie oczywiste. Że sprawcą nie zawsze jest ten, kto na pierwszy rzut oka wydaje się najbardziej prawdopodobny. Mąż. Zazdrosny były partner.

Może tak naprawdę wcale nie podejrzewała Kena czy Garretta.

Podejrzewała Matthew i mnie.

Część V. Czerwiec

1

Niebieską toyotę zauważyłam przez przypadek w piątkowy wieczór. Jak każdego wieczoru był u mnie Matthew. W milczącym porozumieniu na miejsce naszych spotkań obraliśmy moje mieszkanie, pomijając zupełnie jego dom – a tym samym dom Vanessy. Czy stałoby się tak również w przypadku, gdyby Alexia nie zniknęła, wydarzenia zaś związane z Vanessą raz jeszcze nie zostały przypomniane w tak dramatycznych okolicznościach – tego nie wiem. W każdym razie poczyniliśmy rzeczywiście ogromny krok naprzód, może nawet sto olbrzymich kroków: Matthew z czasów *sprzed* minionego piątku w świetle zaistniałych zdarzeń natychmiast znów by się ode mnie odsunął i odizolował od świata.

Dzisiejszy Matthew niezłomnie trwał w przeświadczeniu, że tworzymy parę i do siebie należymy. Wydał mi się jednak nieco bardziej zamknięty w sobie. W głębi jego duszy z pewnością więcej się rozgrywało niż sam skłonny byłby przyznać.

Na wieczór 1 czerwca zapowiadano opady deszczu, temperatura wyraźnie spadła, od strony morza w kierunku lądu wiał chłodny wiatr. Otwarliśmy wszystkie okna dachowe, by wpuścić do wnętrza świeże powietrze. Matthew siedział na sofie i pracował na swoim laptopie, ja zaś studiowałam broszury i plany studiów, które zabrałam z sekretariatu uczelni. Max leżał na kocu i cicho chrapał. Z redakcji wyszłam po południu około czwartej, po drodze wstąpiłam jeszcze na chwilę do Kena. Nie miał nowych wieści, lecz żadnych się też nie spodziewałam, chciałam tylko do niego zajrzeć, by wiedział, że nie został sam. Dobra wiadomość – o ile w jego sytuacji w ogóle można było mówić o dobrych wiadomościach – była taka, że przez wzgląd na dzieci oraz utrzymanie całego domu nie wpadł w depresję i nie siedział

bezczylnie pogrążony w rozmyślaniach. Powiedział mi, że nocami nie może zasnąć, zresztą było to po nim widać. Znalazł się na skraju zupełnego wyczerpania. Ze względu na dzieci musiał jakoś wytrwać, miałam jednak nadzieję, że nie będzie go to wyłącznie kosztować mnóstwo wysiłku, lecz także jakimś sposobem doda mu energii. Podobnie jak od trzech lat Matthew, również on nieustannie rozmyślał nad tym, co się mogło wydarzyć.

– A jeśli po prostu chciała odejść? – zapytał, kiedy usiedliśmy w kuchni przy kawie, którą świeżo zaparzyłam. – Jeśli nie potrafiła już dłużej znieść całej tej presji? Jenno, ona była o krok od załamania nerwowego, może zwyczajnie chciała od tego uciec. Po prostu zniknąć, niczego więcej nie słyszeć, niczego nie widzieć.

– Ale po co w takim razie cała ta inscenizacja? – odpowiedziałam pytaniem. – Po co naśladowałaby zniknięcie Vanessy?

– Żeby nas zwieść – stwierdził Ken. – Nikt nie wie, co się wówczas przydarzyło Vanessie, lecz policja skłania się ku morderstwu, wyraźnie da się to wyczuć. Teoria ta zyskuje teraz na znaczeniu, i to zarówno w przypadku Vanessy, jak i Alexii. Kiedy policja rozpoczyna poszukiwania ofiary przestępstwa, nie koncentruje się na szukaniu żywej kobiety. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Tak. Ale ten plan wydaje mi się nazbyt wydumany, by mógł się zrodzić w głowie kobiety, która robi to wszystko dlatego, że właśnie traci resztkę nerwów. Do ostatniej chwili nie wiedziała przecież, że przejmie szukanie plenerów. Wyrusza spontanicznie, kompletnie jej odbija, postanawia zniknąć, uciec od wszelkich problemów, a wtedy z zimną krwią odwzorowuje scenę, która lata wcześniej obiegła prasę w związku z zaginięciem jej przyjaciółki? Czy to ma sens? A zresztą w jaki sposób miałaby zniknąć z tego odosobnionego miejsca? Autostopem? Niezbyt dyskretny to sposób, jeśli potem wszczyna się za nią poszukiwania. Prędzej mogłabym sobie wyobrazić, że tracąc głowę, pędzi samochodem na drugi kraniec Anglii i gdzieś tam znika, nie chcąc pod żadnym pozorem, by ją odnaleziono.

– Brzmi to bardziej przekonująco – przyznał Ken. Podparł dłońmi

głową i wlepił wzrok w blat stołu. Był to dokładnie ten sam koszmar co w przypadku Matthew: rozmyślać, zgadywać, krążyć, przeskakiwać od jednej teorii do drugiej, a w końcu dojść do przekonania, że nic się nie wie.

Powiedział mi, że inspektor Morgan nachodzi go codziennie, ma jednak wrażenie, że ona i jej koledzy wcale nie posuwają się naprzód.

– Po wtorkowej relacji w prasie odebrano kilka zgłoszeń, żadne jednak policji nie zelektryzowało, jak to określiła Morgan. Oczywiście sprawdzają wszelkie wskazówki, lecz odniosłem wyraźne wrażenie, że nikt sobie wiele po nich nie obiecuje.

W końcu Ken musiał przygotować kolację, ja zaś wróciłam do domu z ciężkim sercem i poczuciem, że niewiele robię dla zrozpaczonego męża mojej najlepszej przyjaciółki. I nie wiem też, co mogłabym dla niego uczynić. Wszystko to było takie niejasne i zagmatwane.

Matthew nadal pracował przy komputerze, ale Max uniósł łeb, ziewnął, wstał, przeciągnął się i pobiegł do drzwi, gdzie przystanął, merdając ogonem.

– Coś mi się wydaje, że Max chce wyjść – zauważyłam. – Zrobię z nim rundkę po parku, okay?

Matthew mruknął coś pod nosem. Sięgnęłam po smycz i wyszłam z mieszkania.

Przeszliśmy z Maxem spory kawałek drogi. Była dziesiąta, gdy wróciliśmy do domu. Dopiero zaczęła zmierzchać.

Magia czerwcowych nocy.

Zobaczyłam niebieski samochód zaparkowany naprzeciw drzwi wejściowych i wtedy go rozpoznałam. Samochód, na który już kilkakrotnie zwróciłam uwagę. W środku siedział mężczyzna, nieruchomo, całymi godzinami, jakby na coś czekał. Albo też coś obserwował. Albo obserwował *kogoś*. Uznałam to wprawdzie za dziwne, lecz nie zaprzętałam sobie tym głowy. Tym razem jednak, w związku z ostatnimi wydarzeniami, wszystko nabrało innego znaczenia.

Podeszłam bliżej i stwierdziłam, że chodzi tu jednak o inny

samochód niż ten, który wydał mi się podejrzany. Ten sam kolor, lecz inna marka. Nikt też w środku nie siedział. Samochód zupełnie nieszkodliwy. Co jednak istotne: jego widok odświeżył mi pamięć.

Zadzwoiłam do inspektora Morgana; byłam zaskoczona, że w piątkowy wieczór zastałam ją o tak późnej porze w biurze.

– Zbyt wiele spraw zaniedbano w minionym tygodniu – odparła na moją uwagę – a na początku przyszłego mamy dwa dni świąteczne, jeden po drugim. Muszę więc to nadrobić. Co się dzieje?

Opowiedziałam jej o samochodzie i mężczyźnie siedzącym nieruchomo wewnątrz i obserwującym domy. Morgan zareagowała sporym zaciekawieniem.

– Które domy obserwował? Ten, w którym pani mieszka?

– Tego nie potrafię dokładnie stwierdzić – przyznałam. – Nie zwróciłam na to uwagi. Ale owszem, to mógł być mój dom. Raz zaparkował na wprost drzwi wejściowych, innym znów razem nieco dalej.

– Jest pani pewna, że samochód, który dziś zwrócił pani uwagę, to nie był ten sam pojazd?

– Bez wątplenia. To jest renault, tamto auto to była toyota.

– Zna się pani na tym?

– Nieszczególnie, ale tyle potrafię rozróżnić. To była toyota corolla, mogłabym przysiąc.

– Numery...

– Nie pamiętam. Nie zwróciłam uwagi. Nie sądziłam, że...

– Oczywiście – odparła Morgan, lecz w jej głosie pobrzmiwała frustracja. – A zatem niebieska toyota corolla. Hm.

Wiedziałam, co sobie myśli: takich są dziesiątki tysięcy.

– Czy może pani opisać tego mężczyznę? – zapytała z nadzieją.

Wyteńczyłam pamięć, by przywołać obraz, jaki miałam niegdyś przed oczami.

– Wydaje mi się, że był młody – powiedziałam z wahaniem – jeszcze

przed czterdziestką. Włosy blond, nieco dłuższe, zmierzwione. Był dość szczupły na twarzy. Tak, niemal wychudzony. – Mimo najlepszych chęci nic więcej nie przychodziło mi do głowy. – To pewnie niewiele pani pomoże – dodałam.

– Skądże. Pani obserwacje są nad wyraz istotne. Dobrze, że od razu pani zadzwoniła – odparła Morgan. – Nie wie pani przypadkiem, czy Mr Willard zauważył podobny samochód na swojej ulicy w Mumbles?

Zanim zatelefonowałam do Morgan, rozmawiałam oczywiście z Matthew o moim odkryciu.

– Matthew Willard jest akurat u mnie, pani inspektor – powiedziałam – lecz nie przypomina sobie, by widział taki samochód. Niestety. Być może to nie ma z tym wszystkim nic wspólnego.

– Być może jednak ma. Wypytały sąsiadów Matthew Willarda. Zdziwiające jest czasem, ile sobie ludzie przypominają, jeśli tylko zadać im bardzo konkretne pytania. Jeśli nic nie wskóramy w sprawie tego samochodu, być może poproszę panią do nas do komisariatu, byśmy mogli sporządzić portret pamięciowy kierowcy. Może przypomni pani sobie jeszcze jakieś szczegóły, gdy dokładnie zajmiemy się jego twarzą.

Jakoś nie byłam o tym przekonana. Widziałam ją bardzo krótko. Nie miałam pojęcia, jak wyglądają jego oczy, nos ani usta, włosy czy też uszy. Nie potrafiłabym nawet powiedzieć, czy był ogolony czy nie ani też jak był ubrany. Mimo to oczywiście przytaknęłam.

– Naturalnie. Proszę zadzwonić, jeśli będzie mnie pani potrzebować. Poza tym... pewnie nie pojawiło się nic nowego?

– Niestety nie. Rozpracowujemy wiele wskazówek, lecz jak dotąd nie widać żadnego przełomu. Mimo to oczywiście nie składamy broni, jestem dobrej myśli!

Jeśli nie wierzyłam w któreś z jej słów, to właśnie w to ostatnie zdanie. DI Morgan z pewnością nie była dobrej myśli. Nie należałam jednak do osób, z którymi byłaby gotowa rozmawiać o swoich wątpliwościach i zmartwieniach.

Pożegnałyśmy się i zakończyłyśmy rozmowę. Stałam pośrodku

pokoju, odchyliłam głowę, spojrzałam przez otwarte okno dachowe w ciemniejące wreszcie niebo. Kłębiły się na nim chmury, powietrze pachniało już deszczem, który musiał lada chwila nadejść.

Czemu nam to robisz, Alexia? Swoim dzieciom i Kenowi? Mnie? Przynajmniej od sprawy Vanessy wiesz, co przechodzą ludzie, gdy ktoś im bliski zwyczajnie znika. Przez całe lata obserwowałaś Matthew. Jego lęki, jego cierpienia, jego niezdolność do normalnego życia. Jeśli odeszłaś, musiałaś wiedzieć, co to będzie oznaczać dla twojej rodziny. Dlaczego?

Rozmyślając nad tymi pytaniami, miałam już na nie odpowiedź: Alexia nie odeszła. Ta Alexia, którą znałam od dziecka, *nie odeszła*. Potrafiła działać impulsywnie i nierozważnie, podejmować pochopne, popędliwe i koniec końców niewłaściwe decyzje, była osobą bardzo emocjonalną, czasem nieobliczalną. Ale ona nie odeszła. Nie ukrywała się, nie zadreęczała.

Znałam Alexię na tyle dobrze, że mogłam mieć co do tego pewność.

Spotkało ją coś okropnego. Coś, na co nie miała żadnego wpływu, czego nie chciała. Czego jednak nie mogła uniknąć.

Być może Alexia już nie żyła. Być może została porwana, jest gdzieś przetrzymywana. Cierpi straszliwe męczarnie i błaga o pomoc.

Nagle zaczęłam płakać, jednocześnie po mojej twarzy spłynęły pierwsze krople deszczu. Stałam tak ze zwieszonymi ramionami, sparaliżowana przez strach i troskę. Dobrze, że był przy mnie Matthew, zamknął wszystkie okna i troskliwie wziął mnie w ramiona. Płakałam wsparta na jego ramieniu, Max podszedł do nas i polizał moją dłoń. Ponad naszymi głowami deszcz dudnił o dach.

Choć to niedorzeczne, płakałam jeszcze mocniej, wyobrażając sobie, że gdzieś tam marznie i moknie Alexia.

Chciałam się przy niej znaleźć, chciałam ją ratować, chronić.

Przeczuwałam, że to raczej nie jest w mojej mocy.

2

Wszystko się zmieniło. Nic nie było już takie jak wcześniej. A kiedy mu powiedziała, że teraz wcale nie będzie o nim myśleć inaczej, skłamała. Odruchowo, by go pocieszyć, by stłumić jego rozpacz oraz jego lęki. W owej chwili zaakceptował tę pociechę. Wyczuła, że on to wie. Wie, że jej świat się zawalił i że błądzi teraz pośród gruzowiska. Nieważne, czy zdoła go kiedyś odbudować – i tak powstanie zupełnie nowy obraz.

Powiedział jej wszystko, bez ogródek. Nie podniósł przy tym głowy z kałuży kawy, płakał. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że nie kłamał. Odkąd odkryła, że ją oszukał, opowiadając o swym okropnym jakoby dzieciństwie, rozmyślała czasem, które z jego słów są prawdą, a które nie. Stało się dla niej jasne, że jest typem człowieka, który sięga po spieszne kłamstwo, by dzięki niemu wywinąć się z drażliwej sytuacji. Możliwe, że robił tak częściej i bardziej bezrefleksyjnie niż inni ludzie. Bez drgnienia powiek przeinaczył znaczną część własnej biografii i był w tym tak przekonujący, że ani przez moment nie miała żadnych wątpliwości. Kłamstwo opanował do perfekcji. Niestety, musiała się z tym faktem zmierzyć.

Teraz wszakże nie kłamał. Nie wymyślał niesamowitych historyjek, z jakiego to powodu miałby się tego dopuścić. Wszystko, co opowiedział o Vanessie Willard i o sobie, o tym, co się wydarzyło owego sierpniowego dnia przed trzema laty oraz w następnych tygodniach, było prawdą. Musiała razem z nim przetrwać to jego kompletne wewnętrzne załamanie, które przeżywał podczas swej opowieści, by dowiedzieć się jednego: mówił prawdę. Prawdę straszniejszą niż człowiek zdołałby udźwignąć.

– Jestem potworem – wyrzucił z siebie, szlochając. – Widzisz teraz,

prawda? Teraz już wiesz, że jestem potworem!

– Jesteś Ryanem – powiedziała. – Po wszystkim, czego się dowiedziałam, nie będę myśleć o tobie inaczej niż przedtem.

Zamienili się rolami: on mówił prawdę. Ona kłamała. Również dlatego, że swych prawdziwych uczuć nie zdołałaby wyrazić słowami.

W końcu zrozumiała też, co spowodowało, że był w takim stanie. Opowiedział zupełnie zagmatwaną historię zaginionej kobiety, po czym podsunął jej pod nos gazetę. Wówczas Nora sama przeczytała o Vanessie Willard, która przed trzema laty została prawdopodobnie porwana z położonego na odludziu parkingu, a której mąż do dziś desperacko próbuje się dowiedzieć, co się tam wtedy wydarzyło. I o Alexii Reece, zaginionej od zeszłego weekendu, której porzucony samochód znaleziono na tym samym parkingu w takim samym stanie.

– Dziwne – powiedziała.

Ryan wpatrywał się w nią przez chwilę dzikim, rozpaczliwym wzrokiem, zanim odpowiedział:

– Ktoś usiłuje mnie załatwić. Ktoś, kto o wszystkim wie!

Nie od razu zrozumiała.

– Jak to? Przypadek Willard całymi tygodniami nie schodził z pierwszych stron gazet. Nawet ja sobie teraz przypominam. Być może ktoś z jakiegoś powodu odtwarza tamte okoliczności. Takie rzeczy czasem się zdarzają. Nikt nie musi nic o tobie wiedzieć.

– Ale biorąc pod uwagę wszystko to, co się wydarzyło... Debbie. Moja matka. A teraz to!

– Podejrzewaliśmy, że to ludzie Damona stoją za napadem na Debbie i na twoją matkę.

– A jeśli to nie oni? Jeśli to wszystko się z sobą wiąże, wówczas nie można tego zapisać na konto Damona. Damon nie może mnie powiązać z losem Vanessy Willard. To wykluczone. Niemożliwe.

Wreszcie pojęła tok jego rozumowania. Debbie. Corinne. Alexia Reece jako kopia Vanessy Willard. W przypadku Debbie i Corinne to Damon był prawdopodobnym podejrzanym. Jeśli doliczyć do tego obecną historię – mogło się tak stać, choć niekoniecznie – wówczas krąg

podejrzanych bardzo się zacieśniał. Ściśle mówiąc...

– Ale któż na tym świecie miałby cię powiązać ze sprawą Vanessy Willard, Ryane? Jestem pierwszą osobą, której o tym opowiedziałeś, prawda?

Wyprostował się. Kawa kleiła się do jego włosów. Brązowa strużka spływała bokiem po jego szyi i wsiąkała w biały T-shirt.

– Ty jesteś pierwsza, owszem. Dlatego istnieje tylko jedna jedyna możliwość.

– Jaka?

– Vanessa – odparł. – Sama Vanessa. Ona wie.

Nora poczuła się jakby uderzona obuchem.

– Ale jak miałyby... To znaczy... ech, skręcona śrubami skrzynia... – Z trudem przychodziło jej wyliczanie szczegółów. To było po prostu zbyt przerażające. – Kamienie ułożone przed wejściem do jaskini... To przecież niemożliwe!

– Być może ktoś tamtędy przechodził i usłyszał jej krzyki. I ją uwolnił.

– Ale wówczas od dawna byłaby w domu. Policja by o tym wiedziała. Człowiek, który ją znalazł, wszcząłby alarm. Dlaczego miałyby się ukrywać? Przez trzy lata?

– By się na mnie zemścić.

– Zostawiłaby własnego męża w dręczącej niepewności tylko po to, żeby bez przeszkód wziąć odwet? Nie potrafię sobie tego wyobrazić – wyznała Nora.

Ryan potrząsnął głową.

– A cóż my wiemy o tym małżeństwie? Może i na nim chciała się zemścić?

– A jej wybawca?

– Może sama zdołała się jakoś uwolnić. Tego nie wiem. Niby skąd miałbym to wiedzieć?

– Nigdy tam później nie byłeś, prawda?

Spojrzał na nią przerażony.

– Nie! Na litość boską, nie!

– Skąd mogłaby się dowiedzieć, że to ty jesteś sprawcą? – zapytała Nora. – Byłeś zamaskowany.

W tym momencie po raz pierwszy przemknęło jej przez myśl: cóż za absurdalną prowadzę rozmowę! Boże drogi! Siedzę obok niebezpiecznego przestępcy i rzeczowo rozmawiam o rozmaitych możliwościach, jakie mogły wyniknąć z przerażającej zbrodni.

– Może zauważyła mój samochód, zanim... na nią napadłem – snuł domysły Ryan. – Albo rozpoznała mój głos, czy ja wiem. Nie mam pojęcia, Noro. Ale coś jest na rzeczy. To, co się przytrafiło Debbie i Corinne, to nie był przypadek. Podobnie jak teraz tej Alexii Reece.

– Ale nie znasz tej kobiety?

– Nie.

– To ją odróżnia od Debbie i twojej matki.

– Owszem. Ale okoliczności jej zniknięcia jednoznacznie mają coś wspólnego ze mną.

– Mają coś wspólnego z przypadkiem nagłośnionym w prasie – poprawiła go Nora. – One *nie muszą* się z tobą wiązać.

Rozumiała oczywiście, jakie myśli kiełkowały w jego głowie. I nie była to, na Boga, żadna szalona teoria, ku jakiej się skłaniał. Była zrozumiała i wcale nie wydawała się zbyt naciągana. Wręcz przeciwnie.

Tydzień mijał powoli, okropnie, niemiłosiernie się włókł. Nora z trudem mogła się skupić na pracy, lecz jeszcze trudniej było jej wracać wieczorem do domu, siedzieć przy stole naprzeciw milczącego, zupełnie zamkniętego w sobie Ryana i obserwować go, jak nie może przełknąć choćby kęsa i wciąż oddaje się mrocznym myślom. Najgorsze były jednak noce. Nora nie mogła zmrużyć oka, leżała całymi godzinami i zastanawiała się, jak powinna postąpić. Została wtajemniczona. Wiedziała o zbrodni. Wiedziała, że istnieje człowiek, który nie zaznał spokoju, gdyż nie miał pojęcia, co się przytrafiło jego żonie. Zniknęła druga kobieta, policja najwyraźniej błądziła jak we mgle, tak przynajmniej wynikało z artykułu w gazecie. Niektóre fakty znali tylko ona i Ryan. Nora nie mogła mieć złudzeń: miała obowiązek

zgłosić się na policję. I wyjawić wszystko, co wie.

A jednak istniał jeszcze ów głos, szepczący jej nieustannie do ucha: „Pomyliłaś się, Noro! Całkowicie się pomyliłaś co do Ryana! Czyż nie przestrzegali cię wszyscy? Przede wszystkim twoja przyjaciółka Vivian, którą za to znienawidziłaś. Zawsze powtarzała, że zbyt mało o nim wiesz i że pewnie mnóstwo przed tobą przemilczał. Chciałaś widzieć w nim miłego, słabego chłopca, który wprawdzie wciąż popada w konflikt z prawem, a jednak w głębi serca jest porządnym człowiekiem. Któremu trzeba jedynie silnej kobiety u boku, opiekunki, a wtedy wszystko będzie w najlepszym porządku. Jak mogłaś potraktować to wszystko jak jakąś nieistotną drobnostkę? Jego kartotekę? Bójkę w knajpie, w trakcie której młody człowiek został tak ciężko ranny, że mógł umrzeć? To wszystko przesada, to wszystko nie jego wina. Jakże byłaś naiwna.

Albo: jak bardzo potrzebująca.

A teraz, Noro? Chcesz to dalej ciągnąć? Uznać go za niewinnego i przymknąć na to oko? Ta sprawa z Vanessą Willard ma cholernie odmienny wymiar niż wszystkie dotychczasowe, wiesz o tym doskonale. Uprowadzenie, uwięzienie, zaplanowany szantaż, w końcu morderstwo. Nawet jeśli zdołała się oswobodzić, co wydaje się dość nieprawdopodobne, pozostaje oczywisty fakt, że liczył się z jej śmiercią. Śmiercią w męczarniach. Za to trafi na długi czas za kratki. I nie bez powodu.

Czy nadal chcesz z nim żyć, jakby nic się nie stało? Ach, Noro, nie zapominaj też o Damonie. I pięćdziesięciu tysiącach funtów. Damon nie usunie się taktownie w cień tylko dlatego, że Ryan musi się uporać z jeszcze większym problemem. Trzydziestego czerwca Damon zapuka do drzwi, wątpliwe, by jego drużyna inkasentów zadowolila się przykładowym ukaraniem Ryana. Być może ciebie też to nie ominie. Zadawałaś się z przestępcą. I jeśli zaraz z tego nie wybrniesz, sama wylądujesz w tym środowisku. Uroczy to obrazek: silna kobieta ciągnąca w górę, ku słońcu, upadłego mężczyznę. Wygląda jednak na to, że to upadły mężczyzna ściągnie tę silną kobietę w dół, do piekła.

Dlaczego nigdy nie pomyślałaś, że również ten wariant jest możliwy?”.

Ze względu na uroczystości diamentowego jubileuszu wstąpienia na tron królowej nowy tydzień rozpoczął się dopiero w środę. Choć przedłużony weekend doskonale się nadawał na wyjazd do Yorkshire, Nora nie wracała już do tego tematu. Razem z Ryanem popadła w pewien rodzaj odrętwienia, który nie nastrojał do tego, by chociaż w jakimś stopniu zająć się rozwiązywaniem licznych problemów. Żadne z nich nie znalazło w sobie dość sił, żeby wziąć się do rzeczy – nawet praktyczna, stąpająca twardo po ziemi Nora. Nie przespaała kilku kolejnych nocy z rzędu. Kiedy pojawiła się w szpitalu, Vivian zlustrowała ją wzrokiem, a na jej twarzy odmalował się wyraz autentycznej konsternacji.

– Jesteś chora, Noro? Strasznie źle wyglądasz. Coś cię martwi?

– Nie, nic – odparła Nora, po czym się odwróciła. *Poza tym, że moje życie właśnie wali się w gruzy. Najgorsze jednak jest to, że z nikim nie mogę o tym pomówić. Znikąd rady czy pomocy. Jeślibym komukolwiek opowiedziała historię Vanes-sy Willard, najpierw by zemdlał, a potem, ledwie się ocknąwszy, pognał zaraz na policję.*

Tego ranka miała jednego pacjenta za drugim, ledwie zdołała w przerwie wypić kilka łyków herbaty czy przynajmniej głęboko odetchnąć. Może to i lepiej. Na szczęście była profesjonalistką, potrafiła rutynowo przeprowadzić program ćwiczeń, krążąc myślami zupełnie gdzie indziej. Dwoje pacjentów także ją zagadnęło z powodu jej chorobliwego wyglądu, zdołała to jednak zbagatelizować.

– Źle ostatnio sypiam. Czasem się tak zdarza. Będzie dobrze.

W czasie przerwy obiadowej została w przebieralni, podczas gdy inni wyszli z kawą i sandwiczami do ogrodu. Dzień był ładny, bezdeszczowy, nieco wietrzny. Nora miała nadzieję, że nikt nie zauważy jej nieobecności. Nie chciała już słuchać tych przepełnionych troską pytań. Nie potrafiłaby na nie odpowiedzieć.

Właśnie oparła się wygodnie i zakręciła swój termos z herbatą, ciesząc się z panującej ciszy i przytłumionego światła, gdy usłyszała pukanie. W drzwiach ukazała się głowa kobiety.

– Miss Nora Franklin? – Kobieta uniosła legitymację. – Detektyw inspektor Olivia Morgan. My już się znamy. Przed kilkoma tygodniami byłam u pani w mieszkaniu.

Nora się wyprostowała. Przypomniała sobie policjantkę. Chciała wówczas rozmawiać z Ryanem w sprawie napadu na Debbie. Po co przyszła tym razem? Serce Nory gwałtownie przyspieszyło. Miała nadzieję, że nie dała po sobie poznać przeszywającego ją strachu.

– Tak? – odparła pytaniem.

Za plecami Morgan pojawił się jakiś mężczyzna.

– Detektyw sierżant Jenkins – przedstawiła go. Odgarnęła z czoła kosmyk włosów. – Pani koleżanki powiedziały nam, gdzie można panią znaleźć.

Pewnie błądziła po całym szpitalu.

– Zaraz mam następnego pacjenta – oznajmiła Nora.

Morgan potrząsnęła głową. Bez słowa usiadła na rozkładanym krześle, podczas gdy Jenkins stał oparty o framugę drzwi. Wejście do damskiej przebieralni wydało mu się wysoce niestosowne.

– Przejrzałam pani dzisiejszy plan zajęć – powiedziała Morgan. – Następnego pacjenta ma pani o czternastej. Mamy więc jeszcze dobre pół godziny.

– Okay. – odparła czujnie Nora. Zważywszy na okoliczności, pojawienie się w klinice policjantów z pewnością nie wróżyło nic dobrego.

Jak się okazało, chodziło im o sprawę zaginionej Alexii Reece ze Swansea. Zapytana przez Morgan Nora przyznała: owszem, czytała o tym.

– Cóż, w tej chwili to zbyt cenne, by opisywać pani wszelkie szczegóły – rzekła Morgan, przez co uprzejmie dała do zrozumienia, że nie będzie jej wtajemniczać w niuanse dochodzenia – ale na pewno czytała też pani, że historia Reece wykazuje znaczące podobieństwa do

innego przypadku, jaki miał miejsce przed niemal trzema laty w Pembrokeshire: do przypadku doktor Vanessy Willard.

– Tak – przyznała Nora. Zaczęła się pocić. Zarzuciła grzywkę na czoło. Z pewnością widać było na nim kropelki potu.

– Dostaliśmy wskazówkę, że ktoś, kto jeździ niebieską, dość już starą toyotą corollą, wielokrotnie... obserwował dom Matthew Willarda, męża Vanessy Willard.

– Niebieską corollą – powtórzyła Nora matowym głosem.

Morgan obrzuciła ją przenikliwym spojrzeniem.

– Szczerze mówiąc, Miss Franklin, nie mamy kompletnych numerów rejestracyjnych. Ale mamy ich fragment, a to pozwoliło nam znacznie ograniczyć liczbę wchodzących w rachubę pojazdów. Znalazła się pani w kręgu osób, które musimy przesłuchać.

– Ja... chyba nie będę mogła pani pomóc – powiedziała Nora. Odchrząknęła. Jej głos dziwnie dźwięczał. Obserwować dom Matthew Willarda? *Po co?*

– Czy zna pani Jennę Robinson ze Swansea? – zapytała Morgan.

– Nie. Kto to?

– Nowa partnerka Matthew Willarda. To ona zwróciła uwagę na wspomniany samochód zaparkowany przed drzwiami jej domu. Powiadomiła nas o tym. Już w sobotę zasięgnęliśmy języka wśród sąsiadów Matthew Willarda. I rzeczywiście, wczoraj wieczorem zgłosiła się do nas tamtejsza mieszkanka, która wyjechała na weekend i z opóźnieniem dowiedziała się o naszych poszukiwaniach. Ona także zauważyła ten pojazd i bardzo się zdziwiła. Na szczęście pamiętała fragment numerów rejestracyjnych.

– Ja nikogo nie obserwowałam – zapewniła Nora. – Niby po co miałabym to robić?

– Nie chodzi o panią, Miss Franklin. W samochodzie siedział młody mężczyzna. Jego opis dość dobrze pokrywa się z wyglądem pani... Jak mam go określić? Lokatora? Współmieszkańca? Życiowego partnera?

– Ma pani na myśli Ryana Lee – powiedziała Nora. Nie mogła opanować przyspieszonego bicia serca. Cholera, a niech to szlag. Nie

o wszystkim jej opowiedział. Pomyślała o tych wielu godzinach, które spędził poza domem, zabierając jej samochód. Mówił, że odwiedzał Debbie albo że *po prostu jeździł po okolicy*. Ani przez sekundę nie miała wątpliwości, że to on czatował przed domem Willarda oraz tej... jak jej było? Jenny Robinson. Czego chciał się dowiedzieć? Czy Vanessa krąży gdzieś w pobliżu? Miała taką nadzieję, tak głęboko w to wierzyła. A co, jeśli on ma coś wspólnego ze zniknięciem tej Alexii Reece?

Spostrzegła, że Morgan lustruje ją przenikliwym wzrokiem. Funkcjonariuszka z pewnością zauważyła, że gorączkowo zmagają się ze swymi myślami.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odpowiedziała. Zrozumiała, że jej głos wciąż brzmi nienaturalnie. – Ryan może korzystać z mojego samochodu, kiedy tylko chce, nie pytam go, co wtedy robi i dokąd jedzie. Nasz związek nie jest aż tak zażyły, pani inspektor.

Niestety!

– Nie mogę pani pomóc – dodała. – Przykro mi. Musi go pani sama zapytać. Pracuje w...

– Już tam byliśmy – przerwała jej Morgan. – W punkcie ksero przy Dimond Street. Miał przerwę obiadową, i choć czekaliśmy przez jakiś czas, już z niej nie wrócił. Jego kurtka nadal jednak wisi w garderobie, a w niej portfel oraz dokumenty. Na miejscu jest jeden z naszych ludzi. Miejmy nadzieję, że Ryan wkrótce się zjawi. Bez pieniędzy daleko nie zajdzie.

Czyżby zwąchał pismo nosem? Uciekł?

– Cokolwiek się przytrafiło Alexii Reece – oznajmiła Morgan – kilka faktów przemawia za tym, że to nie o nią chodziło. Prawdopodobnie dokonano napadu, lecz w rzeczywistości jej samochodem miała tamtego dnia podróżować Jenna Robinson. Możliwe, że znalazła się na celowniku. W związku z tym interesuje nas, kto i dlaczego przez wiele dni ją obserwował.

– Tak. Oczywiście.

Boże drogi, chyba nie planował tego *ponownie*? W jego rozpaczliwym położeniu, naciskany przez grożącego mu Damona i jego

oddział zabójców? Chyba nie uprowadził znów jakiejś kobiety, by zdobyć pieniądze. Partnerkę Willarda? Którą pomylił z kim innym? Czy to dlatego był przed tygodniem taki załamany? Bo wyczytał w gazecie, że porwał niewłaściwą osobę?

W takim razie dlaczego miałby mi o tym wszystkim opowiedzieć? Wtajemniczać mnie? Czy nie powinien, do cholery, nadal trzymać gęby na kłódkę?

– Czy pani wie, gdzie teraz przebywa Ryan Lee? – zapytała Morgan spokojnym głosem.

Nora wzięła głęboki oddech.

– Nie. – Przynajmniej w tym przypadku mogła być szczerą. – Naprawdę tego nie wiem, pani inspektor. I nic też nie wiem o tym, że obserwował ludzi. Nawet nie potrafię sobie tego wyobrazić. Może jednak chodzi o inny samochód?

– Możliwe. – Było jednak jasne, że Morgan w to nie wierzy. – Dziwny jest ten Ryan Lee, nie sądzi pani? Najpierw ta historia z jego byłą dziewczyną. Na którą napadnięto w Swansea. A teraz ta sprawa. Co pani właściwie wie o człowieku, którego przyjęła pani pod swój dach, Miss Franklin?

– Dość, by mu zaufać, pani inspektor. W swym życiu dopuścił się wielu okropności, ale on nie jest zły.

Jak możesz tak kłamać, Noro?

Morgan podniosła się z krzesła.

– Niech pani będzie ostrożna, Miss Franklin. Ludzie, którzy lądują za kratkami, nie trafiają tam tylko dlatego, że są słabi, chwiejni, lecz w głębi serca dobrzy, jak chciałoby się wierzyć. Czasem siedzą w więzieniu dlatego, że są zupełnie źli. Amoralni. Pozbawieni sumienia. Pozbawieni skrupułów. I doskonale potrafią innych omamić. – Wręczyła Norze swoją wizytówkę. – Proszę. Raz jeszcze moja wizytówka. Proszę zadzwonić, jeśli coś pani zauważy. Musimy pilnie porozmawiać z Mr Lee. Może sobie pani narobić kłopotów, jeśli zna pani miejsce jego pobytu i to przed nami przemilcza. Nazywa się to utrudnianiem czynności dochodzeniowych.

– Ja naprawdę nie wiem, gdzie on jest.

Wyczuła, że ani Morgan, ani jej kolega nie wierzą jej zapewnieniom. Ale przynajmniej w końcu się odczepili. Nora nie wytrzymałaby ani chwili dłużej, wybuchnęłaby płaczem, a cała sytuacja mogłaby się zakończyć kompletnym fiaskiem. Oczekała, aż funkcjonariusze dotarli już pewnie do windy, po czym wstała. Nogi jej drżały, odmawiały posłuszeństwa. Z pewnością wywoła tym mnóstwo irytacji, ale musi odwołać wszystkie terminy na dzisiejsze popołudnie. Była chora.

Dłużej już nie mogła.

Detektyw inspektor Olivia Morgan wróciła do domu o siódmej, dość wcześnie jak na jej zwyczaj. Z biura wygnała ją własna frustracja. Przypadek Reece zdawał się coraz bardziej komplikować. Mieli już nie tylko zaginioną kobietę, lecz również dwóch zaginionych podejrzanych. Garrett Wilder, dziwny ekspartner Jenny Robinson, przed prawie dwoma tygodniami jakby zapadł się pod ziemię, a teraz zaszły się gdzieś także Ryan Lee, notoryczny przestępca, zachowujący się bardziej niż podejrzanie. Przez całe popołudnie nie pokazał się w punkcie ksero, choć jak dotąd, co niechętnie przyznał jego właściciel, był pracownikiem godnym zaufania. Tylko raz nie pojawił się w pracy bez usprawiedliwienia, raz też się spóźnił. W przypadku takiego człowieka jak Ryan Lee był to niewątpliwy dowód jego usilnych starań, by powrócić do życia w społeczeństwie. Musiał też mieć istotny powód, by nie wrócić z przerwy obiadowej. Pewnie spostrzegł, że w pobliżu kręci się policja. Morgan soczyście zaklęła, kiedy jej o tym doniesiono.

Morgan i Jenkins pojechali następnie do mieszkania Nory i Ryana, lecz Ryana tam nie zastali. Ku swojemu zaskoczeniu spotkali za to zapłakaną Norę – otworzyła im drzwi w szlafroku, miała bosa stopy i mruknęła coś o ataku migreny, z powodu którego wzięła na resztę dnia wolne. Morgan ponownie zapytała ją o Ryana, usiłując przy tym zajrzeć do wnętrza mieszkania. Nie mieli nakazu rewizji, lecz Nora ochoczo wpuściła ich do środka, otworzyła im nawet drzwi do pokoju Ryana.

– Nie ma go tu. Jeśli nie ma go też w pracy, nie wiem, gdzie się podziewa. Nie mam zielonego pojęcia.

Morgan zastanawiała się, czy można jej wierzyć. Nawet teraz, gdy po powrocie do domu zdejmowała buty, myła ręce i podlewała nieco

już uschniętą roślinę pokojową, rozmyślała o Norze Franklin. Kobiety, które świadomie wiązały się z mężczyznami odsiadującymi karę więzienia, stanowiły dla niej absolutną zagadkę. Wiedziała, że pewną rolę odgrywało tu romantyczne i zazwyczaj zupełnie nierzeczywiste wypaczenie obrazu owych mężczyzn oraz ich kryminalnej przeszłości. Nie dziwiło jej oczywiście to, że u kobiet jej pokroju i profesji takie zniekształcenie rzeczywistości budziło wyłącznie niezrozumienie. Nory Franklin tego świata były zazwyczaj uczciwymi, prawnymi obywatelkami o nieposzlakowanej opinii, które dla zbrodniarza potrafiły jednak kłamać jak z nut, by go strzec i ochraniać. Dziewczęta, które pominawszy mandaty za złe parkowanie, nigdy nie popełniały żadnych wykroczeń, nagle ochoczo dopuszczały się krzywoprzysięstwa i ryzykowały, że same znajdą się za kratkami, kładąc na szali własną przyszłość. Morgan uważała to po prostu za przerażające i tragiczne. Ostatecznie bowiem kobietom tym za ich bezwzględne oddanie mężczyźni nie odwzajemniali się miłością, wdzięcznością i wiernością po wsze czasy, lecz jedynie je wykorzystywali i w końcu porzucali, kiedy nie były im już potrzebne. Scenariusz ten był całkowicie przewidywalny, a jednak wciąż się powtarzał.

Przy drugim dzisiejszym spotkaniu z Norą Franklin Morgan odniosła jednak wrażenie, że ta kobieta rzeczywiście nie wie, gdzie się podziewa Ryan. Bardzo się zamartwiała i była zupełnie zdruzgotana, wydawało się, że nie udaje. Ryan Lee nie wrócił do pracy i prawdopodobnie nie miał jeszcze sposobności, by się skontaktować z Norą, stąd również ona nie знаła miejsca jego pobytu.

Olivia Morgan stała w kuchni i zastanawiała się, czy zadać sobie nieco trudu i przygotować porządną kolację, czy może prościej będzie nalać sobie kieliszek wina i wziąć do ręki kawałek cheddara. Może zadzwoni do swojego przyjaciela i zapyta, czy nie spotkaliby się w pubie. Kiedy sięgała po telefon, aparat zadzwęczał. Odebrała już przy pierwszym sygnale.

– Tak?

– Boże, pani inspektor, czy w domu przykleja się pani do telefonu? –

Był to detektyw sierżant Jenkins. – Naprawdę mnie pani wystraszyła, odbierając tak szybko!

– Przepraszam. Co jest?

– Zgłębiłem nieco temat, żeby się czegoś dowiedzieć o tym Ryanie Lee, i okazuje się, że jego matka i ojczym mieszkają w Yorkshire. Jego rodzony ojciec nie żyje.

– Czy mógłby próbować się tam ukryć? U swojej matki?

– Możliwe, ale mało prawdopodobne. Z ojczymem ma bardzo złe stosunki. Tamten uważa go za nicponia i nie chce mieć z nim nic wspólnego.

– To zrozumiałe, ale...

– Chwilka, pani inspektor, najlepsze przed nami: rozmawiałem z detektywem sierżantem Fullerem z policji Yorkshire. To od niego mam informacje na temat ich stosunków rodzinnych. Pod koniec kwietnia zajmowali się sprawą tej Beecroft – to obecne nazwisko matki. Corinne Beecroft została porwana w biały dzień, wywieziona samochodem, po czym zwyczajnie porzucona na wrzosowiskach. Zdołała jednak dotrzeć do odosobnionej farmy, gdzie udzielono jej pomocy.

Morgan wstrzymała oddech.

– To przecież...

– Ta sprawa pojawiła się w wiadomościach – kontynuował Jenkins – lecz tylko mimochodem, gdyż szybko ją wyjaśniono. Dotarło do nas zapytanie z Yorkshire na temat tego Ryana Lee, nie przekazano go jednak dalej, ani mnie, ani pani. Widocznie szybko się okazało, że on nie ma z tym nic wspólnego, a matka wróciła już zdrowa do domu.

– Czy wiadomo...?

– Nic nie wiadomo. Okoliczności tego porwania są zupełnie zagadkowe. Nie pojawiło się żądanie okupu, co zresztą byłoby dość absurdalne, zważywszy, że Beecroftowie do zamożnych nie należą. Cała ta sprawa wyglądałaby na sztubacki figiel, gdyby nie fakt, że sprawcy, dwaj zamaskowani mężczyźni, zabrali się do dzieła absolutnie profesjonalnie. Tak przynajmniej opisała to ofiara.

Morgan usiłowała przeanalizować liczne zasłyszane informacje.

– Czy to pewne, że Ryan Lee nie miał z tym nic wspólnego?

– Po zaginięciu matki jego ojczym zadzwonił do niego, a wtedy Ryan razem z tą Franklin natychmiast przyjechał do Yorkshire. Nie, bezpośrednio nie mógł brać w tym udziału. W chwili napadu był w pracy w Pembroke Dock, później zaś na przyjęciu, na którym widziało go mnóstwo ludzi.

– Godne uwagi nagromadzenie przypadków – stwierdziła Morgan.

– Najpierw napaść dwóch zamaskowanych mężczyzn na Debbie w Swansea. Przez kilka lat łączył ją bliski związek z Lee i do dziś jest z nim zaprzyjaźniona. Potem jego matka. Dwie bliskie mu kobiety. A teraz znów znalazł się na naszym celowniku, gdyż najwyraźniej interesował się kobietą, która być może miała się stać ofiarą porwania. Po co całymi godzinami czatuje przed domem Jenny Robinson? Dlaczego zniknął akurat dziś, kiedy na niego czekaliśmy? Do cholery, Jenkins, rozumie pan coś z tego?

– Nie – przyznał Jenkins – nic a nic. Jedno jest wszakże pewne: za wszelką cenę musimy znaleźć Ryana Lee. Coś tu nie gra, a on najwyraźniej maczał w tym palce. Mam na myśli zniknięcie Alexii Reece.

– Tak, musimy go znaleźć, i to *szybko*. Alexia Reece zaginęła ponad tydzień temu. Nie muszę panu wyjaśniać, co to oznacza.

– Oczywiście – odparł Jenkins. Pracował w policji wystarczająco długo, by wiedzieć, że szanse na odnalezienie żywej Alexii maleją z każdym upływającym dniem.

– Jutro raz jeszcze odwiedzę Norę Franklin – oznajmiła Morgan. – Wypytam ją bardzo wnikliwie. Ona musi wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi i jaka jest stawka w tej grze. Ta kobieta nie jest przestępcą. Trzeba odwołać się do jej poczucia przyzwoitości i moralności.

Pożegnali się. Morgan nie miała już ochoty dzwonić do przyjaciela. Nalała sobie kieliszek wina i rozsiadła się na sofie w pokoju dziennym. Nie dostrzegała żadnych powiązań, lecz jakieś musiały przecież istnieć.

Jako że Lee zniknął, pozostała jej tylko ta Franklin, jedyny w tej chwili punkt zaczepienia. Morgan uświadomiła sobie, że jednak się nie myliła: Nora kłamała dla Ryana. Co prawda nie rozmawiały dziś o historii Corinne Beecroft, niemniej jednak napomknęła jej o przypadku Deborah Dobson. Gdyby Nora rzeczywiście chciała współpracować z policją, winna była z własnej woli opowiedzieć o Corinne.

Kłamać można także milczeniem.

Morgan znów sięgnęła po telefon. Niech wystawią funkcjonariusza przed mieszkaniem Nory w Pembroke Dock. Być może pojawi się tam Ryan. Albo też Nora pójdzie do niego.

Pomyślała o Alexii. O Kenie. O czwórce ich dzieci.

W razie konieczności pokaże Norze Franklin najmłodsze z nich, by pojęła powagę sytuacji. Tę kobietę należało nakłonić do mówienia.

Trzeba tylko znaleźć właściwy punkt, od którego można by zacząć.

Piątek. Od środy się nie pokazywał. Nie odezwał się ani razu.

Nora wzięła chorobowe do końca tygodnia. Czuła się fatalnie, była tak zrozpaczona, że nie potrafiła myśleć o pracy. Poszła do lekarza, który ledwie na nią spojrzawszy, z miejsca był gotów wystawić jej zwolnienie. Na ciele czuje się zdrowa, lecz powiedziała mu, że jest śmiertelnie wyczerpana, zupełnie wyczerpana z sił.

– Pilnie potrzebuje pani kuracji – oświadczył lekarz. – Moim zdaniem wkrótce pojawi się u pani syndrom wypalenia, a tego nie wolno bagatelizować.

Nie potrzebowała żadnej kuracji, lecz nie mogła mu tego powiedzieć. Potrzebowała wyjaśnienia swej sytuacji życiowej. Musiała ulżyć sumieniu. Odkąd Ryan opowiedział jej historię Vanessy Willard, Nora dźwigała na swych barkach ciężar winy, który ją przytłaczał. A od chwili, gdy usłyszała o dziwnym zachowaniu Ryana, o jego wielogodzinnym czatowaniu przed domami obcych ludzi, ogarnął ją strach, że on może mieć coś wspólnego ze zniknięciem Alexii Reece. Że gdzieś ją zamknął w skrzyni. Albo w jakiejś piwnicy, w jaskini, gdzie bądź. Matkę czwórki dzieci, z których najmłodsze miało ledwie półtora roku. Ponownie odwiedziła ją detektyw inspektor Morgan. Opowiedziała o zrozpaczonych dzieciach. O załamany męzu. O lęku rodziny, ich trudnej do udźwignięcia niepewności.

Pojawił się także Melvin Cox, kurator sądowy Ryana.

– Noro, proszę, nie pomoże mu pani, jeśli będzie go pani kryć. To źle pojmowana lojalność. Być może nie zrobił nic złego, może po prostu przejął go olbrzymi strach, gdy zauważył, że u jego szefa zjawiała się policja. Być może będzie mógł to z łatwością wyjaśnić, lecz w tym celu funkcjonariusze muszą z nim *porozmawiać*. Ucieczka tylko pogarsza jego

sytuację. Niechże będzie pani prawdziwą przyjaciółką i powie mi, gdzie on się podziewa.

Ona jednak naprawdę tego nie wiedziała. Wiedziała wszakże o innych sprawach i niezwłocznie powinna o nich komuś powiedzieć. To jednak oznaczałoby zdradę. Tak bardzo pragnęła, by w jakiś sposób się odezwał. Wówczas zrobiłaby wszystko, żeby go nakłonić do wyznania prawdy. *Opowiedz policji o Vanessie Willard. Uwolnij jej męża od ciężaru niepewności. A jeśli wiesz, gdzie przebywa Alexia Reece, powiedz, proszę! Proszę!*

On jednak się nie pojawił, nie zatelefonował. Domyślała się, że znalazł się w okropnym położeniu. Bez pieniędzy, bez noclegu. Przez cały czas musiał się ukrywać, lecz nie było dlań bezpiecznej przystani. Nie zwrócił się do swej starej przyjaciółki Debbie, Nora wiedziała o tym od detektyw inspektor Morgan, która przyznała, że policja wielokrotnie ją nachodziła. Czy spróbuje schronić się u swojej matki? Beecroftowie zostali o całej sprawie powiadomieni, policja z Yorkshire ich obserwowała. Nora tymczasem zauważyła, że również przed jej drzwiami wystawiono funkcjonariusza. Ryan mógłby jednak zadzwonić. Fakt, że tego nie zrobił, dowodził, że nie miał już do niej zaufania, a to zabolalo ją najbardziej. Nigdy nie odwzajemnił jej uczuć, a mimo to w ostatnich miesiącach miała wrażenie, że traktuje ją jak kogoś, kto niezłomnie stoi po jego stronie. Wtedy jednak opowiedział jej o Vanessie Willard, płacząc i drżąc na całym ciele, i choć ze wszystkich sił starała się ukryć własną konsternację, odbierające niemal dech przerażenie, uświadomił sobie, że oto wstrząsnął podwalinami jej świata. Nie była już dlań opoką. Zaczął postrzegać ją jako kogoś, kto być może przejdzie na stronę wroga. Może pomyślał nawet, że tamtej środy to ona powiadomiła policję, że to z jej inicjatywy funkcjonariusze pojawili się nagle w zakładzie kserograficznym.

I ani mu się śni ponownie nawiązać z nią kontakt.

W piątkowe popołudnie Nora była na skraju załamania nerwowego, miała wrażenie, że im dłużej będzie siedzieć beczynnie w swoim mieszkaniu, tym gorszy obrót przybiorą sprawy. Nie przestawała

rozmyślać o Alexii Reece. Jeśli zaraz nie zacznie działać, niechybnie zwariuje. A jednak nie wiedziała. Nie wiedziała, czy Ryan maczał w tym palce. Jeśli o wszystkim opowie, policja nie będzie mieć żadnych wątpliwości, a wtedy Ryan wpadnie w pułapkę, bez względu na to, czy jest, czy nie jest winny. No cóż, z pewnością winny jest losu Vanessy Willard. Z drugiej wszakże strony, jeśli Vanessa zdołała się uwolnić, sprawa przedstawiała się nieco inaczej. Ryan przynajmniej nie byłby wówczas mordercą. Czy miałyby go wpędzić do więzienia za historię, nad którą swego czasu po prostu stracił kontrolę? Nieustannie rozmyślała, z kim mogłaby o tym wszystkim porozmawiać, potrzebowała rady, opinii innego człowieka. Być może potrzebowała po prostu kogoś, kto zdjąłby z jej barków część ciężaru. Musiałby to być ktoś, kto wysłuchałby całej tej przerażającej historii i nie pognałby od razu na policję. Ktoś bliski Ryanowi.

Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do jego matki, lecz wzdragła się przed tym. Corinne bez wątpienia była dla Ryana bliską osobą, lecz chyba jednak aż *nazbyt bliską*. Jak zareaguje matka, kiedy się dowie, że jej jedyny syn popełnił tak okropną zbrodnię? Corinne była starszą kobietą, w ostatnim czasie przeżyła ciężkie chwile. Czy w ogóle byłaby w stanie rzeczowo z Norą o tym wszystkim porozmawiać i poradzić jej, co można by w tej sprawie uczynić? Czy może zupełnie by się załamała, napełniając Norę poczuciem, że znów popełniła ogromny błąd?

W głowie Nory zaczęła kiełkować myśl o innej osobie, kobiecie, której właściwie nigdy nie chciała poznać: Debbie, przyjaciółce Ryana. Znała go jak nikt inny. Przez długie lata byli parą, razem mieszkali, po rozstaniu pozostali przyjaciółmi i powiernikami. Nawet w tych dniach Nora nie potrafiła myśleć o niej inaczej, jak tylko z zazdrością oraz niechęcią. Nigdy nie spotkała Debbie osobiście, a mimo to jej postać od dawna nawiedzała ją w myślach, czasem także w snach. I to w sposób dręczący. Nie były to zgoła przyjemne myśli i sny.

A jednak Debbie była jedyną osobą, która jej pozostała, jeśli nie chciała wałkować swych problemów wyłącznie we własnej głowie i stracić przez to rozumu. Również Debbie była przekonana, że Ryan nie

jest złym człowiekiem. Z pewnością będzie wiedziała, jak wyjaśnić sprawę Vanessy Willard. Wszyscy inni uznaliby Ryana za potwora.

Po kilku godzinach rozmyślań i wahań Nora powzięła postanowienie. Pojedzie do Swansea i odwiedzi swoją rywalkę. Jej adres znalazła w książce telefonicznej – miała na szczęście starszą edycję. Przypuszczała, że po napadzie Debbie poleciła usunąć z niej swoje nazwisko oraz adres.

Siedzący w samochodzie funkcjonariusz obserwujący jej dom prawdopodobnie ruszy w ślad za nią, było jej to jednak zupełnie obojętne. Dowie się jedynie tego, że spotkała się z byłą partnerką Ryana. Być może inspektor Morgan wyda się to podejrzane, lecz nie pozna przecież treści ich rozmowy. Jeśliby się jej uczepiła, Nora odpowie, że chciała porozmawiać z Debbie o tym, czy istnieje jakiś sposób nawiązania kontaktu z Ryanem – by go nakłonić do zgłoszenia się na policję.

Nora wiedziała, że Debbie zatrudniona jest w firmie zajmującej się sprzątaniami budynków. Nie miała oczywiście pojęcia, w jakich godzinach pracuje, żywiła jednak nadzieję, że w piątkowy wieczór dopisze jej szczęście i zastanie młodą kobietę w domu. Od Ryana wiedziała, że od dnia napadu w marcu Debbie zmieniła się w domatorkę i prawie w ogóle nie wychodzi z mieszkania, nawet z przyjaciółmi czy kolegami. Jeśli akurat nie pracuje, siedzi w domu i rozmyśla.

Nora wyruszyła o szóstej. Zauważyła, że podążył za nią funkcjonariusz, lecz gdy opuściła Pembroke Dock, zniknął jej z pola widzenia. Nie wiedziała, czy on również stracił ją z oczu, czy też nadal ją śledzi w sposób bardziej wyrafinowany. Bez problemów dotarła do Swansea, pomyliła jednak drogę, co podążającemu jej śladem policjantowi z pewnością nie ułatwiło zadania. Kiedy wreszcie zaparkowała przed domem, w którym mieszkała Deborah Dobson, dochodziła już ósma. Nora poczuła zmęczenie. Wysiadła, rozejrzała się. Nikogo nie zauważyła.

Spoglądając w niebo, wypowiedziała swój akt strzelisty: *Dobry Boże,*

żeby tylko była w domu! I to sama!

Po Debbie od razu było widać, że ma za sobą jakieś traumatyczne przeżycia. Nora nie znała jej wprawdzie z wcześniejszego okresu, lecz Ryan czasem o niej opowiadał. Na podstawie jego słów Nora odmalowała sobie obraz rezolutnej, silnej, pewnej siebie i bardzo niezależnej kobiety. Cech tych próżno by teraz u Debbie szukać, choć z całych sił starała się ukryć swoją lękliwość i nerwowość. Pracowała nad sobą, także to dało się zauważyć. Jej najgłębszej, najintymniejszej istoty, skrywającej mnóstwo stanowczości, sprawcy nie zdołali chyba naruszyć, a przynajmniej nie potrafili doszczętnie zniszczyć. Debbie była zdecydowana stanąć na nogi i nie pozwolić, by zbrodnia, jakiej się wobec niej dopuszczono, zdominowała całe jej dalsze życie. A jednak, to się naprawdę stało, samą siłą woli nie potrafiła stłumić swych lęków. Przynajmniej nie tak szybko, jak by sobie tego życzyła. Nora odniosła wrażenie, że ma oto przed sobą kobietę, która, zgrzytając zębami, usiłuje właśnie pogodzić się z faktem, że będzie potrzebować czasu, czy jej się to podoba czy nie.

– Ach, więc to pani jest Norą – powiedziała, kiedy odpięła łańcuch zabezpieczający drzwi do mieszkania i zaprosiła gościa do środka. – Ryan opowiadał mi o pani. Z jego powodu była u mnie policja. Chodzi o tę historię, od której aż huczy we wszystkich gazetach, prawda? Dwie zaginione kobiety...

– Właśnie o tym muszę z panią porozmawiać – odparła Nora.

Przekonała się, że Debbie najwyraźniej nie żywi wobec niej antypatii czy choćby odrobiny zazdrości. Wręcz przeciwnie, wydawało się, że uznała ją za osobę sympatyczną, być może była jej nawet wdzięczna za to, że zatroszczyła się o Ryana, przyczynę jej wiecznych zmartwień. Chyba rzeczywiście miała wobec niego wyłącznie przyjacielskie zamiary. Była bardzo atrakcyjną kobietą, blondynką o drobnej figurze. Duże oczy, ładne, pełne usta. Nora z bólem uświadomiła sobie, że Debbie wygląda dużo lepiej od niej, jest znacznie bardziej wytworna,

wyrazista, zmysłowa. Również ona poczuła do tamtej sympatię, nadal jednak nie potrafiła poskromić swej zazdrości.

– Ryan popadł w znacznie większe tarapaty niż sądzi policja – ciągnęła Nora. – Zanim zniknął – nieważne, co sądzi policja, ja naprawdę nie wiem, gdzie się podział – zwierzył mi się. Od tej pory jestem... zupełnie rozbita. Muszę z kimś porozmawiać, inaczej zwariuję.

Przeszły do pokoju dziennego.

– Proszę usiąść – zaproponowała Debbie.

Nora usiadła w fotelu.

– Może powinna pani najpierw wypić kieliszek wódki – ostrzegła.

– To nie jest konieczne. Proszę zaczynać. – Debbie również usiadła.

I Nora zaczęła opowiadać.

Kiedy skończyła, Debbie poszarzała na twarzy. Wstała; Nora zauważyła, jak trzęsą jej się nogi.

– Ma pani rację, rzeczywiście muszę się napić!

Nalała sobie oraz gościowi, po czym poszła do kuchni nastawić wodę na herbatę. Była tak bardzo zszokowana, że Nora mimowolnie pomyślała: „Chyba się nie przewróci. Miejmy nadzieję, że nie był to ogromny błąd z mojej strony”.

Kiedy Debbie wróciła z kuchni, na jej twarzy nadal nie było śladu koloru, ale przynajmniej nie wyglądała już tak, jakby miała za chwilę zemdleć.

– Noro – odezwała się – wie pani, co trzeba zrobić? Co *my* musimy teraz zrobić?

– Wyda pani Ryana w ręce policji?

– Mąż tej Vanessy Willard musi się dowiedzieć, co się wówczas wydarzyło. A policja otrzymać wskazówkę, co mogło się przytrafić Alexii. Być może uda się ją jeszcze uratować.

– Ryan zaklinał się, że nie ma z Alexią Reece nic wspólnego.

– Obserwował kobietę, która tamtego dnia miała pojechać zamiast Alexii. Być może ma jakieś dobre wytłumaczenie, choć chwilowo nie potrafię sobie tego wyobrazić.

Nora wlepiła wzrok w trzymany w dłoni kieliszek. Wydawało się,

że już sam zapach alkoholu zdoła ją zamroczyć. Uświadomiła sobie, że od kilku dni prawie nic nie jadła.

– Pani zna tego Damona?

– Nie osobiście. Lecz wiem, kim on jest. Wciąż zaklinałam Ryana, żeby... Ach, cóż poradzić! Ot i cały Ryan, wie pani. Ta sprawa z Damonem. To jego ciągle wplątywanie się w coraz bardziej przerażające sprawy. To dlatego właśnie się z nim rozstałam. Wiedziałam, że któregoś dnia pociągnie mnie za sobą na sam dół. I nie myliłam się. Jeśli to ludzie Damona mnie zgwałcili, jak przypuszcza Ryan, wówczas nastąpiło dokładnie to, czego się tak bardzo obawiałam. I jeśli wiąże się to ze sprawą tej Willard – tym bardziej. Prawdopodobnie odeszłam o wiele za późno. Na miłość boską, Noro, niech pani nie popełni tego samego błędu!

– Chcę pomóc Ryanowi – zapewniła Nora.

Debbie spojrzała na nią.

– Pani nie może mu pomóc. Ja także nie potrafiłam. I proszę mi wierzyć, ja również podchodziłam do tej sprawy dość idealistycznie. Ale to nie ma sensu.

Czajnik zaczął gwizdać. Debbie zniknęła w kuchni. Wróciła, niosąc dzbanek herbaty oraz dwie filiżanki.

– Proszę. Ta herbata bardzo mnie uspokaja. W ostatnim czasie piję ją całymi litrami. – Opadła na sofę. – O Boże, jakie to wszystko niepojęte! I co my teraz poczniemy?

Nora się wahała. Jej słowa pewnie znów przerażą Debbie, lecz chciała to mieć za sobą.

– Musimy pojechać do tej jaskini – oznajmiła – i sprawdzić, czy Vanessa Willard zdołała się uwolnić.

Debbie zrobiła minę, jakby zwątpiła w rozsądek swej rozmówczynie.

– *Co takiego?*

– Przemyślałam to – odparła Nora. Mówiła szybciej niż zwykle, nie chciała bowiem pozwolić, by Debbie weszła jej w słowo i nieodwołalnie zbyła ów pomysł jako absurdalny. – Jeśli Vanessa Willard zdołała się uwolnić i od trzech lat z własnej woli nie wraca do męża, wówczas

wcale nie musimy się martwić o to, by jej mąż poznał prawdę. W tym przypadku sprawa widocznie dotyczy jakichś dręczących ich problemów, być może zaistniałych jeszcze przed jej uprowadzeniem, za które Ryan nie jest odpowiedzialny. A tym samym także my.

– To dość śmiałe rozumowanie – oceniła Debbie.

– Ale logiczne. Oczywiście, jeśli Vanessa Willard w tej jaskini... zmarła, jej krewni muszą się o tym dowiedzieć, lecz jeśli nie... Być może i tak by odeszła i gdzieś się zasyła. Może ten jej mąż to jakiś drań. Wykorzystałaby każdą nadarzącą się okazję, by od niego odejść, a wtedy on nie zasługuje na to, żeby poznać prawdę o jej losie.

– Czy na to zasługuje czy nie, nie możemy o tym wyrokować, Noro. To nie nasza rzecz. Faktem jest, że jeśli Ryan jej nie porwał, nie zaczęłaby się teraz na nim mścić. A on sobie ubzdurał, że tak właśnie robi. Także Alexii Reece nic by się nie przytrafiło.

– A jeśli Alexia jest ofiarą jakiegoś naśladowcy, który w ten sposób chce skierować dochodzenie na niewłaściwy trop?

Debbie westchnęła.

– To czyste spekulacje. Jeśli, gdyby, być może, prawdopodobnie... Ryan dopuścił się okropności, to jedyne, co wiemy na pewno, i wiedzę tę bezsprzecznie należy przekazać policji. To dla pani w zasadzie równie oczywiste jak dla mnie!

– Zniszczymy tym samym jego życie. Na wiele lat znajdzie się za kratkami. Zanim wyjdzie, będzie już starym, złamanym człowiekiem.

Debbie nachyliła się i przenikliwym wzrokiem spojrzała na Norę.

– Niech pani nie rozplywa się teraz w litości! On tego nie robił, gdy liczył się z tym, że ta kobieta może umrzeć w niewyobrażalnych męczarniach, tylko dlatego, że stanęło mu na drodze jego bezgraniczne tchórzostwo!

– A jednak brała go litość. I dopadły niekończące się wyrzuty sumienia. Powinna go była pani zobaczyć w chwili, kiedy mi o wszystkim opowiadał. Ta historia nieomal go zżerała. On wie, co zrobił, i świadomość tego go wykańcza. Przecież zna go pani. On nie jest złym człowiekiem. Nie jest zabójcą.

– Ale ma godny podziwu talent do popadania z jednych beznadziejnych tarapatów w inne, jeszcze większe i jeszcze bardziej beznadziejne, i to jest także powód, dla którego tak czy owak temu człowiekowi ostatecznie pomóc nie sposób. Nie możemy wykluczyć, że w przyływie zwątpienia znów spróbuje kogoś uprowadzić, żeby zdobyć pieniądze dla tego Damona.

– Do rodziny Reece’ów nikt się nie zgłosił z żądaniem okupu. Powiedziała mi o tym policjantka. To dlatego błędzą jak we mgle, gdyż ta kobieta co prawda zaginęła, ale nic się w tej sprawie nie dzieje.

– Reece’owie nie mają wiele pieniędzy – poddała pod rozwagę Debbie. – Alexia zaś być może nie była tą właściwą osobą. Ryan miał zamiar porwać partnerkę Willarda. Ten to wygląda na bogacza. Ale sprawa znów zakończyła się całkowitym fiaskiem. Ot, i cały Ryan, tyle tylko mogę powiedzieć!

Nora na kilka sekund przymknęła powieki. Kiedy je ponownie otworzyła, całą swą przenikliwość i siłę tchnęła we własne spojrzenie i ton głosu.

– Debbie, proszę. Niechże pani da mnie i jemu tę drobną szansę. Sprawdźmy, czy Vanessa Willard zdołała się uwolnić i tym samym najprawdopodobniej wciąż żyje. A potem znów się naradzimy, co dalej. Być może nie da się już uratować Ryana, lecz może znajdziemy jednak sposób, by go z tego wszystkiego wyciągnąć. Proszę. Tylko o tę jedną szansę!

– Jeśli Vanessa żyje i wie, że to Ryan ją porwał, w każdej chwili może się zgłosić na policję – zauważyła Debbie.

Nora potrząsnęła głową.

– Jeśli krzywda wyrządzona pani jest częścią jej zemsty, nie tak łatwo przyjdzie jej udać się na policję. Wówczas bowiem sama podlegałaby karze.

– Owszem – przytaknęła Debbie. Wstała, podeszła do okna, po czym znów odwróciła się twarzą do Nory. W dłoniach mocno ścisnęła filiżankę herbaty. – Noro, dlaczego mnie tam pani ciągnie? I tak powzięła już pani decyzję! Chce pani ratować Ryana, nie uda się to pani,

ale okay, być może sama musi się pani o tym przekonać! Lecz dlaczego pani mnie tym obciąża?

– Bo sama sobie nie poradzę – odpowiedziała cichym głosem Nora.
– Z własnym sumieniem, ale też ze względów praktycznych. Nie mogę sama pojechać do tej doliny, odszukać jaskini, wpełznąć do niej i sprawdzić, czy w skrzyni... – Nie dokończyła.

Debbie wyglądała tak, jakby zaraz chciała sobie długo, siarczyście i żarliwie zakląć.

– Do diabła! – powiedziała tylko. – Wolałabym robić w weekend coś przyjemniejszego! Czy pani wie, gdzie właściwie jest ta jaskinia?

– Dość dokładnie mi ją opisał. Myślę, że sam nosił się z zamiarem, żeby tam pójść i sprawdzić, ale on tego nie robi, nigdy w życiu. Na samą myśl o tym zaczyna wariować.

– No tak, Ryan sam tego nie robi. Ale na szczęście są jeszcze w jego życiu ofiarne kobiety, gotowe go w tym wyręczyć. – Debbie złapała się za głowę. – Muszę być kompletną idiotką, że się na to zgadzam!

Obie kobiety spojrzały po sobie. A zatem wszystko ustalone. Nora wyczuła, że Debbie mimo twardych, opryskliwych słów na temat Ryana wciąż żywi doń uczucia. Mogła się za to zniechęcić, ale był dobrym przyjacielem, temu nie sposób było zaprzeczyć. Był przy niej, gdy po napadzie czuła się okropnie. Wciąż się u niej pojawiał, pocieszał ją, trzymał w ramionach, pozwalał się jej wypłakać. Gotował dla niej i cierpliwie zachęcał do jedzenia. Miał swój udział w jej psychicznym przetrwaniu. Mógł popełnić największe głupstwo pod słońcem, lecz był przy niej, kiedy go potrzebowała. To była jego druga natura.

– A zatem... jutro? – zapytała Nora.

Debbie przytaknęła.

– Przed południem muszę iść do pracy, nie chcę swoją nieobecnością wzbudzić jakichkolwiek podejrzeń. Kończę o dwunastej. Domyślam się, że skoro Ryan zniknął, obserwują panią i pani mieszkanie?

– Tak, w tym cały problem. Wydaje mi się, że funkcjonariusz jechał za mną także dziś wieczorem. Być może jednak zgubił po drodze mój ślad.

– Jutro nie możemy się na to zdać. Również obok mojego domu w regularnych odstępach czasu przejeżdża patrol, pewnie sądzą, że Ryan może się tu zjawić. Proszę uważać, to kłopotliwe, ale widzę tylko jedno rozwiązanie: przyjedzie tu pani ponownie jutro w południe. Proszę się pojawić około pół do pierwszej i wejść do mojego mieszkania. Wyjdziemy oknem i przez ogród dotrzemy na tyły bloku. Tam zaparkuję samochód. Kiedy pilnujący panią funkcjonariusz nadal będzie myślał, że siedzimy w mieszkaniu i jemy obiad, my już ruszymy w kierunku zachodniego wybrzeża. Dla pani oznacza to przebycie całej trasy z powrotem, ale każde inne rozwiązanie byłoby zbyt ryzykowne.

– To dobry plan – przyznała z ulgą Nora.

Debbie odstawiła filiżankę i przeszła do kuchni. Wróciła z całą paczką torebek herbaty i wcisnęła ją w dłoń Nory.

– Proszę. Niech pani wypije jeszcze trochę po powrocie do domu i jutro z samego rana. To naprawdę uspokaja. Wygląda pani tak, jakby od wielu nocy nie zmrużyła oka, a jutro nie może się pani załamać. Musimy opanować nerwy. Prawdopodobnie bardziej niż kiedykolwiek w życiu.

– Dziękuję – powiedziała Nora.

Jeszcze nigdy słowo to nie wyrwało się tak głęboko z jej duszy.

Czuł głód, kłujący głód. Pragnienie go nie męczyło, gdyż wciąż zachodził do publicznych toalet i popijał wodę nad umywalkami. W kieszeniach dzinsów znalazł jeszcze trochę pieniędzy i w tanim markecie kupił za nie krojony chleb, kawałek zapakowanego w folię sera oraz dwa batony. Musiało mu to od środy wystarczyć. Dziś była sobota. Od piątkowego poranka nie miał już nic do jedzenia, stąd ten dręczący głód. A do tego jeszcze bóle w kościach po nocach spędzonych na parkowych ławkach. Nocach co prawda letnich, lecz dość chłodnych, nadto od ziemi biła wilgoć i sprawiała, że ubranie było nią przesiąknięte i zimne. Nie mógł zasnąć, nie tylko z powodu niewygodnych pościeli. Także z powodu strachu. Policja deptała mu po piętach, wciąż musiał się mieć na baczności. A kiedy już zdołał zasnąć, zaraz budził się z przerażeniem, zastanawiając się, co to za szmer, czy ktoś się do niego skrada. Nieustannie dźwięczały mu w uszach słowa wypowiedane szorstkim głosem:

– RYANIE LEE, JESTEŚ ARESZTOWANY!

I wiedział, że to tylko kwestia czasu, zanim go dopadną.

Od chwili ucieczki minęło ledwie kilka dni, a on był u kresu sił. Najgorsze, że nie miał już wcale pieniędzy, przez co nie mógł się przespać w jakimś pensjonacie, nie miał też za co kupić sobie czegoś do jedzenia czy nabyć nowego ubrania, by nie wyglądać jak jakiś kloszard, skupiający na sobie uwagę innych. Z drugiej jednak strony uratował go fakt, że zapomniał zabrać pieniądze. W środę w przerwie obiadowej wyszedł kupić sobie colę, zanim jednak dotarł do sklepu, zauważył, że nie zabrał z sobą kurtki, w wewnętrznej kieszeni której trzymał portfel. Zawrócił więc, a wtedy spostrzegł mężczyznę i kobietę wchodzących właśnie do punktu ksero. Kobietę znał. To ją zastał wówczas

w mieszkaniu Nory, kiedy wrócił nad ranem po nocy spędzonej u Debbie w Swansea: detektyw inspektor Morgan.

Gliny zjawily się u Dana. Ryan nie miał najmniejszych wątpliwości, że przyszli tam z jego powodu.

Oczywiście natychmiast zawrócił. Staral się odejść niezauważenie, nie biec, nie sprawiać wrażenia kogoś, kto ucieka. Lecz serce waliło mu jak młot. To ona im powiedziała. Nora. Wydała go, nie mogło być inaczej. Kiedy tamtego ranka przy śniadaniu o wszystkim jej opowiedział, całą tę historię o Vanessie Willard, przez pierwszych kilka minut poczuł niesamowitą ulgę. Wreszcie nie musiał sam dźwigać całego tego ciężaru, wreszcie się przed kimś otworzył. Nie umniejszyło to wagi zbrodni, lecz miał poczucie, że kamienna gruda winy i zwątpienia w jego wnętrzu przestała aż tak bardzo uwierać. Jakby samo wyznanie sprawiło, że coś się poruszyło. Nie był już sam na sam ze swym postępkiem.

W następnych dniach zrodziło to jednak pewien problem. Ryan wnikliwie obserwował Norę i zauważył, że wstrząsnął nią do żywego. Usiłowała postępować tak, jakby nad wszystkim panowała, w rzeczywistości jednak była wyzuta z wszelkiej energii. Zamiast przyczepić się do niego jak rzep psiego ogona, kiedy tylko wracał do domu, unikała go, nie pragnęła rozmowy, nie podejmowała już nawet tematu wyjazdu do Yorkshire, by nagabywać Bradleya o pieniądze. Zamknęła się w sobie, przerażona i skonsternowana. Nigdy jeszcze nie widział jej w takim stanie. I rozumiał, że znalazł się w niebezpieczeństwie. Jeśli Nora sobie z tym nie poradzi – a wszystko na to wskazywało – wówczas pewnie się komuś zwierzy. Jeśli nie bezpośrednio policji, to komuś, kto niechybnie na policję pójdzie.

I tak się właśnie stało. Tylko przypadek uratował go przed aresztowaniem. Dopiero później, już podczas ucieczki, znalazł w kieszeni spodni trochę drobnych i pomyślał, jakie to szczęście, że nie przeszukał ich wcześniej, gdy chciał kupić colę. Wróciłby bowiem do zakładu nieco później, a tam w błogim spokoju czekali by już na niego funkcjonariusze. Naprawdę niewiele brakowało.

Jednakże dopiero teraz wpadł w prawdziwe tarapaty. Zrozumiał bowiem, że tej ucieczki nie zdoła przeżyć. Bez pieniędzy. Bez niczyjej pomocy. Sam na ulicy, ścigany przez policję. Jeśli nie chce umrzeć z głodu, wkrótce będzie musiał okraść jakiś supermarket albo wyrwać jakiejś starszej kobiecie z rąk torebkę. Coś w tym stylu. Dawniej robił to nagminnie, teraz takie postępowanie wydało mu się najgorsze z możliwych. Przysiągł sobie, że nigdy więcej nie dopuści się przestępstwa. Z drugiej jednak strony z powodu Vanessa Willard i tak dostanie dożywocie. W tej sytuacji trochę skradzionej żywności nie robi żadnej różnicy.

Był wyczerpany i zdesperowany. Już dawno opuścił Pembroke Dock. Miejscowość ta była zbyt mała, od razu by go tam odszukali. Autostopem dotarł na przedmieścia Swansea, lecz nie wiedział, co dalej. Nie miał odwagi znów stanąć na poboczu drogi i zatrzymywać samochodów, z obawy, że jego podobizna stała się już znana dzięki działaniom śledczym policji. I dokąd miałby się udać? Która miejscowość w Anglii ofiarowałaby mu bezpieczne schronienie?

W to sobotnie przedpołudnie wałęsał się po Swansea Enterprise Park, ogromnym kompleksie przemysłowym i handlowym w północnej części miasta. Pierwotnie teren ten nosił nazwę Swansea Enterprise Zone i był pierwszą, a zarazem największą tak zwaną Enterprise Zone w Wielkiej Brytanii. Powstaniu tego rodzaju stref przyświecała koncepcja, by w słabo rozwiniętych okolicach ożywić gospodarkę oraz rynek pracy poprzez daleko idące uwolnienie wydzielonych obszarów od wpływów państwa i mechanizmów kontroli, celem uczynienia ich atrakcyjnymi dla wszelkiej maści przedsiębiorców. Nie obowiązywały w nich niektóre przepisy budowlane, ustawy o ochronie środowiska nie musiały być pod pewnymi warunkami przestrzegane, nadto wprowadzono ulgi podatkowe. Można było obejść nawet przepisy dotyczące prawa pracy, co zazwyczaj odbywało się kosztem pracowników, stąd pojawiająca się krytyka ze strony przeciwników całego projektu. Na terenie Swansea Enterprise Park znajdowały się warsztaty samochodowe, salony wynajmu i sprzedaży samochodów,

sklepy z rowerami, specjalistyczne sklepy z wyposażeniem kuchennym, salony meblowe. Miały tam swoje siedziby filie firm, w których można było kupić telewizory, komputery i inny sprzęt elektroniczny, mieściły się tam również rozliczne restauracje i puby. Pośrodku parku znajdowało się Lake Fendrod, jezioro po którym pływały łódki. Wokół niego wiodła trasa turystyczna będąca zarazem ścieżką zdrowia. Jak w każdą sobotę parkingi były przepełnione, ulice i place pełne rodzin z dziećmi. Dzień był szary i pochmurny, zanośiło się na deszcz, dlatego nie wyjeżdżano nad morze ani na wieś, lecz na zakupy. Można było nimi zapełnić bagażnik, a przy tym niedrogo zjeść, dzieci zaś mogły się wyszaleć nad brzegiem jeziora.

Ryan dotarł przed ogromne centrum ogrodnicze, krążył między zaparkowanymi samochodami, zerkał niepostrzeżenie do środka, próbował otworzyć te czy inne drzwi. Miał nadzieję znaleźć pojazd, który właściciel zapomniał zamknąć. Jeśli dopisze mu szczęście, znajdzie w skrytce trochę pieniędzy. Szczytem marzeń byłby choćby funt, za którego mógłby sobie kupić cheeseburgera. Nawet gdyby znalazł tylko napoczętą paczkę herbatników albo cukierków, dziękowałby Bogu na klęczkach. Z głodu dostawał zawrotów głowy, uczeplił się myśli, że jeśli coś zje, z pewnością wpadnie na pomysł, co dalej począć. Oczywiście Nora nie wchodziła w rachubę, to ona była wszystkiemu winna. Debbie? Domyślał się, że obserwowano jej dom. Nadto Debbie nie okazałaby najmniejszego zrozumienia dla sprawy Vanessy Willard. Corinne, jego matka? Do Yorkshire było daleko, a tam na domiar złego Bradley. Z całą pewnością już o wszystkim wiedzieli. Corinne pewnie dniami i nocami zalewa się łzami, Bradley zaś jest gotów powitać zniecierpliwionego pasierba ze strzelbą myśliwską w rękę, gdyby tylko się u nich pojawił.

Nieważne. Później. Krok za krokiem. *Muszę coś zjeść!*

Kiedy usłyszał za plecami głos wymawiający jego imię, przeraził się tak bardzo, że niemal odruchowo rzucił się do ucieczki, przeciskając się pomiędzy samochodami. Byleby tylko pobiec jak najdalej. Potem jednak zrozumiał, że głos ten nie zabrzmiał szorstko czy ostro, lecz przyjaźnie.

To nie mógł być głos policjanta.

– Ryan? Czy to nie Ryan Lee?

Powoli się odwrócił. Ujrzał przed sobą młodego mężczyznę pchającego wózek, w którym piętrzył się stos desek. Jego twarz wydała mu się znajoma, nie mógł jej jednak od razu skojarzyć z żadnym imieniem. Dopiero po chwili doznał olśnienia.

– Harry?

Harry skinął głową i uśmiechnął się. Przyjęcie u znajomych Nory, człowiek, który reklamował swoją nowo założoną praktykę fizjoterapeutyczną. Było to w kwietniu, lecz Ryan miał wrażenie, że minęły już całe lata.

– Ryan, człowieku, a cóż ty tutaj robisz? – zapytał Harry. Zabrzmiało to tak, jakby niespodziewanie spotkał starego przyjaciela i ogromnie się z tego ucieszył. Instynktownie, w mgnieniu oka Ryan się domyślił, że tamten jest bardzo samotny i nieszczęśliwy. Praktyka pewnie nadal świeciła pustkami, Harry przez cały tydzień siedział sam, czekając na pacjentów, którzy się nie pojawiali. Przyjaciele odwrócili się od niego z powodu jego niepowodzenia. Brak sukcesów przyłgnął pewnie do niego niczym niemiły zapach. Był spragniony towarzystwa, choćby nawet byłego więźnia, którego właściwie prawie nie znał. Być może Ryan zdoła obrócić tę okoliczność na swoją korzyść. Tym bardziej że Harry najwyraźniej jeszcze nie wiedział, że Ryan jest ścigany przez policję. Uśmiech na jego twarzy wydawał się całkiem niewymuszony.

– Harry, miło cię znów spotkać! – odparł Ryan. Wykonał nieokreślony ruch ręką w kierunku zaparkowanych za jego plecami samochodów. – Czekam właśnie na Norę. Robi zakupy. Tyle godzin! – Skrzywił się.

– Kobiety! – przyznał wyrozumiale Harry. Na szczęście nie przyszło mu do głowy, iż to dziwne, że Nora, nie mając ani ogrodu, ani balkonu, spędza tyle czasu w centrum ogrodniczym.

– No cóż, niestety, to skomplikowane... – Ryan zrobił minę, z nadzieją, że zmiesza się w niej przygnębienie i złość. – Między nami już się nie układa – zwierzył się Harry'emu ściszym głosem. – Tylko

się kłócimy, czasem traktuje mnie jak ostatniego śmiecia.

– Poważnie? – Harry był zdumiony. – Odniosłem zupełnie inne wrażenie... wtedy, na przyjęciu.

– No tak, wtedy... Od tamtej pory minęło sporo czasu – odparł Ryan.
– Ona po prostu czuje się w naszym związku tą lepszą połową. O wszystkim chce decydować, wywiera na mnie presję, jeśli nie robię tego, co chce. Wiesz, jakie potrafią być kobiety.

– O tak, dobrze wiem – zapewnił Harry, nie mając żadnego doświadczenia w tej materii ani też pojęcia, co dokładnie miał na myśli Ryan. – Szkoda, że tak się między wami potoczyło!

– Nie chciała nawet, żebym wszedł z nią do sklepu – oznajmił ze złością Ryan – i wiesz, co powiedziała, zanim mnie tu zostawiła jakieś dwie godziny temu?

– Nie. Co?

– Powiedziała mniej więcej tyle, że wcale nie będzie jej smutno, jeśli po powrocie już mnie tu nie zastanie. *Idź sobie, na pewno nie będę za tobą płakać!* To jej słowa. Pewnie myśli, że może sobie tak gadać bez żadnego ryzyka, bo ja i tak nie mam dokąd pójść. Nie mam rodziny, nikogo. A moja przeszłość... wiesz przecież!

– Uważam, że to absolutnie nie fair z jej strony – odparł Harry. – Nie powinna cię tak traktować! Nie możesz się przed tym bronić?

– Najlepiej by było, gdyby któregoś dnia naprawdę się przeraziła – wyznał Ryan. – Wyobraź sobie, że wraca do samochodu, a ja rzeczywiście znikam. Zrozumiałaby wówczas, że dostała to, czego chciała. Może by wreszcie oprzytomniała. Problem w tym, że naprawdę nie mam się gdzie podziać. Tak przez dwa, trzy dni. Potem oczywiście wróciłbym do niej, ale myślę, że między nami co nieco by się zmieniło.

Miał szczęście. Harry złapał przynętę.

– Czemu nie przyjdiesz do mnie? Mieszkam w pobliżu i nie mam żadnych planów na ten weekend.

„Harry pewnie rzadko miewa w ogóle jakieś plany” – pomyślał Ryan.

Zawahał się.

– Nie chcę nikomu sprawiać kłopotu...

– Ależ dla mnie to żaden kłopot – zapewnił Harry. Wskazał na leżące w wózku deski. – Zamierzam dziś po południu złożyć regał do mojej praktyki. To właściwie deski do ogrodu, ale chwilowo nie stać mnie na regały z prawdziwego zdarzenia. Mógłbyś mi pomóc, jeśli chcesz.

– Jasne! Chętnie! – zapewnił natychmiast Ryan.

– A przedtem zjemy jakiś obiad – zaproponował Harry, nie wiedząc, że słowa te wywołają u Ryana ponowne zawroty głowy. – Z wczorajszej kolacji została mi jeszcze potrawka z kury. Jadasz coś takiego?

Ryan nie cierpiał potrawki, ale był tak bardzo głodny, że jego upodobania i niechęć nie miały w tej chwili żadnego znaczenia.

– Pewnie – zgodził się. – Muszę przyznać, że trochę zgłodniałem.

– No to w drogę! – Harry rozpromienił się, gdyż zupełnie niespodziewanie miał oto szansę uciec przed pustym i bezsensownym weekendem, który ponownie przypomniałby mu o jego wiecznych niepowodzeniach.

Ryan wiedział, że w żadnym razie nie może się zaszyć u Harry'ego na dłużej. Młody mężczyzna prowadził dość samotniczy tryb życia, lecz mimo to istniała możliwość, że nawiąże kontakt z dawnymi kolegami ze szpitala, a tam już pewnie wiedzą, że Ryan salwował się ucieczką i jest poszukiwany przez policję. Poza tym w każdej chwili mogły o tym donieść telewizja, radio czy prasa. A jednak gdyby został u niego choćby tylko do poniedziałkowego poranka, oznaczałoby to, że na dwie noce zniknie z ulicy, że będzie miał do dyspozycji łóżko albo sofę zamiast parkowej ławki. Dostałby coś do jedzenia, mógłby wziąć prysznic, być może nawet wyprać ubranie.

Uśmiechnął się.

– Dzięki, Harry!

– My mężczyźni musimy się przecież trzymać razem – odparł Harry.

Debbie i Nora dotarły do Camrose około pół do trzeciej w sobotnie popołudnie. Zaczęło padać, teraz lało jak z cebra. Były w ponurych nastrojach, zważywszy na to, co zamierzały zrobić. Nora pomyślała, że widok słońca i błękitnego nieba bardzo by się przydał, by poprawić im humory. Z drugiej wszakże strony kiepska pogoda miała też znaczącą zaletę. W słoneczną czerwcową sobotę w okolicy spotkałyby mnóstwo wędrowców, wycieczkowiczów, rowerzystów i kempingowców. Ktoś mógłby je zaskoczyć podczas odsłaniania wejścia do jaskini. Co prawda wedle wyjaśnień Ryana jaskinia znajdowała się z dala od wszelkich ścieżek i dróg, niemniej niektórzy ludzie pokonywali ten teren na przełaj. Podczas deszczu nikt nie wybierze się w drogę, a już na pewno nie zapaści w trudno dostępną, odludną okolicę.

„Miejmy nadzieję, że w ogóle ją odnajdziemy” – pomyślała z niepokojem Nora. Powróciła pamięcią do słów Ryana, które wyrzucał z siebie ze łzami w oczach.

– Wiesz jeszcze, gdzie leży ta jaskinia? – zapytała go tamtego ranka. Odparł, że owszem, wie dokładnie, po czym opisał ją tak, jakby sam chciał się upewnić, że niczego nie zapomniał.

Debbie prowadziła, Nora zaś rozłożyła na kolanach mapę, trzymała też kartkę, na której poprzedniego wieczoru wynotowała z pamięci wskazówki Ryana. Wypiła cały dzbanek cudownej herbaty Debbie i rzeczywiście nieco się uspokoiła. Była niemal pewna, że poprawnie zrekonstruowała wszelkie szczegóły jego opisu. Teraz jednak, kiedy zmierzały ku temu przerażającemu miejscu, zastanawiała się, czy nie lepiej by było, gdyby *nie znalazły* jaskini. Przeszywał ją strach. Głęboki, okropny strach ściskający żołądek, tak że wciąż musiała sucho przetykać.

Tym razem funkcjonariusz obserwujący Norę z całą pewnością za nią podążył, mogła się o tym przekonać, zerkając we wsteczne lusterko samochodu. Zaparkował w pewnej odległości od domu Debbie. Nora weszła do środka, miała przy sobie jedynie torebkę. Debbie zapewniła, że zatroszczy się o narzędzia i latarki, żeby Nora nie wzbudziła podejrzeń, dźwigając nieporęczne przedmioty.

Obie kobiety nie traciły czasu. Przez okno w pokoju dziennym wyszły na niewielkie podwórko, po czym przeskakując przez kilka płotów oraz pokonując wąskie przejście pomiędzy budynkami, dotarły do ulicy po drugiej stronie bloku. Stał tam zaparkowany samochód Debbie, do którego ta załadowała wszystko, co mogło im być potrzebne. Przezornie ominęły wielkim łukiem przyległe ulice, zanim wyjechały ze Swansea i skierowały się ku zachodniemu wybrzeżu. Nora wciąż się odwracała, stało się jednak jasne, że nikt ich nie śledzi. Funkcjonariusz nadal stał przed domem Debbie w oczekiwaniu na to, co się wydarzy.

Pierwszy krok się powiodł, myśl o tym uspokoiła Norę. Poczucie odniesionego sukcesu uskrzydlało ją, nie zdołało wszakże stłumić strachu. Z każdą pokonaną milą przybliżał się do nich koszmar. Tak czy owak, cokolwiek znajdą w jaskini albo czego tam *nie* znajdą, dojdzie do konfrontacji z Ryanem Lee, jakiego nigdy nie chciały od tej strony poznać.

Dotarły do Camrose, miejscowości, w której Ryan spędził dzieciństwo. Pod pociemniałym niebem, zasnutym przez nisko zwieszone antracytowe deszczowe chmury, wyglądała ona dość ponuro. Zbiorowisko domów, ociekające wilgocią ogrody, drzewa o gęstym listowiu, które w taki dzień sprawiały, że wszystko wyglądało jeszcze bardziej przygnębiająco.

– Wie pani, który dom należał do jego rodziny? – zapytała Debbie.

Nora potrząsnęła głową.

– Nie. Ale usiłuję właśnie wyobrazić go sobie jako małego chłopca. Grającego w piłkę, jeżdżącego na rowerze, kaleczącego sobie kolano.

– Trudno to sobie wyobrazić – przyznała Debbie.

Owszem, było to trudne. Praktycznie niemożliwe. Droga, jaką

przebył od tamtej pory Ryan Lee, była zbyt rozległa. Zbyt nieprzejrzysta. Zbyt niezrozumiała.

Tuż za wioską musiały skręcić w uliczkę prowadzącą w kierunku wybrzeża. Była tak wąska, że Nora wstrzymywała oddech na samą myśl, że ktoś mógłby teraz jechać z naprzeciwka. Murki po prawej i lewej nie pozwalały na wymijanie. Ponad ulicą sklepiały się korony rosnących na jej skraju drzew. Po drugiej stronie murków ciągnęły się pola i łąki.

Minęły niewielkie pole kempingowe, na którym stały trzy campery z rozłożonymi namiotami. Nikogo nie było widać. Urlopowicze nie wyściubiali nosa z samochodów, mając nadzieję na poprawę pogody.

– To ostatni odcinek asfaltowej szosy – oznajmiła Nora. – Potem wjedziemy w polną drogę, a w końcu będziemy musiały przedzierać się przez odludzie. Prawdziwe bezdroże.

– Mam nadzieję, że mój samochód da radę – odparła zmartwiona Debbie. – Nie mam wiele pieniędzy. Jeśli auto się zepsuje, znajdę się w idiotycznej sytuacji.

– Musi się udać – powiedziała Nora. – W końcu Ryan zdołał dotrzeć samochodem w pobliże jaskini. Wiózł z sobą nieprzytomną kobietę. Nie mógł jej przecież dźwigać przez wiele mil.

– Ale tamtego wieczoru pewnie tak nie padało. Jeśli wszystko rozmoknie, będzie ciężko.

– Pada od niedawna. Mamy jeszcze trochę czasu, nim ziemia rozmięknie – uspokajała Nora. Wpatrywała się w swoje notatki. – Teraz powoli! Zaraz powinna się gdzieś tu pojawić polna droga, w którą musimy skręcić.

Droga była tak bardzo zarośnięta wysoką trawą, że omal jej nie przegapiły. Koniczyna, szczaw i mniszek lekarski dziko się tu rozpleniły, typowa bujna wegetacja w czerwcu. Z trudem można było dostrzec dwie koleiny w ziemi świadczące o tym, że czasem – najwyraźniej bardzo rzadko – ktoś tędy przejeżdżał. Ktokolwiek to był.

– Tam! – krzyknęła Nora.

Debbie zahamowała, wycofała kawałek, po czym skręciła w tę

boczną drogę.

– Dość wysoka trawa. Ryan podjął wówczas spore ryzyko.

– To był ciepły, suchy, sierpniowy wieczór – odparła Nora. – Droga z pewnością wyglądała zupełnie inaczej.

Ulicą przejechały spory dystans, również tą polną drogą musiały teraz pokonać zadziwiająco długi odcinek. Ryan opowiadał, że przez wiele lat swego dzieciństwa odwiedzał tę jaskinię prawie codziennie. Jeździł rowerem, musiał pokonywać spory szmat drogi. Zupełne odosobnienie jaskini w trudnym do przebycia terenie dawało mu oczywiście poczucie bezpieczeństwa: nie tak łatwo było odnaleźć jego kryjówkę.

Polna droga stawała się coraz węższa, bardziej wyboista i nieprzebyta, w końcu przeszła w łąkę porośniętą trawą prawie metrowej wysokości. Debbie zatrzymała samochód i wyłączyła silnik.

– Przykro mi, Noro, ale dalej już się nie odważę. Później trzeba się będzie jakoś z tego pustkowia wydostać. Ryan jechał wtedy furgonetką, trochę wyższą od mojego auta, być może pod koniec sierpnia łąka była skoszona. Obawiam się, że dalej musimy iść piechotą.

Obie kobiety wysiadły. Deszcz zelżał, ale w powietrzu unosiły się krople nieustającej mżawki. Co chwila dawał się słyszeć krzyk jakiegoś ptaka, poza tym wokół panowała głucha cisza. W pobliżu nie było żywego ducha.

Debbie niosła skrzynkę z narzędziami, Nora latarki oraz opis drogi. Na skraju łąki zaczynał się niewielki zagajnik.

– Musimy przez niego przejść – oznajmiła Nora. – Skoro Ryan dał radę przejechać samochodem, musi tędy prowadzić jakaś droga.

Po przejściu przez łąkę nogawki ich spodni były mokre aż po uda. Las okazał się rzadszy i bardziej rozległy niż się z początku wydawało. Nie prowadziła tamtędy żadna porządna droga, znalazły jedynie przejście, które można było pokonać samochodem, jeśli kierowca był gotów bezwzględnie obchodzić się z autem. Jedno było pewne: nie przejeżdżały tędy żadne pojazdy, co najwyżej na jesieni jakiś traktor, by skosić łąkę. W pobliżu nie wytyczono żadnej trasy turystycznej. Ryan

odkrył coś w rodzaju *ziemi niczyjej*.

Norę ogarnęło przygnębienie: I tędy miałby ktoś przechodzić i uwolnić Vanessę Willard? Nie do pomyslenia.

Las się przerzedził, nagle znalazły się na niewielkim wzniesieniu. Teren przed nimi wyplaszczał się ku wydłużonej dolinie, na drugim krańcu obniżenia rosły jedynie nieliczne drzewa. Grunt pokrywały tu porosty i niskie wrzosa, gdzieś widać było skały. Ot, połąć ziemi, którą przy dobrej pogodzie można w najlepszym razie określić jako idylliczną, lecz raczej mało spektakularną. Żaden tam cel wycieczek. Nic szczególnego.

Kobiety przystanąły, spojrzały na płaską, cichą dolinę.

Pierwsza odezwała się Nora.

– Lisia Dolina. Tak ją nazwał.

Debbie była tak bardzo pogrążona w myślach, że aż się wzdrygnęła.

– Lisia Dolina? Niby czemu?

– Tę jaskinię odkrył jeszcze jako chłopiec – wyjaśniła Nora. – Uznał ją z początku za norę lisa. Ale równie dobrze mogło to być coś innego.

Debbie odchrząknęła. Sprawiała wrażenie, jakby miała ochotę salwować się ucieczką. Nora czuła się podobnie. Przejmujące odosobnienie tego miejsca, posępność dnia, siąpiący deszcz oraz świadomość tego, co się tu wydarzyło, kładły się na ich duszach ołowianym cieniem.

– Gdzie jest ta jaskinia? – zapytała Debbie, wodząc dokoła wzrokiem. Niemal na tym samym oddechu dodała: – O, myślę, że może być tam, prawda?

Nora spojrzała w tym samym kierunku. Po prawej stronie, w miejscu, gdzie dolina znów zaczynała się łagodnie wznosić, widniała sporych rozmiarów skała. Gdyby były nad brzegiem morza, można by ją uznać za klif. U stóp skały pleniły się ogromne kępy paproci, z góry zwieszały długie kaskady liliowych dzwonków. Najciekawsze było jednak nagromadzenie otoczków, które jeśli wyteńczyć wzrok, można było dostrzec pod gęstwiną zarośli.

– Czy nie powiedział, że obłożył wejście do jaskini kamieniami? –

zapytała Debbie.

Nora przytaknęła.

– Tak. To miejsce dość dokładnie odpowiada jego opisowi.

Zaczęły schodzić w dół na dno doliny. Zbocze było bardziej strome niż im się wydawało, nadto grunt był grząski i śliski. Kobiety kilkakrotnie mocno wymachiwały rękoma, by utrzymać równowagę. Kiedy dotarły na sam dół, od razu poczłapały w kierunku skały. Zbliżywszy się do niej, zauważyły, jak genialna była to w istocie kryjówka: poszczególne kamienie stapiały się optycznie w jedno ze skalną ścianą za nimi, gęsta zaś roślinność skrywała ewentualne nierówności czy szczeliny. Gdyby rzeczywiście zabłądził tu jakiś wędrowiec, nigdy w życiu nie przysłoby mu do głowy, że znajduje się tam lisia nora czy coś podobnego, na tyle przestronna, by wewnątrz zmieścić się człowiek.

Debbie przystanąła. Odsunęła liście paproci i spróbowała poruszyć jeden z kamieni. Z początku nic to nie dało, lecz kiedy użyła większej siły, przesunął się nieco w bok.

– Myślę, że ją odnalazłyśmy – powiedziała, lecz zawahała się przed dalszym działaniem. To, co czekało na nią za tym doskonale zamaskowanym wejściem, mogło się okazać zbyt przerażające.

Również Nora stała jak wryta i wpatrywała się w kamienie. Choć dzień był chłodny, a jej ubranie mokre od deszczu, nie marzła. Czowała w sobie żar płomienia, który ją rozgrzewał, rozgrzewał niezdrowo. Zauważyła, że ma problemy z krążeniem, najwyraźniej było to po niej widać, skoro Debbie obrzuciła ją ostrym, taksującym spojrzeniem.

– Noro, nie musimy tego robić. Możemy zawrócić i pojechać do domu, potem zadzwonimy na policję, a oni już przyślą tu swoich ludzi. Są przeszkoleni, wiedzą, jak w takich przypadkach postępować. My tu obie w końcu zemdlejemy!

– A co stanie się wtedy z Ryanem? – Nora położyła latarkę na ziemi, nachyliła się i zaczęła odsuwać na bok kamienie.

Debbie westchnęła, lecz postanowiła jej pomóc. Niektóre odłamki skalne były sporych rozmiarów, po niedługim czasie obie kobiety

zalewały się potem. Debbie pierwsza wypowiedziała słowa, które obu kołatały się w głowie:

– Jeśli Vanessa Willard rzeczywiście została uwolniona albo sama zdołała się oswobodzić, zadała sobie później mnóstwo trudu. Ułożenie tych kamieni nie jest takie łatwe. Czy zdołałaby to zrobić kobieta, która ledwie uniknęła straszliwej śmierci?

Nora przerwała i odgarnęła z czoła mokry kosmyk sklejonnych włosów.

– To możliwe, jeśli trzymała się konkretnego planu, zgodnie z którym zarówno jej ucieczka, jak i kryjówka, w której przebywała, miały pozostać nieodkryte. Z początku nie mogła przewidzieć, że jej porywacz wyląduje w więzieniu i przez trudny do przewidzenia czas wcale się tu nie zjawi.

Debbie zastanawiała się, czy Nora naprawdę w to wszystko wierzy. Przeklinała Ryana. Przeklinała własną wielkoduszność, która sprawiła, że dała się namówić na tę wyprawę. W pewnym momencie, gdy zaczęły opuszczać ją siły, przeklinała nawet deszcz siąpiący jej za kołnierz kurtki, spływający po plecach, pokrywający kamienie wilgocią, przez co wciąż wyślizgiwały się jej z rąk. Czy nie dość już zniosła? Czyż przez cały ten czas nie zmagala się, i pewnie przez resztę swego życia będzie się zmagać, z pokonaniem traumy zadanego jej gwałtu? Czy rzeczywiście musiała tu przyjechać, by doświadczyć kolejnych okropności, które znów przyprawiają ją o bezsenne noce, napady lęku i ataki paniki? Tylko dlatego, że ta Nora Franklin, której do wczoraj nawet osobiście nie znała, wbiła sobie do głowy, iż znajdzie sposób, by Ryan Lee wyszedł obronną ręką z tego szaleństwa. Okay, przez lata był jej życiowym partnerem, niegdyś go kochała, a dziś był dobrym przyjacielem, ale to jeszcze niczego nie usprawiedliwia...

– Cholera – powiedziała głośno – do diabła z tym wszystkim!

W tym właśnie momencie odsunęły ostatnie kamienie. Ujrzały przed sobą wąski otwór, jego wysokość odpowiadała wzrostowi dziesięcioletniego dziecka. Coś w rodzaju szerokiej skalnej szczeliny, przez którą dorosły człowiek z trudem mógł się przecisnąć, z całą

pewnością było to jednak możliwe. Nora wyobraziła sobie Ryana, liczącego metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, ciągnącego za sobą omdlałą kobietę, która wedle jego opisu wcale nie należała do niskich. Uświadomiła sobie, że wciąż przepętnia ją nadzieja, iż wszystko to okaże się fanfaronadą, gigantyczną błagą i w końcu całkowitą nieprawdą. Była jednak świadoma daremności tej nadziei. Kiedy wówczas przy śniadaniu, zalewając się łzami, zdecydował się na to niepojęte wyznanie, przejmowała go czysta rozpacz, nie zaś pragnienie opowiedzenia historyjki z dreszczykiem. Nie było to także całkiem nierealne: mały Ryan bez problemu wchodził do wnętrza jaskini. Dorosły Ryan musiał się wysilić, ale bezsprzecznie nie była to rzecz niemożliwa do wykonania.

Ciężko oddychając, zupełnie wyczerpane, stały przed otworem w skale.

– Na razie wszystko w porządku – powiedziała Debbie w ten swój zawadiacki sposób, którym zwykła maskować własną wrażliwość. – Która z nas będzie mieć tę przyjemność i wpełźnie tam pierwsza?

Nora wciągnęła nosem powietrze.

– Pachnie... ziemią – zauważyła, miast odpowiedzieć na pytanie. – Wilgocia. Trochę zatechła. Ale nie czuć...

– Rozkładającego się ciała? – zapytała Debbie. – Nie, po upływie trzech lat z pewnością już tego nie czuć. Jeśli Vanessa Willard tam jest, prawdopodobnie nie zostało z niej już nic, co mogłoby jeszcze wydawać jakąś woń.

– Tak, oczywiście – przyznała Nora. Drżały jej wargi.

Debbie to zauważyła.

– Idę pierwsza – oznajmiła. Odwróciła się, sięgnęła po latarkę, a z niewielkiej walizki na narzędzia wyjęła wkretarkę akumulatorową.

„To do śrub w skrzyni” – pomyślała Nora. Ona także wzięła do ręki latarkę i usilnie starała się zwalczyć ogarniające ją zawroty głowy. Ponownie zdała sobie sprawę, jak dobrze zrobiła, zwracając się o pomoc do Debbie. Sama nie zdołałaby zmierzyć się z tym zadaniem.

Debbie zniknęła w skalnym otworze. Była znacznie drobniejszej

postury niż Nora, łatwiej przyszło jej się poruszać w ciasnym przejściu. Nora, o szerokich barkach i silnych ramionach, miała większe trudności, powiedziała sobie jednak, że skoro zdołał tam wejść Ryan, znacznie od niej wyższy i bardziej muskularny, również ona da radę. Mimo to poczuła klaustrofobiczny lęk, podążając w ślad za Debbie przez wąskie przejście w skale. Światło dzienne, widoczne za nimi w otworze wejściowym, ledwie tu przenikało, na szczęście miały z sobą latarki. W ich poświacie Nora widziała przed sobą plecy Debbie, co dodawało jej otuchy. Dokoła zaś tylko skały, ziemia i płatanina korzeni, skądś dochodził odgłos kapiącej wody. Pomyślała o trawie i kwiatkach rosnących ponad ich głowami, o zasnutym przez chmury niebie, deszczu, nawet o kempingu, obok którego przejeżdżały, o ludziach siedzących w przyczepach i pewnie z przygnębieniem patrzących na brzydką pogodę za oknem, o wiosce, w której mieszkał Ryan, i o tym, jak głęboką, ciemną, wilgotną zielenią połyskiwały liście drzew w dzień taki jak ten. Oto świat, normalność, do której nagle gorąco zatęskniła. Przesycony stęchlizną i wilgocią mrok, przez który się przedzierały, wydał jej się natomiast koszmarem, w który człowiek zapada w nocy, a z którego budzi się z wdzięcznością i poczuciem ulgi. Nazbyt dobrze zdawała sobie jednak sprawę, że tym razem się nie przebudzi. Musi przejść tę drogę aż do samego końca, do końca, do końca, do końca... Od któregoś momentu potrafiła powtarzać w myślach tylko te słowa, w rytm kropli wody, gdzieś tu, w tej jaskini, uderzających jednostajnie o skały.

Do końca, do końca, do końca.

W pewnej chwili Debbie tak gwałtownie się zatrzymała, że Nora się z nią zderzyła.

– Koniec przejścia – powiedziała.

Nora, trzymając swoją latarkę skierowaną w dół, popatrzyła ponad ramionami Debbie i w poświacie drugiej lampy ujrzała przypominającą pieczarę przestrzeń, do której doprowadziło je przejście. Wydawało się, że brak tu zupełnie powietrza, w rzeczywistości jednak lepiej się w tym miejscu oddychało. Wokół musiało istnieć sporo skalnych szczelin,

przez które do wnętrza docierał tlen. Świadczyła o tym również woda spływająca po ścianach jaskini. Deszcz, który znalazł sposób, by przeniknąć przez skały.

Jaskinia była niższa niż przejście. Nora, biorąc pod uwagę własny wzrost, oceniła jego wysokość na metr siedemdziesiąt pięć. Miała nad głową jeszcze trochę przestrzeni, Ryan z pewnością musiał się pochylić. Wysokość samej jaskini wynosiła bodaj metr sześćdziesiąt pięć.

„Wymarzone miejsce dla młodego chłopca” – pomyślała Nora. Wiedziała jednak, że usiłuje wyobrazić sobie Ryana jako miłego, żadnego przygód młodzieńca tylko dlatego, że nie chciałaby mieć teraz przed oczami dorosłego Ryana ani tego, do czego tę jaskinię wykorzystał. Nadal męczyły ją mdłości. Albo ponownie? Albo może już od wielu dni nieustannie źle się czuła? Może już nigdy nie poczuje się dobrze?

„Może już nigdy nic nie będzie normalne” – pomyślała.

Debbie wodziła światłem latarki po wilgotnych ścianach jaskini. Obie kobiety wzdrygnęły się, kiedy snop światła wy dobył z mroku coś na pierwszy rzut oka nieokreślonego, splątanego, zwisającego ze sklepienia. Potem jednak poznały, że to tylko fragment korzenia. Odetchnęły z ulgą.

Debbie skierowała latarkę w dół. Do tej pory starała się nie oświetlać podłoża, gdyż musiała zebrać się w sobie i przygotować na to, co mogła tam zobaczyć. Nic to jednak nie pomogło. Dotarły już tak daleko. Debbie nie była kimś, kto tuż przed metą dałby za wygraną.

W poświacie latarki ujrzały długą, wąską drewnianą skrzynię stojącą na ziemi.

Nora krzyknęła. Choć tak zawzięcie próbowała się przygotować na ten widok, to jednak nie zdołała się przed nim wewnątrznie uzbroić.

Odwróciła się i pognała w kierunku przejścia, pędem, nie zważając na to, że ramionami i rękami uderza o ściany, raniąc je sobie do krwi. W pewnej chwili wykręciła stopę, klujący ból przeszył całą nogę, lecz nic w świecie nie zdołałoby jej powstrzymać. Pokuśtykała przez otwór w skale ku światłu dnia, w świeżą wilgoć deszczu. Osunęła się na

kolana i wymiotowała w liście paproci. Raz za razem. Jakby chciała się pozbyć nie tylko jedzenia i tej przeklętej herbaty, którą wypijała, lecz także horroru, w jakim się znalazła, przerażenia, jakie od pewnego czasu przenikało jej życie tak mocno i bezwzględnie. Pluła śluzem i żółcią, a kiedy nie miała już czym, przycupnęła w mokrej trawie, przetarła usta rękawem kurtki, stwierdzając przy tym, że jej ręka drży, bez powodu.

Przyciągnęła nogi bliżej ciała, objęła je ramionami. Marzła i jednocześnie się pociła. Deszcz znów się wzmógł, lecz przyjęła to niemal z obojętnością. Od czasu do czasu unosiła wzrok i spoglądała na chmury, potem jednak opuszczała go, patrząc na niewielką dolinę, która sprawiała błogie wrażenie za sprawą swych dziko rosnących kwiatów, lasu na wzniesieniu, mokrych płyt skalnych na dnie, pokrywającego je miejscami grubego dywanu mchu.

Lisia Dolina.

Ryan, lis.

I Debbie, która teraz tam wewnątrz, samiuteńka jak palec, usiłuje podążać śladem jego mrocznej tajemnicy. Jak tego dokona? Jak silna jest ta kobieta? To dlatego Ryan nie zdołał się od niej uwolnić, to dlatego wciąż go do niej ciągnęło. W chwilach słabości musiała mu się wydawać jedyną ostoją w jego życiu, jego kotwicą, jego nadzieją. Pragnął dać się nieść Debbie przez życie, gdyż sam potykał się na każdym kroku. Lecz Debbie już od dawna nie chciała go wspierać, a po tym wszystkim będzie chciała jeszcze mniej. Również to stanowiło o jej sile: moc odrzucenia tego, co ściągało ją w dół. Nawet wówczas, gdy jej samej sprawiało to ból.

Nora nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło od chwili, w której przedarła się z ciemności ku światłu. Pół godziny? Godzina? Może więcej, może mniej. Może tysiąc lat. Wystarczająco dużo, by świat nie był już taki jak przedtem.

Usłyszała szelest i spojrzała w stronę wejścia do jaskini. Pojawiła się

w nim Debbie. Nadal trzymała w dłoni latarkę, nie miała jednak wkrętarki. Jej twarz przybrała odcień, jakiego Nora nigdy jeszcze nie widziała u żywego człowieka – woskowej żółci. Jej matka miała taką twarz, gdy umarła w szpitalu. Cera Debbie zdawała się pokryta wilgotną błoną wyglądającą tak, jakby była w dotyku lodowato zimna.

Zrobiła kilka chwiejnych kroków w kierunku Nory, po czym osunęła się obok niej na trawę. Pod wpływem wilgoci jej jasne włosy zaczęły się bezładnie kędzierzawić. Wyglądała niczym aniołek połączony szlagmetalem. Aniołek o trupiej twarzy.

– Ona nadal jest w środku – oznajmiła po chwili, w trakcie której milczenie powoli przemieniało się w uszach Nory w grzmot. – W skrzyni.

– Odkręciła pani śruby? – zapytała Nora. „Cóż za zbędne pytanie” – pomyślała.

Potakiwanie Debbie bardziej wyczuła niż je zobaczyła.

– Tak.

– I to na pewno... mam na myśli zdjęcie w prasie... to na pewno jest Vanessa Willard?

Debbie wydała z siebie pogardliwy dźwięk.

– Do diabła, Noro, tego nie da się już rozpoznać. Ale kto inny miałby się tam znajdować?

Nora pragnęła, by szum w jej uszach zelżał. Był męczący, czuła od tego zawroty głowy.

– W skrzyni leży latarka – ciągnęła Debbie – i puste butelki po wodzie. I coś... chyba tam było jedzenie.

– Boże – szepnęła Nora.

– Wszędzie są ciemne plamy. Wydaje mi się, że to ślady krwi. A drewno jest całkiem zdrapane. Z całych sił próbowała...

Głos Debbie się załamał, przeszedł w westchnienie, stopił się z szumem deszczu. Odgłosy ptaków stały się nagle tak głośne, być może jednak nie głośniejsze niż przedtem. „To tylko wrażenie” – pomyślała Nora.

Agonia Vanessy Willard. Jej obrazy przewyższały wszystko, co

Nora potrafiła sobie wyobrazić. Co wyobrazić sobie chciała.

Debbie wstała tak nagle, że Nora aż się wzdrygnęła. Wyjęła z kieszeni komórkę, spojrzała na ekran.

– Wrócimy teraz do samochodu – rozkazała – i kiedy tylko złapiemy zasięg, zadzwonimy na policję. Bezzwłocznie.

– Debbie... czy nie powinnyśmy... Mam na myśli Ryana...

Usta Debbie przypominały cienką kreskę. Jej policzki nadal nie odzyskały ani cienia barwy.

– Noro, jeśli teraz ma pani jeszcze jakieś skrupuły, to niech się pani wczłoga do tej przekłętej jaskini i obejrzy sobie dokładnie, co on zrobił z tą kobietą. Być może to panią wyleczy z troski o tego żalosego tchórza.

Odwróciła się i ruszyła przed siebie. Nadal włączoną latarkę porzuciła niedbale na ziemi.

Nora wstała niezgrabnie. Kłujący ból promieniował od stopy na całą nogę, musiała ją skrócić lub nadwerężyć. Kolana się pod nią uginały, miękkie jak roztopione masło.

– Proszę zaczekać! – zawołała chrapliwym głosem. – Już idę.

Debbie jednak nie czekała. Po prostu szła przed siebie, skuliwszy ramiona, z plecami sztywnymi niczym deska.

– Zapłaci za to – rzekła.

We wtorek Ryan po raz pierwszy zobaczył w telewizji, że jest poszukiwany przez policję.

Już czwarty dzień spędzał w domu Harry'ego, wiedział, że najwyższy czas podjąć następny krok. Był przekonany, że wśród kolegów Nory ze szpitala już dawno rozeszła się wieść o jego ucieczce oraz przestępstwie, jakiego się dopuścił. Nawet osamotniony Harry mógł w każdej chwili odebrać telefon od kogoś, kto mu całą tę historię powtórzy. Jeśli Ryan się o tym nie dowie i natychmiast nie zniknie, Harry powiadomi policję, która bez trudu go aresztuje.

Najgorsze, że Ryan nie miał choćby bladego pojęcia, dokąd mógłby się udać, nic by się jednak w tym względzie nie zmieniło, gdyby tu dłużej został. Towarzystwo Harry'ego uznał za okropne, lecz miał przynajmniej dach nad głową, sofę, na której mógł się wyspać, codziennie rano gorący prysznic. Mógł się ogolić, wyprać wszystkie swoje ubrania. Pożyczył od Harry'ego trochę pieniędzy – nie wiedząc bynajmniej, jakim sposobem miałby je kiedykolwiek zwrócić – i kupił dziesięciopak slipów oraz kilka par skarpet na zmianę. Jedzenia i picia miał pod dostatkiem. Poczul się niemal tak, jakby wrócił do normalnego życia, wiedział jednak, że owa normalność wspierała się na glinianych nogach i w każdej chwili mogła lec w gruzach. Nadto również Harry nie był w stanie gościć go u siebie przez dłuższy czas. Daremnie wyczekiwał na pacjentów, przez cały ostatni miesiąc nikt się nie pojawił. Utrzymywał się wyłącznie ze skromnych oszczędności pozostawionych mu przez zmarłą babkę. Po niej też odziedziczył dom szeregowy w Morrison, dzięki czemu w ogóle zdecydował się rozpocząć życie na własny rachunek. Absolutne szaleństwo, uznał Ryan. Nikt tu nie trafiał przez przypadek, a nawet gdyby ktoś w centrum Swansea usłyszał

o Harrym, po trzykroć by się zastanowił, zanim zdecydowałby się wyruszyć na obrzeża miasta, i to uciążliwą drogą. Ulica, przy której mieszkał Harry, wyglądała marnie, niemal niechlujnie. Nikt by się nie spodziewał, że zastanie tu renomowanego, energicznego fizjoterapeutę. Harry powinien dać za wygraną. Lecz Ryan bał się mu o tym powiedzieć.

Oczywiście Harry nie omieszkał napomknąć, że byłoby dobrze, gdyby Ryan wsparł go finansowo przy zakupie żywności, Ryan jednakże, stawiając wszystko na jedną kartę, odparł, że być może nadszedł już czas, by wrócić do Nory. Harry, niemal nieznoszący samotności, niezwłocznie zaproponował.

– Nie, to o wiele za wcześnie! Pomyśl o tym, jak się z tobą obeszła! Musi ponieść karę. Możesz tu zostać, jak długo zechcesz.

Tego ranka Ryan siedział w kuchni, popijał kawę i spoglądał przez poźółkłe okienne zasłony na pochmurny dzień oraz sąsiedni dom, równie lichy, zniszczony i zapuszczony jak ten, w którym właśnie przebywał. W małym przenośnym telewizorze, który Harry postawił na kredensie, brzęczały audycje telewizji śniadaniowej. Nie zwracał uwagi na program, drgnął jednak, usłyszawszy nagle własne nazwisko.

– Ryan Lee jest podejrzany o porwanie i zamordowanie w sierpniu 2009 roku trzydziestosiedmioletniej wówczas doktor Vanessy Willard z Mumbles, wykładowcy na uniwersytecie. Jej zwłoki znaleziono właśnie na terenie Pembrokeshire Coast National Park.

Odwrócił się i spojrzał w telewizor. Jego twarz wypełniła cały ekran. Fotografia, którą zrobiono mu w więzieniu. Wyglądał na niej na nieszczęśliwego i wymizerowanego.

– Istnieją też okoliczności przemawiające za tym, że ma on coś wspólnego z zaginięciem trzydziestopięcioletniej Alexii Reece, zamieszkałej w Swansea. Alexię widziano po raz ostatni...

Zerwał się, błyskawicznie wyłączył telewizor, podbiegł do drzwi kuchennych i rozejrzał się za Harrym. Czy coś do niego dotarło? Usłyszał szum suszarki do włosów, odetchnął. Dzięki Bogu Harry był jeszcze w łazience.

Wzrok Ryana padł na srebrzysty druczany koszyk umieszczony po wewnętrznej stronie drzwi wejściowych, pod szczeliną na listy. Leżała w niej zwinięta gazeta poranna. Wyjął ją i wepchnął na samo dno kosza na śmieci, przykrył łupinami ziemniaków, kubkami po jogurcie i drobno podartymi kawałkami opakowania po płatkach kukurydzianych. Później się jej dla pewności pozbędzie, lecz w tej chwili to musiało wystarczyć.

Zauważył, że drżą mu kolana. Grunt palił mu się pod nogami. Nie mógł co rano przechwytywać gazety, nie mógł też nieustannie odciągać Harry'ego od telewizora. W każdej chwili mógł wpaść. Każda następna spędzona tu godzina stanowiła dlań niebezpieczeństwo.

Osunął się na krzesło, zacisnął dłonie na kubku z kawą. Błogie ciepło popłynęło do lodowatych palców. Dopiero teraz uświadomił sobie, że oto zyskał pewność: Vanessa nie żyje. Nie zdołała się sama uwolnić, w pobliżu nie przechodził też nikt, kto wyciągnąłby ją z tego podobnego do grobu więzienia.

Znaleźli jej ciało.

„Jestem mordercą” – pomyślał.

Uzmysłowił sobie, że w jego głowie nastąpiła jakaś blokada. Niedobrze teraz w ogóle o tej sprawie rozmyślać. O tym, w jaki sposób umarła Vanessa. O jego winie. O wszystkim, co go spotkało. Czasem następny krok polega po prostu na tym, by nie dopuścić do utraty zmysłów. Przemknęło mu przez głowę tylko jedno pytanie, drobne zdziwienie: Dlaczego dopiero teraz? Nora prawdopodobnie zgłosiła się na policję w ubiegłą środę. Dopiero tydzień później wszczęto jego poszukiwania. Wydawało się, że dopiero co odnaleźli doczesne szczątki Vanessy. Dlaczego tak późno? Potem pomyślał, że być może pojawiły się jakieś trudności z dotarciem do Lisiej Doliny. Co prawda opisał Norze drogę, lecz pewnie nie zapamiętała jej aż tak dokładnie. A to kosztowało trochę czasu i wszystko utrudniło.

Tak zapewne było.

Harry wszedł do kuchni, wyczerpany i jak zawsze mało atrakcyjny, wciąż intensywnie pachnący swoim żelem pod prysznic. Był w dobrym

humorze.

– Dzień dobry, Ryan. Masz gazetę?

– Nie było – odparł Ryan.

– Hm. No cóż, nic na to nie poradzimy. – Harry usiadł, nalał sobie kawy, posmarował tost masłem, a na wierzch nałożył sporą ilość marmolady. Spojrzał na sączącego kawę Ryana. – Nie jesteś głodny?

– Nie bardzo. Może później.

– Właśnie zajrzałem do kalendarza – oznajmił Harry. – Mam dziś o dziesiątej pacjentkę.

„Zajrzałeś do kalendarza – pomyślał Ryan z pogardą. – Na tę pacjentkę czekasz pewnie od wielu dni, ale przede mną zachowujesz się tak, jakbyś dopiero co się o tym dowiedział. Masz mnie za głupca?”

– To świetnie – powiedział na głos. – Mam nadzieję, że będzie potem przychodzić częściej.

– Tak, byłoby nieźle. Posłuchaj Ryane, mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe, ale... – Zawahał się.

„Czy chce mnie wyrzucić? – zastanawiał się Ryan. – Bo ma dziś kogoś innego do towarzystwa?”

– To tylko... Czy mógłbyś w tym czasie zostać na górze? – zapytał Harry. – To znaczy, kiedy na dole będzie pacjentka. Bo... no więc... ludzie szybko nabierają podejrzeń... no wiesz, dwóch mężczyzn pod jednym dachem... Rozumiesz. – Spojrzał błagalnym wzrokiem. – Niektórym to może przeszkadzać.

– Sądzisz, że mogliby cię wziąć za geja? Okay, żaden problem. Zostanę na górze. – Ryanowi było to na rękę. Może ta pacjentka oglądała przy śniadaniu telewizję. Lepiej nie pokazywać się jej na oczy.

Niewielki, wychodzący na ogród pokój dzienny odziedziczonego domu Harry przekształcił w gabinet, wyposażył w skomplikowany, regulowany stół do masażu oraz liczne przyrządy, na których zakup musiał wziąć kredyt. W jeszcze mniejszej jadalni obok mieściła się poczekalnia, w której nikt nigdy nie czekał. Mimo to stało tam ciasno obok siebie sześć krzeseł, wyłożono też mnóstwo czasopism. Na pierwszym piętrze domu znajdowały się łazienka oraz dwie sypialnie.

W pierwszej sypiał Harry, druga pełniła funkcję pokoju dziennego i była całkiem zastawiona przez tapczan, stół oraz dwa rozłożyste fotele. Sztuką było precyzyjnie się do okna. Na tapczanie sypiał obecnie Ryan.

– Super, to miło. Dzięki za wyrozumiałość – odparł z ulgą Harry.

– Nie ma sprawy – powiedział Ryan. Zastanawiał się, czy nie powinien wykorzystać owej godziny, podczas której Harry będzie zajęty. By wreszcie stąd uciec.

Tylko, do diabła, *dokąd?*

Dwie godziny później siedział na górze w pokoju dziennym i nadal rozmyślał nad tym pytaniem, gdy nagle zadzwonił dzwonek do drzwi. Słyszał, że Harry wyszedł z gabinetu, po czym odczekał chwilę w korytarzu, by nie wywołać wrażenia, że się śpieszy. Drzwi się otwały.

– *Hallo, hallo* – przywitał się z przesadną radością. – Wejź do środka!

– Dobry Boże, mój GPS się zepsuł, a twój opis drogi ani trochę mi nie pomógł – odparł kobiecy głos. – Błądziłam bez końca!

Głos wydał się Ryanowi znajomy. Podniósł się z fotela, podszedł do drzwi i zaczął nasłuchiwać.

– Chodź, zaraz zaczynamy – zaprosił Harry.

Kobiecie chyba się nie śpieszyło.

– Pozwól mi najpierw zobaczyć, jak mieszkasz. Ach, to kuchnia? Przytulna.

Oboje sprawiali wrażenie dobrych znajomych. Ryan wykrzywił twarz. To dlatego Harry koniecznie chciał, by pozostał na górze. Nie powinien widzieć, że pierwsza – i zapewne jedyna – pacjentka w tym tygodniu to znajoma, która prawdopodobnie przyszła powodowana wyłącznie litością.

Gdyby tylko zdołał sobie przypomnieć, gdzie już słyszał ten głos! Serce zaczęło mu nagle szybciej bić. Jeśli ta kobieta go zna, znalazł się w ogromnym niebezpieczeństwie.

– Zaczniemy? – zapytał Harry. – Nie mamy czasu do stracenia. Pewnie musisz zaraz wracać do pracy?

– Wzięłam wolny dzień. Chcę wreszcie pozalać wszystko, na co zawsze brakuje mi czasu. Fryzjer, kosmetyczka, trochę zakupów.

– I wizyta u fizjoterapeuty – dodał Harry, śmiejąc się nedorzecznie.

– O tym nikomu oczywiście nie mówiłam. W przeciwnym razie koledzy byliby... no wiesz, pewnie poczuli by się urażeni, że przychodzę z moją stopą do ciebie, a nie do któregoś z nich.

Koledzy... Ryan zmarszczył brwi.

– A kostka? Nadal opuchnięta? – zapytał Harry.

– Tak, dlatego lekarz zalecił, bym spróbowała drenażu limfatycznego.

W tej chwili Ryan już wiedział. Do diabła, kobieta na dole to Vivian. Dawna koleżanka Harry'ego z pracy, niegdyś najlepsza przyjaciółka Nory. Przypomniał sobie, że przed kilkoma tygodniami Nora opowiadała mu o wypadku Vivian na bieżni. Nie słuchał jej wtedy uważnie, ta osoba była mu zupełnie obojętna. Teraz już nie. Teraz stanowiła niebezpieczeństwo. Ona bez wątpienia wiedziała.

– No więc, oto moja praktyka – usłyszał słowa Harry'ego. Widocznie zdołał wreszcie wprowadzić Vivian do gabinetu.

– Pewnie słyszałaś o tej nieprawdopodobnej historii? – zapytała Vivian.

– Jakiej historii?

– Jak to? O Ryaniu. Ryaniu Lee, przyjacielu Nory. Nic nie wiesz? Nie wiesz, że szuka go policja? Z powodu *morderstwa*?

Serce Ryana zamarło. Na dole zapadło chwilowe milczenie.

– *Co takiego?* – zapytał Harry, po czym dodał szeptem: – Wejź wreszcie do środka! I zamknij drzwi!

Ryan rozglądał się wokół niby zaszczute zwierzę. W nogi, musiał stąd natychmiast uciekać. Vivian właśnie opowiada Harry'emu, co się wydarzyło, zaraz wezwą gliniarzy, to jasne jak słońce. Najpierw pomyślał, żeby wydostać się przez okno i ześlizgnąć w dół po rynnie, wtedy jednak od razu by go zauważyli z okna gabinetu. Poza tym

znalazłby się w ogrodzie, do którego przylegały kolejne ogródki następnych szeregowców. Z łatwością by tu zabłądził wśród niekończących się ogrodów i ulic osiedla.

Za długo zwlekał. Powinien był zniknąć z samego rana. Kiedy zobaczył swoją twarz w telewizji.

Samochód! Potrzebował samochodu.

Auto Harry'ego stało przed domem. Kluczyki zazwyczaj leżały w kuchni. Choć nie zawsze w tym samym miejscu. Harry za każdym razem gdzieś je rzucał. Ryan nieraz już widział, jak ich szukał, załamując ręce.

Nieważne, musiał zaryzykować. Uciekając piechotą, nie miał praktycznie żadnych szans, natomiast dzięki samochodowi mógłby zyskać pewną przewagę. Oczywiście musiał się go później pozbyć i znaleźć jakiś inny pojazd, ponieważ numery rejestracyjne samochodu Harry'ego natychmiast zostaną przekazane wszystkim patrolom policji.

Bezgłośnie otworzył drzwi, zszedł po schodach. Poruszały się szybciej, lecz musiał zachować ostrożność i uważać na skrzypiącą podłogę. Dotarł do kuchni. Usłyszał dobiegający z gabinetu wzbudzony głos Vivian:

– *Tutaj, u ciebie?* O mój Boże! Harry, on jest niebezpieczny! Zamordował kobietę. Wciąż przestrzegałam Nore, ale ona nie chciała mnie słuchać. Dlaczego... Harry, musimy uciekać!

Ryan rozejrzał się po kuchni. Nigdzie nie mógł dojrzeć tych przeklętych kluczyków. Ani na kredensie, ani obok zlewu, ani też na stoliku, przy którym razem z Harrym ledwie przed dwiema godzinami jedli śniadanie.

– Mówże ciszej! – ofuknął Harry Vivian. – Chcesz, żeby nas usłyszał?

– Ja stąd znikam. Nie zostanę tu ani sekundy dłużej. Ten facet jest zdolny do wszystkiego!

– Zaczekaj. On jeszcze o niczym nie wie. Siedzi na górze i myśli, że zajmuję się jakąś pacjentką. Natychmiast dzwonię na policję.

Ryan wciąż nie mógł znaleźć kluczyków. Do zwariowania. Być

może Harry rzucił je gdzie indziej. Może schował do kieszeni.

Drzwi do pokoju dziennego nagle się otwały, stanęła w nich kulejąca Vivian, ubrana w bardzo krótką kwiecistą sukienkę. W jednej ręce trzymała torebkę, w drugiej zaś dżinsową kurtkę. Była wyraźnie zdeterminowana, by natychmiast stąd wyjść, choć opuchnięta prawa kostka bardzo utrudniała jej chodzenie. Ujrawszy stojącego w kuchennych drzwiach Ryana, gwałtownie się zatrzymała. Spojrzała na niego wybałuszonymi oczami, wydawało się, że chce wrzasnąć, nie wydała jednak z siebie żadnego dźwięku. Zamarła jak królik, który napotkał na swej drodze węża.

Harry, stojący za nią tak blisko, jakby usiłował ją powstrzymać, miał w dłoni telefon.

– Dzwonię na policję – powtórzył. Sprawiał wrażenie, jakby sobie nie uświadamiał, że Ryan w żadnym razie na to nie pozwoli.

Zanim zdołał wystukać numer, Ryan minął osłupiałą Vivian i wyrwał mu z ręki aparat. Następnie się zamachnął i wymierzył mu w twarz silnego sierpowego. Harry padł bezgłośnie na podłogę, po czym znieruchomiał.

Vivian krzyknęła. Wreszcie wstąpiło w nią życie, lecz zanim zdołała dotrzeć do drzwi, Ryan chwycił ją i wciągnął z powrotem do gabinetu. Upuściła przy tym torebkę, która leżała teraz na podłodze w przedpokoju.

– Stul gębę! – Zbliżył do niej swą twarz, by jeszcze bardziej ją przestraszyć i dodać swoim słowom siły. – Bądź cicho! Jeśli krzykniesz, spotka cię to samo, co jego! – Wskazał na nieprzytomnego Harry'ego. – Kapujesz?

Przytaknęła. Była zupełnie zszokowana. Ryan miał niemal pewność, że przez jakiś czas nie pisnie ani słowa, nie spróbuje też przeklinać, mimo to musiał ją jednak unieszkodliwić. Spiesznie rozejrzał się dokoła. Na parapecie zauważył kluczyki do samochodu Harry'ego – mógłby szukać ich w kuchni bez końca – a obok nich kilka długich opasek, służących pewnie do jakichś ćwiczeń terapeutycznych. Sięgnął po nie i związał nimi na plecach ręce Vivian. Następnie zmusił młodą kobietę,

by usiadła na podłodze oparta plecami o nowo złożony regał. Przywiązał ją do regału, związał również nogi w kostkach. Zakwiliła cicho, kiedy dotykał obolałej stopy. Na koniec zdjął buty oraz skarpetę, zwinął ją w kłębek.

– Sorry. To konieczne! – Wcisnął skarpetę do ust przerażonej Vivian. Z grubej rolki białej taśmy klejącej oderwał kawałek i dla pewności zakleił jej usta.

Następnie zajął się Harrym, jego także związał i zakneblował. Zamknął skrzypiące okiennice oraz drzwi prowadzące do ogrodu, tak by nikt – na przykład bawiące się dzieci, włóczące się po obcych ogrodach – nie mógł ich znaleźć. Zabrał kluczyki do samochodu oraz telefon, po czym wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Sięgnął po torebkę Vivian i postawił ją na najniższym stopniu schodów. Wszedł do kuchni, osunął się na krzesło. Przez minutę poddał się bez oporu drzeniu, które zawładnęło całym jego ciałem.

Czy postąpił właściwie? Tak czy owak nie miał wielkiego wyboru. W pośpiechu nie zdołałby zdobyć samochodu, a Harry był zdecydowany powiadomić policję. Nie, zrobił to, co musiał.

I co teraz?

Zastanów się, Ryanie. Pomyśl spokojnie. Nie rób nic pochopnie! Teraz liczy się każdy następny krok!

Z suszarki na naczynia wziął szklanę, napenił wodą, wypił duszkiem do dna. Wyrzął przez okno. Kobieta z naprzeciwka jak zwykle o tej porze wybierała się na zakupy.

Pomyśl!

Późnym wieczorem w sobotę policja poinformowała Matthew, że na terenie Pembrokeshire Coast National Park znaleziono doczesne szczątki człowieka, prawdopodobnie kobiety, i wszystko wskazuje na to, że w tym przypadku chodzi o Vanesę. W niedzielę DI Morgan, DS Jenkins oraz towarzyszący im psycholog pojawili się w moim mieszkaniu, gdzie Matthew i ja spędziliśmy weekend. Pokazali nam obrączkę i zegarek znalezione przy zwłokach. Matthew zidentyfikował je jako biżuterię Vanessy. Następnie bardzo ostrożnie poinformowano nas o bliższych okolicznościach: osoba ta, najprawdopodobniej Vanessa, została zamknięta w skrzyni i ukryta w jaskini, pozostawiono jej latarkę, zapasy żywności oraz butelki z wodą. Po raz pierwszy usłyszeliśmy wtedy nazwisko *Ryan Lee*, dowiedzieliśmy się, że chodzi o młodego człowieka, od wielu lat ustawicznie popadającego w konflikt z prawem, który wyznał swojej przyjaciółce, że uprowadził wówczas Vanesę z leżącego na uboczu parkingu, a następnie ją uwięził, gdyż miał zamiar zażądać od Matthew znacznej sumy pieniędzy. Z powodu innego przestępstwa został aresztowany, zanim jeszcze zdołał nawiązać z nim kontakt, po czym powędrował na dwa i pół roku do więzienia. Ponieważ zaś od razu po aresztowaniu trafił do aresztu śledczego, nie mógł uwolnić Vanessy. Nie miał odwagi komukolwiek się zwierzyć, nawet swemu adwokatowi.

W tym właśnie momencie Matthew już wiedział, w jaki sposób zginęła Vanessa. Wstał i wyszedł z pokoju, Max ruszył jego śladem. Mężczyzna z opieki psychologicznej chciał za nim pójść, lecz go powstrzymałam. Trochę już znałam Matthew.

– Proszę go zostawić. Chce być teraz sam.

W poniedziałkowy wieczór dowiedzieliśmy się, że to bez wątpienia

zwłoki Vanessy. Została zidentyfikowana na podstawie analizy uzębienia.

Nadszedł wtorek 12 czerwca. Moje urodziny. Nikt jednak o nich nie myślał, nawet Matthew, choć kiedyś wyjawiliśmy sobie daty naszych urodzin. Mężczyźni i bez tego łatwo o tym zapominają, Matthew zaś na domiar złego był w szoku. Szczerze mówiąc, nawet ja zapomniałam. Dopiero kiedy nazajutrz koledzy z redakcji złożyli mi życzenia, przypomniałam sobie o nich. Na szczęście wszyscy wiedzieli już z gazet o tym, co się wydarzyło. Nikt nie oczekiwał wielkiej fety czy choćby zwyczajowego poczęstunku obowiązkowym szampanem. Obchodzono się ze mną jak z jajkiem. Jakimś sposobem przetrwałam tych kilka godzin, jednak wczesnym popołudniem poszłam do zastępczyni redaktor naczelnej i poprosiłam o zwolnienie na resztę dnia i do końca tygodnia.

– Nie potrafię się skupić. I mam wrażenie, że w każdej chwili mogę być potrzebna mojemu przyjacielowi.

Wykazała całkowite zrozumienie.

– Oczywiście. Damy sobie radę.

W rzeczywistości, odkąd zabrakło Alexii, w ogóle nie dawali sobie rady, nie wiązało się to jednak z moją nieobecnością. Alexia była ostoją redakcji, bez niej wszystko się posypało. Miałam nadzieję – i pragnęłam, by tak się stało – że zauważy to również Ronald Argilan. Prawdopodobnie Alexia nic na tym nie zyska, lecz może przynajmniej on pojmie wreszcie, jak niesprawiedliwie ją traktował.

Pospieszyłam do domu, gdyż chciałam się znaleźć przy Matthew. On także nie poszedł do pracy. Kiedy jednak znalazłam się w mieszkaniu, zastałam tam jedynie karteluszek leżący na kuchennym blacie.

Jestem u siebie w domu. Zdzwonimy się, dobrze? Uściski, Matthew.

Nie chciałam z nim rozmawiać przez telefon. Chciałam z nim być.

Wzięłam szybki prysznic i przebrałam się. Kiedy byłam już gotowa do wyjścia, usłyszałam dzwonek do drzwi. To inspektor Morgan chciała zobaczyć się z Matthew, tylko po to, by sprawdzić, jak sobie radzi. Wyjaśniłam, że jest teraz w swoim domu w Mumbles.

– Pojadę do niego – powiedziałam. – Mam przeczucie, że nie powinien zostawać sam.

– Proszę ze mną – zaproponowała DI Morgan – zawiozę panią.

W samochodzie zapytałam, czy są jakieś nowe wieści, przede wszystkim na temat Alexii. Zawahała się.

– Niestety, nadal ani śladu Ryana Lee. Wszczęliśmy poszukiwania na terenie całego kraju i z pewnością w końcu wpadnie w nasze sidła, ale...

– ...ale czy nie będzie już wtedy za późno dla Alexii... – dokończyłam.

– Dwóch policjantów wciąż przesłuchuje tę młodą kobietę, u której Lee mieszkał po wyjściu z więzienia – odparła Morgan. – Kobietę, której wszystko wyznał, która odszukała potem jaskinię i znalazła doktor Willard. Istotny jest każdy szczegół, jaki być może sobie przypomni. Ona kocha Ryana Lee, lecz to wszystko tak bardzo ją przeraziło, że postanowiła z nami współpracować. Lee wielokrotnie ją zapewniał, że nie ma nic wspólnego z losem Alexii Reece. Sam nie potrafił zrozumieć, dlaczego okoliczności jej zniknięcia tak wyraźnie przypominają jego własny czyn. Uznał to wszystko za swego rodzaju znowę przeciwko sobie.

– Znowę? – powtórzyłam zmieszana.

Morgan spojrzała na mnie.

– Lee znalazł się pod ogromną presją. Ów rekin kredytowy, który domagał się od niego zwrotu pieniędzy, dopadł go po wyjściu na wolność.

Już nam to niegdyś wyjaśniała, chcąc nas uprzedzić, że Vanessa mogła paść ofiarą uprowadzenia.

– Jak to? – zapytał wówczas Matthew. – Kto uprowadził Vanesę? I dlaczego?

Dla niego był to szczególnie dotkliwy cios, gdy usłyszał, że Vanessa stała się przypadkową ofiarą. I to pośledniego przestępcy, którego pewien lichwiarz wziął w kluby z powodu iluś tam tysięcy funtów. Krążył po okolicy i porwał Vanesę tylko dlatego, że przebywała sama na opuszczonym parkingu, samochód sprawiał wrażenie drogiego, drogie też miała na sobie ubranie. To takie banalne. Wprawiło to nas oboje w zupełną konsternację. Kryjący się za tą tragedią banał.

– W otoczeniu Ryana Lee działały się w ostatnim czasie dziwne rzeczy – kontynuowała Morgan – i dlatego znów znalazł się na celowniku policji. Oczywiście nie mieliśmy pojęcia o jego powiązaniach ze sprawą pani Willard. Jego dawna partnerka – jedna z dwu kobiet, które właśnie odnalazły Vanesę – została pewnej marcowej nocy napadnięta w pobliżu portu. Matka Lee, mieszkająca w Yorkshire, została uprowadzona i porzucona w odludnej okolicy pośród wrzosowisk. Lee zaczął podejrzewać, że są to wskazówki skierowane do niego. Przez owego gangstera, któremu jest winien pieniądze. Widocznie to obiegowy język, jakim zwykł się posługiwać, by zastraszać ludzi.

Zakręciło mi się w głowie.

– A zatem możliwe, że ten facet ma coś wspólnego ze zniknięciem Alexii?

Morgan westchnęła.

– Alexia nie należy jednak do kręgu osób bliskich Ryanowi Lee. Tak jak jego matka czy była partnerka. Wyłącznie okoliczności samego zdarzenia wskazują na jakieś powiązania. To jednak oznaczałoby, że ów dręczyciel wiedział, iż Lee ma coś wspólnego ze zniknięciem Vanessy Willard. Według zeznań jego znajomych Lee uznał to za wykluczone. To dlatego zaświtała mu w głowie myśl, że Vanessa mogła się wówczas jakimś sposobem uwolnić z pułapki i teraz prowadzi przeciwko niemu kruczatę zemsty. Co jednak okazało się nieprawdą.

– Mimo to – upierałam się – trzeba aresztować tego człowieka. Tego lichwiarza, czy kim tam on jest. Zna go pani?

Morgan uśmiechnęła się pod nosem.

– O, tak. Jest dobrze znany policji. Ale i bardzo sprytny. Niczego nie

można mu udowodnić.

– Ale...

Położyła mi uspokajająco dłoń na ramieniu.

– Aresztowaliśmy go. Mamy zeznanie, że poważnie groził Ryanowi Lee. Możemy je wykorzystać jako powód zatrzymania. Oczywiście nic nie powiedział. A jego adwokat przypuścił na nas szturm. Pracujemy pod presją, by udowodnić mu udział w napadach na przyjaciółkę Lee oraz jego matkę albo przynajmniej wykazać jakiś związek, gdyż tylko wtedy zyskamy możliwość zatrzymania go na dłużej. W przeciwnym razie będziemy musieli go wypuścić najpóźniej dziś wieczorem. Ale bez obaw, i tak nie spuścimy go z oka.

W moim spojrzeniu musiało się kryć powątpiewanie i bezradność, gdyż dodała pocieszająco:

– Robimy, co w naszej mocy. Setki policjantów przeczesują Coast Park w poszukiwaniu kryjówki, w której być może przetrzymywana jest Alexia. Szukamy też Garretta Wildera, ponieważ mimo wszystko nie możemy wykluczyć, że mamy do czynienia z dwoma odrębnymi, zupełnie różnymi przypadkami. Nasze poszukiwania koncentrują się jednak na osobie Ryana Lee. Koledzy z Yorkshire Police dzień i noc obserwują dom jego matki, na wypadek, gdyby próbował się tam pojawić. Nie ma pieniędzy, dokumentów, samochodu. Długo tak nie przetrzyma.

– To przestępca – przypomniałam. – Może to wszystko zdobyć. Pieniądze. Samochód. To żaden problem. Po prostu kogoś zabije.

– Skradzionym samochodem daleko nie zajedzie.

Dotarliśmy pod dom Matthew w Mumbles, inspektor Morgan zatrzymała samochód.

– Jesteśmy na miejscu. Myślę, że nie muszę do niego zaglądać, skoro pani tu jest. Proszę do mnie zadzwonić, jeśli uzna pani, że będzie potrzebował opieki psychologa, dobrze?

Wysiadłam.

– Tak zrobię. Dziękuję za podwiezienie, pani inspektor. Będzie mnie pani na bieżąco informować?

– Oczywiście. Ach, jeszcze jedno – nachyliła się nad siedzeniem dla pasażera. – Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Mimo wszystko!

Uśmiechnęłam się. Znała oczywiście moje dane. A kobiety o takich rzeczach pamiętają.

Matthew siedział w jadalni i wpatrywał się w zarośnięty wysoką trawą ogród. Przez ostatnie tygodnie, kiedy mieszkał głównie u mnie, w ogóle się o niego nie troszczył. Na stole w niewielkich stosikach leżała poczta, którą pod jego nieobecność odbierała gospodyni. Dom sprawiał wrażenie zimnego i niezamieszkanego. Mrocznego i poniekąd martwego.

Max, leżący obok Matthew, zerwał się na równe nogi i radośnie mnie przywitał. Wtuliłam twarz głęboko w jego długą sierść. Jak to dobrze, że mamy Maxa. Czułam, jaki jest ważny dla swego pana.

Matthew także się podniósł, podszedł do mnie i wziął mnie w ramiona. Długo tak staliśmy w milczeniu, mocno do siebie przytuleni. Mogłam poczuć bicie jego serca, miałam nadzieję, że on także poczuje moje, że zaczerpnie z niego nieco siły. I pociechy. W końcu uwolnił się z objęć i cofnął o krok. Szukałam w jego twarzy śladów horroru, jaki właśnie przeżywał, lecz wyglądała tak samo jak zawsze. Wyrażała znużenie. Nic nowego.

– Dzwonili z uniwersytetu – oznajmił. – W następnym tygodniu planują dużą uroczystość żałobną. Prosilili mnie, bym dostarczył im parę rzeczy, głównie zdjęcia Vanessy. Z czasów dzieciństwa, z okresu studiów. Naszą ślubną fotografię, jeśli to możliwe. Przyjechałem tu, by ich poszukać, ale potem... Nagle zupełnie straciłem do tego zapał. Mogłem tylko siedzieć. Do twojego przyścia nie ruszałem się chyba przez parę godzin.

– Myślę, że to niedobrze, byś teraz grzebał w starych zdjęciach – odparłam rozzłoszczona tym pomysłem. Jak można prosić człowieka w takim stanie o podobną rzecz? – Możesz zająć się tym później. Poza tym uroczystość może się przecież odbyć i bez fotografii.

– Zgadza się – przyznał Matthew. – Kobieta, która ze mną rozmawiała, uważa, że prawdopodobnie zbierze się pół miasta. Wśród

ludzi zapanowało niewiarygodne oburzenie.

Słyszałam o tym od kilku moich kolegów. Brutalność tej zbrodni zaszokowała każdego, nieważne, czy miał ją świeżo w pamięci czy też nie. Nadto historia ta miała w sobie jeszcze inny przerażający aspekt: to mogło spotkać każdego. Porwano nie jakąś żyjącą gdzieś w odosobnieniu milionerkę, z którą nikt nie mógł się zidentyfikować, lecz wykładowcę uniwersytetu, żonę co prawda ponadprzeciętnie zarabiającego eksperta programistycznego, lecz żadnego tam bogacza. Ot, wyższa klasa średnia z ładnym domem w Mumbles, której jednak daleko do pierwszej dziesiątki najbogatszych w kraju.

– Nie wiem, czy dam radę pójść na tę uroczystość – ciągnął Matthew. – W tej chwili trudno mi to sobie wyobrazić.

– Nie musisz tam iść. Każdy zrozumie, że to dla ciebie zbyt wiele – zapewniłam. – Możesz o tym zdecydować całkiem spontanicznie.

Byłam przekonana, że od śniadania nic nie jadł, a pewnie też nie pił, weszłam więc do kuchni i nastawiłam wodę na herbatę. W szafce znalazłam torebki z herbatą i kilka paczek herbatników. Niezupełnie wartościowy to posiłek, ale lepsze to niż nic. Ułożyłam herbatniki na talerzu i zniosłam do pokoju razem z dzbankiem oraz kubkami. Matthew pił, jakby umierał z pragnienia, prawie nic jednak nie jadł. Potem spojrzął na mnie. W jego oczach wyczytałam, że to, co teraz powie, nie podlega dyskusji. Powziął jakiś plan i nie pozwoli się od niego odwieść.

– Chcę tam pojechać – oznajmił – razem z Maxem.

– Dokąd?

– Do Pembrokeshire. Do tego... miejsca, gdzie to się stało.

– To nie jest dobry pomysł – zaproponowałam.

Wzruszył ramionami.

– Muszę to zrobić. Chcę zobaczyć miejsce, w którym umarła. Chcę się pożegnać.

Do pewnego stopnia go rozumiałam, lecz obawiałam się, że się załamie. Słyszeliśmy o niewielkiej, odosobnionej dolinie. O jaskini. O drewnianej skrzyni. Za żadne skarby nie chciałabym tego oglądać,

a przecież nawet nie znałam Vanessy. Jak on miałby to znieść?

– Prawdopodobnie wszystko zabezpieczono – powiedziałam – i pewnie w ogóle nie wolno tam wchodzić.

– To nieistotne. I tak tam *pojadę*.

– W takim razie pozwól mi jechać z tobą. – To było spore poświęcenie z mojej strony, gdyż sytuacja naprawdę mnie przerażała. – Nie powinieneś być przy tym sam.

– Mam przecież Maxa.

– Ale możesz potrzebować kogoś, z kim mógłbyś *porozmawiać*.

Potrząsnął głową.

– Jenno, nie chcę cię zranić. Ale to pożegnanie z Vanessą, z naszym wspólnym życiem... To coś, co muszę zrobić sam. Zamykam moją przeszłość. Wyłącznie *moją przeszłość*. Ty natomiast jesteś przyszłością.

Ładniej nie mógł tego powiedzieć, mimo wszystko. Przestałam się upierać.

– W porządku – przytaknęłam.

A zatem wszystko ustalone. Zaniiosłam naczynia do kuchni, szybko pozmywałam, podczas gdy Matthew poszedł na górę spakować parę rzeczy, by przenocować w jakimś *bed&breakfast*. Zaproponował, że mnie odwiezie do domu, nadłożyłby przez to jednak tyle drogi, że odmówiłam.

– Chętnie pojadę autobusem. Nie martw się. Skup się na tym, co przed tobą.

Pożegnaliśmy się na podjeździe przed domem. Na zewnątrz, w świetle dnia, zauważyłam, jak bardzo pobrał na twarzy. Wyglądał mizernie, był wyczerpany i zrozpaczony. W głębi serca modliłam się, by przetrwał to, co go czekało.

Nie pojechałam prosto do domu, wysiadłam wcześniej, żeby resztę drogi przejść brzegiem morza. Zasnuty chmurami dzień niewielu skusił do spacerów, czasami byłam na plaży niemal zupełnie sama. Zdjęłam buty i pończochy, spory odcinek przeszłam, brodząc w wodzie. Łagodne spienione fale obmywały moje stopy. Zebrałam kilka muszli i kamyków, tylko po to, by je z powrotem wrzucić do morza. W końcu

zerknęłam na zegarek: dochodziła siódma. Usiadłam na piasku, odczekałam aż wyschną mi stopy, włożyłam buty. Po drugiej stronie nadbrzeżnej ulicy znajdowała się niewielka knajpka. Poszłam tam i usiadłam przy kontuarze. Tu również panował niewielki ruch. Zamówiłam sherry, potem jeszcze jedno, i kolejne.

– Mam nadzieję, że dziś nie musi już pani prowadzić, *lady* – odezwał się zaniepokojony gospodarz, młodzieniec o puszystym jasnym wąsiku. Wychyliłam trzeci kieliszek.

– Nie. Ale mam dziś urodziny, wie pan. Chcę sprawić sobie nieco przyjemności.

– Och, zatem wszystkiego najlepszego! – Młodzieniec postawił mi kolejnego drinka, sam nawet wypił jednego, by mi dotrzymać towarzystwa. Prawdopodobnie zrobiło mu się przykro. Młoda kobieta ma urodziny i jest taka samotna, że musi się upijać w knajpie przy plaży.

Rzeczywiście czułam się bardzo samotna. Przez cały dzień jakoś sobie radziłam, lecz teraz dopadł mnie smutek. Powróciłam myślą do mojej matki, którą opuściłam, wyjeżdżając wówczas na łeb na szyję. Nigdy nie podałam jej nowego adresu ani numeru telefonu. Czy *ona* mimo wszystko dziś by do mnie zadzwoniła? Żywiłam taką nadzieję, lecz nie miałam pewności. Na samą myśl o tym omal nie zalałam się łzami.

– Jeśli później zapragnie pani towarzystwa, pracuję tu do dziesiątej, potem jestem wolny! – Młody barman spojrzał na mnie z nadzieją w oczach, gotów pocieszać mnie przez cały wieczór i pewnie również całą noc. Nie wyglądał źle. Dawniej pewnie przyjąłabym jego propozycję, a następnego ranka obudziła się w obcym mieszkaniu, w obcym łóżku, obok obcego mężczyzny, którego imienia nawet bym nie zapamiętała. Te czasy jednakże minęły. W moim życiu pojawił się Matthew. I Max. I będę studiować. Muszę tylko najpierw odnaleźć moją przyjaciółkę Alexię. Znów omal się nie rozplakałam, zdołałam się jednak opanować. Gdyby ten młodzieniec zauważył, w *jak* kiepskim jestem stanie, pewnie bym się go już nie pozbyła.

Wyszłam z knajpki o dziewiątej, dość pijana po kilku kolejnych kieliszkach sherry. Kręciło mi się w głowie. Oprócz paru herbatników zjedzonych u Matthew od rana nie miałam nic w ustach. A potem to sherry... Dwukrotnie musiałam się zatrzymać i przysiąść na ławce, omal na niej nie zasnęłam. Do diabła, naprawdę przesadziłam.

Kiedy dotarłam do domu, dochodziło pół do dziesiątej. Otworzyłam drzwi i zaczęłam wspinaczkę po schodach, które wydały mi się znacznie bardziej strome niż zwykle. Znalazłszy się na górze, zamarłam, zastanawiając się, czy rzeczywiście byłam aż tak pijana, by mieć halucynacje. Róże, wszędzie róże. Całe ich morze. Dzikie, kolorowe róże we wszelkich barwach. Takie, jakie zawsze uwielbiałam. Było ich ze sto. Ten potężny bukiet tkwił w staroświeckiej, szarej, cynowej wannie, pewnie napełnionej wodą.

– Matthew? – zapytałam zmieszana. To niemożliwe. Matthew wyruszył z własną misją.

Mężczyzna, który przycupnął na posadzce oparty o drzwi, wstał. Z początku ujrzałam tylko jego mroczny cień.

– Na miłość boską, Jenno, czekam od paru godzin! Gdzie się podziewałaś?

– Garrett?

Garrett wynurzył się zza śmiesznej cynowej wanny.

– Jenno! Najlepszego z okazji urodzin, moja droga!

Przyciągnął mnie do siebie, po czym zaraz z powrotem odsunął.

– Boże drogi! Czyś ty się *kapata* w alkoholu?

– Co ty tutaj robisz? – zapytałam niezbyt inteligentnie, gdyż było to przecież oczywiste.

– Co ja tu robię? Przyjechałem, by świętować z tobą twoje urodziny! Z tego powodu przerwałem urlop w Prowansji. Jestem tu od godziny szóstej. Na szczęście kobieta mieszkająca piętro niżej wpuściła mnie do domu i oddała mi do dyspozycji tę elegancką wazę – wyjaśnił, wskazując na wannę. – W przeciwnym razie kwiaty już dawno by zwiędły.

– Ach Boże, Garrett! – Był chyba ostatnim człowiekiem, jakiego

chciałam teraz widzieć. Pragnęłam znaleźć się w łóżku. Zapaść w głęboki, pozbawiony rojeń sen. Poddać się fali całkowitego zapomnienia – przynajmniej na kilka godzin.

– Uważaj teraz! Szybko się przebierzesz i... w drogę! – zaproponował. Sprawiał wrażenie rześkiego. – Zjemy gdzieś, a potem poszukamy jakiegoś ładnego baru z pianistą, zatańczymy... By godnie uczcić twoje urodziny!

Nie czytał gazet. Nie miał o niczym pojęcia.

– Muszę się położyć do łóżka – oznajmiłam. – Zaraz padnę. A ty nie powinienesz teraz włóczyć się po knajpach, Garrett. Policja cię szuka. Jesteś podejrzany o porwanie, może nawet o morderstwo. Jutro z samego rana musisz się do nich zgłosić!

O ile dobrze pamiętam, Garrett jeszcze nigdy nie zaniemówił. Wręcz przeciwnie, właśnie w krytycznych momentach zazwyczaj potrafił każdego zagadać. Teraz jednak patrzył na mnie osłupiały, otworzył usta, znów je zamknął.

Nie wydał z siebie żadnego dźwięku.

Któż by pomyślał, że jeszcze i tego doczekam?

Do późnego wieczoru powziął plan. Ryzykowny, lecz znalazłszy się w takim położeniu, nie miał innego wyjścia, jak tylko podjąć ryzyko. W trakcie niekończących się godzin spędzonych w kuchni Harry'ego wszystko przemyślał i uzmysłowił sobie, że nie pozostało mu nic innego, jak tylko wyjechać z Anglii. Był pilnie poszukiwany, z powodu Vanessy Willard rzecz jasna, lecz także z powodu Alexii Reece. Był podejrzany o to, że ma coś wspólnego z jej zniknięciem. Kiedy się dowiedziano o sposobie, w jaki potraktował Vanesę, policja podjęła w sprawie Alexii prawdziwy wyścig z czasem. Jego podobizna pojawiła się na łamach wszystkich gazet, był przekonany, że informacje o poszukiwaniach emitowano w telewizji w całym kraju. W południe wyciągnął z kosza poranną gazetę i ją przekartkował, jego zdjęcie widniało już na drugiej stronie. W podpisie określono go jako człowieka *bardzo niebezpiecznego i pozbawionego skrupułów*.

Przeczytał także artykuł i od tej pory kompletnie nie wiedział, co się właściwie dzieje. Dwie kobiety, jak donosiła gazeta, znalazły zwłoki Vanessy Willard zamknięte w drewnianej, skręconej śrubami skrzyni, ukrytej w jaskini na terenie Pembrokeshire Coast National Park. Bardzo dziwne. Nora powiadomiła policję przed jakimś tygodniem, prawda? Ryan był o tym przekonany, to dlatego gliny wszczęły poszukiwania Vanessy i w końcu ją odnalazły. Dlaczego dwie kobiety miałyby w miniony weekend wejść do jaskini? Niemal godzinę zmarnował, roztrząsając tę niedorzeczność, wreszcie wziął się w garść. Nieważne. Miał teraz na głowie inne problemy.

Najchętniej zostałby w tym domu i w ogóle z niego nie wychodził, gdyż czuł się w nim bezpiecznie. Nikt nie przypuszczał, że tu przebywa. Czasem najsprytniej jest po prostu nie ruszać się z miejsca

i czekać aż okoliczności ulegną zmianie – albo przynajmniej nieco się poprawią. Mógł tu dość długo przetrwać przy założeniu, że zdoła zachować kontrolę nad dwojgiem zakładników. W lodówce miał pełny zamrażalnik, a na regale stos puszek z gotowymi posiłkami. Nie musiał się obawiać niezapowiedzianych wizyt. Poszedł na górę do sypialni Harry'ego, gdzie stało jego biurko, i zajrzał do podejrzanego kalendarza. Nic, nikogo przez cały tydzień, żadnego wpisu także w następnym tygodniu. Na dzisiejszy wtorek zanotował sobie V., i dalej: *godz. 10*. Poza tym ziejąca pustka.

V., czyli Vivian, stanowiła oczywiście pewne ryzyko. Ktoś kiedyś zauważył jej nieobecność. Na szczęście, jak sama wyznała, żadnemu z kolegów nie powiedziała, że wybiera się do Harry'ego. A jednak miała przecież życie prywatne. Ryan wiedział od Nory, że Vivian była niestała w stosunkach z mężczyznami, jednakże od kilku tygodni mieszkała z partnerem. A jemu ta sytuacja wkrótce z pewnością wyda się dziwna.

Na biurku Ryan znalazł też paszport Harry'ego i wówczas zaczęła w nim kiełkować myśl, która rozwinęła się w pewien plan. Jeśli chciał opuścić kraj, potrzebował dokumentów i nowej tożsamości. Jako Ryan Lee nie mógł się pokazać na żadnej granicy, lecz dla Harry'ego Vince'a sprawa wyglądała zupełnie inaczej.

Paszport zabrał z sobą na dół do kuchni i zaczął studiować fotografię. Harry nosił na zdjęciu brodę i bardzo krótkie włosy. Był o rok młodszy od Ryana, a zatem niemal jego rówieśnik, to żaden problem. Nie byli do siebie podobni, absolutnie nie, w normalnych okolicznościach fakt ten by go ucieszył. Z drugiej jednak strony zdjęcie miało już swoje lata, paszport tracił ważność z końcem roku. W rzeczywistości Harry wyglądał teraz nieco inaczej. Ale czy jego, Ryana, można by wziąć za człowieka ze zdjęcia? Tak czy owak musiał coś zrobić ze swoim wyglądem, wszędzie go przecież poszukiwano. A gdyby tak skrócił włosy i zapuścił brodę? Nie powinien teraz działać pochopnie. Mógł zostać tu jeszcze przez parę dni i w spokoju popracować nad zmianą swego wizerunku. Opuściłby Anglię przez Eurotunel, ta opcja wydała mu się najbezpieczniejsza. Kontrole na

lotniskach niosły z sobą zbyt duże ryzyko, natomiast na statku musiałyby przebywać pomiędzy ludźmi, co znów nie było rozsądne. Podróżując pociągiem, mógł pozostać w swoim samochodzie – oczywiście w samochodzie Harry’ego, który wykorzystałby do tego celu. W połowie lat dziewięćdziesiątych Ryan wyjechał w ten sposób z matką do Francji, by spędzić wakacje na wybrzeżu atlantyckim. Pamiętał tłumy pasażerów tłoczących się do pociągu, stąd kontrole paszportowe były dość powierzchowne. Podróż taka kosztowała mnóstwo pieniędzy, lecz wspaniałomyślnie wykorzystałby spadek Harry’ego – nie miał wątpliwości, że pod lekką presją Harry wyjawia mu swoje hasło i tym samym umożliwi dostęp do konta. Jako że nie chciał, by jego zakładnicy marnie skończyli – na litość boską, taki dramat nie mógł się nigdy więcej powtórzyć – wkrótce po przybyciu do Calais wykonałby anonimowy telefon, podał policji adres Harry’ego i wyjawiał, że czeka tam na uwolnienie dwoje ludzi. Potem, rzecz jasna, paszport Harry’ego byłby nic niewart. Musiałby się także pozbyć jego samochodu. Co się zdarzy później, tego nie wiedział, miał jednak nadzieję, że znajdzie jakieś wyjście z sytuacji. Czekala go podwójna ucieczka: przed policją, gdyż z pewnością ruszy za nim Interpol, oraz przed ludźmi Damona. Kiedy dłużej nad tym rozmyślał, robiło mu się słabo, dlatego na razie odsuwał od siebie tę kwestię. Musiał zachować spokój.

Komórka w leżącej na schodach torebce Vivian kilkakrotnie dzwoniła wczesnym popołudniem. Ryan oczywiście nie odbierał, potem jednak odsłuchiwał wiadomości pozostawione w poczcie głosowej, by się przekonać, czy ktoś wie, gdzie przebywa Vivian. Przynajmniej w tej kwestii miał szczęście. Najpierw dzwoniło z salonu fryzjerskiego w Pembroke, wyrażono zdziwienie, że nie pojawiła się w uzgodnionym terminie. Następnie dwukrotnie telefonował mężczyzna imieniem Adrian, Ryan domyślił się, że chodzi o obecnego partnera Vivian. Adrian był zaskoczony faktem, że nie wpadła jak zwykle do niego, i pytał żartobliwie, czy ogarnął ją aż taki szal zakupów, że zapomniała o bożym świecie. Za drugim razem był już wyraźnie zniecierpliwiony, nawet zdenerwowany. *Do diabła, Vivian, gdzie się podziewasz? Nie byłaś*

u fryzjera, dzwoniłem tam. Twój koledzy także nie wiedzą, co jeszcze mogłaś wymyślić. Oddzwon, proszę!

Okay, Adrian nie miał pojęcia, gdzie przebywała, to dobrze, jego głos brzmiał jednak gorączkowo, najpóźniej pod wieczór albo nazajutrz z samego rana poruszy niebo i ziemię, by odnaleźć Vivian i pewnie trafi na kogoś, kto wiedział o jej spotkaniu z Harrym. W końcu Adrian pójdzie na policję. Ryan wyrzwał przez kuchenne okno na ulicę, gdzie przed domem stał zaparkowany samochód Vivian. Najchętniej by go gdzieś przestawił, daleko stąd, lecz potem musiałby wracać przez osiedle, a tego chciał uniknąć w sytuacji, gdy wszyscy pewnie już ujrzeli w porannej gazecie jego zdjęcie. Uświadomił sobie, że dom Harry'ego wcale nie jest aż tak bezpieczną przystanią, jak wcześniej sądził. Nie wolno mu było działać pochopnie, lecz nie miał też czasu do stracenia. Musiał wszystko przemyśleć. Na przykład wiadomości pozostawiane w poczcie głosowej Vivian to dla niego cenne informacje o tym, jak się rzeczy mają, koniecznie musiał jednak wyłączyć telefon przed zaśnięciem, by nie można było namierzyć miejsca jego pobytu. Jako że Vivian z pewnością nie wyjawia mu swojego PIN-u do telefonu, nie będzie w stanie ponownie go aktywować, stąd jak najdłużej odsuwał w czasie moment, w którym przyjdzie mu porzucić to źródło informacji. Nie mógł jednak zbyt długo zwlekać.

Wczesnym wieczorem wszedł do ciemnego pokoju, w którym trzymał zakładników. Włączył światło, oboje zaczęli gwałtownie mrugać oczami. Harry już się ocknął i wydawał tłumione przez knebel dźwięki. Miał mokre spodnie. Ryan w ogóle nie pomyślał o tym, że oboje będą musieli skorzystać z toalety. Zawahał się, zdecydował jednak, że Harry nadal nie będzie miał innego wyjścia. Z obrzydzeniem odrzucił myśl, by go posadzić na wiadrze, które następnie musiałby opróżnić. Oswobodzenie go na tyle, by zaprowadzić go po schodach do łazienki, wydało mu się natomiast zbyt ryzykowne. Harry, choć był szczupły, miał mocne ramiona wyćwiczonego fizjoterapeuty, który od rana do wieczora masuje ciała i ugniata muskuły. Nawet jeśli z braku pacjentów wyszedł nieco z wprawy, z całą pewnością nie stracił sił na

tyle, by nie stanowić dlań zagrożenia.

Vivian nie przysparzała mu aż takich zmartwień. Wykonywała wprawdzie ten sam zawód co Harry, lecz była kobietą. Przyjął, że w razie problemów zdoła sobie z nią poradzić.

Również Vivian, mimo zakneblowanych ust, usiłowała rozpaczliwie wydobyć z siebie zrozumiałe dźwięki, przewracała przy tym gwałtownie oczami. Ryan podszedł do niej, oderwał taśmę i wyjął jej z ust skarpetę. Spostrzegł, że jej wargi były nabrzmięte i popękane.

– Wody! – wyrzuciła z siebie. – Boże, wody!

Pobiegł do kuchni i wrócił z butelką wody mineralnej, którą przystawił jej do ust. Piła, jakby chodziło o jej życie. Kiedy skończyła, odezwała się:

– Muszę natychmiast do toalety. Proszę!

– Jeśli będą z tobą jakieś kłopoty, pamiętaj, że to po raz ostatni – ostrzegł ją. – Będziesz leżeć we własnym gównie, jak Harry. Zrozumiałaś?

Sprawiała wrażenie zupełnie zastraszonej.

– Tak. Zrozumiałam.

Odwiązał ją od regału, oswobodził kostki i pomógł się podnieść. Przez pierwsze dwie minuty ledwie mogła ustać na nogach. Zraniona kostka była mocno napuchnięta, znacznie bardziej niż rano. Gdy w końcu uznała, że choć utykając, jest w stanie wyjść z pokoju o własnych siłach, Ryan wiedział już, że nie stanowi dlań większego zagrożenia. Odczuwała ból i z trudem mogła się poruszać.

Na górze poczuła zmieszanie, kiedy zdała sobie sprawę, że Ryan nie ma zamiaru zostawić jej samej w łazience.

– Nie potrafię skorzystać z toalety, kiedy ktoś jest w środku – powiedziała z przerażeniem, lecz Ryan pozostawał nieugięty. Drzwi do łazienki miały od wewnątrz zasuwę, okno zaś wychodziło na ulicę. Ryan nie mógł wykluczyć, że Vivian wykorzysta ów moment i spróbuje zeskokczyć na niewielki daszek nad drzwiami wejściowymi albo przynajmniej się wychylić i swoim krzykiem postawić na nogi całe osiedle.

Zaczęła płakać, prosić, błagać, lecz ostatecznie zrozumiała, że nic nie wskóra. Łkając, siedziała na sedesie, podczas gdy Ryan czekał kilka kroków dalej, odwróciwszy się do niej bokiem, by nie sądziła, że na nią patrzy. Wydawało jej się, że przyglądanie się półnagiej kobiecie podczas załatwiania czynności fizjologicznych sprawiało mu perwersyjną przyjemność, a przy tym wyobrażał sobie coś piękniejszego. W rzeczywistości Vivian była mu zupełnie obojętna. Jedynym uczuciem, jakie wobec niej żywił, była odraza, i nic nie mogło tego zmienić.

Kiedy wreszcie skończyła, zeszli z powrotem na dół. Wciąż zalewała się łzami.

– Dlaczego? – zapytała na schodach. – Czemu mi to robisz?

– Nic ci nie robię – wyjaśnił. – I nic ci się nie stanie. Mam zamiar stąd zniknąć. Kiedy będę już bezpieczny, zadzwonię na policję. Wkrótce potem was uwolnią.

Nie mogła powstrzymać się od płaczu.

– Okropnie boli mnie stopa.

– Nie wygląda najlepiej – musiał przyznać – ale na razie nic nie możemy zrobić.

– Gdybym nie przyszła do Harry’ego! Zrobiłam to tylko dlatego, że wiedziałam, iż nikt do niego nie zagląda... Po prostu jestem zbyt wielkoduszna. Chciałam wyświadczyć mu przysługę...

– To wszystko dobrze się dla ciebie skończy.

Otarła łzy, spojrzała na niego.

– Zamordowałaś tę kobietę. Willard, czy jak się tam nazywała.

– Nie chciałem. To wszystko... wymknęło mi się spod kontroli.

– A co z tą drugą? Tą, której szukają jak szaleni? Tą dziennikarką?

Gwałtownie potrząsnął głową.

– Nie. Nie znam jej, nie mam pojęcia, co się z nią stało. Ktoś odtwarza całą ówczesną sytuację.

W jej oczach kryła się wątpliwość. Ta sama, którą ujrzał w spojrzeniu Nory.

– Przysięgam – powiedział z naciskiem, złościąc się jednocześnie

na samego siebie. Czy to konieczne, żeby się usprawiedliwiać przed tą wredną Vivian? Żeby zapewniał, przysięgał? Przecież i tak mu nie uwierzy.

Zeszli do gabinetu. Harry uniósł głowę i wściekle zagulgotał.

– On też koniecznie musi się napić – powiedziała Vivian. Spojrzała na swoją stopę. – Musisz mnie krępować? Kiepsko z moją nogą!

– Przykro mi. Ale muszę się zabezpieczyć.

Skinęła głową. Powędrowała wzrokiem po pomieszczeniu.

– Może przynajmniej położyłabym się na tym stole? Będę mogła rozprostować nogę, poza tym stopa będzie uniesiona.

Ryan popatrzył na stół do masażu. Na jego końcu znajdowała się nasadka, na której można by oprzeć obolałą stopę. Zastanawiał się, czy za prośbą Vivian nie kryje się jakiś podstęp, nie potrafił go jednak dostrzec.

– Okay – zgodził się.

Vivian dostała jeszcze coś do picia, po czym dobrowolnie wspięła się na stół. Starannie związał jej ręce i nogi. Bez pomocy nie była w stanie się uwolnić. Znów zaczęła płakać, gdy zobaczyła knebel.

– Proszę, nie! Proszę, proszę, nie!

Brał go żal, co jednak miał zrobić? Ten dom był szeregowcem. Gdyby nagle zaczęła krzyczeć, usłyszano by ją, a wtedy miałby kłopot. Wepchnął jej do ust skarpetę i przykleił ją taśmą. Następnie odwrócił się do Harry'ego. Zdjął mu knebel i podał coś do picia. Harry był u kresu sił. Dygotał ze strachu, pocił się, od czasu do czasu hiperwentylował.

– Ryan, nic ci nie zrobiłem! Wręcz przeciwnie, jestem twoim przyjacielem, chciałem ci pomóc. Proszę, uwolnij mnie. Przysięgam, że...

Ryan na powrót wepchnął mu skarpetę do ust. Odpowiedziało mu skomlenie. Co za okropny mięczak z tego Harry'ego. Nic w życiu nie osiągnie, i w pewnym sensie było to słuszne.

„A czy ja do czegoś doszedłem?” – pomyślał Ryan ze znużeniem.

Zostawił zakładników samych. W kuchni otworzył konserwę z pulpetami mięsnymi w pikantnym sosie i podgrzał je na kuchence. Zjadł przy stoliku, wypił do tego piwo. Miał wyrzuty sumienia, lecz nie

zdołał się przemóc, żeby ponownie zejść na dół i nakarmić Vivian i Harry'ego, a przy tym znosić te ich łyzy, biadolenie, obłudne przyrzeczenia. Wytrzymają jeden dzień bez jedzenia. Nazajutrz z rana dostaną śniadanie, to oczywiste. Nie jest przecież sadystą. Cała ta sytuacja wydawała mu się okropna.

Wieczór spędził w łazience. Z pomocą elektrycznej maszynki Harry'ego zgolił na jeża swe faliste, zmierzwiłone włosy, co ku jego zaskoczeniu zmieniło go bardziej niż przypuszczał. Gdyby jeszcze dodać do tego trzydniowy zarost... Przymierzył niektóre z ubrań Harry'ego, kraciaste spodnie z zakładkami, do tego koszulkę polo w kolorze kobaltowoniebieskim. Rzeczy te były przyciasne, z uwagi na szczupłą sylwetkę Harry'ego, zwłaszcza koszulka bardzo opinała mu ramiona, lecz na razie jakoś to ujdzie. Ryan uznał, że wygląda zupełnie inaczej i niełatwo go będzie zidentyfikować na podstawie zdjęcia z listu gończego. A jednak ogarniał go strach na myśl o tym, że będzie musiał wyjść na zewnątrz. Nie miał złudzeń: całe to przedsięwzięcie było nad wyraz niebezpieczne, a prawdopodobieństwo, że zostanie schwytany, było większe niż to, że zdoła jednak uciec.

Lecz nie miał wyboru.

Zanim położył się do łóżka, raz jeszcze zajrzał do uwięzionych. W pokoju panowała cisza, wydawało się, że śpią. To było najlepsze, co mogli zrobić. Po raz ostatni odsłuchał wiadomości na komórce Vivian, by się dowiedzieć, czy Adrian lub ktokolwiek inny wpadł na jej ślad prowadzący do Morriston. Adrian zostawił jeszcze pięć kolejnych wiadomości, coraz bardziej zaniepokojony, przestraszony i zmartwiony. Najwyraźniej jednak wciąż nie miał pojęcia, że Vivian udała się do Harry'ego, a przecież bez wątpienia obdzwonił cały krąg jej znajomych. A więc rzeczywiście zachowała to dla siebie. Prawdopodobnie czuła się niezręcznie, że odwiedza niezbyt atrakcyjnego nieudacznika – i Ryan na tym zyskał. No cóż, czasem po prostu trzeba mieć szczęście.

Wyłączył telefon, dla pewności wyjął też kartę SIM oraz baterię. Jedno niebezpieczeństwo mniej.

Było krótko po jedenastej, gdy położył się na tapczanie w tak

zwanym pokoju dziennym na pierwszym piętrze. Czuł się zmęczony, niemal wycieńczony, zarazem jednak aż buzowała w nim adrenalina. Co chwila się podnosił, nasłuchiwał, czy w pokoju uwięzionych coś się poruszyło, nadstawiał ucha, czy na ulicy nie dzieje się coś niepokojącego. Czy nie zbliża się do domu uzbrojony oddział? Ubrani na czarno mężczyźni, trzymający w gotowości szybkostrzelną broń?

Bzdury. Nikt przecież nie wie, że się tu zatrzymał. Nikt nie wie, że jest tu Vivian. Nikt się nie domyśla, że Harry jest w opresji. Musi się przespać. Musi opanować nerwy. Sporo go czeka przez następne dwa, trzy dni, i będzie do tego potrzebować wszystkich swych sił. Dochodziło pół do pierwszej, gdy wreszcie udało mu się na tyle uspokoić, że jego zmysły w znaczącym stopniu zarzuciły stan czuwania. Zapadł w lekki sen.

Nie wiedział, co go obudziło. Podniósł się i patrzył w ciemność. Pokój mieścił się od strony ogrodu, nie było tu żadnych ulicznych latarni, wokół panowała czarna noc. Ryan włączył stojącą obok staromodną lampę i spojrzał na zegarek. Kwadrans po trzeciej.

Był zupełnie rozbudzony. Nie potrafił sobie przypomnieć, czy przysniło mu się coś złego, w ogóle nie pamiętał, o czym śnił. Co go aż tak zelektryzowało?

Wstrzymując oddech, natężył słuch w milczącym domu. Nic. A może jednak *coś*?

Nagle przemknęło mu przez myśl wspomnienie. Przytłumiony odgłos, tak, bardzo krótki. Jakby coś się przewróciło, tutaj, w domu. Na przykład książka albo ramka na zdjęcie.

Czemu w środku nocy coś miałoby się przewrócić?

A może tylko coś sobie wmawiał? Nieważne, musiał to sprawdzić. Nie był w domu sam, przebywały w nim jeszcze dwie osoby, które wieczorem być może jedynie udawały, że śpią, a w rzeczywistości nieustannie rozmyślały nad tym, w jaki sposób mogły się uwolnić. Nie miał pojęcia, jak miałyby tego dokonać. Myśl o tym, że Vivian i Harry

jakimś podejrzanym sposobem oswobodzili się z więzów i właśnie skradają się ku niemu po schodach, napełniła go panika.

Wstał po cichu z sofy, wskoczył w dżinsy, T-shirt i tenisówki. Z przyzwyczajenia chciał przygłodzić dłonią włosy i zamarł, gdy zamiast zmierzwionych loków poczuł krótkiego jeża. Przypomniał sobie. Jego przemiana.

Nie włączając światła, podszedł do otwartych drzwi; przy schodach zaczął nasłuchiwać. Nie dosłyszał żadnych odgłosów. Żadnego cichego stąpania, żadnego przytłumionego oddechu. Nie oznaczało to jednak, że nie kręcą się gdzieś w pobliżu. Zastanawiał się, czy po swej ostatniej kontroli rzeczywiście zamknął za sobą drzwi do gabinetu, czy tylko je przymknął. Dokładnie tego nie pamiętał. Chyba je zamknął, prawda? A wtedy nie mogliby się wydostać z gabinetu. Pozostałaby im tylko jedna droga, do ogrodu. Nie mogliby jednakże otworzyć bezgłośnie starych, skrzypiących okiennic.

Stopniowo jego oczy przywykły do ciemności. Drzwi do sypialni Harry'ego były otwarte, na wprost okna stała uliczna latarnia, nieco światła wnikało do wnętrza, aż do schodów. Ryan zerknął na dół. Nie dostrzegł nikogo. Z kuchni, mieszczącej się naprzeciw schodów, dobiegało jednostajne i dość głośne brzęczenie przestarzałej lodówki.

Rzeczywiście coś sobie ubzdurał.

A jednak musiał sprawdzić uwięzionych, w przeciwnym razie nie zazna spokoju.

Zbiegł po schodach, unikając poluzowanych desek, i zatrzymał się w korytarzu. Ech, żeby ta lodówka pracowała ciszej, trudno było przy niej dosłyszeć inne przytłumione odgłosy. Powoli podszedł do zamkniętych drzwi gabinetu.

I wtedy usłyszał.

Cichy szept.

– Tak, Ryan Lee. Na pewno. Pleasant Street, w Morrison. Tak, śpi. Proszę, pospieszcie się! – To był bez wątpienia głos Vivian. – Tak. Proszę, szybciej!

Jak ta cholerna zdzira zdjęła sobie knebel? I z kim rozmawia? Chyba

nie z Harrym. Przecież nie dyktowałaby mu jego własnego adresu i nie prosiłaby, żeby się pospieszył. W zasadzie istniało tylko jedno wyjaśnienie: Vivian informuje właśnie policję o sytuacji, co oznacza, że nie tylko zdołała się uwolnić, lecz również zdobyła telefon. Przenośny aparat sieci stacjonarnej zabrał z sobą, podobnie zresztą jak jej komórkę. Skąd...?

To nie był dobry moment na roztrząsanie tych pytań. Policja zjawi się tu najpóźniej za dziesięć minut. Otworzył drzwi – rzeczywiście je zamknął! – zapalił światło i zajrzał do wnętrza. Harry nadal leżał skrzepowany w kącie. Vivian natomiast stała pośrodku pokoju, zdołała zdjąć zarówno knebel, jak i więzy krępujące jej ręce i nogi. W dłoni trzymała telefon komórkowy. Jej czarne falujące włosy opadały zmierzwiłone na ramiona. Rozpłomienionym wzrokiem spojrzała na Ryana. Czaił się w nim cień triumfu.

Rzucił się ku niej i wytrącił jej z ręki telefon, który przefrunął przez cały pokój i wpadł pod stojące w kącie krzesło.

– Za późno, Ryan! – krzyknęła Vivian. – Już tego nie zmienisz!

W ostatniej chwili powstrzymał się przed mocnym uderzeniem jej w twarz, po którym przez pewien czas nie wymówiłaby ani słowa więcej. Zrozumiał: komórka Harry'ego. O Boże, jaki z niego dureń! Zapomniał o komórce Harry'ego, nie przeszukał go. Pojął teraz sytuację: pod zagłówkiem stołu, na którym Vivian koniecznie chciała się położyć, znajdował się ostry, ząbkowany, metalowy uchwyt służący do regulowania wysokości. Wisiały na nim więzy, którymi skrzepował nadgarstki Vivian. Pewnie nie było jej łatwo ułożyć się w pozycji, w której mogłaby cierpliwie trzeć więzy o jego brzeg, a jednak zdołała uwolnić ręce. Reszta była dziecinnie prosta: zerwała z ust knebel, oswobodziła stopy i przeszukała kieszenie spodni Harry'ego, gdyż była sprytniejsza od Ryana i liczyła przynajmniej na to, że znajdzie w nich telefon. Bingo! Wykonując gwałtowne ruchy w ciemnym pokoju, widocznie zawadziła o szafkę, na której stała oprawiona w ramkę fotografia babci Harry'ego, leżąca teraz na podłodze. Prawdopodobnie ten właśnie odgłos wyrwał Ryana ze snu. Vivian zdołała jednak

w spokoju powiadomić policję. Nigdy by jej się to nie udało, gdyby zostawił ją w poprzednim miejscu, przywiązaną do regału, unieruchomioną.

Co za tępak z niego. Uległ jej lamentom i prośbom, a przede wszystkim kompletnie jej nie docenił. Uznał, że prawdziwe zagrożenie stanowi Harry i dlatego może być bardziej wspaniałomyślny wobec Vivian. Tylko dlatego, że była kobietą. W którym wieku on żyje?! Harry to mięczak; pewnie nie odważyłby się sprowadzić pomocy, nawet gdyby zostawić go przed drzwiami komisariatu policji. Vivian natomiast była bystra, cwana i odważna. Powinien był o tym wiedzieć.

Wszystkie te myśli przemknęły mu przez głowę w ułamku sekundy, na dogłębną analizę sytuacji brakowało czasu. Chwycił Vivian za ramię, tak mocno, że aż krzyknęła.

– Ty idziesz ze mną!

Opierała się ze wszystkich sił, lecz wobec jego wściekłości nie miała szans. Włókł ją korytarzem, podsunął pod nos torebkę, wciąż stojącą na schodach.

– Twoje kluczyki do samochodu! Wyciągaj!

– To nic nie da, Ryane! Daleko nie zajedziemy!

Wyrwał jej z ręki torebkę, sam wygrzebał z niej kluczyki. Wciąż ciągnąc Vivian za sobą, wszedł do kuchni i sięgnął po ostry ząbkowany nóż, tkwiący w stojaku na noże.

– Żebyś nie wpadła na jakiś głupi pomysł!

Był niemal pewien, że nie zdołałby wbić noża w żywe ludzkie ciało. Choć był znany dawniej ze swej skłonności do przemocy, zawsze uważał, że istnieje zasadnicza różnica pomiędzy *uderzeniem* kogoś a *pchnięciem* go nożem... Tak czy siak, Vivian uważała, że jest do tego zdolny, a to na razie wystarczało. Wyraźnie spuściła z tonu, przestała się opierać. Przestraszyła się. To dobrze.

Wyszli na pogrążoną w mroku nocy ulicę. Ryan rozejrzał się wokoło. Policja jeszcze się nie pojawiła. Od telefonu Vivian upłynęły cztery, najwyżej pięć minut. Musieli stąd uciekać, jak najszybciej.

Otworzył drzwi samochodu, zmusił Vivian, by przez siedzenie dla

pasażera wskoczyła za kierownicę, po czym usiadł obok niej. Nóż przystawił jej do żeber. Wyczuwał, jak bardzo drżała.

– Dalej, ruszaj! – rozkazał.

Kilkakrotnie próbowała bez powodzenia uruchomić samochód, co uznał za grę na zwłokę. Mocniej przytknął jej nóż do boku, a wtedy silnik natychmiast zaskoczył.

– Dokąd mam jechać? – zapytała. Znów się rozplakała, tym razem jednak z pewnością nie było to czyste wyrachowanie. Była naprawdę zrozpaczona.

– Najpierw wyjedziemy z Morriston. Ale nie w kierunku M4.

Policja pewnie pomyśli, że spróbują się wydostać na autostradę i zablokuje wszystkie wjazdy.

– A potem?

– Przymknij się! Powiem ci, kiedy będzie trzeba!

Sam nie miał o tym zielonego pojęcia.

Garrett wysiadł z taksówki i zatrzasnął za sobą drzwi. Ogarnął go tak zły nastrój, że przez chwilę stał bez ruchu na chodniku, usiłując odzyskać wewnętrzny spokój. Kiedy pomyślał, że mógłby teraz siedzieć przy śniadaniu w małej kawiarence w słonecznej Prowansji, zajadać się croissantem i przyglądać toczącemu się wokół życiu... Zamiast tego stał w ten typowo angielski chłodny, szary i dość wietrzny dzień na ulicy w Swansea, dopiero co zmuszony przez ponad godzinę zeznawać przed policją. Tylko dlatego, że był na tyle sentymentalny, by odwiedzić Jenę akurat w dniu jej urodzin. Czym wcale nie była zachwycona. Nie zjedli uroczej kolacji ani nie zatańczyli. Nie mówiąc już o pójściu razem do łóżka, czego również się spodziewał. Poprzedniego wieczoru dzięki kilku filiżankom czarnej kawy oraz tabletkom aspiryny odzyskała formę na tyle, by mu opowiedzieć o wszystkim, co się wydarzyło. I jak mogło do tego dojść, że on, Garrett, tkwił w tej historii po uszy, a nawet był poszukiwany przez policję. Istne szaleństwo. Zupełny idiotyzm. I to dlatego, że Jenna musiała się zadawać z tym Matthew Willardem, którego żona została przed laty porwana. Najwyraźniej wynikły z tego same tylko problemy.

Leżał na sofie, nie zmrużywszy oka. Nad ranem postanowił zgłosić się niezwłocznie na policję i wyjaśnić wszelkie kwestie. Przed niemal trzema tygodniami całkiem spontanicznie zapragnął wyruszyć do Prowansji. Swoim zwyczajem uległ zachciance, nie informując o tym nikogo. Nie przywiązywał do tego wagi. Z pracy w agencji i tak zamierzał zrezygnować.

Rozmawiał z prowadzącą dochodzenie inspektor Morgan. Była nieco zaskoczona faktem, że przyszedł ot tak, po prostu, i to wczesnym rankiem. Sprawiała wrażenie niewyspanej i zabieganej, podczas

rozmowy wciąż wzywano ją do telefonu. Ta sprawa zszargała jej nerwy, dało się to wyczuć. No dobrze, Garrett oszczędzi jej nieco nerwów.

Na szczęście zachował bilety. Na kontynent pojechał pociągiem, wrócił tą samą drogą, miał potwierdzenie. W portfelu tkwiło mnóstwo euromonet, których jeszcze nie wymienił na brytyjskie funty. Poza tym posiadał kilka pokwitowań za przejazd francuskimi autostradami, które poświadczały jego pobyt we Francji. Na wypadek, gdyby tej bladej policjantki nie zdołała przekonać po prostu jego głęboka, nienaganna opalenizna. Takiej w Anglii nie sposób uzyskać, w każdym razie nie w trakcie tego przeciętnego lata. Wyglądało to raczej na pobyt nad Morzem Śródziemnym, i to całkiem długi.

Odniosł wrażenie, że podejrzewa go w niewielkim jedynie stopniu. Zadręczała go pytaniami i z pewnością usiłowała wyrobić sobie obraz jego charakteru. Czy był typem mężczyzny, który wybuchą złością, gdy była partnerka wiąże się z innym? Garrett wiedział, że wcale taki *nie* jest. Związek Jenny z Willardem nie spodobał mu się, niemniej jednak nie wzbudził w nim gwałtownych reakcji. Chciał napaść na Jenne, a przez przeoczenie porwał zamiast niej Alexię?! Taka wersja wydarzeń stanowiła niemal obrazę jego inteligencji!

Chciała wiedzieć, czy znał Alexię.

Rozmyślał o niej teraz, stojąc przed domem Jenny i patrząc za odjeżdżającą taksówką. Rozmyślał o Alexii Reece. Znał ją przelotnie, z opowiadań Jenny rzecz jasna oraz ze wspólnej kolacji przed kilkoma laty. Alexia i Ken przebywali w Brighton i wtedy właśnie ich odwiedzili. Alexia była w zaawansowanej ciąży z trzecim dzieckiem, Garrett uznał to wręcz za bezczelność, by w takim stanie, tuż przed zbliżającym się porodem, pokazywać się wśród ludzi. Przez cały wieczór bał się, że ona nagle dostanie bólów porodowych i urodzi w salonie na jego dywanie. Ken zajmował się pozostałą dwójką dzieci, spoglądał na nie rozpromienionym wzrokiem. Garrett miał wrażenie, że to jeden z tych nowoczesnych ojców, którzy wraz z narodzinami swych dzieci przeobrażają się w supermatki. Obserwując, jak wilgotnieją im oczy, kiedy patrzą na swoją trzódkę, można by sądzić, że najchętniej

sami karmiliby piersią. Ken był doskonałym przykładem tego gatunku. A Alexia...

Powiedział to Jennie minionego wieczoru, teraz powtórzył inspektor Morgan. Był przekonany, że Alexia w żadnym razie nie padła ofiarą przestępcy. Ot, puściły jej nerwy, odeszła. Od wszystkiego. Stworzyła scenerię, która skierowała uwagę wszystkich na fałszywy trop, po czym sama zniknęła.

O dziwo już wówczas, podczas owego wieczoru w Brighton, pomyślał, że Alexia któregoś dnia nie wytrzyma. Takie właśnie zrobiła na nim wrażenie. Oto kobieta, która pędzi ku przepaści, wyprzedzając wszystkich, świeca płonąca z obu stron. W tamtym czasie nie pracowała jeszcze w „Healthcare”, lecz w jakimś magazynie ilustrowanym, miała jednak ambicję zostać pewnego dnia szefową redakcji. Wyczuł w niej ów fanatyzm, absolutne uzależnienie od sukcesu, kariery, awansu. Była silną, konsekwentnie zmierzającą do celu kobietą, lecz nie miała podstawowej cechy: nie potrafiła sobie radzić z porażką. Wszystko dobrze się układało, póki pięła się w górę. Kiedy musiała zejść trzy stopnie w dół – a w którym zawodzie da się tego uniknąć? – pojawiało się niebezpieczeństwo załamania się całego systemu. Kiedy Garrett się dowiedział, że groziło jej zwolnienie z pracy w „Healthcare”, że od miesięcy ją zadręczano, a wręczenie jej wypowiedzenia było jedynie kwestią czasu, poczuł, że jego teoria jest słuszna.

„Nie zostawiłaby czwórki swoich dzieci!” – odparła wówczas Jenna, on jednak tylko się uśmiechnął. W kwestiach psychologicznych był od niej po prostu lepszy. Nie odmawiał Alexii matczynej miłości, niemniej jednak dzieci miały coś wspólnego z jej ambicją. Alexia chciała być jednym i drugim: kobietą sukcesu *oraz* supermatką. Nie wystarczyło jej jedno dziecko czy dwoje, o nie, musiała wydać na świat od razu czworo. Parła naprzód nie tylko po ścieżce kariery, musiała też mieć swój wkład w powstrzymanie niepokojącego spadku liczby urodzin w społeczeństwie. A przy tym żyła złudzeniami. Także na tę kwestię zwrócił Jennie uwagę, na co ona zareagowała dość nerwowo.

– Czemu Alexia miałaby żyć złudzeniami?

– Na miłość boską, Jenno, czy ty tego nie dostrzegasz? Dochrapała się posady naczelniej – i co? Została szefową kompletnie niepotrzebnego pisemka, którego nakład ustawicznie spada. Za mało zarabia, a mimo to się wykańcza i w nagrodę musi się od pewnego czasu liczyć z utratą posady. I ty to nazywasz karierą? A z wychowaniem czwórki dzieci jakoś sobie radzą tylko dlatego, że oddelegowała do tego zadania swojego męża. Sama nie ma ani czasu, ani sił, by się zatroszczyć o swoje potomstwo. Idę o zakład, że normalne życie rodzinne już od dawna tam nie istnieje. Dzieci pewnie w ogóle nie zauważyły, że ich matka zniknęła, gdyż wcześniej i tak praktycznie jej nie widywały!

Jenna otworzyła usta, po czym je zamknęła. Zabrakło jej jakichkolwiek kontrargumentów.

– Być może ona również to sobie uświadomiła – dodał – i dlatego straciła głowę. Uznała swoje życie za farsę. I postanowiła z nim zerwać.

Inspektor Morgan uznała jego wyjaśnienia za nad wyraz interesujące, zauważył to. Widocznie był pierwszym, który mówił bez ogródek. Nikt inny nie chciał jak dotąd przyznać, że z Alexią nie wszystko było w porządku. Woleli trzymać się wersji: *Została napadnięta i porwana.*

Co miał teraz począć? Jenna, również z samego rana, pojechała do Kena, żeby go wspierać duchowo, Garrett pożyczył jej swój samochód. To dlatego tu utknął. Najchętniej bowiem natychmiast by stąd wyjechał. Cała ta wyprawa do Swansea okazała się jednym wielkim fiaskiem. Nie zaznał uprzejmości ze strony Jenny, za to musiał się zgłosić na policję. Na różę wydał majątek, i wszystko to na nic. Uznał, że wyszedł na idiotę, a ta rola zupełnie nie przypadła mu do gustu.

Jenna dała mu zapasowy klucz do swego mieszkania, dzięki czemu mógł wejść na górę. Spakował swoje rzeczy do torby podróżnej i w zasadzie był gotowy do drogi. Morgan zaleciła, żeby nie wyjeżdżał ze Swansea, lecz to życzenie stara może sobie wsadzić... Miała jego adres w Brighton, to musiało jej wystarczyć.

Mieszkanie niemal tonęło w różach, ich woń oszałamiała. Żadna waza, żaden kubek, żaden dzbanek na kawę, nic nie stało puste,

wszystko wypełniały kwiaty. Garrett przyglądał się morzu aksamitnych płatków, oładnęła nim nieznana mu melancholia. Nie był pewien, czy kochał Jennę – nie był nawet pewien, czy kochać *potrafił* – niemniej polubił wspólne z nią życie. Uważał ją za bardzo atrakcyjną i niezwykle pociągającą seksualnie. Kiedy od niego odeszła, odetchnął z ulgą, wreszcie bowiem skończyły się ciągle kłótnie i nieznośne sceny. Jednakże ani przez sekundę nie miał wątpliwości, że do niego wróci. Postanowił dać im obojgu chwilę wytchnienia, a następnie pstryknąć palcami i zacząć od początku. Liczył się oczywiście z tym, że tymczasem pojawią się w jej życiu inni mężczyźni, była po prostu zbyt ładna, żeby przez dłuższy czas kroczyć przez świat niezauważona. Mimo to będzie rzecz jasna gotowa natychmiast porzucić każdego innego, skoro tylko na horyzoncie pokaże się on, Garrett.

Stało się jednak inaczej. Utracił ją, nieważne, czy jej związek z Willardem przetrwa, czy też spełźnie na niczym. Wczorajszego wieczoru stała przed nim zupełnie inna Jenna. Ta Jenna kroczyła naprzód. Nigdy więcej wstecz.

Jenna zapisała mu adres Kena i Alexii, na wypadek, gdyby chciał do nich wstąpić. Postanowił znów wezwać taksówkę, pojechać tam, odebrać swój samochód i bezzwłocznie wyruszyć w drogę powrotną do domu. Ze względu na poczucie własnej wartości nie chciał zostawać dłużej w Swansea, by nie wywołać wrażenia, że wyczekuje na jakiś miłosierny gest ze strony swej dawnej partnerki. Przykro mu było odchodzić w roli przegranego, lecz Garrett chciał przynajmniej przegrać z godnością. W tym przypadku oznaczało to: odwrót z podniesionym czołem.

Pół godziny później stał przed drzwiami domu Alexii. Kręcąc nosem, rozglądał się po okolicy, którą uznał za zaściankową i ubogą. Jeśli ten domek w takim otoczeniu był wszystkim, na co mogła sobie pozwolić karierowiczka Alexia, tym mniej go dziwiło, że postanowiła z tym skończyć. Alexia mogła się czuć wyłącznie jako przegrana na całej

linii: w pracy, jako matka. Jej dzieci prawdopodobnie częściej zwracały się *mamusi* do sprzątaczkę niż do swojej prawdziwej matki. Jeśli oczywiście Reece'owie mogli sobie pozwolić na sprzątaczkę. Garrett w to wątpił.

Rozejrzył się, nigdzie jednak nie mógł dostrzec swojego samochodu. Pomyślał, że Jenna i Ken pewnie dokądś nim pojechali. Miał nadzieję, że czekało ich tylko parę spraw do załatwienia i niedługo wrócą. Mimo to zadzwonił do drzwi, nikt jednak nie otworzył, jak można się było spodziewać. Jako że nie miał ochoty stać pod drzwiami jak jakaś porzucona walizka, rozejrzył się, czy może uda mu się jakimś sposobem dostać do ogrodu. Odkrył wtedy, jak zwykle niezamknięte, przejście obok kuchni. Znalazł się na nieposprzątanym tarasie pełnym porzuconych zabawek, narzędzi ogrodniczych i terakotowych donic, w których usychały trudne do zdefiniowania rośliny. Na szczęście był tam jeszcze stół i parę krzeseł. Garrett ze wstrętem spojrział na kwieciste poduszki do siedzenia, na których roilo się od lepkich resztek jedzenia. Wydawało się, że dzieci nie potrafiły zbliżyć łyżki do ust, nie wylewając przy tym połowy jej zawartości. Wiedział, że Jenna chciała mieć dzieci, był to jeden z licznych odwiecznych tematów ich dyskusji. Jedno spojrzenie na taras rodziny Reece'ów przypomniało mu, dlaczego tak gwałtownie sprzeciwiał się temu pomysłowi.

Zdjął z krzesła poduszkę, usiadł i oparł się wygodnie. Powietrze było chłodne, taras był jednak osłonięty od wiatru, poza tym miał na sobie ciepły sweter. Jakoś tu wytrzyma. Przydałaby się filiżanka kawy, ale przecież nie można mieć wszystkiego.

Czekał.

U Kena pojawiłam się dość wcześnie, skoro świt, rzec by można. Chciałam uniknąć sytuacji, w której siedzielibyśmy razem z Garrettem w moim mieszkaniu. Nie miałam najmniejszej ochoty na debatę na temat stosunków międzyludzkich, nie tęskniłam też za jego towarzystwem. Byłam zupełnie przytłoczona jego nagłym pojawieniem się oraz podarowanym mi mnóstwem kwiatów. Poczułam nieomal radość, że mogłam pojechać do Kena, a Garretta wysłać na policję. Zdołałam go przynajmniej czymś zająć. Zaproponował, że pożyczę mi samochód, ściśle mówiąc: ów pomysł wręcz mi narzucił. Ostatecznie się zgodziłam, gdyż górę wzięło moje wygodnictwo. Po drodze ogarnęła mnie jednak złość. Gdybym poprzedniego wieczoru za dużo nie wypila, mój umysł lepiej by funkcjonował, dzięki czemu uzmysłowiłabym sobie, że Garrett oczywiście nie bez powodu oddał mi do dyspozycji własny samochód. Oto bowiem nie mogł teraz wyjechać. Moje nadzieje, że po powrocie prócz kwiatów nie znajdę w mieszkaniu żadnego po nim śladu, spełzły tym samym na niczym. On też pewnie pojawi się u Kena i znów się do mnie przyklei. Chyba że policja od razu wsadzi go za kratki. To jednak uznałam za mało prawdopodobne.

Dwukrotnie usiłowałam się dodzwonić do Matthew, za każdym razem zgłaszała się jednak automatyczna sekretarka. Jakoś nie mogłam sobie wyobrazić, by jeszcze spał, prawdopodobnie wyłączył telefon. Chciał być sam.

Nie widziałam Kena od paru dni, przeraziłam się, gdy otworzył mi drzwi. Wiedział oczywiście, co się stało z Vanessą, wiadomość ta nappełniła go, podobnie jak i nas wszystkich, poczuciem bezradności i jeszcze większym lękiem o los Alexii. Wyglądał na straszliwie znużonego, wycieńczonego, udręczonego. Nie golił się, nie cesał, miał

na sobie ubranie wyglądające tak, jakby go od co najmniej trzech dni nie zmieniał. Pewnie w ogóle nie kładł się spać. Ogarnęły mnie okropne wyrzuty sumienia. Od chwili odnalezienia zwłok Vanessy skupiłam się wyłącznie na Matthew, starałam się go wspierać i podnosić na duchu. Sam Matthew nie znalazł w sobie dość sił, by zajrzeć do Kena, lecz ja powinnam była to zrobić. Nieważne kiedy i jak, powinnam przy nim być.

– Ach, to ty, Jenno – rzekł. – Wejdiesz?

Weszłam, uściskałam go. Nieśmiało odwzajemnił uścisk.

– Ken – powiedziałam tylko tyle. Przez chwilę staliśmy w przedpokoju i obejmowaliśmy się. Następnie Ken cofnął się o krok.

– Jak się miewa Matthew? – zapytał.

– Pojechał się pożegnać. Tam, gdzie... znaleziono Vanesę.

Ken skinął głową.

– To odważny krok z jego strony.

W domu panowała cisza. Dwoje starszych dzieci pewnie poszło już do szkoły, ale gdzie były młodsze? Siana nie chodziła jeszcze nawet do przedszkola.

– Gdzie dzieci? – zapytałam.

Wyglądał tak, jakby się wstydził, że zrobił coś niewłaściwego.

– Zawiozłem je do mojej matki. Całą czwórkę. Po prostu nie dają już rady. Bałem się, że zupełnie się załamie, a to odbije się na nich. – Zwiesił ramiona. Język jego ciała zdradzał, jak ogromny spoczywał na nim ciężar. – Starsze zwolniłem ze szkoły. Nauczycielka również uważa to za słuszne. To... bardzo szczególna sytuacja.

– Tak, i uważam, że dobrze zrobiłeś – przyznałam, lecz nie byłam o tym całkowicie przekonana. Ten jego zewnętrzny rozpad, widoczne zaniedbanie. Dzieci go wykańczały, lecz nie pozwalały mu dać za wygraną. Musiał dla nich gotować i prać, musiał sprawdzać im szkolne zadania, sprzątać kuchnię. Teraz i to zniknęło, przestał podtrzymywać nawet pozory normalności i połowicznie funkcjonującej struktury. Nic nie jadł, nie kąpał się, nie sypiał.

– Wiesz co – powiedziałam spontanicznie. – Powinieneś stąd wyjść.

Niedobrze, jeśli będziesz się tylko kręcił po domu. Chodź, pojedziemy dokądś, choćby nad morze, pójdziemy na spacer. Mam cały dzień wolny.

Spojrzał na mnie sceptycznie.

– A jeśli właśnie teraz zadzwoni policja? Jeśli pojawi się coś nowego?

– Mają numer twojej komórki. I mojej także. W każdej chwili mogą cię złapać. A ty zwariujesz, jeśli bez przerwy będziesz tu siedział i gapił się na telefon!

– Nie mamy samochodu – przypomniał.

Machnęłam kluczykami.

– Mamy. Samochód Garretta. Przyjechał do mnie w odwiedzinach.

– Garrett? – Ken nagle się ożywił. – Ale policja chyba nie sądzi, że on...

– Już się do nich zgłosił. Sam tam pojechał, chce to wyjaśnić. Wraca prosto z Francji, gdzie był na urlopie, ma na to dowody. Ken, on na sto procent nie ma nic wspólnego ze zniknięciem Alexii.

Ken znów zamknął się w sobie.

– Okay.

– Jedziesz?

– Tak. – Otworzył drzwi. Przez krótką chwilę miałam na końcu języka sugestię, że może nie zaszkodziłoby, gdyby przedtem wziął prysznic albo włożył świeże ubranie, doszłam jednak do wniosku, że to zupełnie bez znaczenia. Jeśli wyślę go teraz na górę, jeszcze gotów się rozmyślić.

– Świetnie – odparłam. – A zatem chodźmy.

Wyjechaliśmy ze Swansea w kierunku zachodnim. Pomyślałam o pięknej plaży, w Langland albo Caswell Bay. W zwyczajne środowe przedpołudnie niewiele się tam dzieje. Fale, mewy i zapach morza będziemy mieć tylko dla siebie. W końcu jednak uznałam, że to kiepski pomysł. Ken siedział obok mnie pogrążony w apatii, zatopiony w myślach. Może powinnam była położyć go do łóżka, zamiast namawiać na spacer.

Kiedy sądziłam już, że w ogóle się nie poruszy, nagle się wyprostował i wyjrzał przez okno.

– Masz coś przeciwko temu, byśmy skręcili w stronę M4? Chciałbym ci coś pokazać.

– Oczywiście, że nie. Dokąd chcesz jechać?

– Do Cardigan.

Cardigan. Owładnęło mną raptowne i nieomal bolesne wspomnienie wspólnej wycieczki z Matthew. Była taka urocza. I zdawała się tak bardzo odległa w czasie, choć nie minęły jeszcze nawet trzy tygodnie.

– Do Cardigan? To spory kawał drogi!

– Nieważne. Jeśli masz czas?

– Jasne, że mam.

Nie było to jednak takie proste. Samochód nie należał do mnie, Garrett nie pożyczył mi go na dłuższą wyprawę. Pewnie uporał się już z policją i prawdopodobnie przyjedzie do Kena. A tam zostanie zamknięte drzwi.

Po chwili przegnałam jednak ogarniające mnie skrupuły. Garrett wcale nie musiał do mnie przyjeżdżać. Złość, którą pewnie teraz czuje, powstrzyma go przed ponownymi odwiedzinami.

Podróż do Cardigan zajęła nam ponad dwie godziny. Miasteczko wyglądało dziś zupełnie inaczej niż tamtego słonecznego dnia, kiedy razem z Matthew włączyliśmy się jego ulicami, aż w końcu wstąpiliśmy do kawiarenki, by się napić mrożonej herbaty. Dziś wszystko tonęło w szarości. Dzień był nieomal jesienny, wiatr się wzmagił, nisko zwieszone szare chmury pędziły po niebie. Pomyślałam o Matthew odwiedzającym teraz miejsce, w którym jego żona umarła w męczarniach. Zastanawiałam się, czy nie powinnam była nalegać, by mu towarzyszyć. Tutaj, w Cardigan, u boku Kena, czułam się zupełnie nie na swoim miejscu. Wzięłam się jednak w garść. Ken naprawdę był w kiepskim stanie, on także był ważny. To mąż mojej najlepszej przyjaciółki. Miałam obowiązek się o niego zatroszczyć.

Przemierzyliśmy miasto i wąską, krętą szosą zjechaliśmy w dolinę.

Przepływająca przez Cardigan rzeka łączyła się tu z szeroką zatoką morską wrzynającą się daleko w głąb lądu. Ken był podekscytowany. W niczym nie przypominał już skamieniałego w rozpaczy mężczyzny, jakiego przez cały czas miałam obok siebie.

– Zwolnij – poprosił. – Tutaj. Musisz teraz skrócić w lewo.

Zjechałam na nieutwardzoną polną drogę. Prowadziła prosto ku morzu. Na jej krańcu dostrzegłam wydłużoną szopę, a raczej swego rodzaju halę magazynową zbudowaną z litego drewna. Obok stał niewielki dom.

– Stocznia? – zapytałam.

– Zatrzymaj – polecił Ken.

Ledwie zahamowałam, wysiadł i odetchnął tak głęboko, jakby wszystko, co miał przed oczami, chciał do siebie przyciągnąć.

– Stocznia – przytaknął. – Moja stocznia.

Ja także wysiadłam.

– Ach tak. – Zrozumiałam. – To tutaj!

– Zgadza się. Tutaj mieszkałem. Tutaj pracowałem.

Znałam tę scenerię z opisów w ówczesnych listach Alexii. Wielka szopa, w której budowano żagłówki. Obok niewielki dom z niskimi pokojami, staromodną kuchnią, łazienką, w której obracając się, można sobie było nabić sińca, tak była ciasna. Widok na zatokę, w której mężczyźni wypróbowywali łódki. Ścieżka prowadząca do Cardigan, do sklepu wielobranżowego, w którym Alexia zazwyczaj robiła zakupy. Całe cztery lata. Cztery lata, w ciągu których jej listy, z początku brzmiące tak entuzjastycznie, z czasem tchnęły coraz większym smutkiem. Pamiętałam, jak zachwycała się krajobrazem, jak rankiem wychodziła ćwiczyć w zatoce jogging, prosto z łóżka i ramion swego silnego, przystojnego, fascynującego budowniczego łodzi. W którymś jednak momencie zawładnęła nią samotność. Nie ruszała już nad ranem uprawiać jogging, lecz zostawała w łóżku i naciągała na głowę kołdrę. Znienawidziła podawanie mężczyznom kawy. Znienawidziła gapienie się na morze i czekanie, aż Ken wróci do domu. Nie mogła już znieść zapachu drewna i kleju ani plam farby na jego koszuli. Kiedy ślęczał

nad planami konstrukcyjnymi, zdesperowana wybuchła wściekłością. Zatykała uszy, słysząc wrzask mew.

Znałam całą tę historię, która przywiodła Reece'ów do Swansea, a Alexię na stanowisko naczelnej „Healthcare”. Jednakże dopiero w tym momencie pojęłam kryjącą się za tym tragedię: kiedy stałam tu, zanurzona w szarości dnia, przed martwą stoczną i wzburzonym morzem, gdy spjrzałam w oczy Kena i dostrzegłam czający się w nich ból. Zrozumiałam, że Alexia pod żadnym pozorem nie wytrzymałaby tutaj piątego roku, zarazem jednak pojęłam, iż Kenowi pękło serce, gdy uległ jej naciskom i opuścił jedyne miejsce w świecie, w którym chciał żyć. Porzucił pracę, do której był stworzony.

Zeszliśmy ku szopie. Ken szarpnął drzwi, lecz były solidnie zamknięte. Spróbował zerknąć do środka przez jedno z okien, nic jednak nie było widać przez zmatowiałe szyby.

– Co się stało z twoim przyjacielem? – zapytałam troskliwie. – Miałeś przecież przyjaciela, z którym tutaj pracowałeś i który przejął wszystko po twoim odejściu... Nie prowadzi już stoczni?

– Splajtowali – wyjaśnił Ken – przed jakimś rokiem, dwoma. Nie mam pojęcia, czy sprzedał ten teren, czy nadal jest jego właścicielem. O ile wiem, mieszka teraz w Londynie i pracuje jako inżynier w firmie budującej statki.

– A właściwie dlaczego ty się tym nie zająłeś? W Swansea na pewno znalazłbyś odpowiednią posesję.

Potrząsnął głową.

– To nie było to, czego chciałem. Poza tym doszło jeszcze dwoje dzieci... i jakoś trzeba było zorganizować nasz dzień powszedni. Alexia była przez cały czas zajęta, więc musiałem ją wyręczyć. Nawet nie miałem okazji przemyśleć własnych planów i możliwości.

Powoli kroczyliśmy w stronę morza. Ken schylił się, podniósł płaski kamień i rzucił nim w spienione wiatrem fale, które chlupały u naszych stóp o fragment pokrytej mułem skały.

– Miałaś w życiu jakieś marzenia? – zapytał Ken. – To znaczy, marzenia, które koniecznie chciałaś urzeczywistnić, gdyż sądziłaś, że

tylko wtedy poczujesz się szczęśliwa?

Wiedziałam, że miał na myśli swoje marzenia o budowaniu statków. Moje zaś były zupełnie inne, o wiele bardziej chwiejne i mniej ambitne.

– Pragnęłam tak wielu rzeczy – odparłam. – Chciałam zostać sławną aktorką. Znaną piosenkarką. Chciałam przemierzać świat. W końcu, jak sądzę, chciałam po prostu uciec od matki. Od jej wiecznie złego humoru, ciasnoty naszego życia, całego tego kołtuństwa. Być może dlatego niczego właściwie nie osiągnęłam. – Zatopiona w myślach spoglądałam na drugi brzeg, na wąski pas piasku, za którym wznosiło się porośnięte trawą wzgórze. – To znaczy, może nie potrafiłam snuć żadnych *prawdziwych* marzeń czy planów. Gdyż zawsze chodziło jedynie o to, by uciec jak najdalej od matki.

Popatrzył na mnie.

– To smutne.

– Hm, owszem. – Wzruszyłam ramionami. Za żadne skarby nie chciałam popaść w sentymentalny nastrój. – Kiedy żyła jeszcze moja babka, czasem rozmawiałam z nią o moich planach. Chciała, bym ukończyła porządną szkołę, podjęła studia, stanęła na własnych nogach. W ostatnim czasie często o niej rozmyślałam. To dlatego postanowiłam zapisać się na uniwersytet. To by się jej spodobało. A ona zazwyczaj miała słuszość.

– Dobry pomysł – przyznał Ken. – Mam na myśli te studia na uniwersytecie.

Umilkliśmy. Ken znów zaczął szukać kamyczków i wrzucać je do wody. Ja powróciłam myślami do mojej babki. Jak ważna była dla mnie i jak wiele jej zawdzięczałam. To dzięki niej z okresu dzieciństwa miałam nie tylko ponure wspomnienia.

Byłby to właściwy moment, żeby po tych wszystkich strasznych zdarzeniach ostatnich tygodni oderwać się przynajmniej na pół godziny. Stać tu nad wodą razem z Kenem, dać chwilę wytchnienia znużonej duszy. Pomyśleć o babci, o niczym więcej. Lecz z jakiegoś powodu mi się to nie udawało. Napęłniał mnie potężniejący niepokój. Coś tu się nie zgadzało, lecz nie wiedziałam co. Od chwili, gdy wspomniałam moją

babkę, usiłowałam uchwycić kołatającą się w mojej głowie myśl, była ona jednak tak niewyraźna, że nie potrafiłam jej sprecyzować. Coś tu zupełnie nie pasowało. Zastanawiałam się, co mogła mieć z tym wspólnego moja babka, spoczywająca od siedemnastu lat w grobie. Ze zniknięciem Alexii, z tym, że stałam tu razem z Kenem przed opuszczoną stoczną.

– Powinniśmy już wracać – powiedział Ken. – Domyślam się, że Garrett będzie potrzebował samochodu.

Garrett pewnie już kipiał złością. To mnie akurat w ogóle nie obchodziło. Wciąż się zastanawiałam, co...

– Babka! – powiedziałam.

Ken spojrzał na mnie zaskoczony.

– Co?

Nie znałam rodziny Kena, dlatego nie od razu zwróciłam na to uwagę. Teraz jednak ożyło wspomnienie. Kwietniowy dzień. Redakcja. Wczesny ranek. Podenerwowana, spięta Alexia opowiada mi, że odeszła ich opiekunka do dzieci. Alexia była z tego powodu bardzo nieszczęśliwa. *Nawet nie mamy żadnej babci, którą można by od czasu do czasu prosić o pomoc.*

Wiedziałam, że matka Alexii od dawna nie żyła. Jednakże jej słowa zabrzmiały tak, jakby nie żyła już także matka Kena.

Nawet nie mamy żadnej babci...

Przełknęłam ślinę.

Ken wysłał czwórkę dzieci do swojej matki.

To się zaraz wyjaśni. Jakieś idiotyczne nieporozumienie. Dlaczego wszystkie moje zmysły wietrzyły niebezpieczeństwo? Skąd w moim gardle owa gruda, potężniejąca z każdą chwilą?

– Ken, gdzie są dzieci? – zapytałam. Staralam się, by to zabrzmiało neutralnie. – Twoja matka przecież nie żyje. Gdzie są dzieci?

Nadal na mnie patrzył. Teraz jednak jego twarz zasnuwał cień, kładł się na jego rysach, zaciemniał je. Nie odezwał się słowem, wiedziałam, że nie udzieli mi żadnej odpowiedzi.

Zdjęta nagłym przerażeniem zadałam następne wymuszone

pytanie.

– Ken, gdzie jest Alexia?

Ryan miał jedynie mgliste pojęcie o tym, gdzie się znajdują, wiedział jednak dobrze, że przez ten czas nie oddalili się zanadto od Swansea, a przynajmniej nie tak bardzo, jak to sobie wyobrażał. Kierował Vivian bez żadnego konkretnego planu, zależało mu jedynie na unikaniu głównych dróg, za żadne skarby nie chciał wpaść w ręce zaalarmowanej już policji. Najwyraźniej kręcili się w kółko. Poza tym całymi godzinami ukrywali się w zagajniku, gdyż Ryanowi wydawało się, że słyszy policyjną syrenę, i z tego powodu niemal puściły mu nerwy. Vivian przez telefon podała funkcjonariuszowi swoje nazwisko, na pewno podjęto już pościg. Policjanci wtargną do domu Harry'ego, znajdą go tam, Harry powie im, że Ryan umknął z Vivian jako zakładniczką. Dość szybko się okaże, że uciekają samochodem Vivian, w mig ustalą jego markę i numery rejestracyjne. Ryan liczył się z blokadami dróg i kontrolami pojazdów. Ścigali go z powodu Vanessy Willard, sądzili też, że od złapania go zależy również życie matki czwórki dzieci. Nie trzeba było wielkiej wyobraźni, by sobie uzmysłwić, że jego śladem podąża cały zastęp policjantów.

Udało im się niezauważenie opuścić Morriston, nikt za nimi nie jechał. Ryan uznał, że mają nieznaczną przewagę, gdyż funkcjonariuszom nie tak łatwo będzie wtargnąć do domu Harry'ego. Musieli się liczyć z tym, że zabarykadował się w środku z dwójką zakładników, których życia nie wolno im narażać. Upłynie nieco czasu, zanim ustalą, że ptaszek wyfrunął, do tego momentu Ryan przejedzie razem z Vivian spory kawałek drogi.

Problem w tym, że nie miał żadnego pomysłu, dokąd miałby się udać, nie orientował się też w okolicy. Nie należało się spodziewać współpracy ze strony Vivian. Przez cały czas płakała, natychmiast

wykonywała wszelkie jego polecenia, zastraszona przytkniętym do jej żeber nożem. Choć sprawiała wrażenie potulnej, z pewnością wykorzysta pierwszą nadarzącą się okazję do ucieczki, o tym Ryan był przekonany. A kiedyś będzie musiał się zdrzemnąć. Trzeba też będzie zatankować. Nie mówiąc już o zdobyciu wody i jedzenia.

Z nastaniem świtu oboje byli u kresu sił, Ryan zmuszał jednak Vivian do dalszej jazdy. Jęczała z pragnienia i zmęczenia, lecz on ją wtedy beształ:

– Przestań biadolić! Sama doprowadziłaś do tej sytuacji tym swoim idiotycznym telefonem na policję. Już miałem stąd zniknąć. Za granicę. Zostawiłbym was, a potem powiadomił policję, gdzie się znajdujecie. Nic by się wam nie stało!

Znowu zalała się łzami.

– Zamordowałaś kobietę! Skąd mogłam wiedzieć, że nie wyrządzisz nam krzywdy?

– Ta sprawa z kobietą to był wypadek. Straszne nieszczęście. Nie jestem pozbawionym sumienia zabójcą! – Czuł jednak, że te słowa jej nie przekonują. W jej oczach był wcieleniem zła. I pewnie przez cały czas zastanawiała się z przerażeniem, dlaczego, na litość boską, spotkał ją taki koszmar.

Im bliżej było południa, tym bardziej wskaźnik poziomu paliwa zbliżał się do zera. Poza tym Vivian od ponad godziny lamentowała, że koniecznie musi skorzystać z toalety. Z początku to ignorował – jeśli ktoś, tak jak ona, bez skrępowań oszukuje, nie powinien się dziwić, że nikt w jego sytuacji nie będzie ponownie ryzykował. Potem okazało się jednak, że dalsza jazda bez celu niewiele daje. Niedługo silnik samochodu zgaśnie z powodu braku benzyny.

Jechali szosą przez odludną okolicę. Ryan przypuszczał, że okrążają właśnie Brecon-Beacon National Park, najmłodszy spośród trzech dużych walijskich parków narodowych. To dobrze, oferował on bowiem sporo kryjówek. Źle zaś, gdyż ukrycie się nic im nie dawało, ich sytuacja się nie poprawiała, koniecznie potrzebowali pożywienia. Poza tym park ten był wykorzystywany do ćwiczeń przez SAS, Special Air

Service. Elitarna jednostka armii, powołana do wykonywania rekonesansów, lecz wykorzystywana również do zwalczania terroryzmu na terenie Wielkiej Brytanii. Zasłynęła nadto kilkoma spektakularnymi akcjami uwolnienia zakładników.

Nie byli to, na Boga, ludzie, których Ryan pragnął akurat teraz spotkać na swej drodze.

Jednakże okolica sprawiała wrażenie wyludnionej i spokojnej. Ryan skierował Vivian na wąską ścieżkę, która wkrótce kończyła się przy okalającym łąkę płocie. Oboje wysiedli. Widząc, jak Vivian rozgląda się dokoła, Ryan zrozumiał, że rzeczywiście przez cały czas rozmyśla o ucieczce. Nie mógł osłabić swej czujności.

Pozwolił jej przykucnąć i załatwić się przy żywopłocie, na szczęście tym razem nie protestowała, że stoi tuż za nią.

– Strasznie chce mi się pić – powiedziała, gdy skończyła.

– Jeśli nie wozisz w samochodzie zapasu butelek z wodą, nie mamy nic do picia – odparł Ryan zdenerwowany. – Więc przestań biadolić. Siadaj z powrotem za kierownicą.

Ponownie kazał jej wśliznąć się na fotel kierowcy przez siedzenie pasażera, wsiadł tuż za nią, by nagle po prostu bez niego nie odjechała. Chciała uruchomić silnik, on jednak dał jej do zrozumienia, by tego poniechała.

– Muszę najpierw pomyśleć – oznajmił.

Rozparła się w fotelu, zamknęła na chwilę oczy.

– Rynie, z nimi nie wygrasz – powiedziała. – Szukają nas. Znają nasz samochód. Nie ma miejsca, w którym by nas nie znaleźli. Potrzebujemy benzyny. Potrzebujemy jedzenia i picia. Nawet nie mamy pieniędzy, nie mówiąc już o tym, byśmy mogli zaryzykować i podjechać na stację benzynową albo wstąpić do supermarketu. Dopadną nas. Prędzej czy później nas dopadną. Może dojść do wypadku. Rynie, ja nikomu nie zrobiłam krzywdy. Nie chcę jeszcze umierać!

Znów się rozplakała. Oczy miała nabrzmiałe od łez, a jej skórę pokrywały czerwone plamy. Nie wyglądała tak ładnie jak zazwyczaj.

– A ja – odparł Ryan – nigdy więcej nie pójde do więzienia.

Pociągnęła nosem, nadgarstkiem otarła z twarzy łzy.

– Może dostaniesz niski wyrok. To znaczy, powiesz, że to zdarzenie z kobietą to był nieszczęśliwy wypadek, którego wcale nie chciałeś, i w końcu...

– Wierzysz mi? – zapytał Ryan. – Że to był nieszczęśliwy wypadek, a ja nie jestem bezdusznym mordercą?

– Tak – odparła, lecz jej oczy tak wyraźnie zdradzały kłamstwo kryjące się w jej słowach, iż Ryan niemal się roześmiał.

– Nie wierzysz w ani jedno moje słowo – stwierdził. – Dlaczego miałby mi uwierzyć sędzia?

Starła się tchnąć w swoje spojrzenie jak najwięcej szczerości.

– Będę dla ciebie zeznawać. Serio. Że traktowałeś mnie przyzwoicie, że nie zrobiłeś mi krzywdy. To przecież prawda. Nie jesteś złym facetem, Ryanie. W przeciwnym razie Nora nigdy by się tobą nie zainteresowała. Z pewnością Nora także zezna, że...

– Bądźże już cicho – rozkazał. – Naprawdę muszę pomyśleć.

Rzecz najważniejsza: postarać się o nowy samochód. I pieniądze. A potem jak najdalej na północ. Może aż do Szkocji. Po drodze jeszcze raz czy dwa trzeba będzie zmienić samochód. Co oczywiście tylko wydawało się proste. Ryan wprowadził kradł już wcześniej samochody, lecz wygląda to zupełnie inaczej, jeśli się to robi samemu i nie działa pod presją, zawsze można wtedy zrezygnować z ryzykownej akcji. Co innego, gdy jest się poszukiwanym przez policję całego kraju i ma się jeszcze przy sobie zakładnika, którego trzeba stale pilnować. Prawdopodobnie musiałyby w którymś momencie pozbyć się po drodze Vivian. Póki przebywał w Walii, była mu przydatna, może nawet aż do Midlands. Potem jednak będzie ją musiał gdzieś wysadzić, w miejscu, w którym nie zdoła od razu wezwać pomocy, lecz z całą pewnością zostanie odnaleziona. Nie chciał jej wyrządzać krzywdy. Nie znosił jej, lecz mówił prawdę: nie był mordercą.

Aczkolwiek krewni Vanessy Willard pewnie uważali inaczej.

– Okay – odezwał się. – Ruszamy dalej.

Vivian uruchomiła silnik i spojrzała na wskaźnik poziomu paliwa.

– Przejedziemy jeszcze najwyżej czterdzieści mil. Włączając w to rezerwę.

– Wiem. Dlatego zdobędziemy nowy samochód. Zrobię to sam.

Nie czuł się nawet w połowie tak pewny siebie, jak na to wyglądał. Wyobrażał sobie jakiś większy parking, może obok dworca, na którym dojeżdżający do pracy zostawiali swoje samochody. Można było mieć pewność, że o tej porze dnia nie zostanie się zaskoczonym przez powracającego niespodziewanie właściciela. Liczne pojazdy dawały nadto pewną ochronę, nie było się na widoku. Mimo to nie miał złudzeń: to mogło się nie udać, a wtedy wszystko skończone.

Ponownie wjechali na szosę. Ryan zerkał z ukosa na Vivian. Jej zapłakana twarz wydała mu się odrobinę rozluźniona, już nie tak bardzo zdjeta rozpacą i strachem jak przedtem. To był zły znak. Oznaczał bowiem, że Vivian ostatecznie zrozumiała, w jak krytycznym położeniu znalazł się jej porywacz, a w tych okolicznościach pojawiała się dla niej szansa. Wykorzysta jego próbę kradzieży samochodu, to oczywiste.

Ryan najchętniej zrobiłby to, co od kilku już godzin robiła jego towarzyszką: zwyczajnie by się rozplakał. Nie wchodziło to naturalnie w rachubę, gdyż wówczas w jej oczach stałby się jeszcze słabszy, choć może ukołoby nieco jego nerwy. Musiał pozostać silny – i takim pozostanie.

Nigdy więcej nie trafić za kratki. Jedynie to się teraz liczyło.

Jakiś głos w mojej głowie szeptał mi przez cały czas, że błędem było wsiąść ponownie do samochodu razem z Kenem, a do tego pozwolić mu prowadzić. Ów głos nakazywał mi rzucić się do ucieczki, po prostu uciekać. A jednak wytrwałam: chciałam wiedzieć, co się stało z Alexią.

Ken nie odpowiedział na moje pytanie, zamiast tego rzekł tylko:

– Chodź ze mną.

Po brzmieniu jego głosu, po wyrazie jego twarzy poznałam, że nie była to prośba, którą mogłam spełnić lub nie. Ken wydał rozkaz. Nie wiedziałam, co się stanie, jeśli powiem *nie*, miałam jednak nieodparte wrażenie, że nie pozostawił mi żadnego wyboru.

Coraz bardziej zagłębialiśmy się w odludną okolicę. Grozi mi niebezpieczeństwo, świadomość tego z każdą upływającą minutą stawała się dla mnie coraz bardziej namacalna. Cóż jednak mogłam zrobić? Wyskoczyć z pędzącego samochodu i rzucić się do ucieczki? Zraniłabym się, a Ken natychmiast by mnie dopadł. Również przy stoczni nie miałam żadnych szans. Staliśmy całkiem sami nad brzegiem zatoki, obok opuszczonego magazynu. Gdybym się wzbraniała wsiąść do samochodu Garretta, gdybym zaczęła wzywać pomocy: któż by mnie usłyszał?

Zatrzymał pojazd, gdy polna droga, którą podążaliśmy, stawała się coraz bardziej wyboista, aż w końcu z trudem można ją było dostrzec. Rozejrzałam się wokół. Nic, tylko łąki, murki, płoty okalające pastwiska. Dostrzegłam pojedyncze pasące się owce. Nieco dalej przed nami łąka zdawała się przechodzić w płaskie skalne płyty. „Wybrzeże klifowe” – pomyślałam. Znajdowaliśmy się wysoko ponad poziomem morza. Z dala od jakiegokolwiek ludzkiej sadyby.

Ken odwrócił się do mnie.

– Nie powinnaś była dziś przychodzić – oznajmił. – Wszystko zepsułaś. Jasna cholera!

Obleciał mnie strach, lecz starałam się nie dać tego po sobie poznać.

– Chciałam ci pomóc. Chciałam być przy tobie. Chciałam...

– Dlaczego nie mogłaś mnie po prostu zostawić w spokoju?

– Bo... – Zabrzmiało to dziwnie, niestosownie, a jednak to powiedziałam: – Bo jesteś bliskim przyjacielem. I myślałam, że jest ci źle.

– Jest mi źle. Cholernie źle, ściśle mówiąc. – Bębnił palcami po kierownicy, nerwowo i gniewnie. – Ale nie poczułem się tak dopiero teraz. Czuję się tak już od lat. I nikt z was tego nie zauważył!

Wiedziałam, co miał na myśli. Alexia i jej plany zawodowe. Jej pragnienie zrobienia kariery. Ken musiał przez to porzucić swoją stocznię. Przeniósł się do Swansea i od tej pory zajmował dziećmi, których liczba się powiększała.

Uważałam, że to wspaniałe. Każdy, z kim na ten temat rozmawiałam, miał podobne zdanie. To takie nowoczesne. Wreszcie mężczyzna, który o równouprawnieniu nie tylko mówił, lecz również je urzeczywistniał. Któremu korona z głowy nie spadła przy zmianie pieluch, gotowaniu kaszki, podgrzewaniu butelek, sprzątaniu zabawek, szykowaniu kanapek do szkoły i rozsądzaniu sporów. Podczas gdy jego żona pięła się na szczyt i przynosiła do domu pieniądze.

Nadto wydawało się, że to wielka historia miłosna: on to wszystko robił *dla niej*. Dla Alexii, miłości jego życia.

– Rzeczywiście nie zauważyliśmy, że kiepsko z tobą – przyznałam – ale podziwialiśmy cię. Nikt spośród tych, którzy was znają, nie uznał tego, co robisz, za oczywiste. Byłeś mężczyzną, o którym marzy każda kobieta.

Po jego twarzy przemknął cyniczny uśmiech.

– Czyżby? Ach, marz sobie dalej, Jenno! Jestem mężczyzną, o którym kobiety twierdzą, że marzą. W rzeczywistości uważacie facetów takich jak ja za zupełnie nieatrakcyjnych. Uważacie, że w ogóle żadni z nas mężczyźni. Potrzebujecie kogoś, kto będzie was wspierał,

byście mogli się realizować, ale do łóżka wolicie pójść z jakimś macho, który wam pokaże, jak to się robi. Oto jak w rzeczywistości toczy się ta gra!

Ileż goryczy kryło się w jego słowach! Nigdy przedtem go takim nie widziałam. Zawsze był miłym, wyrozumiałym, sympatycznym, nieskomplikowanym Kenem. Gorzkich, jadowitych myśli nigdy bym się po nim nie spodziewała.

Stał się kimś obcym. Kimś, kogo zupełnie nie znałam.

– Czy Alexia kiedykolwiek... z jakimś innym mężczyzną...? – zapytałam ostrożnie.

Wydawało mi się to nieprawdopodobne, by Alexia zostawiła dzieci z Kenem, porzuciła pracę i zadawała się z innymi mężczyznami. I nie opowiedziałaby mi o tym?

Potrząsnął głową.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Nie, Alexia urodziła czwórkę dzieci, bo tak sobie kiedyś ubzduriała, zmusiła mnie do tego, po czym wybrała zapierającą dech w piersiach, niesamowitą karierę. Zakończoną w fotelu naczelnej zupełnie nieznanej medycznej gazетки. Praca ta kosztowała ją mnóstwo wysiłku, a przynosiła kiepskie zarobki i ustawiczną perspektywę zwolnienia. Wspaniale! Muszę przyznać, że warto było dla niej wszystko poświęcić.

– Rozumiem... – zaczęłam, lecz przerwał mi szorstko:

– Nie. Nic nie rozumiesz. Ty także, jak wszyscy pozostali, dawałaś się przez te wszystkie lata nabierać na cały ten cholerny show!

Jego słowa o Alexii i jej karierze nie do końca pokrywały się z prawdą. Co najmniej od momentu, gdy sama zaczęłam pracować w „Healthcare”, miałam wgląd w całą tę problematykę. Kariera zawodowa Alexii nie doprowadziła jej do miejsca, do którego dążyła. Kiepskiej sytuacji finansowej rodziny także nie można było pominąć milczeniem.

– Dobrze wiedziałam, jak usilnie walczyła Alexia – zapewniłam. – I jak bardzo była sfrustrowana, jak bardzo się bała, o tym też wiedziałam.

– Tak, no cóż – odparł niewyraźnie.

Nigdy dotąd nie widziałam go z tak posępnym wyrazem twarzy. Kryła się w niej zarazem jakaś nieoczekiwana determinacja. Przez głowę przemknęła mi myśl, która nagle napełniła mnie lękiem: oto człowiek, który nie ma nic do stracenia.

Zawsze sądziłam, że Alexia, żyjąca w stresie, poddana presji, może liczyć na wsparcie swego męża. Byłam przekonana, że miłość oraz rodzinna wspólnota, a także troskliwość męża podtrzymują Alexię na duchu. Ken niezachwianie stał po jej stronie, nieważne, co się działo.

Ken, który dla niej gotów był na każde poświęcenie.

Czekałam, przeczuwając, co się wydarzy. Ken uzewnętrznił swoją złość, frustrację, w którą zaczął popadać. Poświęcił marzenie swego życia tylko po to, by się przyglądać, jak jego żona bezskutecznie się stara stworzyć coś, co zapewniłoby przyszłość całej rodzinie. Alexia stale świeciła nieobecnością, jej mężowi i dzieciom nie wynagrodziły tego jednak choćby korzyści finansowe. Prócz wszelkich innych obciążeń Ken musiał się jeszcze desperacko starać zaspokoić potrzeby dzieci oraz spłacać długi rodziny. Tymczasem tutaj, w Cardigan, żyłby stosunkowo beztrosko, mogąc zadbać o swoją rodzinę.

Myśli te opadały niczym łuski z mych oczu, zastanawiałam się, jak mogłam być przez cały czas tak ślepa. Jak ślepi mogliśmy być my wszyscy, znający rodzinę Reece'ów? Nawet Matthew, przyjaciel Kena, niczego nie zauważył. Powinno to być dla nas oczywiste. Ken byłby nadczłowiekiem, gdyby znosił całą tę sytuację z łatwością i w dobrym nastroju. Ukrył się pod maską spokoju i opanowanej uprzejmości, grał rolę troskliwego ojca i wiernego męża. Za tą fasadą popadł w głęboką depresję. Niezauważenie, tak przekonujące bowiem było jego aktorstwo.

– Ken – odezwałam się. Wyciągnęłam rękę, przez chwilę dotykałam jego ramienia. – Ken, zaczynam pojmować, ale...

Popatrzył na mnie. Przeraziłam się, tak zimne było jego spojrzenie.

– Idę o zakład – odparł – że w ogóle nic nie pojmujesz.

– W takim razie wyjaśnij mi.

Zamiast odpowiedzieć, chwycił mnie mocno za ramię, otworzył drzwi i wysiadł z samochodu, ciągnąc mnie za sobą. Nie przejął się tym, że zawadziłam o dźwignię ręcznego hamulca, a o jeden z pedałów starłam skórę na kostce do krwi.

– Ken – sapnęłam, lecz nie zareagował.

Zaczął pokonywać ostatni stromy odcinek drogi, szarpiąc mnie z siłą i determinacją, o jaką bym go nie podejrzewała. W głębi ducha powtarzałam jedną modlitwę za drugą: czy nie będzie tędy przechodził jakiś wędrowiec? Albo lepiej: cała grupa wędrowców? Ludzi, których zdziwi widok mężczyzny wlokącego nad skraj klifu kobietę, i to najwyraźniej wbrew jej woli? Czy *ktokolwiek*, do diabła, nie może mi pomóc? A jednak wokoło, jak okiem sięgnąć, nie było żywego ducha. Z zainteresowaniem przyglądało się nam tylko kilka owiec. Wokół nic, tylko płaskowyż, skały, niebo i morze.

I wiatr, który chciał nas przewrócić.

Coś jeszcze mnie dręczyło: myśl o Alexii. Co się z nią stało? Czy jeszcze żyje? I gdzie są dzieci?

Ken przystanął, ciężko dysząc, na samej krawędzi płaskowyżu. Tuż przed nim teren stromo opadał w dół. U stóp klifu mogłam dostrzec miniaturowy półkolisty fragment plaży. W kilku miejscach wybrzeża istniały niewielkie zatoczki, które w trakcie przyływu zupełnie zniknęły pod wodą, natomiast podczas odpływu wyglądały kusząco i idyllicznie. Słyszałam, że wcale nie były bezpieczne, gdyż szybko zalewała je woda, po skale zaś trudno się było wspiąć na górę. Nie można było stracić poczucia czasu i zwyczajnie zasnąć w złocistym piasku. Zdarzało się, że ludzie tutaj tonęli, gdyż nie doceniali podstępów wybrzeża i morza.

– Schodzimy na dół – rozkazał Ken.

Aż mnie zatkało.

– To niemożliwe. Tędy nie da się zejść.

Obrzucił mnie pogardliwym spojrzeniem.

– Znam te strony. Widzisz? Mamy tu stopnie. Schody. Zejdziemy po nich na dół.

Podążyłam wzrokiem za jego wskazującym palcem. Określenie tego,

co zobaczyłam, mianem *stopni* czy nawet *schodów* wydało mi się wielką śmiałością. Istotnie jednak, skała w tym miejscu nie opadała w dół aż tak stromo, lecz raczej pochyło, było tam również sporo naturalnych karbów i występów, które można było wykorzystać, schodząc w dół i wdrapując się z powrotem na górę. Ken, który mieszkał tu jako chłopiec i pewnie razem z przyjaciółmi co dzień wspinał się po skałach, podchodził do tego niefrasobliwie, mnie natomiast perspektywa zejścia w dół poprzez opuszczanie się milimetr po milimetrze, zwisanie na rękach i przywieranie do kamieni jak jakiś owad napełniała nieopisanym lękiem. Chwila nieuwagi musiała się skończyć upadkiem albo na piasek na wąskiej plaży i połamaniem wszystkich kości, albo do wody i roztrzaskaniem się o jedną z licznych skał, po części wystających z morskich fal, po części zaś ukrytych pod ich powierzchnią. Patrząc z przerażeniem na tę scenerię, dostrzegłam coś jeszcze: nadchodził przyływ. Bez wątplenia. Pas piaszczystej plaży wyraźnie się zmniejszał. Płaskie fale zalewały już całą zatokę. Niedługo całkowicie ją pochłoną.

– Ken, przyływ! Nie możemy tam zejść!

– Chodź za mną – odparł.

Nie ruszyłam się z miejsca.

– Ale dlaczego? – zapytałam. – Ken, dlaczego?

– Nie powinnaś była dziś przychodzić – powtórzył. – Czemu musisz wtykać nos w nie swoje sprawy, Jenno?

– Ja tam nie zejdem – oznajmiłam.

Podszedł do mnie. Nigdy, przenigdy nie sądziłam, że akurat Ken okaże się dla mnie zagrożeniem.

– Zejdiesz teraz ze mną na dół – nakazał – albo wysłę cię w otchłań z brzegu klifu. Wybieraj.

– Dlaczego?

– Schodź na dół.

Byłam pewna, że nie żartuje. Zaciśnęłam zęby. Zaczęłam schodzić.

Na szczęście moje adidasy miały grubą podeszwę, dzięki czemu zyskałam pewne oparcie dla stóp. Usiłowałam przywierać całym ciałem

do skały, a przy tym w żadnym wypadku nie patrzeć w dół ani w górę ku niebu. Dostaję zawrotów głowy, na najwyższych piętrach wieżowców nie potrafię nawet wyjść na balkon. Wpatrywałam się zawzięcie w niewielki fragment skały, który znajdował się tuż przed moimi oczami. Schodzący za mną Ken był czasem tak blisko mnie, że widziałam jego buty. Białe pepegi z niebieskim brzegiem i niebieskimi sznurowadłami. Ken był zniecierpliwiony tym, że schodzimy zbyt powoli. Widocznie dobrze znał to zejście, poruszał się bez najmniejszych problemów, nie dotykał z wahaniem ani nie sprawdzał ostrożnie wytrzymałości każdego kamienia. Nie mógł mnie jednak wyminąć, ja zaś nie miałam powodu, by mu to ułatwić. Niestety, ja także nie mogłam przejść *obok niego*. Mogłam jedynie podążać w dół. I choć wiedziałam, że zbliża się przyływ, a poczucie bezpieczeństwa w tej zatoce jest złudne i ograniczone tylko do krótkiego czasu, pragnęłam, by dłużące się w nieskończoność minuty zejścia wreszcie dobiegły końca. Wszystko wydawało się lepsze od tej skalnej ściany.

W końcu poczułam piasek pod stopami. Co prawda mokry, ilasty, w żadnym razie nie był to twardy grunt, lecz rzeczywiście udało mi się zejść bezpiecznie na dół.

Ken zeskoczył i stanął obok mnie. Miał zaciśnięte wargi, wokół nich powstała cienka, biała otoczka. Nigdy przedtem nie widziałam go w takim stanie napięcia, tak zdenerwowanego i z trudem panującego nad sobą. Mimo krytycznej sytuacji, w jakiej się znalazłam, pomyślałam, że przez te wszystkie lata byłam nie tylko ślepa, lecz również głucha i kompletnie głupia. Powinnam była sobie uświadomić, że coś się dzieje z człowiekiem, który był zawsze zrównoważony, zawsze spokojny, zawsze opanowany, zawsze ostrożnie rozważny, zawsze przyjazny i w dobrym humorze. Powinnam była zauważyć, że Ken właściwie nie okazywał emocji – wyjąwszy może ów jeden jedyne moment, kiedy pocałowaliśmy się w ogrodzie – nosił natomiast maskę tak dobrze skrojoną, że nikomu nie przyszło do głowy, by ją sprawdzić. Żyło się z nią zbyt wygodnie, by poczuć z jej powodu irytację.

– A teraz tędy – nakazał tonem nieznoszącym sprzeciwu. Ruszyłam

w ślad za nim. Woda oblewała nam stopy, a kiedy się cofała, zdawała się zabierać z sobą piasek, jakby chciała nas przewrócić. Słyszałam grzmot fal uderzających o wysunięte w morze skały. Wciąż jeszcze docierały do nas ich pozbawione impetu resztki, lecz nie potrwa to długo.

Zrozumiałam, dokąd zmierza Ken. W skale przed nami znajdowała się jaskinia, niezbyt duża, a już na pewno nie głęboka, było to raczej skalne zagłębienie, jakich tu nie brakowało. Jej dno pokrywał piasek, obmywany już przez wodę, na ścianach układały się warstwami sterczące skalne płyty, tworząc coś w rodzaju naturalnych ławek. Ken ze zwinnością kozicy wskoczył na jedną z nich i wciągnął mnie za sobą. Kamień pod moimi stopami był suchy, jedynie w większych szczelinach i zagłębieniach widniała jeszcze woda z poprzedniego przypiływu. Nie miałam złudzeń: można się było wspiąć aż po samo sklepienie jaskini, lecz i tak w końcu całe jej wnętrze pochłoną fale przypiływu.

Gdy przykucnęłam na skalnej płycie, spostrzegłam, że dygoczę. Co Ken zamierza zrobić? Czy skaże nas oboje na straszliwą śmierć topielców?

Posępnym wzrokiem patrzył przed siebie. Kiedy poprzednio, w dolinie obok opuszczonej stoczni, zapytałam go o los Alexii, nie odpowiedział. Spróbowałam ponownie.

– Ken, gdzie jest Alexia? Co z nią zrobiłeś?

Nie uniósł głowy.

– Nie żyje – odparł.

Domyślałam się tego, lecz przeraziła mnie obojętność, z jaką wypowiedział te słowa. Mimowolnie rozejrzałam się po wnętrzu jaskini, jakbym się spodziewała, że znajdę tu gdzieś jej martwe ciało, choć było to przecież niemożliwe: fale wcześniejszego przypiływu zabrałyby zwłoki i wyrzuciły je na brzeg w zupełnie innym miejscu.

Ken, mimo że pozornie miał wzrok utkwiony w ziemi, zauważył moje spojrzenie.

– Nie, nie ma jej tu – powiedział, po czym nagle się roześmiał, śmiechem odrażającym, chorobliwym, nienaturalnym.

– Jestem takim nieudacznikiem, Jenno – rzekł. – Okropnym nieudacznikiem. Nawet nie masz pojęcia!

Potem znów się zaśmiał. Zrozumiałam, że znalazłam się w tej przeklętej jaskini z człowiekiem zupełnie niezrównoważonym.

A poziom wody wciąż się podnosił.

Nie potrafił przekonująco udawać przed Vivian, że panuje nad sytuacją. Był już tak zdenerwowany, że drgała mu prawa powieka, skóra zaś na nadgarstkach świerbiła. Po krótkim odpoczynku na skraju pastwiska od czterdziestu minut znów byli w drodze, wskaźnik poziomu benzyny informował, że korzystają już z rezerwy, a nadal nie nadarzyła się jakakolwiek okazja do zmiany samochodu. Miał wrażenie, że całą wieczność jadą przez zupełne odludzie. Minęli dwie wioski, w których przy głównej szosie parkowało co prawda kilka pojazdów, kręciło się tam jednak sporo ludzi, stąd nie dało się niepostrzeżenie któregoś z nich ukraść. Ryan zrozumiał, że starając się uniknąć policyjnych kontroli, zapędził się zbyt daleko w słabo zamieszkane okolice. Koniecznie musiał się dostać do jakiegoś większego miasta, nie miał jednak pojęcia, czy droga, którą podążali, doprowadzi ich do tego celu. Zapytał Vivian, czy ma w samochodzie mapę lub atlas samochodowy; zaprzeczyła. Oczywiście nie uwierzył jej, przeszukał wszystkie schowki, kieszenie na drzwiach, zajrzał nawet do tyłu, pod siedzenia. Nic. Naprawdę nie miał możliwości choćby pobieżnego zorientowania się, gdzie się właściwie znajdują.

Vivian przestała płakać, niewzruszenie prowadziła samochód, nie narzekając i nie pertraktując już dłużej kwestii swego uwolnienia. Każda pokonana mila pracowała rzecz jasna na jej korzyść. Wiedziała, że podróż samochodem wkrótce się skończy. Wiedziała, że Ryan zaczyna tracić kontrolę. Może żywiła nadzieję, że da za wygraną, zanim ruszą piechotą w dalszą drogę.

– Okay – odezwał się – przy najbliższej okazji skęcimy na północ. Zapuszczamy się za daleko na zachód, musimy się oddalić od tego idiotycznego parku narodowego.

Jechali wąską szosą prowadzącą przez gęsty las. Z obu stron drogi gałęzie drzew niemal sięgały asfaltu. Co chwila ukazywały się ciemne dróżki wiodące w gęstwinę, były to po części szlaki turystyczne, czasem jednak zwyczajne ścieżki, którymi wędrowały dzikie zwierzęta. W żadnym razie drogi, po których można by się poruszać samochodem i dotrzeć do gęsciej zaludnionych okolic.

Ryan zaczął się pocić. Nieustannie przeczesywał nerwowo dłonią włosy, za każdym razem irytował się, wyczuwając tylko krótko ściętego jeża. Jakby już nie pamiętał, że zgolił sobie głowę w łazience Harry'ego, a przecież od tej chwili nie minęły nawet dwadzieścia cztery godziny. Ułożył sobie wówczas naprawdę dobry plan, który mógłby się powieść.

„A jednak – pomyślał – w przypadku urodzonych nieudaczników chyba nawet obiecujące plany spełzają na niczym”.

Szosa wiodła teraz pod górę. Ryan zastanawiał się, co się znajduje za wierzchołkiem wzniesienia, do którego zaraz dotrą. Może ujrzą jakieś miasto? Mogli się tylko modlić, by tak się istotnie stało. By ta okropna szosa nie wiodła przez las w nieskończoność.

– Myślę, że za jakieś dziesięć minut staniemy – powiedziała Vivian.
– Nawet rezerwa jest już prawie na wyczerpaniu.

– Tylko sobie nie myśl, że cię puszcze wolno – ostrzegł Ryan. – W razie konieczności pójdziemy piechotą, a to będzie dla ciebie cholernie wyczerpujące!

– Prawie nie mogę chodzić. Moja stopa...

– No właśnie – zauważył Ryan. – Dlatego powinnaś mieć nadzieję, że znajdziemy inne rozwiązanie.

Vivian nie odpowiedziała. W jej twarzy wyczytał, że udało mu się ją zastraszyć. To dobrze. Jej rosnące samozadowolenie zaczynało działać mu na nerwy.

Dotarli na szczyt wzniesienia.

Zaskoczona i przerażona Vivian z całych sił wcisnęła pedał hamulca, tak gwałtownie, że samochód z piskiem opon ślizgał się spory kawałek po jezdni, a pasażerowie zostali wciśnięci w pasy bezpieczeństwa. Nie ujrzeli przed sobą miasta, do którego usiłowali dotrzeć ani nawet

monotonnego odludzia, przez jakie podążali przez ostatnie godziny.

Ujrzeni policyjną blokadę.

Ryan gapił się na liczne radiowozy zaparkowane wzdłuż drogi, dostrzegł przy nich mnóstwo funkcjonariuszy. Od razu zdał sobie sprawę, że nie natknęli się na przypadkową kontrolę prędkości – blokada przed nimi była częścią pościgu. By złapać kilku piratów drogowych, nie wysłano by ośmiu czy dziesięciu ludzi.

Zrozumiał coś jeszcze: skoro blokada pojawiła się w tak odludnej okolicy, z całą pewnością wystawiono posterunki we wszystkich większych miastach i wokół nich, i to na sporym obszarze.

Vivian nerwowo szarpała za pas, drżącymi rękami nie zdołała go jednak odpiąć. Ryan przytknął jej do boku nóż.

– Zostajesz! – rozkazał.

Porzuciła swe daremne starania i znów wybuchnęła płaczem.

– To koniec, Ryane. Będą strzelać. Na pewno wysłali uzbrojoną jednostkę. Oni...

– Nikt nie będzie strzelać. Wiedzą, że siedzisz ze mną w samochodzie, więc nic nie mogą zrobić!

Gorączkowo o czymś myślał. Funkcjonariusze oczywiście zauważyli gwałtownie hamujący pojazd. Dwóch z nich podeszło bliżej.

– Zawracaj! Natychmiast zawracaj!

– To nic nie da!

– Zawracaj!

Silnik jeszcze pracował. Vivian zawróciła i ruszyła prosto przed siebie. Ryan się obejrzał. Podążały za nimi dwa policyjne radiowozy. Nie zdoła ich zgubić, złapią go najpóźniej, gdy skończy się benzyna.

Nie chcę trafić za kratki. Nie chcę. Nie chcę!

– Szybciej! – rozkazał Vivian.

Wcisnęła pedał gazu, ze strachu zanosząc się łzami, gdyż czuła przytknięte do boku ostrze noża. Pędzili przez las z nadmierną prędkością. Z naprzeciwka minął ich inny samochód, jego kierowca zatrafił, gdyż Vivian niemal zjechała na jego pas ruchu. Policjanci ścigali ich z włączonymi niebieskimi kogutami. Byli coraz bliżej. Ryan

ocenił, że to tylko kwestia minut, gdy ich wyprzedzą i zmuszą do zatrzymania się.

Jedyna szansa: las. Ten ciemny, niekończący się, nieprzenikniony las.

Nigdy więcej nie pójdę do więzienia.

– Skręcaj! – krzyknął. – Skręć do lasu w najbliższą ścieżkę!

Wyskoczy z samochodu, pozostawiając Vivian samą sobie i gliniarzom; postara się zaszyć w gęstwinie, a potem gdzieś się przedrzeć, nieważne dokąd. Będą przeczesywać las szerokim łukiem, lecz on musi być szybszy, bardziej zdecydowany, sprytniejszy...

– Tutaj! Tutaj!

Nagle wyłoniła się przed nimi porośla trawą ścieżka, która kilka metrów dalej znów niknęła wśród drzew i pleniących się zarośli. Vivian szarpnęła za kierownicę, lecz przy tej prędkości szaleństwem było posłuchać rozkazu Ryana. Samochód wpadł w poślizg, gdyż Vivian zaczęła jednocześnie gwałtownie hamować, i wjechał do lasu, lecz nie trafił w wąską przestrzeń, którą Ryan w przypiływie rozpaczy wziął za ścieżkę, tylko uderzył w najbliższe drzewo. Z głośnym hukiem, z okropnym, przeciągłym, przeraźliwym dźwiękiem pocięły się metalowe części samochodu.

Głowa Ryana pofrunęła do przodu, a zaraz potem w tył i uderzyła w zagłówek siedzenia. To była ostatnia rzecz, jaką poczuł świadomie. Myślał tylko o jednym – *muszę stąd wyjść i uciekać* – ale nie mógł poruszyć żadnym mięśniem, żadnym przegubem swego ciała.

Nie stracił przytomności, lecz wszelkie czucie.

Zastanawiał się, czy jest martwy, ucieszyłoby go, gdyby rzeczywiście tak było.

Nigdy więcej nie pójdę do więzienia – pomyślał.

W jaskini poziom wody się podnosił, a Ken opowiadał historie ze swego życia. Na szczęście już nie śmiał się tak przerażająco i chorobliwie jak przedtem, za to emanował niemal upiornym spokojem. Zdawał się nie zwracać uwagi na to, że nasze położenie stawało się coraz trudniejsze. Piasek w tej niewielkiej grocie już całkowicie zniknął pod wodą, patrząc z góry nie sposób było poznać, że znajdował się tu fragment plaży. Wnętrze wypełniło się wodą aż do poziomu pierwszej kamiennej płyty. Przykucnęliśmy na następnej, lecz było jasne, że nie potrwa to długo i będziemy zmuszeni wspiąć się jeszcze wyżej, żeby nie siedzieć w zimnej wodzie. Wciąż zerkałam na zewnątrz, zastanawiając się, czy można by jeszcze jakoś dotrzeć do tych niepewnych, wiodących w górę schodów. Trzeba by brnąć przez sięgającą co najmniej do pasa wodę.

Ken nie dawał po sobie poznać, by go to w ogóle zmartwiło. Bawił się kilkoma muszelkami, jakich pełno było wokół.

Nazwał się *nieudacznikiem*.

To, że określił się w ten sposób w mojej obecności, a potem jeszcze wszystko mi wyjaśnił, nie tchnęło we mnie ani krzty nadziei na przeżycie. Byłam dla niego kimś, przed kim mógł się otworzyć, komu mógł się zwierzyć z usilnie chronionych tajemnic, starannie skrywanych przez całe dziesięciolecia, nie zważając przy tym na to, by zachować choćby resztki godności. A to mogło oznaczać tylko jedno: nie zostało mi już wiele chwil życia. Nie będę mogła wyjawic innym ludziom ani słowa z jego wyznania. Równie dobrze mogłby to wszystko opowiedzieć niemym skałom wokół siebie. Nie różniłam się od nich. Byłam praktycznie martwa.

– A więc podziwialiście mnie? – zapytał. Wydało mu się to zabawne,

gdyż na jego twarzy pojawił się uśmiech pełen smutku. – Za to, że wspierałem Alexię w jej karierze? Ken, wymarzony ojciec. Ken, wymarzony mąż. Ken, który naprawdę zrozumiał, o co chodzi w tej emancypacji. Który poświęcił swoją stocznnię i swoje życie, by jego żona mogła doprowadzić własne dążenie do samorealizacji aż do granic szaleństwa. Byłoby pięknie. Chętnie włożyłbym na głowę ten laur, Jenno. Szczerze!

– Ale? – zapytałam.

W zasadzie w ogóle mnie to w tej chwili nie interesowało, gorączkowo rozmyślałam nad tym, jak można by się stąd wydostać, zanim wody przyływu wypełnią całą przestrzeń. Instykt podpowiadał mi jednak, że słusznie było pozwolić Kenowi się wygadać. Póki prowadzę z nim rozmowę, być może zdołam do niego dotrzeć.

– Stocznia – powiedział przeciągle. W jego błędnych oczach pojawiły się iskiarki. – Sama widziałaś. Martwa. Pusta.

– Owszem. Mówiłeś...

– Zapomnij o tym, co mówiłem. Chcesz poznać prawdę? Splajtowaliśmy, kiedy jeszcze tam pracowałem. Nie mam pojęcia czemu, uważałem, że budujemy świetnie łódki. Może byliśmy nie dość pracowici, może konkurencja była zbyt silna. Musiałem zwalniać ludzi, bo nie mogłem im dłużej płacić, a potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Niewypłacalność, likwidacja firmy. Przenieśliśmy się do Swansea, ponieważ Alexia *musiała* podjąć pracę, żeby utrzymać rodzinę. Mieliliśmy już dwójkę dzieci, i jakoś trzeba było iść naprzód...

– Jest mi... przykro – odparłam nieporadnie.

Ta historia bardzo się różniła od tej, którą dotychczas znałam. Mimo to nie wątpiłam, że Ken mówi prawdę. Zdradzały to jego głos oraz wyraz twarzy.

– Tak to było. Uzgodniliśmy, że nie będziemy o tym wspominać. Przy czym ja podchodziłem do tego z większym dystansem. Sam mógłbym o tym opowiadać, co prawda nie traktowałem tej plajty jako chwalebnej karty w historii, lecz nie był to również powód wiecznej hańby. To Alexia chciała, żeby w żadnym wypadku nikt się o tym nie

dowiedział. Zawsze musiała być kobietą sukcesu, zawsze tylko zwyciężczynią. Nie zniosłaby, gdyby cały świat się dowiedział, że popełniła ogromny błąd, biorąc sobie za męża nieudacznika.

Zastanawiałam się mimowolnie, jak często Alexia określała męża mianem *nieudacznika* czy *przegranego*. Wiedziałam, że potrafiła być brutalnie bezpośrednia.

– Cóż, do tego doszły następne problemy – ciągnął Ken. – Pytałaś, dlaczego nie podjąłem pracy w jakiejś firmie okrętowej. Ja, odnoszący sukcesy absolwent studiów inżynierskich!

– Z powodu dzieci – odparłam, przypuszczałam jednak, że nie był to prawdziwy powód.

Roześmiał się.

– Nie. Wiesz, to kolejna gorzka prawda: ja w ogóle nie jestem inżynierem od budowy statków.

– Nie?

Woda sięgnęła poziomu skał, na których siedzieliśmy. Uderzała o kamienie, lecz nie dotarła jeszcze do ściany, o którą się opierałam.

– Nie. Przerwałem studia. Cała ta nauka to było dla mnie zbyt wiele, dostawałem coraz gorsze oceny. W tej sytuacji trudno było o stałą posadę: nie miałem dyplomu, a moją małą firmę doprowadziłem do stanu upadłości. Słowem, żadne to kwalifikacje.

– Alexia zaś, jak sądzę, nie chciała, żeby wieść o twoich przerwanych studiach się rozeszła.

Cóż może się stać z mężczyzną, którego żona zmusza do jednego kłamstwa za drugim, tylko dlatego, że prawdę uznała za zbyt kompromitującą i szkodliwą dla swej reputacji?

– Owszem, za wszelką cenę chciała tego uniknąć – potwierdził Ken. Woda zaczęła już obmywać jego nogi, lecz zdawał się tego nie zauważać. – Taka była dumna z mojego domniemanego tytułu inżyniera. Rozdmuchaliśmy więc inną historię: postaraliśmy się o więcej dzieci, zostałem supermanem poświęcającym się rodzinie, Alexia zaś rozpoczęła tę swoją wymarzoną karierę! – Wymawiając ostatnie słowo, wykrzywił pogardliwie twarz.

Podniosłam się i wspierałam wyżej. Już teraz dotarcie do prowadzących w górę schodów byłoby niezwykle trudne.

– Ken, powinniśmy... – zaczęłam, lecz przerwał mi w pół słowa:

– W gruncie rzeczy spotkało się dwoje nieudaczników. Kupiliśmy ten lichy, zbyt mały dom, ledwie nam starczało na comiesięczne opłaty. Wielka kariera Alexii okazała się jeszcze grubszym żartem, coraz częściej, coraz gwałtowniej się kłóciliśmy. Nasze szczęśliwe małżeństwo było taką samą fasadą jak wszystko inne: skrywała zupełnie odmienny obraz. Byliśmy nieuchronnie w to uwikłani: czworo dzieci, ja bez żadnego zajęcia. Alexia mogła wykonywać tę swoją słabo płatną pracę tylko dlatego, że grałem rolę darmowej niańki... Nie mogliśmy się rozwieść. Jak miałyby to dalej funkcjonować?

Nie odpowiedziałam. W moich myślach pojawił się obraz wielkiego dramatu, katastrofy, która wydawała się tym bardziej gwałtowna i niebezpieczna, że jej uczestnicy musieli spożytkować niewyobrażalnie dużo energii, by rozsnuć przed otoczeniem miraż doskonałego świata, jaki nie istniał nawet we fragmentach. I byli w tym perfekcyjni: niczego nie zauważyłam. Nikt niczego nie zauważył.

– A potem wszystko pękło – powiedział Ken. Siedział w kałuży wody, a jednak widocznie mu to nie przeszkadzało. – Tamtego piątkowego wieczoru, kiedy przysłałaś SMS-a...

Przełknęłam. Miałam nadzieję, że mi teraz nie wmówi, jakobym to ja doprowadziła do ostatecznej tragedii.

Chyba się domyślał, co mnie niepokoi, gdyż powiedział:

– Nie, nie, to nie ty zawiniłaś. Byliśmy właśnie w trakcie kłótni. Tak się zresztą działo praktycznie każdego wieczoru. Alexia wróciła z redakcji i zaczęła pić, gdyż nie radziła sobie z presją, ja zaś piłem, ponieważ dręczyła mnie moja sytuacja. Wymyślaliśmy sobie, bo każde z nas obwiniało drugie o doznane przykrości, oboje też byliśmy przekonani, że tkwimy w całym tym szaleństwie tylko dlatego, że okazaliśmy się na tyle głupi, by się związać z niewłaściwym partnerem. Znienawidziliśmy się tak bardzo... A potem przyszedł SMS od ciebie, Alexia odczytała go na głos i opatrzyła złośliwym komentarzem

w stylu: *Byłby to istny cud, gdyby rzeczywiście pojawiła się tu w niedzielę. Doświadczenie uczy, że jeśli zaczęła się pieprzyć, nieprędko skończy.* Na co ja odparłem: *Tylko bez zazdrości!* Alexia bowiem niemal pękała z zazdrości, trudno to było wytrzymać.

– Z zazdrości o mnie? – kompletnie osłupiałam. Jakże ja zawsze Alexię podziwiałam, i owszem, nawet jej zazdrościłam! A teraz miałoby być odwrotnie?

– Oczywiście – odparł Ken. – Z jej punktu widzenia miałaś wszystko, czego ona była już pozbawiona. Wolność. Beztroskę. Młodość i urodę. A teraz także świetnego faceta!

– Z którym sama mnie zapoznała!

– Owszem, ale to wcale nie oznacza, że łatwo znieść, gdy nagle rozkwita wielkie szczęście. Alexia cię znienawidziła, Jenno. W końcu znienawidziła każdego, komu się lepiej od niej wiodło.

Nie będę już mogła sprawdzić, czy jego słowa są prawdziwe. Myśl o tym, że mogłyby kryć prawdę, napęłniła mnie smutkiem.

– I tak to się potoczyło – rzekł Ken. – Odpisała ci, a potem zaczęła mi wyjaśniać, że Matthew to naprawdę porządny facet, zupełnie, rzecz jasna, przeciwieństwo mnie, i że nie potrafi zrozumieć, co takiego we mnie niegdyś widziała. Właściwie było jak zawsze. Te same przykrości, oskarżenia, zniewagi. Tymczasem przygotowałem dzieciom kolację, następnie położyłem je spać. Wykorzystała ten czas, by jeszcze więcej wypić. Stała się bardziej agresywna. Kiedy zszedłem na dół, nie dała za wygraną, w końcu wszystko pękło. Rzuciła się na mnie z uniesionymi pięściami, spoliczkowała, zaczęła mnie okładać... Z początku próbowałem się jedynie bronić, unikać jej ciosów... Ale potem... Naraz wszystko we mnie wezbrało, rozumiesz? Wszystko, co się zdarzyło przez ostatnie lata, mój nieunikniony upadek, mój beznadziejny dzień powszedni, moje stopione w nicłość poczucie własnej godności, po prostu wszystko. Stałem w naszym nieposprzątanym, zabałaganionym, niespłaconym pokoju dziennym, moja żona okładała mnie pięściami i nazwała największym nieudacznikiem pod słońcem, i naraz... po prostu straciłem panowanie nad sobą... – Mówił teraz bardzo cicho. Jego

wzrok pozbawiony był wszelkiej nadziei. Przeżywał ponownie każdą minutę przeszłości.

– Uderzyłem ją. Z całej siły. Trafiłem pięścią w skroń. Przewróciła się i ucichła. Nareszcie ucichła.

Jego słowa, choć wypowiedane szeptem, grzmiały donośniej niż szum przypiływu.

Przewróciła się i ucichła. Nareszcie ucichła.

Moja Alexia. Nieważne, że mnie w końcu znienawidziła, pozostała moją Alexią. Tyle o mnie wiedziała. Dzieliłam z nią radosne chwile, niekończące się rozmowy, wieczne chichoty, kłopoty sercowe, śmiałe podboje, po prostu wszystko. Rozmawiałyśmy o problemach z figurą i o modzie, o facetach i seksie, o porażkach i sukcesach, skrytych marzeniach i głęboko zakorzenionych w nas lękach.

Alexia nie żyła.

A ja siedziałam tu z mężczyzną, który ją zabił.

To nie był właściwy moment, by się smucić. To nie był czas na rozmyślanie.

– Ken – odezwałam się – musimy stąd uciekać!

– Byłem zupełnie zszokowany, kiedy tak leżała, bez pulsu, bez uderzeń serca. Zrozumiałem, co się stało. Nie chciałem tego, ale zabiłem ją jednym uderzeniem pięści. Wiedziałem: trzeba będzie jakoś tę sytuację wyjaśnić, zanim nastanie ranek i dzieci zejną na dół. Było około dziewiątej, na szczęście już spały. Przypomniałem sobie brodzik przebity przez Evana, zamierzałem go wyrzucić. Zawinałem w niego ciało Alexii i zaciągnąłem do samochodu, który dzięki Bogu stał w garażu. Cholernie ciężko było ją do niego włożyć, zalewałem się potem. Następnie wtoczyłem jeszcze do auta mój motocykl. Wpadłem na pomysł, żeby odtworzyć scenerię uprowadzenia Vanessy, w nadziei, że podsunę tym samym pierwszorzędny fałszywy trop. To jednak oznaczało, że z powrotem nie będę mógł wrócić samochodem. Stąd moja honda.

Działanie z zimną krwią, dość dobrze przemyślane. Przypuszczalnie Ken znajdował się w stanie szoku i po prostu działał racjonalnie.

Załamaniem następuje dopiero wtedy, gdy szok minie.

– Rozumiem – odparłam.

Głupkowaty komentarz, nic innego nie przyszło mi jednak do głowy. Jak zresztą miałam się odnieść do tego wszystkiego, czego się dowiedziałam przez ostatnią godzinę?

– Odczekałem do jedenastej, gdy zrobiło się całkiem ciemno. Wtedy wyruszyłem. Dziś nie potrafiłbym już wskazać miejsca, w którym wyrzuciłem z samochodu ciało Alexii owinięte w płachtę brodzika. Gdzieś w głuszy, na skraju kamieniołomu. Stoczyła się w dół i o ile mogłem dojrzeć, zniknęła wśród traw i pokrzyw pleniących się na dnie urwiska. Następnie pojechałem na ów sławetny parking. Byliśmy tam przed dwoma laty z Alexią i Matthew, stąd wiedziałem, gdzie się mniej więcej znajduje. Mimo to się zgubiłem. A czas upływał... Musiałem wrócić do domu, i to przed nastaniem świtu. O tej porze roku noce są dość krótkie.

– Ale zdążyłeś – stwierdziłam.

Najwyraźniej bowiem wszystko się udało. Alexia zniknęła bez śladu, samochód pozostał na parkingu, a Ken wrócił na czas do domu. W myślach zobaczyłam go na tej jego małej turkoczącej hondzie dax. Musiał być śmiertelnie zmęczony, gdy w końcu dotarł do domu. Potem obudził dzieci, przygotował dla nich śniadanie i zaczął snuć opowieść o tym, jak to Alexia sama wyruszyła na poszukiwanie fotograficznych plenerów. Późnym wieczorem zadzwonił do mnie i wypłakał swoje zmartwienia, że nie wróciła do domu i nie dawała znaku życia.

Nagle coś mi przyszło do głowy.

– A samochód? Jedna z sąsiadek widziała, jak Alexia wyjeżdża z domu w sobotni poranek!

– Pomógł mi przypadek – odparł Ken – i to w niesamowicie znaczący sposób. Ponieważ sądzono, że Alexia wyruszyła dopiero o siódmej, miałem stuprocentowe alibi. Dzieci mogły potwierdzić moją obecność, podobnie jak właściciel warzywniaka. Nie mogłem mieć nic wspólnego z jej zniknięciem.

– Ale...

– Przy końcu ulicy – wyjaśnił Ken – mieszka rodzina, która posiada vauxhalla movano. Pozostaje dla mnie zagadką, jak można go pomylić z naszym bedfordem, oba to jednak furgony, i oba są białe. Starsza kobieta sądziła, że widzi nasz samochód, musiała jednak zobaczyć ten drugi. Nikt nie podważył jej zeznań, gdyż doskonale pokrywały się z moimi.

Błyskawicznie powróciło wspomnienie: kwietniowy wieczór. Byłam u Matthew, potem poczułam nieodpartą potrzebę spotkania z Alexią. Stałam przed jej domem, nikt nie odpowiedział, gdy zadzwoniłam do drzwi. Kiedy tak czekałam, zza rogu wyłonił się furgon, który w pierwszej chwili wzięłam za samochód Reece'ów. Szybko zrozumiałam moją pomyłkę, pojazd zniknął na podjeździe innego domu. Starsza kobieta, prawdopodobnie o słabszym od mojego wzroku i jeszcze gorszej znajomości marek samochodów, z łatwością mogła pomylić oba pojazdy.

– Ale z tego właśnie powodu... – podjął Ken, lecz po chwili zamilkł.

– Tak? – zapytałam.

Jego głos zabrzmiał chłodniej, z większym dystansem.

– Z tego właśnie powodu postanowiłem zniknąć. Dzisiaj. Tak, właśnie dzisiaj. Wszystko przygotowałem. Perfekcyjnie. W moim garażu stoi wynajęty samochód, którym chciałem odjechać. Ale wtedy ty musiałaś przyjść. Do cholery, Jenno, czy nie mogłaś zostać tam gdzie pieprz rośnie?

Wlepiłam weń wzrok.

– Zamierzałeś uciec?

– Pomyśl tylko, ile jeszcze czasu minie, zanim policja wpadnie na to, że przy tej samej ulicy parkuje podobny samochód, świadek zaś nie jest wiarygodny, jeśli idzie o typy pojazdów? Ile jeszcze czasu minie, zanim ktoś natknie się na ciało Alexii? To cud, że przez te trzy tygodnie nic się w tej sprawie nie stało, pewnie dlatego, że miejsce, w którym ona leży, dosłownie zarosło pokrzywami. Lecz nadejdzie jesień, zmieni się wegetacja. Któregoś dnia zwłoki Alexii będą widoczne jak na dłoni, nasz brodzik również. Z moimi odciskami palców. Jenno, oni mnie dopadną,

jeśli dalej będę siedział beczynn timer w domu i czekał cierpliwie, aż zgromadzą dość poszlak przeciwko mnie. Teraz ścigają faceta, który ma na sumieniu Vanesę, a to kompletnie odwróciło ich uwagę. Co jednak, jeśli ten człowiek będzie miał niepodważalne alibi na czas śmierci Alexii? Wówczas zainteresują się innymi podejrzany mi. Wystarczy, że nasz samochód albo nasz dom pokażą psom tropicielom... Nie. Zanim to nastąpi, zniknę.

Rozpacz i strach wpędziły mnie niemal w panikę. Wbrew wszelkiemu rozsądkowi żywiłam nadzieję, że wyjdę z tej sytuacji obronną ręką, teraz jednak pojęłam jej daremność. Ken nie pozwoli mi żyć, gdyż mogłam pokrzyżować mu plany. Był zdecydowany salwować się ucieczką, schronić w bezpiecznym miejscu, uniknąć spotkania z policją.

– A co z dziećmi? – zapytałam.

– Śpią – odparł obojętnym głosem.

Aż mnie zatkało.

– Nie żyją?

– Powiedziałem, że śpią! – naskoczył na mnie. Następnie się wyprostował. Jego spodnie były przemoknięte do suchej nitki.

– Czas opuścić to miejsce – oznajmił.

Z podziwu godną zwinnością przeszedł po wąskiej skalnej półce, zgrabnym skokiem znalazł się na grani tuż obok mnie.

Znał to wybrzeże, klify, jaskinie, jak własną kieszeń. To dlatego tak długo czekał, ze spokojem obserwując nadchodzący przyptyw. Wiedział dokładnie, jak długo mógł zwlekać.

– Niestety – rzekł – ty musisz tu zostać.

W następnej sekundzie, nagle i absolutnie niespodziewanie, dosięgła mnie jego ręka. Pomyślałam o Alexii. Ten mężczyzna własnoręcznie budował okręty. Potrafił zabić pięścią.

Błyskawicznie się schyliłam, a mimo to poczułam uderzenie w lewy policzek.

Opadłam w głęboką ciemność, może nawet w morskie fale. Pochłonał mnie chłód i mrok. Wiedziałam, że umrę.

Lekarz był nieustępliwy.

– Mr Lee jest właśnie przygotowywany do operacji. To absolutnie niemożliwe, by mogła z nim pani porozmawiać!

– Zamienię z nim tylko kilka słów. To naprawdę ważne – prosiła inspektor Morgan. – Od tego być może zależy życie innej kobiety.

– Przykro mi. Powiadomimy panią, kiedy wybudzi się z narkozy i jego stan się jako tako ustabilizuje. Wcześniej nie mogę na to pozwolić.

Morgan, która razem z DS Jenkinsem pospieszyła do Morriston Hospital, skoro tylko usłyszała o wypadku samochodowym Ryana Lee i odtransportowaniu go karetką do szpitala, skinęła głową zrezygnowana:

– Okay, doktorze. A co z Vivian Cole?

– Ma pani pięć minut – odparł lekarz. – Tylko proszę się z nią obchodzić ostrożnie. Nadal jest w szoku.

Znaleźli Vivian w niewielkim szpitalnym pokoju. Przysiadła na łóżku i ścisnęła dłoń siedzącego blisko niej na krześle młodego mężczyzny, który wyglądał tak, jakby nie spał od co najmniej dwudziestu czterech godzin. Vivian miała na sobie bardzo krótką kwiecistą letnią sukienkę, poplamioną i podartą. Na lewym kolanie nosiła opatrunek, podobnie jak na przegubie lewej dłoni. Na czole widniał spory plaster. Wydawało się, że w zasadzie wyjdzie z wypadku jedynie z bliznami i zadrapaniami, lecz jej psychika jeszcze długo będzie się zmagać z ostatnimi przeżyciami. Inspektor Morgan mogła to dostrzec w jej wytrzeszczonych oczach i nadnaturalnie dużych źrenicach.

– Mrs Cole? Detektyw inspektor Morgan. Mój kolega detektyw sierżant Jenkins.

– Dzień dobry – szepnęła Vivian.

Morgan zwróciła się do mężczyzny.

– Pan jest...

Wstał i podał jej rękę. Trochę drżała.

– Newland. Adrian Newland. Jestem przyjacielem Vivian. Zadzwoiła do mnie, gdy tylko znalazła się w szpitalu. Przyjechałem z Pembroke Dock, pędząc na łeb na szyję. – Również głos mu drżał. – Strasznie się martwiłem. Nie mogłem się z nią skontaktować...

– To były dla was obojga dwa okropne dni – przyznała Morgan ze współczuciem. – Mam nadzieję, że wkrótce zdołacie się uporać z tymi strasznymi przeżyciami.

– Jak się czuje Harry? – zapytała Vivian.

– Z nim wszystko w porządku – uspokoiła Morgan. – Został uwolniony i zabrany do ambulatorium, lecz niedługo stamtąd wyjdzie. Właśnie z nim rozmawiałam. Oczywiście nadal jest w szoku, ale poza tym ma się dobrze.

– A... Ryan? – zapytała cicho Vivian.

– Właśnie przygotowują go do operacji. Połamał sobie wszystkie kości, ale jego życie nie jest chyba zagrożone.

– Uderzyliśmy w drzewo – powiedziała Vivian. – Nie zdołałam wziąć zakrętu. Ścigała nas policja, Ryan chciał, żebym skręciła do lasu, ale jechałam za szybko, dlatego samochód wpadł w poślizg... – Zaczęła płakać.

– Jest pani bardzo dobrą kierowcą – pocieszyła ją Morgan – świetnie się pani spisała. Oboje przeżyliście wypadek i wyzdrowiejecie. Może być pani dumna z siebie, że w tej sytuacji opanowała pani nerwy.

– Dla mnie ten człowiek mógłby stracić to swoje cholerne życie – rzekł z wściekłością Adrian. – Miejmy nadzieję, że zostanie mu przynajmniej jakieś porażenie poprzeczne albo coś w tym stylu!

– Adrian! – upomniała go Vivian. Otarła łzy. – Tak wiele się wydarzyło – szepnęła.

– Wiem – odparła Morgan. – I zaraz zostawimy panią w spokoju. Mamy jednak wielki problem. Wie pani, że Ryan Lee jest podejrzany

o ponowne uprowadzenie kobiety, po trzech latach od pierwszego, i mamy nadzieję, że ta kobieta wciąż żyje. Musimy ją odnaleźć, by nie spotkał jej ten sam los co Vanesę Willard. Rozumie pani?

Vivian przytaknęła.

– Nie mogę w tej chwili przesłuchać Ryana Lee, dlatego muszę do pani zaapelować: proszę sobie przypomnieć, czy podczas waszej wspólnej ucieczki albo nawet wcześniej, w domu, podał pani jakąś wskazówkę, gdzie ukrył tę kobietę? Może wspomniał o tym mimochodem?

Vivian potrząsnęła głową.

– Wielokrotnie powtarzał, że z tym drugim porwaniem nie ma nic wspólnego. Uprowadził wówczas tę Vanesę Willard, ale nie chciał, żeby umarła. Bardzo mu zależało na tym, by go nie uznano za wyrachowanego mordercę.

Adrian wydał z siebie pogardliwy dźwięk.

– Co za hipokryzja!

– Nie – sprzeciwiła się Vivian – to nie była hipokryzja.

– Uważa pani, że mówił prawdę? – zapytała zaciekawiona Morgan.

– W pewnym sensie tak. To znaczy... zawsze radziłam Norze, żeby się z nim pod żadnym pozorem nie wiązała, ostatecznie okazało się, że miałam rację, ale...

– Tak? – podchwyciła Morgan.

– To nie jest zły człowiek – wyznała Vivian, wyraźnie unikając przy tym wzroku swego przyjaciela. – Nie wierzę, że... byłby zdolny do morderstwa z premedytacją.

Adrian nachylił się ku Morgan.

– Syndrom sztokholmski – szepnął.

Morgan wołała jednak zaufać własnemu instynktowi.

– Uważa pani zatem, że on rzeczywiście nie wie, gdzie przebywa Alexia Reece?

– Sądzę, że nie zaryzykowałby ponownie podobnej tragedii, jak w przypadku Vanessy Willard.

– To niebezpieczne, co mówisz – rzekł rozżłoszczony Adrian. –

Niebezpieczne dla Alexii Reece, która może leży gdzieś zamknięta w drewnianej skrzyni i modli się, by ktoś przyszedł ją uwolnić!

– Ale czuła się pani w jego obecności zagrożona? – dopytywała się Morgan, nie zważając na słowa Adriana.

Vivian się zamyśliła. Wydawało się, że z wielkim trudem przychodzi jej odpowiadać na wszystkie te pytania zgodnie z prawdą.

– Tak. Zgadza się. Z początku ja także myślałam, że wszystko, co on mówi, to kłamstwo. Sądziłam, że chce się tylko oczyścić. Twierdzi, że nie chciał śmierci Vanessy Willard. Twierdzi, że nie ma nic wspólnego z losem Alexii Reece. Ale...

– Tak?

Bezradnie wzruszyła ramionami.

– Mogę tylko powtórzyć. To jego obraz, jaki sobie wytworzyłam, poczucie, jakie się skryształizowało w trakcie tych długich godzin. To nie jest zły człowiek. To nie jest morderca. Wszystko, co się wydarzyło i nadal dzieje... on tego tak naprawdę nie chce.

– No nie... to, że wzorem swojej przyjaciółki Nory teraz także ty zaczynasz być zafascynowana tym bandziorem, uważam za przesadę – warknął Adrian. Jego twarz poczerwieniała z wściekłości. – Chętnie bym się dowiedział, jakim to sposobem tak was, kobiety, owija sobie wokół palca!

Vivian znów zalała się łzami. Była u kresu sił tak fizycznych, jak i psychicznych.

– Mówię tylko to, co czuję – szlochała.

– To zupełnie normalne – rzekła Morgan. – Bardzo nam pani pomogła, Mrs Cole.

Wzrok pełny frustracji i ledwie skrywanej złości skierowała ponad pochyloną głową Vivian w stronę Jenkinsa. Nic, nic, zupełnie nic. Ujęcie Ryana Lee oraz wizyta w szpitalu nie posunęły ich praktycznie ani o krok naprzód. Ryana nie można było w przewidywalnym czasie przesłuchać, od Vivian zaś dowiedzieli się tylko tyle, że w przypadku Alexii Reece uważa go za niewinnego. Co mogło być prawdą, lecz wcale nie musiało. A jeśli ta młoda kobieta miała rację, oznaczało to, że trzeba

będzie zacząć od początku. Kto mianowicie pozostał im z grona prawdziwych podejrzanych, jeśli Lee wypadł z gry?

Zadzwoiła komórka Jenkinsa, który spieszenie wyszedł z pomieszczenia. Jednakże zaraz potem zajrzał ponownie do środka.

– Pani inspektor! Pozwoli pani?

Morgan skinęła głową w stronę Vivian i Adriana, po czym wyszła na korytarz i zamknęła za sobą drzwi.

– Tak?

– W komisariacie odebrali telefon. Od Garretta Wildera. Wie pani, to były partner...

– Wiem, kim on jest. I co?

– Opowiedział dość zagmatwaną historię. Jest w domu Reece'ów, coś strasznego stało się z dziećmi. Z dziećmi Alexii. I okropnie się martwi o los Jenny Robinson.

Morgan natychmiast ruszyła ku wyjściu.

– Czy nasi ludzie...?

– ...są już w drodze do domu Reece'ów, tak – dokończył Jenkins, starając się za nią nadążyć.

Morgan pchnęła wahadłowe drzwi przy wejściu do szpitala.

– Ja prowadzę. Jeźdźcie za wolno, sierżancie!

Westchnął. Kiedy Morgan była w takim nastroju, *jechać* oznaczało dla niej *frunąć nisko nad ziemią*.

A tego nie znośił.

Garrett, który poprzedniej nocy, leżąc na niewygodnej i przykrótkiej sofie Jenny, prawie w ogóle nie zmrużył oka, w którymś momencie zasnął. Kiedy się przebudził, w pierwszej chwili nie wiedział, gdzie się właściwie znajduje, poza tym bolały go wszystkie kości. Usiłował się rozprostować, tłumiąc w sobie krzyk bólu. Siedział na rozchwianym metalowym krześle ogrodowym, dziwiąc się, jak mógł przysnąć w tak niewygodnej pozycji. Wstał i z całej siły kopnął krzesło.

Przypomniał sobie, gdzie przebywa: w ogrodzie Reece'ów, ściśle mówiąc: na ich tarasie. W Swansea. Przygnało go tu, gdyż chciał na nowo ożywić swój związek z Jenną.

Co za idiotyzm!

Krzesło otrzymało kolejnego kopniaka i potoczyło się po kamieniach.

Garrett spojrział na zegarek. Dochodziła dwunasta. Przyjechał tu około dziewiętej i usiadł na tej okropnej werandzie. Minęły już ponad trzy godziny, lecz nikt się w tym czasie nie zjawił. Dziwne – to zupełnie niepodobne do Jenny.

Wyszedł z ogrodu, spojrział w dół i w górę ulicy, nie dostrzegł jednak ani śladu po swoim samochodzie. Było to zupełnie nie w stylu Jenny, żeby jeździć tak długo pożyczonym autem, nie przejmując się tym, że jego właściciel stoi na ulicy i czeka. Zawsze mogą się pojawić nieprzewidziane okoliczności, lecz od czego są telefony. Garrett wyciągnął z kieszeni swój iPhone i zerknął na ekran, nikt jednak do niego nie dzwonił. Jenna nie próbowała się z nim skontaktować. Wystukał jej numer, połączył się jednak z pocztą głosową. Aha, *madame* nie może teraz odebrać telefonu.

– Jenno, tu Garrett. Czekam na mój samochód. Odezwij się! –

Zauważył, że jego głos brzmi szorstko, ale to dobrze. Niech wie, że jest wściekły.

Zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. Wezwać taksówkę, pojechać do mieszkania Jenny i tam na nią zaczekać? Któż jednak wie, kiedy wróci? W końcu zjawi się tam jeszcze ten Matthew Willard, jej nowy ukochany, a Garrett absolutnie nie miał ochoty się z nim spotkać. Utrata Jenny bardzo go zabolęła, po co jeszcze sypać sól na tę ranę?

Gdyby jakimś sposobem mógł przynajmniej wejść do środka! Były tam książki, telewizor, a w lodówce z pewnością coś do jedzenia i picia. Potrząsnął na próbę bramą do garażu i był zdumiony, że z łatwością dała się otworzyć. Jeszcze bardziej zdziwił go widok stojącego w garażu małego białego peugeota. Drugie auto w rodzinie? To dlaczego, do cholery, Ken i Jenna pojechali *jego* samochodem?

Wszystko to było bardzo dziwne.

Garaż i dom były z sobą połączone, okazało się jednak, że dzielące je drzwi są zamknięte. Garrett dał za wygraną, wyszedł z garażu, ponownie przeszedł do ogrodu na tyłach domu. Niemal pękał ze złości. Najchętniej kazałby się zawieźć do Brighton taksówką, a potem odesłałby Jennie rachunek, wraz z poleceniem, by jakimś sposobem oddała mu samochód.

Ponownie kopnął w ogrodowe krzesło. Zaraz potem usłyszał dziwny odgłos.

Dobiegał z wnętrza domu. Płacz? Raczej kwilenie, cichy, przeciągły lament. Niczym miauczenie małego kotka. W następnej sekundzie jednak umilkło, Garrett był niemal pewien, że to tylko złudzenie.

Wtedy usłyszał je ponownie. Brzmiało tak, jakby ktoś był ranny, zrozpaczony albo kwilił z bólu.

Garrett wmawiał sobie, że to niemożliwe, gdyż w domu nikogo nie ma. Czasem to wiatr wydaje dziwne odgłosy, na przykład w kominie, a dziś rzeczywiście było wietrznie. Do jego uszu znów dobiegł odgłos płaczu. Pomyślał, że mógłby to być płacz dziecka. Dziecka, które jednak nie płacze ot tak, po prostu, przekornie, agresywnie albo ze smutku. Dźwięk był taki... pełen cierpienia. Bolesny.

To niemożliwe, prawda? Ken, ten supertatuś, nie zostawiłby przecież na wiele godzin czworga dzieci samych w hermetycznie zamkniętym domu. Garrett przypomniał sobie: najstarsze z nich liczyło siedem, osiem lat, najmłodsze nie miało jeszcze dwóch. Do czegoś takiego Jenna nigdy by nie dopuściła. Coś tu nie gra.

Garretta przeszło dziwne uczucie. Przez cały czas był wściekły, oburzony, i do tego głęboko zraniony. Teraz jednak zaczął się martwić. I zrozumiał, że zmartwienia dręczą go już od wielu godzin, gdyż to wszystko było do Jenny zupełnie niepodobne.

Kwilenie ucichło, po chwili jednak znów się nasiliło. Wyraźnie dało się teraz zidentyfikować jako ludzki głos.

Najrozsądniej byłoby pewnie zadzwonić na policję, lecz Garrett się zawahał. Mógł się przecież ośmieszyć, gdyby się okazało, że te odgłosy istnieją tylko w jego wyobraźni. Poza tym nie miał najmniejszej ochoty na ponowne spotkanie z gliniarzami. Wczesnym rankiem rozmawiał z inspektorem Morganem, gdyż w sposób zupełnie absurdalny powiązано go ze sprawą zaginięcia Alexii Reece. A teraz tkwił beczynn timer przed jej domem i postanowił dzwonić na policję, ponieważ wydawało mu się, że słyszy dziwne dźwięki? Instynkt mu podpowiadał, że to się dlań dobrze nie skończy. Ponownie znajdzie się w centrum uwagi, a tego chciał uniknąć.

Nie potrafił jednak tak po prostu odejść. Garrett nie przepadał za dziećmi, lecz nigdy nie wyrządziłby im krzywdy, a niczym innym byłoby nieudzielenie pomocy. Musiał jakimś sposobem dostać się do środka. Sprawdzić, co się tam dzieje, a następnie obmyślić dalsze kroki.

Było dlań jasne, że nie może próbować się włamać ani przez drzwi wejściowe, ani przez werandę na tyłach domu, w obu bowiem przypadkach istniało zbyt duże ryzyko, że zostanie przez kogoś zauważony. Sytuacja, w której policja zostałaby zaalarmowana przez inne osoby z powodu jego próby wtargnięcia do domu kobiety desperacko i usilnie poszukiwanej od tygodni, byłaby jeszcze gorsza niż nieuzasadnione wezwanie funkcjonariuszy. Przez chwilę owładnęła nim pokusa, by tego wszystkiego poniechać. Uciec stąd dokądkolwiek,

w żadnym wypadku nie ponosić ryzyka, że znów zostanie wplątany w tę fatalną historię.

A jeśli dziecko rzeczywiście jest w potrzebie...

Wszedł do ogrodowego przejścia, przez szybę w drzwiach zajrzał do wnętrza kuchni. Boże, jak można mieszkać w takim bałaganie! Stos brudnych naczyń w zlewie, książki, gazety, katalogi i płyty DVD rozłożone na wszystkich krzesłach, dziecięce zabawki porozrzucane po wszystkich kątach, ubrania w koszu na bieliznę, z niezrozumiałych powodów pozostawionym na kuchence. Garrett się skrzywił. Ken może i świecił przykładem w kwestii udanego partnerstwa, wyraźnie jednak nie panował nad wszystkim.

Zdjął przez głowę sweter, owinął nim prawą dłoń, rozbił pięścią szybę. Odłamki szkła posypały się dość głośno na kuchenną podłogę. Wstrzymał oddech. Jeśli usłyszał to któryś z sąsiadów, nie będzie chyba w stanie rozpoznać, co to za odgłosy.

Sięgnął przez powstały otwór, przekreślił klucz i wszedł do środka. Nie lubił zapachu panującego w tym domu. Niczego w tym domu nie lubił, podobnie zresztą jak Alexii i Kendala Reece'ów. Dawniej, w krytycznych momentach, wciąż sobie powtarzał, że jest oczywiście zupełnie w swych ocenach nieobiektywny. Jenna nazbyt często marzyła o doskonałym szczęściu łączącym jej przyjaciół, zbyt często dawała mu w mniej lub bardziej subtelny sposób do zrozumienia, że ona również pragnie takiego życia, w małżeństwie, z gromadką dzieci i domkiem na przedmieściu – na samą myśl o tym Garrett czuł przebiegający po plecach dreszcz. Początkiem końca jego związku z Jenną była w gruncie rzeczy właśnie rodzina Reece'ów, ściśle mówiąc: podziw, jaki Jenna żywiła dla ich sposobu życia. Teraz jednak, stojąc w ich kuchni, pośród tego niechlujnego chaosu, w domu zamieszkanym przez zbyt wiele osób i zbyt rzadko wietrzonym, Garrett zrozumiał, że nie akceptował Reece'ów nie tylko dlatego, że ostatecznie zdestabilizowali jego i tak skomplikowany związek z Jenną. Pojął, że przyłgnęło do nich coś chorobliwego, wyczuł to już wówczas, podczas pierwszego i jedyne go z nimi spotkania. Nie była to dwójka sympatycznych raptusów, których

życie upływało w radosnym rozgardiaszu. Byli to ludzie, którzy nad swym życiem zgoła nie panowali, usiłowali wszakże ukazać otoczeniu zupełnie inny jego obraz. Garrett miał co do tego pewność. Dziwiło go tylko, że Jenna nadal tego nie dostrzegała.

Przeszedł przez kuchnię i znalazł się w korytarzu. Na drzwiach garderoby wisiało tyle płaszczy, kurtek i nieprzemakalnych peleryn, że z trudem się obok nich przecisnął. Nie mówiąc już o rozrzuconych po podłodze niezliczonych parach butów, o które się potykał. Przystanął przed schodami i zaczął nasłuchiwać. Wokół panowała absolutna cisza.

Dla pewności zajrzał do pokoju dziennego oraz do jadalni, nikogo tam jednak nie było. Zawołał cicho: „Jenna?“, lecz tak naprawdę nie spodziewał się żadnej odpowiedzi. Nie pozostało mu nic innego, jak tylko pójść na górę i sprawdzić, czy wszystko w porządku. Nie miał na to wielkiej ochoty, lecz dotarł już zbyt daleko, by się teraz wycofać.

Powoli wszedł po schodach. Na piętrze także znajdował się wąski korytarz, z którego prowadziło czworo drzwi. Dwoje było otwartych. Garrett zerknął do wnętrza. Zobaczył łazienkę – rocznik 1950, jak oszacował, po prostu niehigieniczną – a za nią najwyraźniej sypialnię rodziców. Zasłony były zaciągnięte, mimo to do wnętrza wpadało nieco dziennego światła. Gruby czerwony dywan na podłodze, wyglądający tak, że Garrett nie odważyłby się stąpać po nim bosy, niezaścielone dwuosobowe łóżko, na którym leżało mnóstwo pluszaków – odkąd mama zniknęła, dzieci najwyraźniej zaczęły okupować łóżko taty. Niewielki telewizor na parapecie, a pod oknem trzy wypełnione po brzegi kosze na bieliznę. Reece’owie mieli chyba w zwyczaju przechowywać wyprane rzeczy w takich właśnie koszach, zamiast układać je w szafach. Brak czasu, brak ochoty albo też kapitulacja wobec ogromu prania w tym sześćoosobowym gospodarstwie domowym. W odczuciu Garretta być może to właśnie słowo najgłośniej wykrzykiwał ten dom: kapitulacja! A zaraz potem: rozpacz!

Zauważył rozłożoną obok łóżka deskę do prasowania i wyobraził sobie, jak Alexia każdego ranka w pośpiechu prasuje ubrania dopiero co wygrzebane z jednego z owych koszy, by móc się w biurze

zaprezentować jako dobrze ubrana, porządna redaktor naczelna. Wynurzając się z całego tego rozgardiaszu, przeciążona domowymi obowiązkami, rzeczywiście potrafiła co dzień stwarzać wrażenie przebojowej, dobrze zorganizowanej kobiety sukcesu. Musiało ją to kosztować mnóstwo sił.

Znów usłyszał ciche kwilenie, aż drgnął. Tym razem nie miał już wątpliwości, że chodzi o płaczliwe odgłosy dziecka. Dochodzące z bliska.

Drzwi sąsiedniego pokoju były zamknięte, lecz klucz tkwił w zamku. Garrett uzbroił się wewnętrznie na to, co może go spotkać, po czym otworzył drzwi.

Wewnątrz panowała ciemność. Zamknięte okno przesłaniała nieprzezroczysta markiza, do środka nie wnikało ani światło, ani powietrze. Zapach był okropny – głównie uryna i wymiociny. Choć dzień nie był upalny, wewnątrz było duszno i nieprzyjemnie. Usłyszał ciche oddechy... Przemógł w sobie strach i zapalił światło.

Pokój dziecienny. Góry porzrzuconych bezładnie zabawek. Kosze pełne dziecięcych ubranek. Dwa szczebelkowe łóżeczka, nad którymi w lekkim podmuchu powietrza napływającego przez otwarte drzwi zaczęły się kręcić karuzele. W jednym z łóżeczek uniosła się jakaś postać. Garrett spojrzał w zaleknioną, bladą jak płótno twarz. Olbrzymie oczy. Skołtunione blond włosy.

– Cześć – szepnął.

Dziecko się wyprostowało. Mała dziewczynka, może siedmioletnia. To musi być najstarsze – jakże się nazywa? Garrett wyteżył umysł. Jakieś celtyckie imię. Kayla. Jeśli dobrze pamiętał.

– Kayla?

Dziewczynka skinęła głową.

– Jest mi niedobrze – poskarżyła się cicho. – Wymiotowałam.

Garrett podszedł do łóżeczka. Zobaczył, że piżama dziecka od góry do dołu poplamiona jest wymiocinami. Przede wszystkim jednak spostrzegł drugie dziecko. Najmłodsze w rodzinie, jeszcze niemowlę. Nie ruszało się.

– Tatuś – żaliła się Kayla.

– Gdzie jest wasz tatuś? – zapytał Garrett. Starał się płytko oddychać. Odór był duszący.

– Nie wiem. Tatuś wyszedł.

Garrett przewyciężył obrzydzenie i nachylił się nad zabrudzonym łóżeczkiem. Dotknął małości. Nie poruszyło się. Nie był pewien, czy oddycha.

Szybko odwrócił się w stronę drugiego łóżka. Tak jak się tego obawiał, na materacu przesiąkniętym uryną leżało w nim dwoje pozostałych dzieci. Przynajmniej oddychały równomiernie. Nie zareagowały, kiedy nimi ostrożnie potrząsnął.

– Muszę... – odezwała się Kayla.

Usiłowała wyjść z łóżeczka, co w normalnych warunkach pewnie jej się udawało, w tej jednak chwili była tak oszołomiona i rozdygotana, że nie zdołała przełożyć nogi przez barierkę.

Garrett oparł się nagłemu impulsowi, by po prostu uciec z tego cuchnącego pokoju pełnego na wpółmartwych dzieci. Wziął Kaylę na rękę, wyjął z łóżeczka. Dziewczynka, wylękniona i zmieszana, uczepiła się go niczym młoda małpka, po czym opróżniła zawartość swego żołądka na koszulę, a częściowo także na dżinsy Garretta. Usilnie starał się to zignorować, żeby zwyczajnie nie strząsnąć z siebie dziecka jak jakiegoś natrętnego owada. Jako że Kayla nie miała zamiaru go puścić, musiał ją zanieść do zafajdanej łazienki, uwolnić się z uścisku jej rąk, ściągnąć spodenki od pizamy i posadzić na toalecie. Zaczynał się zastanawiać, czy ta idiotyczna przygoda w Swansea może się zakończyć jeszcze gorszym koszmarem.

– Wiesz, gdzie jest Jenna? – zapytał.

Kayla potrząsnęła głową.

– Gdzie jest tatuś? – zapytała zamiast odpowiedzi.

– Wkrótce przyjdzie – zapewnił Garrett zupełnie wbrew swemu przekonaniu. Z kieszeni dżinsów wyciągnął telefon i wystukał trzykrotnie dziewiątkę. Nic już nie poradzi. Musi wezwać policję. I lekarza.

Stało się tu coś strasznego, i miało to związek z Kenem. A Jenna wyjechała razem z nim, nie wracała już od wielu godzin i nie można się było z nią skontaktować.

Nigdy jeszcze tak bardzo się o nią nie bał.

Sądzę, że to podświadomość nie dawała mi spokoju. Nieustannie zmuszała mnie, bym otworzyła oczy, obudziła się, odzyskała jasność umysłu. Ja równie zawzięcie broniłam się przed tym. Czułam ogromny ból, z trudem łąpałam powietrze, huczało mi w głowie, a skóra na mojej twarzy paliła jak ogień. Chciałam zasnąć. Nic, tylko zasnąć i zapomnieć. Mimo oszołomienia uświadamiałam sobie, że przebudzenie będzie oznaczać powrót do owej groźnej, niebezpiecznej, wręcz beznadziejnej sytuacji. Nie chciałam tego. Chciałam trwać w stanie zamroczenia, który chronił mnie przed wszelkimi nieprzyjemnościami.

Czułam zimno, wszystko wokół mnie było mokre. Woda chlupała o mój podbródek, o moje usta. Ułożyłam głowę na wyprostowanym ramieniu, żeby znalazła się wyżej i bym nie zachłysnęła się wodą. Leżałam w wielkiej wannie, przepelnionej dawno już ostygłą wodą. Nie mogłam się jednak z niej wydostać. Brzeg był zbyt wysoki. Poza tym miło było w niej leżeć i śnić.

Po krótkim czasie woda znów dotarła do mojej twarzy. Nadeszła chwila, w której nie mogłam już dłużej oddawać się marzeniom o wannie. Woda wdzierła mi się do ust i nosa, lodowata, słona, morska woda. Zakasłałam, plułam. Usiadłam.

Uciekaj stąd! – syknęła moja podświadomość.

Nie rozkazywałam jej już dłużej, by wreszcie zostawiła mnie w spokoju. Zrozumiałam, że może jednak ma rację.

W głowie pulsował mi ból, nie mogłam unieść lewej powieki, pewnie była napuchnięta i zaklejona. Całą lewą stronę twarzy miałam zdrętwiałą, ale tylko na powierzchni. Miałam wrażenie, że pod skórą żadna kostka nie jest na swoim miejscu. Przypomniałam sobie zadany przez Kena cios pięścią. Powoli powracały obrazy, pamiętałam mój

błyskawiczny unik, który być może uratował mi życie. Mimo to jego pięść mnie dosięgła, i to z siłą, która pozbawiła mnie przytomności. To chyba powoli stawało się zwyczajem Kena: zabijanie jednym uderzeniem lub pozbawianie przytomności kobiet, które mu nie odpowiadały.

Ostrożnie uniosłam dłoń, dotknęłam policzka. Nie potrafiłam stwierdzić, czy doszło do złamania, w każdym jednak razie moja twarz była spuchnięta, poraniona i pokryta zaschniętą krwią. Mając do tego napuchnięte oko, wyglądałam pewnie jak siedem nieszczęść.

Nie to wszakże było moim największym zmartwieniem.

Rozejrzałam się wokół. Jaskinia niemal w całości wypełniła się już wodą, ponad jej powierzchnią pozostała jedynie niewielka przestrzeń. Przy tym targane przez wiatr fale uderzały o skały z taką siłą, że nie miałam wątpliwości, iż ucieczka stąd wplaw nie ma najmniejszego sensu. Nie wydam się z nadbrzeża. Porwą mnie fale i roztrzaskają o klifowe skały. Przyptyw miał w sobie niesamowitą siłę, byłam wobec niej bez szans.

Przykucnęłam na najwyższej skalnej półce jaskini, lecz poziom wody wciąż się podnosił, sięgał już mojej talii. Nie mogłam stanąć wyprostowana, nie miałam dość miejsca nad głową, gdzie zaczynało się ostro postrzępione sklepienie. Nie wiedziałam, ile jeszcze czasu upłynie, nim woda całkowicie wypełni jaskinię, było jednak jasne, że nie potrwa to długo.

Odwróciłam się ostrożnie, bardzo powoli, gdyż ból zbyt mocno pulsował w mojej głowie, bym mogła wykonywać szybsze ruchy. Wzdrygnęłam się oślepiona blaskiem słonecznego światła, które wnikało do wnętrza jaskini ponad powierzchnią ciemnej, groźnie bulgoczącej wody. Poświata sprawiała mi tak ogromny ból, że musiałam na chwilę zamknąć również zdrowe oko. Siedziałam na mojej skalnej półce niby jakiś mały, ślepy kret, czując, jak poziom wody się podnosi. Zaczęło mnie ogarniać zwątpienie. Nie uda mi się. Droga powrotna była odcięta, przyptyw zbyt silny. Będę tu siedzieć, dopóki się da. A potem utonę. W męczarniach, z pełną świadomością.

Lepiej by było, gdyby Ken od razu mnie zabił. Po prostu szybciej bym zginęła. Nie powinnam była unikać ciosu.

Ken jakoś się stąd wydostał, i to nie tak dawno temu, sprawdź więc, czy jest to możliwe – odezwał się znów mój wewnętrzny głos. – Jeśli on podolał, podolasz i ty!

Nie napawało mnie to zbyt dużym optymizmem. Ken znał tę okolicę, ja nie. Poza tym poziom wody znacznie się tymczasem podniósł. Teraz być może nawet Ken nie zdołałby się już wydostać z tej śmiertelnej pułapki.

Mimo to otworzyłam oko i przeczłogałam się kawałek w stronę wyjścia. Wielokrotnie zbryzgała mnie morską pianą. Byłam przemoknięta do suchej nitki, dlatego marzłam. Gdy tylko woda nieco się cofała, by po chwili znów napłynąć, rączkowałam spiesznie naprzód. Kiedy nadciągała kolejna fala, kuliłam się, przywierając całym ciałem do ściany, oburącz obejmowałam głowę, nie próbując przedzierać się przez napierającą wodę. Moje położenie było zbyt ryzykowne. Mogłabym stracić orientację i spaść ze skalnej półki, na wpół ślepa i oszołomiona albo też siła wdzierającej się wody mogłaby mnie porwać. Powoli, męcząco powoli dotarłam do wyjścia z jaskini. Przede mną rozciągało się morze. Ani śladu niewielkiego skrawka plaży, po której uprzednio przeszliśmy suchą stopą. Jakby jej tu nigdy nie było. Pochłonał ją przypyływ. Tak jak teraz pochłonie jaskinię.

Mnie w swoje szpony nie dostanie.

Ostrożnie wyrzałam na zewnątrz. Jak okiem sięgnąć ani śladu Kena, nic dziwnego, już dawno schronił się w bezpiecznym miejscu. Prawdopodobnie pojechał samochodem Garretta... Dokąd? Miał opuścić Anglię. Co się stało z jego dziećmi? Na dziś zaplanował swą ucieczkę, potrzebował wystarczająco dużej przewagi, nim ktoś odkryje, że się ulotnił. Oznaczało to, że musiał w jakiś sposób uspokoić dzieci, żeby mieć czas dostatecznie się oddalić, zanim z płaczem pójdą do sąsiadów, wygłodniałe albo wystraszone, albo jedno i drugie. *Śpią*, powiedział. Miałam głęboką nadzieję, że tak było w istocie. *Śpią* mogło też być synonimem czegoś gorszego. Po Kenie spodziewałam się już

wszystkiego.

O dzieciach pomyślisz później, Jenno. Nie pomożesz im, jeśli tu utoniesz. Musisz się wspiąć po tej choleralnej skalnej ścianie!

Miałam nadzieję, że zdołam jakoś dotrzeć do tych tak zwanych schodów, po których uprzednio zesliśmy. Były strome i dość niebezpieczne, lecz dawały szansę na postawienie stopy na pewnym i przede wszystkim trwałym gruncie. Teraz jednak rozumiałam, że to niemożliwe. *Schody* znajdowały się naprzeciwko jaskini, ściana obok była śliska, pozbawiona występów czy szczelin, czegokolwiek, na czym można by oprzeć stopę, czego można by się uchwycić. W dole, tam gdzie od dawna szumiała już woda, powyżej skrawka plaży, pewnie istniała możliwość przedostania się przez zalaną falą przyływu zatokę. Tymczasem zniknęła jednak w głębinie.

Stałam na chwiejnych nogach, wyprostowałam się. W miejscu, w którym się znajdowałam, skalna półka sterczała na zewnątrz, stąd miałam nad głową wolną przestrzeń. Kurczowo trzymałam się nierówności ściany, usilnie się starałam nie patrzeć w dół, w morskie głębiny. Dla człowieka, który przez całe życie zmagał się z zawrotami głowy, sytuacja ta przypominała nieomal groteskowy horror. Gdyby ktoś mnie zapytał o najgorszą rzecz, jaka mogła mnie spotkać, przytoczyłabym tę właśnie scenę: oto stoję na wąskiej skalnej krawędzi w sięgającej łydek wodzie, pode mną pieniające się z hukiem fale, burzowe niebo nad głową, przede mną zaś stroma skalna ściana. Nawet w stanie pełnej sprawności byłabym przekonana, że nie wydostanę się stąd żywa. A przecież zostałam ciężko poturbowana: nadal widziałam tylko na prawe oko, ból głowy i twarzy doprowadzał mnie wprost do obłądu. Mdlilo mnie, nogi odmawiały posłuszeństwa, ręce mi drżały. Byłam okropnie spragniona. Nigdy jeszcze nie czułam się tak źle na ciele. I w tym akurat stanie miałabym próbować wspiąć się po stromej skalnej ścianie? Bez liny, bez żadnego zabezpieczenia?

Osunęłam się na kolana, obojętnie pozwoliłam, by obmyła mnie piana następnej fali. Ja tutaj umrę. Dzień po moich trzydziestych trzecich urodzinach.

Zacząłam płakać. Ścisłe mówiąc, moje prawe oko wypełniło się łzami. Lewe nie zdołało. Jedyne morderczo paliło. Nawet szloch sprawiał zbyt wielki ból, bym mogła mu się poddać.

Stłumiłam łzy. Uniosłam głowę, spojrzałam w górę. Ściana nade mną była niezwykle stroma, lecz niezupełnie gładka. Napierające morze sprawiło, że skały stały się szorstkie i ostre, kryły karby i zagłębienia. Lecz gdzie można by stosunkowo pewnie postawić stopę? Widziałam jedynie miejsca stanowiące ledwie podparcie dla palców stóp i umożliwiające wciśnięcie dłoni w miniaturową szczelinę.

Kolejna fala przyływu uderzyła z taką wściekłością, że omal mnie nie porwała. Zrobiło się zbyt niebezpiecznie, by tu pozostać. Jeśli wpadnę do wody, fale roztrzaskają mnie o skały. Musiałam rozpocząć wspinaczkę, i to bez wyznaczonej uprzednio trasy. I tak żadna trasa nie istniała. W każdym momencie będę musiała decydować, co dalej.

Zacząłam się wspinać.

Od kiedy w wieku lat osiemnastu opuściłam znienacka dom rodzinny i zniknęłam na zawsze, każdego roku wysyłałam mojej matce dwie kartki – nie zdradzając w nich, gdzie przebywam ani też jak mogłaby się ze mną skontaktować. Chodziło mi jedynie o to, by dać jej jakiś znak, żeby nie myślała, że przydarzyło mi się coś złego albo że już nie żyję. Pisałam zawsze, że dobrze mi się wiedzie i żeby się o mnie nie martwiła. Jedną kartkę wysyłałam w grudniu na jej urodziny – tym samym załatwiałam sprawę bożonarodzeniowych życzeń – drugą zaś w czerwcu przy okazji moich urodzin. Ze względu na zaistniałe okoliczności w tym roku o tym zapomniałam. Kiedy powoli, milimetr po milimetrze, dotykając i wypróbowując każdy kamień, wspinałam się w górę, zastanawiałam się, czy zauważyła już brak urodzinowej kartki ode mnie i czy ją to zirytowało. Jeślibym miała w paru słowach scharakteryzować moją matkę, powiedziałabym: zgorzkniała, nieczuła, oziębła, surowa. Nie mogłam sobie wyobrazić, by popadła w rozpacz tylko dlatego, że nie dawałam znaku życia, lecz bądź co bądź zawsze widziałam jedynie jej fasadę. Być może skrywał się za nią zupełnie inny człowiek – kobieta, którą może była, zanim w zbyt młodym wieku

owdowiała i została sama z córką, która w niczym nie spełniła jej wyobrażeń i pragnień. Moja matka tak niewiele o sobie opowiadała, że właściwie nie znałam jej dobrze. Nadto nie wiedziałam, jak się miewa. Być może od dawna już nie żyła, być może wegetowała gdzieś ciężko chora. Być może kartki ode mnie były dla niej jedynym oparciem. Być może traktowała je z całkowitą obojętnością.

Przyrzekłam sobie, że jeśli przeżyję, niezwłocznie do niej napiszę. Powiadomię ją, gdzie przebywam, i zapytam, czy mogłybyśmy się spotkać. Dziwne, lecz kiedy tak pięłam się krok po kroku w górę, usiłując nie patrzeć w dół i z zaciśniętymi zębami ignorować ból oraz narastające osłabienie, uchwyciłam się myśli o matce. Zawsze się starałam nie przywoływać jej w pamięci, przez piętnaście długich lat, gdyż przepęłniały mnie wówczas myśli pełne nieuchronnej wściekłości i gniewu. Kołatały mi się w głowie wspomnienia zbyt wielu przykrości, jakie mi wyrządziła, zbyt wielu chwil, w których mnie odrzucała i nie wykazywała najmniejszego zrozumienia dla moich potrzeb. Pisałam do niej kartki, uciszając tym własne wyrzuty sumienia, każdą inną myśl o niej natychmiast od siebie odpędzałam.

Przyklejona do tej przekłętej stromej ściany, ranna, u kresu sił, z mizerną nadzieją, że kiedykolwiek zdołam dotrzeć na szczyt, instynktownie wiedziałam jednak, że muszę zająć czymś myśli, gdyż spadnę w dół, jeśli zbyt intensywnie będę rozmyślać o rzeczywistości. A rzeczywistość wyglądała tak: nie miałam żadnego doświadczenia we wspinaczce, była to moja pierwsza próba wejścia po klifie, morze pode mną wściekle uderzało o brzeg, szarpały mnie poddmuchy wiatru. Jeślibym pozwoliła, by owe fakty zawładnęły moim umysłem, straciłabym wszelkie oparcie. To nie przypadek, że w poszukiwaniu tematów zastępczych powróciłam myślą akurat do mojej matki: cokolwiek złego by o niej powiedzieć, była moją matką. Na swój własny sposób troszczyła się o mnie, wychowywała mnie, ciężko pracowała, żeby nas obie wyżywić i od czasu do czasu spełnić jedno z moich życzeń – nowe kredki albo książka, później modne džinsy albo para butów, która mi się spodobała. Zawsze potrafiła zepsuć mi radość z tych

prezentów, bo chociaż wręczała mi pieniądze, to jednak w mocnych słowach atakowała moją chciwość oraz żądzę ich posiadania. Mimo to zawsze przykładła wagę do tego, bym zbyt nie odstawała od innych dzieciaków czy nastolatków. Być może po to, by nie ujawniać naszej biedy. A może jednak w jej sercu krył się gdzieś zakątek, który się radował, gdy widziała mój rozpromieniony wzrok.

Być może.

Tak czy owak w tej ekstremalnej sytuacji szukałam u niej pomocy, choćby tylko analizując nasze stosunki i snując plany ponownego spotkania. Wydawało się, że mimo wszystko żywię do niej zaufanie. Zaufanie, że myśl o niej pomoże mi dotrzeć na szczyt.

Czasem spod moich stóp odrywały się małe kamyki i toczyły w dół. Za każdym razem całe ciało oblewał mi wtedy pot, wstrzymywałam oddech i przywierałam do skały. Moje dłonie wilgotniały także od wewnętrznej strony, musiałam odczekać, aż przynajmniej częściowo wyschną, zanim poszukam następnego miejsca, w którym mogłabym oprzeć palce. Istotnie, zawsze coś znajdowałam, jakiś występ skalny, wąski podest, na którym mogłam postawić stopę.

W końcu dotarłam do niecki w ścianie, dość szerokiej i głębokiej, porośniętej nawet mchem. Poczulałam się na tyle pewnie, że odważyłam się spojrzeć w dół, by sprawdzić, jak wysoko już weszłam. Natychmiast dostałam takich zawrotów głowy, że musiałam zamknąć moje jedyne sprawne oko i stłumić w sobie atak najdzikszego kołatania serca. Odkryłam jednak, że pokonałam naprawdę spory dystans. W tym miejscu fala przyływu już mnie nie dosięgnie, mimo to nie mogłam tu pozostać. Problem w tym, że siły fizyczne błyskawicznie mnie opuszczały. Byłam odwodniona, a do tego osłabiona po zadanych mi przez Kena ciosie. Zastanawiałam się przez chwilę, czy nie przeczekać w tej niecce, aż fala przyływu opadnie, a następnie zejść w dół i spróbować wspiąć się na górę po *schodach*. Minie jednak wiele godzin, zanim znów można będzie stanąć na piaszczystej plaży. Obawiałam się, że tyle czasu nie przetrzymam.

Odważyłam się spojrzeć w górę. Od krawędzi klifu dzieliło mnie

ledwie parę metrów, jednakże ten ostatni odcinek będzie najtrudniejszy. Skalna ściana tworzyła w tym miejscu wgłębienie, po czym ponownie się wybrzuszała i przechodziła w krawędź klifu. Była w tym miejscu mocno – znacznie bardziej niż na całym dotychczasowym odcinku – poprzecinana szczelinami, które stanowiły oparcie dla rąk i stóp. Byłabym jednak zmuszona zawisnąć na kilka sekund lub minut nad przepaścią, zwrócona plecami w dół, zanim zdołałabym – miałam przynajmniej taką nadzieję – podciągnąć się na rękach do samej krawędzi klifu. A przy tym nie miałabym na górze niczego, czego mogłabym się przytrzymać. Może jakąś kępkę trawy.

Ona zaś, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, nie zdołałaby utrzymać mojego ciężaru.

Fala potu oblała tym razem także moją twarz, powlekając skórę cienką, zimną błoną.

Nie dam rady. To nie może się udać.

Spojrzałam ku *schodom*. Gdyby tutaj, na górze, udało mi się to, co na dole stało się niewykonalne, to znaczy dotrzeć do stopni schodów, mogłabym stosunkowo wygodnie pokonać ostatni odcinek. Śmiały to plan, lecz prawdopodobnie mniej ryzykowny niż poprzedni sposób.

Dobrze, Jenno, okay, tylko nie trać teraz nerwów. Dobrze ci do tej pory poszło. Cholernie dobrze. Dasz radę.

W tej właśnie chwili dotarło to do mnie. Przez ułamek sekundy, tak krótki, że zaraz potem sądziłam, że to tylko złudzenie, poczułam zapach papierosa. Wydawało mi się, że wśród przenikającego wszystko zapachu morskiej wody, alg, wilgoci i soli wyczuwam woń papierosowego dymu.

Bzdury. Zapomnij. Tylko ci się wydawało.

W następnej chwili przeleciał tuż obok mnie. Papieros. Właściwie niedopałek, jeszcze się żarzący. Prawie we mnie trafił, lecz jednak przefrunął obok i zniknął w morzu.

Tym razem wiedziałam, że wcale się nie myliłam.

Tam na górze ktoś stoi.

I pali papierosa.

Z początku opanowało mnie uczucie niezmiernej ulgi. Oto wędrowiec, który mi pomoże. Nie byłam już sama na tym pustkowiu i w tej okropnej sytuacji. Tam na górze jest *człowiek*. Może sprowadzić pomoc, straż pożarną, policję, straż przybrzeżną, kogokolwiek.

Już otwierałam usta, żeby głośnym krzykiem zwrócić na siebie uwagę. W ostatniej jednak chwili je zamknęłam. Powstrzymał mnie instynkt, nieomal przytłaczające przeczucie nagłego niebezpieczeństwa.

A co, jeśli to Ken?

Ken, który chciał mieć stuprocentową pewność. Któremu nie wystarczyło mnie powalić uderzeniem i pozostawić w jaskini. Który upewniał się, że rzeczywiście nie będę już mogła mu zagrozić.

Ken, który czeka tam na górze, aż fale przyływu całkowicie zaleją jaskinię, który się upewnia, że nie zdołałam jakimś sposobem dotrzeć do *schodów*. Jeśli tak było w istocie, mogłam tylko dziękować Bogu, że droga do schodów została odcięta. Już dawno by mnie tam wypatrzył i podjął stosowne środki. Wyszedłby mi naprzeciw i jednym celnym kopniakiem wysłał mnie w przepaść. Zupełnie u kresu sił, nie zdołałabym mu się przeciwstawić.

Nie mogłam ryzykować, że wydam z siebie jakiś dźwięk. Obleciał mnie strach na myśl o tym, że nie spodziewając się niczego złego, kontynuowałabym wspinaczkę i nagle znalazła się w zasięgu jego wzroku. W miejscu, w którym obecnie stałam, nie mógł mnie łatwo dostrzec, musiałby się wychylić bardzo daleko poza krawędź klifu. Prawdopodobnie w ogóle się mnie w tym miejscu nie spodziewał. Obserwował *schody*.

Jak długo będzie to robił?

Na pewno nie bez końca, to oczywiste. Musiał stąd odejść. Jednakże w tej chwili nikt tak naprawdę za nim nie podążał. Jedyne Garrett wiedział, że pojechałam do niego, będzie co prawda wściekły, że na tak długo został pozbawiony samochodu, nie będzie jednak podejrzewał żadnego przestępstwa, z powodu którego miałyby powiadomić policję.

Pozostały jeszcze dzieci. Co Ken z nimi zrobił? Czy mogły stanowić dlań zagrożenie? Mogłam jedynie mieć taką nadzieję.

Może wyrzucił niedopałek i ruszył w drogę.

A może nadal tam stoi.

Huk kipieli był tak donośny, że niczego nie usłyszę, prawdopodobnie nawet wtedy, gdy sobie kichnie albo zakaszle.

Nie usłyszę też, kiedy odjedzie samochodem. Stał za daleko.

Zdrętwiała ze strachu i przerażenia, przykucnęłam w tej maleńkiej, porośniętej mchem niszy. Dygotałam na całym ciele ze strachu, osłabienia i zimna. Jak długo przyjdzie mi czekać?

Jak długo *on* będzie czekał?

Bran Davies żywił niechęć do przyjeżdżających do Cardigan Bay obcych, którzy wałęsali się po okolicy, głośno zachowywali i co najgorsze, rozrzucali wszędzie puszki po coli i niedopałki papierosów. Żona często mu powtarzała, że nie powinien tyle przeklinać i psioczyć, gdyż wielu ich sąsiadów żyje z turystyki, pracuje w hotelach albo wynajmuje przyjezdnym pokoje. Mimo to Bran odnosił się do nich z nieufnością. Uważał, że ludzie zatracili gdzieś styl, dobre wychowanie oraz wycucie stosownego postępowania, i nie przestanie darzyć ich podejrzliwością. Nieważne, co na to jego żona.

Dostrzegł tego mężczyznę już z daleka, od razu mu się nie spodobał. Nie było w tym nic niezwykłego, gdyż w zasadzie nie podobała mu się większość ludzi. Ten człowiek wzbudził w nim jednak uczucie wykraczające poza jego zwyczajową awersję wobec obcych. Miał w sobie coś... Bran, gdyby nie wydało mu się to śmieszne, mógłby powiedzieć: miał w sobie coś niebezpiecznego. A przynajmniej coś przejmującego grozą.

Od pewnego czasu stał dość blisko krawędzi klifu, miotany przez podmuchy silnego wiatru, i gwałtownie zaciągał się papierosem. O ile Bran mógł dostrzec, sprawiał wrażenie dość wychudzonego, niemal *obdartusa*, niechlujnie ubranego, brudnego. Wlepił wzrok w punkt znajdujący się poniżej jego stóp. W jego postawie i zachowaniu kryło się coś dziwnego, lecz Bran nie potrafiłby tego dokładnie sprecyzować. Nad klifami często przystawali wędrowcy, spoglądając w morze w nadziei, że dostrzegą przepływające czasem w oddali wieloryby. Na płaskowyżu wypoczywali turyści, wyczekując, aż nadejdzie odpływ; szli wówczas popływać. Bran widywał już grupy ludzi urządzających pikniki. Kiedy odchodzili, sprawdzał rzecz jasna

nieufnie, czy nie porzucali w trawie resztek jedzenia, plastikowych toreb, puszek po piwie i papierowych talerzy. Nie jeden raz tak się zdarzyło. Zastanawiał się wówczas, czego ich uczono w dzieciństwie.

Ale ten mężczyzna... Nie był wędrowcem. Nie przyszedł także po to, by wypatrywać wielorybów. Nie podziwiał spektaklu nadciągającego przyływu, gry barwnych odcieni wody ani ogromu i wspaniałości otaczającej go przyrody. Nawet z pewnej odległości Bran odniósł wrażenie targającego nim wewnętrznego napięcia, nerwowości. Ten człowiek był z jakiegoś powodu zupełnie skołowany. I dlaczego nieustannie gapił się w dół?

Wyrzucił niedopałek papierosa w morze, zapalił następnego, udało mu się to dopiero po kilku próbach. Z powodu wiatru, lecz także z powodu drżenia rąk. Tak się przynajmniej Branowi wydawało.

– Z nim coś jest nie tak – powiedział do Robby'ego, swojego psa myśliwskiego w brązowo-białe cętki, który siedział obok i uważnie mu się przypatrywał. – Mijmy nadzieję, że nie zamierza skoczyć!

Robby zamerdał ogonem.

Samobójcy Bran jeszcze na klifach nie widział, toteż nie wiedział, jak się taki człowiek zachowuje. Zapewne *dziwnie*. Tak jak ten mężczyzna.

Bran postanowił podejść do niego bliżej.

Z pewnej odległości zauważył zaparkowany samochód, pozostawiony na środku prowadzącej przez łąkę ścieżki. Pewnie należał do tego dziwaka.

Robby uniósł łeb i zaszczekał. Mężczyzna na skraju klifu drgnął i odwrócił się. Widocznie do tej pory nie zauważył, że nie jest tutaj zupełnie sam. Spojrzał na Brana, po czym wyrzucił do morza dopiero co zapalonego papierosa i zawrócił. Bran utwierdził się w przekonaniu, że z tym człowiekiem coś jest nie tak. Dlaczego wręcz w popłochu odszedł z klifu, ujrawszy w oddali starszego mężczyznę z psem?

Kierował się w stronę samochodu. Aha, a więc Bran się nie mylił. Facet przyjechał tu prawdopodobnie nie tylko po to, by stać przez pół godziny nad urwiskiem, zapalić papierosa i patrzeć w dół jak urzeczony. Coś go musiało tu przygnąć... Bran odczekał, aż samochód

zawrócił i odjechał. Z nadmierną prędkością. Temu obcemu cholernie się spieszyło, żeby stąd zniknąć.

Bran ruszył z zaciekawieniem ku miejscu, w którym mężczyzna dopiero co stał. Znał tę okolicę jak własną kieszeń, całe życie spędził w Cardigan, każdego dnia, bez względu na aurę, przemierzał ten płaskowyż ze swoimi psami. Wiedział, że da się tędy zejść na dół, do niewielkiej zatoki, w której można się nawet kąpać. Czasem robił tak za młodych lat. Teraz jednak zeszytywniałe kości nie pozwalały mu na zejście i wspinaczkę po stromej ścianie.

Podszedł do krawędzi klifu. Robby stał tuż obok. Zjeżyła się sierść na jego grzbiecie. Cicho warknął.

– Spokój. Tylko spokojnie! Co tam masz? – Może psu nie spodobał się zapach obcego człowieka. Był naprawdę dziwny.

Bran spojrzał na prowadzące w dół kamienne schody. Nie dostrzegł niczego, co mogłoby tak mocno przykuć uwagę tego dziwaka. Skały. Pomiedzy nimi kilka kwiatów. Mech pleniący się w szczelinach. W dole morze. Przyptyw osiągnął punkt kulminacyjny. Kipiel bryzgała w górę żółtawymi fontannami piany. Woda przybrała barwę szarego, pochmurnego nieba.

Nachylił się nieco bardziej. Zgodnie z przewidywaniami ani śladu piaszczystej plaży.

Robby znów warknął, a potem zaczął szczekać. Bran znał go wystarczająco długo, by wiedzieć, że nigdy nie szczekał bez powodu.

– Już dobrze, Robby. Coś ci przeszkadza, tak?

Pies szczekał coraz głośniejsze. Zdawał się czymś rozdrażniony. Gwałtownie merdał ogonem.

Bran jeszcze bardziej wychylił się ponad krawędzią klifu, choć nie chciał ryzykować upadku w przepaść. Skały w tym miejscu sterczały dość daleko w morze, potem się cofały i opadały w dół do niewielkiej zatoki. Nie sposób było tędy zejść. Każda taka próba groziła śmiercią.

Nagle odniósł wrażenie, że coś jednak dostrzega. Coś czerwonego, czego nie potrafił określić. Coś tkwiło przy skalnej ścianie. Zdecydowanym ruchem położył się na ziemi i ponownie wychylił przez

krawędź klifu. Ta pozycja pozwoliła mu wysunąć się dalej niż mógłby to zrobić na stojąco. Robby nie przestawał szczeekać.

– To niemożliwe! – Bran nie mógł uwierzyć własnym oczom. Zobaczył kobietę. Ubraną w dzinsy i czerwony T-shirt. Przykucnęła na małym skalnym występie, prawdopodobnie znalazła oparcie dla stóp tylko dlatego, że znajdował się on pośrodku zagłębienia. Przywarła mocno do skalnej ściany. Patrzyła w górę w jego kierunku.

Jakim sposobem, na miłość boską, zdołała *tam* wejść?

– Ma'm? – zawołał. Jako że nic innego nie przyszło mu do głowy, dodał: – Czy wszystko w porządku?

Nie odpowiedziała, lecz zdawało mu się, że skinęła głową. Czy ten dziwny facet ją tam zepchnął? Bran nie miał pojęcia, jak udało jej się wejść na ten miniaturowy występ skalny.

Ostrożnie odwrócił głowę. Ten człowiek mógł być bardzo niebezpieczny, nie chciał, by go nagle zaskoczył od tyłu.

Nikogo jednak, jak okiem sięgnąć, nie było w pobliżu.

Bran ponownie zwrócił się w stronę kobiety.

– Pomogę pani wejść na górę! – zawołał. Lecz nie wiedział, jak by miał tego dokonać. Nie posiadał telefonu komórkowego, gdyż nie akceptował tych nowomodnych bzdur. Nie mógł więc zadzwonić po pomoc.

– Sprowadzę pomoc! – krzyknął. – Potrzebuję jakieś trzydzieści minut, by dotrzeć do Cardigan. Zdoła pani tyle wytrzymać?

– Nie. – Po raz pierwszy dosłyszał jej głos. Brzmiał słabo. – Nie. Proszę mi pomóc. Nie mam już sił.

– Okay! Okay! – Cofnął się i otarł pot z czoła. Robby przestał szczeekać. Siedział w trawie i patrzył wyczekująco na pana.

Bran wstał i podszedł do schodów. Uznał, że jedynym sposobem uwolnienia kobiety będzie zejście kawałek w dół po stopniach, aż znajdzie się na tej samej co ona wysokości. Następnie będzie się musiała postarać wyciągnąć ku niemu rękę. W połowie odległości będzie mógł – miał taką nadzieję – chwycić jej dłoń. Było to niebezpieczne, wydawało mu się jednak mniej ryzykowne niż gdyby zachęcał ją do podjęcia

dalszej wspinaczki w górę, gdzie mógłby ją wciągnąć za rękę przez sterczący występ skalny. Prawdopodobnie oboje spadliby wówczas w przepaść.

Wydawało mu się, że jak na swój wiek dość dobrze sobie radzi z zejściem. Oczywiście miał tę przewagę, że dawniej często się tędy wspiął. Przystanął na szerokiej, solidnej skalnej półce. Znajdował się na tej samej wysokości co kobieta.

Domyśliła się, co zamierzał zrobić, wyprostowała się. Mógł się jej teraz lepiej przyjrzeć: dygotała na całym ciele, jej ubranie było przemoknięte do suchej nitki, coś się stało z jej twarzą. Miała zapuchnięte oko, policzki nabrzmiałe. Na nosie zaschniętą krew.

– Wspięła się tu pani z samego dołu? – zapytał.

Skinęła.

Brana przeszedł dreszcz, gdy spojrzał na trasę, jaką musiała pokonać. Ta kobieta bez wątpienia miała więcej niż tylko jednego anioła stróża.

– Spokojnie – powiedział. – Proszę spróbować przesunąć się powoli w moim kierunku. To tylko parę kroków, a będę mógł panią przytrzymać.

Skierowała wzrok ku górze.

– Czy poszedł sobie?

Miała na myśli tego dziwnego człowieka.

– Odjechał samochodem. Nie wróci niezauważony, bez obaw. Na górze został mój pies. To on panią znalazł i ostrzeże nas, jeśli pani mąż znów się pojawi.

– To nie jest mój mąż – wyjaśniła. Odwróciła się twarzą do skalnej ściany i zaczęła ostrożnie przesuwać. Z wyraźnym trudem przyszło jej opuścić skalny występ, który dawał jej minimalne poczucie bezpieczeństwa, mimo to się przemogła. Ostrożnie, sprawdzając każde podparcie dla stóp, przesuwała się milimetr po milimetrze w kierunku Brana.

Wyciągnął ramię.

– Kiedy już będzie pani mogła dosięgnąć mojej ręki, proszę mimo to

nadal trzymać się skały – ostrzegł – w przeciwnym razie oboje spadniemy. Zrozumiano?

Przytaknęła. Była już na tyle blisko, że mógł zobaczyć, w jak okropnym jest stanie. Dobrze nieba! Albo upadła twarzą na skałę, albo też strasznie stłukł ją ten typ, który nastawał na jej życie.

– Może pani teraz chwycić moją rękę.

Potrzebowała chwili, nim odważyła się oderwać lewą rękę od skały. Prawą nadal się jej kurczowo trzymała. Bran poczuł jej lodowato zimne palce. Ta kobieta musiała być zupełnie wyziębiona.

– Świetnie pani sobie radzi – pochwalił. – Jeszcze tylko kawałek. Nie jest pani sama. Już panią trzymam.

Dotarła do stopnia, na którym stał, i drżąc, osunęła się na kolana. Na szczęście przewidział, że opadnie z sił w chwili, gdy poczuje stosunkowo pewny grunt pod stopami, i był przygotowany na to, by pochwycić cały ciężar jej ciała. Trzymał ją mocno, aż przysiadła na stopniu tuż obok niego. Nigdy dotąd nie widział tak rozdygotanego człowieka.

Niezgrabnie przeczesał dłonią włosy.

– Wspaniale się pani spisała. Absolutnie wspaniale. Jest pani bezpieczna. Musimy teraz wejść kawałek na górę, ale to już będzie dziecinnie łatwe.

Chciała coś powiedzieć, lecz nie mogła dobyć z siebie głosu. Skryła pokiereszowaną twarz w dłoniach, nie mogła przemóc drżenia.

– Mamy czas – powiedział. Zdjął kurtkę i zarzucił jej na ramiona. Ta kobieta potrzebuje ciepłego koca, gorącej herbaty i lekarza. Najpierw jednak musi odzyskać nieco sił, by ustać na nogach.

Przykucnął obok niej.

– Jak się pani nazywa?

– Jenna.

– Jenno, dokonała pani rzeczy niepojętej. Proszę teraz odpocząć. Kiedy nie będzie już pani tak dygotać, wejdziemy na samą górę. Okay?

Usiłował tchnąć w nią tyle otuchy, ile tylko zdołał. Otuchy bowiem potrzebowała teraz bardziej niż czegokolwiek innego.

Robby spoglądał na nich z góry, merdając ogonem.

Wspaniały pies. Gdyby nie jego uparte szczekanie, nie znalazłby tej kobiety. Bran był też dumny z siebie: znajomość ludzkich charakterów go nie zawiodła.

Z tym mężczyzną rzeczywiście coś było nie tak.

Poszliśmy do mojego mieszkania, gdyż Matthew koniecznie chciał uniknąć kondolencji składanych przez sąsiadów. Tworzyliśmy dziwaczne trio: Matthew, Garrett i ja. Mężczyźni w czarnych garniturach, ja w niestosownej czarnej sukience, którą już drugi raz w ciągu krótkiego czasu musiałam włożyć przy smutnej okazji. Tym razem jednak złagodziłam nieco efekt, zarzucając na wierzch schludny blezer. Wzięliśmy udział w uroczystości żałobnej zorganizowanej dla Vanessy przez uczelnię, lecz wyszliśmy jeszcze przed jej oficjalnym zakończeniem. Matthew co prawda przetrzymał jakoś nabożeństwo oraz wygłoszone po nim liczne mowy, nie chciał wszakże później z nikim rozmawiać. W zachowaniu wielu osób, z którymi się spotkał przez ostatnie dni, wyczuwał sporą dozę voyeuryzmu, a to doprowadzało go do wściekłości. Miał po części rację, rzeczywiście niektórzy dostawali dreszczyku, rozmawiając z mężem kobiety, która straciła życie w tak przerażający sposób, kilku próbowało nawet wypytywać go o jakieś okropne szczegóły. Wielu jednak było moim zdaniem szczerze wstrząśniętych i chciało mu okazać swoje współczucie. Było mi przykro, gdy widziałam, jak oschle się do nich odnosi. Unikanie wszystkiego i wszystkich było teraz z całą pewnością najlepszym rozwiązaniem. Postanowiliśmy wyjechać dzień po uroczystości, dokądkolwiek, bez konkretnego celu, i spędzić dziesięć dni w najdzikszej głuszy, jaką uda nam się znaleźć. Tylko Matthew, ja i Max. Matthew wziął urlop, ja wciąż byłam na zwolnieniu, choć i tak miałam zamiar złożyć w „Healthcare” wypowiedzenie. Co miałabym tam robić bez Alexii? Poza tym powzięłam niezłomne postanowienie: jesienią rozpocznę studia.

Garrett nareszcie wróci do Brighton. Wciąż pozostawał w Swansea,

nie potrafiąc podać po temu żadnego uzasadnionego powodu prócz tego, że zamierza wziąć udział w uroczystości żałobnej ku czci zupełnie nieznanego mu Vanessy Willard. Przypuszczałam, że w rzeczywistości chciał się jeszcze trochę nacieszyć własną sławą. Został bohaterem, gdyż odważnie wtargnął do obcego domu i uratował czworo dzieci od niechybnej śmierci – tak przynajmniej to opisywał. Z czasem każdy zaczął wierzyć jego słowom, choć wedle opinii lekarzy trójka najstarszych zdołałaby przeżyć. Ken dosypał im wszystkim do śniadania sporą dawkę środka usypiającego, by zyskać komfortową przewagę podczas ucieczki. Mała Siana istotnie by umarła, gdyby nie udzielono jej szybko pomocy. Garrett udzielał wywiadów prasowych i pozwalał się fotografować. Kiedy my, zszokowani i wciąż jeszcze dość dezorientowani, usiłowaliśmy przetrwać wydarzenia ostatnich tygodni, on był w siódmym niebie, choć starał się nie dawać tego po sobie poznać. Nie brałam mu tego za złe. Ot i cały Garrett. W każdej sytuacji życiowej pozostawał sobą.

– Nie wiem, jak wy się czujecie, ale ja potrzebuję teraz podwójnej whisky – oznajmił, gdy wchodziliśmy do mojego mieszkania. Max, którego umieściliśmy tam z rana, powitał nas tak gwałtownie, jakby nas nie widział od miesięcy.

Był środek dnia, lecz ani Matthew, ani ja nie oponowaliśmy. Uroczystość żałobna była dla nas dość wyczerpująca. Matthew pobladł jak płótno. Miałam nadzieję, że whisky wyczaruje na jego policzkach przynajmniej odrobinę koloru.

Zdjęłam ogromne okulary przeciwsłoneczne, za którymi ukrywałam moją wciąż napuchniętą twarz oraz mieniające się wszelkimi odcieniami oko. Przez prawie cały tydzień wyglądałam naprawdę kiepsko, na szczęście lewe oko, którego z początku w ogóle nie mogłam otworzyć, nie zostało uszkodzone. Wszystkie moje rany się zagoją, żyłam, byłam zdrowa. To cud, o czym tamtego okropnego dnia wciąż mnie zapewniał mój wybawca Bran Davies. Istny cud.

Weszłam za kuchenny blat, wyjęłam z szafki trzy szklanki, wrzuciłam do nich kostki lodu i hojnie napełniłam whisky. Zadzwoiła

komórka Matthew, odebrał i zniknął w sypialni. Nie lubił rozmawiać przez telefon w obecności innych, dobrze już o tym wiedziałam.

Garrett podszedł do blatu, wziął swoją szklanę, zakołysał kostkami lodu.

– I? – zapytał.

– Co masz na myśli?

– Jesteś zdecydowana spędzić z nim – tu skinął głową w kierunku sypialni – resztę życia? Bez żadnego ale?

Nie dawał za wygraną. Uśmiechnęłam się.

– Nie mam pojęcia, co z nami będzie – odparłam. – Najpierw stąd razem wyjedziemy. Jesienią zaczynam studia. Poszukam sobie taniego lokum. On sprzeda swój dom. I zobaczymy, czy dojdziemy do ładu z sobą i z naszą nową sytuacją.

W żadnym razie nie byłam aż tak rozsądna i wyrachowana, na jaką pozowałam, lecz Garrett był ostatnią osobą, której wyjawiałabym moje prawdziwe uczucia. Wiedziałam, że być może Matthew i ja ponownie się utracimy. Los Vanessy został wyjaśniony, lecz na dręczące go od lat pytania Matthew otrzymał odpowiedzi, które ciężko było udźwignąć, trudno było przetworzyć. Nie należało zapominać, że był w złym stanie psychicznym. Nie opowiedział mi o wizycie w miejscu, w którym umarła Vanessa, przyznał tylko, że tam dotarł. Od razu wyczułam, że nie powinnam się dopytywać i drażnić. Lecz to właśnie przysparzało mi zmartwień: Matthew zasklepił się w sobie. Usiłował samodzielnie uporać się z tymi sprawami. To mogło się udać, mogło pozwolić mu odnaleźć spokój. Ale mogło też odsunąć go od innych ludzi – a przede wszystkim ode mnie.

– Przeżywa głęboką traumę – powiedział Garrett – i w najbliższym czasie prawdopodobnie nie będzie w stanie z nikim się związać.

– Garrett – odparłam z naciskiem – to *moja* sprawa. Nie *twoja*.

Uniół ręce w pojednawczym geście.

– Już dobrze, dobrze.

Popijaliśmy whisky. Rozkoszowałam się uczuciem, jakie powoli mnie przenikało: wszystko nieco przyblakło, myśli straciły na ostrości,

problemy odsunęły się nieco na dalszy plan. I całe szczęście, tyle bowiem spraw mnie przytłaczało... Przede wszystkim los dzieci Alexii. Czwórki dzieci, których matka nie żyła, a ojciec wiele lat spędzi w więzieniu. O ile było mi wiadomo, nie miały innych krewnych, a więc trafią pod opiekę państwa. To oznaczało życie w zakładzie wychowawczym. Jeśli dopisze im szczęście, trafią do – miejmy nadzieję troskliwej – rodziny zastępczej.

Ken został aresztowany w drugim dniu ucieczki. W Weymouth próbował wsiąść na prom kursujący do Guernsey, stamtąd zamierzał się przedostać do Francji. Podczas aresztowania nie stawiał oporu, przebywał teraz w areszcie śledczym. Musiał się liczyć z wyrokiem co najmniej piętnastu lat więzienia, być może za dobre sprawowanie zostanie wypuszczony na wolność nieco wcześniej. Myśl, iż zabójca Alexii oraz mój dręczyciel zostanie surowo ukarany, nie dała mi poczucia satysfakcji. Zbyt przerażająca i zbyt bolesna była świadomość, co się stało z tą na pozór szczęśliwą rodziną.

– Cóż – rzekł Garrett – wracam zatem do Brighton. Ale pozostaniemy w kontakcie, dobrze?

– Oczywiście – zapewniłam.

Matthew wyszedł z sypialni.

– Dzwoniła inspektor Morgan. Znaleźli ciało Alexii.

Przełknęłam.

– W kamieniołomie? – zapytałam.

Przytaknął.

– Ken podał jedynie przybliżone dane na temat tego miejsca, lecz wczoraj wieczorem wreszcie ją znaleźli. Wszystko wyglądało tak, jak to opisał Ken.

– Za Alexię – powiedział Garrett unosząc szklaneczkę.

Alexia. Moja najlepsza przyjaciółka. Już zawsze tak właśnie będę o niej myśleć: jako o przyjaciółce. Nawet jeśli prawdą było to, co twierdził Ken: że ostatecznie mnie zniechęciła. Alexię złamało życie. Być może przede wszystkim wymagania, jakie samej sobie stawiała.

– Czy coś nowego w sprawie Ryana Lee? – zapytałam.

Matthew potrząsnął głową.

– Nadal przebywa w szpitalu. Ale wyliże się z tego. Inspektor Morgan poinformuje mnie, kiedy rozpocznie się jego proces.

Matthew koniecznie chciał w nim uczestniczyć. Chciał zobaczyć Lee na własne oczy. Chciał usłyszeć, co ma do powiedzenia. Rozumiałam go, lecz to oznaczało, że znów czekają go ciężkie chwile.

Garrett dolał sobie whisky i z werwą opróżnił drugą szklaneczkę.

– No więc, ruszam w drogę! – oświadczył. Wypił oczywiście za dużo, by móc prowadzić samochód, dobrze go jednak znałam: mimo wszystko to zrobi.

– Nie powinienes teraz prowadzić – poczułam się w obowiązku go ostrzec, lecz on tylko się roześmiał. Od kiedy oficjalnie został bohaterem, czuł się jeszcze bardziej nietykalny niż przedtem.

– A wy od jutra chowacie się przed światem? – upewnił się. Słowa te w jego ustach zabrzmiały tak, jakbyśmy planowali coś obscenicznego. Garrett w takiej sytuacji nie szukałby ciszy i odosobnienia.

– Tak – odparliśmy z Matthew jednogłośnie. Po raz pierwszy od wielu dni Matthew nieznacznie się uśmiechnął, po czym wskazał szklaneczką z whisky w moją stronę. – Proszę tylko na nią spojrzeć! Kobieta o takim wyglądzie można teraz zabrać jedynie na największe odludzie.

Ja także się uśmiechnęłam. Dość krzywo. Twarz wciąż bardzo mnie bolała.

Matthew, Max i ja odprowadziliśmy Garretta do samochodu. Na pożegnanie wziął mnie w ramiona. Poczułam, że rzeczywiście coś się zmieniło: lubiłam go. Był dobrym przyjacielem. Pragnęłam, by na zawsze nim pozostał. Wspomnienie wszystkich dawnych bolesnych chwil rozplynęło się w powietrzu. Nie było między nami ani krzty rozgoryczenia. Dla mnie samej zabrzmiało to nazbyt teatralnie, lecz... wybaczyłam mu. Naprawdę i ze szczerego serca. Dlatego mogliśmy teraz pozostać prawdziwymi przyjaciółmi.

Obaj mężczyźni pożegnali się dość krótko i chłodno. Garrett wsiadł do samochodu. Pomachałam mu, zanim zniknął za najbliższym rogim

ulicy. Matthew zaczekał na mnie przy drzwiach. Max kopał w ogródku dziurę w ziemi.

– Idziesz? – zapytał Matthew.

Skinęłam głową. Pograżona w myślach zajrzałam do wiszącej obok drzwi skrzynki pocztowej. Wyjęłam z niej list, niebieski, cienki papier, zapisany dość niepewnym, nieporadnym, odręcznym pismem. Rozerwałam kopertę.

I zalałam się łzami. Stałam na stopniach schodów przed domem, w świetle słonecznego dnia, i nie mogłam się powstrzymać. Łzy same napływały mi do oczu. Szlochałam bez końca. Wypłakiwałam łzy minionych lat.

– Co się stało? Na litość boską, co się stało?

Usłyszałam głos Matthew jakby dochodzący z oddali. Poczułam, jak obejmują mnie jego ramiona.

– Jenno, co się dzieje?

Prawie nie mogłam mówić.

– To... to od mojej matki – powiedziałam w końcu. Napisałam do niej. W dzień po moim ocaleniu, tak jak to sobie przyrzekłam na skalnej ścianie.

– Od twojej matki?

– Odpisała natychmiast, Matthew, ona chce się ze mną zobaczyć. Chce, żebym ją odwiedziła!

Patrzył na mnie zmieszany.

Otarłam łzy.

– Matthew, czy moglibyśmy coś zrobić? Zanim zaszyjemy się gdzieś na odludziu... Czy moglibyśmy jechać przez Coventry? I odwiedzić moją matkę? Proszę!

– Oczywiście – odparł Matthew. – I tak nie wyznaczyliśmy sobie żadnego celu. Pojedziemy więc najpierw do twojej matki.

Nadal wydawał się nieco zmieszany. Uświadomiłam sobie, że nigdy mu nie opowiadałam o mojej matce, o naszym rozstaniu, o trwającym całymi latami milczeniu. Tak naprawdę niewiele o mnie wiedział.

– Wejdźmy na górę – zaproponowałam. – Max jeszcze rozkopie cały

ogródek, a wtedy właściciel mnie wyrzuci, zanim zdążę znaleźć coś innego.

Coś innego. Pokój w akademiku albo na stacji. Chciałam opowiedzieć matce o wielu sprawach, ale najpierw przekażę jej wiadomość o zapisaniu się na studia. W tej chwili to właśnie wydało mi się najważniejsze.

Nie łudziłam się, że od razu zapanuje między nami niezwykła harmonia. Moja matka, cóż... kiedy tylko przebywałyśmy razem w jednym pokoju, panowało w nim nieprzyjemne i wysoce wybuchowe napięcie. Mało prawdopodobne, by coś się w tej kwestii zmieniło tylko dlatego, że nie widziałyśmy się długie lata, choć z pewnością spróbujemy zachowywać się wobec siebie z wielką uprzejmością i ostrożnością. Mimo wszystko drzwi, które za sobą zamknęłam, znów się otwarły, a to napełniało mnie miłym uczuciem.

Nadto strasznie byłam ciekawa miny mojej matki, gdy usłyszy, że wreszcie doprowadzam moje życie do ładu.

Od razu rozpoznała Corinne w tłumie ludzi wysiadających z windy i spieszących przez hol Morriston Hospital w kierunku wyjścia. Widziała ją wówczas w Yorkshire na zdjęciu: drobna, miła, trochę niepozorna kobieta o brązowych włosach. Na fotografii jednak się uśmiechała. Teraz wyglądała na stroskaną, zmartwioną. Ramiona miała lekko przygarbione. Dźwigały ogromny ciężar, odbijało się to na sposobie, w jaki szła, trzymała głowę, mocno zaciskając wargi.

Wstała i podeszła do niej.

– Mrs Beecroft?

Corinne przystanąła.

– Tak?

„Ma oczy Ryana – pomyślała Nora – jasne, świetlistobłękitne oczy”.

– Jestem Nora Franklin.

Corinne prawie niezauważalnie cofnęła się o krok.

– Och, Miss Franklin. Tak, wiem, kim pani jest.

Te słowa ją zmroziły. Nora westchnęła. Była zrozpaczona, tak bardzo zrozpaczona, że zastanawiała się, jak zdoła przeżyć każdy następny dzień. Wieczorami po pracy przejeżdżała spory kawał drogi z Pembroke Dock do Morriston w nadziei, że będzie mogła porozmawiać z Ryanem. Przed drzwiami jego pokoju czuwał policjant, prawdopodobnie będzie obecny także podczas rozmowy, to jednak było Norze zupełnie obojętne, jeśli tylko zyska szansę, by mu wszystko wyjaśnić. Błagała policjanta na kolanach, by ją do niego dopuścił, on jednak wyjaśnił, że najpierw musi złożyć w prokuraturze wniosek o pozwolenie na widzenie.

– To niebezpieczny przestępca, *madame* – powiedział urzędnik. Nora odniosła wrażenie, że patrzy na nią litościwie. – Na pani miejscu... – Nie

dokończył zdania, mruknął tylko coś w stylu *nic mnie to nie obchodzi*.

Nora wystarała się o pozwolenie na widzenie z Ryanem za pośrednictwem inspektor Morgan, lecz sam Ryan do tego nie dopuścił. Funkcjonariusz zapowiedział mu wizytę Nory, lecz po chwili wyszedł z pokoju, potrząsając głową.

– Nie chce pani widzieć. Przykro mi.

Walczyła z napływającymi do oczu łzami.

– Czy w ogóle zgadza się na odwiedziny?

– Mr Craig, jego adwokat, często się tu zjawia. A także jego matka. Poza tym nikt nie przychodzi.

Jakimś pocieszeniem była dla Nory świadomość, że przynajmniej Debbie nie siedzi przy jego łóżku i nie trzyma go za rękę, o tym powinna była jednak wiedzieć. Debbie dotarła dalej niż ona, otworzyła skrzynię w jaskini i patrzyła na doczesne szczątki Vanessy Willard. Już nigdy w życiu nie będzie chciała spotkać się z Ryanem twarzą w twarz.

– Mrs Beecroft, jak się miewa Ryan? – zapytała.

Corinne przetarła dłonią czoło. Sprawiała wrażenie wycieńczonej.

– Ledwie może się ruszać. Połamał tyle kości... ale jego stan jest stabilny. Wyzdrowieje, tak twierdzi lekarz.

– Dzięki Bogu.

– I cóż mu z tego? – zapytała Corinne. – Pójdzie na dwadzieścia albo i więcej lat do więzienia. Kiedy wyjdzie na wolność, będzie po pięćdziesiątce. Co wtedy będzie miał z życia? Będzie złamanym człowiekiem. – Zagryzła wargi. Nora zauważyła, że usiłuje zapanować nad sobą i nie wybuchnąć płaczem.

– Nie chce mnie widzieć – wyznała.

– Dziwi to panią?

– Proszę – powiedziała zrozpaczona Nora. – Mrs Beecroft, proszę spróbować mnie zrozumieć...

Corinne przeszła obok niej. Nora bała się, że zwyczajnie, bez słowa opuści szpital, lecz ona osunęła się na ławkę i ukryła twarz w dłoniach.

– Już nie mogę – szepnęła. – Po prostu nie mogę.

– Chciałaby pani może kawy, Mrs Beecroft?

Corinne lekko skinęła głową. Nora pognęła do automatu, przyniosła dwie kawy z mlekiem, usiadła na ławce obok Corinne i wsunęła jej do ręki gorący tekturowy kubek.

– Proszę się napić. To pani dobrze zrobi.

Corinne z wdzięcznością skosztowała napoju.

– To takie straszne – mruknęła – straszne i beznadziejne. – A potem dodała zdanie, które wiele matek, a może nawet większość z nich, wypowiedziałyby w jej sytuacji: – Zawsze dobry był z niego chłopak. Nie wiem, jak to wszystko... – Załamał jej się głos.

– On nie jest zły – zapewniła Nora – nawet dziś.

Corinne spojrzała na nią.

– Dlaczego go pani zdradziła? On pani ufał.

Zarzut ten zdręczał Norę od rana do wieczora. I w nocy, gdy przewracała się w łóżku, nie mogąc zasnąć.

– Za pierwszym razem, kiedy policja przyszła do zakładu kserograficznego i Ryan rzucił się do ucieczki – to nie byłem ja. Zwrócił na siebie uwagę innych ludzi, przesiadując w moim samochodzie; wydał im się podejrzany, dlatego policja chciała go sprawdzić. Mnie samą to zaskoczyło.

– Ale kiedy pani... gdy pani i Debbie...

Przerażające znalezisko w Lisiej Dolinie. Przez sekundę Nora zamierzała się usprawiedliwić. *Chciałam powstrzymać Debbie przed zgłoszeniem tego policji, zastanawiałam się, czy nie ma innego sposobu...* Lecz tego nie zrobiła. Debbie bowiem postąpiła słusznie, Nora ostatecznie sama to przyznała.

– Mąż Vanessy Willard musiał poznać prawdę – powiedziała. – Nie mógł dłużej żyć w nieświadomości. Wreszcie mógł pochować żonę. A teraz może spróbować powrócić do normalnego życia.

– Ale podała pani policji nazwisko Ryana!

– Ponieważ była jeszcze ta druga kobieta. Alexia Reece. Mogło być przecież tak, że Ryan...

Z cichych, smutnych dotąd oczu Corinne posypały się iskry.

– Jak mogła pani tak pomyśleć? Jak mogła pani pomyśleć, że Ryan

ma z tym coś wspólnego? Ta sprawa z... z Vanessą Willard to było straszne nieszczęście. Nigdy by tego powtórnie nie zrobił!

– Był przyparty do muru. Potrzebował dużej sumy pieniędzy.

– Mimo to nigdy by... i on *tego nie zrobił*. Okazało się, że to jej mąż. Za zniknięcie Alexii Reece i jej śmierć Ryan nie jest odpowiedzialny.

– Wiem – odparła Nora. Gapiła się na swój kubek z kawą. – Ale wówczas Debbie i ja myślałyśmy... O Boże, Mrs Beecroft, nie mogłyśmy się przecież zgodzić na takie ryzyko! Zachować milczenie i ostatecznie stać się być może współwinnymi, gdy inną kobietę spotyka podobny los co Vanessę Willard. Pani nie widziała tej jaskini! Nie widziała pani tej skrzyni! Nie wyobraża sobie pani, jak...

– Nie chcę sobie tego wyobrażać – przerwała jej ostro Corinne. – Słyszysz pani? Nie *chcę*. *Nie chcę o tym słyszeć!*

– Okay – odparła Nora – okay.

Być może dla matki to za wiele. Przez te wszystkie lata, od kiedy jej syn zszedł na złą drogę, Corinne tyle musiała znosić. A w ostatnich dniach rozpętało się wokół niej prawdziwe piekło. Gorsze niż mogłaby sobie wyobrazić. To zrozumiała, że usiłowała się przed tym bronić.

Obie kobiety milczały przez chwilę, popijając kawę. W szpitalu panował cowieczorny ruch. Ludzie przychodzili po pracy w odwiedziny do swoich krewnych.

– Czy coś wiadomo w sprawie Damona? – zapytała Nora. – Czy można mu będzie udowodnić...?

– Że jest odpowiedzialny za napad na mnie i na Debbie? – Corinne potrząsnęła głową. – Takim typom trudno cokolwiek udowodnić. Inspektor Morgan jest przekonana, że to on za tym stoi. Nie ma jednak żadnych dowodów. Także na to, że szantażował Ryana i mu groził. Musieli go wypuścić. Nie da w tej sprawie za wygraną, obiecała mi to, ale kto wie? – Wzruszyła ramionami. – Ten Damon uniknie kary, jestem tego niemal pewna. W końcu to on ponosi winę za wszystko, co się stało. Ale on wypłaci się z sideł. Ma świadków, alibi, wszystko, co trzeba. Pewnie zdobyte za łapówki, ale pieniądze to dla niego żaden problem. A mój Ryan trafi za kratki. To takie straszne i takie

niesprawiedliwe. – Łzy, przez cały czas powstrzymywane, napłynęły jej teraz do oczu.

– Kiedyś go dopadną – powiedziała Nora, sama w to jednak nie wierzyła. Damon zawsze tu będzie. Prawdopodobnie będzie nawet wtedy, gdy Ryan któregoś dnia, po wielu latach, wyjdzie na wolność. Damon nie był człowiekiem, który zostawi swą ofiarę tylko dlatego, że czas będzie mu się dłużył. Zaczeka na Ryana z żądaniem zwrotu sumy, która osiągnie wtedy astronomiczną wielkość, zabawi się w ściganie go i zastraszanie, być może nawet znów podejmie swe złośliwe, perwersyjne gierki, będzie ranił i upokarzał ludzi bliskich Ryanowi. Wszystko zacznie się od początku.

Zyskali jednak na czasie. Makabryczność całej sytuacji polegała na tym, że Ryan, trafiając do więzienia, już po raz drugi został w ostatniej chwili uratowany przed Damonem.

– Musimy zebrać pięćdziesiąt tysięcy funtów – powiedziała Nora – i to jak najszybciej. Żeby Ryan miał szansę na normalne życie, kiedy... wyjdzie na wolność.

– Zeznając przed policją, Damon zaprzeczył, że w ogóle wysunął takie żądanie – oznajmiła Corinne.

Nora prychnęła.

– Wysunął, proszę mi wierzyć. Sama nie mam tyle pieniędzy, ale zrobię *wszystko*, by pomóc w ich zebraniu. Może jakoś nam się uda.

Corinne spojrzała na nią badawczo.

– Pani naprawdę chce mu pomóc, prawda?

Nora na sekundę przymknęła oczy. Jego matce powie to, czego jemu nigdy nie mogła powiedzieć.

– Kocham go, Mrs Beecroft. I to się nie zmieni, nawet jeśli teraz nie chce mnie widzieć. Zrobię dla niego wszystko. Jeśli mi pozwoli, będę go odwiedzać w więzieniu. I będę czekać, aż stamtąd wyjdzie.

– Jest pani jeszcze taka młoda. Dlaczego pani to robi?

– Właśnie to wyjaśniłam – odparła Nora.

Corinne skinęła głową. Opuściła ją wszelka wrogość. Była już tylko znużona i smutna.

– Porozmawiam z Ryanem. Wyjaśnię mu pani... zdradę. Spróbuję wzbudzić w nim zrozumienie dla sytuacji, w jakiej się pani znalazła. Niczego nie mogę pani obiecać, ale zrobię, co w mojej mocy.

– Dziękuję. Bardzo pani dziękuję.

Corinne wypła ostatni łyk kawy, po czym wstała.

– Do widzenia, Miss Franklin.

Nora również się podniosła.

– Mieszka pani w hotelu gdzieś w pobliżu? – zapytała. A kiedy Corinne przytaknęła, dodała: – Mogłybyśmy się spotkać? W weekend? Tak tylko. Żeby porozmawiać.

– Chętnie – odparła Corinne. Skinęła i odeszła. Nadal powłóczyła nogami. Starsza kobieta z odrobiną nadziei, że wszystko się ułoży.

Nora ponownie usiadła. Zostanie jeszcze jakiś czas. Tu, w szpitalu, była przynajmniej blisko Ryana, a to lepsze niż nic. Będzie musiała przekonać Corinne do pomysłu, by Bradley wziął pożyczkę na hipotekę domu. To nie będzie łatwe, lecz Nora była pełna ufności. Oczywiście uwierała ją świadomość, że pozbawionemu skrupułów przestępcy trzeba będzie w końcu wepchnąć do gardła mnóstwo pieniędzy, lecz jeśli policja nie była w stanie ukrócić jego procederu, należało przedsięwziąć własne kroki. Liczył się tylko Ryan. I jego przyszłość.

Corinne pomoże jej dotrzeć do Ryana. Jeśli nie ze względu na Nore, zrobi to dla Ryana. Wiedziała bowiem, że Ryan potrzebuje człowieka, który niezachwianie stać będzie po jego stronie, jeśli chce psychicznie przetrwać wszystkie te lata w więzieniu oraz okres po wyjściu na wolność. Corinne nie mogła mieć pewności, jak długo jej samej starczy na to sił. Zrozumie, że Nora jest dla Ryana darem niebios, i zrobi wszystko, by na powrót połączyć tych dwoje młodych ludzi.

To była iskierka nadziei. Nareszcie światełko na końcu tunelu.

Nora pomyślała o latach, które nadejdą. Na jej twarzy pojawił się uśmiech.

Bądź co bądź miała Ryana dla siebie.

Wyłącznie dla siebie.